

Bolesław Prus

NOWELE

Tom I I I

CO TO JEST BLAGA?

Było już około dziesiątej wieczorem. Poważny _| pan Ezechiel kilkakrotnie spojrzął na zegarek, szpakowata pani Weronika kończyła robotę włóczkowej chusteczki, a pulchna mężatka, pani Balbina, bez ceremonii ziewała. Tak widoczne oznaki nudów zdolne były zakłopotać najmniej uprzejmego gospodarza; -toteż nie dziw, że znani z gościnności państwo Sylwestrowie wili się jak dwie muchy w ukropie, zapewne rozmyślając nad sposobami ubawienia swoich gości.

Nagle, w chwili gdy brwi zmartwionego pana Sylwestra dosięgły najwyższego położenia na czole, a koralowe usteczka pani Balbiny robiły się coraz podobni ej sze do bramy zajezdnego domu, jedno pytanie rzucone jak bomba przez eleganckiego Fabiana spłoszyło anioła ciszy:

—Bardzo byłbym wdzięczny — mówił pan Fabian — temu, kto by mi dokładnie objaśnił, co znaczy tak powszechnie dziś używany wyraz blaga...

—Nic łatwiejszego! — mruknął poważny Ezechiel. .

—Najzupełniej zgadzam się z panem! — potwierdził gościnny Sylwester.

—A... ach!... — ziewnęła ponętna'Balbina.

—Dobranoc państwu!... — szepnęła Mania, córeczka państwa Sylwestrów, rozkoszny czternastoletni che- rubinek, który miał wielką ochotę posłuchać objaśnienia wyrazu blaga, lecz na dany przez troskliwą ma

mą znak musiał opuścić rozbudzone towarzystwo i odejść do swego pokoju.

— Owe wyprzedaże zupełne, pożyczki premiowe, koncerty dobroczynne — mówił pan Ezechiel — owe wyrzekania na ucisk klas ubogich przez kapitalistów, wszystko to blaga!...

- Mój panie — odezwała się pani Weronika — po co mamy tak daleko szukać, kiedy w najbliższych znajomych nam kółkach jest tyle blagi, że ta wystarczy do doskonałego objaśnienia wyrazu...

— No, żegnam państwa! — przerwała pani Balbina nie mająca, zwyczaju robić sobie z nikim ceremonii. — Uważam, że pani Weronika znalazła już swój ulubiony temat, nie chcę więc jej • przeszkadzać...

— Ależ, pani!... Ależ, droga pani!... — zawołali jednocześnie gościnni państwo Sylwestrowie zrywając się z krzeseł, zapewne dla zatrzymania tak przyjemnej osoby.

— Słowo daję, że nie mogę dłużej czekać... Mąż będzie niespokojny, a przy tym głowa trochę mnie boli! .^ tłumaczyła się pani Balbina całując tymczasem damy i łaskawie podając rączki mężczyznom.

— Może pani dobrodziejka pozwoli sobie służyć? — spytał szanowny Ezechiel.

— O, dziękuję! bardzo dziękuję, mam tylko parę kroków do domu. Adieu!...

I w kilkanaście sekund znikła.

Zawsze do męża i zawsze przy mężu... co za doskonała kobieta! — zaczął gospodarz z dwuznacznym uśmiechem. BI m

- Ach, Boże! — zawołała z gniewem pani Weronika. — Oto jest dopiero przykład blagi... Niby. to kocha męża, a ma kochanków tuziny...

— Jest na pozór bardzo rozsądna i taktowna, a prze-

cież robi szalone wydatki i zaciąga długi — dodał Ezechiel.

— Pod pretekstem szczerości prawi ludziom impertynencje — uzupełnił Sylwester.

— Tak, istotnie... — pochwylił miły Fabian. — Pani Balbina bardzo szczęśliwie przyczyniła się do objaśnienia rzuconej kwestii!... Lecz, o Boże! ^ zawołał na- J?le — jest już kwadrans po dziesiątej, a ja mam odwieźć z teatru moją siostrę, panią baronową X, pozwolicie więc państwo, że pożegnam...

— Jaka szkoda! — westchnęła Weronika.

— Nie godzi się, panie Fabianie, przerywać rozmowy, której pan duszą jesteś — rzekła z najśłodszy uśmiechem gospodyni.

— No, trudno!... Jeżeli pan Fabian ma odprowadzić panią baronową, to nie powinniśmy go zatrzymywać — zakonkludował gospodarz. Gdy po czułym pożegnaniu gość zniknął, pan Ezechiel rzekł z bardzo uroczystą miną:

— Nie rozumiem, dalibóg! jakim czołem ten młodzieniec dopytuje się o znaczenie wyrazu błaga, będąc sam tak doskonałym blagierem!...

— Jaki pan Ezechiel złośliwy! — szepnęła pani domu.

— To nie złośliwość, moje dziecko — wtrącił gospodarz — ale sprawiedliwość. Nikt istotnie nie dorównał panu Fabianowi w sztuce udawania, a i teraz nawet nie jestem pewny, czy zamiast do siostry nie poszedł... no, gdzie indziej.

— Na przykład za panią Balbiną! — odezwała się Weronika.

— Ależ, droga pani!... — protestuje gospodyni domu.

— Mniejsza już o panią Balbinę — mówi Ezechiel — bo swoją drogą i bez niej Fabianek jest blagierem.

Ja sam znam parę wypadków, w których, doprawdy, chłopiec ten przeszedł samego siebie.,.

Ta... ta jego pycha arystokratyczna jest przede wszystkim blagą — przerywa Weronika. — Wiadomo przecież, że ojciec jego był lokajem...

- Lokajem?... A cóż znaczy siostra baronowa? , —; Znaczy to, że Wyszła za fabrykowanego barona, który przed kilkunastu laty trzodą handlował.

— Ależ majątek samego Fabiana?...

Gdzie, on tam ma majątek! — odzywa się pan Ezechiel. — Pieczeniarkuje przy wielkich panach, pożyczka niby to dla nich pieniądze u lichwiarzy, a przy tej sposobności i o sobie nie zapomina. Oto wszystko!

— Bójcie się, państwo, Boga, czy to być może?! — pyta bolejącym głosem pani Sylwestrowa. — To zdawał się taki przyzwoity chłopiec!...

— Droga Klociu! — upomina ją mąż ^ droga Kkciu, nie dziw się tak znowu gwałtownie, bo ci przecież nieraz już opowiadałem o Fabianie...

rapy Ależ, kochany Ksawciu!.,,

— Ależ, kochana Klociu!...

Zapalającą się kłótnię małżeńską przerwał nagły dźwięk dzwonka, gdy zaś gospodarz otworzył drzwi wchodowe, zebrani ujrzeli w przedpokoju służącego pana Ezechiela.

— Co się stało? — zawołał pan Sylwester ze źle udawanym zdziwieniem.

— A bo, proszę pana, jakiś pan był u nas trzy rary i powiedział, że się chce gwałtem z panem widzieć jeszcze dziś...

— Dziwna rzecz!... Z prawdziwą przykrością będę musiał państwa pożegnać...

O, to nic!... byle tylko nie trafił się jaki wypadek... Dobranoc!... — chórem odpowiadali obecni.

— No, to chyba i ja już pójdę spać — rzekła pani

Weronika składając robotą. — Mój Boże! jak świat przewrotny teraz! Ten na przykład stary grzesznik Ezechiel wszystkich obmawia, a sam podobno najgorszy... Ach!... _

— Cóż on znowu zrobił? — pyta gospodyni.

— Niby ty - nie wiesz, droga Kłociu! — odpowiada mąż z przekąsem.

— Sknera, lichwiarz, kochana pani! — objaśnia Weronika — Niejednego już zgubił, a ten jegomość, co przysyłał po niego w nocy, to niezawodnie albo tradowany dłużnik albo potrzebujący pieniędzy głupiec... Dobranoc państwu.

— Wielki Boże! — dziwi się Sylwestrowa.

— Tak! tak! moja pani... Dobranoc.

Po wzajemnych uściskach stara dama zniknęła.

— Moja Kłociu — zaczął pan domu — jesteś niezdolna z tym ciągłym powątpiewaniem i dziwieniem się...

. A ty z twoim obgadywaniem na wspólkę z Weroniką, która jest tak fałszywa cała jak jej zęby i włosy...

— Ależ, Kłociu co gadasz?... Wprawdzie Weronika ma swoje dziwactwa...

IIPII Dziwactwa?... Więc to dziwactwo obgadywać wszystkich za oczy, a łasić się w oczy?... Niezdolna kobieta, i basta! — zawołała żona i weszła do następnego pokoju.

Mąż pobiegł za nią.

Moja droga, nie pojmuje[^]- mówił z gniewem — skąd ci dziś przysły morały do głowy? Wiem przecież, jaka zwykle jesteś!

— A ja nie pojmuje ciebie! — zawołała żona.—• Bronisz dziś Weroniki, a wiem przecież, co na nią zwykle gadasz...

— Bezrozumna kobieto! nie mogłem inaczej gadać, ponieważ Weronika podsłuchiwała za oknem.

— No, to i ja nie mogłam chwalić plotek i plotkarki, ponieważ Mania przez cały czas naszej rozmowy podsłuchiwała za drzwiami...

— Przecież Mania spać poszła?...

— Mania zawsze tak robi, ile razy chce słyszeć coś, czego by przy niej nie mówiono.

— Doskonałe wychowanie!... — bąknął mąż.

— Dostyc!... — odparła żona.

I już... już miało wybuchnąć nieporozumienie rodzinne! Szczęściem, małżonkowie spojrzeli na siebie i... ucichli oboje.

WIGILIA

Wiedziałem już przyniosłem, mówiąc między nami,
jakąś straszliwie niewyraźną babinę, kupioną
za własne (krwawo zapracowane!) trzydzieści kopiejek, kiedy
własną ręką w piecu napaliłem i własnymi obcęgi nakładem węgla do
własnego a pękatego samowara, wyznaję — że mi się jakoś głupio
zrobiło na sercu.

— Co. u diabła! ja, osoba taka porządna, tak sławna, ja, podpora i
współpracownik tylu pism periodycznych ja — mający tu krewnych,
tam przyjaciół, ówdzie powinowatych — będę sam jak palec,
wówczas gdy naj- ostatniejszy z roznosicieli „Kuriera” cieszy się w
kółku rodzinnym?...

O. źle!

Byłem wprawdzie wczoraj „na rybce”, no — ale to na dziś nie
wystarczy. Nie jestem głodny, nie zimno mi, wołałbym jednak w tej
chwili patrzeć na jakąś zadowoloną twarz ludzką, która by z
wykwintnych apartamentów moich wygnała nudy i zły humor...

Czuję, że jestem rozwścieczony na cały świat. Gdybym mógł.
zmiażdżyłbym księżyc na tabakę, ziemię na jakie sto lat cofnął w
biegu, a słońce zamroził tak, że aż- by kwiknęło Ponieważ jednak
robić tego nie wypada, rzucę więc stołkiem o podłogę, aż mu się nogi
rozlecą, Walentemu, kiedy mi przyjdzie wieszować, pokażę bar-

dzo cierpki grymas, gospodarzowi wytoczę proces za to, że mi nie dał jeszcze piwnicy...

— Jak się masz, niedołego?...

— Tylko bardzo proszę.. -

Oglądam się... za mną jakaś jejmość... Czepek z żółtym fontaziem i tiulikiem w zęby, watomane kaftanisko pachnie rybami jak u śledziarki; w jednej kieszeni ma- kagiga, w drugiej pajac, pod pachą zaś cynowy sprzęt z drewnianą rękojeścią... A jaka talia u tej damy. fiu! We trzech byśmy nie objęli — bodajem brał po sześć groszy od wiersza, jeżeli mówię nieprawdę!

— No! i cóż się tak gapisz? — wrzasnęła jejmość.

— Z kimże mam honor?... Czy nie pani Lucyna?...

Wymówiłem imię to na chybił-trafił. przypuszczając, że ono najlepiej pasować będzie do postaci jednoczącej w sobie wielką energią i niepospolitą gospodarność.

— Czyś zwariował?... Jaka Lucyna?... Nie Lucyna, tylko Wi... gi... lia!... Rozumiesz?

— Wigilia?.. Dalibóg, ładne imię. Niechże pani będzie łaskawa...

— Dlaczego mnie tytułujesz panią mazgaju, kiedy widzisz, że jestem duchem?

— Duchem?... W każdym jednak razie Wigilia to... zawsze niby płęć żeńska...

— Duchy nie mają płci. •

— Doprawdy?... Czy...

- No, no. no... Dość już tego! Zabieraj się i wychodź, bo nie mam czasu na romanse.

Przypuszczając, że ręce korpulentnej damy mogą w razie potrzeby obracać się równie szybko jak język, wciągnąłem co rychlej futro na grzbiet i czapkę na uszy, w parę zaś minut później byliśmy na ulicy.

— Dalej nie pójdę, pani dobrodziejko! — mówiłem do mojej towarzyszki, trzymając się oburącz bariery wydywanionych schodów.

— Dalej nie pójdę, bo jeżeli nas kto zobaczy, to... pani wiesz?

—■ Przywidzenie! — mruknęła dama kładąc tłustą rękę na kryształowej klamce. — Mnie nie zrobią nic, no — a ty się wytłomaczysz... Wreszcie, redaktorowie za tobą poręczą!

Popchnęła drzwi, mnie we drzwi, i otóż znaleźliśmy) się w przedpokoju.

Chryste elejson! co za salony, jakie meble, jakie światła!... Pulchna figurka mojej towarzyszki jak najdokładniej odbija się w podłodze — dywan na stole, dywan pod stołem, aksamity na kanapie... Na marmurowych słupach stoją urny i bocianowate dzbany etruskie, fotele takie, że na najgorszym z nich z całą satysfakcją usiadłbym nawet wówczas, gdyby mi głowę w tej pozycji zdjąć miano. A portiery... phy... A złote kutasy, ciężkie jak grzech śmiertelny! Westchnąłem.

— Mój Boże! jakby też to mnie, chudeuszowi, wigilia smakowała w takim salonie...

— Spójrz — szepnęła moja przewodniczka. Wsunąłem głowę pod jej ramię i zasłonięty portierą patrzyłem.

W salonie były dwie osoby: jakaś młoda i piękna blondynka (cukiereczek! — powiadam) w powłóczystej sukni i jakiś o tyle chudy, o ile znudzony frant, który siedząc na kanapie przekładał nogi, a palcami czesał dość zresztą rzadkie faworyty.

— Karolu, więc wychodzisz? — pytała blondyneczka głosem, który przeszył mi serce jak materac tapicerska igła.

— Zostanę, Anielo, byłeś mnie tylko... — odparłem,

— A cicho, tee!... — mruknęła Wigilia, przyciskając

mi bardzo poufale łokciem głową do swojej mocno pod-
watowanej talii.

— Muszę wyjść, duszko, jak cię kocham — teraz dopiero
odpowiedział frant, znowu przekładając nogę.

— Więc zostawisz mnie samą nawet w tym dniu, Karolu?...
Ostrz głosu blondynki przeszedł mi gdzieś pod łopatką i oparł się na
futrze.

— Przesady! sentymentalizm!... — ziewnął frant.

— Nie dbasz o mnie...

— Zdaje ci się tylko, aniołku — odpowiedział elegant wstając. —
Gdybym o ciebie nie dbał, a i zwyczajów dawnych nie obserwował,
nie kupiłbym ci przecież na kolebę garnituru za trzysta piętnaście
rubli i pół, licząc w to dorożkę. No, bądź zdrowa!

To powiedziawszy pochylił się nad piękną damą w powłóczystej
sukni, ucałował kwiatek, - który miała we "włosach, i wyszedł.

W tej chwili w przeciwnych drzwiach salonu ukazał się wyfrakowany
lokaj:

— Waza na stole, proszę jaśnie pani!

— Możecie jeść — odpowiedziała zasłaniając twarz chustką.

— To jaśnie pani nie będzie jadła wigilii?

— Z kimże?...

— Ze... odezwałem się.

— Cicho! — mruknęła stara wyprowadzając mnie na schody.

O blondynko, blondynko! gdybyś też wiedziała, jakie serce biło dla
ciebie z drugiej strony eleganckiej portiery...

■Znowu zatrzymaliśmy się, tą razą przed żółtym, parterowym, wykoszlawionym, starymi gontami pokrytym domkiem, na widok którego, nie wiem z jakiej racji, przypomniałem sobie pieśń ludową: Chałupeczka niska itd.

Wigilia oparła się o futrynę okna, ja stanąłem przy niej. Boże kochany! wszak ci ludzie nawet podwójnych okien nie znają, a wątpię, aby ogrzała ich ta muślinowa firanka i ogromny piec zakopcony, w którym tli się szczypta węgielków.

Na środku pokoju stół nakryty białym, choć nieco przykrótkim obrusem, obok — krzesła: jedno wyściełane, drugie drewniane i stołek prosty. Tapczan w jednym kącie, dziecinne, niegdyś politurowane łóżeczko z kratami w drugim, między nimi drzwi do alkierza i oto wszystko.

W mieszkaniu trzy osoby: starzec ślepy, jakaś wybla* dla kobieta i dziecko w żałobie.

— OjczUlku, już gwiazdy zeszły, siadajmy! — zaczęła kobieta.

— A cóż nam imość dasz dzisiaj? — spytał stary.

— Jest, dziadziu, barszcz, jest, dziadziu, śledź i są, dziadziu, kluski — odpowiedziało dziecko.

— Ho! ho!... bal!...

Tymczasem kobieta podała opłatki; łamali się i całowali.

— Ojczulku — rzekła znowu starsza — oto szalik na gwiazdkę, będzie ojczulkowi cieplej.

— A ja dziadziowi dam ołówek tabaki...

— Dziecino ty moja. Haniu serdeczna! — zawołał starzec szukając rekami głowy dziewczynki — ja tabaki me zażywałem, żeby tobie tę ot lalunię kupić, a ty mnie znowu tabakę dajesz, pewno z bułeczek twoich?...

I wydobył z za pazuchy kilkogroszową lalkę w sukni różowej.

— Jaka śliczna! — zawołało dziecko.

— A tobie, Kasiuniu, także szalik kupiłem... Ładny?

I podał kobiecie chustkę włóczkową.

— Czerwona, ojczulku...

— Bodaj tych Żydów! — mruknął stary — mówili, że czarna...

Zakołatano we drzwi.

— Prosimy! a kto tam?...

Na progu ukazał się tego zbudowany facet w kozuchu.

To ja, sąsiad... (bodaj mnie roztratowali!...). Niech będzie pochwalony...

— Pan Wojciech! — zawołała kobieta. — Na wiekt wieków...

Vfl Podaj opłatki, Haniu — rzekł starzec wyciągając ręce.

— Bo ja tu, z przeproszeniem, przyszedłem państwa prosić do nas na wilią. Stara, panie, Zosia i reszta (bodaj mi oś pękła na środku drogi!), wszyscy hurmem proszą. Ot, co jest!

Przy tych słowach mówca plunął przez zęby.

— A, panie Wojciechu, jakżebyśmy też śmieli panu subiekcją robić?...

— Nic z tego (bodajem onosaciał!). Nie odejdę bez państwa...

— Zawsze w domu... mówiła nieśmiało kobieta.

— A cóż to w domu? czy tu państwa kto na kantarze trzyma (bodajem Żydom wodę woził!...), czy co?

Nie podobna było opierać się dłużej tak kordialnym prośbom; wziął więc starzec córkę pod rękę, wnuczkę za rękę i wyszli.

Cała kawalkata zetknęła się z nami na podwórzu.

— Niech was Bóg błogosławi! — zawołała Wigilia.

— Panie Boże zapłać! — odparł pan Wojciech, pilnie się nam przypatrując. — Biedactwo jakieś — dodał po chwili. — Chodźcież i wy z nami (bodaj mnie rozjechało!), a pokrzepicie się trochę. Poszła Wigilia z nieukrywaną radością, a ja za nią z rozpaczą w sercu; zaprosiny te bowiem diabelnie zachwiały wiarę, jaką dotychczas pokładałem w moim futrze i czapce.

Ledwośmy weszli, tłum nas otoczył.

— A co? —ś wołał triumfujący Wojciech — mówiłem (bodajem z piekła nie wyrzał!), że państwo nie pogardzą nami.

— Hania! Hania!... — piszczały większe i mniejsze dzieci.

— Haniu! ja dla ciebie schowałem złocone orzechy...

— A ja konia...

— Haniu!... a ja,,.

— Stańcie sobie, ludzie kochani, przy progu — zwróciła się do nas pani Wojciechowa, dama z czerwonym nosem i zapadłymi policzkami.

— A to jest, proszę państwa — mówił Wojciech do gości — to jest pan Władysław...

— Władysław Dratewka! -pi? rekomendował się starannie uczesany młodzieniec, w jasnym żakiecie i palonych butach. — Absztyfikant do mojej Zośki — dodał Wojciech. Okrągłutka osoba, nazwana Zosią, zaczerwieniła się jak ćwikła.

— Niech państwo będą łaskawe siadać — prosiła gospodyni.

Gdy starsi zajęli miejsca, a chmara dzieci przyczepiła się też do stołu, pan Wojciech zaczął:

— Pobłogosław. Panie Boże, nas i te dary...

— No, mamuniu!... Stach wszystkie uszy z mego barszczu zabiera...

— Cicho, Franek, bo cię palnę!... Pobłogosław, Panie Boże...

—| Wanda! nie pchaj się! — wrzasnęło drugie dziecko.

Z wielkim trudem udało się panu Wojciechowi dokończyć zaczęłą modlitwę po poprzednim wytarganiu kilku czupryn. Poczęto jeść, dano i nam, dano też i psu kudłatemu, który ze zwieszonym ogonem a podniesionym uchem pilnie przypatrywał się stołowi.

— Jaka to szkoda — mówił świetny konkurent Władysław — że mnie majster wcześniej nie puścił.

— A bo co? — spytała panna Zofia.

— A bobym pannie dopiero maku utarł... ech!...

— Pan by nawet nie spotrafił.

— Mogiem żara szpróbować odparł w każdej chudli gotowy do uprzejmych usług kawaler.

Widzi mam unia, ten Stach...

— Cicho, wywłoki! — huknął gospodarz.

Pizy końcu kolacji, którą oporzadzono w sposób godny uwagi, pan Wojciech plunął na środek izby i zabrał głos:

— Na świecie coraz gorzej, żeby mnie piorun trząś! Nalej, Zosiu, panu...

Święta prawda — odpowiedział starzec. ^^jZa moich czasów, panie, choinki były takie, żeby sam człowiek wlażł na nią, a dziś (bodaj się most pode mną załamał!) jak biczyska.

—• W jednym względzie to jeszt gorzej, a w drugim to jeszt szto raży lepiej — upewniał pan Władysław. : W żadnym lepiej...

— Czo tam pan Wojciech barłóży!...

— W żadnym, powiadam, a kto mi tu będzie gadał inaczej...

— A chy! a chy!... a chy!... — zakrztusiło się dziecko.

— Święta Panno — zawołała Wojciechowa — Franek się dławi...

Panna porodziła maleńkie Dzieciątko, "W żłobie położyła małe pacholątko...

kobiety dodały:

Funda, funda, funda!... Tota risibunda, Hej, kolęda! kolęda!...

W egzekucji ostatniego trójwiersza przyjęły już udział wszystkie basy męskie, przedęte soprany żeńskie i dyszkanty nijakie, tworząc przeraźliwy koncert na temat dość niewyraźnego oberka. Wigilia rozochociła się, a nie mogąc z powodu mojej nieumiejętności wy—
— Pal go w kark!... Ot, co jest!... Gałązka Wojciechowego rodu została ocalona ku wielkiej uciechu pana „Władysławowa”, który upewnił wszystkich, że „gdyby Franusiowi ość wlaża w grzdykę, to byłoby a u s z!...”

— Powiadam panu, że złe czasy najlepiej miarkować po koniach 7— zaczął gospodarz na nowo. — Ze dwadzieścia lat temu wypadła mi na każde dziecko para koni, potem tylko jeden, a teraz, panie, para na troje. Bodaj mi oś pękła, jeżeli szczekam!

— A co to panu Wojciechowi za krzywda?

— Zawdy para na troje — mówiłem!

Po tych słowach zamyślił się, plunął aż na piec i zawołał:

— Basta, moja panno!

Uważając ten wykrzyknik za hasło do odejścia, trąciłem Wigilią. Ukłoniliśmy się zatem gospodarzom, wzięli jeszcze po .trojaku i po kawałku strucli (którą w prywatnym lokalu moim widzieć można) i wyszliśmy błogosławiąc domowi.

Gdy byliśmy już w końcu podwórza, doleciał nas basowy głos pana Wojciecha, który zaintonował:

wijać ze mną, porwała jakiegoś kalekę na szczudłach z takim entuzjazmem, że oboje o mały włos nie dostali się pod przejeżdżające sanki.

Jeżeli, droga czytelniczko, chcesz poznać jednego z najzapamiętalszych wielbicieli płci pięknej, jacy egzystowali na świecie, to uważnie przypatruj się wszystkim safandułom chodzącym w nie trzepanych futrach. Jeżeli zaś u którego z tych panów dostrzeżesz kołnierz odł- żący od szuby, wówczas ciesz się i bądź dumną, albowiem owym panem — ja jestem!

Pókiśmy, jak zwykli śmiertelnicy, chodzili z Wigilią po ziemi, kołnierz mój był cały; naderwał się dopiero wówczas, gdy szanpwna dama, pochwywszy mnie w sposób tak bezceremonialny jak pustą konewkę, siadła na zabawkę, przypominającą narzędzia doktora medycyny, i wzbiła się w powietrze.

Ręką ani nogą ruszyć nie mogłem, gdyśmy przez dymnik wjechali na strych zgrzybiałej czteropiętrowej kamienicy. Jakże tu zimno i pusto! Para nadgniłych sznurów, na nich kilka szmat wątpliwego koloru, w kącie paka wypełniona skorupami garnków i butelek, pod kominem najeżony kot, który zdawał się chuchać w palce, a w jednej ścianie małe, pozalepiane papierem drzwi, za którymi ktoś chodził, siadał czy też kładł się i od czasu do czasu kaszłał.

Gdy przez nadpróchniałą poręcz spojrzałem na dół, dostrzegłem słabe światełko w takiej głębi, że mi przyszła na myśl owa od spodu do szczytu okseftami wypełniona bernardyńska piwnica, w którą kamień rzucony na Boże Narodzenie leciał aż do Wielkiej Nocy. Światełko chwiało się w sposób arcydwuznaczny, chybotania zaś towarzyszyły takie szmery, jakby ktoś z wiel-

trudem wstępował o trzy schody w górę, a następnie z wielką łatwością opadał o cztery na dół.

Cień niosący światło przeszedł w ten sposób drugie, trzecie i czwarte piętro, zatrzymując się za każdym razem i głośno ziewając:

— A-u!...

Gdy wstąpił na drabinę, prowadzącą z czwartego piętra na nasz stryszek, zachwiał się jeszcze bardziej i byłby niezawodnie przez parter zajechał na Powązki, gdyby go za kark nie pochwyciła silna ręka Wigilii.

Pod czarodziejskim wpływem tego dotknięcia ziewający człowiek stanął równymi nogami na naszym poziomie, wyprostował się i mruknął:

— Hej, kołęda! kołęda!

Był to mężczyzna już szpakowaty, w długim starym kozuchu. Zamiast czapki zdawał się mieć bardzo zwawo pokudłane włosy, świeżą kresę na prawej stronie pałkowa tego nosa i jeszcze świeższe ślady czterech palców na lewym policzku. W prawej ręce niósł brudną latarkę, w lewej dwojaczki i bułkę pod pachą.

Jestem pewny, że gdyby wyziewy spirytualne miały "własność układania się w formę obłoków,- nasz nowy przyjaciel byłby w tej chwili podobny do podstarzałego cherubina, któremu ktoś życzliwy okrutnie wygarbował skórę.

Na krzyk: „Hej, kołęda! kołęda!”, i odgłosy niepewnego stapania wyklejone papierem drzwi uchyliły się i ujrzałem w nich wychudłą twarz młodzieńczą, wśród której iskrzyły się zapadłe i dziwnym jakimś wyrazem ożywi (me oczy.

— Kto tam?...

— Jo!... Antoni, strós... przyjsetem...

Z tymi słowy mężczyzna w kozuchu uderzył głową o niską futrynę i wszedł do izby.

Stare, krótkie, wąskie, na żółto pomalowane i okrut-

nie pomiętoszone łóżko z Pocię owa, dzban bez ucha, lampa z przypalonym papierowym kloszem na okrągłym stoliku wielkości dużego czworaka tudzież cały stos papierów i książek — oto umeblowanie izby, którą w dzień miało oświetać maciupkie kwadratowe okienko, a teraz ogrzewa żelazny piecyk.

— Ehe he!... — zaczął stróż. — To pan niby całą odwieczerz nie wychodzi z doma?

— Nie — odpowiedział krótko młody gospodarz....

— Jo tu... zęby tak z pozwoleniem łaski pański... jo tu przyniosłem... Je tu trocha grusek, a tu kapusta, a w kapuście płotka. Wsadziłem ją, bestyje, do góry ogonem, zeby światu nie widziała. Tyz i placek je... Gospodarz chwilę pomyślał i biorąc podawane efekta, wyszeptał:

— Dziękuję... Bóg wam zapłać... Może kiedyś...

— I, co tom!... Ale gdzie jo to tu łyżkę podzionem?... Ta ni ma i tu ni ma?... Ho! ho! dyć siedzi, siedzi za cholewą, ondzie...

Mizerny młodzieniec wziął łyżkę, usiadł na krawędzi pościeli i począł jeść żarłocznie.

— Taki tu ziąb, a pan chodzi bez nicego.

— Gorąco mi— odparł gospodarz i zakaszłał.

— To tak panu bez te piersi i bez te gorancke... Jo bym jedno tyło lekarstwo broł: słoninę i wódkę. Sprawiedliwie!

Młodzieniec jadł.

— Ale wódkę cystą jak oko! Bo to, panie, Zydy mi dzisia dały jazambówki, co, panie, musioł w ni być wi- tryjól... Sprawiedliwie! Chory jadł odkładając wówczas tylko łyżkę, gdy kaszłał.

— Pędom panu, ino com wypił drobinę, jak mnie, panie, nie weźmie, jak mnie, panie, nie rzuci... Tylom

co zased do sieni, jak mnie drugi raz nie weźmie, jak drugi raz nie ciśnie, a tu ci, panie, jak moja baba nie wypadnie, jak ci mnie nie weźmie motać... Eh, panie! od samego ożenku nie dogodziła ci mi tak jak dzisiaj Sprawiedliwie...

Młodzieniec zjadł, postawił dwójniaki na podłodze, oparł głowę o ścianę i obnażoną, zapadłą pierś okrył kołdrą, która kiedyś musiała mieć zapewne kolor.

— Pan tak zawdy na wili som? — zapytał Antoni.

— Już trzeci rok.

— A niby dawni to niby pan miał zawdy kogości?...

Młodzieniec ożywił się.

— Ba!...

Chwila milczenia.

— Pamiętam, kiedym miał osiem lat, poszliśmy z matką do wuja. Nie było daleko, ale że wysoki śnieg upadł, wzięła mnie służąca na rękę...

Zakaszłał.

— Co tam było gości, dzieci!... darowali mi pałasz... sprowadzili furę siana pod stół... na choince zapalili mnóstwo świec... trzy dni robiła je matka z ciotką, a jak się kryły, żeby nam nie pokazać... Cha! cha! cha!...

Milczenie.

— Ona dostała lalkę porcelanową i muślin na suknię. Pamiętam doskonale: szafirowe oczy, czarne jak smoła włosy, a reszta z irchy. Gdyśmy ją rozpruli, wysypały się otręby...

Znowu kaszel gwałtowniejszy niż pierwej. Na twarz opowiadającego wystąpiły ceglaste plamy, z oczu tryskały błyskawice.

— Moja ty ptaszyno najdroższa!... pewnie samotna jesteś jak i ja dziś... Myślisz, że cię nie widzę?... Spój* rzyjże... no, spojrzuj!...

Prawda, ty nie możesz słyszeć mnie z takiej odległości...

Gdy to mówił, kołdra opadła mu z piersi; drżał, wy*

ciągał ręce przed siebie, a oczy patrzyły tak bystro, jakby aż na drugą stronę grobu miały sięgnąć. Tymczasem wiatr szumiał w dymniku, a po ścianach izby spływała wilgoć.

— Muszę pójść do doktora, on mnie wyleczy. Potem do Szczawnicy... Trzeba się odżywić, a potem... już nie będziemy samotni...

Pac! pac! pac! — odpowiadały spadające krople.

— Zbytków u nas nie będzie; może być jeszcze dużo kłopotów... ale już wspólnie... Razem! razem!...

Pac! pac! pac!...

O, jaki to straszny dom, co wzdycha, i ściany, które płaczą!

Chory znowu zakaszłał i ocknął się. i — Antoni!... Antoni!...

— Z ara... Z ara... — odpowiedział stróż. — Aaa... to to pon?...

— Czuć jakąś spaleniznę...

| — Aa... o... bodajcie!... oparem się trocha o piec i na nic mi kożuch przypaliło... sprawiedliwie!...

Tym razem znaleźliśmy się w domu niesłychanie ożywionym. Ze wszystkich stron dolatywały nas odgłosy stąpania po schodach i korytarzach, za oknem słyhać było dzwonki przejeżdżających sanek, pod podłogą brzęczał fortepian zagłuszany od czasu do czasu szmerem nóg i wybuchami śmiechu.

Staliśmy w pokoju ciemnym, przy drzwiach zamkniętych, za którymi ktoś chory jęczał, a naprzeciw drzwi otwartych, prowadzących do pokoju słabo oświetlonego. Tam, gdym się wpatrzył lepiej, dostrzegłem mnóstwo sprzętów, fotografii i dwie młode kobiety . Jedna z nich, ubrana w zieloną suknię, okryła się

chustką, włożyła coś w pokrywę zepsutego pudełka i wybiegła.
Udaliśmy się za nią.

Minawszy schody pierwszego i drugiego piętra, część sieni i małe podwórko, panna w zielonej sukni zatrzymała się przed szklanymi drzwiami suterenu, w głębi której widać było światło naftowej lampki.¹ W czarnej, stęchłym powietrzem napelnionej izbie, prócz paru tapczanów, stołu i ławy nie było innych sprzętów. Z mieszkańców znaleźliśmy tylko troje dzieci zajętych zabawą.

Głos fortepianu z pierwszego piętra i tu dolatywał. Usłyszawszy brzęk otwieranych drzwi i szelest wchodzącej najstarsza dziewczyna podniosła głowę i zapytała: '— Kto tam?

— To ja, Anielka, nie bójcie się. A gdzie starzy?

— Mama w podle — odparła dziewczyna. •

— Cóż ona tam robi?

— A biie się od rana z Grzegorzową.-

Teraz dopiero usłyszałem gdzieś w sąsiedztwie przytłumiony hałas, który równie dobrze oznaczać mógł nader wesołą zabawę, jak kłótnię, a nawet bójkę.

— Jedliście co? — badała w dalszym ciągu przybyła.

— Jedliśmy, panienko, w południe kartofle ze śledziem.

— A cóżeście dostali na kolędę?

— My nic, ale Jasiek dostał w niedzielę surdut od tatki.

Istotnie, średni chłopak dźwigał na sobie długą do kolan szatę, która po bliższym przypatrzeniu się okazywała dużo podobieństwa do kamizelki z tyłu i z przodu otwartej.

— No, ustawcie się, przyniosłam wam jeść,

— Mnie jeść! — zawołała dziewczyna mniejsza strojąc głos do płaczu. .

Dziecko to siedziało na ziemi i od czasu do czasu uderzało blaszaną łyżką w patelnię.

— Cicho! dostaniesz i ty. Macie tu struclą: naści tobie... tobie i tobie. Dzieci stanęły rzędem, podług wzrostu, opierając głowy o krawędź stołu.

— Tu są figi... No, bierzta! A tu... samą nie wiem, jak się to nazywa, ale jedzcie, bo słodkie.

— Aj! prawda, panienko, że słodkie.

— A to szczupak!

—: Szczupak?... Patrz, Jasiek, szczupak! — rzekła starsza dziewczyna do chłopca. |

— . AaaL. — dziwił się chłopiec.-A patrz, Magda, szczupak...

j^pfjl Szczupaki -- wybełkotało dziecko wsadzając palec w półotwartą paszczę ryby, którą chłopak w tej chwili przycisnął ze śmiechem.

— Oj! oj!.,, kasha... kasha!... — zapłakało dziecko. — U... u!...

- To paskudne chłopczyśko! — oburzyła się panna w zielonej sukni, chudy jak wędzonka, a zły jak pies. Poczekaj, nic teraz nie dostaniesz. Z kolei chłopiec począł płakać, uspokojono go jednak • piebawem i ustawiono w szeregu. Młoda dziewczyna kruszyła resztki szczupaka, przy słabym i migotliwym świetleku wydobywała ostre ości i biegając z szelestem od dziecka do dziecka, w otwarte usta kładła drobne kaski ryby, jak ptak karmiący pisklęta.

Tymczasem fortepian brzęczał, a w sąsiedztwie nie ustawała kłótnia.

. — Już nie ma nic, żaby, możecie się teraz bawić — odezwała się panna.

Usłyszawszy to, chłopiec i mniejsza dziewczyna jak-

by na komendę siedli na ziemi, zabierając się do no*wego koncertu na patelni.

— Gdzież ojciec?

— Tatko w cyrkule — odpowiedziało najstarsze iziecko.

— W cyrkule! — powtórzyło najmłodsze.

— Patrzaj?... Za cóż to go zdmuchnęli?

— A bo tatko cości ukradł...

— Tatko układ! — wyseplenilo dziecko na ziemi, tderzając łyżką w patelnię.

— To źle.

— Ma się wiedzieć, proszę panienki, źle, kiedy kogo (łapią).

— A kraść to dobrze?

O Halino! o jedyna! Dziewczyno moja... To wina twoja... Ach, tylko twoja!

Tak śpiewał nienajosobliwszym tenorem ktoś chodzący po pokoju w sposób, który zdradzał wielką ał terać ją wewnętrzną.

Jak wyglądał śpiewak — nie wiem, ponieważ oboje z Wigilią staliśmy w małej i doskonale ciemnej komórcie należącej do jakiegoś obszerniejszego lokalu, w którym zapach wody kolońskiej, kamfory, pa czuli, asafetydy z mnóstwem innych, a niemniej przejmujących walczył o lepsze.

Gdym się namyślał nad sposobem rozwiązania nowej zagadki. Wigilia trzykrotnie zapukała we drzwi. Za chwilę potem ujrzałem jakąś ufryzowaną głowę, pachnącą migdałowym olejkiem, dalej karminowe usta, pachnące różaną maścią, skrzydlaty krawacik, pachną-

cy millefleurem, Żwawy właściciel tych wszystkich osobliwości, nie patrząc nawet na nas, odskoczył jak kangur do drugich drzwi, które wiodły do sieni.

— Aaa... anielska panna Maria! — wykrzyknęła nagle ufryzowana głowa. — I dokąd w porze tak spóźnionej?

— Dobry wieczór panu! Idę aż na Nowe Miasto.

— Jak to, samotna? pozbawiona czujnego oka przyjaźni?...

— Kiedy nie mam z kim... Chi! chi! chi!

— Szydzisz pani, wszakże ja jestem! — zawołał miły młodzieniec, ciągnąc pannę do swego wonnego przybytku. — Najwyżej za pięć... co mówię? za minutę wróci Ferdzio, zastąpi mnie w pełnieniu moich obowiązków, a wtedy...

— Albo to prawda, że on tak prędko wróci? Chi! chi! chi!

— Na popioły matki mojej, tak prawda! A wreszcie choćby się nawet i opóźnił trochę...

— O, to by było bardzo źle!

— Owszem, to byłoby bardzo dobrze, bardzo wznio- śle, panno Mario, ponieważ zyskałbym sposobność wypowiedzenia pani tego, co jak kamień Syzyfa ugniata mi serce.

— Ii i... ja nie rozumiem, co pan mówi.

— Nie rozumiesz pani?... O gorzka ironio najwyra- finowańszego okrucieństwa kobiecej tkliwości! Jak to, więc nie rozumiesz pani tego, że cię ubóstwiam, że całą wieczność pragnąłbym rozkoszować się eolskim dźwiękiem twego głosu, a że każdej chwili pragnąłbym pić czar...

Dyń!... dyń!... dyń!... — odezwał się dzwonek.

— Ktoś dzwoni, niech pan idzie otworzyć!

— Przekleństwo! szatani!... o, jakże niemiłosiernym...

Dyń!... dyń!... dyń!...

Usłyszeliśmy łoskot kroków, potem chrzęst drzwi otwieranych.

— Czego chcesz, kobieto?!

— Tego... ot, nafty za dziesiątkę.

— Idź precz, tu nie ma nafty!

— Ale bo...

— Precz! precz!...

Stukot rygli, stąpanie, ciąg dalszy.

— Że w każdej chwili pragnąłbym pić czar niebiańskiego nektaru twoich ust...

— Co mi tam pan głowę zawraca!... wolałby mi pan dać słoik pomady topolowej...

— Dam, dam!... twoich ust, przez które Kupido ciska pałace pociski...

— Ale ja chcę porcelanowy słoik.

— Dam porcelanowy... pałace pociski trującej miłości...

— Ale taki z drewnianą nakrywką...

— Z drewnianą, z drewnianą!... miłości, co w jeden wieniec splata...

Dyń! dyń!...

— O losie, coś mnie tu jak Prometeusza przykuł! Kto tam?

Otwieranie drzwi.

— Ja proszę pana omyliłam się, bo to nie nafty, ino oleju rycinowego...

— Dość już!... dość! gdzie są pieniądze?

— A oto są! Pani mnie tak wybesztala...

— Dość już!., milcz!...

Słychać otwieranie szaf, stawianie drobnych przedmiotów, wreszcie hałas rygli i powrót.

— A moja pomada, panie? — zaczyna młoda osoba.

— W tej chwili!... Pałace pociski trującej miłości, miłości, co w jeden wieniec splata cienfts z kwiatami...

Dyń! dyń! dyń!...

— O męczarnio! o tortury! — woła młodzieniec, biegnąc i otwierając drzwi.

— Rumianku rzymskiego, tylko prędko!

— Milcz! co mi tu będziesz rozkazywał?

— Niech no pan dużo nie gada, tylko rumianek daje, bo dziecko chore.

— Dosyć! Nie dam ci, jeżeli mi się nie podoba.

— Jak pan nie da, to ja stójkowego zawołam. Widzisz go!

— Masz! idź precz, nędzniku!

Drzwi zostają zamknięte.

— Więc cóż, pani?... więc cóż ty, Mario, na to? — pyta ufryzowana głowa bardzo pośpiesznie wracając.

— Niech mi pan da pomady topolowej.

— Dam! ależ moje wyznanie?

— To się na nic nie zdało; pan nic nie masz...

— Mario, tylko się zgódź, a będę miał skarby całego świata. Jak skończę praktykę, opuścimy ten zmaterializowany gród, pofruniemy gdzieś, w jaki zapadły kątek prowincjonalny, tam na własną rękę otworzę interes...

Dyń! dyń! dyń!

— O Ferdziu! o Ferdziu przeklęty! i dlaczegoż nie przychodzisz uwolnić mnie z tych dantejskich oków? — lamentuje młodzian biegnąc znowu do drzwi.

W tej chwili ktoś do naszej komórki puka; dziewczę otwiera drzwi i mówi półgłosem:

— Zaraz Ferdziu, zaraz!.. Widzisz, muszę poczekać, bo nie mam pomady na jutro.

— Pal go diabli! ja ci dam, ile zechcesz, tylko mnie nie nudź.

— W tej chwili.

— Otworzę interes — mówi wracając melancholijny młodzian — a wówczas, na łonie boskiej przyrody...

— Pomady, panie!... pomady! — woła tupiąc nóżką aniołek.
— Pozwól, najdroższa!... Na łonie boskiej przyrody, z dala od złowróźbnych...

— Pomady! pomady!

— Z dala od złowróźbnych spojrzeń zawistnych szczęściu...

Dyń!... dyń!... dyń!...

— O nieba! — woła nieszczęśliwy kochanek biegnąc klusem.

— Czego ty chcesz łotrze?...

— Pro... pro... szę... pp...phana...

— Czego?... gadaj, bo cię rozedrę!...

— Pr... pr... pro...

Drzwi od komórki uchylają się.

— Maniu, bo odejdę! — mówi gniewny głos z sienL

— Kto tam? — woła kochanek... — Panno Mariol... gdzie ona?...

Boże! o cieniu mej matki, jeszcze mi aptekę ten łotr okradnie. Czego chcesz, wysłańcze, piekiel?...

— Pro... pro... proszę... pana — n... ,

— Czego? gadaj bo cię zamorduję!

— O ho... ho... ppo...

— Nie rozumiem!

— O... po... ho... delhetidok!

— Opodeldoku?... W tym się kryje jakaś piekielna intryga... Gdzie są pieniądze? Kto cię tu przysłał, poczwaro?

— Tten pan, co... hh... hhbram... hhbramie...

— Aaa... to on!...

Wybiega do bramy. Ufryzowany młodzian staje na schodkach i krzyczy do osób pośpiesznie siadających na sanki.

— Ferdynandzie, Mario!... o Mario... zdradziliście mnie!

—= Nie potrzebno krzyczeć po nocy!... a to się wszystkie ludzie w mieście pobudzą! — odzywa się w tej chwili surowy głos z kąta.

Młodzian odwrócił utrefioną głowę, spojrział, odskoczył jak młoda antylopa na widok tygrysa i z zrozpaczoną energią zamykając rygle, wyszeptał:

— Otóż to moja Wigilia... oto Wigilia sieroty!... Boże!.. Boże!... czyliż mogę nazywać Cię miłosiernym?

O ludzie! i czymże jest samo nieszczęście gminu wobec świadomości swego nieszczęścia, jaką posiadają natury, wyższe?...

WYSTAWA

koło południa na rozmokły od deszczu bruk,, ostatniego pocztowego dziedzińca z ogromnym , hałasem wjechała odrapana i zabłocona kareta, ciągniona przez cztery odrapane i zabłocone konie i powożona przez również odrapanego i zabłoconego poczty Ilona. Fakt ten, oprócz zatrzymania kilku przechodniów, wybicia paru kamieni z bruky i zwabienia paru posłańców, wydobył na świeże powietrze z sieni biura ekspedycji kilku oficjalistów pocztowych, o których abnegacji na rzecz publicznego dobra najwymowniej świadczyły słoma i pierze we włosach nie czesanych zapewne z powodu natłoku zajęć.

Dzielni ci ludzie, bez względu na ciasnotę swych uniformów, szybko zahaczyli drabinę o powóz, wpadli na jego wierzch, odpięli pokrowiec, otworzyli drzwiczki, wyrzucili z dachu karetki cztery tłomoki i wypuścili z jej wnętrza troje zaspanych podróżnych, rozumie się, * nie bez nijakich trudności.

Najprzód wysiadła niska jejmość, która mając około siebie pudełko, koszyczek, torebkę i duży parasol z wsuniętą weń małą parasolką, posiadała tylko dwie ręce. Przez kilka minut starała się opanować i wynieść wszystkie swoje ruchomości, a po kilku minutach nie tylko że nie wyniosła żadnej, ale nadto — sama musiała być prawie wyniesioną z powozu.

Po tym akcie galanterii ze strony woźnego mógł już

bez przeszkody, ukazać się w drzwiczkach karety pożółkły i zgarbiony jegomość, w pomiętej ceratowej czapce i wyszarzanej burce, który w czasie niefortunnych usiłowań swoich towarzyszy zachowywał się tak, jakby miał niekłamaną chęć wyskoczyć oknem na jakiś połatany i sznurem obwiązany tłumoczek. ■ Niebawem podróżni zaczęli się rozchodzić. Mała jejmość, w asekuracji dwóch woźnych niosących dwa tłumoki, pudełko, torebkę, koszyk i dwa parasole, udała się na prawo. Został tylko właściciel wyszarzanej burki, którego nikt nam nie zabroni nazywać panem Mateuszem, a który tak drobiazgowo śledził łąty i sznury swego tłumoczka, jakby chciał sprawdzić, ile też sztuk odzieży i bielizny kryje się pod jego splekaną i pofałdowaną skórą...

— Ha! to już chyba i my idźmy, panie — rzekł nagle jeden z mizerniejszych oficjalistów pocztowych do nowego naszego przyjaciela.

— A dokądże to chcesz • prowadzić, mój bracie? — spytał słodziutkim[^] głosem pan Mateusz, nie tyle zachwycony, .ile raczej zakłopotany uprzejmością publicznego sługi.

— Naturalnie, że do dorożki!...

— Do dorożki, przyjacielu?... A może tu gdzie macie jaką oberżę blisko, to jliż wolałbym tam od razu. Ot, widzę nawet napis: Hotel Rzymski — mówił Mateusa zatrzymując-się wprost oznaczonej instytucji.

— Tu miejsc nie ma! — mruknął niechętnie woźny, a potem zwracając się do dorożkarza rzekł z akcentem grubiańskigo szyderstwa:

— A poszukaj tam dla pana numeru, tylko gdzie niedaleko, to dopiero dostaniesz!...

— A dam ci, dam, mój bracie! — upewniał nie wiadomo kogo pan Mateusz, gramoląc "się do dorożki. —

Dam ci, byleś tylko znalazł gdzie blisko dobrą i taną kwaterą...

Dorożka ruszyła.

— Panie! — woła woźny — a mnie na piwo za odniesienie rzeczy? Wehikuł staje. .

— Aha! ha!... — przypomina sobie pan Mateusz. — Masz, kochanie, masz...

— Co?... to pan mi kopiejczynę daje za ten kurs?

— Mój Boże!... A ileż ci się należy, dobry człowieku? — pyta przybyły.

— No, choćby dyskę... Ot, tak!... Jaka wytarta!... Żebyś nogi połamał! — deklamuje woźny, a dorożka przez ten czas odjeżdża. Całe dwie minuty nasz przyjaciel wycierał nogi o słomiankę umieszczoną w dorożce, zachwycał się jej podskokami, miękkością jej poduszek i drżał o bezpieczeństwo swego zdezelowanego tłumoka, kiedy nagle powóz stanął przed jedną z brudniej szych bram hotelowych.

— Hej! — zawołał dorożkarz — a weźcie tam gościa! hej!

Na ten okrzyk w progu bramy zjawił się numerowy w wytartym fraku a popatrzywszy uważnie na kozioł i na siedzenie wykrzyknął:

— O, jak mi Bóg miły, a toż to mój pan, jaśnie pan Mateusz!...

— Józio!... kochany, pocziwy Józio!... — odpowiedział z niemniejszym rozczuleniem podróżny. — Cud, prawdziwy cud... bardzo content...

— Zaczekaj no, bracie — wtrącił dorożkarz nie oddając numerowemu tłumoczka. — Przecież i mnie się coś od jaśnie pana należy...

— Cud doprawdy!... Ile ci się należy, kochanie?... Pocziwy Józio... — mówił kolejno do numerowego

i dorożkarza pan Mateusz, gniotąc w rękach stary i zapuszczony woreczek.

— Trzydzieści kopiejek! — odpowiedział woźnica.

— W imię Ojca i Syna. A taż wy tu krew z ludzi wysysacie, w tej Warszawie!..,

— Co się tam pan ma targować!... niech i on przy tej okazji coś zarobi... Tacy goście nieczęsto się trafiają... — wtrąca numerowy.

— Bo i prawda! — dodaje woźnica.

Oszołomiony, przegadany, wbity w ambicją pan Mateusz wydobywa najgładsze i najbardziej poszczerbione dziesiątaczyny i płaci woźnicy, niespokojnie oglądając się za wyfrakowanym Józiem, który już trzymał jego tłomoczek na plecach.

— Jakież macie mieszkania, kochanku?...

— Już tylko parę mamy odpowiada Józio. — Są dwa pokoje za trzy ruble, akurat dla jaśnie pana...

— Bój się Boga, nie nazywaj mnie jaśnie panem! — szepce przerażony Mateusz. — Ja nie żaden jaśnie pan, ja ubogi człowiek, ja... nie chcę mieszkania za trzy ruble...

— Wolne żarty! przecież wiem, jak kogo nazywać... A w mieszkaniach nie ma pan co przebierać, bo gości huk...

— Musicie mieć przecież tańsze, choć dla mnie, moje dziecko?... Ja-
cię od tak dawna znam, jeszcze kiedyś był u Szmula...

— No, co tam — przerywa Józio. — Da pan na piwo, to się znajdzie za półtora rubla...

— Idź już, idź, kochanku!...

Po tych słowach pan Mateusz, mruczając i postępując, począł się za swym przewodnikiem wdrapywać na drugie piętro.

— Ale żeś ty, kochany Józiu, tak od razu mnie po-

znał?... boć to. przecie nie widzieliśmy się chyba już jakie lat dziesięć...

— Ba! ja i w piekle pana poznam. Tylkom spojrział na tłomok i na burkę, zaraz sobie mówię: „Ot i nasz jaśnie pan Mateusz przyjechał na wystawę...”

— Hum? patrzajże się! A obywateli dużo tu w Warszawie? nie zauważyłeś?...

— Pfiu! kamieniem rzuć, to na jaśnie pana trafisz.

— A hulają... co?

— Gdzie tam, panie! Inny hula, ale reszta... eh! jak kapucyni. Oto tu numer — dodał otwierając drzwi dość sporego pokoju.

— Chryste elejson! — zawołał Mateusz, składając ręce. — Kanapa, tyle krzeseł, umywalnia... A mnie co po tym? Przepytaj się, kochany Józiu, może by tam kto te zbytki wynajął na czas...

— Hę? — pytał Józio. — Albo to jaśnie panu...

— Kochanku, nie nazywaj mnie jasnym, bo mi serce ranisz... Ja biedny szlachcic!...

— Ale! niby to ja nie wiem, że pan ma Suche Patyki...

— Uhu! już poszły między ludzi...

— A Wilcze Ogony?...

— I Wilcze Ogony, i Patatajkę, i Majdan, wszystko już diabli wzięli.

— Midlo... fiksatuary... grzebienie... — wtrącił jakiś kramarz, uchylając drzwi numeru.

— Wynoś się, pókiś cały!... Nie ma pan wsi, ale ma pieniądze, bo jaśnie pan lubi handlować, to wiadomo.

— Ja?... pieniądze?... Ani grosika, Józiu, jak cię kocham...

— No, w domu nie, tylko na procentach.

— Numerowy! — zawołano z korytarza.

— Jestem, panie! — odparł Józio i wybiegł.

— Pan Stodołowicz w domu?...

— Wyszedł, panie, za godzinę przyjdzie...

I powiedziawszy to numerowy wrócił znowu do stacji.

— Moje dziecko!... złoty Józiu!... — zaczął pan Mateusz — może tu u was jest jeszcze choć aby troszkę tańszy numereczek?

— Hum!... widzi pan, znalazłby się... No, a co mi pan da, to wynajdę za osiem złotych?...

— Osiem?.., osiem?... Dwa razy dziesięć... Wszak wystawa będzie dni dziesięć?... Dwa razy dziesięć dwadzieścia.... Dam ci, serce... złotówkę!...

— Da pan rubelka?...

— Pół, kochanie!

— Nie mogę! pan zawsze na tym interesie zarobi i tak dwa ruble, a numer już zamówiony i ja ryzykuję...

— Pięć złotych, Józiu!...

— No, niech pan pójdzie ze mną. Ale to, widzi pan, niekoniecznie piękne miejsce, bo przy tych... tam...

— Wszystko jedno! nie trzeba zbyt dogadzać grzesznemu ciału...

Wypowiedziawszy tę moralną uwagę pan Mateusz znalazł się wraz ze swą czapką, burką i tłomoczkiem w nowym mieszkaniu.

— Numerowy! — zawołano znowu.

— Jestem! — odpowiedział znowu Józio i wychylił głowę.

— Pani Wiatrakiewicz tu stoi?...

— Która to?... Aha!... Jeszcze nie przyjechała, panie, ale już numer zamówiony.

— Co się też tu u was za obiadki płaci? — spytał znowu pan Mateusz.

— Rozmaicie! Rubla, pół rubla, dwa złote, jak kto chce...

— Aj! aj! A cóż się dzieje z tymi tanimi kuchniami, o których tyle piszą?...

— Co?... to pan by chciał tam jadać?...

— Nie! Eoże uchowaj! Ja bym tylko chciał się dowiedzieć... to jest... zobaczyć... No, ale mniejsza! Czy tu istotnie taki brak mieszkań dla przyjezdnych?

— Rozumie się! Teraz kto mądry, a wynajmie i odstąpi, to zrobi dobry interes!

— Patrzaj?... I powiadasz, że są takie mieszkania?..-

— Dziś jeszcze są, ale jutro może już zabraknąć...

— Hum! hum! — zakaszlano nagle potężnym basem, gdzieś w okolicach pierwszego piętra. — Żeby was pioruny wybiły z tymi schodami!... Słuchaj tam, gapiu, kiedy mówię do ciebie, tu czy nie tu drugie piętro?..-

— Przecie pan widzi, że tu pierwsze — odpowiedział baryton.

— Pan Marek idzie, oto szlachcic! — zawołał Józio i wybiegł na schody, zostawiając pana Mateusza w wielkim zakłopotaniu. 1

— Marek? — szeptał oszczędny właściciel lichego tłomoka. — Jużci, to chyba on!

— Uuf! — odsapnął potężnie nowy przybysz, osoba imponujących wymiarów. — No! czego na mnie pa» trzysz, jakbyś ludzi nie widział, ośle?!
Ostatni frazes był zwrócony do grzecznego Józia.

— Jużci, patrzę, bo mi żal jaśnie pana — odparł Józio.

— Siebie żałuj, żeś głupi! — huknęła ogromna ma

china ludzka, straszliwie tupiąc nogami. — Patrzcie go, jaki

konfidencjonalny! Twoje psie prawo milczeć, słuchać, co ci każą, i brać pieniądze, kiedy dają, ale od dowciDków wara!

— Pokorny służka szanownego sąsiada dobrodzieja! — odezwał się Mateusz z progu swego numeru, fj— Jakże czcigodne zdrowie?

—• Aaa!... — wykrzyknął zdumiony przybysz. — Słowo ciałem się stało!... Teraz już wierzą, że wystawa będzie świetna, kiedyś ty, stary kutwo, przyjechał.- Czy myślisz, że i tu uda ci się ludzi oszukiwać? Kordialne to powitanie nie zdawało się zachwycać pana Mateusza, który cofając się do numeru mówił:

— Panie Marku... kochany sąsiedzie... może do mnie pozwolisz na chwileczką?

— No, wejdą, wejdą, stary lisie. Widzą, że i w hotelu sąsiadujemy ze sobą, ale nie bój się, nie oszukasz mnie teraz, bom już znalazł inne mieszkanie — huczał tłusty i popędliwy Marek, wchodząc do pokoju i ciężko siadając na krześle.

— Ja?... okpić? kochanego sąsiada?

—■ Tylko głupiego nie udawaj, panie Mateuszu! Przecież to nie są dawne historie z bryczką, wołami i pszenicą, żebyś je miał zapomnieć... nie dziw się tak! Ja tylko, dalibóg, jestem ciekawy — dodał po chwili — po coś ty tu przyjechał?

— Popatrzeć! sąsiedzie dobrodzieju, nauczyć się!

— Popatrzeć! nauczyć się! — powtórzył Marek, z niedowierzaniem kiwając głową.

— I... i usłużyć kochanym sąsiadom, nie dopuścić ich do rąk żydowskich...

— Cha! cha! cha!... — zaśmiał się grubas. — Usłużyć!... Ja to zaraz zgadłem, wyjadaczu, zaraz... cha! cha! cha!

— Sąsiad dobrodziej także przez ciekawość tu zjechał? — pyta ze skromną minką usłużny Mateusz, pragnący widocznie zwrócić na inny temat rozmowę.

— Ja? ja... ja jestem sam wystawcą — odparł bardzo uroczyście pan Marek.

— Patrzcie się! No, tak! sąsiad kochany dużo rzeczy może wystawiać. Ale z czymże mianowicie?

— Zgadnij z czym?

— Chyba., to jest... doprawdy, że nie wiem! Sąsiad dobrodziej ma tyle rzeczy pięknych...

— Z baranem! — odparł Marek, nadymając tłuste policzki.

— Aha... ha! z tym... z tym...

— Nie udawaj, kiedy nie wiesz, panie Mateuszu — rzekł pobłażliwie wystawca. — Przyjechałem z tym baranem, com go sam wytworzył... sam... uważasz?

— Istotnie, że nie dobrze rozumiem...

— Sam... uważasz?... Fenomenalny baran, jaki wzrost, ogon, rogi, wełna!... Za pięćdziesiąt rubli nie oddałbym go.

— Może dadzą i sto, jeżeli taki osobliwy?

— Sto jak sto, ale siedemdziesiąt pięć niezawodnie!

— Dlaczegoż? mogą dać i dwieście, to zależy od amatora.

— Zapewne! No, ale i amator nie da dwustu, może... sto pięćdziesiąt!...

— Bodaj tych waszych budowniczych tyle kolek parło na dzień, ile ja razy na tych schodach odpoczywać muszę — odezwał się w korytarzu bas., ciężko wstępując na schody. — Józef, bałwanie!...

— Czy jest tu to piękne zwierzę? Bardzo rad bym go zobaczyć! — mówił Mateusz.

- Zobaczysz! — odparł z dumą Marek. — Teraz jest w drodze z żoną i z dziećmi.

— A... więc i maciorkę sąsiad...

— Głupiś sąsiad! — wrzasnął Marek. — Przecież nie o maciorce, ale o mojej żonie ci mówię...

Gniewowi popędliwego Marka położyło kres ukazanie się w towarzystwie wyfrakowanego Józia dwu nowych osób. Jedną z nich był poważny z ubioru i ruchów, może trzydziestoletni mężczyzna. Drugą — jakiś młodzik w szkockiej rozdwojonej czapce, z miną parafialnego donżuana i z grubą dewizką na wierzchu

kosmatej marynarki. Rozmowa, dość zwawo prowadzona dotąd między dwoma osobami, stała się ogólną i hałaśliwą.

Marek. Władzio kochany! (upada w objęcia trzydziestoletniego mężczyzny). Niech ci Bóg da zdrowie, żeś przyjechał!

Mateusz (do szkockiej czapki). Pan Leon serdecz* ny! Kopę lat nie widzieliśmy się!...

Leon (zarumieniały). Czasu nie było!... ale o na* szym interesie pamiętam, pamiętam!...

Władysław (do Marka). Cóż, sąsiad wynalazł już mieszkanie i słone?...

Marek. Bagatela! Pokój dla żony i Helenki, pokój dla mnie i Wacia, no i salonik dla gości, za siedemdziesiąt pięć rubli. Do tej pory mieszkałem z tym szalawią Leonem, obok tutaj... No, a ty?...

Władysław. Ja z żoną mamy jeden pokój za dwa ruble na dobę.

M a r e k. Bój się Boga, z kobietą?... To niewygoda!

Władysław. Przyjechaliśmy tu nie dla wygody, ale dla wystawy.

Leon. Ja miałem kapitalny lokal na pierwszym piętrze...

Marek. Tak! ale w parę dni przeniosłeś się na drugie...

Leon (zakłopotany). Numerowy radził...

Marek. Niedługo poradzi ci, żebyś się wyniósł na trzecie, a w końcu na bruk... chaj cha!...

Władysław (do Mateusza z ironią). Sąsiad zapewne także coś wystawia?...

Mateusz. Ja nici ale pań Marek wystawia barana...

Marek. Znakomity baran, niech mnie piorun trzaśnie... Na amatora wart przynajmniej sto rubli. No,

in gratiam tweęo przyjazdu, Władku, a mego medalu, chodźmy na wino!...

"Władysław. Dajże pokój, sąsiedzie. Mateusz. Tak, taki... niepotrzebne zbytki... Leon (patrzac w lustro). No cóż tam... parę buteleczek...

Władysław. Wstydźcie się, panowie! dacie tylko powód warszawskim pismakom do drwinek...

Marek. Co mi tam diabli pismaki, kpię z nich!... A wreszcie poproszę Lesznowskiego, żeby nie pozwalał...

W ł a d y * s ł a w. Jakiego Lesznowskiego?.. Marek. Juści, że redaktora „Gazety Warszawskiej”, znam go osobiście.

Władysław. Ależ, sąsiedziel Lesznowski już dawno nie żyje. od kilkunastu lat...

Marek (zdumiony). Co ty pleciesz? przecież ja dzień w dzień czytuję gazetę.

Władysław. To sąsiad źle czytujesz, bo ją już kto inny od świętej pamięci redaguje

Marek. Baiki! A zresztą załóżmy się: kto przegraj ten za wino płaci.

Władysław (stanowczo). Noga moja nie postanie w żadnej-
knaioie... Do widzenia!

Marek (rozczulony). Ot, masz uniwersytet!... Władziu, Władeczku. gardzisz przyjaciółmi... Władysław. Tylko knajpami... Marek.

Wypierasz się ojców swoich... Władysław. Do widzenia! (wychodzi).

Marek (z gniewem). Wy... wy młodzi, wy postępowi. zgubicie się!...

Leon (zarozumiale). No, przecież nie ja... Marek. li. i... to nie twoja zasługa, tylko starego, że cię do uniwersytetu nie oddał... Leon. Ja tam sam...

Mar ek. Ale, ale... Trzeba by nam pomyśleć o mieszkaniu dla Antoniego, bo prosił o porządne.

Mateusz. Prosił?... to może ja bym?...

Marek. Będziemy szukać wszyscy, a kto pierwszy znajdzie, ten wynajmie. No, idźmy!

Mateusz. Józiu kochany! Józiu (numerowy przychodzi). A pilnuj, serce, chaty, żeby kto nie okradł...

Leon (cicho do Mateusza). Panie Mateuszu, kilkanaście rubli do jutra...

Mateusz. Potem! potem! (bierze numerowego na stronę). Są tu gdzie blisko porządne mieszkania?...

Józef. Są, panie, zaraz o kilka domów.

Mateusz (do Marka). Sąsiedzie kochany... Chciałbym zostać, bo mam pilny interes.

Marek. Co tam interes, chodź z nami! Palniemy tokaju na mojego barana... Pyszny baran!...

Mateusz (cicho do Józefa). Za godzinkę zaprowadzisz mnie do mieszkania.

Kramarz (do Marka). Jasny panie! tanie fajne midło...

Marek. No, a co chcesz?...

Kramarz. Dziesięć kopiejków...

Marek. Chcesz piętnaście groszy?..-

Kramarz. Kiedy jasny pan każe... Może szelki, grzebienie...

Marek. Pokaż no!

Leon. Ależ, panie! czekamy na fundę...

Marek. Aha... prawda! to później.

Po tych słowach przyjaciele nasi wychodzą na ulicę. . Tuż obok hotelu zabiega im drogę obdarty chłopiec, wniebogłosy wołając o jałmużnę.

— Wstydz się — mówi mu Mateusz — taki mały! — wolałbyś gęsi paść...

— Nie mam drobnych — odpowiada Leon.

— A czego wrzeszczysz, he? — pyta Marek.

— Ojciec umarł, siedmioro dzieci, matka chora, a nie ma na lekarstwo... — płacze chłopak.

— A to źle! — odpowiada tłścioch. — Ileż ci potrzeba na lekarstwo?...

— Albo ja wiem, panie!...

— No... masz tu rubla i pędź do apteki...

— Niech Bóg jaśnie wielmożnemu panu...

— A mnie! — woła już bez ceremonii drugi chłopiec. — Matka i ojciec umarli, pięcioro dzieci chorych...

— Tfy! — mruczy Marek. — A cóż tu wszyscy chorują w Warszawie?... ..

— I płać, panie! I płać!... niech pan nie daje — odzywa się jakiś stróż widząc jeneralne naciąganie szlachcica.

— Czekamy, panie Marku! — woła niecierpliwy Leon na grubego fundatora.

— Po co kochany sąsiad temu stróżowi dał pieniądze, kiedy on o to nie prosił? — pyta płaczliwym głosem oszczędny Mateusz.

— Jakiś uczciwy człowiek! — odpowiada pan Marek podając jednocześnie dziesiątkę bezrękiemu kataryniarzowi.

Po śniadanku in gratiam fenomenalnego barana, w którym utonęło kilka baranów zwykłych i w ciągu którego cichaczem wymknął się skromny Mateusz — pan Marek wyszedł do miasta celem poszukania członków swojej rodziny. Przybyć już niezawodnie musieli, lecz ponieważ nie znany im był adres wynajętego lokalu, tułali się więc prawdopodobnie po Warszawie lub pokutowali w jakim zajeździe. Nic też lepszego nie mógł zrobić pan Marek, jak chodzić od hotelu do hotelu i pytać.

— Hej, szwajcar!, — wołał pan Marek w jednym, z tych domów — a nie było tu mojej żony?...

— Żony? — spytał ugalonowany oficjalista szeroko otwierając oczy.

— Pani Markowej, głu... z chłopaczkiem!...

— Aha! z chłopaczkiem? Ma tak lat ze trzydzieści?

— Siedemnaście, barrl... Była przy tym panienka.

— To! to! tak ze sześć lat?...

— Osiemnaście, cymbale! No, i cóż?

— Aha! — zawołał szwajcar. — Byli, byli, ale pojechali do Paryskiego Hotelu.

Pan Marek złapał dorożkę i pojechał do wskazanego miejsca, ale tam nie widziano pani Markowej. Rad nie- rad więc puścił się na nowe poszukiwania piechotą.

Po godzinnej pielgrzymce spotniały, zadyszany, rozwścieczony . pan Marek wracał już do kwatery z zamiarem pogrzebania we śnie swoich kłopotów, kiedy nagle usłyszał za sobą jakieś głosy pochodzące ze środka ulicy:

— Panie, panie!...

— Mężu!... Tatku!...

Przyjaciel nasz obejrzał się i z najwyższą radością zobaczył dwie mocno wypakowane dorożki, a w nich członków swej rodziny ze służą.

Ul Chwała Bogu! — zawołał Marek przypadając do jednej. — A mój baran?

— Daj mi spokój z baranem! — odparła kwaśno podstarzała jejmość. — My tu już ze dwie godziny jeździmy po mieście, szukając ciebie, a ty się o barana pytasz...

— Drobiazg!... nie ma i mówić o czym! Wy już przecie jesteście, ale barana nie ma, mogę więc pytać o niego.

— Został w drodze... nie nudź mnie — odpowiedziała jeszcze kwaśniej dama. — Gdzie mieszkanie?

— Ach, Marku! Marku! kiedy ty się ustatkujesz! — wzdychała rozpostarta na eleganckim, choć wynajętym fotelu małżonka. — Sześć rubli dorożka, siedemdziesiąt pięć rubli mieszkanie... razem osiemdziesiąt jeden!...

— Za barana, Kociu, dadzą mi ze sto, jak cię Kocham! — tłumaczył się pokornie mąż.

— Sam musiałeś wydać także kilkanaście rubli, ach, Marku!...

— Amator, Kociu, da ze sto dwadzieścia, jak dzieci Kocham!...

— Coś ty sobie głowę tym baranem zawrócił, takim paskudztwem?...

— Co mówisz, duszko? — oburzył się mąż. — Baran jak cielę, amator...

— Gdzie on tam do cielęcia podobny!... Dzieciom warto by coś kupić, o tym nie myślisz?

— Myślę, Kociu! Myślę... Ale widzisz, amator może dać ze dwieście rubli...

W tej chwili wbiegł rozpromieniony Mateusz.

— Ściele się pod stópki pani dobrodziejce! —■ mówił całując ręce damy. — Sługa panny Heleny... róża. nie dziewczyna!... Jak się masz, złoty Waciu... śliczny chłopiec!... A cóż baran?...

— Jeszcze nie przyjechał! — odpowiedział pan Marek.

— Co zaś do mieszkania — ciągnął pan Mateusz — co do mieszkania dla poczciwego Antoniego, też już wynająłem. Cudny lokal, sto rubli...

— A to po co?... wykrzyknął Marek. — Władzio już dla nich za sześćdziesiąt wynajął...

się do dorożki, która ruszyła wiodąc za sobą drugą.

- Za sześćdziesiąt rubli? Jezus Maria! a ja dałem dwadzieścia pięć rubli zadatku! — biadał Mateusz
- Po co się to było mieszać w nie swoje rzeczy?
- Jak to, po co?... Sąsiad przecie kazałeś!
- Ja?... Bój się Boga!...
- Straciłem dwadzieścia pięć rubli! — jęczał Mateusz.
- No, no, nie płacz — szepnął Marek — pogadamy o tym. Baran na amatora wart ze trzysta rubli.
- Daj Boże! — westchnął Mateusz — może się choć tym sposobem moje trzydzieści rubli wróci.
- Jakie trzydzieści rubli? — spytał zdziwiony Marek.
- Tatku! — zawołał Wacio — Bartek jest!
- Wołaj go, serce!... Bartek!... hej!—
- W parę minut wszedł niecierpliwie oczekiwany fernal. Obecni otoczyli go.
- Dlaczego tak późno? — pyta jejmość.
- Chciałbym widzieć tego barana — mówi pan Mateusz.
- Gdzie stoicie? — pyta Wacio.
- A co baran... jest?... — niecierpliwi się pan Marek.
- Jużci, je, jaśnie panie, ale... zdechnięty! — odparł zmartwiony przybysz.
- Chryste elejson! — krzyknął Marek upadając na fotel.
- Moje trzydzieści pięć rubli... poszły! — jęknął pan Mateusz.

KŁOPOTY BABUNI

Rozdział pierwszy

w którym czy telnik, nie mogąc zaznajomić się z Pawełkiem, trafia na wątek interesujących przygód babuni

Czy biorąc rzeczy ze stanowiska filozoficznego m mogą powiedzieć, że Pawełek służy u mnie?

Ależ tak jest, służy!... i to od lat trzech i siedmiu miesięcy.

Upewnia mnie o tyra, naprzód, księga wypłat, z której pokazuje się, że osoba tego nazwiska czternasty raz już z kolei pobrała kwartalną pensją w ilości rs 3 kop. 25; dowodzi tego, po wtóre, księga podarunków, gdzie wyraźnie zapisano, że taki to a taki Pawełek w uznaniu zasług różnymi czasy otrzymał ode mnie: cztery pary spodni, jeden żakiet, jeden watowany surdut, jedną burkę i dwie czapki; przekonywa mnie o tym wreszcie księga szkód i upomnień, z której widać, że Pawełek w ciągu swej wiernej, trzeźwej i punktualnej służby stłukł dwadzieścia trzy talerze, pięćdziesiąt osiem szklanek, cztery wazy i sześć półmisków, że zgubił siedem nożów, dwie łyżki i cztery widelce, okulał konia, rozwalił piec w kuchni i że za wykroczenia przeciw moralności publicznej otrzymał dwa razy po trzydzieści plag w prywatnym lokalu reprezentanta miejscowej władzy gminnej.

Pobył więc Pawełka w domu moim jest dla mnie faktem tak pewnym jak zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego w Azji i Afryce, jak istnienie wapna w kościach a wodoru na słońcu. Ze smutkiem jednak wyznać muszę, że wszystko zresztą jest dla mnie za-

gadkowym, cokolwiek bądź, oprócz kwestii pobytu, odnosi się do tego niezwyčajnego chłopca.

Bo proszę mi na przykład zdefiniować naturę i rodzaj jego zajęć? Ja o nich nie wiem, moja klucznica także nie wie, a mój rządcą, kucharz i furman również nie wiedzą. Ponieważ widujemy się nader rzadko, nic więc nie mógłbym wyrzec ani o kolorze jego włosów i oczu, ani o wielkości i kształcie ust, brody i nosa, bez których to przecież cech nawet marzyć nie podobna o korzystaniu z dobrodziejstwa komunikacji lądowych i wodnych. Gdyby jakiemu żartownisiowi przyszła ochota powiedzieć, że Pawełek ma jedno ucho mniej lub jeden palec więcej niż średnia statystyczna jednostka rodu ludzkiego, nie śmiałbym temu zaprzeczyć — jak również nie odważyłbym się twierdzić, że młodzieniec ten z całej skarbnicy języka posiada oos więcej nad frazesy: „Zaraz lecę!...” „W ten momencik...” „Nie mam czasu!” i kilka innych.

Nie sędzę, aby dobry chrześcijanin nie miał prawa bez obrazy boskiej golić się własnoręcznie w dzień świąteczny; nie rozumiem także powodu, dla którego by majętny obywatel ziemski obowiązany był sam brzytwy weoować i rozrabiać mydło. Opierając się na powyżej zacytowanych prawdach nie przypuszczam, aby dopatrzono coś skandalicznego w tym, że 5 sierpnia, w dzień NMP Śnieżnej, postanowiłem uregulować swój zarost i że po raz trzeci, dobrze już zirytowany, wołałem:

— Ty nicponiu jakiś! czy nie słyszysz, że mi potrzeba rozrobić mydło?

— W ten momencik, proszę pana!., ino tylko... ktoś do dworu zajężdża...

A więc chodź mi tu, natychmiast, hultaju, bo przecież nie wyjdę do gości z niie goloną brodą!...

Tym razem zamiast odpowiedzi usłyszałem turkot

zajeżdżającej bryczki na podwórzu, a chrzęst otwierających się drzwi na ganku. Pozwolę sobie głowę uciąć temu, kto mi w sposób niezbity dowiedzie, że pokój owca mego mniej interesował bat furmana lub ogony zajeżdżających koni niż pędzel, brzytwy, mydel- niczka, słowem, kompletny mój przyrząd balwierski, a nawet moja broda i cała wreszcie osoba...

Za chwilę z podwórza doleciał mnie skrzeczący i niezupełnie obcy głos kobiety:

— Jak się masz, serce, a jak ci tam?...

— Pawełek, proszę łaski pani.

— Serce, Pawełku, a nie ma tu u was we dworze jakiej choroby: księgosuszu, nosacizny, sonej krosty albo czego Boże nie dopuść, cholery i tyfusu na ludzi?...

— Iii... jakoś nie słyhać, proszę łaski pani, tylko klucznica niedomagała trochę, ale już jej lepiej.

— Pewnie cholera?... Ach, ja nieszczęśliwa!...

— E... nie, proszę łaski pani, to chłopak i właśnie go pisarz z ekonomową do kościoła powieźli do chrztu.

— Będzie wojna, kiedy chłopak... A pan w domu?...

— W domu, proszę łaski pani!... Za kumami nie pojechał, bo późno wstał!...

Uczułem, że mi się palce kurczą w sposób tak szczególny, jakbym już ujmował nimi za szczeoiniastą czuprynę Pawełka. Na podwórzu tymczasem rozmawiano dalej.

— Serce, Pawełku, a wynieś, nieboże, jaki pieniek do bryczki, bo nie wysiądę...

— Pieniek?..., pieniek?... — zapytał mój pokojowiec takim tonem, jak gdyby chodziło o ów historyczny pień, na którym jeden ze Stuartów stracił możliwość noszenia korony angielskiej.

— Pieniek, durniu! albo stołek dla wysiądzenia z tarantasa! — odezwał się głos drugi, który naprowadził

mnie na myśl, że dama podróżuje w towarzystwie osoby niedostatecznie obeznanej z gramatycznymi formami naszego języka.

— Stołek albo ławeczkę podaj, ośła głowo! bo inaczej majorowa nie wysiadzie — uzupełnił głos trzeci, baryton.

„Majorowa?... majorowa?...” — myślę sobie; tymczasem pobudzony tak nieparlamentarnymi przydomkami Pawełek odpowiedział:

— Aha!... już rozumiem. Zaraz ja tu państwu usłużę!...

Z tymi słowy pobiegł ciężkim kłusem do kuchni zostawiając podróżnych z najpiękniejszymi widokami na przyszłość; ja zaś, nie tyle przez ciekawość, ile z zasady, że najlepiej niebezpieczeństwu od razu spojrzeć w oczy, przeszedłem z sypialnego do jadalnego pokoju, aby stamtąd, przez zasłonięte doniczkami okno, bliżej poznać niespodziewanych gości.

Na wasagu, zaprzężonym parą chudych i głęboko zamyślonych jednokopytnych zwierząt, siedziały cztery osoby. Honorowe miejsce, odznaczające się poduszką nie mniejszą od średniej pierzyny, zajmowała stara i niska, ale gruba jejmość przyodziana, w salopkę z czasów kampanii węgierskiej i rękawiczki, w których mniej pobłażliwy obserwator mógłby dostrzec podobieństwo do bawełnianych skarpetek. Słodkie i poważne oblicze damy, które obok uczuć szacunku budziło zarazem niewyraźne wspomnienie owych co chwila rozłazących się kształtów, jakie przybiera ciasto mieszane w nieckach — oblicze to ściągnięte było dwoma białymi chustkami, z których jedna zdawała się przymocowywać dolną szczękę do górnej, druga zaś zabezpieczać czoło od wewnętrznego, nadmiernego parcia się intelektualnych.

Obok otyłej staruszki siedział młodzian o chudej

i bladej twarzy ozdobionej wąsikami, w których nie mam bynajmniej zamiaru upatrywać analogia z wyciorem do czyszczenia cybuchów, tudzież bródką, która w żadnym razie nie mogła być porównywaną do kity krowiego ogona. Tylko bezmyślnej złośliwości wolno dopuszczać się tak niesmacznych zestawień, drwić z koloru ładnej hiszpańskiej ponszy bez rękawów albo co gorsza, hałaśliwie donosić czytelnikom, że w tyrolskim kapeluszu młodzieńca obok koguciego piórka tkwił popsuty termometr. Jestem najmocniej przekonany, że człowiek znajdujący wyłączną przyjemność w rozpatrywaniu tego rodzaju szczegółów zasługiwałby tylko na wzgardę szlachetnego podróżnego, który skromne swe miejsce na wózku zajmował z powagą godną wynalazcy jakiejś ulepszonej maszyny do szycia, będącej zarazem żniwiarką, młockarnią i lokomotywą.

Obie te z całego towarzystwa najpoważniejsze osoby osłaniał, może być, że trochę za obszerny, czerwony parasol, którego o wiele cieńszą od dyszla rękojeść pielęgnowały pulchne dłonie szanownej jnatrony.

Drugie miejsce ekipaża stanowił worek, tymczasowo pełniący obowiązek kozła, na którym siedział siedemnastoletni co najwyżej chłopczyk w czapce wycho- wańca średnich zakładów naukowych tudzież furman, widocznie zadający sobie wiele trudów, aby przy pomocy konopnych lejc utrzymać w równowadze szczupłe koniki, nazbyt, jak się zdaje, pamiętające o tym, że środki ciężkości ich tułowiów bezustannie dążą do zajęcia jak najniższego położenia na powierzchni globu ziemskiego.

Zę wszystkich zwierząt drapieżnych, za które kiedykolwiek bądź wnoszono do kas właściwych opłatę w ilości i terminach przewidzianych przez prawo, nie znam łagodniejszych nad moje psy podwórzowe. Dlatego też nie mogłem wyjść z podziwu widząc i sły

sząc, że psy te, jakby niezadowolone zwykłym, etato-i wym szczekaniem na podróżnych, dopuszczały się jeszcze nadetatowego warczenia, bezczelnych gestów i impertynenckiego obwąchiwania bryczki stojącej przed gankiem. To pozbawione wszelkiego taktu zachowywanie się lokatorów i stróżów mojej nieruchomości zaniepokoiło mnie- tak dalece, że się aż wrócił do sypialni celem wynalezienia stosownych szkieł, aby przy ich pomocy gruntowniej i szczegółowiej zbadać wnętrze wasąga.

Tymczasem Pawełek, zawsze najchętniej zjawiający się tam, gdzie mnie pie ma, wrócił na podwórze z kuchni obciążony olbrzymią ławą, która od lat kilkunastu przy obiadach, kolacjach i innych wybitniejszych momentach wiejskiego życia stanowiła podstawę dla działalności wszystkich dziewczek i parobków mego folwarku. Z kilku uderzeń w koła wasąga wniosłem, że wysoce użyteczny sprzęt kuchenny zajął już nowe stanowisko i że za chwilę będę miał sposobność urzeczywistnić większą połowę uczynków miłosiernych mających na celu zabezpieczenie doczesnej egzystencji osób, na których są wykonywane.

— Tu, serce, tu bliżej przysuń ławkę, rybeńko! — zaczęła znowu dama. — Kuba, ptaszeńku! trzymaj dobrze konie, żeby się nie spłoszyły, niebożęta. Sociu, jedyna pociecho moja, weź Mruczka, bo tu, widzę, psy są, żeby go choć nie roztargały, mizeraka!... Panie Postępowiczu, gołąbku, podaj rękę starej grzesznicy, bo jak padnę, to nawet kosteczek moich nie będziecie się mogli doliczyć!...

— Niech mi pani z łaski swojej poda nogę — odezwał się Pawełek — to ją uplacuję.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochane dziecko, za twoją przychylność dla biednej osoby w podeszłym wieku!...

Zbliżyłem się znowu do okna i dostrzegłem, że na wasagu zaszły radykalne zmiany. Parasol zwinięto..3 Zamiast miłego oblicza staruszki dominowała w tej chwili nad wasągiem tylna część jej salopki tudzież żółta w pomarańczowe kwiaty spódnica, spośród fałdów której sterczała noga, jakiej by się nawet kilko- letni hipopotam me zawstydził. Nogę tę Pawełek .z nie- -i małym trudem starał się sprowadzić do poziomu ławki, podczas gdy górne zakończenie otyłej damy utrzymywał w swoich objęciach zsiniały skutkiem wyteżenia ~ właściciel ponszy bez rękawów i kapelusza z termometrem. Tymczasem na łonie gimnazysty siedział tłusty i najeżony bury kot, którego widok zdawał się nie? zmiernie intrygować psy otaczające wasąg.

— Aj, aj, aj!... Pawełku... żebym się tylko nie obwa- lila! — krzyknęła wysiadająca jejmość.

— Niech się pani nie boi — odrzekł mój pokojom , wiec. — Już jak ja pani nogę przypasuję do ławki, to niczym mur!...

— Aj.,, łapaj, serce, drugą nogę, bo mi się zaczyna w głowie kręcić — jęknęła znowu dama. Pawełek drugą nogę schwycił i już staruszka miała nią najspokoj* niej dotknąć ławki, kiedy nagle grubiański koncept gimnazysty pokrzyżował jej ze wszech miar logiczne i godziwe projekta i o mało nie stał się powodem naj- szkaradniejszego wypadku.

Lekkomyślny ten młodzieniec widocznie zbyt mało żywił współczucia dla trudnej pozycji damy, a natomiast z zadziwiającą gorliwością zajmował się bawieniem psów za pomocą trzymanego w rękach kota. Co chwilę pochylał go za wasąg i dotykał ogonem zięjących i kłapiących pysków jego nieprzyjaciół; aż w końcu drobny, lecz złośliwy zwierz, do najwyższego stopnia zaniepokojony o swoją przyszłość, wydarł się z nieszczerych uścisków niedobrego chłopca i parska

jąc i mrużąc wskoczył na pochyłą i szczęśliwie, troskliwie obandażowaną głowę czcigodnej kobiety.

W tej opłakanej sytuacji zamieszanie przy wózku dosięgło najwyższego stopnia: rozjuszona zwierzęta wrzeszczały, każde podług właściwej metody; młodzi mężczyźni otaczający damę śmieli się z godną uwagi zaciekłością — główna zaś bohaterka chwili wołała wniebogłosy:

— Jezus Maria!... Ratuj, kto w Boga wierzy!... A psik!... A kac!... Słowo stało się ciałem...

Nie mogłem dłużej być spokojnym widzem rozpusty nicponiów i dlatego, choć zaledwie do połowy ubrany, szybko wybiegłem na ganek.

Na mój widok psy ucichły i zaczęły się łaścić; młokosy otaczający damę w jednej chwili zaprzestali manifestować swą nieprzyzwoitą wesołość; elegant z bródką pojmał kota. Pawełek zaś, jednym zamachem postawiwszy staruszkę na ziemi, a następnie, schwyciwszy ciężką ławę, ulotnił się z nią jak kamfora, mając widocznie dużo słuszych powodów- do unikania mego towarzystwa.

Przez chwilę ja i szanowna podróżna milczeliśmy, jak przystało na osoby, które doznały gwałtownego wzruszenia; wreszcie ona, ulegając zapewne wymaganiom etykiety skazującej na pierwszeństwo piękną połowę rodu ludzkiego — zaczęła:

— Ach, nieszczęście moje, co za fenomenalny wypadek z tym kotem, pułkowniku!... Myślałam, że zginę, jak pragnę zbawienia duszy mojej!... Sociu, serce, a pilnuj tam parasola i Mruczka... I cóż, pułkowniku, nie poznajesz mnie? Toż to ja, Pudencjanna Moździerznicka, wdowa po Grzegorzu, Panie, świeć jego grzesznej duszy, Grzegorzu Moździerznickim, twoim kamracie i podkomendnym, majorze piątego pułku piechoty...

— Aaa... kochana majorowa! — zawołałem chwytając

jąc w objęcia od kilkunastu lat nie widzianą przyjaciółkę, która w odpowiedzi wybuchnęła tak głośnym płaczem, że aż półsenne a nagle zbudzone jej koniki wy- i konały szereg ruchów mających na celu, o ile się zdaje, sprawdzić możliwość dowolnego poruszania różnymi częściami ich organizmu.

— Aj, cicho!... Kuba, rybeńko, uważaj, żeby się co złego nie stało. Patrzaj, pułkowniku, jak ten czas leci! też to już chyba z piętnaście lat nie widzieliśmy się ze sobą? A pamiętasz, serce, jak za mną, kiedyś była ' młoda, cały pułk szalał — albo jak przez ciebie doktor Puszczadło swoją żonę zbił na kwaśne jabłko i z domu wypędził?...

— Kochana majorowe, może wejdziemy do pokoju? ; — Nie szkodzi! spocznijmy trochę i w ganku, pokąd rzeczy nie zniosą... Ach, jakie gorąco, czysty ukrop!... Sociu, ptaszeńku — ciągnęła zwracając się do gimnazysty — a ucałujże kolana naszemu dobrodziejowi i zwierzchnikowi twego nieboszczyka dziadka. Pułkowniku, serce, patrzajże, też to mój wnuk po Ksawciu, sierotęńka bez ojca i matki, chodził do klas... Ukłoń /d feię, Sociu!... No i cóż tak patrzysz jak złoczyńca?... Ludzi nie znasz czy co?...

Nastąpiła wymiana ukłonów, po czym chwilę odetchnąwszy spotniała i zasapana staruszka mówiła da- lej:

— Kubo! Pawełku!... a znieście, robaczki, nasze graty. Sociu, serce, dopilnuj, żeby kto nie ukradł parasola, poduszki i koszulki. Pamiętam, kiedyś w roku 1843 jechała do Częstochowy własnymi końmi, to nas w drodze do ostatniej niteczki okradli — żeby ich Bóg pokarał!... Ale, ale!... bodajże cię — a toż ja tobie, pułkowniku, zapomniałam zaprezentować pana Postępo- wicza!... Już teraz nie mam nic, ani pamięci, ani apetytu, i na nogi nie zdążam... Oto pan Hiacynt Postępo-

wicz, człowiek bardzo uczony, z uniwersytetu, a także do pism pisuje! Teraz przez całe wakacje Socia uczył...

— Cezar Brutus Napoleon Hiacynt Postępowicz — rekomendował się młodzieniec w ponszy — literat, chwilowo bawiący w domu szanownej majorowej jako nauczyciel jej wnuka. Przy tym czuję się w obowiązku nadmienić, że literackie prace moje okrywa najgłębsza tajemnica i że tylko bardzo zaufanym osobom okazuję artykuły, które...

— Ja to widział- — przerywa literatowi Sotus.

— I ja też! — dodaje majorowa z lekkim odcieniem dumy. • v .

— Z tym wszystkim jednak — mówił pedagog — miło mi będzie niektóre z moich utworów przedstawić szanownemu pułkownikowi...

— Ale... ale... a co dacie nam na śniadanie? — przerwała majorowa, widocznie nie dość przestrzegająca form towarzyskich.

— Pawełek! — krzyknąłem z całej siły, pragnąc zwrócić na inny przedmiot uwagę rozochoczonego literata, który nie zrażony tym jednak, prawił dalej:

— Na szczęście, mam w tej chwili kilka moich prac i jeżeli państwo pozwolicie, będę mógł je odczytać. — Mówiąc to wydobywał z kieszeni i rozwijał jakieś zmięte i zabrudzone druki.

— Co państwo rozkażą? — przerwał mu tym razem Pawełek, zawsze obecny wtedy, gdy chodziło o sprawy mające jakikolwiek związek ze spiżarnią lub kuchnią.

— Ja chciałabym napić się kawy — rzekła majorowa — jeżeli jest dobra śmietanka i bułeczki. A ty, Sociu, co jeść będziesz?

— Ja?... Kluski z mlekiem!

— To i ja kluski! — pochwyciła majorowa — doskonale nadadzą się przed kawą.

— Są tu rozprawy o wychowaniu dzieci, o pożytku

kach astronomii, o emancypacji kobiet, o zarazie na kartofle... — ciągnął dalej literat, jakby nie domyśla- jąc się nawet, że w tej chwili na gruntowne jego prace nikt najmniejszej uwagi nie zwraca.

— A pan, panie Postępowiczu, co sobie życzysz? — pyta majorowa zacietrzewionego publicystę.

— Ja? — odparł, jakby zbudzony ze snu— ja... mogę zjeść na przykład parę jaj na miękko i porcją befsztyku, rozumie się, przy herbacie. W czasie śniadania będę mógł państwu...

— Ach — przerwała znów dama — jaki ma gust dobry pan Hiacynt!... Ja sama z chęcią zjadłabym jaj i mięsa... Więc uważajże, Pawełku, ma być: kawa, herbata, kluski, jaja i befsztyk. A ty pułkowniku, serce co zjesz?

— Cokolwiek, kochana przyjaciółko — odpowiadam myśląc, że do podobnego śniadania jeden kucharz nie wystarczy.

Pawełek dyspozycji wysłuchał i powtórzywszy fa bez omyłki, jak gdyby był szpajscetlem, na którym podkreślono nazwiska potraw, .wykręci! się na pięcie i poleciał jak bomba do kuchni Ponieważ zaś tłomoki, poduszka, koszałka, parasol i Mruczek znalazły się już na odpowiednich miejscach, nie ociągając się przeto dłużej weszliśmy do domu w porządku wymaganym przez prawa gościnności, z uwzględnieniem wieku i stanowiska osób obecnych.

Rozdział druoi obejmujący dzieje młodości Soter ka i dalszy ci40 kłopotów babuni

Cały prawie czas przedobiedni zeszedł mi na podziwianiu niezrównanej wymowy i ruchliwości szanownej mojej przyjaciółki. Dobra ta kobieta, mimo osiemdziesięciu lat zdolną była w jednym i tym samym czasie głaskać Mruczka, szturgać Socia i unosić się nad niepospolitym rozumem jego nauczyciela który ze swej strony w każdej chwili był gotów odczytywać nam swoje interesujące prace literackie Dodajmy, że wszystkie te zajęcia nie przeszkadzały jej dysponować obiadu. zaglądać do kuchni i Spizarni rozpakowywać tłomoki i troszczyć się o całość i bezpieczeństwo domu wraz z zabudowaniami, nad którymi, według jej nieomylnych przeczuć. wisiały pożary, trąby powietrzne, oberwania się chmur, epidemie napady złoczyńców i inne tym

podobne klęski, każdomiesięcznie figurujące w dziale wiadomości miejscowych we wszystkich pismach periodycznych

Jakkolwiek nigdy nie miałem wstępu do kobiet, szczególnie też między szesnastym a czterdziestym rokiem ich życia, nie mogę jednak powiedzieć aby mię zachwyił niewzruszony, zamiar majorowej opowiedzenia mi po obiedzie ciekawych przygód jej wnuka, a jednocześnie zasiągnięcia mojej uczciwej .i wytrawnej rady co do jego przyszłości Tkliwy ten dowód zaufania ze strony mojej szanownej przyjaciółki tak dalece mnie wzruszył że stracił nawet ochotę do obiadu, na którym wedle rozporządzeń nowei naszej gospodyni, figurował barszcz z ogonem baranina z czosnkiem i pierogi z serem i ze śmietaną doznaiacę szczególnych względów młodego Moździerznickiego i ipgo czcipodnei babki.

Kiedym już po obiedzie i czarnej kawie usiadł l.ą kanapie obok wdowy po majorze piątego pułku piechoty celem spełnienia łaskawie ofiarowanego mi kielicha familijnych zwierzeń, przyjaciółka moja przymknęła oczy; zwiesiła dolną wargę i puściła w szybki ruch obrotowy wielkie palce u rak skrzyżowanych na brzuchu, którego wymiary i postać, nie wiem jakiej racji, przywiodły mi na myśl trudności i niebezpie-

czeństwa żeglugi wynalezionej przez braci Montgolfie- rów w końcu zeszłego stulecia. Szanując głęboką zadumę czcigodnej ma trony patrzyłem bezmyślnie- przez okno na dziedziniec, gdzie przed starym gołębnikiem napuszony indyk kokietował dwie kwękające towarzyski, a mój faworytalny wyżeł Trezor obracał się w kółko, usiłując w niewiadomym mi. celu schwycić zębami środkową część swego łaciastego ogona.

— Powiadam ci, serce, pułkowniku — zaczęła majorowa — że ten Sotus, taki z wierzchu niby głupowa- ty i do niczego, był zawsze w gruncie fenomenalnym dzieckiem. Dwanaściorom ich miała z nieboszczykiem Grzesiem, rybeńko, a żadnego takiego jak on!... Bo pa- trzaj: naprzód urodził się w poniedziałek! Wszyscy myśleli i ja bym była przysięgła, że będzie miał sześciu braci, i co ty powiesz?... Taż on został sam jak palec i jeszcze niedługo matkę stracił... Ach, ja nieszczęśliwa!... Przyjęłam mu inamkę, powiadam ci, babę jak Herod, znasz ją przecie, tę Weronikę, córkę Szczypajły, kaprała z pierwszej kompanii, i Praksedy markietan- ki?... No, widzisz: kobieta jak łania, nieprawdaż?

— Phy... jak kafar! — odpowiedziałem.

— Karmiłam ją, Boże mnie skarż, lepiej jak rodzoną córkę: mięsem, mlekiem, winem, kawą, ryżem — czym chcesz, ale jak on ci się wziął do niej, jak zaczął ssać, jak zaczął ssać... czysta pijawka!... W pół roku tak babę zasuszył, żebyś nią mógł być w piecu podpalić, a sam?... Ach sam, moja rybeńka, nie urósł nawet tyleńki — jak warząchew! ,

Westchnęliśmy oboje: staruszka myśląc zapewne o dawniejszych wymiarach Sotusia, ja zaś przypomniawszy sobie to, że z nie znanych mi powodóyv na ostatnim jarmarku sprzedawano drewniane łyżki po półtora grosza drożej niż zwykle.

— A już nie mam co gadać, że chłopak miał wojsko
mm

wą żyłkę, oj, mlał Zawsze z kijem albo z batem; a bił, a psuł, a darł... ach, doloż ty moja!... Za fuzją w piekło by poszedł i ciągle gadał: „Jak ja urosną, to wszystkim Żydom i babuni w łeb wypalą!” Jak cię kocham, pułkowniku, tak prawda.

—Hum... hum... — odmrukiwałem patrzącej mi w oczy majorowej nie wiedząc, co w tym wypadku odpowiedzieć należy.

—Ale do książki — ciągnęła dalej — ehe!... i kijem byś go nie napędził. Bywało, wołam, proszę, biję, zaklinam... nic i nic. Ha, myślę sobie, wola Twoja, Panie, widocznie to już czystej krwi Moździerznicki — bo tak ojciec, jak dziadek, jak i pradziadek nigdy się tam bardzo do bibuły nie rwali... Ale kiedy mi chłopak podrósł i już żadnej radeóki dać z nim sobie nie mogłam,, przyjęłam mu dyrektora.

W tym miejscu otarłem pot z czoła, a staruszka odetchnąwszy ciągnęła dalej:

. — Poczciwy to był i wcale nie głupi człeczyna i on to, nie kto inny, wyuczył Socia tego, co umie dzisiaj; ale cóż, kiedy, robaczek, napijając się trochę lubił i bokiem mu też wyszła ta fantazja... Powiadam ci, raz przy niedzieli, wypiwszy sobie może nad miarę, wstydził się, widać, zająć na noc do domu i poszedł gdzieś spać między chlewki. Trzeba trafu, że mieliśmy wtedy okrutnie złe świiiiie, węgierskie, no i co ty powiesz?... też te szelmy zjadły nieboraka, ale to tak zjadły, że zostało tylko trochę kości, trochę szmat i para niedogryzionych butów... Och!

W tej chwili dwaj reprezentanci oskarżonego gatunku zwierząt domowych z podniesionymi uszami i ryjami,, chrząkając i pokwikując, przedefilowali za oknem. Czy ta niewinna i legalna manifestacja oznaczała, że ; indywidua, o których mowa, umywają ręce od wszelkiej odpowiedzialności i ze wstrętem wypierają się ha-

niebego czynu swoich powinowatych — czy też na odwrót, miała stanowić groźną przestrożę dla nauczyciela w obecnym czasie rozwijającego umysłowe zasoby Sotusia? - na to nie umiałbym odpowiedzieć...

— Kiedy nastał — brzmiała dalej historia — nowy dyrektor, jakiś świszczynałka i straszny impetyk. wziął ci okrutnie robaka w dyby i tak go męczył tak gg dręczył. że mi dziecko zamizerował na nic ..Panie dobrodzieju. mówiłam z płaczem zlituj się nad sierotą, bo mi się nie uchowa chłopak jeżeli go dłużej będziesz tak katować książkami." A on mi na to: „Cha!" cha! cha!... niech się jejmość nie boi. uchowa się, uchowa, bo głupi iak stara podeszew!" Naturalnie, że po takim odezwaniu się musiałam «?o oddalić.

— Niegodziwiec! — zawołałem nie mogąc, dla braku czasu, silniej scharakteryzować całej potęgi mego oburzenia na człowieka, który tak grubiańsko określił intelektualną wartość najmłodszej gałązki szlachetnego rodu M[^]ździerznickich.

— Kiedy skończył dziesięć lat. oddałam go do pierwszej klasy Co tam bvło płaczu, rozgardiaszu, kłopotów... to tylko mnie i Bogu wiadomo. No, ale w końcu jakoś eó przyjęli...

Zauważyłem, że lewe oko majorowej chwilami przymyka się daiac mi niby do zrozumienia że wkrótce po całodziennvch trudach, zatrzyma się nareszcie w biegu ów skomplikowany mechanizm, za pośrednictwem którego czcigodna dama część swoich udręczeń rodzinnych przelpwała w moją istotę.

— W pierwszej klasie, z powodu młodego wieku, kazali mu siedzieć dwa lata; z drugiej po dwu latach chcieli eo iuż wypędzić... Na jego i moje szczęście przyszły jakieś tam ulgi i chłopak posunął się do trzeciej klasy Tu znowu siedział dwa lata i w tym już roku coś im do łba strzeliło, żeby go koniecznie, ale to koniecz-

nie nie przyjmować. Ach, co ja biedna nie wycierpiałam!

Przy tych słowach majorowa osunęła się w głąb kanapy, co też i ja ze swej strony starałem się naśladować pamiętając, że symetria jest najgłębszą zasadą wszechrzeczy.

— Powiadam ci. serce, pobiegłam zaraz do inspektora ale z tym ani się było dogadać: krzyczał tylko i rękami machał Dopiero jakiś uczciwy profesor zaczął mi tłumaczyć. że Socia do szkół nie przyjma bo -on nic nie robił w klasie, tylko Dod ławkami sypiał na lekcjach „A bóże się ran boskich królu mój! krzyknęłam z płaczem, iakże to dziecko ma nie spać. kiedy on rośnie robaczek?...” Ale profesor odpowiedział mi -ni to. ni OW0, i... i...

Gorąco dopiekało nam straszliwie i z tego to zapewne oowodu od kilku chwil uczułem jakiś szum w uszach i nieznośne swędzenie oczu. W strudzonej wyobraźni mojej pulchne kształty sąsiadki zlewały się z kanapą, tworząc jakąś potworną kombinacją kobie- ty-sprzętu. wobec której bajeczny centaur mógł się .zwać mężczyzną o nader miłej powierzchowności.

Nie umiem powiedzieć jak długo trwał stan błogiej kontemplacji w którą pogrążyło mnie zajmujące opowiadanie majorowej — nie potrafię też opisać natłoku straszliwych obrazów, iakie błyskawica przemknęły mi przez e*owę, w chwili gdy z zamyślenia obudził mnie słuchy chrzęst, jakby od walącego się budynku pochodzący, tudzież pełen boleści okrzyk dobrej kobiety:

— Jezus!., mój Socio!...

Machinalnie zwróciłem się do okna. przy którym z załamanyimi rękami stała już szanowna moja przyjaciółka Oto. com ujrzał-

Na dziedzińcu leżał przewrócony gołębnik, obok któ-

rego stał Socfo z miną ucznia przysposabiającego się do bardzo drażliwej pedagogiczno-karnej operacji. Obok — Postępowicz, Pawełek, dziewczki, parobcy i kilka psów tworzyli malowniczą grupę, nad głowami której unosiło się szeleszczące stado gołębi. Wyrzałem lepiej: jaja były potłuczone, a żółte pisklęta w najwyższym nieporządku rozsypane. I któż zgadnie boleść, jaka przesywała serca tych mnożnych i łagodnych ptaków patrzących z wysokości na zniszczony owoc tyłu zabiegów i wysileń?

— Ach, wisielcze jakiś — wołała tymczasem poważna dama na rozpustnego wnuka — chmyzie niegodny!... I coś ty zrobił, żeby cały gołębnik obalić na siebie? Chodź mi tu zaraz, niegodne dziecko, zakało rodu ludzkiego, najcięższa zgryzoto moja!... Jak amen w pacierzu, zabiłoby go na śmierć... ach, ja nieszczęśliwa!.,*';;
Ze spuszczoną głową ruszył Sotuś do stroskanej babki, spode łba patrząc na swego nauczyciela i Pawełka, którzy w przyzwoitym dystansie asystowali mu nastroiwszy miny odpowiednio dó ważności wypadku.

Ja tobie dam! — obiecywała majorowa wchodzącemu wnukowi — ja tobie dam!... To ci zdrowie niemiłe, ty złoczyńco jakiś?... to chcesz mi narobić jeszcze więcej kłopotów?... Gadaj zaraz, jak to było? ty... ty... smoku obmierzły!...

— Ja bo chciałem wkarabkać się na słup, a on wziął i przewalił się — objaśniał Socfo.

— Nieszczęście!... A po co tobie na słup, ty szatanie jakiś? Panie Postępowiczu — zwróciła się z dalszym ciągiem do wchodzącego literata — jak mogłeś pozwolić, aby taki straszny dureń laźł na słup?

— Ba, pozwolić!... jeszcze czego?... Pan Postępowicz sam kazał, co by ja laźł — wtrącił nachmurzony wnuczek.

— Chy... co ja słyszę?... Ot i trzymajże tu nauczyć

cielą z uniwersytetu i literata! Ot i płać mu trzydzieści rubli za wakacje. Kyrie elejson, Chryste, czy kto widział coś podobnego!

Tak przyzwoicie zaatakowany pedagog wznosił głowę do góry, odgarnął ręką długie włosy i stojąc na środku pokoju odpowiedział z godnością:

— Kiedym się zgodził przez czas feryj letnich zabawić w domu pani jako nauczyciel jej wnuka, zastrzegłem sobie, aby mi nikt w tej uciążliwej pracy nie przeszkadzał. Uczyniłem zaś tak wiedząc z góry, że metoda wychowania, którą pani uznajesz, i metoda wychowania moja, o której napisałem trzy artykuły pochlebnie przez krytykę przyjęte — są to dwa najzupełniej sprzeczne żywioły...

— Proszę pana, a co będzie z gołębnikiem? — zawołał przez okno karbowy.

— Ustawcie go w tym samym miejscu — odparłem drżąc z obawy, aby przez tę krótką chwilę natchnienie nie odbiegło wielkiego mówcy.

Gniew majorowej widocznie topniał.

— Pani — ciągnął pedagog — uważasz za podstawę nauki martwą literę i pragniesz rozwinąć tylko rozum swojego wnuka — ja chcę kształcić zmysły za pomocą żywej przyrody, a pamiętając, że duch człowieczy przedstawia się nam w trojkiej formie: jako rozum, jako uczucie i jako wpla — usiłuję w wychowańcu moim trzy te kierunki równomiernie rozwinąć.

— No, wszystko to jest prawda — rzekła staruszka udając głębokie przeświadczenie — ale po co pan kazał Sotusiowi włożyć na gołębnik?

—> Po to, szanowna pani, aby drogą stosownych ćwiczeń gimnastycznych wzmocnił swoje mięśnie, a przez pokonywanie trudności zaostrzył swoją odwagę, bez której...
Sociu, niegodziwcze! — nagle krzyknęła rozgnie-

wana babka — jak śmiesz w tej chwili muchy łapać, kiedy pan Postępowicz takie ładne rzeczy gada o tobie?

— No, to cóż z tego?... ja mogę łapać i mogę słuchać — odparł bezczelny wyrostek miażdżąc w ogromnych palcach biednego owada.

— Ładnie pan go wyuczył przez wakacje, panie Postępowiczu! — zawołała staruszka.

— Zbyt wiele już pisałem o ważności początkowego wychowania, abym miał na podobny zarzut odpowiadać! — rzekł wyniośle literat i ukłoniwszy się z przygnębioną powagą — wyszedł.

Westchnąłem myśląc, jak cichym był mój domek wczoraj o tej porze...

No, a co teraz będzie, pułkowniku? — zapytała staruszka chcąc widocznie na moje barki przenieść jakąś część literackich gromów. | Dalibóg, że nie wiem!..

— Widzisz, a ja wiem. Pojedziemy wszyscy czworo do miasta jutro skoro świt; tam się coś niecoś uradzi.

— Jutro?... A bójże się Boga, majorowo, też ja mam gospodarstwo.

— To głupstwo! Za parę dni wrócisz zrobiwszy dobry uczynek dla sieroty i wdowy. Ty tam masz tylu znajomych, tobie chętniej poradzą.

— Babciu! mnie jeść chce się — witał wnuczek. — No, to i cóż? Pójdź, serce, do kucharza i zadysponuj sobie. U pułkownika to jak we własnym domu rób sobie — zakonkludowała babka.

Drobna ta okoliczność zachęciła mnie do wyjazdu; rzekłem więc:

— Pozwolisz, majorowo, że cię na godzinkę pożegnam, chciałbym bowiem rozmówić się z rządcą o tej naszej podróży.

— A idź, serce, idź... Ja sobie tymczasem odpocznę — byle tylko ten niegodziwiec znowu czego nie zmalował!

Wybiegłem na dziedziniec i z żywym zadowoleniem patrząc na rozległy widnokrąg zapytywałem w duszy: czy godzi się, aby jeografowie w swoich jałowych pracach tak mało poświęcali wierszy opisowi tak obszernego i ponętnego widoku?...

Ro 2 dział trzeci rzucający trochę światła na Soterka i jego nauczyciela

Po krótkiej naradzie z rządcą, który dowiódł mi należycie, że dla wielkich operacyj agronomicznych obecność moja jest nie tylko bezużyteczna, ale nawet wysoce szkodliwa, że wyjazd na dni parę wyrze jak najlepszy wpływ na mój humor i zdrowie i że w końcu on, to jest rządcą, chętnie weźmie pod swą troskliwą i bezinteresowną opiekę cały mój ruchomy i nieruchomy majątek- i dopilnuje go starannie niż wszyscy właściciele ziemscy całego świata — stanowczo zdecydowałem się towarzyszyć majorowej w wycieczce mającej na celu wykształcić umysł i uszlachetnić serce ukochanego jej wnuczka.

Pragnąc obejrzeć moje konie, woły, krowy tudzież inne zarówno martwe, jak i ożywione czynniki wiejskiej produkcji — która (według najświeższych odkryć prasy periodycznej) stanowi fundament dla materialnej i duchowej pomyślności społeczeństw — po kolei wstępowałem do obór, stodół i chlewków notując w pamięci: ilość żyjących reprezentantów każdego gatunku domowych kręgowców, wymiary nagromadzonej mierzwy i inne tym podobne szczegóły, a to w tym celu, abym po powrocie łatwiej mógł ocenić doniosłość ulepszeń, jakie wprowadzić miał pełen zapału i gorliwości mój zastępca.

Wszedłszy do stajni, która w programie moich wizyt ostatnie zajmowała miejsce, usłyszałem urywek rozmowy toczącej się między wnuczkiem poważnej damy a parobkiem Kubą pełniącym obowiązki dozorca i kierownika czworonożnych motorów jej ekwipaża.

— Cóż ty, dumniu, nie posłuchasz się, kiedy tobie mówię grzecznie?
— wołał zirytowany Sotuś.

— Ja tam kraść nie będę! — odparł stanowczo parobek.

— Ty odurzał czy co? Cóż to takie kradzenie, kie- dyby ty odsunął trochę owsa dworskim koniom, a dał jego naszym? Ja pojąć tego nie mogę!

— Niech se ta panicz sam odsuwa, kiedy chce... Ja kraść nie będę!

— Czort ciebie zabierz, dumniu! Ja zawsze gadał babuni, coby ciebie nie brała z pastucha na furmana — ot, co...

Będąc z natury nader wyrozumiałym na drobne dziwactwa ludzkie opuściłem co rychlej terytorium, na którym troskliwość o materialną stronę koni, uosobiona w Sociu, tak energicznie ścierała się z poszanowaniem siódmego przykazania reprezentowanego przez byłego pastucha Kubę. Ponieważ zaś nie czułem gwałtownej potrzeby wracać natychmiast do domu, skierowałem się więc ku łąkom, już to dla obejrzenia stogów, już to dlatego, aby obecnością swoją nie obudzać rzewnych rodzinnych wspomnień w sercu zacnej mojej przyjaciółki.

Głęboko zamyślony nad znaczeniem uprawy roślin pastewnych i polityką księcia kanclerza niemieckiego, niedostrzeżenie prawie minąłem część łąk i wszedłem między stogi. Tu, zaraz przy wstępie, ciepły południowy wietrzyk razem z ponętą wonią świeżego siana przyniósł mi rozmowę na dwa głosy, z których jeden zdawał się należeć do Rózi, przystojnej córki mego

rządcy, drugi zaś do czasowo w moim domu bawiącego wynalazcy nowej metody pedagogicznej.

—Więc stanowczo dziś... najdroższa? — mówił literat.

—Kiedy się boję — odpowiedziała Rózda.

—Nie mów tak, aniele, zaklinam cię!... Gdyby nie spóźniona pora, odczytałbym ci mój artykuł o emancypacji, w którym jak najbardziej stanowczo dowiodłem, że bojaźliwość nie przystoi kobiecie.

—Kiedy bo widzi pan... — W tym miejscu wiatr dmuchnął silniej.

Żartuj z tego... to są przesady dla utrzymania w karbach ciemnego gminu, lecz bynajmniej nie obowiązujące jednostek wyższych duchem nad ogół.

—Już ja chyba odejdę stąd, bo jakby nas ojciec zobaczył... On strasznie prędko do bicia!

Nie słyszałem odpowiedzi, a lękając się, aby pedagog, spotkawszy mnie przypadkiem w drodze, nie zechciał, bez względu na spóźnioną porę, odczytywać mi swoje niezrównane prace literackie, uciekłem co tchu.

Z łąk na folwark wiodła prosta i krótka droga — obrałem jednak dłuższą. Jakoś tego wieczora natura wydawała mi się stokroć ponętniejszą niż zwykle; (aulem, że na jej łonie chętniej noc bym przepędził niż we własnym pokoju sypialnym. Nie badając psychicznych pobudek tego oryginalnego gustu starałem się przechadzkę moją jak najbardziej przeciągnąć.

Nieszczęściem, nic nie trwa wieków na tym świecie, więc też i mój spacer, choć powoli, zbliżał się jednak do końca. Już minąłem dworskie płoty, tak chętnie wyłamywane i zwęglane przez małżonki właścicieli mniejszych posiadłości, już piękny Trezor przybiegł do mnie naszczekując i kręcąc ogonem i już gapiący się przed stajnią parobek zamyślał sięgnąć do czapki, aby z odległości zwyczajem nakazanym powitać swego prawodawcę. kiedy nagle usłyszeliśmy rozdzierający krzyk majorowej: — Sociu!... -Sociu!... Sociu!...

Na to rozpaczliwe wołanie parobek skamieniał, Trezor podkulił ogon i nastawił uszy, a ja... ja, błędnym okiem śledząc zabudowania folwarczne, zapytywałem w najwyższym niepokoju: które też z nich uległo losowi starego gołębnika?

Sociu!... Sociu!... — zawołała jeszcze straszliwszym głosem babka.

Na folwarku powstał ruch nadzwyczajny. Świętująca czeladka z kuchni, oficyny i szopy hurmem wybiegła na dziedziniec; Pawełek, zatrwożony, widać, o los nowego przyjaciela, upuścił z rąk na ziemię sześć gę- bokiach talerzy, które niósł do kredensu — a trochę zdenerwowany z okazji święta kucharz o mało że mi domu nie spalił rozlawszy na ogień całą patelnię masła

— Sociu!... Sociu!... — powtarzała nieutulona babka.

— Co to jest?... Co się dzieje?... Paniczu!... Panie Soterze!... — wołano ze wszystkich stron.

— Ot, polekli się głupie ludziska! — mruknął rozespany Kuba, który usłyszawszy hałas żółwim krokiem wywłókł się ze stajni. — A dyć to nasza pani zawdy tak woła panicza.

Jakby na potwierdzenie słów flegmatycznego stan-1 greta pani jego odezwała się:

Dobrze, żeście wyszli, moje robaki, bo mi poszukacie Socia. A jakby nie chciał iść, to powiedzcie, że mu kluski na nic roemiękną.

— Słuchaj, Kubo — rzekłem, w dosyć kwaśnym humorze — więc powiadasz, że wasza pani zawsze tak nawołuje panicza!

— A ino co? — odpowiedział stangret.

— Przecież, u diabła, mieszkacie w miasteczku, cóż ludzie na to mówią?

—A co mają mówić?... Od tych czasów, jak ja nastalem, to nie mówią nic, ale jak się ino pani' ze wsi sprowadziła, to gadał Harasim, że kupą mówili. Ba, chodzili ponoć nawet do starszego ze skargą.

Łatwo pojąć, że nie zachęcił mnie bynajmniej do powrotu ten nowy a tak energiczny dowód przywiązania majorowej do wnuczka. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek czułem potrzebę świeżego powietrza i chyłkiem wyminawszy dwór wbiegłem niepostrzeżony do ogrodu.

Wiatr cicho przesuwiał się między drzewami — w oddalonych i w nocnej pomroce tonących domach posiadaczy mniejszych własności ziemskich błyskały drobne światła; ze wszech stron dolatywały ranie owe nieujęte szmery, jakie podczas letnich wieczorów tylko wśród pól i lasów słyszeć można. Podniosłem oczy na n.ebo zasiane już mnóstwem migotliwych gwiazd i z uczuciem niewysłowionej tęsknoty przypatrywałem się tym dalekim, chłodnym i rozległym przestworom, kędy pan Louis Figuier umieszcza obywateli ziemskich, którzy zdążyli już uwolnić się od wszystkich stałych i niestałych ciężarów.

Wtem przy altanie w końcu ogrodu stojącej dostrzegłem trzy postacie; po bliższym przypatrzeniu się im poznałem, że to byli: Wojciech, mój karbowy, Szmul, wiejski krawiec, a obecnie dzierżawca ogrodu, i uczony posiadacz bandyckiego kapelusza z termometrem.

—Z przeproszeniem — mówił Szmul — ale to chyba nie może być, co pan gada! Państwo mają swój bardzo delikatny rozum, ale i nasz rabin to także niegłupi. Ny, a ja sam słyszałem od jego zięcia, może pan zna? tego Icka handlarza, co on gadał, że jakby kto sto gwiazd naliczył, to by się u niego w głowie przewracało, a jakby kto tysiąc wyrachował, to by był ko-i nieć świata...

— Jużci, że tak jest, to nie ma co o tym i gadać — potwierdził karbowy.

— Oto są skutki ciemnoty — przerwał literat — stanowiące zaledwie drobną molekułę tych, o jakich mówiłem już w artykule o pożytkach z astronomii. Jesteś w grubym błędzie, kochany przyjacielu, twierdząc, że świat by się skończył, gdyby tysiąc gwiazd policzono, ; boć przecie naliczył ich przeszło tysiąc sam Hiparch, zwany ojcem astronomii. A cóż mówić o obu Herszlach, Medlerze i tylu innych badaczach eterycznej przestrzeni?...

— Zawdy to musi być łgarstwo — wtrącił karbowy — bo przecieć i ich rabin to też parch, a taki nie spotrafił do tysiąca narachować.-

— NyL. nyL. — bąknął Szmul.

—Pleciesz głupstwa, mój kochany! — ofuknął Po- stępowicz. — A zresztą, czy podobna jest rozmawiać z wami o najwyższych zagadnieniach astronomii, jeżeli nie chcecie uznać nawet tak prostej prawdy jak ta, że się ziemia obraca naokoło słońca, które w ognisku ekliptyki stoi nieruchome?

— Słońce stoi? — zapytał Szmul ironicznie. .—¹ To chyba u państwa stod, bo my co dzień widzimy, co się słońce rucha... Nieprawda, Wojciechu?

— Jużci, że prawda!... Ja tu we dworze służę od dziecka i zawdy widzę, że słońce wstaje za Wólką, w południe jest nad lasem, a na noc chowa się za Żabie- głowy.

— U was to tak, a u nas w miasteczku to wchodzi za kierkutem, a wychodzi za szkołą, ale zawdy chodzi — uzupełnił Szmul.

—> Przesady! przesady!... oparte na najprostszycch złudzeniach zmysłowych. A tak obszernie pisałem o nich w artykule pod tytułem: Złudzenia i rzeczywi-

sló§6! — mówił jakby do siebie z odcieniem głębokiej goryczy znakomity literat.

Nie miałem już cierpliwości przysłuchiwać się dłużej propagandzie niezmordowanego krzewiciela oświaty. Ciągłe spotkania z nim drażniły mnie. Uwierzyłem, że los zawistny wziął się już na mnie w tym dniu fatalnym, chcąc zatem spełnić do dna przeznaczoną miarę utrapień, szybko zawróciłem ku domowi.

Na ganku spotkałem się z Pawełkiem, który mi doniósł, że szanowna moja przyjaciółka jest niezdrową.

— Cóż to takiego? — zapytałem.

— Iii... nic. Zjadła pani trochę klusków z mlek'em, potem baraniny, a potem kartofli ze śmietaną i jakoś cd ją brzuch zabolął — odpowiedział chłopiec.

— Gdzież jest pani?

— W pokoju sypialnym. Kazała paniczowi posłać na kanapie, a sama położyła się na pana łóżku.

— UhuL. A gdzież, u diabła, *ja spać będę?

Pani kazała posłać panu w sali, razem z nauczycielem. I powiedziała jeszcze, żeby pana zbudzić jutro o czwartej, bo bardzo rano mamy jechać do miasta.

— Jak to, więc i ty pojedziesz? — zapytałem zdumiony.

— A pojedę, proszę pana. Już mi pani dziś nawet kazała wyszykować liberią.

— Uważaj no, co ci powiem — rzekłem patrząc na chłopca tak, że aż się do ściany cofnął. — Dla mnie pościelesz w kancelarii, a dla pana Postępowicza w sali. Zrozumiałeś?

— Rozumiem, proszę pana, ale nie wiem, jak to będzie, bo pani mówiła jeszcze, że nauczyciel ma panu coś tam czytać, i kazała nawet dwie świece...

— Łotrze! — krzyknąłem nie posiadając się z gniewu — jeżeli mi jeszcze słówko piśniesz, to każę ci wyrznąć sto batogów...

— W ten momencik zrobią, co pan każe! — odpowiedział blady jak chusta Pawełek i wypadł do sali.

Był czas, żem zazdrościł żony majorowi Grzesiowi; dostawszy i a. dziś zazdrościłbym mu pewnie wiekuistego' spoczynku...

Rot dział czwarty io którym kłopoty babuni sprowadzają bardzo ważne powikłania

Czujemy się w obowiązku zawiadomić tych, których to obchodzi, że kancelaria był to sobie zwykły pokój opatrzone biurkiem i żelaznym łóżkiem, wybudowany, obok sali, a jak można najbardziej odległy od sypialni, którą na noc dzisiejszą opanowała majorowa z ukochanymi i nieodstępny: wnuczkiem i Mruczkiem.

Pedagog miał spać w sali, nie mówię: spał, lękając się zarzutu złej wiary ze strony osób wiedzących, czym jest sen, i umiejących traktować go odpowiednio. Ludzie porządni, oddający się pokrzepiającej funkcji bez żadnych ukrytych myśli, najprzód zdejmują i sztuka po sztuce składają ubranie na właściwym miejscu i w takim porządku, w jakim je nazajutrz wkładać powinni. Następnie wchodzą do łóżka, owijają się w kołdrę, usiłują zająć położenie równoległe do poziomu i odmawiają modlitwy, jeżeli są konserwatystami, lub bawią się w myśli świeckie, jeżeli należą do obozu pro- gresistów. Ale chodzić po nocy bez potrzeby, rozpałać światło bez dostatecznych przyczyn lub w jakikolwiek bądź inny sposób naruszać i zatruwać spokój bliźnim, dozwala się tylko lunatykom, wariatom albo literatom.

Ponieważ Postępowicz był literatem, nie dziwiłem 6ią więc ani temu, że się nie rozebrał, ani temu, że się

co chwilę z kanapy zrywał i po sali spacerował. Owszem, takie zachowywanie się jego pochlebiało mi nawet: wiedząc bowiem, że wszyscy ludzie niepospolitego umysłu najskuteczniej pracują w nocy, byłem prawie pewien, że znakomity wynalazca nowej metody pedagogicznej, pod moim dachem, a co ważniejsza, w moim bezpośrednim sąsiedztwie, spłodzi coś takiego[^] co stanie się dobrodziejstwem dla społeczeństwa, pomnikiem wiekuistej sławy dla autora i w końcu niema- ; łą chlubą dla mnie.

Aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie dalszego ciągu wypadków, zrobimy dwie małe uwagi odnoszące się do rozkładu pokoiów.

Primo. Z sypialni, zajmowanej przez majorowę, szło się do jadalni, później do sieni, stamtąd do sali, a następnie do kancelarii, w której. ja kwaterowałem. ¹ Secundo. Z sali, gdzie spał Postępowicz, wychodziło się na dziedziniec dwoma drogami: albo przez sień i ganek, albo przez kancelarię. Drzwi od ganku były zamknięte.

A teraz ciąg dalszy.

Wędrowka po sali znudziła, widać, pedagoga, spróbował zatem wyjść przez sień i ganek na podwórze; zastawszy jednak drzwi zamkniętymi wrócił i po raz może dziesiąty legł na kanapie. Ale pragnienie szerszych widnokręgów przemogło, widać, nad potrzebą spoczyn-r ku. wstał bowiem znowu i wypowiadam to z całym, uznaniem należnym jego delikatności, jak najciszej przemknął się przez kancelarię. Wierny roli gospodarza domu, chrapałem jak zarżnięty, po wyjściu zaś literata sądząc że ten zapewne dłuższy czas zachwycać się będzie pięknymi widokami natury, stanowczo już po-myślałem o spaniu. .

Czytelnicy w wieku poważniejszym! Wy, którzyście już pozbyli się marzeń i niepokojów młodości ŁaB

szkodliwie oddziaływających" na zdrowie; wy, dla których krew istnieje po to, aby odżywiać, nie zaś aby wypalać organizm; wy, szczęśliwi posiadacze miękkich materaców, ciepłych szlafroków i higienicznych pantofli — powiedzcie, czy zna z was który tańszą, miłszą i mniej skomplikowaną rozrywkę jak sen... Opatrzony w szlafmycę i czyste sumienie, włączysz do łóżka, podkulasz nogi, drżysz niby to „z zimna, a właściwie dla sprawienia sobie przyjemniejszych sensacji i...-usypiasz pomiędzy watą, płótnem i flanelą, myśląc ze złośliwą radością o tych, którzy w obecnej chwili zmuszeni są tłuc się żydowskimi brykami lub tępić pluskwy w numerze jednego z pierwszorzędnych hotelów!...

Przed twym okiem, hermetycznie zamkniętym dla promieni ziemskiego światła, odsłania się pełen tajemniczych powabów świat wewnętrzny. Ileż to uzdolnień i pragnień, z dawna przebrzmiałych i zmarłych, budzi się wówczas w twojej duszy?... A jakie cudowne obrazy!..

Naprzód, wśród ciemności tak czarnej jak smoła widzisz różnokolorowe płatki; potem kółka, esy i floresy — dalej postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne, poplątane z sobą w najdziwaczniejszy sposób, wreszcie obraz główny,

Sni ci się na przykład, że jesteś Bismarckiem. Aaa... co za rozkosz!... Wprawdzie Thiers, w postaci po wiato-; wego sekwestratora, patrzy coś na ciebie okrutnie z boku, a proboszcz, niby to zgniewany o zeszłoroczne siano i skasowanie jezuitów, nie chce z tobą grać w pre-feransa — no! ale za to komornicy, wójci gmin, pisarze, che!... „Panie wójcie — mówisz do jednego — trzeba mi stu tysięcy żniwaków na jutro!" „W ten moment!" —odpowiada wójt i jakby spod ziemi zjawia ci się chmura hełmów i iglicówek. Robisz przegląd, targujesz się, rozdajesz wódkę; ci krzyczą jak opętani, aż wtem Arnim melduje, że woły z Żabichłów wlaży

w twoją pszenicą. Zirytowany do najwyższego stopnia chcesz zwołać parlament i... budzisz się.

Naturalnie, dla przypomnienia sobie tak miłych obrazów starasz się usnąć powtórnie, ale jakoś ci nie idzie. Fantazja spracowana tworzy widoki blade, ponure, a nawet straszliwe, o których jednak nie można powiedzieć, aby były nieprzyjemnymi. Sruł ca się coś, no... coś niezdecydowanego: niby szare, niby zielone — niby pole, niby łąka, a na tym coś... niby kopy, a niby stogi — diabli zresztą wiedzą! Przy tym wszystkim oświecenie bardzo liche; nie możesz się zorientować, gdzie jesteś, czym jesteś i co to tam chodzi między owymi zagadkowymi kupami, które stają się coraz podobniej do grobów... Coś chodzi, ale co?... Strach cię bierze poczynając od łydek; czujesz gorąco w brzuchu, w sercu, w gardle... chcesz uciekać, a nie możesz i...

Między drzwiami sali a moim łóżkiem, wpółoświat- Lona tragicznym blaskiem bezksiężycowej nocy, stoi jakaś figura w bieli, z głową zawiniętą w żółtą chustkę, z wysokości i szerokości podobniejsza do nagrobka niż do postaci ludzkiej... Drżąc na całym ciele, zimnym potem oblany, zerwałem się dźwignięty jakąś nadzwyczajną siłą...

— Aj! aj! aj!... cicho... cicho!... Więc i ty, pułkowniku, ptaszeńku, nie śpisz?

— Ja?... ja śpię!... Co tu? Kto tu?...

— Ach, moja doleńko nieszczęśliwa!... tożem się dopiero musiała przez te parę godzin odmienić, kiedy mnie nawet ty, serce, nie poznajesz...

— Więc to majorowa?... Przebóg! i cóż się stało?...

— Cholerę mam, jak rany boskie kocham — odpowiada płacząc moja przyjaciółka.

— Przywidziało ci się chyba, kochana majorowo — przecież nie słychać o cholery ani w naszych, ani w waszych okolicach.

— Ale Ja mam cholere, hu, hu, Hu!... Posłuchaj tylko, serce, jak we mnie gulgocze, tak jakby kto beczkę po- płukiwał... Nie chciałam budzić tego robaka Socia i przysłam wprost do ciebie... Ratusz duszę moją, pułkowniku, bo ja muszę być jeszcze potrzebna na tym świecie, kiedy mnie Pan Bóg do tej pory zachował...— Tak lamentując uklęka przy moim łóżku.

— A niechże cię milion!... Uspokój się, kochana przyjaciółko... Mam tu krople chroniące na wieczne czasy... albo lepiej, umiem jedno greckie, to jest żydo... chciałem powiedzieć łacińskie zaklęcie od cholery...

— Oj, to! to!... zaknijże mnie, zaknij co prędzej, bo już mi się niewiele należy — błagała majorowa.

— Hum... tego... Ha!... no więc: Terra est rotunda et globosa... Leo est generosus... Lupus est rapax et... et... Quattuor plagae coeli stnt: oriens, occidens, septen- trio! — zaklinałem straszliwym głosem ciężką chorobę mojej przyjaciółki, z trudnością przypominając sobie recepty zamieszczone w Tirocinium Linguae La- tinae.

— Niech ci Bóg najwyższy da zdrowie,, pułkowniku — rzekła po chwili ciągle klęcząca pacjentka. — Jak żyję, nie zażywałam tak skutecznego lekarstwa.

— Więc już czujesz ulgę, majorowo?

— Jakby ręką odjął...

— Właśnie tak być powinno. A teraz idźże, jejmość, do łóżka, okryj się ciepło i śpij spokojnie, chociażby ci jeszcze co zagulgotało.

— Mój... mój pułkowniku... A przeprowadź mnie, serce, trochę, bo się boję sama wracać przez tyle pokojów.

W tej chwili stuknięto w kłamekę. — Ktoś idzie! — szepnęła majorowa tuląc głowę do ; poduszki. ' *

W otwartych drzwiach stanął jakiś człowiek.

— Panie, czy pan śpi? — zapyta} przybyły, w którym poznałem karbowego.

— Czego chcesz?

— A bo, proszę pana, ktoś chodzi koło oficyny, koło rządcowskich okien... A że jak raz jego nie ma w domu, zatem boim się, żeby jakiego złodziejstwa nie było.

— Pod Twoją obronę uciekamy się!... — szeptała z płaczem moja towarzyszka.

— Puść psy! — rzekłem bez namysłu, pragnąc jak najspieszniej pozbyć się gorliwego sługi.

Karbowy wyszedł.

— Jezus... Maria!... co to będzie, pułkowniku?... Spalą nas... zarzną nas... okradną nas!... — krzyczała już bez żadnej ceremonii^ nerwowa osoba

— Wychodź stąd, majorowo, na miłość boską!

W tej chwili na podwórzu wszczął się straszliwy hałas. Podszczute psy ze złowrogim skowytem cwałowały do oficyny, a jednocześnie Wojciech potężnym głosem zaryczał:

— Huzia ha!... łapaj złodzieja!.. Na nogi, chłopcy!... Bywaj!...

— Łapaj!... trzymaj!... — wołali ze wszystkich stron parobcy.

— Łapaj!... trzymaj!..., — zawtórowały dziewczki.

— Panie! w ręce Twoje oddaję duaka mego... — ję- kia majorowa chwytając mnie za szyję. W tej samej chwili uczułem, że jakiś niepospolity ciężar wtłoczył się na całą długość mojego ciała...

— Babciu!... babciu!... gdzie jest babcia? — wrzeszczał zatrwożony Soterek pędząc bosą z sypialni do mego niegdyś tak cichego zakątka.

Rozdział piąty

okazujący gdzie podówczas był i co robił P o s t ę p o t o i c z

Po tej tak niezwykle ożywionej nocy nadszedł dzień, w którym mieliśmy jechać do miasta. Już wyobroczone konie i nasmarowane bryczki, już Kuba drugi raz przychodził na skargę, że mu fornale ukradli plecione biczysko, już wczorajsza moja pacjentka przy współudziale kochanego wnuka zjadła wazę barszczu ze szperką i kartoflami, wypiała kawę i herbatę i zadysponowała befsztyk na drugie śniadanie, a kurczęta na drogę, a jeszcze Postępowi cza nie było.

Nie wątpiliśmy, że jakaś przygoda spotkała amatora nocnych wycieczek, ale jaka i gdzie — nie wiadomo. Na próżno szukano go po stajniach i oborach, nadaremnie badano czujnego sadownika' Szmula. Myśląc, że poszedł do lasu i tam się zbłąkał, rozesłałem konnych z trąbkami i strzelbami; ale gonitwy, trąbienie i strzelanie pozostały bez skutku. W końcu chwyciłem się już kroków desperackich, a chcąc znaleźć chociażby martwe zwłoki wielkiego publicysty, kazałem do stawu zapuścić sieci, a w podwórzu sondować gnojówkę. Lecz nigdzie nie znaleziono ani śladu.

— Nieszczęście! — biadała majorowa — pewno go psy rozszarpały gołąbka. A taki był zdatny, a tak So- cia uczył i do pism pisywał! Ach, pułkowniku, pułkowniku! i po cóżeś tego sierotę kazał psami szczwać?. Zginął, jak amen w pacierzu, zginął, a co najgorsza, zgubił na wieki mego Socia, robaczka — bo jeżeli dziś nie pojedziemy do miasta, na nic cała edukacja tego ptaszka jasnego... Oj! doloż ty moja, pewnie rozszarpany w drobne kawałeczki, nie wiem nawet, jak się pozbiera w dzień sądu ostatecznego!

I płakała a jadła, jadła a płakała zacna moja przy-

Jaciółka. Aż w końcu, znudzony jej rozpaczą, rzekłem:

— Wiesz co, jejmość? Mam przecucie, że Postępowicz się znajdzie...

— I ja mam — wtrąciła Starowina.

— No, to dobrze. Zostawmy mu więc jejmościna wózek z Kubą, a sami z Sociem jedźmy do miasta moją bryczką... Czy zgoda?

— Ach, zgoda, sokole mój. Jedźmy zaraz po śniadaniu, choć, co prawda, niepięknie to wygląda taka krótka wizyta...

---Ależ, szanowna majorowo...

— Tak, tak, serce, i gdyby nie strach o Socia, Bóg mi świadkiem, żebym u ciebie do śmierci przesiedziała, tak mi tu dobrze.

— Hola, Pawełek!... A każ konie założyć do krakowskiego wózka

— krzyknąłem chcąc stanowczo usunąć wszelkie skrupuły majorowej.

Wtem na podwórzu zrobił się jakiś hałas.

— Jest, jest!... — wołano — jest na lipie! A dajcie tam znać do dworu!

— Pan Postępowicz znaszedł się! — zawołał Soterek przybiegając z podwórza.

— Co ty gadasz?... gdzie jest? —• krzyknęła głęboko poruszona staruszka.

— A hen tam, za stodołą, na samym wierzchu lipy... Ot, nawet stąd widać jego kapelusz.

— Ach, nieszczęście, to tak przed psami uskoczył! Pewno nie żyje, kiedy się nie odzywa?

— Teraz już odzywa się, ale czemu to on poprzódy nie wołał, coby jego zdjęli stamtąd? Ot, sztuka!

— Pewno ze strachu oniemiał pś objaśniła babka.

Milczałem pragnąc przynajmniej w ten sposób złożyć hołd cichemu bohaterstwu człowieka, który osamotniony, niezrozumiany[^] nawet w tak krytycznej

chwili jeszcze nie chciał odwoływać się do obcej pomocy. O
wzniosły...

Kto żył, biegł pod lipą; poszedłem więc i ja dźwigając, jak tego
prawa gościnności wymagały, pulchne ramię szanownej mojej
przyjaciółki.

Stanąwszy na miejscu, nie mogliśmy przede wszystkim dość
wydziwić się, jakim sposobem istota bądź co bądź nie obdarzona
pazurami niedźwiedzia albo leniwca mogła wejść na tak potężne
drzewo.

— To chyba czary — szepnęła majorowa.

— Strach wiele może, proszę wielmożnej pani — rzekł obecny
przy tym karbowy Wojciech. — Jak tylko pan poczuł nasze psy za
sobą, to mu wnet i zgrab- > ności przybyło. A zresztą — dodał z
judaszowskim uśmiechem — nie takie jeszcze rzeczy dzieją się mię-
dzy ludźmi...

Usiłowałem nie zważać na te słowa wiernego sługi, którego
niewczesna gorliwość stała się poniekąd przyczyną kłopotliwej
sytuacji znakomitego wynalazcy nowej metody pedagogicznej. Nie
mieszałem się też do rozmów, lecz z największym współczuciem
patrzyłem na wierzch ogromnej lipy myśląc z trwogą, na jak też to
kruchej podstawie opiera się w tej chwili przyszłość młodych pokoleń
naszego społeczeństwa.

Trzymając się oburącz grubej gałęzi drzewa, wy- bladły, zapewne
z bezsenności, siedział Cezar Brutus Napoleon Hiacynt Postępowicz
w pewnego rodzaju widłach, uformowanych przez dwa ku górze
wyrastające konary. Silny i chłodny wiatr bujał nim na wszystkie
strony, wyginał w najrozmaitszy sposób jego fantastyczny kapelusz z
piórkiem, a podwiewając od czasu do czasu poły pięknego
tabaczkowego żakieta, z trudnym do uwierzenia bezwstydem
odsłaniał straszliwą ruinę pozostałych części letniej garderoby
znakomitego wuężnia.

—Panie, panie!... Dzień dobry panu!... A niechaj pan już złazi, bo pora jechać do miasta — wołał nierozwinięty Sotuś sądząc Zapewne, że jeden z członków krajowej prasy periodycznej dla osobistej satysfakcji od kilku godzin huśta się na wysokości kilkudziesięciu stóp nad ziemią.

—Nie mogę, bo mi noga uwięzła— odpowiedział słabym głosem publicysta.

—Trza, żeby kto polazł na drzewo ze sznurami i pomógł panu zejść — odezwał się karbowy. — Bo jak go zamroczy, to pewniakiem kark skreći.

W oka mgnieniu znaleźli się dwaj ochotnicy: Pawełek i owczarczyk, słynni poszukiwacze gniazd wronich, którzy przy współudziale kilku osób stojących na ziemi, dosięgli pierwszych gałęzi lipy i za chwilę znaleźli się obok pedagoga.

—Już! już! — zawołał Pawełek.

—Jedzie, jedzie! — krzyknęli stojący na dole.

i : — A pilnujcie od spodu, żeby nie zleciał — odezwano się z wysokości.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny... — szeptała zamykając oczy majorowa.

—Iii... co mu ta będzie — wtrącił karbowy. — Drze o własnej mocy, aż wióry lecą. Widać, mu nogę przyszczypnęło, a nie mógł se sam wydobyć.

—Dalejże go razem... hop! — krzyknęli parobcy chwytając zsuwającego się pedagoga.

—Chwałaż ci, święty Antoni! — zawołała majorowa obejmując za szyję ocalonego literata, Ach, jak ja się modliłam za ciebie, mój ty ptaszeńku!

Nastąpiły powitania, po których staruszka zaczęła na nowo:

—Ach, ja nieszczęśliwa, czy pan tak na drzewie zdarł ubranie?

Aaa... wszystko na nic, jakby kto rozpalonym żelazem wypiekł.

Aaach, zemdleję!... i krew

widać... Na czymżeś ty takim ostrym siedział, panie Postępowiczu, rybeńko?

— To tak te psy podłe — mruknął przygnębiony literat

Pozbawiona delikatniejszych uczuć czeladź moja dusiła się ze śmiechu.

Wsparty na ramionach Socia i Pawełka, przechodził zwolna dziedziniec znakomity chory rzucając melan- choliczne spojrzenia na jedno z okien oficyny, w którym przystojna i nieczuła ekonomówna Różia śmiała się jak opętana, zasłaniając twarz chustką.

Gdyśmy już wrócili do domu, Sotus kładąc na stołku miękką poduszkę rzekł do swego nauczyciela: 1— A pan to tak zrobił: przykazywał mi, coby ja niczego się nie bał, a jak sam, to aż na drzewo wkarabkał się, żeby jego psy nie roztargały. Ot, sztuka!

Szczyście, publicysta zanadto wiele posiadał uczucia własnej godności, aby odpowiadać na tak płytki i niesmaczny zarzut Spojrzał tylko | najwyższą pogardą na swego lekkomyślnego ucznia i usiadł na poduszce z całą przezornością, jakiej wymagał opłakany .stan jego zdrowia.

Majorowa wzięła mnie na stronę.

— Uważałeś, pułkowniku, jak on spojrzał na mego Socia?

— Aaa, tak, trochę...

— A może który pies jest wściekły? Żeby on się czasem nie wściekł!...

Ruszyłem ramionami. Widocznym było, że stara dama nie domyślała się nawet istnienia owego nimbu, który w tej chwili otaczał blade czoło pokąsanego literata.

\Rozdział szósty

to którym mówi się o podróży do miasta i o rzeczach mających z nią związek

I Powierzywszy literata pieczołowitym staraniom Kuby — ja, moja przyjaciółka i jej mało rozwinięty wnuczek, dzięki usiłowaniom Ignacego, po ośmiogodzinnym ruchu docieraliśmy do miasta. Dla wiadomości osób interesowanych zaznaczam, że podróż tę sam odbywałem zwykle w ciągu niecałych sześciu godzin.

W trudnym znalazłbym się położeniu, gdyby mi kazano opisać dzieje grodu, który w obecnej chwili rozciąga się przed moimi oczyma. Bo naprzód: kto go założył? Prawdopodobnie nikt. Tego rodzaju miasta powstają przypadkiem, nie wiadomo skąd i dlaczego, jak grzyby po deszczu. Zdaje się, że ktoś, chcąc grubo zażartować z architektury, wybudował ratusz z wieżą zakończoną drutem, na którym osadził drzwi od starej pułapki, imitujące chorągiewkę. Zobaczywszy to pradziadowie dzisiejszych mieszkańców rzekli: „Spróbujmy...”, i nie mając nic lepszego do roboty, wznieśli kilkanaście domów, które prawnicy ich ozdobili wszystkimi kolorami tęczy. — Tym sposobem architektoniczne próbki ojców i malarskie ćwiczenia dzieci utworzyły spory brulion, obecnie nazywający się miastem.

Z czasem i za łaską bożą porobiły się studnie, płoty, ulice i nocni stróże; później municypalność, bruk, latarnie i mostki na rynsztokach, a dziś jest tam już powiat, obraz cudowny, gimnazjum, prywatna pensja męska i projekt obywatelskiej straży ogniowej.

— Ignacy, serce, Ignacy! stój, stój, rybeńko... — zawołała w tej chwili, nie wiem już po raz który, szanowna dama.

— Co się stało? — pytam obudzony z marzeń nagłym (jakby powiedział Socio) staniem bryczki.

— Niestety. Czy nie widzisz, pułkowniku, że z fuzji znowu kłak wyleciał? Zatkaj, serce, żeby nie wystrzeliła...

— Ależ, kochana majorowo, dziwaczysz. Tyle cię razy zapewniałem, że fuzja nie nabita.

— Co to znaczy! Zejdź no, Sociu, ptaszeńku, i poszukaj kłaka, bo zemdleją!...

— Może pozwolisz, majorowo, sianem zatkać? Wszakże to wszystko jedno.

— A zatkaj sobie, czym chcesz, bo inaczej nie podobna będzie jechać. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, a o nieszczęście nie trudno. Pamiętam, że kapitan Wiatrakiewicz, co to zabił żonę w roku 1829, zawsze gadał, że pistolet nie nabity. Ach! po coś, serce, pułkowniku, brał tę fuzję?

— Racz sobie przypomnieć, kochana majorowo, żeś sama mi ją kazała zabrać. Ja zwykle bez broni jeżdżę.

— No, kazałam, zaraz: kazałam! Ja nie kazałam, bo ja tobie nic do rozkazania nie mam, tylko prosiła. A zawszem taki mówiła, żeby zatkać.

Zwyciężony tą nagłą zmianą frontu, co w logice niewieściej praktykuje się bardzo często, zatykam fuzję sianem i znów zaczynam rozmyślać o mieście, do którego dojeżdżamy.

Wielka obfitość wody zaskórnej w tych okolicach sprawia, że trzydzieści pięć procent dzieci rodzi się z wodą w głowie, a czterdzieści procent osób dorosłych umiera na wodną puchlinę. -

Wiesz, serce — mówi mi w tej chwili staruszka — że ta oto karczma wcale mi się nie podobała. Nie nocowałabym w niej za żadne skarby świata... Oni tu pewnie zarzynają podróżnych i ciskają do studni; na własne oczy czytałam, że w Londynie był taki wypadek.

— Hum, hum! — odpowiedziałem patrząc na bru-

dną i odrapaną karczemką, z której w tej chwili wyszedł jakiś oberwaniec, twarzą i ruchami przypominający suchotnika uwolnionego ze szpitala z powodu braku funduszków na koszt pogrzebu.

— Ach, moja doleńko, żeby on czasem nie chciał się na nas rzucić... A może jaki jego kamrat uczepił się pod bryczką? Czytałam, że w Paryżu zbójca zaczął się pod powozem i wszystkich pozabijał. Ach. pułkowniku, pułkowniku!... i dlaczegoś ty fuzji nie nabił jadąc w drogą?

— Babciu! — woła Soterek — a niech babcia przykaże, coby Ignacy stanął, to popatrzymy, jak uzary musztrują się...

— Stój, stój, Ignacy! — woła babka, z zajęciem patrząc na błotnisty plac, gdzie jeźdźcy poili i czyścili konie.

— Babciu!... ja postąpię do uzarów. Czort mnie tam po tych wszystkich uczeniach...

— No, jeśli chcesz, moje dziecko, to pójdziesz. Poprosimy pięknie pułkownika, to ci miejsce wyrobi. .. — Ruszaj, Ignacy! — zawołałem.

Jedziemy parę minut wcale przyzwoicie.

— Babciu! babciu! — woła znowu Soterek. — Widzi babcia to oto... tam hen... to pewnie prochownia.

— Jezus Maria!... A ciśnijże, pułkowniku, cygaro, bo jakby iskra padła, to byśmy zginęli na wieki.

— Nie bredziłabyś też, majorowo — odpowiadam już trochę znudzony. — Gdzie Krym. gdzie Rzym?... Któż słyszał, aby iskra od cygara podpaliła budynek o kilkaset kroków odległy?

— Zawsze siano w bryczce zapalić może, a nawet i prochownią. Alboż to raz prochownia się spaliła? Sama czytałam, że jak gdzieś tam piorun uderzył w amunicję, to wszystkich robotników i szyldwachów na kawałki porozrywało. Ach, ja nieszczęśliwa!...

Dojeżdżamy do rogatek; Ignacy zatrzymuje konie, a różowonosy poborca, fanatyczny zwolennik szkoły spirytualnej, niepewnym krokiem zbliża się do bryczki po odbiór kopytkowego w ilości przez ustawę przepisanej.

— Ach, nieszczęście, pewnie nas wezmą do rewizji, a w koszałce jest akurat kiełbasa wędzona — szepcze wybladła ze strachu majorowa.

— Upadam do nóg wielmożnemu panu! — mówi uprzejmy celnik poddając się w tej chwili tak gwałtownemu ruchowi, jakby istotnie miał zamiar wykonać swoją pogrózkę. — Oho!... i żonę pan dobrodziej wiezie? Phy!... i synka?

— A nie ma u was cholery w mieście? — pyta moja przyjaciółka, z dziwną sympatią wpatrując się w kolorowy nos prywatnego oficjalisty.

— Była, proszę wielmożnej pułkownikowej, była pod naszą roгатką. Ale jakem się do niej zabrał!...

— Ruszaj, Ignacy — rzekłem oddając pieniądze energicznemu stróżowi bramy miejskiej.

— A to ode mnie, serce, za dobre słowo — mówi majorowa wręczając jakiś mały upominek zdenerwowanemu słudze instytucji społecznych.

Zwolna ruszamy przy akompaniamencie błogosławieństw dobrego celnika, których część głuzył turkot bryczki.

— Konsolacji... zdrowia... niech Bóg najwyższy... w późnym wieku!...

— Uważasz, serce, jakie on niestworzone głupstwa wygaduje? — mówi do mnie sąsiadka takim tonem, jakby oczekiwała najenergiczniejszych zaprzeczeń z mej strony.

— Pijaczyna! — bąknąłem, z trwogą myśląc o fałszywych wnioskach nietrzeźwego poborca. .

— Proszę pana, a czy tutaj zajedziemy? — pyta

Ignacy ukazując malowanym biczyskiem jedyny hotel w mieście.

- Zajeżdżaj!

Ledwie bryczka stanęła w sieni, wnet otoczył ją rój faktorów.

—Może państwo kupują mydło, skarpetek, szelek, perfumy?...

Wszystko mam i tanio sprzedaję! — woła jeden.

—Idź ty! — przerywa mu drugi. — Państwo pewnie zboże mają na sprzedaż? Ja dam kupca...

.—i Państwo synka przywieźli do g u m n a z j e? Nu_p to ja państwowi dam stancje, bardzo tanie i bardzo porządne BE5 upewnia trzeci.

—Na bok, szachraje! — zawołał w tej chwili gospodarz hotelu. |pf Państwo pozwolą numer? Józef! Józef! a otwórz tam pierwszy numer i zejdź po rzeczy... Och, Maryja!

Wysiadłszy z należytych ostrożnościami i prawie gwałtem uwolniwszy się od uprzejmych pośredników mojżeszowego wyznania, weszliśmy na korytarz. -Oto jest numer! Łóżko dla państwa, kanapa dla synka, komoda, umywalnia... |f|g recytuje usłużny gospodarz takim tonem, jakim by zapewne grzeczny kat mówił do dobrze wychowanego pacjenta: „Tu bądź pan łaskaw położyć szyję, a tu racz rzucić głowę, kiedy ci ją odetnę...”

—Proszę dla siebie o pokój oddzielny — odzywam się. — Tu stanie pani majorowa z wnuczkiem.

Uprzejmy właściciel hotelu skłonił się bez żadnych oznak zdziwienia lub niedowierzania.

—Daj, panie gospodarzu, rybeńko — mówi promieniejąca moja przyjaciółka —. 'osobny numer dla kochanego pułkownika, ale taki, żeby od naszego pokoju do jego można było drzwi otworzyć. Czy jest taki?

—Jest, pani dobrodziejko, och, Maryja!... Oto te

drzwi, prowadzą do numeru drugiego, gdzie będzie mógł zanoćować pan pułkownik[^] — odpowiada wyrozumiały gospodarz z miną człowieka, który potrafi szanować cudze tajemnice i gwałtem Odpycha wszelkie domysły mogące nie podobać się gościom.

— Hej, panie Markierowicz! -f||woła w sieni jakiś jegomość. A czy nie ma jeszcze furmanki z Psich Dołów?... Aaa, kogóż to ja widzę? kochany nasz pułkownik! — Mówiąc to przybyły rzuca mi się w objęcia.

Hj Kochanego pana Gadulskiego! Ml- odpowiadam przybyłemu, w którym poznałem bardzo dawną znajomość.

Gadulsiu, serce — wtrąca majorowa — a mnie to nie poznajesz? Toż to ja...

— Szanowna majorowa dobrodziejka? A poznałem, poznałem! — wykrzykuje rozrzewniony gość całując tłuste ręce starej damy. ||| Kope lat jużesmy się nie widzieli... No. ale wejdźmy do numeru, bo już zwracają na nas uwagę.

— Toś nam. ntaszeńku, spadł jak z obłoków, a akurat jesteś potrzebny — mówi jejmość siadając na kanapie.

— Ja zawsze jestem potrzebny — odpowiada przybysz z miną człowieka uznającego w sobie pewną wartość. — Ale o cóż to chodzi?

— Przywiozłam tu mego wnuka, Socia, którego, z trzeciej klasy, nie wiem za co, wy... to jest, nie przyjęli Mam wielki kłopot z tego powodu i chciałam się właśnie z panem nasadzić — mówi ze skromnym zakłopotaniem czcigodna matrona.

— Ooo... z największą chęcią poradzę pani, i to poradzę dobrze, tak jak to ja umiem, ale... nie dziś i nie jutro. Dziś muszę być na dwu radach rodzinnych w mieście; a jutro na jednej na wsi. Bo wyobraźcie sobie państwo, że niech się tylko komu w naszych stro-r

nach podoba umrzeć, wnet mnie mianują głównym opiekunem dzieci, żony i całej rodziny. Tak mi ufają ludziska, a nie wiem nawet za co!

— Za to, żeś uczciwy, mój Gadulsiu, żeś uczynny... Tak z tobą zawsze bywało od niepamiętnych lat — wtrąca babunia Soterka.

— Ciężki to kłopot dla człowieka z takim sumieniem jak moje — ciągnął Gadulski. — Jednego musisz do szkół oddawać, o innego się procesować, tej sprowadzaj mamkę, bo biedactwo zębów jeszcze nie ma, tamtego znowu żeń albo co gorsza, trumnę mu zamawiaj. Bo to, panie dobrodzieju, niektórzy z moich wychowańców postarzelisi już, a ja jeszcze dbam o nich przez głupie moje serce. Ot i w tej chwili muszę iść na nową radę...

— A na miłość boską, nie odchodź, rybeńko! — woła struszka — bo muszę z tobą koniecznie o Sociu pogadać, a czas tak krótki...

— Nie podobna, pani dobrodziejko! — odpowiada miłosierny Gadulski. — Chętnie wezmę pod opiekę wnuczka pani, ale dopiero pojutrze. Dziś muszę zająć się tymi, którzy mnie zobowiązali wcześniej.

— Bój się Boga, serce, tożes ty jego' opiekun dawniejszy niż tych wszystkich — mówi już na pół z płaczem majorowa.

- Ja?... ja?... — zapytuje Gadulski takim tonem, jakby mu ktoś zarzucił występki fałszowania biletów kredytowych. — Ależ ja to kochane dziecko pierwszy raz widzę, jak żyję!...

— Jak to, pierwszy raz?... Przecież syn mój, nieboszczyk Ksawcio, umarł na twoich rękach i nawet zapisał ci parę ty się...

— Tak, tak! — potwierdza przybyły. — Onegdaj także jeden z moich przyjaciół oddał Bogu ducha w mojej obecności..

—No, więc Ksawcio mnie i tobie przekazał syna swego Socia, a nawet mnie zaklinał, ażebym- nic nie robiła bez twojej porady. Ja cię szukam od dawna, aleś ty tak gdzieś przepadł jak kamień w wodzie.

—No, proszę? Tak, tak, pamiętam teraz — mówi zakłopotany opiekun. -9To to on?... Jak wyrósł, jak wyładniał, czysty wizerunek Ksawcia, po ciemku bym go poznał. Mój Boże! tak często myślałem, co się dzieje z tym ukochanym chłopcem... Chodźże w moje objęcia, Klimciu... to jest, Sociu — ciągnie dalej, obejmując brudną szyję pupila. — Tażem to ja dla ciebie drugi ojciec... O, przy mnie nie zginiesz, ja cię wykieruję na ludzi... ale dopiero pojutrze, bo dziś, na honor, nie mam czasu. Muszę iść na radę familijną, bo czekają na nas z kola... chciałem powiedzieć z niecierpliwością...

—Cóż ja teraz pocznę, nieszczęśliwa? —jęczy stroskana babka.

-r- Może kochany pan raczy zajść dziś do nas po kolacji na' lampeczkę wina? — pytam nieśmiało zacnego protektora sierot.

—Hum!... może... jeżeli mi czas pozwoli. A o której godzinie?

—Kiedy szanowny pan będziesz wolny — odpowiadam

—Ooo... to zależy od pułkownika dobrodzieja. Ja będę cały wieczór wol... to jest, będę się starał...

—No, to za dwie godziny. A może byś pan przyprowadził z sobą kilku znajomych, takich oto ludzi uczciwych i rozsądnych, to byśmy pogadali razem?

—Owszem, owszem, kochany pułkowniku... Nigdy nie odmawiam rady i opieki wdowom i sierotom — mówi wzruszony Gadulski. — Za dwie godziny z pewnością przyjdę, a teraz żegnam państwa.

Powiedziawszy to, z największym rozczeniem uści-

skął babcię i Socia i zapewnił ich o dozgonnej przyjaźni i szacunku; mnie zaś szepnął przy wyjściu do ucha:

—Dzięki Bogu, że mamy interes z kochanym pułkownikiem, bo staruszka diabelnie skąpa i z pewnością dałaby nam liche wino.

—To rzadkiej zacności człowiek — mówi moja przyjaciółka, gdy się już za gościem drzwi zamknęły. — Co za serce, co za dusza... O, bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

Tak tedy znaleźliśmy już jednego, i to dobrego członka rady rodzinnej.

Rozdział siódmi; z którego do m'y i li ć by się można przyczyni szkolnych niepowodzeń Socia

Tego samego dnia o godzinie ósmej w numerach połączonych zjawił się punktualnie Gadulski w towarzystwie trzech bardzo poważnych osób, które, według jego światłej i bezinteresownej opinii, miały niezaprzeczone prawo decydować o losie Soterka.

Nastąpiły prezentacje.

—Mam zaszczyt — mówił szlachetny Gadulski — przedstawić państwu moich szanownych i uczonych przyjaciół. Oto pan Zakuwalski, nauczyciel przedmiotów matematycznych na pensji...

—I jeografii! — dodaje prędko chudy, źle ubrany, z pałającymi oczyma człowiek, takim tonem, jakby od jego wykładów zależała jednostajność wirowego ruchu ziemi

Z głęboką i niekłamaną czcią ja, majorowa i Socio uchyliłiśmy głowy w kierunku pieca, gdzie uplacował się jeden z przedstawionych nam kapłanów wiedzy.

—Pan Priamowski! — ciągnął usłużny Gadulski — nauczyciel historii i łaciny w zakładzie pana...

—Historii starożytnej i języka łacińskiego — uzupełnił starannie ubrany mężczyzna, widocznie wiele dbający o utrzymanie w kierunku normalnym swej jajowatej głowy, osadzonej na niezwykle długiej i cienkiej szyi. Rozumie się, że słysząc to, składamy jeszcze głębszy ukłon.

—Za chwilę — mówi dalej niezmordowany opiekun nieletnich tym samym pełnym namaszczenia głosem — przybędzie tu pan Gamadeltowicz, emeryt, głośny badacz języka greckiego, mąż wielkiej nauki, prawdziwa ozdoba miasta.

—Należałoby powiedzieć: ozdoba całego kraju — poprawia właściciel długiej szyi.

Tym razem, nie wiedząc, co począć, ja ukloniłem się Sociowi, majorowa Gadulskiemu, a trzech świeżo przybyli panowie — komodie, na której ustawiono butelki.

—A to — kończy rekomendacje zacny Gadulski — jest pan Pieprzkowski, szanowny kupiec i obywatel naszego miasta.

—Właściciel handlu win, korzeni i towarów galanteryjnych — dodaje niski i gruby jegomość z twarzą podobną do kolorowej piłki i bardzo sympatycznie uczesanymi włosami.

—Niechże panowie będą łaskawi spocząć — mówi uprzejma majorowa do ciągle kłaniających się członków doraźnej rady rodzinnej. — Jakże mi przykro, że nie mogę panów przyjąć we własnej chacie.

Na te słowa obecni wyrzucili z płuc po kilka wykrzykników przeznaczonych prawdopodobnie dla uzewnętrznienia głębokiej bólesci, jakiej doświadczają z powodu smutku gospodyni i innych od nich niezależnych powodów. Następuje regulowanie krzeseł

i zajmowanie miejsc, w trakcie czego kupiec i obywatel miasta szepnął do mnie:

— Pan pułkownik dobrodziej wziął wino od Gold- szwajna?... Na uczciwość, nie będę mógł pić tej mikstury, myśląc, że mi dziś akurat przysłano beczkę węgierskiego.

— Jaka szkoda — odpowiadam.

— Przysłano mi także ag- ciągnie kupiec — pakę kamaszy i rękawiczek warszawskich, trzydzieści głów cukru i sto funtów herbaty. Prócz tego w handlu moim znajdują się księgi gospodarskie, salami, papier stemplowy...

— Pozwólcie, panowie —' przerywa troskliwy Ga- dulski — przedstawić sobie wnuczka i wychowańca czcigodnej pani majorowej, Sotera Moździerznickiego.

— Hum! hum! — mruknęli uczeni członkowie rady patrząc i góry na Socia, który przez ten czas z gorączkowym zapalem usiłował wepchnąć guzik od surduta w dziurkę od kamizelki.

— W której był klasie? !=g pyta uczony znawca łaciny, a zarazem posiadacz jajowatej głowy.

— Aż w trzech, szanowny panie — odzywa się babka bardzo wzruszonym głosem.

— I chce wejść do której? —| zapytuje w dalszym ciągu starożytnik, z całą uwagą przypatrując się sufitowi, jak gdyby stamtąd oczekiwał odpowiedzi.

— Otóż tego nie wiem, łaskawco, czy mam go już oddawać do szkół, bo... bo... — Tu. nagle ucięła szlachetna moja przyjaciółka czyniąc przy tym ruch taki, jakby miała zamiar utrzyć nos frędzlami swojej mantyli,

—| Aha, rozumiem — wtrącił matematyk. 2yczysz więc sobie, pani, aby jej wnuk był wyegzaminowany z matematyki?

— Sądzę — przerwał łacinnik — że pani pragniesz

swego wnuka poddać egzaminowi z języków starożytnych?

— Od lat dziesięciu nie mówią do siebie — szepnął mi Gadulski.

— Pokłócili się o liczebniki, ale obaj znakomici ludzie, słowo honoru...

— To jest — mówi niepewnym głosem majorowa — ja chciałam się panów poradzić, co z nim zrobić?

Usłyszawszy to obaj uczeni widocznie mieli 'zamiar spojrzeć na siebie ze zdumieniem; dość wczesna jednak refleksja* sprawiła, że się jednocześnie odwrócili do siebie tyłem.

— Chciałam się dowiedzieć — ciągnęła majorowa — jakie zajęcie czy też jaki fach jest teraz najlepszy, żeby już raz chłopca postawić na jakiejś drodze.

— Rozumiem — objaśnia matematyk — chodzi więc o przekonanie się, o ile też umysł dziecka jest rozwiniętym?

— Zapewne — przerywa filolog — życzysz sobie pani poznać, o ile jej wnuk skorzystał z pracy szkolnej?

— Tak, właśnie! — uzupełnia majorowa — chciałabym go oddać do pracy, żeby już chłopak zaczął być i sobie, i ludziom pożyteczny, i Bogu miły, bo te tam wszystkie... nauki na nic się nie zdadzą! Tym razem krzewiciele oświaty na znak zdumienia jeszcze energiczniej odwrócili się tyłem do siebie, co widząc niecierpliwy Gadulski rzekł:

— Szanowna pani majorowa porzuciła już myśl oddawania wnuczka, a mego kochanego pupila do szkół, chce więc zapytać nas, jaki zawód w dzisiejszych czasach uważamy za najlepszy dla młodzieńca w jego wieku...

— Tak, właśnie — potwierdziła babka.

— Do kupca!... do kupca!... — mówił półgłosem właściciel handlu win i korzeni.

— Aha — przerywa matematyk — rozumiem! Chodzi zatem o to, aby się przekonać, do czego jest najzdolniejszy? .

— To, to, to! — potakuje stroskana majorowa.

— No, jeżeli o to tylko chodzi, to zaraz się dowiemy — przerywa matematyk. — A przynieś, mały, tabli... to jest, papier, pióro i atrament

— Sociu, tu widziałam, na komodzie — zachęca majorowa wnuczka nie zwracając uwagi na ironiczne grymasy łacinnika.

Zamiast szukać żądanych efektów, przerażony Socio I począł rozpinąć wszystkie po kolei guziki od kamizel- [ki. Nie wiadomo nawet, na czym by się skończyły te przygotowania egzaminacyjne nierozwiniętego młodzieńca, gdyby go nie wyręczył przytomny Gadulski, który w okamgnieniu znalazł i na stole ustawił wszystko, co do naukowych poszukiwań okazywało się niezbędnym. Nastąpiła głęboka cisza.

— Zaczniemy od arytmetyki — rzekł matematyk. — Zadam ci przykład. Uważaj, mały, i pisz. Jeżeli 13^{10} /ir żołnierzy kończą pewną podróż w ciągu 20^5 /a godzin — to 47^t /ss żołnierzy w ile godzin tę samą podróż ukończą?... Uważaj, mały!... z źle napisałeś, 2 źle napisałeś i y źle napisałeś. Powtórz zadanie.

Socio milczy i jak najostrożniej obraca pióro w rękach.

— Czy zrozumiałeś, mały? — pyta gwałtowny egzaminator udając, że nie zwraca uwagi na wymowne grymasy filologa.

— No, Sociul — odzywa się babka — nie rób sobie wstydu. To przecie wiesz, bo twój dziadek był w wojsku.

— Ułóż proporcją, mały — zachęca źle ubrany matematyk Socia, który przy wyrazie ułóż rzucił tak

rozpaczliwe spojrzenie na jedno z niezajętych krzeseł, że aż nerwową jego babkę przeszedł dreszcz konwulsyjny. — No — ciągnie matematyk tylko śmiało! x do $20^5/e$ jak... A może wolisz przez rozumowanie?

— Nie rozumiem — odpowiada nieszczęśliwy pacjent.

— Uważaj, mały — prawi popędliwy egzaminator — uważaj, to powtórzysz... Jeżeli $13^{10}/i7$ żołnierzy odbywają podróż w ciągu $20^5/e$ godzin, to jeden żołnierz odbędzie ją w czasie $13^{10}/i7$ razy krótszym, a $47^{12}/ss$ żołnierzy odbędą ją w czasie $47^{12}/ss$ razy dłuższym...

—; Pan profesor pozwoli zrobić jedną uwagę? — « wtrącił kupiec, na którego okrągłej twarzy malował się najwyższy podziw, zapewne dla ścisłych rozumowań źle ubranego mężczyzny.

— Za pozwoleniem! przepraszam! — protestuje energiczny matematyk. — Omyliłeś się, mały — dodaje, groźnie patrząc na Socia. — To nie będzie tak, ale tak... Uważaj!... Jeżeli $13^{10}/i7$ żołnierzy odbywają podróż w ciągu $20^5/e$ godzin, to jeden żołnierz odbędzie ją nie w czasie $13^{10}/i7$ razy krótszym, ale dłuższym... Oto tu jest węzeł kwestii, teraz zapewne rozumiesz? A $47^{18}/ts$ żołnierzy odbędą ją...

— Panie dobrodzieju — odzywa się stara przyjaciółka najpokorniejszym głosem — ja nieraz z moim mężem, który był majorem piątego pułku piechoty, jeździłam do Warszawy na manewra i zawsze obserwowałam, że czy to jeden, czy stu żołnierzy — to jednakowo idą...

— Ale bo to, widzi pani, był przykład na ułamki i proporcje — objaśnia bardzo niepewnym głosem wyrozumiały matematyk.

— Nic nie stanowi — wtrąca kupiec przybierając

może nazbyt poufałą postawę wobec tak znakomitego uczonego.

— Ach, bodaj to — zawołał nagle wzruszony uczeń Euklidesa — omyliłem się!... Tak jest, macie państwo poniekąd rację, ponieważ ja mówiłem o żołnierzach, ale myślałem o koniach...

— Z końmi toż samo, panie dobrodzieju — odzywa się majorowa.

^r- Jeden diabeł — potwierdza kupiec wsuwając ręce w kieszenie i wyciągając swoje krótkie nogi w kierunku nóg głębokiego matematyka.

— Bardzo żałuję — szepcze do mnie Gadulski — że nie znam wyższych rachunków. To piękna nauka!

Przez czas trwania tej uczonej dysputy biedny Socio, jakby rozumiejąc całą trudność swojej pozycji, prze- stępował z nogi na nogę, otwierał i zamykał gębę tudzież poprawiał rozmaite części swej garderoby przypuszczając zapewne w błogiej nieświadomości, że wcześniej lub później badania naukowe spowodują niejaki modyfikacje w jego świątecznym stroju.

— No, mniejsza o to — odzywa się po chwili milczenia matematyk. — Uważaj, mały, zadam ci pytanie z geometrii.

— Uważaj, serce — powtarza babka, wysoce zaniepokojona dźwiękiem prawie obcego jej wyrazu.

— Czy znasz, mały, koło?... Koło, rozumiesz? — ciągnie dalej niespracowany egzaminator.

— Koło jeziora... z wieczora... chłopcy biegali i na żaby czuwali... — odzywa się Socio po głębokim namyśle.

Babka triumfowała.

— Bój się Boga, chłopcze, co ty gadasz? — woła przerażony matematyk. — Ja się ciebie pytam o koło z geometrii, o geometryczne własności koła!

— Sociu, serce, Sociu, uspokój się, odpowiadaj uwa-

źnie — zachęca majorowa Socia, z miną osoby, która nagle straciła wiarę w nieprzenikliwość podłogi i wytrzymałość krzesła.

— Własność koła, koła z geometrii! — powtarza nie- litościwy inkwizytor.

Nieszczęsny Socio milcząc wpycha obie ręce za kołnierz od koszuli, jakby chciał samobójstwem uwolnić się od dalszych męczarni.

Nagle oblicze stroskanej majorowej rozjaśniło się tak niezwykłym blaskiem, jakby w tej chwili rozwiązała jakąś trudną i męczącą zagadkę, coś w rodzaju ogólnego rozwiązania równań stopni wyższych nad czwarty. Nie czekając też na dalsze pytania gniewnym głosem zawołała:

— Aaa, pfe, serce, Sociu, bardzo pfe, żeby takiej rzeczy nie wiedzieć. Tażby tobie Kuba nawet powiedział, że Koło to jest własność geometry pana Sznurowicza. -

— Władysława Sznurowicza?... znam go — wykrzyknął Gadulski, niezmiernie kontent, że raz przynajmniej może przyjąć udział w rozprawie z dziedziny nauk ścisłych.

— Co też państwo wygadujecie? — odzywa się kupiec głosem, w którym drgało poczucie swej wyższości. — Przecież pan profesor nie pytał, czyją własnością jest wieś Koło, ale jaką ma własność koło, no... te koło zwyczajne, okrągłe...

— Tak, tak — potakuje matematyk, rad, że może pochwalić człowieka, który przed chwilą zdawał się podejrzewać gruntowność jego wysqce zawikłanych rozumowań.

— A co? widzicie państwo — ciągnął kupiec. — Pan mówił o kole zwyczajnym, no, a koło zwyczajne to ma taką własność, że się obraca.

— Ależ nie! — przerywa matematyk.

Jak to, nie? — zapytuje urażony kupiec.

Przez cały czas sporów najciekawszym było zachowywanie się uczonego znawcy łaciny, a zarazem posiadacza dziwnie uformowanej fełowy. Znakomity ten przeciwnik matematyki — którą znosił tylko przez sympatią dla liczebników — od początku dyskusji uśmiechał się, wysuwał wargi, podnosił oczy na sufit i wyciągał niecierpliwie nogi za każdym odezwaniem się swego szlachetnego antagonisty. Na odwrót znowu, z całym zapałem potakiwał każdemu wystąpieniu opozycji, co czyniło taki efekt; jakby wiatr bujał masztem, na którym dla niewiadomych celów osadzono kawona. Aż nazbyt widocznym było, że te stronicze manifestacje w wysokim stopniu oburzają poczucie sprawiedliwości w popędliwym reprezentancie miejscowej wiedzy matematycznej, który po ostatnich słowach przedstawiciela klasy handlującej uniósł się, chwycił kałamarz i miał wyraźny zamiar cisnąć go na starannie -uczesane włosy kupca- sądząc zapewne, że tym sposobem da najdotkliwiej uczuć swoje niezadowolenie jajowatej głowie triumfującego łacinnika.

Nie wiem, do czego by doszło w szanownym zgromadzeniu osób radzących o przyszłości. Soterka, gdyby nie zażegnało burzy przybycie nowej osoby. Był to pan Gamadeltowicz.

Znakomity ten, jakkolwiek niski, zgarbiony i żółty staruszek cicho wsunął się do numeru, podejrzliwie oglądając zebranych i gwałtownie ściskając w rękach jakąś starą i podartą księgę, którą po zajęciu miejsca natychmiast otworzył.

— Mamy tu kandydata do egzaminu, niejakiego Moździerznickiego — rzekł cienkoszyi Priamowski.

— Czy nie Ksawery? — zapytał przybyły podkreślając coś ołówkiem w starej księdze..

— To syn Ksawcia. Ksawcio już nie żyje... Pan do-

brodzi ej znał Ksawerego? — pyta głęboko rc-zrzew- I niema majorowa.

■— Straszny osioł był, czy i syn taki? — pyta nie I podnosząc oczu od książki stary uczony struchlałej na I ten raz mojej przyjaciółki.

— Co też szanowny profesor tak czyta? — zagad- I nął szlachetny Gadulski pragnąc widocznie zatrzeć nie- I fortune wspomnienie o nieboszczyku.

— At, znalazłem jakiś dawny dykcjonarz grecko-ła- I ciński i koryguję go po trochu, kiedy mi czas pozwą- I la — odpowiedział czcigodny badacz znacząc coś" ołówkiem.

— Pan dobrodziej tak do druku przygotowuje? — wtrącił kupiec, poprawiając chustkę na szyi, jak człowiek, któremu nieobcą jest filologia.

— Iii nie, — odparł poważny korektor. — To tak sobie... dla własnej satysfakcji!

Odpowiedź ta nie zdawała się, widać, dość jasną właścicielowi handlu win i korzeni, zwrócił się bowiem do mnie pokazując palcem na czoło z gestem, którego znaczenia przez delikatność nie chciałem się domyślać.

— Dużo też szanowny kolega znalazł dziś błędów? spytał łacinnik.

— Kilka!... Napisali na przykład spiritus asper przy wyrazie Athena, co jest grzechem wołającym o pomstę do nieba. W ho antropos postawili nad omegą accentus circumjlexus, co jest po prostu błazeństwem. No, i w wyrazie ho archon napisali omikron zamiast ro..i a zresztą nie wiem — może się ogonek zatarł, bo to książka była widocznie w rękach jakiegoś hultaja, który jej nawet od zniszczenia zabezpieczyć nie umiał — mówił bolejącym, głosem znakomity uczony.

— Może szanowny kolega raczysz wyegzaminować tego malca? — spytał znowu łacinnik posiadający, cienką szyję.

—MoździerznickL.. czy to warto zachodu? — szepnął starzec odwracając kartkę grubej książki.

—Zapewniam kolegę, że młodzieniec ten nie jest bynajmniej zakutym maateemaatykiem! — rzekł pan Priamowski i przechylił się w tył tak gwałtownie, że aż majorowa krzyknęła, prawdopodobnie lękając się, aby ten nagły ruch nie naraził iajowatej głowy zlatynizowanego protektora jej wnuczka.

Rzeczywisty matematyk zzieleniał.

Aaa... Więc zdał z łaciny? — mówi jakby do siebie lubownik starych dykcjonarzów.

— Jeszcze nie, ale nie zdał z matematyki — objaśnił uszczypliwy Priamowski. ,

— Jeżeli tak, to co innego! Bądźże, kolega, łaskaw przesłuchać go z łaciny. — To powiedziawszy pan Ga- madeltowicz znowu odwrócił kartkę.

- No... Moździerznicki! — rzekł łacinnik ustawivszy po kilku mniej szczęśliwych próbach swoją fenomenalną głowę w położeniu normalnym. — Niech mi też Moździerznicki powie perfectum od słowa plico/

Nastąpiła cisza tak głęboka, żeśmy usłyszeli łoskot serca majorowej i cichy szepot pochylonego nad dyk- cjonarzem greka:

— Plicui albo plicavi...

- No — ciągnął egzaminator —'a może Moździerznicki powie czasy główne od słowa fleo?

— Fleo, flevi, fletum, flere — mruży znowu grek, powtórnie wyręczając Socia, który, ku najwyższemu zdumieniu obecnych i przerażeniu babki, zamiast korzystać z mimowolnych podpowiadali starca, zabrał się już do rozpinania szelek.

— Sociu! co ty robisz? — jęła zdesperowana staruszka nie mogąc widocznie pogodzić się z tak dziwnym pojmowaniem egzaminu, jakie w jej ukochanym

wnuczku wyrobiła długoletnia praktyka. To upomnienie szanownej damy było bardzo na czasie, w pół nieprzytomny bowiem Socio straszliwie się już zaawansował w - swoich zagadkowych przygotowaniach.

— Hum... hum!... — chrząka niezadowolony egza- I mina tor. — No, a gdyby mi też Moździerznicki wy- I mienił wyjątki na is od rodzaju żeńskiego w trzeciej I deklinacji!

— Z tych trzydzieści dwa na is masculini generis: I panis, piscis, crinis, finis, ignis, lapis| pulvis, cinis... — recytuje machinalnie czcigodny korektor grecko-łaciń- I skiego dykcjonarza. ■

Socio jednak i na to pytanie nie odpowiedział nic, zajęty porządkowaniem swej garderoby, którą w zamyśleniu doprowadził do bardzo opłakanego stanu.

— No, niechże mi przynajmniej powie Moździerznicki, ile jest deklinacyj?

Socio znowu milczał mając widocznie dużo słusznych powodów do niewydawania się z sekretu.

— Co to znaczy? ■— zawołał w tej chwili grek podnosząc pierwszy raz oczy na Socia. — Co to znaczy, że ten chłopiec ani razu nie odezwał się do tej pory?... Więc on nie wie na\foet, ile mamy deklinacyj? — dodał po chwili, jakby z głębokiego snu obudzony.

— On wie, panie dobrodzieju!... on wie!... bo on przecież sześć lat chodził do klas... — woła z płaczem majorowa nie mogąc przypuścić, aby jej ukochany wnuczek o czymśkolwiek nie wiedział.

— Z pewnością nie wie — pocieszał ją jajowato- głowy łacinnik.

— Więc poradźcież mi, moi królowie... moi dobrodzieje, co ja mam robić z tym złoczyńcą? — lamentowała zrozpaczona babka.

Dwaj filologowie niespokojnie spojrzeli na siebie, a matematyk na końce swoich butów.

— Tak — przerwał Gadulski — trzeba dla chłopca koniecznie wymyślić jakiś zawód...

gjjBDff kupca!... do kupca!..., — wtrącił właściciel handlu win i korzeni.

— Już niechby sobie został głupcem, byle pracował i był uczciwym człowiekiem — dodaje niepocieszona babka.

Trzej kapłani wiedzy ruszyli z miejsc swych jak jeden.

— Ach, panowie, odchodzicie już nie dawszy mi żadnej radeńki?... Ach, czyż się to godzi?

— Pani! — rzekł jajogłowy łacinnik biorąc czapkę — desperować nie ma czego. Ja pani poradzę uczciwie i stanowczo: kup mu łacińską gramatykę Kuhnera kurs pierwszy i niech się chłopak wyuczy wszystkiego^ co tam jest. Potem nastąpi kurs drugi, trzeci... aż do szóstego włącznie, a po tym dopiero można się będzie wziąć do autorów. Jeżeli państwo zrobicie inaczej. Dostawicie budynek bez fundamentów! — To powiedziawszy/ wyszedł.

— Radzę na początek gramatykę grecką jakąkolwiek i wypisy Jacobsa ze słownikiem — szepnął półgłosem grek i ściskając swój podarty dykcjonarz, ostrożnie wysunął się za kolegą.

— A pan, panie profesorze, nie dasz nam jakiegokolwiek .konsultacji? — spytał płaczącym głosem Gadulski wychodzącego za innymi matematyka.

— Ta pani umie więcej ode mnie, bo jej mąż był majorem piątego pułku piechoty! — mruknął zgryźliwy aparat do rachowania i uciekł.

— A co? — rzekł kupiec — czy nie mówiłem, że to wino, że ta lura od Goldszwajna sprowadzi na nas nieszczęście? Po co było brać u Żydów, kiedy się ma katolika i uczciwego człowieka pod bokiem?

— Ach, -ty zbrodniarzu!... ach, roztropyrzul... Belze-

bubie jakiś!... Co ty mnie zdrowia kosztujesz! ile ty mi wstydu robisz!
— wołała ciężko strapiona wdowa do swego ukochanego wnuczka.

— Ale!., a cóż ja temu winien, że babcia od Żydów wino bierze, że babcia taka skąpa? — odparł zuchwały hebes koronując tym niejako swoje egzaminacyjne . sukcesa.

— Wiesz, pułkowniku — szepnął domyślny Gadulski — że jak żyję, takem nie widział jeszcze podobnego osła!

— Bagatela! — mruknąłem nie chcąc czernić faworyta mojej szanownej przyjaciółki.

W /tej chwili doniesiono, że do hotelu zajechał Kuba z Mruczkiem i Postępowiczem.

Rozdział ósmy

okazujący, to ja-fct sposób Socto obudził, a niewidzialny przyjaciel ciężko zirytował babuni*]

Dopiero około północy — pożegnawszy dwu pozostałych gości i przyrzekłszy zacnemu Gadulskiemu, że odtąd tylko u niego odbywać się będą posiedzenia rad rodzinnych — ulokowaliśmy Postępowicza w jakiejś stancyjce na górze i sami zabraliśmy się do spania.

— Ach, pułkowniku! — mówiła majorowa —, nabij, serce, fuzją, żeby nas czasem złoczyńcy nie pomordowali... Jaki to zacny człowiek ten Gadulsio, no, i Pieprz- kowski niczego, choć zdaje mi się, że nie szlachcic... Sociu, rybeńko! mów pacierz i kładź się spać.. Patrzaj się, to ten staruszczyk uczył jeszcze mego Ksawcia, a jak go doskonale zapamiętał! Ten... ten... jakże go tam?... Aha! Gamajdowski.

— Gamadeltowicz — poprawiłem staruszkę. ' — Nie wymówiłabym nigdy takiego nazwiska. Jak-

ze tobie się zdaje, to niezły musi być starowina? choć Pieprzkowski gadał, że on już trochę durnowaty. Ten drugi daleko przytomniejszy choć ma, biedactwo, głowę zabawną; pewnie, jak był mały, musiała go niańka z rąk wypuścić. Jak to on się zwal?... Pryszczykiewicz czy jak?

— Priamowski — wtrąciłem.

— Aha, tak, tak!... Dziwne mają nazwiska ci uczeni ludzie, choć sami co prawda jeszcze dziwniejsi. A czy można wejść do ciebie?

— Po co, kochana majorowo? ■—. zapytałem przeklinając w duchu takie urządzenie hotelów, które pozwala .mieszkańcom numeru pierwszego kombinować się z lokatorami drugiego.

— Chciałam wziąć od ciebie jedno krzeselko na złodziejów...

— Chyba dla złodziejów — przerwałem. — Miałaż- byś zamiar, kochana przyjaciółko, prosić ich, ażeby siedząc kradli?

— Eh!... Przecież taka zhowu głupia nie jestem. Ja, widzisz, mam zwyczaj stawiać przed oknem stołki, jeden na drugim, do góry nogami, tak że gdyby złodziej laźł tamtędy, to by krzesła rozwalił i wszystkich, choćby naitwardziej śpiących,, obudził.

— Aha! — rzekłem, najzupełniej przekonany o skuteczności tego domowego środka przeciw ospalcom. — No, ale co zrobisz, kochana pani, jeżeli złodziejowi przyjdzie fantazja wleźć drzwiami?

— Niechże Bóg broni!, — zawołała ze zgrozą nerwowa dama. — Ach, bodaj cię, serce... całą noc spać nie będę mogła!

— Uspokój się, jejmość — rzekłem, serdecznie żałując niewinnego pytania. — Spij spokojnie, nikt tu nie weidzie. Dobranoc...

— Dobranoc ci, sokole mój! — szepnęła może za-

nadto tkliwym głosem znużona staruszka i nastąpiła cisza.

Tera² dopiero usłyszałem, że pod trzecim numerem, przy ścianie, obok której znajdowała się moja pościel, nocuje ktoś. Zgrzyt starego hotelowego łóżka i potężne chrapanie połączone z lekkim pogwizdywaniem nasunęły mi myśl, że sąsiad musi być człowiekiem niepospolitej budowy.

— Babciu, ja chcę sznurka!"zawołał nagle Soterek.

— Daj mi pokój... Weź sobie z koszałki — mruknęła rozespana babka przewracając się na drugi bok.

Wyobrażam sobie, jak wiele ucierpiałyby dokładność niniejszego opowiadania, gdybym w tym miejscu nie dodał, że naprzeciwko okien naszych numerów, po drugiej stronie ulicy, znajdował się szynk, na którego szyldzie wymalowano strusia. Bez¹ podpisu trudno zaiste byłoby się domyślić, że ten straszliwy ptak z głową krokodyla, dźwigający na grzbiecie Ku- pidyna z naciągniętym łukiem, ma imitować niewinnego dostarczyciela piór używanych przez barbarzyńców do ubierania koni, a przez ludy ucywilizowane — na ozdobę piękniejszej połowy' naszego gatunku.

Nie wiem, z jakiej racji łagodny oddech majorowej i energiczne chrapanie mego sąsiada numer trzy przywiodły mi na myśl owo potworne malowidło; trudno jednak zaprzeczyć, że od kilku chwil ptak zdobiący wejście do szynku stał przed oczyma mej duszy. 2Ile mówię, że stał. On się ruszał, on pędził wprost na mnie z całą chyżością nóg patykowatych, coraz szerzej rozdziawiając ohydną paszczę... Słyszałem świst jego skrzydeł i widziałem z przestraczem, że siedzący na jego grzbiecie nagi Kupidyn strzałą podobną do bret-nala godzi prosto w moje serce, a co gorsza, patrzy ml

w oczy z jakimś niesłychanie lubieżnym i bezczelnym uśmiechem.

Wtedy zdało mi się, że jedna z otaczających strusia malowanych butelek przybiera postać nieustannie tracącego równowagę celnika, że kufel przemienia się w gospodarza hotelu, a okseft w moją poważną przyjaciółkę. Włosy stanęły mi dębem, gdym dostrzegł, że stara dama ma na sobie welon oblubienicy, i gdy nadto jakiś głos wewnętrzny począł mi dowodzić, że nietrzeźwy poborca kopytkowego i uprzejmy właściciel zajazdu są drużbami podeszłej panny młodej, która patrzyła na mnie z czułością zdolną raz na zawsze usunąć z medycyny emetyk i podobne do niego preparaty.

Wtem rrruumL. rrum!... — rozległ się straszliwy łoskot... Nie wiedziałem, gdzie jestem...

— Jezus!... Maria!... aux drmes!... do broni!... — ode- stwał się głos kobiecy, dobrze mi znany jeszcze z epoki wojen napoleońskich.

— Alarm! — zawołałem zrywając się na równa nogi. — Szpadę!... konia!... Oficerowie na swoje miejsca!... Sygnał do ataku! — komenderowałem w półśnie sądząc, że mój oddział ze wszech stron otoczono,

— Batalion... do ataku broń!... Biegiem maaarsz!», Vive l'empereur! — ryknął tubalnym głosem mój sąsiad numer "trzy, w którym poznałem eks-majora Bycz- kowskiego, sławnego na całą dywizję, a następnie na cały powiat z niesłychanej tuszy.

— Chi! chi! chi!... — chichotał rozpustny Soterels tarzając się po łóżku.

— Pułkowniku, serce, a zapal śwleeeę, bo zdaje |j|| H słodkiej wszedł! — jęczy na dobre już obudzona moja nerwowa przyjaciółka.

W okamgnieniu zapalam świecę, wchodzę do pokoju majorowej i widzę rozwalone krzesła tudzież nie-

zmiernie zadowolonego Socia ze sznurkiem w ręku Ale złodzieja nigdzie'ani śladu...

— Co ty sobie myślisz, hultaju? — krzyknąłem na niedobrego zbytnika. — To chce ci się babkę straszyć? po nocy figle płatać i cały hotel budzić?... Ja ci!...

— Jak pragnę zbawienia duszy — mówi trochę już uspokojona staruszka — takem zrazu myślała, że jesteśmy z Grzesiem tam w tej wsi pod Moguncją, gdzie to nasz oddział Prusacy napadli...

Pamiętasz, serce?

— O. do stu fur beczek batalionów diabłów! — odzywa się sąsiad numer trzy. — Co wy tam wyrabiacie?... ciury!... marudery!... psie ogony!... O saper- ment!...

— Uspokój się. Bysiu! Byczkosiu!... to jestem ja z majorową Moździerznicą. której wnuk nicpoń stołki przewrócił i takiego nam strachu napędził — uspakajam impetycznego sąsiada.

— Aha!... to ty. pułkowniku?... Ja też, usłyszawszy rumor i komendę, myślałem, bodaj mnie pierwsza kula nie minęła, że to alarm... Tfy, do stu Prusaków, także m! się przypomniało! — mrucał już udobruchany kolega. — A cóż wy robicie w tym kurniku ze starą?

— Przywieźliśmy Socia Moździerznickiego — odpowiadam. — Imaginuj sobie, Bysiu, że już nie wiemy, co z tym paliwodą robić!

— Cóż to, uczyć się nie chce?...

— I uczyć się nie chce, i psie figle nieustannie stroi, a wyrostek już prawie pod wąsem. Naradzamy się tu z rozmaitymi ludźmi, ale jakoś nam nie idzie.

— Aaa! — przerywa Byczkowski. — Szkoda, że ja o świcie muszę wyjechać. W każdym jednak razie poszukaj tu w mieście starego emeryta Batożnickiego, on wam poradzi, bo to tęgi chłop, bodaj mnie rozerwało!

— Bóg zapłać za dobrą radę — rzekłem. — Pójdziemy tam jutro, a tymczasem życzę ci szczęśliwej podróży i dobrej nocy.

— Dobranoc! — huknął major, ciężko upadając na posłanie.

— Patrzaj, serce — odzywa się moja przyjaciółka — to i ten poczciwy Byczkowski tu zajechał? Pamiętam go, pamiętam... tęgi to był żołnierz, choć z prostej klasy. Smalił on do mnie cholewki razem z Grzesiem nieboszczykiem...

— Ale, ale — woła znowu sąsiad numer trzy. — A czyś się czasem nie ożenił pułkowniku, z tą landarą, że za jej interesami jeździsz?

- m Boże uchwaj! — odparłem, mocno zgorszony nadaniem tak nieprzyzwoitego nazwiska mojej przyjaciółce.

— Myślałem!... Nie zrobię tego głupstwa, komendancie, bobym cię okrutnie wyśmiał. Przed stu laty Grzesiowa była sobie niczegow[^]tą babiną, ale dziś — czysta ropucha!... bodaj mi ręce i nogi połamało.

| — Ach, ty chmyzie jakiś!... ty byku obrzydły! — woła do najwyższego stopnia oburzona majorowa. — Ropucha!... widzisz go, jaki ładny mężczyzna!... I skąd jemu do tego łysego łba takie głupstwa przychodzą?

— W starym piecu diabeł pali! — zaryczał z nieprzystojnym śmiechem nasz wspólny przyjaciel. — Dobranoc, staruchol... a nie wybieraj się za mąż, bo jak cię zaczną wieść do ślubu, to się na próchno rozsypiesz!

— Ty chłystku niegodny!... ty cały pułk kompromitujesz! — wrzasnęła zirytowana dama. — Uuu... to chłopisko jakieś.. Każdy z nich myślał sobie, że damy to tak się bierze jak armaty... A może ci się zdaje, żebyś za ciebie teraz wyszła, ty grubasie obmierzły? Oho — toś trafił!... Wolałabym, żeby się na mnie ten

hotel zawalił! Pułkownik to zupełnie co innego, zaraz znać szlachcica!

W tej chwili przywidziało mi się, że ostatnie słowa majorowej są jednym z owych bretnali, które zamiast strzał ciskał niemoralny Kupido siedzący na malowa- nym-strusiu. _ |

Rozdział dziewiąty z którego pokażnie się, jak szkodliwymi dla cywilizacji są krytycy i wydawcy

Stosownie do porady otyłego majora, który swoim lekceważeniem płci pięknej tyle przykrości narobił zacnej przyjaciółce, postanowiliśmy około południa złożyć wizytę emerytowi Batożnickiemu. Była dopiero godzina dziewiąta rano, nie mając więc nic lepszego do zrobienia, a pragnąc zabić czas jakimkolwiek bądź sposobem, począłem czytać najświeższe numery pism prenumerowanych przez miłującego krajową oświatę gospodarza hotelu.

W jednej z gazet (pomijam tytuł nie chcąc jej redaktorów pozbawiać kawałka chleba) wpadła mi w oko trzyszpaltowa filipika wymierzona przeciw ostatniemu objawowi literackiej działalności pana Postępo- wicza... Tak jest, powtarzam z zupełną przytomnością, przy najlepszym zdrowiu wszystkich władz ciała i duszy mojej, że w gazecie tej wydrukowano, zbesztano, sponiewierano, odsądzono od czci i wiary pana Cezara Brutusa Napoleona Hiacynta Postępowicza — dziwiąc się przede wszystkim, że tak młody i tak mało obiecujący autor na tak nędznej ramocie (jaką niby miała być ostatnia jego praca) mógł podpisać swoje nazwisko i ozdobić je aż czterema imionami, „z których autor (przytaczam słowa recenzenta) powinien był przynaj

mniej trzech pierwszych wyrzec się w swoich debiutach literackich, jeżeli nie chce uchodzić za wroga wszystkiego, co dla ludzi jest wielkim i podziwu godnymi" ;

Jezus Maria... jak żyję, nie czytałem artykułu napisanego z mniejszym uszanowaniem dla osoby, do której był zwrócony. Jak to?... więc istotnie pan C. B. N. H. P. ma być: „nędznym stylistą”, człowiekiem, „który zapomniał najprostszycych prawideł zdrowego rozsądku, a nie nauczył się najelementarniejszych zasad ekonomii politycznej”?... Jak to, więc znakomity wynalazca nowej metody pedagogicznej miałby być: „bлагierem, który nie potrafi nawet korzystać z gazeciarskich doniesień o najnowszych wynalazkach¹?... Więc ten młody i pełen nadziei publicysta, który zdecydował się porzucić swoje tak zapewne szkodliwe dla ogólnych interesów incognito i wystąpił nareszcie z podniesioną ■ przyłbicą w szranki dziennikarskich zapasów, ma być: „lichem pismakiem kompromitującym organ, który dał przytułek jego jeszcze niedojrzałym, a już spróchniałym pomysłom”?...

Wyznaję, że gdyby ktoś chciał na słowo uwierzyć niesumiennemu prawdopodobnie krytykowi uczonego Hiacynta, musiałby tym samym przypuścić, że utalentowany nauczyciel Socia nie jest ani ekonomistą, ani moralistą, ani pedagogiem, ani astronomem, ani filan-⁴ tropem, krótko mówiąc, niezym — co przecież najzupełniej sprzeciwiałoby się opinii, jaką w tej kwestii miałem ja, majorowa, jej wnuczek, mój ekonom, mój karbowy, mój sadownik, furman majorowej, gospodarz hotelu — i co wreszcie gwałciłoby jak najwyraźniejsze i jak najbardziej stanowcze świadectwa samego Postępowicza. '..' - >--
"

Szczyściem, że ja — jakkolwiek członek ospalej, zacofanej, próżniaczej, pełnej rutyny i zgnilizny- klasy

szlacheckiej — wiedziałem trochę o partiach, w war- I szawskiej, a więc i europejskiej, prasie i słyszałem, że I pisma periodyczne (ze względów niezależnych - od ich I redakcyj) piszą niejednokrotnie to, o czym nie myślą, I i myślą to, o czym nie piszą, co, jak mnie zapewniano, I ma nader zbawiennie wpływać na rozwój umysłowy I naszego niedojrzałego i pogrążonego w barbarzyństwie I ogółu. Otóż przy pomocy dwu powyższych aksjoma- I tów z największą łatwością odgadłem, że uszczypliwy recenzent należy do obozu przeciwnego genialnemu a Postępowiczowi, że sam umie bardzo mało, że lękając się nowego współzawodnika stara się ośmieszyć i podkopać nie, znane mi, lecz prawdopodobnie bardzo wzniosłe i pożyteczne doktryny, na których zapewne sam by się chętnie podpisał, gdyby mu tylko pozwolono. Dzięki tym uwagom niewinnie prześladowany publicysta nie tylko że nie stracił, ale nawet bardzo wiele zyskał w mojej opinii jako człowiek, który walczył za prawdę i przed którym prawdopodobnie drżała pewna część organów umysłowego życia naszej niemowlęcej społeczności.

Filozofowie wszystkich części świata jednozgodnie utrzymują, że tylko w ich towarzystwie spędza się czas z intelektualnym i moralnym pożytkiem — a ponieważ niesumienny krytyk nazwał Postępowicza płytkim filozofem, było więc aż nazbyt widoczne, że utalentowany przewodnik Soterka należał do szczupłej garstki tych ludzi, których towarzystwa wszelkimi, byle godziwymi i przez prawo uznanymi środkami poszukiwać jesteśmy obowiązani. Nie dziw więc, że zachęcony tymi uwagami, nie czytając nawet w gazecie ostatnich politycznych wiadomości — których opuszczenie przez pp. Thiersa lub Bismarcka mogłoby wywołać najsmutniejsze zakłócenia w polityce europejskiej — pobiegłem na górę do stacyjki znakomitego

literata, aby pod pozorem troskliwości o jego zdrowie zaczerpnąć nieco światła, a zarazem przekonać się, jak też wygląda człowiek, którego nazwisko niechętny krytyk włożył w tysiące ust współczesnych i przekazał najodleglejszej, potomności.

Dwucalowe ząby mego łańcuchowego psa Grzmiusia i dialektyczne kły gazeciarskiego recenzenta wywarły opłakane skutki na fizyczny i duchowy organizm rozgłośnego literata. Leżąc wyciągnięty jak struna, piersiami (zapewne dla względów patologicznych) zwrócony do pościeli, znakomity chory był podobniejszy do ucznia, na którym w tej chwili dokonywają się pewne formalności • pedagogiczno-karne, niż do uczonego, któremu ludzkość zawdzięczała nowowynaleziony i do dnia naszych nie znany system wychowawczy. Na chudej i bladej twarzy pomysłowego Hiacynta malował się taki ogrom boleści, że zacząłem na serio obawiać, aby spróchniały hotelowy sprzęt, bardzo dobrze naśladujący łóżko, pod tak niezwykłym ciężarem nie przyjął formy kilku desek powiązanych sznurami i opartych na dwu relegowanych z kuchni stołkach.

— A to hultaj jakiś! — krzyknąłem wchodząc do pana Hiacynta. — To panu dobrodziejowi wyzło... chciałem powiedzieć: a to pana urządził wobec tylu nieznanym osób!

— Szlachecki łeb! — odparł z goryczą pełen demokratycznych instynktów literat. 11 Po baranach z tej rasy wszystkiego spodziewać się można.

— Patrz pań dobrodziej, więc on szlachcic? — zapytałem trochę zdziwiony.

— Przecie pułkownik lepiej ode mnie wiesz, że wszyscy Moździerzniccy są szlachtą jeszcze od Stefana Batorego — odparł również zdziwiony pedagog.

— Co to pan dobrodziej myślisz o wczorajszym egzaminie Soterka? — spytałem znowu.

—Naturalnie, że tak!... A pułkownik o czym myślisz? — rzekł trochę zmieszany publicysta.

—No, ja chciałem mówić o krytyku, co to panu ■dobrodziejowi w gazecie takie cię... chciałem powiedzieć: takie rzeczy popisał...

—Więc pan czytałeś? — bąknął biały jak chusta literat.

—Czytałem, czytałem!... i właśnie przychodzę powiedzieć panu, że nic a nic nie wierzę temu chłyst-' kowi. 'spy^i^

~ — Aach — szepnął stroškany publicysta — pan nie uwierzysz, ale miliony uwierzą! — Mówiąc to miał zapewne na myśli tutejszokrajowych czytelników gazety i ich przyszłych potomków; nie przypuszczam bowiem, aby sądził, że Niemcy, Francuzi, Anglicy i inni obcokrajowcy zechcą zwracać uwagę na miejscowe sprawy naszych pism politycznych.

—Uspokój się, kochany panie Hiacyncie!...

—Nie nazywaj mnie pan Hiacyntem, ale Brutusem — odparł urażony chory. — Brutus najlepiej zgadza się,z moim usposobieniem i.., położeniem!

Jakkolwiek nie słyszałem, aby jaki Brutus bawił się w guwernerkę, był kąsany przez psy, wpędzony przez nie na wierzch lipy, a w końcu publicznie zmartwiony przez rzymskie gazety, uznałem jednak słuszność młodego uczonego i rzekłem:

—Owszem, owszem... drogi panie Hiacyncie! Odtąd będę cię nazywał Brutusem, ale pod warunkiem: abyś tak mężnie jak on znosił wszelkie przeciwności...

— Są chwile — mówił szlachethy imiennik nieszczęśliwego mordercy Cezara — są chwile, w których człowiek musi się uznać zwyciężonym w olbrzymiej walce z losem. Chwila taka wybiła dla Cezara wówczas, kiedy go otoczyli spiskowi, dla Napoleona wów-

czas, gdy wstąpił na okręt angielski, dla Brutusa wówczas, gdy przegrał bitwę pod... pod...

— Wszystko jedno, kochany panie Hia... to jest Brutusie — przerwałem chcąc usunąć mnemoniczne trudności, jakich doświadczają zapewne wszyscy literaci przypominając sobie historię panowania Oktawiana Augusta, a prawdopodobnie i każdą inną.

— Chwila taka wybiła dla Brutusa — ^ ciągnął nie- spracowany mówcą — wówczas gdy ten przegrał bitwę... odebrał sobie życie... Chwila taka wybiła dla mnie dziś, kiedy po tysiącnych zawodach, po nadludzkich wysileniach z mojej strony, nieznanego wróg targnął się na moją sławę... na mój honor...

Boleść zaciemniała widocznie jasny zazwyczaj umysł wynalazcy nowej metody wychowania: o ile bowiem przypominam sobie, to gazeciarz nie wąpił ani na chwilę o prawości i dobrym sercu Postępowicza, lecz tylko nie chciał żadną miarą zaufać jego erudycji, zdrowemu rozsądkowi, stylowi i innym drobnostkom, bez których można przecież żyć i nie mieć zatargów ani z sądem kryminalnym, ani nawet z władzami politycznymi.

— Cóż tedy myślisz począć, kochany panie Brutusie? |— zapytałem genialnego desperata.

- Myślę naśladować mego imiennika po przegranej bitwie III szepnął melancholiczny Hiacynt, smutnie uśmiechając się do starych hotelowych wieszadeł.

Mimo woli rzuciłem okiem na ten użyteczny sprzęt pokojowy zapytując, czy Brutus istotnie powiesił się przegrał bitwę i czy zaledwie przylepione do ściany wieszadło utrzyma na sobie tak wielkiego człowieka, jakim był niewątpliwie zniechęcony do świata literat.

— No, no, no!... kochany panie Brutusie, nie desperuj! Jeszcze się niejedno zmieni na świecie, jeszcze

i acan dobrodziej znajdziesz między krytykami przyjaciół

— Nigdy!... nigdy!... — jęczał niepocieszony Hiacynt.

— Kogo los prześladowa, ten wieki będzie żył i wieki będzie cierpiał... Lepiej raz skończyć!...

Ludzie zmateralizowani i interesowni gotowi by przypuszczać, że po tym melancholicznym wstępie głośny publicysta proponuje mi, abym mu udzielił skromną pożyczkę na wydatki bieżące.

Najenergiczniej protestuję przeciwko tak fałszywemu wykładowi rozpaczki literackiej, rozpaczki — której często ulegają umysły wyższe i która staje się niejednokrotnie źródłem faktów bardzo korzystnych dla ogólnego dobra.

- — Kpij pan z losu, kochany panie Brutusie!... miej nadzieję!... nie trać wiary..! — zachęcałem dobrego .Hiacynta, sam nie wiedząc, w co mianowicie wierzyć powinien tak szkaradnie opublikowany literat.

— Pułkownik! — rzekł szlachetny Brutus tonem bardzo uroczystym.

— Nie dziwię się, że pan pragniesz mnie pocieszyć, jako człowiek miłujący dobro ogólne. Lecz wierz mi, że są jednostki, nad którymi ciąży jakaś straszliwa fatalność, nad którymi, że tak powiem, los znęca się i pastwi niby okrutny tyran nad bezbronnym nieprzyjacielem. W tej chwili widzisz przed sobą jedną z ofiar tajemnych a wrogich ludzkości potęg — aby zaś pana przekonać o tym, opowiem ci historią moich literackich pomysłów.

Teraz — nie ulegało już wątpliwości, że utalentowany Hiacynt robi mi powiernikiem swoich interesujących cierpień. Milcząc wyjąłem bawelnę z uszu. pedagog zaś owinąwszy się w podartą kołdrę zaczął:

— Słuchaj pan!... Naturalnie, żem słuchał.

•— Będąc w klasie czwartej napisałem artykuł o zamieszkalności planet i posłałem go do Warszawy. Nie

Testem zarozumiałym, wyznać jednak muszę, że nawet dziś śmiało na tej pracy położyłbym swoje nazwisko. Krytycy jednak czy też wydawcy odrzucili ją, a w parę lat później wyszła książka Flammariona, w której słowo w słowo znajdowało się to samo co u mnie. Powiedz, pułkowniku, czy godziło się pozwolić, aby nas cudzoziemiec tak haniebnie w kąć zapędził?

— Naturalnie, że nie godziło się — odparłem, głęboko przekonany, że jakiś tam Flammarion bardzo wiele skorzystał z gruntownej pracy mego młodego i genialnego przyjaciela.

v '—r W klasie szóstej napisałem pierwszy traktat o emancypacji kobiet, który mi zarzucono w redakcji. Tego samego roku dowiedziałem się z gazet, że cała Europa zajmuje się tylko emancypacją... Oto drugie nieszczęście dla innej, druga klęska dla naszej literatury!... '

Ani na chwilę nie wątpiłem, że między zagubieniem cennej pracy literata i podniesieniem kwestii usamo- wolnienia kobiet zachodzi bardzo ścisły związek.

— W klasie siódmej — ciągnął pomysłowy Brutus — wynalazłem nową metodę pedagogiczną i streściłem ją w dwóch artykułach, które w tym roku dopiero opublikowano; tymczasem Niemiec Froebel już od świętej pamięci ogłosił ją i jako swój wynalazek w wykonanie wprowadził!

Nie zdziwiłem się — dla nikogo bowiem nie jest tajemnicą, że cudzoziemcy przywłaszczają sobie bardzo wiele naszych pomysłów.

— Będąc na pierwszym kursie napisałem o stowarzyszeniach, czego podówczas nie przyjęto, a czym dziś zajmuje się cała nasza prasa periodyczna. Później, kiedy mnie... to jest potem... wpadłem na myśl zakładania tanich kuchen, które obecnie istnieją we wszystkich większych miastach... A teraz powiedz pan —

zawołał z podwyższoną energią literat o szczupłej kom- pJeksji — czy to_ nie jest nieszczęściem patrzeć na marnowanie się własnych, tak pięknych i tyle dobrego przynieść mogących .pomysłów?

§P§ Zapewne! — potwierdziłem dziwiąc się złościwości losu, który pozwolił ludziom wierzyć w zamiesz- kalność planet, emancypować kobiety, uczyć według nowych metod dzieci, zakładać tanie kuchnie i stowarzyszenia ekonomiczne — a tak głęboką tajemnicą okrył imię człowieka, który nadał impuls tylu nowym rzeczom lub dawne z korzyścią dla gatunku ludzkiego zreformował.

— Przed kilkoma miesiącami — ciągnął znakomity publicysta — posłałem do Warszawy artykuł... artykuł formą i treścią przewyższający wszystko, co napisałem dotąd. Przeczytasz go pan i osądzisz: obejmuje on sześćset pięćdziesiąt dwa wierszy druku, osiemnaście cytat z filozofów, ekonomistów, techników i innych; jest w nim cztery ustępy rymowane, parę uwag treści moralnej i kilka malowniczych opisów różnych miejscowości na kuli ziemskiej... Za to krytyka ofiarowała mi wieniec męczeński, a wydawca... zgadnij też pan co?

— Zapewne coś bardzo kosztownego! — rzekłem sądząc, że wielki publicysta, w nagrodę niespożytej wartości prac swoich, otrzymał kamienicę, folwark, kawał lasu albo przynajmniej plac pod zabudowania.

— Trzy ruble dwadzieścia sześć kopiejek... po groszu od wiersza — wyszeptał wielki uczony przez zaciśnięte zęby i upadł na sprzęt pełniący obowiązek łóżka, znowu twarzą do pościeli.

Ażem podskoczył na krześle.

— Jak to?... i pan dobrodziej przyjąłeś taką sumę?... * I pan dobrodziej nie cisnąłeś im jej w oczy?...

— Panie! — wyrzekł zrozpaczony Postępowicz —•

kwotę tę odebrałem dziś z tutejszej księgarni, nie mogłem więc zrobić z nią tak, jak pan mówisz. Przy, tym... ponieważ w nadziei honorarium nie odłożyłem sobie nic z trzydziestu rubli, które dostałem za wakacje, dziś więc... to jest w chwili obecnej znajduję się w bardzo... tak... w bardzo krytycznym położeniu...

— Ach, ci krytycy!... ach, ci wydawcy!... mordercy!... kajdaniarze!... — jęknąłem obejmując głowę i zasłaniając uszy rękami, aby nie słyszeć już tej części zwierzeń publicysty, którą po głębszym namyśle pragnąłby zapewne zachować w tajemnicy.

— Z tych powodów — począł znowu pedagog — chciałbym... to jest miałbym do szanownego pana małą prośbę...

— Rozumiem! — zawołałem. — Chcesz pan krytyka i wydawcę wyzwać na pistolety?...

— Przeciwnie! — przerwał zakłopotany Hiacynt. —< Chodzi tu o kombinacją natury finansowej...

— Pułkowniku, pułkowniku! — zawołała z korvta- rza majorowa. — A chodź, serce, bo się do Batożnic- kiego spóźnimy!

Wybiegłem śpiesznie, pamiętając, że w chwili obecnej winienem się zajmować głównie zabe[^]nipowaniem przyszłości przedwcześnie osieroczonego Soterka.

Rozdział dziesltifo na zasadzie którego zwątpić by można o tolo- a ach majorowej i o toartoici systemu datesięt- nego dla peda000ttet Emeryt Batożnicki mieszkał za miastem, zdała od ludzi, którzy nie ocenili należycie metody wynalezionej i niezmordowanie stosowanej przez niepo w ciągu trzydziestoletniej nauczycielskiej praktyki.

Szczu-

pla tylko garstka zaufanych" osób miała wstęp do pustelni wielkiego abnegata, dokąd właśnie szliśmy pro- cesjotjalnym krokiem: ja, majorowa i jej mało rozwinięty wnuczek.

— Sociu, serce! — moralizowała staruszka — nie stawaj przed oknami, wyjmij rękę z kieszeni i palec z nosa... Ach, moja doleńko nieszczęśliwa!... taż nie wybiegaj na środek, ty chmyzie, żeby cię nie rozjechali!... Ot, patrzaj go... znowu psa zaczepił! Czy ty, roztropyrzu niegodny, chcesz koniecznie guza?... Ach, zbrodniarzu!... ach, złoczyńco!... i po co ty Żydka potraçałeś? Ty myślisz sobie, że żydzi to już nie boskie stworzenia? I cóż on winien, że jego pradziadkowie ukrzyżowali Pana Jezusa i że już nigdy nie zostanie szlachcicem? Co też ja gadam... W tych czasach wszystko idzie na wspak, bo już przecie niejednen Żyd został austriackim ryterem, a nawet baronem i hrabią.. Takie to i hrabiostwo, nie oddałabym za niego pary zdartych trzewików!

Pozwolę się nazwać chłystkiem, a nawet literatem Itemu, kto mi dowiedzie, że do najeżonej głowy Soterka przylgnęła choć tysiączna część tych pięknych i nau- czających medytacyj, które czcigodna babka jego tak hojnie rozsypywała na bajecznie wąskim asfaltowym chodniku ulicy Mydlanej. Roztargniony chłopiec robił, oo chciał, ze swymi rękami i nogami, i więcej niewątpliwie interesowały go grajcarkowate pejsy Żydków lub brudne watówki ich połowic niż wszystkie uwagi majorowej wypowiedziane na temat upadku klas Uprzywilejowanych.

— Babciu, babciu! — przemówił nagle Soterek — a ot te zęby to muszą być chyba z jakiego wielkoluda. — To mówiąc ukazywał obydwoma rękami na olbrzymią drewnianą szczękę, symbol dentysty, zawieszony obok perukarackiego sklepiku.

— "Ach, jaki ty głupi, Sociu! — zawołała z nieukontentowarnem staruszka — widzisz przecie, że tutaj zęby reperują... Pułkowniku, serce, stańmy na chwilkę! — i to powiedziawszy pociągnęła mnie do wystawki perukarskiej.

— Cóż to za jeden ten ogon, babciu? — spytał znowu wnuczek wskazując na szynion.

— Eh, to taki chwast do ubrania dla dam! — objaśniła babunia.

— A tenże kołtun do czego? — dodał Soterek patrząc na kok nowomodny, arcydzieło prowincjonalne-, go kunsztu.

— Wysławiasz sę, Sociu, gorzej jak pastuch, gorzej jak podpasńcz! — przerwała mu babka, z godnością poprawiając kokardkę u swego czepka. — Nie mówi się przecież kołtun, tylko plikaL. Gdyby nas kto podsłuchał, mógłby pomyśleć, żeśmy z ordynaryjnej klasy i że się na niczym nie znamy...

— A ot te włosy to już chyba z nieboszczyków — odezwał się znowu niezmiyszany pupil. — Czort wie, kto by sobie kładł na łeb czuprynę trupa... Tfy, maskara!

— Milcz, potworze! — przerwała mu zirytowana babka odstępując od okna i ciągnąc mnie na chodnik. — Patrzajcie się, ludzie!... taki smarkacz będzie swoje zdanie wypowiadał o ubiorach damskich, ni pytany, ni proszony! A wiesz ty, nietoperzu, że za dawnych czasów wszystkie panie i panowie peruki nosili i zęby wprawiane też? Ja ba rdzom kontenta, że się dawne mody powracają — bo to nieraz człowiek ma rzadkie włosy, no... i zęby niemocne swoje... choć nawet nie tak bardzo jest w wieku podeszłym...

— Czy masz zamiar, kochana majorowo, nabyć perukę? — spytałem moją przyjaciółkę, bacznie przypatrując się jej bufiastemu czepcowi, pod którym naj-

Hardziej imaginacyjny człowiek nie domyśliłby się ani jednego wlosa.

—Ech, nie wiem jeszcze... Mnie tego nie potrzeba... Tylko... jeżeli już taka moda nastąpiła, żeby damy koniecznie nosiły peruki, to pocóż się wyróżniać? — bąkała trochę zakłopotana staruszka. — Ty, pułkowniku, serce, wolisz blondynki czy brunetki? — zapytała po chwili.

— Sądzę, kochana majorowo — odpowiedziałem — że jeżeli już koniecznie zachciewa ci się fryzjerskich dodatków, to wybierz przynajmniej włosy takiego koloru jak twoje, nie oglądając się na gust obcych...

— Kiedy bo ja już nie pamiętam nawet, jakie miałam! — odparła podeszła dama. Widocznie jednak zaszkodził biedaczce frazes ten w pośpiechu uroniony — nagle bowiem dostała gwałtownego kaszlu i poczęła robić gorzkie, lecz zapewne słuszne wymówki swemu niepoprawnemu wnukowi z okazji błędu, jaki fenomenalny ten chłopiec jeszcze przed kilkoma dniami popełnił.

Jako człowiek ucywilizowany, starałem się nie zwracać uwagi na zakłopotanie interesującej damy i zarazem gniew jej łagodzić — co zresztą przyszło mi bardzo łatwo, ponieważ w tej samej chwili weszliśmy do sieni domu, w którym mieszkał znakomity emeryt.

— Ach, nieszczęście — odezwała się już na inny temat staruszka — a może to nie tu?... a może nie zastaniemy go?... Sociu, serce, nie zapomnij ładnie ukłonić się, jak wejdiesz, a jeżeli nam co poradzi, to go w ramię' pocałuj... Ach, jak ja się boję!...

Ująłem klamkę pragnąc uchylić drzwi, za którymi ukrywał się pedagogiczny świecznik — ale pokój był zamknięty. Nic mi więc nie pozostawało, jak tylko zapukać, co też wykonałem usiłując (o ile to było mo-

żliwym) uzewnętrznic w pukaniu moim cały szacunek, jaki pielęgnuję dla uczonych w ogóle, a dla pedagogów w szczególności.

— A kogo tam znowu diabli niosą? — zapytano z wewnątrz. — Czy nie wiesz, łajdaku jeden z drugim, że tylko w piątek żebrać wolno?

Na honor, nigdyra nie przypuszczał, ażeby można tak szkaradnie objaśniać uczucia, jakie za pomocą palców wysławić, a raczej wykołatać chciałem; widocznie albo emeryt nie znał się na pukaniu, albo ja fałszywy system wybrałem. Cóżkolwiek bądź — faktem jest, że wynikło grube nieporozumienie, które należało teraz poprawić za pomocą metody głosowej, i rzekłem tedy:

— Jesteśmy przyjaciele majora Byczkowskiego i przychodzimy prosić szanownego pana o poradę w pewnej kwestii familijnej...

— Ho! ho! — przerwał głos ze źle udanym śmiechem — znam cię, znam, urwipołciu!... Nie pierwszy to twój figiel, hultaju!... wydrwigroszu!... Niedawno nasłałeś mi Żyda z fałszywym wekslem, a teraz znowu sam przychodzisz?... Ho, ho!

— I na ogromnym smoku jeździć będziesz... — modliła się bardzo strwożona moja przyjaciółka.

Pan dobrodziej mylisz się zapewne? — spytałem, trochę zdziwiony tak oryginalnym przyjęciem.

— Pan dobrodziej!... pan dobrodziej!... — przedrzeźniał głos za drzwiami. |p Daj pokój, Feluniu, daj pokój, drabie niegodziwy!... Ja się nie mylę nigdy, tak jak się nie myliłem, kiedym Zuzi nieboszcze mówił, że wyrośniesz na łotra i że wcześniej lub później zginiesz na szubienicy- Powiadam ci więc jeszcze raz: wynoś się, bo już ani feniga nie dostaniesz... Wynoś się, bo jat Małgosia Wróci, to ci wszystkie miotły o łeb porozbija!

— Ach. panie łaskawy! — wmieszała się majorowa — my nic nie chcemy oprócz pocziwej rady dla naszego wnuka Soterka. sieroty bez ojca i matki... |igU^ Hum, hum! — mruknięto za drzwiami i jednocześnie usłyszeliśmy szłapanie pantofli. — Więc to istotnie nie ten łotr Feluś?... Uuu, co on mnie zdrowia napsuł!... Mój Boże, dziś nastały takie czasy że się człowiek obawiać musi własnego siostrzeńca. Oj. czasy!

— Ciężkie czasy eg potwierdziła majorowa poprawiając mantylę. — Dziś sama kobieta nie da sobie żadnej radeńki na świecie...-.
Ach!... — To powiedziawszy spojrzała na mnie bardzo wymownym wzrokiem.

— Może pan dobrodziej zechcesz nam otworzyć! — odezwałem się do ukrytego za drzwiami emeryta pragnąc zdławić uczucia jakie wzbudziła we mnie .mimika otyłej damy Na uczciwość! w tej chwili gwałtownie zapotrzebowałem świadków, nie dlatego, aby się od grzechu uchronić lecz po prostu, aby nie uciec od melancholicznej towarzyski. — Racz pan otworzyć! — powtórzyłem

" Kiedy... kiedy bo jestem zamknięty! — bełkotano w pokoju. — Małgosia wyszła na targ i... i... tego... Ale może państwo poszukacie klucza za beczką, około schodów... musi tam być!

Czułem, że te objaśnienia sprawiały pewną trudność wielkiemu pedagogowi Domysł mój stwierdziły poniekąd- gorączkowe szłapanie pantofli i pełne ukrytego niepokoju ucieranie nosa.

— Jest klucz! — odezwał się po raz pierwszy So- terek, który plądrował sień w czasie niefortunnych układów z emerytem.

Otworzyliśmy i weszli Na środku pokoju stał siwy i zgarbiony Batożnicki w haftowanej czapeczce z fon- taziem i w szlafroku, z którego ząb czasu powyciągał długie ogony starej i brudnej waty. Nastąpiły z na

szej strony rekomendacje i tysiączne grzeczności, którym akompaniował zmieszany pedagog mówiąc:

— Ta... ta... Małgosia to sobie niezłe kobiecisko. Ona bardzo dba o mnie... tak!... Przy tym jest niepospolicie wierna i boi się, żeby mnie nie napastował o pieniądze ten hultaj Feluś, mój siostrzeniec... No i patrzcie, moi państwo, że źli ludzie plotą, jakoby mnie ona tego... powiem po prostu, biła... i... na przekór mojej woli zamykała... Jako żywo, to jest bajka!

Jestem przekonany, że znakomitemu emerytowi z większą łatwością przyszłoby objaśnić Chińczykom swój niezrównany system pedagogiczny niż nam w tej chwili wy tłumaczyć metodę opiekowania się nim, wynalezioną przez dbałą Małgosię. Przerwałem mu więc dalszy wykład zjawisk w jego domu zachodzących i w niewielu słowach opowiedziałem nasze stosunki z Byczkowskim, dzieje Socia i cel obecnej wizyty. . Lecz nawet dziwnie zwięzłe sprawozdanie moje niecierpliwiło czcigodnego starca. Słuchał on nas stojąc — co chwilę niespokojnie spoglądał w okno. kulił się i przestępywał z nogi na nogę jak człowiek usiłujący zapanować nad wybrykami niższych potrzeb swego organizmu; w końcu zaś prędko zapytał:

— Czy chodzi o zreformowanie tego malca za pomocą mojej metody pedagogicznej?

—| Tak jest, szanowny panie! — odpowiedziała majorowa kłaniając się do samej ziemi wielkiemu mizantropowi

— Jeżeli tak, to co innego odparł nieco spokojniejszy. że nie powiem, weselszy pedagog. — Siadajcież państwo, skoro tak. chętnie wyłożę wam mój system. — To powiedziawszy siadł, dając znak ręką, abyśmy go naśladowali. Zauważyłem, że majorowa wykonała ten milczący rozkaz tak skwapliwie i tak energicznie, jak gdyby cała przyszłość Socia zależała

od szybkości i siły uderzenia w stół przy zajmowaniu na nim miejsca.

Podeszły mizantrop odchrząknął i zwracając się do wystraszonego Soterka zaczął:

katechizmu wiadomo nam, że skutkiem grzechu pierworodnego młodzież ma złe popędy, które tylko cierpieniem i pokorą ujarzmić się dadzą... Nie- • prawdaż, mały? »

— Sociu! czy nie słyszysz, że się pan ciebie pyta?i Odpowiadaj zaraz! — zawołała groźnie babka.widząc, że wnuczek nie zdążył jeszcze skoncentrować dostatecznej uwagi na słowa zniechęconego do ludzi eme^ ryta.

— Skoro w to, com powiedział, uwierzemy — ciągnął poważny mówca — wnet poznamy, co robić potrzeba, aby w dzieciach przygłuszyć nasiona rzucone przez złego ducha... Nieprawdaż, moi państwo?...

— Nieprawdaż! — potwierdził bardzo stanowczym głosem uważny Socio, z triumfem patrząc na babkę, która po takim debiucie swego wychowawca niezawodnie zarumieniłaby się po białka, gdyby jej w tej chwili jaki nieprzewidziany wypadek ujął przynajmniej z pięćdziesiąt lat życia.

Szczyściem, wyrozumiały pedagog kiwnął ręką na znak zupełnego odpuszczenia i kazał dalej:

— Widzimy więc, że w dobrym wychowaniu na pierwszym miejscu stawiać należy karność i posłuszeństwo. Czy nie tak?

— Tak! tak! — zawołaliśmy oboje z majorową, której wnuczek w tej chwili najspokojniej przeglądał wiszące na ścianie kopersztychy.

— Poczekaj, smoku! — szepnęła babka; czcigodny zaś Batożnicki mówił:

— Karności są dwa stopnie: pierwszy stosuje się do dzieci umiejących mówić; drugi do tych, które już pi-

szą. Nie myślcie jednak państwo, aby w moim systemie karność opierała się na różdze... Różga jest niepraktyczna...

'— Przytępia w dziecku ambicją — wtrąciłem pragnąc dać dowód pedagogowi, że łatwo zrozumieć wniosłem jego zasady.

— Tylko chamy używają różgi! — dodała z głębokim przekonaniem majorowa.

potwierdził emeryt — Różgę z wychowania należy zupełnie usunąć i zastąpić ją... ~ — Rozumem! — pochwyciłem.

— Perswazją! — uzupełniła stara dama.

— Batem! — zakonkludował pedagog. — Kto używa różgi, przyczynia się do tępienia lasów, dobry zaś bat może służyć dla czterech lub pięciu pokoleń... Czy tak?

— Tak!...' tak!... — potwierdziła majorowa i Socio z nieporównanym zapałem. Ja postanowiłem już milczeć.

Emerytowi podobał się ten entuzjazm poważnej babki i rumianego wnuka, mówił bowiem dalej ze wzrastającym ogniem:

Jeżeli dziecko nie umiejące pisać, lecz umiejące mówić zbroi coś, na przykład wybije okno, wówczas naprzód rachujemy, ile ma miesięcy... Jeżeli dajmy na to, ma pięćdziesiąt miesięcy, każemy mu pięćset razy powtórzyć: nie tłucz okna!..., nie tłucz o k n a!... i damy mu pięć plag batem ze skóry cielecej — bo to, widzicie, moi państwo, jeszcze jest dziecko i organizm ma bardzo delikatny... Jeżeli zaś dziecko już umie pisać i liczy na przykład dziewięćdziesiąt miesięcy, a nie nauczy się, przypuścimy, lekcji — wtedy każemy mu napisać dziewięćdziesiąt razy: ucz się, oś l e!... ucz się, oś l eL. każemy mu to samo powtórzyć ustnie dziewięćset razy i damy

miesiący...

— Chyl — zawołano gdzieś w sąsiedztwie domu emeryta — r to pani za takie chude indyki płaci po rublu? Ja bym i czterech złotych nie dała, bo straszne mizeractwo...

v. — r Uuu! — stęknął emeryt zrywając się na równe nogi. —

Małgosia idzie!... Zegnam państwa!... bądźcie łaskawi wyjść, już, zamknąć drzwi i klucz położyć za beczką około schodów...

To powiedziawszy wypchnął nas prawie z pokoju

mu dziewięć batów ze skóry wołowej, bo to już wyrostek ... Linia bije się po rękach za złe pisanie, rysowanie, plamienie kajetów i w ogóle za drobne nieporządki; dobrze jest także bić po piętach, ale tylko za bieganie albo tupanie...

Cycero robiący wymówki Katylinie, Demostenes zachęcający Ateńczyków do niewierzenia Filipowi, pi- tagorejczyk zalecający ludziom wyrzeczenie się mięsa, pan Gąmbetta podkopujący idee monarchiczne we Francji, a w końcu warszawski stronnik emancypacji kobiet publicznie dowodzący im, że są rozkoszne jak... gęsi, mogliby pozazdrościć zapału wielkiem Ti' emerytowi, którego cenne słowa najskrupulatniej starałem się zapamiętać. W tej chwili dopiero, po raz pierwszy w życiu, uczułem pretensją do mego kawalerskiego stanu, że minie pozwalał naprzód mieć, a po wtóre wychowywać dzieci podług systemu dziesiętnego, który na chlubę kraju i pociechę ludzkości wynalazł genialny starzec.

— tYidzi pan dobrodziej — przerwała majorowa — i my chcieliśmy się pytać nie o to, ale...

— Wiem, wiem! .— odpowiedział pedagog — chcecie się zapytać, co się robi w takim wypadku, gdy dziecko ma na przykład dziewięćdziesiąt dwa miesiące, kilka dni i parę godzin?... To bagatelka! Liczy się za sto

blagajac na wszystkie swietosci, aby klucz lezal we wlasciwym miejscu i abyśmy spotkawszy Małgosię nie mówili jej o swoich odwiedzinach.

Westchnąłem pomyślawszy, ile też to razy emeryt będzie musiał powiedzieć i napisać: nie przyjmuj gości!... nie przyjmuj gości!... Zdaje się bowiem, że jeżeli świat odrzucił w wychowaniu dzieci, to Małgosia niezawodnie w gospodarstwie domowym przyjęła i gorliwie stosowała pedagogiczny system dziesiętny, wynaleziony przez czcigodnego Ba- tożnickiego.

— Widzisz, serce — rzekła mi w drodze do domu bardzo tkliwym głosem majorowa — jak to źle być starym kawalerem!...

— Ciekawy jestem dlaczego? — odparłem dość kwaśno, przeczuwając, co się może ukrywać poza tą niewinną uwagą.

— Dlatego — odpowiedziała nerwowa osoba — że stary kawaler, niebożatko, zawsze pod koniec życia dostaje się w moc jakiej lafiryndy, megiiery... która z nim dziwne rzeczy wyprawia...

— Umieją to samo i żony, moja jejmość... Phy, jeszcze i jak...

' — Ale z żoną miałbyś więcej przyjemności — ciągnęła majorowa argumentując wprost do mojej osoby. \-tż Diabli mi po tym, kiedy już na nogi nie zdążam...

— Nie byłoby ci tak smutno, nie byłbyś taki opuszczony, jak jesteś...

— I to na nic...

— Miałbyś się z kim dzielić kłopotami...

— Niewielka pociecha...

— Zona przed tobą otworzyłaby najtajemniejsze skrytki swego jestestwa.

— Oooo... wcalem nie ciekawy!...

— Uuuu... to paskudnik jakiś! — oburzyła się, już

nie wiem za co, moja stara przyjaciółka tonem osoby usiłującej przypomnieć sobie, że była kiedyś młodą i niedoświadczoną.

Umilkłem już czując, że mi się wszystko żółć po ciele rozlewa. Głowa gadatliwej kobiety jest to okseft bez szpunta: co się do niej wleje uszami lub oczami, natychmiast wylać się musi gębą. Ach! po com ja nieszczęśliwy urodził się w zeszłym wieku, wojował za cesarza jegomości Napoleona, poznał majorowę Moź- dzierznicką i z nią do miasteczka. w interesie wnuka pojechał?... Niech mnie Bóg skarże, jeżeli ta stara jędza nie zechce mnie zrobić swoim małżonkiem, żebym tylko w złą godzinę nie wymówił... TfyL. pokuso...

Rozdział jedenasty

to którym autor i czytelnik doskonale bawią się za drzwiami

Gdy po powrocie z wizyty od męża, który tak szczęśliwie zastosował system dziesiętny do pedagogiki, zjedliśmy obiad, poważna przyjaciółka moja odmówiwszy krótką modlitwę i obtarłszy usta serwetą rzekła:

—Pójdziemy dziś, serce, na wieczór do kochanego Gadulsia...

Kiwnąłem głową, nie tyle na znak aprobacji, ile aby siebie samego przekonać, że w sprawie tej głos mój i osoba niepoślednią odgrywają rolę.

—A teraz NU dodała wdowa po koledze — chciałabym się zacząć ubierać; muszę więc zamknąć drzwi od twego numeru i... przeprosić cię...

—Pozwalasz mi zatem wyjść, majorowo? — spytałem, głęboko wzruszony nadzieją niewidzenia starej damy.

i— Nie gniewaj się, pułkowniku '— odpowiedziała* skromnie opuszczając - Oczy. — To nie na długo.

Wybiegłem na korytarz nie czekając dalszych objaśnień i błogosławiąc zasady przyzwoitości, które nie pozwalają damom ubierać się przy mężczyznach...

„Niech żyje rekreacja! — zawołałem w duchu. — O, ubieraj -się!... ubieraj, szlachetna przyjaciółko!... ubieraj się choćby do dnia sądu ostatecznego... Jakże mi lekko!"

— Numerowy, numerował — zaskrzeczała babunia Soterka.

Po chwili zjawił się wezwany i wszedł do pokoju majorowej.

„Ciekawym po co?... czyby miał zastępować miejsce pokojówki? — pomyślałem. — Ależ nie!... człowiek ten wychodzi, kładzie czapkę na głowę i pędem biegnie do miasta w kierunku ulicy Mydlanej. Coś w tym jest, trzeba poczekać..."

Zrobiwszy tego rodzaju postanowienie zacząłem spacerować po sieni hotelu. Na podwórzu zataczające się kązki dziobiąc śmiecie prowadziły monotonną rozmowę. Młoda koza, znudzona spacerem około stajni, zabierała się już po raz dziesiąty do walki, ze znacznie młodszym od niej kogutkiem, który zgodnie z rodowymi tradycjami starał się jak najgroźniej rozkraczyć swoje chude nożęta i jak najdłużej wyciągnąć szyję, na końcu której przezorna matka natura w niewiadomych nam celach umieściła głowę wielkości bobu i dziób nie dłuższy od ziarnka owsa.

Od strony ulicy znowu jakiś faktor, polujący prawdopodobnie na interesanta, co chwilę wyglądał za bra-' mę przemyślając jednocześnie nad tym, czy nie należałoby mi w czasie antraktu ofiarować swoich gorliwych usług. Przeciwnie zaś, furman jakiegoś dzierżawcy czy też oficjalisty, oparłszy się plecami o wrota

i zasadziwszy obie pięście za pazuchę, patrzył na faktora i na mnie z miną Cyncynata, który pobił nieprzyjaciół, zaorał pole. wywiózł gnój, wypędził bydło na łąkę, a obecnie zabiera się do spoczynku na ciężko zapracowanych laurach.

Z dziesięć minut spacerowałem po bramie czekając na powrót hotelowego pacholka i zapytując się, dlaczego troskliwa babunia dała Soterkowi urlop na całe ' poobiedzie?... dlaczego zamknęła drzwi prowadzące od jej do mojego numeru?... na jakiej zasadzie... Przerwałem medytację, ponieważ w tej chwili ukazał się numerowy w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Przybyły dźwigał na tułowiu bardzo elegancki jasny, surdut, na karku zaś głowę ozdobioną czarnymi jak węgiel włosami, które przyroda czy też sztuka pozwijała w miliony pierścieni. Był to bardzo ładny młodzieniec: takie oczy, takie wąsiki, taką figurę, taką płec białą i różową widziałem tylko raz w życiu, skoncentrowane w osobie dwunastorublowej lalki.

Interesujący ten mężczyzna miał w rękach ogromne niebieskie pudło, co jest mniej dziwne; dziwniejszym było to, że wszedł do numeru majorowej i że po kilkunastu sekundach drzwi zamknęły się za nim... na klucz!...

Gdybym był śpiewakiem włoskim, a majorowa o sześćdziesiąt lat młodszą, niezawodnie zażądałbym oselki do naostrzenia mego puginału. Ale w obecnych okolicznościach zamiast zazdrości uczułem gwałtowną senność i nie robiąc hałasu wszedłem do swojej stancyjki, aby tam, upadłszy na twardy hotelowy materac, stać się mimowolnym świadkiem następującej rozmowy:

— "Więc pan przyniósł te... te? — mówiła majorowa.

— Tak jest, pani — odpowiedział młody C7lnwiek. — Mam ze sobą koaŃiury blond, szatyn, zupełnie czarne... '

Słowom tym towarzyszył szmer 7rodkujący mi7dzy ukłómem a wycieraniem butów o podłogę.

— Ciekawam, jaki kolor b\$iby dla mnie najlepszy?

— Płec pani ' jest tak... tak szczę7liwa, że ka7dy kolor pasowałby wybornie. Najlepiej jednak wydadz7 się włosy czarne.

„Aha! — pomy7lałem — wi7c dzi7 wieczór zobaczymy kochan7 majorow7 w czarnej peruce...” ' . — Mo7e by7my przymierzyli — odzywa si7 majorowa. — Ja, widzi pan, stracił7m włosy po tyfusie i... i...

Nie sły7załem nigdy, aby zacna moja przyjaciółka przechodziła tyfus, z tym wszystkim jednak nie czułem " si7 obowi7zanym do sprostowania tego rodzaju .pomył7ek. -

H — Najmłodsze osoby po tyfusie trac7 włosy —. obja7nił elegancki subiekt. — Mo7e pani raczy usi77c naprzeciw lustra.

Usły7załem 7oskot przesuwanego krzesła.

— Po co pan brzytwy przyniósł? — zapytała niespokojnie dama.

— My7lałem, że potrzeba b7dzie usun7c włosy, ale widz7, że si7 obejdzie. Pani. ma bardzo ładnie uformowan7 głow7...

Nastała chwila milczenia, w ci7gu której zap^awne sładki u7miech wykwił na jelonkowym obliczu starej damy, która przemówiła znowu: \ t^ - Pan pewno nie z tych stron?.,. Ach, jaki ci77ki ubiór!

— Przyzwyczai si7 pani... Jestem tutaj urodzony, ale ko7czyłem edukacj7 w Warszawie. Pani b7dzie łaskawa przechylić głow7 na prawo..., 1

— Wszyscy warszawiacy mają dobre ułożenie i umieją rozmawiać z damami... Zdaje mi się, że krzywo... ■ - ,.

— Niech się pani nie obawia, znam swoją sztukę... chociaż — dodał z westchnieniem — nie jestem kon- tent z zawodu l

— Myślałam, że ubierać głowy damom jest rzeczą bardzo przyjemną?

— Niezawodnie, pani; ja nawet byłbym zupełnie szczęśliwym, gdyby nie to, że mam pociąg familijny do profesji doktorskiej...

— Och!... kole mnie w głowę...! Więc pan pochodzi z doktorów?

— Tak jest, pani!... Proszę pochylić głowę naprzód. Mój ojciec był chirurgiem, a dziadek mojej matki prawdziwym doktorem i tak się do swojej sztuki zapalił, że jednego syna zrobił restauratorem, drugiego aptekarzem, trzeciego księdzem... Głowę na lewo!..*- Potem familia nasza podupadła i ojciec mojej matki, nie mogąc już wypromować się na doktora, założył oberżę. Ale i ten miał medyczną żyłkę, bo wszystkim swoim krewnym i sługom kazał cztery razy w roku stawiać cięte bańki wzdłuż krzyża. O matce mojej nie ma co nawet gadać, bo ona przez całe życie każdemu, kto u niej mieszkał albo z wizytą przyjechał, dawała na... Głowę do góry!... Ja miałem być doktorem, tak chciał ojciec i matka, oddali mnie nawet do klas... Głowa prosto!... Ale że mi w szkołach było za ciężko, więc uciekłem do fryzjera...

— A cóż na to rodzice?

— Ha, cóż! trochę się gniewali, ale później mój pryncypał wytłomaczył ojcu, że doktor, fryzjer i chirurg to prawie wszystko jedno, i starzy udobruchali się...

— Iii... — przerwała majorowa — lepiej pan zro-

bił, że nie został doktorem. Doktorzy to tylko zabijać umieją.

— Święta prawda! — potwierdził elegant — tak samo mówił wuj Symplicjusz, brat mojej matki. Był to człowiek bardzo rozumny i bardzo szczupły, nazywali go nawet suchotnikiem; ale póki mieszkał przy swoim ojcu, który mu co kwartał stawiał cięte bańki, póty był zdrow... Głowa do góry... ot, tak!... Kiedy dziadek umarł, wzięli wuja w kurację doktorzy, położyli do łóżka i powiedzieli, że z nim jest strasznie źle. Całe szczęście, że moja matka, usłyszawszy o tym, zaraz powiedziała do wuja: „Sympciu! kpij z nich... Ja cię wyleczę!..”

— Te włosy dobrze leżą, tylko zdaje się, że przy mojej twarzy nie są dość czarne — przerwała stara osoba.

— Upudrujemy twarz, a wtedy włosy wydadzą się ciemniejsze... Pani musiała być piękną brunetką! — wtrącił artysta.

— Więc cóż się stało z pańskim wujem?... Bardzom ciekawa.

— A cóż?... nic! Jak mu mama zaczęła co tydzień dawać na tego... tak zaraz się poprawił, tylko że go doktorzy przyzwyczaili do łóżka, więc już nie wstawał... Teraz upudrujemy z tej strony!... Leżał sobie tedy i kaszłał, kaszłał i pluł, a pluł samymi płucami... Aż jednego dnia...

— Niech pan już nie opowiada takich rzeczy, bo mi się aż słabo robi...

— Pani jest bardzo spazmatyczna — zauważył elegant

Sen opanowywał mnie, wątek rozmowy prowadzonej w sąsiedztwie rwał się w umyśle moim. Czułem, że wpadam w jakieś filozoficzne awantury, i... już nie wiem, co było dalej.

Osma wybiła na miejskim półzegarzu, kiedyśmy oboje z majorową dotarli do mieszkania poczciwego Gadulsia, który z taką chlubą dla siebie i pożytkiem dla społeczeństwa od niepamiętnych czasów wypełniał trudne obowiązki powiatowego opiekuna sierot i małoletnich.

— Aaaaal — zawołał ujrzawszy nas uprzejmy właściciel lokalu. — Najczcigodniejsza majorowa dobrodziejka¹... najszanowniejszy pułkownik dobrodziej!... Kochani, dawno oczekiwani goście!...

Z tymi i tym podobnymi wykrzyknikami grzeczny Gadulski rzucił się jak tygrys na poważną moją przyjaciółkę, rozmotał krepujące ją szale, a następnie z wdziękiem godnym przynajmniej dziesięciu Ludwików Czternastych wprowadził damę do sali zalanej potokami światła wytryskującego z dwu świec stearynowych i jednej naftowej lampy.

Od południa nie widziałem niepokieszonej wdowy po zmarłym koledze Moździerznickim, a ponieważ o zmroku już wybraliśmy się na wizytę, nie mogłem więc dostrzec zmian, jakie w naturalnych wdziękach mojej towarzyszki zaprowadził biegły artysta kunsztu perukarskiego. Toteż ujrzawszy na środku sali stojącą damę, o mało nie wykrzyknąłem: „Przebóg!... jestże to ona?...” Głos był ten sam, wzrost także, tusza też sama. jakby ułał — lecz na głowie zamiast bufiastego czepca iskrzą się i wonieją czarne, silnie upomadowane włosy, a na obliczu, niegdyś bladocynamonowym. leży obecnie potężna warstwa różu, nadająca starej damie pozór szafy polakierowanej na czerwono...

Nie wiem, jak daleko sięgały modyfikacje dokonane przez fryzjerskiego pachółka na organizmie podeszłej majorowej, pewnym jest jednak, że powierzchowną metamorfozę dostrzegł nawet roztrzepany Gadulski i jak się to mówi, zapomniał języka w gębie. Szczęściem, ocknął się stosunkowo dość szybko z niewłaściwego, a nawet w podobnych wypadkach bardzo nagannego osłupienia i wskazując na kilku mężczyzn, rzekł:

— Oto pan Łukasz Mulnicki. archiwista akt dawnych!... mam zaszczyt prezentować...

Świeżo wy restaurowana dama wygięła się od tyłu ku przodowi jak osoba doświadczająca bólu w okolicach krzyża; prezentowany zaś archiwista spojrział na nią tak, jak ludzie jego specjalności patrzą na stare akta, którym dla przynęty półgłówków dodano kosztowne okładki.

— Oto jest pan Achilles de Pureaux spadły z etatu nauczyciel rysunków i kaligrafii!... mam honor rekomendować... — ciągnął etykietalny Gadulski.

, Nastąpił nowy paroksyzm cierpień krzyżowych ze strony Pudencjanny Moździerzniczkiej. na co wysmukły de Pureaux odpowiedział szeregiem ruchów malujących nie tyle sympatią dla osoby przybyłej, ile raczej głęboką cześć dla sztuki ładnego pisania.

— A oto znany już majorowej pan Pieprzkowski... kupiec i obywatel — zakonkludował gospodarz.

— Aaa! — odpowiedziała uróżowana Pudencjanna zajmując majestatycznie połowę skrzypiącej kanapy. — Gdzież jest szanowna siostra twoja, kochany Ga- dulsiu?

— Wyjechała na parę tygodni, droga majorowo! A gdzież ukochany mój pupil? — wywzajemnił się troskliwy opiekun.

— Pozwoliłam mu, nieboraczkowi, spacerować przez

całe poobiedzie, ale... zapewne niedługo przyjdzie —• objaśniła trochę zakłopotana babunia.

W tej chwili otworzyły się z łoskotem drzwi wchodowego pokoju i jednocześnie prawie ukazał się na progu sali czerwony i otyły jegomość w akompaniamencie bardzo chudej i bladej jejmości.

— Otóż i nasi kochani państwo Pukalscy! — zawołał gospodarz udając ogromnie zadowolonego. — Pan Sylwester Pukalski... pani Weronika Pukalska!... pani majorowa Moździerznicka!...

— Były obywatel ziemski — dodał przybyły jegomość. — Powiadam: były, ponieważ nasze kochane Towarzystwo Kredytowe już od trzech lat posadziło mnie z żoną i dziećmi na bruku...

— Sylwciu! — wtrąciła chuda pani błagalnie patrząc na większą połowę swej istoty. |

— Wzorowe małżeństwo! — szepnął do mnie archiwista akt dawnych. — Dziesięć lat pożycia i piętnaścioro dzieci...

— Zono moja!... Weroniko moja!... — zawołał pośpieszliwy Sylwester — nie broń ich!... Tak, mod państwo, powtarzam, że Towarzystwo Kredytowe istnieje po to tylko, ażeby gubić nas, obywateli. Żyd drze... ale czeka — a Towarzystwo... niech go diabli porwą!...

— Nie skończy dziś o Towarzystwie — bąknął Pieprzkowski.

— Panie Mulnicki, dobrodzieju, panie archiwisto... opowiedz nam z łaski swej historią kogutka! — prosił Gadulski chcąc widocznie przeciąć jeremiady podupadłego obywatela.

— Co tam historia kogutka!... słyszymy ją kopę razy na dzień... — przerwał niegrzecznie zlicytowany ziemianin.

— Eee... mój panie! — zawołał archiwista. — Właśnie, że państwo nie znają tej historii; a jest ona

wnością ciekawsza od wiekuiestej bajki o Towarzystwie Kredytowym.

To powiedziawszy wystąpił na środek.

Nie wiem, do czego by doszło między zrujnowanym obywatelem ziemskim i ceniącym swój impro- wizatorski talent archiwistą, gdyby na szczęście w tej chwili nie przeszła przez salon Zosia, pulchne wiejskie dziewczę, pełniące obowiązki kucharki i pokojówki w domu zacnego Gadulskiego. Ukazanie się jej zażegnało burzę; zirytowany bowiem Pukalski wybiegł za dziewczyną do kuchni, niby to dla pomagania jej przy gospodarstwie, a właściwie po to, aby bez kompromitacji, zejść z oczu swemu przeciwnikowi, który tym sposobem został panem sytuacji. Rozumie się, że po rejteradzie głównego i jedyne go oponenta reszta obecnych z powagą sędziów kryminalnych zabrała się do wysłuchania ciekawej i zapewne bardzo pouczającej historii ptaka, który po wszystkie czasy służyć będzie za symbol waleczności, galanterii i innych drogocennych przymiotów, jakie płeć piękna najwięcej uwielbia w mężczyznach.

Mówca zaczął:

—U Macieja na podwórzu w czas lata hodowała się kureczka czubata; mała, czarna, tłusta, zwinna i młoda, wciąż wołała kot-kot-kot-kot-kot-kodaL.

Ostatni frazes niezrównany naśladowca wydekla- mował z taką precyzją, że nasze damy, obie zawołane gospodynie, mimo woli wykonały palcami kilka charakterystycznych gestów, za pomocą których hodowcy kur namacalnie sprawdzają ekonomiczną doniosłość gdakania swoich wychowanek.

Triumfujący deklamator ciągnął dalej:

—Rzekłszy na to gospodyni: „Dobrze tak!”, posadziła swoją kurkę na przetak. Niedługo też kokosze- czka czarniutka wysiedziała srokiego kogutka, co na

głowie żółciuteńki miał znaczek i śpiewał se: pi-pi-pi pil... robaczek. Dostrzegłem, że —przy słowach: pi-pi-pi-pil... z taką rzewną prostotą malujących pierwsze poglądy na świat kurzego niemowlęcia oczy obu szanownych dam zachodzą łzami.

— W tydzień potem ziarnka sobie sam grzebał, rósł jak ciasto, wron drapieżnych się nie bał; czasem braciom...

— Nooo!... co pan już nie wyrabia! —"wrzasnęła w kuchni pulchna Zosia tak przeraźliwym głosem, że rozdeklamowany archiwista zamilkł jak ryba, a natomiast blada i chuda pani Pukalska zrywając się z kanapy jęknęła:

— Mężu mój!... Sylwciu mój!...

Namiętny Sylwcio ukazał się we drzwiach z miną baranka, któremu usiłują dowieść, że wymordował stado wilków.

— Nic... nic... kochana Weronisiu, słowo honoru,, tac! Tylko... tylko miał się wywrócić samowar, ale go w porę zatrzymałem... Jakem PukalskiL.

— Bagatela! — przerwał wyrozumiały gospodarz. — A choćby się nawet i wywrócił, niewielka byłaby szkoda.

— Czyś się pan tylko nie sparzył ptaszeńku? — zapytuje troskliwa majorowa subhastowanego właściciela dóbr doczesnych.

— Naturalnie, że się sparzył! — mruknął gniewnie archiwista, któremu w najefektowniejszym miejscu ; przerwano zajmującą powiastkę.

— Ooo... nie!... niech pani będzie spokojna — zapewniał moją przyjaciółkę otyły przeciwnik Towarzystwa Kredytowego.

— Może by pan Mulnicki dokończył teraz bajeczkę? — wtrącił nieśmiało wysmukły de Pureaux.

—Nie głupim! — odparł dek'amator siadając na- fotelu w taki sposób, jakby miał zamiar wyrazić najwyższe lekceważenie dla wszystkich obywateli ziemskich.

—Z samowarami zdarzają się nieraz okropne wypadki rzekł gospodarz chcąc widocznie zapobiec groźnym następstwom dalszych manifestacji rozjątrzonego archiwisty akt dawnych. — Pamiętam, że rok temu jedna, panna zawadziwszy o stolik wywróciła sobie na suknię caluteczki samowar z kip ątkiem...

—I cóż?... i cóż suknia? — zawołały ra^em obie damy.

- Ha, cóż?... poparzyła się biedaczka i dwa tygodnie sięć nie mogła na krześle...

Ja także miałem wczoraj straszny wypadek... — wtrącił skromny Achilles de Pureaux, spadły z etatu nauczyciel rysunków i kaligrafii.

—Czy także z samowarem? — zapytaliśmy wszyscy.

—- A tak!... Wylałem sobie na moje białe pikowe spodnie całą butelkę alizarynowego atramentu.

Było aż nazbyt jasne, że prowincjonalny członek krajowego piśmiennictwa nie krępuje swojej kaligraficznej fantazji żadnymi prawidłami zdrowego rozsądku Stąd wypływał bardzo naturalny wniosek, ten mianowicie: że prowincja budziła się już z odwiecznego letargu; do tej pory bowiem znakomitości podobne do Achillesa spotykano tylko w warszawskich kółkach literackich,

—Może byśmy preferka zarznęli? — zapytał po chwili ogólnego milczenia były obywatel Pukalski wysapawszy s:ę po przygodach kuchennych.

—Sylwciu kochany! — prosiła przygnębiona małżonka.

—Ehe... co mi tam jejmość głową zawracasz! — odparł naczelnik tworzącego się plemienia Pukalskich.

— Jeść nie dają, w karty nie grają, więc chyba idźmy już spać, bo na polowanie z pewnością nie zaprowadzą.

Chciałem uściskać dzielnego Sylwestra za tak treściwe sformułowanie naszych duchowo-ziemiańskich potrzeb — gdy wtem drzwi skrzypnęły i wszedł spocony jak mysz Soterek.

— Otóż i mój kochany pupil!... Jakże się masz? gdzieś bywał? — wita przybyłego tkliwy Gadulski ściskając go przy tym i całując tak serdecznie, jakby Socio był oo najmniej rewizorem kasy, a przyjmujący go opiekun kasjerem, który popełnił nadużycie.

- Sociu, ukłoń się! — komenderuje odświeżona babka.

— A babunia gdzie? — pyta naiwny, chłopiec wodząc błędnym okiem po wszystkich sprzętach wy- kwintnego salonu, jakby przypuszczał, że szanowna staruszka bawi się z nim w chowane.

— Babcia siedzi przecież na kanapie, czy nie widzisz? — objaśnia go szlachetny Gadulski wskazując na utrefioną damę.

— Sociu, chodźże tutaj! — odzywa się już drżącym zapewne z gniewu głosem babka.

— Nie pójdę! — odpowiada stanowczo nieokrzesany, wnuczek z widocznymi objawami przestrawu.

— Ależ, Sociu! — reflektuje go opiekun lękający się jakiej familijnej katastrofy.

— Kiedy bo się boję! — mówi już na pół z płaczem Soterek. — Na co babcia przyprawiła sobie głowę?

Aaa... wiecie państwo, żem jak żyję, nie słyszał nic podobnego... Otóż to wychowanie na wsi!... Siedemnastoletni chłopiec nie rozumie tego, że damy mają 'nieograniczone prawo uzupełniać, odnawiać, przemieniać itd. swoje wdzięki, które przecież stanowią icK niezaprzeczoną własność. Toteż nie zadziwiłem się, gdy_A

po malej pauzie obeznana ze zwyczajami światowymi majorowa zawołała:

— Słabo mil... '

Zbyt wiele mam delikatności i dobrego serca, abym mógł wyzyskiwać kłopotliwe sytuacje, w jakich niekiedy znajdują się ukochani moi bliźni; na tym więc skończę opis powikłań, które tak niespodzianie wybuchły między czcigodną moją przyjaciółką i jej sympatycznym wnukiem. Dodam tu tylko, że przynajmniej pół godziny upłynęło, nim ustaliła się w naszym towarzystwie jaka taka harmonia i nim zawsze pełen filantropijnych uczuć Gadulski przedstawił zebranym następującą kwestię:

— Otóż tedy powiedzcie nam, łaskawi państwo, jaki zawód praktyczny dla swego wnuczka ma obrać nasza kochana a obecna tu majorowa.

— Do kupca!... do kupca!... — radzi uczciwy Pieprz- kowski, na pozór silnie zainteresowany brzękiem szczękiem, który rozlegał się w jadalnym pokoju.

— Czego on się u kupca dorobi? — odparł z niedowierzaniem archiwista.

— Jak to, czego?... a mój siostrzeniec Michaś czy źle fta kupiectwie wyszedł?... Zaczął przecież interes z dziesięcioma palcami, a dziś ma sklep... eech!...

— Prawda! prawda!... ale co się udało Michasiowi, może się nie udać Soterkowi, który do pańskiego siostrzeńca jest tak podobny jak pięść do nosa...

— Co ten człowiek wygaduje?... Jak pięść do nosa! — woła urażony kupiec i obywatel. — i ten blondyn, i tamten blondyn..« oczy niebieskie, wzrost dobry, skłonność do tuszy... czego tu chcieć więcej? podobni jak dwie krople wody.

— Aa ale! — odpowiada uparty deklamator. — Mi- chaś to człowiek wcale niegłupi i nawet obrotny...

-Głupi... głupi! twierdzi rozindyczny Pieprz-

kowski. — Głupi jak stołowe nogi... rodzony wnuczek pani majorowej!... Wiem przecież, bo się u mnie wychował.

W czasie tej gorącej dyskusji przyjaciółka moja siedziała jak na rozżarzonych węglach; uwolnił ją do-. . piero z tej łaźni spadły z etatu Achilles mówiąc:

— Gdyby kaligraficznie pisał, mógłby wstąpić > do biurowości.

— Strasznie trudno o miejsce - przerwał Gadulski lękając się zapewne nowego. Współzawodnika. — Lepiej by już został tj'm, czym go Bóg stworzył, to jest obywatelem ziemskim...

— A to mi rada! -oburzył się namiętny Pukał- ski. — Chyba po to zostanie obywatelem ziemskim, ażeby go subhastowało Towarzystwo Kredytowe?

— Przecież ty, Sociu, serce, sam już miałeś parę razy do czegoś ochotę?— odzywa się babka.

— Ja?... Ja bym poszedł albo do uzarów, albo do uniwersytetu... — odpowiada głupowaty Socio.

Z trzeciej klasy do uniwersytetu?... trochę za ciężko. Chybabyś.. jeszcze z rok nad książką popracował — reflektuje go opiekun.

Mogę udzielać lekcji rysunków i kaligrafii —| wtrącił de Pureaux.

— Może by na księdza? — zapytuje blada Weronika. — Proszę państwa... już do stołu podano — oznajmia ładnie uformowana Zosia nie patrząc nawet na otyłego Pukalskiego.

Członkowie rady rodzinnej na wyścigi rzucili się do jadalnego pokoju, gdzieśmy mniej więcej obsiedli stół w porządku chronologicznym. Toteż ja dostałem się majorowej, Pukalski, zgodnie z prawami kanonicznymi, asystował Pukalskiej, linijkowaty Achilles de Pureaiuc obsługiwał poetycznego archiwistę, powia

towy zaś opiekun sierot, a zarazem gospodarz bankietu był wszędzie i pamiętał o wszystkich.

— ^Uu! — mruknął były obywatel ziemski — tu, widzę, jakby na złotym weselu, częstują nas zimnymi, nogami...

— Sylwciu! — zmonitowała go skromna Pukalska wyciągając rękę do długiego półmiska, który w tej chwili rumiana Zosia przyniosła.

- widzę? — zawołał znowu ziemianin. — Po nogach ryby?...

Oooo!...

— Ryby usposabiają do sakramentu małżeństwa... — objaśnił Mulnicki wysmukłego Achillesa.

- Pułkowniku, serce! zjedz te dwa kawałki szczupaka, jeżeli mi dobrze życzysz — prosiła troskliwa majorowa.

Owszem — odpowiadam — nie wiem jednak, czy się to na co przyda...

— Kochany Sylwciu! ■ — odzywa się błagalnym głosem chuda Weronika nie jedz ryby, jeżeli miłym ci jest moje życie...

— Ale, co tam! — odpowiada niewzruszony ziemianin kiwając na Zosię, aby mu podała półmisek.

Rozkaz spełniono, gdy wtem... ; Nooo! Mr-i wrzasnęła znowu pulchna kucharka i... rybę z garniturem i półmiskiem rzuciła na podłogę.

— Tego już chyba za dużo! — krzyknął zrozpaczony gospodarz — za ten półmisek dziś przed południem zapłaciłem cztery złote.

— A cóż ja winna, że pan Pukalski... — tłumaczy się kucharka.

— No... no... no... tylko dużo nie gadaj — przerywa gwałtowny przeciwnik Towarzystwa Kredytowego. — Ja za półmisek mogę zapłacić, ale swoją drogą i tyś trochę winna... Bo kiedy... tego... brałem jedną ręką...

— Ach, Sylwciu!... ach, mężu!... co też ty w obcym

domu wyrabiasz? — wzdycha ciężko strapiona Weronika myśląc zapewne, że za cztery złote można by przynajmniej bułek kupić na cały dzień dla piętnastu gałązek szlchetnego rodu Pukalskich.

— Ach, do diabła! — mruknął archiwista — taki miałem apetyt na rybę...

W tej chwili we drzwiach kuchni ukazał się jakiś człowiek, któremu pąsowy nos i czarne faworyty nadawały wysoce półurzędowy charakter.

— A cóż tam nowego, mój Walenty? — zapytuje gospodarz.

— Pan naczelnik prosi pana w ten moment do siebie! — rzekł przybyły.

— A to... zdarzenie! — zawołał uprzejmy Gadulski nie wiedząc, w jaki sposób pożegnać swoich kochanych gości.

— To już, proszę pana, chyba arbaty nie będzie? — odzywa się rumiana Zosia.

— Biedny mój Socio! — westchnęła majorowa wstając od stołu, aby pożegnać gościnnego Gadulskiego.

W parę minut znajdowaliśmy się już na ulicy.

Rozdział trzynasty

to którym opowiadający niniejszą historią nie ma zamiaru ani uwłaczać prawości oficjalistów, ani dyskredytować lojalności p r a w n i k ó w

Następnego poranku zjawił się w hotelu Icek, mój pachciarz, a zarazem wierzyciel, powiernik, pośrednik, słowem: deus ex machina dla wszystkich większych i mniejszych posiadaczy ziemskich naszej oko-

licy. Przyznaję, że wizyta jego zaniepokoiła mnie trochę; nie tracąc jednak szlacheckiego ferworu, jaki każdy z nas, obywateli, w stosunkach z podobnymi indywidualnościami zachowywać powinien, głosem wesołym i o pół tonu podniesionym zawołałem:

— Ahaa!... jak się masz, Icuniu?... pewnoś do mnie przyjechał?

— Trochę do jaśnie pana, a trochę na licytacją — odpowiedział Icunio dotykając czapką podłogi. Przy powitaniu niektórych z moich sąsiadów dotykał on zaledwie palcami brzegów swojej jarmułki.

— Cóż to za licytacją, jeżeli wolno spytać?

— Iii... nic, bagateli... To na dostawy do szpitala państwa... Ja nawet nie dla siebie, ale dla swego zięcia...

— Hum!... No, a jak tam u mnie w domu?

— Wszystko dobrze, Bogu dziękować, ino tylko pięcioro bandosów umarło...

— Uuu!... A na co?

— Jaśnie pan wie! To na t e chorobę...

— Patrzaj, Icuniu!... A żniwa idą?

— Co nie mają iść? Przecie jaśnie pan zostawił pana rządcego, a pan rządca nie zrobi krzywdy jaśnie panu. Żeby tylko nie ten deszcz...

— Jak to, deszcz padał? I kiedyż to?...

— Iii... tylko trochę... przez te parę dni, jak jaśnie pan wyjechał.

— Nieszczęście!... No, a jakże tam z resztą?

— Z reczką?... Reczlca u jaśnie pana śliczności, takiej drugiej w całej guberni nie ma...

— Ale ja się nie pytam, co z hreczką, ale co z resztą?... co z resztą gospodarstwa, rozumiesz wać- pan?...

— Ny, ny!... z resztą... z resztą... Już rozumiem!... Ale skąd to jaśnie pan się o tym dowiedział?

— O czym?!

— Nu, o tym, że pan rządcą dał co z resztą pisarzowi i że go wygnał...

— Co ty mówisz... wygnał?... Bez mojej wiedzy?...

— Jak to, wygnał?.. ^ Z przeproszeniem jaśnie pana, ale ja takiego słowa nie mówiłem, ja się omyliłem!... Pan rządcą bez jaśnie pana nie śmiałyby nawet myszy; wygnać z pańskiego pokoju... To dobry rządcą

— on zna służbę...

— Więc nie wygnał?

— Rozumie się!... Tylko widzi jaśnie pan, był taki interes. Pan rządcą poswarzył się z panem pisarzem o coś — ja nie wiem o co — i żartami powiedział, że jak złapie pana pisarza, to mu da sto batów. Nu, i złapał pana pisarza, i przez figle coś mu tam dał z resztą, ale ja już nie wiem ile, bo mi parobcy gadali tylko tyle, że jak pan pisarz zaczął nogami fikać, to aż mu but zleciał i szybę wybił!...

— I wypędził go?...

— Nie wypędził! Niech Bóg broni!... Pan pisarz sam uciekł, nawet zostawił czapkę w kancelarii...

— Ach, łotry!..,

— Co prawda — ciągnął dalej roztropny Iacunio — ja przy tym nie byłem i żeby tak dokumentnie opowiedzieć, to nie potrafię — ale mam do jaśnie pana list od pana rządczego.

— Dawajże prędzej! — zawołałem wyrrywając z rąk zaściankowego dyplomaty olbrzymią zabrudzoną kopertę, w której pod trzema pieczęciami, wyobrażającymi gołębia unoszącego w dziobie serce przebite strzałą, ukrywał się arkuszowy dokument.

— Może ja już jasnemu panu niepotrzebny? Bo się spóźnię na licytacją... — wtrącił pokornie Icek.

— A idź, idź!... Tylko... wstąp do mnie, jak będziesz miał wyjeżdżać!

Zniknął Icek za drzwiami, a ja z gorączkowym niepokojem zabrałem się do odczytywania listu, który; przytaczam:

„Jaśnie Wielmożny Dziedzicu i Dobrodzieju!

Że o gospodarskich zgrzyotach i wydarzeniach pachciarz Icek zda J. W. Dziedzicowi relacją i doniesienie, nie jestem temu winien; z powodu kłopotli- wości ojcowskiego serca mojego nie miawszy głowy do tych i tym podobnych interesów — więc przed J. W. Panem chwalić się darmo nie chcę.

Znany J. W. Dziedzicowi Alfons, a naprawdę Baltazar Gadziński, już w dominium i ekonomii naszej nie jest — ponieważ jakkolwiek wstępnym mi czyni jego nazwisko i osoba, dokładnie opisać czuję się być zasus- pendowanym — ażeby przypadkiem do uszu J. W. Pana złe języki plotek i nieprawdziwych fałszów nie doniosły. Farmazon ten, mianujący się być Alfonsem, a naprawdę Baltazar, sławny z nierządu, pijaństwa, karciarstwa i innych złych skłonności, który jak widać, 1 bożego dopuszczenia na pokaranie grzechów moich w dominium i ekonomią naszą z łaski J. W. Dziedzica na prowentowego pisarza się w śrubował — popuszczając wodze nieczystym chuciom swoim, bez niczyjej wiedzy i przyzwolenia cholewki smałał do córki mojej Rozalii Benigny Tyczkowskiej i wiersze do takowej także jednego dnia wysztafirował — które tu na właściwym miejscu mojego niniejszego pokornego listu przylepiając, ażeby nie wpaść w posadzkę i podejrzenie względem cudzych słów przekręcania i Bogu ducha winnych oskarżania.

- Łzesz, boś łaził, sam cię widziałem. Szymon Tyczko \wski.
Oczy twoje jak dwa węgle, Myślą o nich ciągle; Jak ananas buzia
twoja, Nieszczęśliwa dola moja! Pozwól mi w oczki spoglądać, W
buzię pocałować żądać. Szczerze kochający i do grobowej deski
wierny, wiersze te skomponował i własną ręką pisał
Alfons Gadziński.

Wiadoma J. W. Dziedzicowi mojej córki skromność i niewieścia
jej wstydlivość nie pozwoliły teźże na tak głupie i bezbożne androny
odpisywać. Taż, co jej mam za złe, nie chcąc, na psią starość ranić
ojcowskiego serca mojego przede mną pary z gęby nie wypuściła, ale
za każdym razem, spotkawszy się z tym antychrystem, wszelkie
grymasy, jakie porządny pannon przystoją, pokazywała, chciawszy
mu akuratnie wyperswadować, że go, jak tego wart jest, wcale przez
nogę traktuje i za hetkę-pętelkę uważa. Ten jednak wszetecznik, jakby
nie dość mający jednej chryi, drugie, pod spodem przylepione wiersze
wysztychował i przez pastuszkę od Świn, Kachnę, dla do rąk włas-
nych doręczenia córce mojej, wyż wymienionej Rozalii Benignie,
zaaplikował.

Ludzie przed tobą szczekają, Ze mnie z Magdą spotykają; Bodajże we
mnie piorun trząśł, Jeżelim do Magdy laźł!...¹ Całą prawdę wypisuję,
Zatem posłuchaj, co czuję:

Głupia Magda, głupia Jagna, Głupia Nastka i Paraska; Jeżelibym z nimi romansował. To bym swój herb skompromitował, Więc jeżeli mnie kochasz, To im te wiersze pokaż, Oto całą prawdę masz...
Twój do śmierci Alfons.

Wiedziawszy, że urwipoleć taki, koszuli na grzbiecie nie mający i względem zabrania się do związku małżeńskiego przystąpić nie mogąc, sidła tylko na cnotę głupiej dziewczyny zastawia, do której nie jego sosem ani nosem ludzie się absztyfikują ze statkiem, utrzymaniem i wszelkim należywym porządkiem, jako: leśniczy z Wólki, ekonom z Bałabanówki, pisarz gminny z Rakodłubów i jeden kolonista z Tarapatajki. Więc na takie rozpustowanie i domu kalanie żadnym sposobem nie mogłem pozwolić i sama nawet Rózia, znająca mores, odpisała mu raz na zawsze, żeby sobie na próżno głowy tym interesem nie nabijał ani też krwi sobie smakiem, który dla niego nie jest, darmo nie psuł. Ale on, wpadłszy w pasję, więc zaczął roznosić pomiędzy ludźmi, że Rózia koperczaki cięła z profesorem Wielmożnej Majorowej Moździerzniczkiej, i takie znowu wiersze napisał:

DO NIEWIERNEJ R O ZI

Coś tu gadają chłopcy,

Żeś z profesorem chodziła między kopy?...

Więc zaklinam ciebie

Na Boga w niebie:

Powiedz prawdę, nie skrywaj się,

Czy to prawda, że wy kochacie się?...

Bo jeżeli to jest prawda,

Więc to z twojej strony zdrada!

Boś mi przysięgała,

Żeś mnie kochała!

IA \firtz powiem ci, kiedyś mnie zmanila, ~ [Wolałbym, żebyś mi sztylet w serce wbiła, Jakaś mnie zmartwiła!...

Na wieki wieków niepocieszony Alfons.

Złapawszy takie sprośne i grzeszne obrzydliwości, I przeciw niewieściemu wstydowni, córki mojej wy- I. rychtowane, dobrzem za to Rózi nakiwał, która już I dwie doby popłakuje, i w najniewinniejszej myśli na- I straszy wszy trochę Baltazara Gadzińskiego, niesłusznie mianującego się Alfonsem, który potem gdzieś I drapnął, a może i mazią się rozlał. Bo jako nie obma- wiam nikogo i czernić - nawet wrogów nie chcę, ale powiem J. W. Dziedzicowi, że zaprzaniec ten ani na Mszę Świętą, ani do spowiedzi nie uczęszczał, chłopskie konie w szkodę puszczał, drzewo potajemnie holendrom sprzedawał i od Żydów przeszłego roku kubany przy mierzeniu grochu brał; co że się dzieje z krzywdą J. W. Pana, donieść i powiadomić jestem obowiązany.

Z tęsknością i serca rozdarciem odsłaniając sromo-* tę jedynej córki mojej przed okiem J. W. Pana, śmiało oczekuję takowego przybycia, który po Bogu naj- sprawiedliwiej niewinność osądzi i cnotę, jako też honor, ostatnie bogactwo nasze, przed chytrą tego. bezwstydnika zaasekuruje. Zatem ściele się pod stopy i przy okazji dponoszę, że cholera u nas i okolicami grasować poczęła, a deszcz bez żadnego ustanku wciąż chlapie i chlapie. Jaśnie Wielmożnego Dziedzica najpokorniejszy i najprzywiązańszy sługa Szymon Tyczkowski."

List ten wzbudził w umyśle moim dwa pytania: l-o, czy godne głębokiej sympatii rodzicielskie afekta me- gorrządcy harmonizują z uczuciami, jakie ja sam mógł-

bym pielęgnować dla swojej nieruchomości i przez miejscowe władze uznanej własności ziemskiej? i 2-o, czy nie należałoby skierować ku swej własnej osobie dochodów z eksploatacji moich instynktów filantropijnych, które przez parę dni stale obracałem na korzyść przedwcześnie osieroconego Soterka?... Przy tym wyjazd z domu w czasie żniw?... Aj, do diabła!...

Około dziewiątej byłem już w numerze majorowej, którą powitałem następującym frazesem:

— Wiesz co, kochana przyjaciółko, że odebrałem z domu bardzo złe wiadomości.;

— Jezus...- Maria! — westchnęła nerwowo osoba, z pośpiechem siadając na podartej kanapie.

Deszcz pada od chwili mego wyjazdu...

- Ach, ja nieszczęśliwa!...

— Rządca zbił i wypędził mego pisarza...

— Patrzaj, serce... a to zbrodniarz!

— Cholera grasuje u mnie i w okolicach...

— Oj... oj... cicho... cicho! Boże, bądź miłościw... — jęknęła majorowa pobożnie, zamykając oczy.

Byłem pewny, że szlachetna przyjaciółka nie zechce już w bieżącym sezonie odwiedzić mego ubogiego domku; skończyłem więc połowę interesu i obecnie pozostawało mi tylko wyjednać urlop dla siebie.

— Pojmujesz, łaskawa pani '-t- zacząłem na nowo — że w podobnych okolicznościach powrót mój do domu...

— Do domu?... Do szpitala cholerycznych?... Chryste Panie, co ten człowiek wygaduje! Ach, nie rób tego, mój ptaszeńku... .

Majorowo. pani Grzegorzowo. uspokój się!...

— Jakże się mam uspokoić kiedy dobrowolnie szukasz guza, kładziesz głowę pod miecz katowski... O, moja doleńko nieszczęśliwa!...

— Ech, mościa pani — przerwałem jej z fantazją —

widzą, że masz krótką pamięć! A któż to od jejmości odpędził słabość tamtej nocy... może nie ja?... Trzeba pani wiedzieć, zem ja z cholera za pan brat, a więo i krzywdy od niej się nie boję. Cóż tak patrzysz, jak* byś mi nie wierzyła?

— Wierzę ci, serce, wierzę... Tak ci wierzę, żebym za tobą poszła, gdzie pieprz nie rośnie, i nie bałabym się żadnego szwanku ani na duszy, ani na ciele. Ale widzisz, z moim Sociem jeszcze nie skończony interes i dlatego nie możemy wyjechać.

— Cóż ja wam tu poradzę, moja kochana pani? — zapytałem, przygnębiony taką nieograniczoną ufnością osoby podeszłej.

— Jak to, co? — odparła spazmatyczka. — Ty, serce, nic nie potrzebujesz radzić, tylko pójdziesz ze mną i z Soterkiem teraz oto zaraz do pana Bałwanowicza, rozumnego i poczciwego adwokata, a on nam poradzi... Tu się wszyscy rozplývają nad jego zacnością, a ja mam przecucie, że dopiero ten człowiek wyprowadzi nas z kłopotów... No, nie marszcz się tak... weź czapkę, pułkowniku! Ponieważ zasadą wszystkich znakomitych strategi- ków jest nie marnować sił na walki podjazdowe, milcząc zatem poszedłem nie tylko po czapkę, jak życzyła . sobie majorowa, ale jeszcze i po laskę. Ostatni ten dodatek uważałem za niezbędny dla przekonania samego siebie o tym, że bądź co bądź nie siedzę jeszcz^ pod pantoflem nerwowej kobiety, z którą w dziesięć minut po naszej tak ożywionej rozmowie ostrożnie toczyłem się do mieszkania adwokata. Soterek szedł przed nami, ja jednak nie spojrzałem nawet na niego czując, że wkrótce ten mało rozwinięty chłopiec usposobi mnie do głębokiej nienawiści dla wszystkich sierot i małych, jacy kiedykolwiek egzystowali na świecie.

Całą drogą przyjaciółka moja starała się ubawić mnie swymi wysoce filozoficznymi poglądami na moralną i ekonomiczną doniosłość sakramentu małżeństwa. Zajęty własnymi myślami, niewiele zwracałem uwagi na jej prawdopodobnie bardzo wymowną i pouczającą argumentacją, a natomiast z niecierpliwością wyglądałem kresu naszej filantropijnej pielgrzymki.

Jakoż niebawem dotarliśmy do niego.

Parterowy ceglany domek jurysty stał przy ulicy Więziennej, akurat na tym samym placu, na którym przed paraset laty dokonywano chirurgiczno-sądowych operacyj na indywiduach wykraozających przeciwko zasadniczemu prawom równowagi społecznej. Dowiedziałem się później, że nieruchomość ta nie samo tylko położenie miała historyczne. Cegły, z których ją wybudowano, pochodziły z ruin starego trybunału rozebranego przed trzydziestu laty. Wchódowe drzwi żelazne długi czas zabezpieczały celkę więzienia, którą zajmował kiedyś jakiś, bardzo sławny rzezimieszek. Kancelaryjne okno wytrawnego adwokata ozdobione było kratą wyjętą z archiwum akt dawnych, skąd również pochodziły szafy, stoły i inne urzędowe sprzęty osobliwego domu.

Stanąwszy w tym punkcie globu ziemskiego, majorowa przeżegnała się, Soterek poprawił wiecznie odmawiające posłuszeństwa guziki u różnych części swojej garderoby i wszyscy za chwilę znaleźliśmy się w prywatnej świątyni jednego ze sławniejszych kapłanów prowincjonalnej Temidy.

Był to pokój duży, ponury, Zasnuty pajęczyną i co najważniejsza, koloru takiego jak twarz starej panny, która by w czterdziestej piątej wiosnie dziewiczego żywota przypomniała sobie, że istnieje choroba zwana bladaczką. Pokój ten upiększało kilka szaf zapeł-

nionych aktami, trzy stoliki nakryte zielonym suknem, kilka krzeseł obitych skórą i dwu mężczyzn.

Gdyby egzystowała na świecie jaka fabryka specjalnie przeznaczona do wyrabiania urzędników sądowych, powiedziałbym, że dwaj ozdabiający kancelarią panowie pochodzili z jednego warsztatu i należeli do jednego garnituru narzędzi sprawiedliwości. Na nieszczęście, nic nie wiem o tego rodzaju fabryce, a tym samym, wyrzekając się zacytowanego określenia, mogę tylko powiedzieć, że dwaj owi niewątpliwie znakomici mężowie byli do siebie tak podobni jak dwa egzemplarze „Dziennika Praw” wydane w tym samym roku i oprawione w okładki ze skóry tego samego bydłęcia. Łysiny ich były jednakowe, surduty jednakowe, chustki na szyjach jednakowe. Gdyśmy weszli, obaj jednakowo siedzieli przy swoich stolikach, tyłem obróceniu do nas; gdy skierowali ku nam swoje myślące oblicza, ujrzeliśmy znowu jednakowe nosy, oczy, okulary, faworyty i inne cechy charakteryzujące gatunek kręgowców dwunożnych, zdolnych do przyjęcia dobrodziejstw cywilizacji. Krótko mówiąc, cała różnica między nimi polegała na tym, że kiedy jeden siedział po prawej stronie sali, to drugi po lewej; kiedy pierwszy spojrzał na nas przez lewe ramię, to drugi przez prawe. Oto wszystko.

Znalazłszy się w tak trudnych warunkach fizjo- gnomicznych, ukłoniliśmy się każdy w kierunku najodpowiedniejszym; ja — grzbietowi pana z lewej strony, majorowa — grzbietowi pana z prawej strony, a Socio środkowemu stołowi. Następnie, wszystko troje, skombinowawszy uwagę, cierpliwość i pokorę, w pozach jednakowych, jak przystało na jednostki znajdujące się wobec organów prawa, z pobożnym namaszczeniem wysłuchaliśmy następującej rozmowy: ■ .

prawej.

że przyszli intere-

Pan sancu!

Pan z lewej. Zdaje mi się, że do pana mecenasa przyszli jacyś interesanci!...

Okoliczność ta pozwala mi zatytułować pana z prawej strony.

Mecenas. Otwórz pan repertorium.

Pan z lewej strony (chwyta olbrzymi tom porubrykowanych manuskryptów i przewraca w nim karty z godną uznania skwapliwością).

Mecenas. A który tam numer, panie Szczypka?...

Szczypka (dawniej Pan z lewej). Siedemset siedemdziesiąt siedem.

Mecenas. Musi być jakaś głupia sprawa, ponieważ aż trzy razy przypomina mi siedem grzechów głównych. A co było poprzednio?

Szczypka. Siedemset siedemdziesiąt sześć. Joel Fisz contra Anastazy Badylek — skarga o kradzież czterech śledzi i dwu baryłek soli.

Mecenas. Aha!... A jeszcze wyżej?

Szczypka. Siedemset siedemdziesiąt pięć. Anastazy Badylek contra Joel Fisz, skarga o po twarz.

Mecenas. Uuu, do diabła!... A jeszcze wyżej?

Szczypka. Siedemset siedemdziesiąt cztery. Małoletnia Joanna Wańtuch o wska >contra małoletniemu Szymonowi Młynarczyk, skarga o gwałt..

Zapatrując się na rzeczy z punktu sprawiedliwości bezwzględnej, mało dbam o to, czy mowa o skardze Joela Fisz contra Anastazemu Badylek o kradzież, czy o pretensji Sotera Moździerznickiego contra losowi o lekceważenie jego przyszłości. Ale podeszłą moją przyjaciółkę znudził ten dialog, a może też własne jej milczenie, ponieważ oddawszy powtórny pełen gracji ukłon grzbietowi szlachetnego mecenasa wyrzekła jak najbardziej uprzejmym głosem:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem
Balwanowf- czem?...

— Ja mam zaszczyt nim być — odparł
majestatycznie prawoznawca i odwrócił się do nas lewym bokiem.
Pan Szczypka zrobił to samo.

— Jestem Pudencjanna Moździerznicka...
— Panie Szczypka! — przerwał mecenas — pisz pan:
„Pudencjanna Moździerznicka w asystencji i za upoważnieniem
swego małżonka działająca...”

— To nie mąż, szanowny panie mecenasie, to
pułkownik... zastępuje męża przez grzeczność! — zreflektowała
uśmiechnięta Pudencjanna biegłego adwokata, który usłyszawszy te
wyrazy wykręcił się ku nam jeszcze lepiej, podniósł okulary na czoło,
uregulował w sposób bardzo uroczysty swoje naturalne narzędzia
optyczne i tonem karcąco-informującym odparł:

— W takim razie nie możemy mówić o
interesach I

— Dlaczego, panie najłaskawszy? — pyta
strwożona dama, gwałtownie mrugając oczyma.

— Pan Szczypka zacytuje odpowiedni artykuł
— rzekł mecenas i znowu odwrócił się tyłem.

— Artykuł tysiąc sto dwadzieścia cztery... — recytuje
Szczypka. — „Niezdolnymi do zawierania umów są: małoletni,
bezwłasnowolni, mężatki w przypadkach przez prawo wymienionych
i w ogólności wszyscy ci, którym prawo zabroniło wchodzić w pewne
umowy...”

Gdybym był pewny, że zdrowy chłopski rozsądek obowiązuje
uczonych adwokatów i ich dependentów, zaprotestowałbym
niewątpliwie przeciw tak sumafy- cznemu zastosowaniu artykułu
tysiąc sto dwadzieścia cztery; nieszczęściem, jest to kwestia, której
nikt dotąd nie rozstrzygnął, nie mogłem więc brać jej za podstawę do
dyskusji. Wyrezyła mnie jednak stara dama:

— Ja jeszcze wdowa!... ja jeszcze wdowa — zawołała z młodzieńczą werwą zacna matrona akcentując przy tym w tak szczególny sposób nieodmienną część mowy jeszcze, jak gdyby szanowna wdowieństwo swoje uważała za syzyfowy kamień, który co rychlej należy zrzucić na barki pierwszego lepszego reprezentanta płci stworzonej dla wyłącznej satysfakcji rodzaju żeńskiego.

Mecenas znowu odwrócił się do nas.

— Aha!... W takim razie sprawa bierze inny obrót.., wszak prawda, panie Szczypka?

— Artykuł sześćdziesiąty prawa o małżeństwie z roku 1836 — odpowiedział dependent. — „Małżeństwo ustaje: przez śmierć jednego z małżonków i wskutek wyroku władzy duchownej, uznającego nieważność. Małżeństwo zaś nie spełnione fizycznie rozwiązuje się przez wstąpienie jednego z małżonków do zakonu i wykonanie tamże ślubu czystości...”

— O... widzisz pani, co nam opiewa kodeks! Litera prawa przede wszystkim! — mówił skrupulatny Bałwan owicz. — A teraz gotów jestem wysłuchać.

— Przychodzę w interesie tego oto Sotera Moździe-rznickiego, mego wnuka...

— Zapewne małoletni? — spytał jurysta.

— Tak jest, szanowny panie, ma rok siedemnasty.

— Artykuł trzysta czterdzieści pięć — uzupełnia dependent. — „Małoletnim jest każda osoba, która jeszcze nie ma skończonych lat dwadzieścia jeden...”

— O! — zauważył mecenas w sposobie twierdzącym. — Pani zapewne musi być krewną nieletniego?

— Jestem babką i opiekunką...

— Babka-opiekunkaL. Hum!... Panie Szczypka, a co o tym mówi kodeks?

— Artykuł trzysta sześćdziesiąt dziewięć — odpowiada Szczypka. — „Gdyby podług przepisów powyż-

szych oddziałów opieka nie była ani przy ojcu lub matce, ani przy obranym przez nich opiekunie, wtenczas należy z prawa do dziada z ojca..."-

Ja jestem babką z ojca! t— przerywa z triumfem Pudencjanna.

— Aha! potwierdza mecenas. — No, ale cóż za interes pani dobrodziejka masz do mnie?

— Chciałam się szanownego pana dobrodzieja poinformować co do mojego wnuka i wychowanka...

— Zapewne chodzi o usamowolnienie małoletniego. Panie Szczypka, jak mówi kodeks? — przerwał domyślny tłumacz prawa.

— Artykuł czterysta sześćdziesiąt siedem — recytuje pomocnik.

Małoletni jest usamowolniony z prawa przez małżeństwo, wyjąwszy przypadek w artykule dwieście dwadzieścia cztery przewidziany..."

— Czy obecny tu wnuk pani jest małżonkiem? — pyta mecenas.

— A niechże Bóg broni! — protestuje dama.

— Więc nie jest. Panie Szczypka, a jak tam?

— Artykuł czterysta sześćdziesiąt osiem. „Małoletni, nie będący małżonkiem..."

— Panie dobrodzieju!... panowie dobrodzieje!... — woła zdesperowana Pudencjanna — tu nie chodzi, o małżeństwo.,.

— Aha, już rozumiem — przerywa doświadczony jurysta. — Chodzi zatem o rachunek... Panie Szczypka, a jak tam kodeks?

— Artykuł czterysta pięćdziesiąt jeden. „Każdy sprawujący opiekę powinien się rachować z jej sprawowania Obowiązek ten..."

— Nie o rachunek, panowie... Boże zachowaj! — lamentuje majorowa czując, że nie wolno jej zabrać

głosu nawet dla przedstawienia swego własnego iiv- teresu.

— Więc chyba mówisz pani o jakiejś darowiznie na rzecz małoletniego? — prawi znowu mecenas.

— Artykuł czterysta czterdziesty — pochwytuje niezmordowany dependent. — „Darowizna na rzecz, małoletniego uczyniona nie może być przez opiekuna bez upoważnienia rady rodzinnej przyjęta...”

— Panowie!... królowie!... dobrodzieje!... — płacze zdenerwowana dama — pozwólcie, ażebym wam przedstawiła sprawę...

— Artykuł czterysta czterdziesty czwarty — przerywa jej tyra razem nie pytany nawet Szczypka. — „Żaden opiekun nie jest mocen. bez upoważnienia rady rodzinnej, rozpoczynać imieniem małoletniego spraw w przedmiotach..!”

— Ach, ja nieszczęśliwa!... ach, ja nieszczęśliwa!...

— Cytujesz pan niewłaściwy artykuł, panie Szczypka — zgromił pomocnika adwokat. — Głowę oddam, że chodzi o kapitały małoletniego!

— Artykuł czterysta czterdzieści jeden. „Opiekun nie jest mocen, bez szczególnego upoważnienia rady rodzinnej, podnosić ani obciążać kapitałów hipotekowanych małoletniego...” — odpowiada dependent.

Od tej chwili przyjaciółka moja zamilkła stanowczo. Pierwszy raz w życiu nieszczęśliwa ta dama musiała się uznać zwyciężoną przez mężczyzn w szermierce językowej i jakby za karę swojej dotychczasowej niepowściągliwości w mówieniu, słuchać przez całe pół godziny oryginalnego duetu, w którym kolejno występowały na scenę: niezrównana domyślność adwokata w wynajdywaniu interesów, jakie mieć mogła wdowa Pudencjanna Moździerznicka, i — mnemo- niczne uzdolnienia utalentowanego dependenta, który każdy nieomal wyraz swego zwierzchnika zaopa-

trywał numerem I zlepiął z jakimś artykułem' prawnym.

Przebiegłszy w ten sposób oba kodeksy, obie procedury i kilkanaście tomów „Dziennika Praw”, dwaj znakomici mężowie oświadczyli nam wszem wobec i każdemu z osobna, że sprawa Pudencjanny Moździerznic- klej, wdowy, contra małoletniemu Soterowl Moździerznickiemu, jej wychowawcy — nie może być popierana w żadnej z władz sądowych i że co za tym idzie, nie może być odnotowana w repertorium adwokata Bałwanowicza pod numerem bieżącym siedemset siedemdziesiątym siódmym

■ Z konkluzji tej majorowa niewiele dowiedziała się o specjalności, do jakiej należałoby skierować fizyczne i duchowe uzdolnienia Soterka — ja zaś wyniosłem to bolesne przeświadczenie, że zaledwie dwaj biegli prawnicy przegadać mogą jedną średniej elokwencji białogłową.

Rozdział czternasty w którym znajduje się n- zup et nie j s za rehabilitacja socjologów war sza w s kich

Gdy po powrocie z konsultacji prawnej do hotelu zażądałem kluczy od mego pokoju, objaśniono mnie, że numer jest otwarty, ponieważ siedzi w nim „ten młody pan, który przyjechał za państwem”. Domyśliłem się, że mowa o genialnym Postępowiczu, któremu przy pierwszym debiucie krytyka ofiarowała wieniec męczeński, a niesumienny wydawca trzy ruble i dwadzieścia sześć kopiejek za sześćset pięćdziesiąt dwa wierszy druku.

Melancholiczny publicysta rozgospodarował się na dobre. Leżał na moim łóżku, palił mój tytoń z moje;

własnej fajki i co najdziwniejsza, wyciągnąwszy z za pieca nie nabita dubeltówką, położył ją na stole obok swego fantastycznego kapelusza z kapłonim piórkiem i zepsutym termometrem.

— Na co, u licha, polowałeś asan bez ładunków? — spytałem gościa, niekoniecznie zachwycony Jego trybem postępowania.

— Niestety!... zbyt późno przekonałem się, że broń pańska nie ma nabożów — odparł desperacko interesujący rekonwalescent drapując się kłębami dymu.

— A co panu po nabożach?

— Roześmiesz się, pułkowniku, lecz zarazem przyznasz mi rację, gdy ci powiem, że przekładam śmierć od kuli nad wszelką inną...

— Aha!...

— Los jednak i tym razem zawiódł mnie — ciągnął szczupły młodzieniec. — Odnutowawszy moje długi wszedłem do pańskiego numeru, Schwyciłem broń...

Tu zamilkł pocierając sobie lewą dłońią okolice kości krzyżowej.

Proszę sobie wyobrazić następujące położenie: Soterek od kilku dni siedzi mi na karku w sposób haniebny; obiecujący literat w moim numerze medytuje o najłatwiejszym sposobie wydarcia się krajowemu piśmiennictwu; odnowiona Pudencjanna marzy o ofiarowaniu mi swojej ręki, a w domu — rządca wypędza prowentowego pisarza!... Zdaje się, że można było pomyśleć samemu o samobójstwie; a jednak... zapierając się własnego ja, postanowiłem rozerwać utalentowanego gościa — rzekłem więc:

— Spodziewam się, szanowny panie Hiacyncie, że już porzuciłeś zamiar odebrania sobie życia?

— Wyborny jesteś, pułkowniku!... a cóż ja innego mogę zrobić?

— Możesz na przykład zacząć pracować na chleb" ..,

—Aha... rozumiem! Chcesz mnie pan koniecznie namówić, abym się na nowo wzięł do literatury?...! Nie głupim!...

Dziwna rzecz, że od kilku minut w umyśle moim nieustannie kojarzył się fakt wypędzenia mego pisarza • z apatią zdolnego Hiacynta, pod naciskiem więc takiej kombinacji pojęć odparłem:

—Boże uchojaj, nie myślę pana gwałtem zachęcać do literatury: jest przecież tysiące innych zajęć, na przykład... na przykład... gospodarstwo! O ile pamiętam, mówiłeś pan, że się znasz na gospodarstwie?

—Spodziewam się! — odpowiedział Hiacynt. — Ale... na cóż mi się to przyda, kiedy ani piędzi ziemi nie posiadam?

—Hum! No, ale przypuśćmy, że znalazłby się człowiek, który zapewniwszy panu stosowne wynagrodzenie powierzyłby ci do zarządu folwark...

—Fe!... folwark? Jaki szkaradny wyraz! — mruknął wykrzywając się publicysta. — Chciałeś pan powiedzieć fermę?

— Niech będzie fermę. Ale cóż byś pan z nią zrobił?

■— Co?... co bym zrobił?... — wykrzyknął rozentu-. zjasmowany Postępowicz.— Zrobiłbym ją zbiegów is-; kiem całego uczonego świata, środkiem ciężkości społecznego gospodarstwa, imię jej właściciela pchnąłbym do najodleglejszej potomności! — To mówiąc nieśmiertelny Hiacynt zachowywał się tak jak człowiek, dla którego chodzenie jest niewygoda, a siedzenie torturą.

— Jakimże sposobem zrobiłbyś pan to wszystko, co obiecujesz?

— Jakim "Sposobem? Bardzo prostym: fermę tę uczyi tliłbym polem moich socjologicznych badań.

— Socjologicznych... socjologicznych?... słyszałem,

ze bardzo wielu literatów warszawskich zajmuje się socjologią?

— Tak jest — odparł młody Brutus. — Dotąd głównie zajmowaliśmy się emancypowaniem kobiet, niwelowaniem klas towarzyskich, reformowaniem piśmiennictwa tudzież wyplenianiem przesądów społecznych i religijnych. Ja dopiero pierwszy skierowałam swoją działalność na pole gospodarstwa rolnego.

— Hum! Jakichże, u diabła, środków używacie do rozstrzygania tak ważnych kwestyj?

— Bardzo pewnych... bardzo wypróbowanych!... Zawsze i wszędzie posługujemy się metodami pozytywnymi.

— Mocno byłbym panu obowiązany, gdybyś mnie zechciał poinformować co do owych metod.

Genialny młodzieniec rzucił na mnie wzrok pełen niewyraźnego jeszcze, ale już kiełkującego majestatu; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że umysł mój w tej chwili miał objąć taką masę prawd, jaką trudno byłoby pomieścić we wszystkich bibliotekach.

— Zapewne chciałbyś pułkownik sięgnąć od razu do tego, co stanowi jądro kwestii?

Naturalnie!... Naturalnie!...

— Otóż powiem panu krótko, że jądrem metody, a raczej jądrem filozofii pozytywnej jest to, aby... to jest... tego... właściwie mówiąc... Widzi pan... metoda, a raczej filozofia pozytywna jest do scharakteryzowania bardzo trudna!

Pot występujący na twarz i czoło znakomitego uczonego był najwymowniejszym dowodem trudności scharakteryzowania metody pozytywnej, z takim powodzeniem używanej przez socjologów warszawskich do rozstrzygania wszystkich zawiłych pytań społecznych. ;Lękając się tedy, aby zdolny Hiacynt nie zechciał

przyobiecane go mi jądra kwestii rozcieńczyć całym ogromem swej niepospolitej erudycji, rzekłem:

— Wracając tedy do naszego folwarku, racz mnie pan objaśnić, jakiej natury byłyby te badania, które pragnąłbyś wykonywać.

— Z największą chęcią! — odparł uprzejmy filozof/ — Badania... badania moje składałyby się z szeregu obserwacji i eksperymentów...

— Eksperymentów?... Uhu! — Przyznaję, że wyraz ten okrutnie mi się nie podobał.

— Obserwacji i eksperymentów socjologicznych — powtórzył jakby na pocieszenie ;mnie Postępowicz;

Pomyślawszy chwilę odpowiedziałem:

— Posłuchaj mnie, panie Hiacyncie. Dam ci folwark czy też fermę, przy niej utrzymanie i pensyjkę, ale pod tym warunkiem, ażebyś pan robiąc wszelkie obserwacje, jakie ci przyjdą na myśl, wykonywał ekspe- rymenta tylko te, które zaproponuję panu ja sam lub mój rządca...

Postępowicz usłyszawszy to zrazu zmarszczył się, lecz po krótkim namyśle przyjął warunki i podał mi rękę na znak zgody.

— Rozumie się — dodałem — że rezultaty swoich naukowych poszukiwań będziesz pan łaskaw zapisywać w księgach na ten cel sporządzonych. Obeznac się z nimi bardzo łatwo...

lilii IH dla mnie zbyt cenne! — przerwał Postępowicz. — Mam swój własny plan, który mogę nawet panu zakomunikować.

— Bardzo ciekawy...

— Naprzód badania moje podzielę na dwa momen- ta: statyczny i dynamiczny — objaśniał mnie literat, 6traszliwie wymachując fajką, co prawdopodobnie słu- eyło do uzewnętrznienia głębokiej, a zarazem szybkiej

pracy, jakiej w tym czasie oddawał się jego uniwersalny umysł.

— Jak pan to rozumiesz?

— i Pod momentem statycznym rozumiem badania odnoszące się do bytu, ilości i jakości terytoriów, zabudowań, maszyn tudzież różnych gatunków, istot żywych, stale zamieszkujących w tym miejscu. •, Cudownie! — wyrzekłem. — Będę panu bardzo wdzięczny, jeżeli sumiennie dopilnujesz porządku w moich zabudowaniach i maszynach. Co do terytoriów, które my zazwyczaj mianujemy polami, łąkami, ogrodami itd., będziesz pan obowiązany...

— Wiem już co... wiem! Oznaczyć ich położenie jeograficzne?...

— O to mniejsza, ponieważ nierównie ważniejszym jest, aby terytoria owe były starannie wynawożone, obrobione — a w końcu, aby po nich swoje i cudze bydło nie plądrowało...

Publicysta krzywił się, ale słuchał, ja zaś mówiłem dalej:

— Co do istot organicznych, zwrócisz pan wyłączną uwagę na ludzi, zwierzęta domowe i rośliny użyteczne. Będziesz obserwował, czy parobcy nie piją, nie próżnują, a nade wszystko nie kradną; będziesz badał, czy zwierzęta codziennie są karmione i pojone, a stajnie, obory i chlewy oczyszczone. W czasie studiów nad roślinami dopilnujesz pan, aby bandochy dobrze żęli i w bruzdach nie spali, aby porządnie wycinano kapustę, kopano kartofle...

Postępowicz ciągle się krzywił.

Ale... ale! — dodałem — a co kochany pan nazywasz momentem dynamicznym swoich badań?

— To zdaje się jest dość jasne —| odparł niechętnie socjolog. — Momentem dynamicznym nazywam wszel-

ki. ruch. wszelką zmianę... Tak na przykład: narodziny i śmierć...

—Iii... to tylko będziesz pan potrzebował notować liczbę przybywających na świat cieląt i źrebiąt —. bo drób i prosięta należą do gospodyni, a psy do psiar- czyka.

—A ludzie? — spytał znakomity publicysta bardzo kwaśnym akcentem.

—Ludzie? Wiesz pan przecież, że notowanie śmiertelności i narodzin między ludźmi należy do urzędnika stanu cywilnego; przyjmowaniem zaś i oddalaniem słu-. żby zajmuję się ja sam.

—Hum, hum! — odchrząknął Hiacynt. — Jakież wynagrodzenie ofiarujesz mi pan?

—Powiedziałem już, że dam mieszkanie, jedzenie, pranie, opał, światło i... jak dla pana... sześćset złotych pensji rocznej.

—Co? — krzyknął zirytowany literat f— więc pan chcesz mnie zrobić u siebie pisarzem prowentowym?...

—Fe! ~ odpowiedziałem — egzaltujesz się, panie Hiacyncie!... Wprawdzie posadę, o której mówimy, zwykle nazywają pisarstwem, nie idzie jednak za tym, ażebyś pan miał nosić ten tytuł. W twoim własnym przekonaniu, w opinii mojej i wszystkich osób miłujących postęp ludzkości pan będziesz filozofem badającym pod względem statycznym i dynamicznym socjologiczną molekułę, nazywającą się fermą lub po dawnemu folwarkiem, a stanowiącą cząstkę ogólnego kapitału...

Pomimo cdłej radości, jaką czuł niewątpliwie młody socjolog widząc otwierające się przed sobą szranki dla uczonych dociekań, zauważyłem, że miał jakąś bardzo przygnębiającą fizjognomię; na pocieszenie go więc dodałem:

—Wszak prawda, kochany panie, że owa socjologia jest całkiem nową nauką?

—Tak! — potwierdził słabym głosem były literat

—Otóż tedy, jeżeli tak jest i jeżeli, jak nas uczy historia, nad zawiązkami astronomii pracowali myśliciele zajmujący skromne stanowisko pasterzy — dla- czegożby więc nad zawiązkami socjologii nie mieli pracować myśliciele czasowo pełniący obowiązki pisarzy prowentowych?... No, powiedz pan, czy nie mam racji?

—Proszę o parę dni do namysłu... — zamiast odpowiedzi wyszeptał utalentowany Postępowicz, a następnie ujawszy swój szczególny kapelusz wyszedł.

Nikt nie powinien by się czuć obrażonym, gdy powiem, że czytając tylko pisma zajmujące się skalowaniem socjalnych teoryj, wynajdywanych przez niektóre wprawdzie bardzo młode, lecz zapewne wysoce uzdolnione indywidua z gatunku literatów, miałem o nich dotąd wyobrażenie jak najgorsze. Ale świeża rozmowa z uczonym Hiacyntem, a nade wszystko jego statyczne i dynamiczne poglądy na gospodarstwo wiejskie, w jednej chwili obaliły kilkoletnie moje uprzedzenia. I na honor! trudno nie sympatyzować ze szkołą socjologów warszawskich, która wcześniej lub później dostarczy krajowemu gospodarstwu znakomity kon- tyngens mężów, co nie mogąc wprawdzie (z powodu okoliczności miejscowych) kierować losami społeczeństw, w każdym razie oddadzą ludzkości niespożyte usługi jako pełni filozoficznych poglądów pisarze prowentowi; do czego tylko ludzie stanowczo nieprzychylni i złośliwi odmówić by im mogli najzupełniejszej kwalifikacji.

Dziś zjadłem obiad bardzo liches i czuję, że go nie będę mógł strawić przez dni kilka. Skutkiem tego, zamiast drzemać po południu, jak to czynią wszyscy I ludzie cieszący się pewnym i wystarczającym docho- I dem od swoich kapitałów, ja muszę myśleć, rozmyślać, przewracać się z boku na bok, a to wszystko dla tej drobnej okoliczności, że pannie Pudencjannie przyszła fantazja wyjść za Grzegorza Moździerznickiego, wychować z nim (oprócz jedynastu innych dzieci) syna Ksawerego, że w dalszym ciągu temuż Ksawcowi podobało się ożenić, mieć syna, a w końcu osierociwszy takowego zwalić mi go na kark wraz z babką.

Z tych wychodząc pobudek mam zaszczyt zawiado-, mieć wszystkich, kogo to obchodzi, że jestem niewyspany, zgryziony, zirytowany i że. dziś w wieczór (o godzinę mniejsza) powiem jasno i dobitnie starej damie, że... że tak dalej zostać, jak jest, nie może. Ją tu wiekować nie myślę, żeby tam najjaśniejsze pioruny trzaskały!...

Zrobiwszy to mocne i nieodmienne postanowienie, czuję, że mi lżej; mam więc prawo przypuszczać, że mi będzie jeszcze lżej, gdy stara dama z mego sąsiedztwa wyjedzie do swoich dóbr, a ja z jej sąsiedztwa wyjadę do moich. Jestem pewny, że do wykonania tego energii mi nie zabraknie, nic więc nie pozostaje, jak tylko plan ułożyć. Naprzód tedy... naprzód obmywam sobie głowę zim- iną wodą. Zimna woda jest nieocenionym lekarstwem we wszystkich okolicznościach silniej oddziaływających na umysł i serce. Jeden z moich przyjaciół, ca-

Je żyje szczęśliwy w miłości, do sześćdziesiątego roku cieszył się względami płci pięknej dlatego tylko, że dwa razy dziennie mył sobie głowę zimną wodą, a ko- ... lumnę pacierzową nacierał mokrym ręcznikiem.

Po'wtóre, trzeba ochłonać ze zbytniego zapału i rozgorączkowania. Ani na chwilę nie wątpię, że gdybym był lekarzem, to po kilkudziesięcioletniej praktyce doszedłbym do tej niezbitej prawdy, iż najwięcej osób umiera, wariuje, pisze wiersze, kocha się, żeni się itd. pod wpływem chorób gorączkowych.

Po trzecie, wychodzę na przechadzkę. Zbawiennych -skutków przechadzki doświadczył na sobie jeden z moich krewnych mający niepospolitą skłonność do utraty władzy w nogach. Jak tylko zaczął dużo chodzić, zaraz zrobiło mu się lżej, nieszczęściem jednak, zaczął zbyt późno i dlatego po upływie jednomiesięcznej kuracji na wieki pożegnał się ze swoimi nogami.

Po czwarte, idąc na przechadzkę mającą pokrzepić siły przed rozegraniem się tak ważnej jak moja sprawy staram się o niej nie myśleć, doświadczenie bowiem uczy nas, że zazwyczaj najlepiej powodzi się w interesach tym, którzy nigdy nic nie myślą i żadnych planów nie układają.

A teraz odpocznę sobie kilka minut. Ot, tak!... A teraz znowu w drogę z powrotem. Znajduję, że natura w tym miejscu jest bardzo piękna i może nawet w naj- zatwardziałym sercu obudzić stosowne uczucia... Czy majorowa wyjedzie, czy nie wyjedzie?... ale nie myślimy o tym! Trawa na łąkach jest zielona, a pasące się trzody mają bardzo swobodną fizjognomię... Jeżeli mnie majorowa nie wysłucha dziś, to ucieknę od niej, sprzedam do miliona diabłów majątek Żydom i wyjadę za granicę... Ale nie zajmujmy się tymi... Ciekawy jestem, dlaczego obłoki mają niejednakowy kolor i... na kogo jeszcze ogląda się moja przyjaciółka? bo prze-

cie już nam wszyscy radzili!... Aha! zdaje mi się, że' wschodzi kawałek księżycy... Gdyby mnie zapytano: czy wierzę w istnienie gór na księżycu? odpowiedziałbym... no, odpowiem tak: moja pani, wyjeżdżaj stąd, bo życie w mieście jest bardzo drogie, bo lato przyjemniejsze na wsi, bo... Aj, do licha!... już widzę drzwi od numeru majorowej... Wejść czy nie wejść?... Zdaje się, że mam dostateczny zapas zimnej krwi... Ależ tak! nigdy nie czułem się energiczniejszym jak dzisiaj, choć co prawda, wolałbym w tej chwili stać przed pruskiemi bateriami... No, śmiało! przecież chyba nie jestem zmieszany?... Ależ tak, ależ tak!... Gdyby zamiast olej-? nej farby przybijano na drzwiach zwierciadła, jestem pewny, że w tej chwili ujrzałbym przed sobą mężczyznę o bardzo miłej powierzchowności, na którego twarzy obok wyrazu niezachwianego spokoju zarysowuje się dobrotliwy uśmiech... No, raz... dwa... tezy!...

Wchodzę... wszedłem... O nieba! pokój majorowej podobniejszym jest do świeżego pobojuwiska niż do gabinetu, w którym mają się toczyć przyjacielskie układy! Osądźcie sami:

Na środku klęczy Soterek z twarzą wprawdzie zapłakaną, lecz nie zdradzającą bynajmniej usposobienia do pobożnych rozmyślań; natomiast stojące obok krzeselko wygląda tak, jakby ktoś na nim chciał upoziomować istotę ludzką wbrew jej najusilniejszej protestacji...

Majorowa w pozycji półleżącej zajmuje kanapę: ma minę zwycięskiego wodza, który w świeżo stoczonych bitwach straciwszy większą połowę najlepszych żołnierzy dostał bólu głowy i leczy się okładami z octu. Obok niej dwa połamane kije zdają się z oznakami największego przerażenia oczekiwać chwili, w której

znowu wprawna ręka energicznej damy zmusi Je do najściślejszych stosunków z zaokrągloną zewnętrznością płochego Socia.

— Patrzaj, pułkowniku! — wrzasnęła ujrzawszy mnie zdenerwowana osoba — patrzaj!... On się kłąć nie chciał!... On się bić nie dał!... Ale mu w końcu sprawiła bal i teraz jeszcze poprawię!

Z tymi słowy popędliwa staruszka schwyciła połamane kije okazując niekłamana chęć do powtórzenia ćwiczeń moralnych na materialnej stronie indywidualności swego wnuka.

„Fiu!... już po moich planach!” — pomyślałem obejmując otyłą damę i sadzając ją na kanapie. Potem zaś, dla umitygowania, spytałem głośno:

— Cóż się to stało?... Za cóżeś mu jejmość takie imieniny wyprawiła?

— Jak to, więc jeszcze nic nie wiesz, pułkowniku?... Taż ten łotr, ten zbój, ten antychryst, ten... ten podpalacz rzucał dziś całe poobiedzie kamieniami i jakiegoś Zyda skaleczył!... Ach, ty zbrodniarzu, ja ci tu...

I znowu zerwała się do bicia.

— Daj mu, jejmość, pokój! — rzekłem mitygując powtórnie staruszkę. — Odłóż sobie tę satysfakcją na później, bo teraz wydajesz mi się ogromnie zmęczoną...

— To niech mi ten... ten potwór zejdzie z oczu, bo jak cię kocham, pułkowniku, tak go skaleczę!

Usłyszawszy taki przekonywający argument wyrostek zerwał się jak oparzony i w jednej chwili znikł za drzwiami. Nie wiem naiwet na pewno, czy je otwierał.

— Ach, co ja z nim pocznę, nieszczęśliwa!... ach, co ija z nim pocznę? — biadała majorowa. — Chłop jak dąb, uczyć się nie chce, rady żadnej od nikogo doprosić się nie można... U,, hu, hu, hu!... Chybaby go już

oddać do wojska, niech tam idzie na złamanie karku! U Od jutra zaraz zaczniemy się starać, żeby go przyjęli... U... hu, hu!

Obfity deszcz łez — spływający wszystkimi bruzdami, jakie nieubłagany czas na obliczu starej przyjaciółki wyorał — wymownie świadczył o tym, że minęła już gromonośna burza. Ale ostatni frazes ziryto- wanfej damy przekonał mnie, że o wyjeździe z miasteczka nawet mowy być nie może; znowu więc obudziły się we mnie myśli ponure.

— Oj, oj, oj! — płakała tymczasem Pudencjanna. — Skonam!... Umrę!... Zachoruję...- jeżeli temu łotrowi drugi raz nie dam cięgów!

— Sądzę, kochana pani — wtrąciłem — że nieźle byłoby doktora poprosić, jeżeli czujesz się niezdrową?

— Owszem, serce, owszem!... Poproś doktora, ale... swoją drogą muszę go zbić jeszcze, o, muszę!...

Nazbyt interesowało mnie zdrowie szanownej damy, abym się mógł ociągać z zadowoleniem jej żądań. Toteż szybko wybiegłem do sieni, poruszyłem cały hotel od piwnic aż do strychów, połowę męskiej ludności wysłałem po doktora, całą służbę żeńską wyprawilem do majorowej — sam zaś, nie chcąc przez delikatność wchodzić do pokoju chorej damy, wstąpiłem do izdebki właściciela hotelu.

— O, to dopiero wisus chłopak! — zaczął gospodarz, pobożnie przymykając oczy. — Ściany i dachy popsuł mi kamieniami, Żyda okaleczył i w dodatku tak ciężko babkę zmartwił. Och, Maryja!

— Czy nie przypuszczasz pan — rzekłem — aby, poszkodowany skarżył się przed władzami?

— A jemu co po tym, panie dobrodzieju?... To biedny Żyd, a na biednych i psy głośniejsze czekają. Taki już świat nastał, och, Maryja!

— Na honor! dałbym chętnie dziesięć, a nawet

piętnaście rubli, gdyby można było tego łotra nastraszyc interwencją władz policyjnych...

Zacytowana przeze mnie cyfra podobała się, widać, gospodarzowi, który po krótkim namyśle odpowiedział:

—Wie pan pułkownik dobrodziej, że to będzie można zrobić. To nawet będzie bardzo po chrześcijańsku, bo się poprawi chłopaka!... Naturalnie, że figiel objaśnimy pani majorowej. Och, Maryja!...

—Ofiarowałbym dwadzieścia rubli, gdyby majorowa nie wiedziała o figlu i... gdyby ten nic dobrego mógł już jutro stąd wyjechać. Miasto bardzo psuje takich wyrostków...

Prawdopodobnie gospodarz uznał, że nowa cyfra jest jeszcze okrąglejszą, bez namysłu już bowiem odparł:

—I to się da zrobić!... Ważną rzeczą jest uratować duszę ludzką od zguby. Och, Maryja!...

—Tak, panie — potwierdziłem — mielibyśmy obaj zasługę. O której godzinie można by się spodziewać rezultatu?

—Jutro, najpóźniej o dziewiątej... Tak jest, mamy obowiązek to zrobić... Och, Maryja...

—Liczę na pana! Co zaś do reszty; ta.r. po wyjeździe...

W tej chwili wszedł numerowy i z całą uprzejmością człowieka liczącego na cudze złotówki rzekł:

—Jaśnie pani prosi jaśnie pana, że doktor już przyszedł!

„Zdaje .mi się, kochany przyjacielu — pomyślałem — że to już chyba po raz ostatni udało ci się tak szczęśliwie połączyć nasze tytuły...”

Gospodyni i jej siostrzenica, kucharka i jej córka, pomywaczka i jej siostra, wzdychając każda na swój sposób, kołem otaczały znacznie już spokojniejszą majorową, którą badał i pocieszał jakiś gruby i łysy je-

gomość, wygolony jak dynia. Domyśliwszy się, że musi to być jeden z miejscowych spadkobierców Hi-pokratesa. schyliłem głowę przed prawdopodobnym ogromem jego wiedzy mającej (jak tysiące innych) wyłączone dobro ludzkości na celu i słuchałem.

—Prawdziwe szczęście, że mnie lokaj zastał w domu — mówił ogolony kapłan Eskulapa — czy nieprawda, moja pani Markierowicz, he? Gdybyście - tak trafili na Lancetowskiego lub Sadowicza, już by jutro trzeba było obstalowywać trumnę, co kosztuje nierównie drożej niż zimny okład, a choćby i łyżka oleju... A co, pani Markierowicz, czy nie mam racji?

To powiedziawszy doktor zaczął z upodobaniem przypatrywać się swoim spodniom w kratkę, zapytana zaś z największą skruchą wyszeptała:

—Pan konsyliarz dobrodziej zawsze... O, dobry Boże!

—A w boku was nie kole, he?... A żołądek zapchany, co?... Pokaż no, pani, język!... Czysty!... Puls?... Trochę przyspieszony, ale to nic!... Zawsze głośno utrzymywałem, że Lancetowski jest rzeźnik i że gdybym ja był jego ojcem, to posyłałbym go na naukę nie do akademii, ale do wołobojni. Powiadasz, pani, że gdyby to słyszał, mógłby mi proces wytoczyć, he? Ale nie bój się, pani, ostrożny on! bobym mu przypomniał, że robił cięcie cesarskie w przypadku wodnej puchliny... Cha, cha, cha!... Pani to rozumiesz, he?... Wszyscy felczerzy kiwali głowami, a o aptekarzach nie ma nawet co mówić! Stary Pruszkowski umarł ze śmiechu, jak się o tym dowiedział. Co, pani Markierowicz, może nieprawda, he?

—Jezus Maria! — westchnęła moja przyjaciółka.

—Tak, tak!... On umie tylko krajać, a Sadowicz mikstury zapisywać. Toteż, aptekarze wyrabiają dla Sadowicza lekarstwa rokiem naprzód, całymi szafli-

kami, bo kiedy po przyjeździe do nas zapisał pierwszą receptą dla ośmioletniej panienki, to we wszystkich aptekach zabrakło wody dystylowanej. Jak pani o tym myślisz, he?... Ja zaś, panie dobrodzieju, przepisuję moim chorym ruch, sen, dobre jadło i czasem olej rycinowy — za to też żaden farmak nie wydaje dla mnie balów ani mi nawet na Nowy Rok nie winszuje. Jak się to pani podoba, he?

Gdy bystre oko znakomitego lekarza powtórnie utonęło w labiryncie kratek, żona właściciela hotelu wtrąciła:

— święta prawda, pan doktor bardzo szczęśliwy... o dobry Boże!

— Diabła tam! Mówić doktorowi, że jest szczęśliwy, znaczy to samo, co nazywać kominiarza umyтым, a adwokata uczciwym. Kiedy jest praktyka, to pani nie masz dnia ani nocy spokojnej, pani nie dośpisz, pani nie dojesz, tylko ciągle musisz dreptać od łóżka do łóżka albo z wozu na wóz przeskakiwać jak kangur. A pani myślisz, że co z tego?... Wykurowałaś, dajmy na to, Pawła, Gawła, diabła, na trzy lub cztery lata, i cóż z tego?.. On zdrow jak byk, a pani możesz zdechnąć z głodu i nikt pani szklanki wody nie poda. Dopiero znowu gdy pan Bóg da cholerkę albo tyfusik...

— Oj, głowa!... głowa!... — jęknęła moja przyjaciółka, widocznie zgnębiona tak radykalną kuracją.

— Boli głowa?... to dobrze!... Zimne kompresy i łyżka lub półtorej łyżki oleju. Tak, półtorej!... ale jeżeli się można będzie obejść bez tego, to lepiej. Błogosławiony ten kraj, w którym aptekarze muszą Żydom wodę nosić dla braku zajęcia... Czy nie mam racji, moja pani Markierowicz, he?

— Pan doktor zawsze trafnie leczy... O dobry Boże! — szepnęła gospodyni widząc, że znowu lekarz poczyna zastanawiać się nad kratką swoich spodni.

R02 dział szesnasty

okazujący, jakim sposobem w w alk ach dyplomatycznych jedni sieją, a drudzy zbierają

Gwałtowny spór między kilkoma osobami i wojownicze tupanie pewnej liczby nóg, przeplatane niepokojącymi pauzami, w czasie których z całą łatwością można było usłyszeć trwożliwy brzęk skrzydeł spłoszonej muchy — oto wrażenia, które dzisiejszego poranku zaatakowały moją rozespaną świadomość, Roz-

— Dobrze, dobrze!... Spytaj no się pani szanownych kolegów albo aptekarzy, co oni powiedzą: suchej nitki na mnie nie zostawią, a za co? Myślisz pani, że ich na konsylia nie wzywał? Ale... Częściej, niż było potrzeba!... A może pani myślisz, że aptekarzom szkodził? Gdzież tam!... Nim ja tu nastąpiłem, była jedna apteka i szło jej kulawo, a po pięciu latach mego pobytu otworzono dwie nowe i jeszcze nie mogli wydać żyć. A pani myślisz, że gdybym ja zachorował, to co by oni robili, he?... Pani to rozumiesz? Szmer zgrozy przeszedł po niewieścim zebraniu. — A tak, tak!... parę niewinnych kropelek i wio do lali!... No — zakończył nieszczęśliwy lecznik — zimne kompresy na głowę i trochę oleju, jeżeli okaże się potrzeba. A teraz kładź się pani do łóżka i dobranoc!...;; Trzeba iść między Izraele po sześciogroszówki za receptę, a po złotówki za operacje...

Serdecznie uścisnąłem rękę znakomitego pesymisty, który przez nienawiść dla aptekarzy nie zabijał pacjentów lekarstwami, ale gadatliwością. Wprawdzie., dla chorych może to być obojętnym, ale dla rodziny naj wyraźniejsza oszczędność.

marzony, w półprzeżytytomny usiadłem na łóżku i w tej pozycji z jakąś rozkoszną obawą zacząłem się przysłuchiwać dramatowi, który rozegrywano na korytarzu.

— Uciekaj! — mówi zirytowany stróż hotelu — uciekaj!... bo jak cię przeżegnają tym miotliskiem, to na kierkut nie trafisz...

— O!... czyś słyszał? — dodaje numerowy.

— Joelu, powiadam ci, nie rób awantur... och, Ma* ryja! — zakonkludował Markierowicz.

. — Panie Markierowicz, dobrodzieju!... panie Kacprze, dobrodzieju!... po co panom wtykać palce w taki brzydki intetes? Ja nie przyszedłem do panów, tylko do starej pani, niech ona ze mną pogada... — molestował jakiś starozakonny.

- Joel iść do pani majorowej nie może, bo pani majorowa jest chora... och, Maryja!

— Co to, chora? co to, nie może?... A jej syn to może zabijać kamieniami Żydków?... Pani chora, nu — to wielka szkoda! ale jak mój brat umrze z takiego zabójstwa, to kto jego dzieci będzie karmił? Ja przecież pani nie zjem, tylko z nią pogadam... Nu — a jak pani nie zechce, to ja pogadam z panem komisarzem i prześwietnym sądem...

— Hum! — przerwał gospodarz. — Może Joel ma trochę racji, ale w hotelu hałasów robić nie wolno. Jak pani majorowa wstanie, to się Joel będzie mógł z nią zobaczyć, zatem tedy tymczasem... niech Joel posiedzi u mnie. Proszę!... och, Maryja!

iS No, no! — odparł starozakonny i jednocześnie usłyszałem kroki rozchodzących się bohaterów.

„Kochany Markierowicz! — pomyślałem —| jakże się ten człowiek znakomicie popisuje!... Muszę jednak i sobie oddać sprawiedliwość, że nie darmo od kilkunastu lat studiowałem politykę... Majorowa mnie wprowadzie

przekrzyczała, ale ja ją przedyplomatyzyowałem — Jak Bismarck...
Cha! cha! cha!..."

I ciesząc się własną zręcznością z gorączkowym pośpiechem wkładałem rozmaite części ubrania.

— Pułkowniku!... pułkowniku, serce, a otwórz tam drzwi! — prosiła przytłumionym głosem moja przyjaciółka.

Gdym otworzył, jednym rzutem oka poznałem całą, istotnie piorunującą doniosłość mego podstępu. Poważna dama była jeszcze bosą i miała na głowie jakoś strasznie na bakier osadzony bufiasty czepiec. Siny ze strachu Soterek, ubrawszy jedną nogę w but, następnie starał się uzupełnić swój kostium wciągając na grzbiet kamizelkę do góry podszewką.

— Pułkowniku, czyś słyszał?... Pułkowniku^ co to będzie?... Oni chcą tego robaka wsadzić do kryminału, ach, ja nieszczęśliwa!
j W tej chwili uchyliły się drzwi od korytarza i wszedł Markierowicz w towarzystwie numerowego, który z nie praktykowaną dotąd gorliwością zajął się sianiem mego łóżka.

— Upadam do nóżek państwu... och, Maryjal — zaczął gospodarz zwracając się do mnie i majorowej. — Smutną przynoszę nowinę...
och, Maryja!... Brat skaleczonego Żydka występuje z pretensjami...

— O mój Boże, mój Boże! — szepnęła stara dama poprawiając tak gwałtownie czepek, jakby przy tej sposobności miała zamiar ukrećć sobie głowę.

— Myślę jednak — ciągnął Markierowicz — że sprawa dałaby się zakończyć polubownie, ale...

— Owszem! owszem!... — wtrąciła majorowa.

— Ale Żyd, niedowiarek, grubo śpiewa i chce tysiąc złotych... Och, Maryjal...

— Aaaa... aaa! — jęknęła, dama dwoma różnymi głosami. — Teraz już zginęliśmy na wieki!....

— Zapewne, jest to wielkie nieszczęście... Och", Maryja!

Nadzieja swobody tak mnie denerwowała, że się już niecierpliwił komedią ostrożnego gospodarza, uprzedzając go więc, rzekłem:

— Zróbmy tak, kochana major owo. Pani z Sociem wyjedziesz natychmiast do siebie, a ja Żyda załagodzę. Czy nieprawda, panie Markierowicz, że to jest dobry plan?

— Doskonały, panie pułkowniku, jeneralski piani... Pani majorowa najlepiej zrobi, gdy zaraz wyjedzie, bo jak facecja ta gruchnie między Żydami, to się zleca hurmem i jeszcze mi hotel spala... Och, Maryjal

— Oj! oj! oj! — lamentowała osoba dobrej tuszy. — Jedźmy natychmiast! bez śniadania, bez niczego... bo jak się Żydzi dowiedzą, to z pewnością tego sierotkę zakłują na macę...

— Tak będzie najlepiej — uzupełnił Markierowicz zacierając ręce — byle tylko pan pułkownik chciał się podjąć załagodzenia sprawy... Och, Maryja!

— Naturalnie, że ją załagodzę! — odparłem. — Tymczasem zaś każ, kochany panie Markierowicz, założyć konie pani majorowej i pilnuj Żydka, żeby się do miasta nie wymknął..

Wprawdzie niektórzy powieściopisarze, mający o swej domyślności bardzo pochlebne wyobrażenia, sądzą, że z jednego słowa, z jednego ruchu, a nawet ze sposobu noszenia butów odgadnąć można zamiary i charakter człowieka. Otóż mocno byłbym obowiązany, gdyby mi który z tych tak szczęśliwe od natury uposażonych panów dowiódł w sposób popularny, czego na przykład domyślać się była powinna majorowa z ukłonu, jaki na pożegnanie złożył jej Markierowicz. Ja bo przynajmniej, oprócz tego, że nasz kochany go-

spndnr* ii?vwa wykrzywiony cH ol>casów, nic więcej oagaanać nie mogłem.

— O mój Boże. mój Boże! —
biadała stara jejmość, szybko upakowując swoje ruchomości — i cóż ja nieszczęśliwa ooczne teraz z tym smokiem?... On już na wieki zgubiony!

Wiedząc bardzo dobrze, że pod nazwą smoka rozumiała stroskana babka Socia — napastowany przy tym od własnego sumienia, które już w tej chwili poczęło mi wyrzucać mój w gruncie rzeczy wcale niewinny podstęp, rzekłem jej. na pożegnanie, a zarazem na pociechę:

— Nie martw się, kochana pani! Jeden z moich' siostrzeńców jest .nauczycielem przy gimnazjum we Lwowie: otóż napiszę do niego w interesie Socia, a po odebraniu przychylniej odpowiedzi, jeszcze w tym roku wyekspedujemy chłopaka do szkół. Może za parę lat i z niego co wyrośnie!

— Niech cie Bóg błogosławi! — zawołała majorowa, z płaczem obejmując mnie za szyję, potem zaś dodała:

— Sociu zbrodniarzu! — padnij do nóg, ucałuj ręce twemu dobroczyńcy, który nie dość, że cię wybawił z rąk żydowskich, ale jeszcze chce za tobą do Lwowa pisać.. Mój Boże. taki kawał drogi!...

Zachmurzony Socio jak najserdeczniej obtarł swój pałkowaty nos o oba moje rękawy, a nadto (gdybym nie był pewny że hotelowe lustra wszystko odbijają fałszywie) mógłbym jeszcze pomyśleć, że niezgrabny, ten chłopiec na zakończenie wywiesił mi swój obrzydliwy język.

Gdy w pare minut potem wehikuł unoszący majorową i jej zgryzoty znikł na zakręcie ulicy, zbliżył się

do mnie mój furman i z pewnym zakłopotaniem, właściwym tej klasie ludzi, rzekł:

— Pora by już i nam się ruchać do domu, proszę łaski pana!

— Zajeżdżaj! — zawołałem tak kontent jak pewien młody student, który po wielokrotnych bezskutecznych usiłowaniach zdał przypadkiem egzamin.

W numerze czekał na mnie gospodarz w asystencji jakiegoś starozakonnego; drgnąłem ujrzawszy tych ludzi, bez względu na to, że obaj starali się mieć fizjonomie bardzo uczciwych.

— A czego chcesz, panie starozakonny? — spytałem Żydka.

— To jest właśnie Joel, brat tego... — odpowiedział gospodarz kłaniając się z przerażającą uprzejmością

Moje smutne przeczucia zaczęły nagle wzrastać.

— Aha, dobrze — odparłem takim tonem, jak człowiek, który dostawszy silnego zawrotu głowy poczyną już myśleć o tyfusie. — Po cóż przyszedł ten starozakonny?

— Jaśnie pan obiecał się ze mną pogodzić — objaśnił Żydek.

— Nie znam cię, mój przyjacielu — odpowiedziałem serio. — Jeżeli pan Markierowicz obiecał ci coś...

— Tak jest, obiecałem mu — odrzekł gospodarz — ponieważ pan pułkownik przyjął na siebie załagodzenie sprawy.

— Jak to? co to? co pan mówisz?...

— Pan pułkownik wobec pani majorowej, jej wnuka, mnie i numerowego obiecał temu żydkowi dać tysiąc złotych — przypomniał Markierowicz z najpoważniejszą miną.

— Czyście powariowali! — krzyknąłem oburzony. — Alboż taka głupia sprawa warta jest tysiąc złotych?

• — Bez urazy Jaśnie pana — odparł Żydefc — aldy zdaje mi się, że musi być warta, kiedy państwo sami chcieli nam dać dwadzieścia rubli...

—Nieszczęście się stało, panie pułkowniku dobrodzieju — dodał gospodarz. — Zrobiliśmy głupstwo zaczepiając Joela, bo inaczej sprawa by przyschła, a tak... och, Maryja!...

—A wy, szachraje! — zawołałem — więc myślicie, że wam zapłacę choć jeden grosz więcej nad obiecane dwadzieścia rubli?

— Wolna wola jaśnie pana! Jaśnie pan zapłaci, to dobrze, a nie zapłaci, to ja jaśnie pani proces wytoczę — odpowiedział Joel.

—Co tam twój proces! — zgromił go Markierowicz, a potem szepnął mi do ucha: — Ja myślę, proszę pana pułkownika, że byle się tylko pani majorowa nie dowiedziała o naszym figlu, to zresztą wszystko bagatela... Och, Maryja...

Spotniałem jak mysz wysłuchawszy ostatniego argumentu. „Masz, stary niedołego! — pomyślałem — masz naśladowanie Bismarcka... Teraz albo płąć, albo za parę tygodni nazwą cię intrygantem!”

W kwadrans potem sprzymierzeńcy moi, panowie: oberżysta Markierowicz i Joel faktor opuścili numer, unosząc z sobą weksel na tysiąc złotych!

O majorowo, majorowo!... Jakież złe wiatry przyniosły cię do mojego domu?... Opuściłem gospodarstwo w czasie najważniejszym, straciłem tysiąc złotych, na- irytowałem się i jeszcze mi sumienie dokucza — | wszystko przez ciebie!

— Konie jaśnie pana są gotowe — zameldował w tej chwili numerowy.

Łatwo pojąć, z jak ponurymi myślami siadałem do bryczki i z jaką .wściekłością po raz ostatni spojrzałem na hotelowy korytarz_L na progu którego nagle

ukazał się zapomniany Juz przeze mnie, pomimo całej jego wielkości, znakomity socjolog Postępowicz z węzełkiem w ręku.

— A cóż, panie — spytałem — jedziemy?

— Alea tacta est! — mruknął szczupły literat i rzuciwszy swój węzełek pod kozioł, jednym skokiem dostał się na siedzenie.

.W milczeniu przejechaliśmy miasteczko i rogatkę, w milczeniu wyminęliśmy prochownią i plac ćwiczeń kawaleryjskich; dopiero widok otwartego nieba, pól i lasów rozweselił nas trochę. Uczony Hiacynt począł gwizdać, ja zaś uczułem gwałtowną chętkę do rozmowy.

— Ciekawy jestem, co też będzie od dziś za tydzień? — spytałem robiąc tym sposobem delikatną aluzją do pobytu genialnego pedagoga w moim domu.

— Będzie zapewne piątek — odparł lakonicznie młodzieniec.

— Zawsze jednak czeka pana praca dość ciężka — ciągnąłem myśląc o socjologicznych badaniach, które wykształcony Postępowicz miał dokonywać na folwarku.

— Każda praca jest ciężka — mruknął właściciel ponszy bez rękawów.

Z pół godziny potem jechaliśmy w milczeniu. >

— Przyznasz pan jednak — zacząłem znowu — że w dzisiejszych czasach gospodarstwo jest bardzo trudną sztuką.

— Dla obywateli ziemskich wszystko jest trudne! — odpowiedział tonem nie dopuszczającym dalszej dyskusji były literat

Tym razem ja już postanowiłem nie zaczynać rozmowy — po upływie jednak małej godziny wyręczył mnie Postępowicz zapytując:

— Jak daleko od pana do stacji pocztowej?

—Dwie mile drogi, ale pisma odbieramy trzy razy, aa tydzień — odrzekłem myśląc, że kochającemu nauką Hiacyntowi mogą się nie podobać tak rzadkie stosunki z cywilizacją.

—Hum!... A nie wie pan, kiedy omnibus przechodzi do Warszawy?

—Będzie szedł i jutro. Na cóż panu ta wiadomość? — spytałem trochę zaniepokojony.

—Jak to, na co? Przecież piechotą nie pójdę!...

—Piechotą?... do Warszawy?... Mnie się zdaje, że nawet omnibusem nie będziesz pan mógł wyjechać do Warszawy, chyba po żniwach...

—A cóż mnie żniwa obchodzą? — obruszył się mój towarzysz.

— Jak to, co?... Przecież miałeś pan zamiar...

— Cha! cha! cha!... już rozumiem! — roześmiał się literat w kapeluszu z popsutym termometrem. Już rozumiem!... Więc pułkownik myślałeś, że ja jadę objąć u pana urząd pisarza prowentowego?... Cha! cha! cha!...

— A więc gdzie pan jedziesz? — zapytałem, mocno dotknięty.

■— Obecnie jadę do pana, jutro pojedę do stacji, a następnie omnibusem do Warszawy. Piśmiennictwo krajowe, mój panie, więcej dziś potrzebuje rąk niż jakiś tam folwark!

KŁOPOTY REDAKTORA

Co nieco się zatarło na przeszłości desce. Niechaj odżyje w pieśni albo humoresce.

napaliszżeż choć raz w tym diabelskim piecu, do stu piorunów! — woła względnie dość poważny mężczyzna, w futrze z psów, naśladowujących niedźwiedzie. — Czego tu sterczysz, gapiu?

— Czekam na korektę.

— Czymże ci będę robił korektę, ośle jakiś, kiedy mi palce zeszytniały? Napal w piecu, to zrobię.

— Kiedy piec dymi, proszę pana.

— Bodajście się wy zadymili, niedołęgi! — klnie w dalszym ciągu mężczyzna, trzepiąc się zziębniętymi rękami po bokach na furmański sposób. — Odgrzejże mi przynajmniej atrament, bo zamarznął! Chłopiec ze zmarzłym atramentem wyjeżdża do cieplejszych okolic, mężczyzna w futrze, ogrzawszy ręce, z kolei naciera sobie uszy mocno klerykalnej barwy, a tymczasem we drzwiach świątyni dobrego humoru pojawia się dyspozytor.

11 Proszę pana - redaktora — mówi przybyły — wstępnemu rysunkowi nos się zatarł, spili! A więc cóż ja na to poradzę? przecież swego nosa mu nie oddam. Idźcie do rysownika.

— Rysownik także nie odda, bo sam nie ma; wreszcie iitż za późno.

— Uważam, żeś pan co dzień dowcipniejszy, panie ten...

— My tu tak wszyscy po trochu, panie redaktorze. Zamiast rysunku trzeba dać druk.

— A skądże panu druków wezmę, kiedy współpracownicy nie nadesłali rękopisów?

— Miał pan dać tego... Kościotrupa czy jak tam?

— Aha! Kościotrup i dziewczica, fantazja, dam, ale niech kto pisze, a ja będę dyktował; czy jest kto taki?

— Znajdzie się. Mieszka tu na górze jeden od adwokata, to go panu redaktorowi sprowadzę.

— Dobrze!... No i cóż? — pyta redaktor wchodzącego w tej chwili chłopca — rękopis masz?

— Gdzie tam, panie redaktorze! Pan Ochwatowicz strasznie chory i tylko kartkę przysłał.

— Dawaj ją tu!... — Czyta.

„Świat mi zbrzydł... głowa ciężka... umieram bez nadziei i żalu...

Przyszlizcie mi kilka rubli. — Ochwatowicz.

Post scriptum. Po drodze niechaj chłopak kupi parę cytryn."

— A niechże cię zakwaszą! — woła redaktor zabierając się znowu do ogrzewania rąk o boki. — A niechże cię!... Czyś widział pana Ochwatowicza?

— Widziałem, proszę pana; ma chustkę na głowie.

— Cóż mu jest?

— Nie wiem, proszę pana redaktora. Sługa mówiła, że go ludzie wczoraj o pierwszej w nocy z sani do pokoju przynieśli. Podobno, był na imieninach.

— Ach! — wzdycha redaktor padając na fotel i zasłaniając twarz rękoma.

Jednocześnie ukazuje się dyspozytor w towarzystwie łysego jegomości lat średnich, którego fizjonomia odznacza się dziwnym spokojem, graniczącym nieledwie z doskonałą obojętnością na wszystkie . rzeczy tego świata.

— Panie redaktorze, przyszedł pan Dulski do pisa-
nia.
— Niech siada i pisze — mówi redaktor nie odejmując rąk od
twarzy.
— Dzień dobry panu! — odzywa się przybyły nie zmieniając ani na
chwilę swej apatycznej fizjognomii.
— Tam! — wskazuje dyspozytor, następnie sadowi obojętnego
mężczyznę tyłem do grzbietu redaktora, podsuwa mu efekta
piśmiennicze i jakiś dziennik na podkładkę.
— Panie dyspozytorze, ile będzie potrzeba szpalt Kościotrupa i
dziewicy?
— Dwie... półtrzeciej...
— Bardzo dziś zimno — odzywa się pan Dulski.
— Piszemy, panie — mówi redaktor nie patrząc nawet na bliźniego,
który podjął się roli maszyny kaligraficznej.
— Już z dziesięć lat nie pamiętam takiej zimy — zapewnia Dulski.
— Tytuł: Kościotrup i dziewczica — dyktuje redaktor.
Pióro Dulskiego poczyna skrzypieć.
„Step straszny... (kropki), okropny... (kropki), pusty... (kropki).
Zamiast zieleni trawy — bielizna śniegu, zamiast świergotu ptasząt —
krakanie wron i wichru wycie... (Od ustępu.)
Na pysznym arabczyku pędzi młoda dziewczica, wiatr rozwiewa jej
woal i czarną aksamitną amazonkę. (Od ustępu.)
Na posągowej twarzy dziewczicy wyrzeźbił się wyraz przerażenia, bo
tuż, tuż za jej pysznym rumakiem gna stado wilków, złowrogo
wywieszających krwawe języki i kłapiących wściekle porcelanowymi
zębami.”
Redaktor nagle uciał, jakby chłód opisywanego stepu zamroził mu
kaskadę słów. W uchylonych drzwiach

ukazała się ostra bródka, haczykowaty nos i silnie wy* strzyżona głowa.

— Aaa, pan Jasek! Cóż pan każe? | — Upadam do nóg panu redaktorowi!... przyszedłem za te szedem rubli, co pan wie...

— Nie ma teraz. Panie Dulski, piszemy dalej.

— Jak to, nie ma? Ja dzysz muszę gospodarzowi za- płacić...

— Nie przeszkadzaj! „Z oczu i nozdrzy dzielnego bieguna sypały się iskry; pędził jak wiatr, gdy wtem dopadła go wilczyca i urwała mu ogon. Lunał potok krwi...”

— Jakże będzie, proszę pana redaktora?

— Nie dostaniesz teraz nic; nie przeszkadzaj!

— To ja zaczekam.

— Nie czekaj, powiadam ci...

— Kiedy ja nie mogę, proszę pana, ja muszę dzysz dostacz szedem rubli...

Redaktor z pochmurnego zrobił się majestatyczny.

— Josku — rzekł — dostaniesz za godzinę pół rubla* ale teraz wynoś się, bo...

Zydek znikł.

— Ale, ale... stój! stój! Przynieś mi jeszcze paczkę papierosów.

— Niech pan da pieniędzy.

— Nie mam drobnych; przynieś za swoje i zostaw w drukarni.

— Jak to może być? To ja ł pieniędzy nie dostanę, i jeszcze mam papierosy kupować?...

— Za to możesz wypić kieliszek wódki.

— Także za swoje?

— Rozumie się! Tymczasem.

— Ny, ny!.,,

— Panie Dulski, piszemy dalej — mówi redaktor ^oglądając przez ramię na siedzącą za nim machineę.

„Drobny ten łup na chwilą tylko wstrzymał pędząc® stado, które wnet dognało ofiarę.”

— Panie redaktorze! — woła wbiegający w tej chwili mocno zaaferowany pan, w starej burce i pomiętym kapeluszu. — Panie redaktorze, na miłość boską, dajcie mi piętnaście rubli!...

— Piętnaście rubli? — pyta zdumiony redaktor drepcząc nogami i gwałtownie zacierając ręce. — A artykuł przyniosłeś... pan?

— Mój Boże! dajcie mi pokój z artykułem przynajmniej teraz... Pan wiesz, moja żona...

— Aaa... wiesz! .

— No, więc widzisz pan, czy w takiej chwili można myśleć o pisaniu?

— Panie — odparł surowo redaktor — powód taki mógłby stanowić sprawiedliwą wymówkę dla pańskiej żony, ale nigdy dla pana.

— Ależ, panie redaktorze, nie dręcz mnie; potrzebuję piętnastu rubli, a pan mi....

— Za godzinę będziemy panu mogli ofiarować pięć rubli, teraz zaś... Panie Dulski, piszemy.

— A niech wasi — mruknął przybyły trzaskając drzwiami.

Pióro skrzypiało, redaktor dyktował.

„W tej chwili najcięższy wilk przyskoczył do cwałującego bieguna i urwał mu tylne kopyto z lewej strony; lecz szlachetne zwierzę czując, jak drogi ciężar unosi, pędziło dalej nie dotykając nogami śniegu.

Potok krwi, płynący z ogona, zamarznął.”

Tym razem redaktor struchlał ujrawszy w otwartych drzwiach jakieś poważne oblicze, w kołnierzyk z rzeczywistych szopów oprawione.

— A, szanowny pan Goldfisz!... Cóż pana dobrodzieja sprowadziło tak wcześnie?

- Dzień dobry! Pan chyba żartuje, pan przecie wczoraj jeszcze miał mi oddać te sto dwadzieścia...
- Niechże pan Goldfisz siada, bardzo proszę! Spodziewam się, że synek pański miał dobrą cenzurę?
- Niczego!... Ale, widzi pan, ja nie mam czasu, a panowie to mnie tak zawsze jakoś zamroczyć umieją.
- No, jeżeli pan Goldfisz nie ma czasu teraz, to możemy za parę dni nasz rachunek uregulować.
- Za parę dni?... To już chyba z komornikiem —< odparł obrażony gość zabierając się do odejścia.
- Chwileczkę... panie Goldfisz! Pan Goldfisz zna Kupca weneckiego Szekspira?
- Dlaczego nie mam znać? ja przecie całego Szekspira prawie na pamięć umiem.
- Pan wie, że do tej tragedii wchodzi lichwiarz nazwiskiem Szajlok?
- No tak, Szaja... wiem, wiem!
- Otóż, wyobraź pan sobie, że otrzymaliśmy wczoraj miejską pocztą rysunek, a na nim... wiesz pan kogo?, Oto pana! Jesteś pan tam przedstawiony z nożem w rękę i podpisem: „Abraham Goldfisz, Szajlok z Pocijowa, co na dwieście procent pożycza.”
- Kto takie głupstwo napisał?
- Nie wiem; swoją drogą jednak my rycinę zużytkujemy.
- Jak to, wyrysujecie panowie w piśmie?
- Naturalnie. Pan nas chcesz stradować, my więc nie mamy racji oszczędzać pana.
- No, ja panu redaktorowi co powiem Ja z tymi stu dwudziestoma rublami zaczekam jeszcze tydzień... dwa... niech będzie trzy — ale niech państwo tego nie zrobią...
- Hum! uważa pan Goldfisz... trudno... Artykułów nie mamy.

— Nie macie?... A jak ja cticiałem wam dać, toście nie brali.

— Pański wiersz był strasznie słaby.

— Tamten słaby, ale ten, co mam teraz, to strasznie zdrowy.

Przeczytam panu, com napisał: O przyjaźni.

Redaktor zgadza się, pan Goldfisz siada, wydobywa z kieszeni rękopis i czyta:

Przyjaciel wierny więcej znaczy Niż skarb niezmierny. On przebaczy
Wszystkie urazy Kilka razy.

A jeśli ty jesteś w potrzebie. Idziesz do niego jak do siebie. On tobie
pożycza, Pieniądze odlicza. A jeśli masz jakie zgryzoty. Czy to
zmartwienie, czy kłopoty, U niego pociechy szukasz, Oo jego serca
pukasz...

— No, co pan redaktor na to?

— Pyszny wiersz!

— Pójdzie na ten numer?

— Na ten? Poszedłby, ale... naprzód nie jestem pewien, czy ten
numer wyjdzie.

— Dlaczego nie jestem, pewien?

— Zabrakło nam pieniędzy. Przez kilka dni (z powodu świąt) nie
wpływała nam prenumerata.

Pan Goldfisz zamyślił się.

— No, a jakby poszedł, to z moim podpisem?

— Rozumie się! Kazałbym jeszcze odbić jeden numer dla pana na
welinie, czerwonymi literami.

Pan Goldfisz powtórnie się zamyślił.

— He to potrzeba?

— Z pięćdziesiąt rubli.

— Aleby poszedł z moim podpisem i z czerwonymi literami?

— Jakżeś pan chciał?

— No... to ja panu pożyczę pięćdziesiąt rubli, tylko... (niech pan do mnie za godzinę przyjdzie).

To, powiedziawszy, pan Goldfisz wstał, odetchnął głęboko i czule pożegnawszy redaktora, wyszedł. Po upływie jednak kilku sekund wrócił znowu i uchylając drzwi, dodał:

— Z moim podpisem, pamiętaj pan!

Teraz dopiero na surowym redaktorskim obliczu wykwitł uśmiech, który jednak należało powściągnąć przez wzgląd na wchodzącego dyspozytora.

— Panie redaktorze, przyszedłem po fantazją o kościotrupie, niech pan teraz da choć kawałek.

— Mówisz pan o Kościotrupie i dziewicy?... Mogę dać teraz kawałek, za godzinę będzie reszta. Panie Dulski, proszę o rękopis!

Ale pan Dulski nie podniósł nawet schylonej głowy, tylko wciąż pisał zawzięcie.

— Panie Dulski! — zawołał dyspozytor — proszę o rękopis!... Pan Dulski ciągle pisał.

Ten jawny dowód lekceważenia osób, wyższe zajmujących stanowiska, obruszył redaktora, który powstał z gniewem i spod ręki Dulskiego wydarł papier. Lecz apatycznego człowieka nie obraził bynajmniej ten wybuch. Spokojnie strzepnął on pióro i odwróciwszy głowę rzekł:

— Bity charakter, panie!

Redaktor spojrział na papier, przybliżył go do światła, przetaił oczy, a na twarz wystąpiły mu sine plamy.

— Co to jest?... „Pisarz Trybunału Cywilnego... Wiadomo czyni, iż na żądanie Jankiela Karabin, kupca w Unieście gubernialnym... zamieszkałego, a zamieszkanie prawne u Franciszka Patykowskiego Patrona Trybunału...” Co to znaczy?... ten człowiek zamiast pisać

to. co ja mu dyktowałem, napisał ogłoszenie o subha- siacji?...

— Z tego arkusza, panie — mówił Dulski — to by były' cztery kancelaryjne...

— Czyś pan zwariował?... — pyta redaktor.

— Najmniej dwa złote, panie — odpowiada nowo- kreowany literat.

— Ależ, panie dyspozytorze, ten człowiek jest głuchy!

— Coś pan zrobił?... — wrzeszczy do ucha Dulskie- mu zirytowany dyspozytor...

— Co? a przepisałem ogłoszenie z tej gazety, co kazał pan dyspozytor...

— Ależ ja ją panu tylko na podkładkę dałem! odpowiada oburzony dyspozytor.

— Niech was tu wszystkich najjaśniejsze!... — konkluduje redaktor.

DOKTOR FILOZOFII NA PROWINCJI

Pan Diogenes Fajtaszko, w nielicznym lecz wy- | borowym kółku zaufanych przyjaciół zwany pospolicie Dynciem albo Fajtusiem, cały ranek spędził na melancholicznym rozpatrywaniu swoich długich i cienkich kończyn dolnych. Na gorycz dzisiejszego usposobienia wpłynął niepomiernie sen. Śniło mu się bowiem, że skutkiem wczorajszej kolacji dostał try- chin, że skutkiem trychin, z przepisu pewnego młodego lekarza — imieniem Kocia, musiał wypić cały gąsior nieoczyszczonej nafty i że wreszcie, skutkiem obu powyżej zacytowanych przyczyn, on, pan Diogenes Fajtaszko, chluba powiatu i najdzielniejsza z prowincjonalnych podpór literatury krajowej, musiał się przenieść, a raczej został przeniesionym z wygodnych wprowadzie, lecz dość jeszcze miękkich materaców na twarde i brudny stół sekcyjny miejscowego lekarskiego urzędu.

BrrrL. co za myśl!...

Pan Diogenes był człowiekiem zbyt liberalnym, aby wierzyć w sny; na nieszczęście, wierzył w swój własny system filozoficzny, na dnie którego między innymi leżał pewnik, że idea (substancja milion razy delikatniejsza od wodoru) może pod wpływem silnej woli skryształizować się w fakt zewnętrzny lub wewnętrzny. I tak: pan Diogenes jako żywo nigdy nie był w Berlinie; ponieważ jednak od kilkunastu lat pielęgnował

ideę bytności swojej w Berlinie, ostatecznie więc skryształizował ją w sobie tak, że o ulicach, pałacach i placach, a nade wszystko o uniwersytecie berlińskim rozprawiał jak o rzeczach własnymi oczami widzianych i własnymi rękami dotykanych. Wiedząc o tym pan Diogenes sprawiedliwie mógł się obawiać, aby jego dość zresztą nieokreślone idee o trychinach nie skryształizowały się w prawdziwe trychiny albo jakiś inny tak dla jego osoby, jak, i dla ogółu niepomyślny wypadek.

Ponure, od paru godzin trwające rozmyślenia Diogenesa już to o pasożytach w ogóle, a o wnętrzakach w szczególności, już to o szkodliwym wpływie tych ostatnich na pewne indywidua bezpośrednio, a na przebieg dziejów powszechnych pośrednio, przerwane zostały niecierpliwym, lecz pełnym uszanowania pukaniem do drzwi, które na okrzyk Dyncia: Entrez!, otworzyły się odsłaniając drobną, lecz od stóp do głów elegancką postać pana Kajetana Dryndulskiego.

— Pozdrowienie, uszanowanie, powitanie! — paplał przybyły. — Ach, och! jaki śpioch!... (od wschodu słońca jestem w poetycznym usposobieniu) Jedytnasta bieży, a on jeszcze leży... (Zawsze mam pełne usta wierszy!) Pewnie wczoraj długo pracowaliśmy, a dziś zaspaliśmy. (Ta łatwość wierszowania niekiedy mnie samego kłopotuje.) Ja tymczasem od rana zbieram nowiny dla pana i takie ich mnóstwo mam, że ledwie oddycham... G. Tygodnik" mówi. że nie jestem poetą... ha!...)

Mówiąc to przybyły szastał się po całym pokoju, jakby podłoga szpilkami była najeżona, i kręcił tułowiem tak, jakby mu kto za aksamitną marynarkę rozpalonych węgli nasypał. Tymczasem poważny Diogenes. trzymając się obu rękami za poręcz łóżka, na wytartym dywaniku oparł piętę lewej nogi i bezmyślnie przypatrywał się jej wyschłym palcom.

Frypowaty Dryndulski wciąż paplał: —■ Jak ptaszek dziś zerwałem się, zimną wodą oblałem się i niezwłocznie na miasto się wybrałem, bo dziwne jakieś przeczucia miałem...

— Tak samo i ja!... — przerwał półgłosem Fajtuś.

— A co?... — wykrzyknął zachwycony gość. — Piękne umysły się stykają, podobne przeczucia mają (jak mówi francuskie przysłowie). Istotnie wspaniałe są nowiny!... Zgadnij jakie?... mój filozofie jedyny...

— Pewnie trychiny?...-^ mruknął Dyncio szybko chowając lewą nogę pod koldrę.

— Cha! cha!... Nowiny, jedyny, trychiny!... Co za trójwiersz, trójnóg, trójca,, trylogia!... Zdumiewająco, zachwycająco!... Miasto nasze robi się poetycznym w dniu, w którym winno być filozoficznym. Ja wymyślam dwuwiersz, mój przyjaciel tworzy trójwiersz; jeden filozof miejscowy, warszawskich dwóch, razem trzech —' kto w cuda nie wierzy, niech ten zbieg wyjaśni, niech!...

— Nie rozumiem... — bąknął Fajtuś podczesując długą czuprynę.

— Jak to, nie rozumiesz pan? — odparł zaperzony Kajcio, zstępując z hymnu do prostej powieści. — Wszakże pan jesteś filozofem-miejscowym, tutejszym, naszym i jedynym, czy tak?...

Dyncio podczesał brodę, co w przekonaniu gadatliwego poety musiało oznaczać twierdzenie, ciągnął bowiem dalej:

— Pan jesteś filozof jeden, z Warszawy przyjechało dwóch, razem trzech; trójwiersz o trychinach...

— Jakich dwóch z Warszawy?... — zawołał Fajtyś chwytając się znowu rękami za łóżko.

— No, dwóch Klinowiczów, siostrzeńców starego Fe-derwajsa, kolegów uniwersyteckich Kocia, którzy pisali te sławne traktaty filozoficzne.., o czymże ta?..<

— O stosunku świadomości do bezświadomości?... To pisał tylko jeden z nich, Czesław Klinowicz, doktor filozofii uniwersytetu...

— Wiedeńskiego, paryskiego, berlińskiego et caetera! Otóż obaj stryjeczni bracia, Czesław i Waław Klino- wicze, są doktorami tych wszystkich uniwersytetów, a obecnie przyjechali tu, do nas, pod pozorem złożenia wizyty wujowi...

8=1 Skąd pan wiesz o tym?...

— Widziałem ich dziś obu o godzinie dziewiątej rano w hotelu „Pod Bykiem”... Poszedłem e n frak, e n biały krawat i en lapisowe rękawiczki (spodnie miałem te same). Pytam garsona: piąty numer śpi? — Myje się — odpowiada garson. Pukam we drzwi... — Entrez/..., — Przepraszam, rekomenduję się, zostawiam dwa bilety wizytowe (dla obu panów), wspominam o panu...

— Jakże wyglądają? — pyta wzruszony nieco Dyncio.

— Jeden leżał w łóżku pod popielatą sławucką kołdrą, drugi mył się mydłem glicerynowym...

— Ależ fizjognomie, obejście?...

- Przecież mówię! Ten, który się mył, miał koszulę w czekoladowe paski. Wracając z hotelu kupiłem sobie zaraz trzy takie same u Goldgłasa...

— Ależ co mówili?...

— Ach! co mówili?... To już mój sekret, na wyjawienie którego brak mi czasu, bo muszę się śpieszyć...

— Do czego?... Czy do ubrania się w kolorową koszulę, czy do zawiadomienia miasta o szczęściu, jakie je spotkało?... — spytał ironicznie Dyncio.

— Panie... Sarkazm?! — oburzył się gość.

— Najczystsza prawda! — ■ odparł zirytowany gospodarz. — Każdego z życzliwych panu dotknąć musi naprzód łatwość, z jaką poddajesz się pan nowym wpływom, a po wtóre zupełny brak samodzielności...

—Panie!...-

—Tak jest, panie! a najlepszym dowodem tego brtn ku samodzielności jest kupno trzech kolorowych koszul, dlatego tylko, że podobną jakiś quasi filozof, jakiś przybłęda nosi... Cha! cha! cha!...

—Przybłęda?... brak samodzielności?... — wołał oburzony pan Dryndulski, zasadzając z wielką pewnością siebie obie ręce w kieszenie boczne. — Rozumiem!... | zazdrościsz pan dwom nowym gwiazdom, które mogą zaćmić jego zasługi...

—Skromne zasługi moje nie zmniejszą się przez to, że pan dziś o dziewiątej biegał do hotelu i że chcesz pan włożyć na siebie kolorową koszulę...

—Racja, że skromne! — przerwał gość. — Jakieś tam trzy korespondencyjki o teatrze amatorskim, pojawieniu się ospy wietrznej u dzieci i...

—Mniejsza o'ich treść, panie Dryndulski! W każdym razie nie odrzucono mi ich, jak się to panu trafia raz na tydzień.

—Przybłędy!... brak samodzielności!... Żegnam pana Diogenesa Fajtaszkę!... — rzekł elegancki gość i protekcyjonalnie kiwnął głową gospodarzowi.

—Kolorowe koszule!... wizyta o dziewiątej rano e n frak!... Żegnam pana Kajetana Dryndulskiego!... — wycedził gospodarz i majestatycznie ukazał drzwi gościowi.!

Takim sposobem pękł gordyjski węzeł dozgonnej przyjaźni, która przez tyle lat łączyła dwu najznakomitszych ludzi w powiecie. Złowrogi sen Diogenesa urzeczywistnił się!

Każdy nieuprzedzony człowiek na pierwszy rzut oka -uczuć musiał głęboką sympatią i cześć dla osob\$

Diogenesa Fajtaszko. Czarny ubiór oznacza! duszą chą- tnie przebywającą w cieniach łagodnej melancholii; złote spinki u koszuli dowodziły niezależnego bytu; ostro zakończona i starannie utrzymywana bródka przekonywała o samodzielności zdania tak, jak wielka ilość pierzy w głowie zdradzała niepospolity umysł.

Co Tobiał pan Diogenes w cichym, powiatowym zakątku? Dla ludzi zmateralizowanych — nic; lecz dla tych, którzy głębiej spoglądać umieli na rzeczy, szczupły ten, w średnim wieku, z pochyloną głową mężczyzna był apostołem nowych idei, pionierem cywilizacyjnego pochod. Tak swoje stanowisko określał on sam dodając, że dwie tylko ma ambicje: uzupełnić, wypróbować i światu w spuściznie pozostawić własny system filozoficzny, i — w półdzikiej okolicy (na którą rzucił go los nieubłagany) przygotować pewną liczbą ludzi inteligencji i serca.

Z czego się utrzymywał pan Diogenes? Pytanie podobne byłoby największą obelgą dla niego. Jak to, on, on, który dwadzieścia cztery godzin na dobę żył w świecie idei, miałby się zniżyć do poziomych trosk o chleb powszedni do odpowiedzi na podobnie krzywdzące pytania? Jadał — bo jeść potrzebował; mieszkał — bo nie mógł nie mieszkać, ponosił drobne wydatki — bo nie mógł ich nie ponosić: wszystko to jednak czynił nie dla zasady, ale przypadkowo i wbrew własnej woli ulegając raczej tkliwym prośbom Hildegardy, duszy wzniosłej i bezinteresownej, od lokalu której drzwi tylko oddzielały skromny jego pokój

Natury poziome grubiańskie i egoistyczne nie mogły pojąć tego stosunku jaźni pokrewnych, że nie powiem siostrzanych » szeroko rozprawiły o drzwiach, owych drzwiach, które przez kilka lat z rzędu (na wiekuisty wstyd plotkarzy) były zastawione dużym stołem, dziś ostatecznie zalepione, a zawsze tak z jednej, jak z dru-

giej strony starannie na klucz zamykane. Przebąkiwano także, że od czasu zalepienia drzwi sympatia dwu tych doskonałych indywidualności znakomicie osłabła, co jest wierutnym fałszem, ponieważ pan Diogenes ani na jeden dzień nie przestał się stołować, wynajmować mieszkania, a nawet od czasu do czasu zaciągać skromnej pożyczki od pięknej i szlachetnej Hildegardy, w metryce najniewłaściwiej przezwanej Praksedą.

Po wyjściu poetycznego, a więc popędliwego Kajetana pan Diogenes głęboko się zamyślił i patrząc na J zalepione drzwi, o których wspominaliśmy szeptał:

— Dwakroć sto tysięcy!... Serce kobiety... Nowy ideał... Gotowa awantura... Przyszłość bez pieniędzy... Ach! ten Dryndulski plotkarz, ach! ci doktorzy filozofii...

Jakby w odpowiedzi na bezładne marzenia pioniera cywilizacyjnego pochoło rozległo się kołatanie do zalepionych drzwi, po którym jakiś ostry, kobiecy głos zawołał:

— A czy jesteś tam?...

— Jestem Hilciu! — odpowiedział Diogenes, szybko okręcając się kółdrami i biegnąc ku drzwiom.

— Podobno przyjechało kilku filozofów z Warszawy?

— Bajka, Hilciu, jak cię... • "-

— Słyszałam że chcą mi złożyć uszanowanie!

— Co za plotki! co za niegodziwe plotki!

— Wypada ułatwić im zbliżenie się...

Hilciu! nie wierz temu — błagał Diogenes prze- stępując z nogi na nogę i rozpaczliwie owijając się w kółdrę.

— Pleciesz głupstwa! — odparł niecierpliwie głos. — Wiem przecież, że są dwaj Klinowicze, którzy coś tam pisali o bezświadości...

— Ależ...

- Nie nudź mnie!... Zaprosisz ich dziś na wieczór...

— Ależ...

— Niedołęgo!... — wrzasnął głos. — Zaprosisz ich dziś na wieczór, i basta, chcę tego!

W odpowiedzi na tak stanowczo sformułowane żądanie utalentowany Dyncio trzepnął prawą ręką w udo, co wydało trzask podobny do uderzenia kijem w ścianę, rzucił rozpaczliwie kołdrę na łóżko i szybko ubierać się począł.

Dnia tego powiatowe miasto X, należące do tych, które najpierwej uwierzyły w postęp, emancypacją, tunel anglo-francuski, artykuły wstępne „Przeglądu Tygodniowego” i w proszek perski jako środek anty choleryczny, dnia tego miasto X trzęsło się. Mówiono sobie po cichu, półgłosem, a nawet zupełnie głośno, że w hotelu „Pod Bykiem” stoi mnóstwo doktorów filozofii, którzy przyjechali poznać pana Diogenesa, ucałować paluszki szlachetnej Hildegardzie, uściskać pana Kajetana Dryndulskiego, słowem — złożyć hołd wszystkim miejscowym znakomitościom i co najważniejsze, spośród powiatowych piękności wybrać dożgonne towarzyszkę życia.

Jak wyżły za ptactwem, tak zadyszani, lecz zawsze poważni ojcowie rodzin biegali za Żydkami celem wyciśnięcia z nich niewielkich sumek pieniężnych na cały szereg mających nastąpić zebrań uroczystych. Dbałe o przyszłość córek matki wypytywały się przede wszystkim o cyfrę przybyłych, a następnie o to, czy proceder doktora filozofii zapewnia dostateczne utrzymanie. A córki?... Córki nie troszczyły się ani o cyfry, ani o procedery, lecz myślały tylko o tym, aby arcykapłanom wiedzy i sterownikom ogólnoludzkiej nawy ze skąbnicy swych serc i umysłów dziewiczych przed-

stawie jak największą ilość fizycznych i duchowych rkiejnotów. -

Hotel „Pod Bykiem” był literalnie obleżony. Inteligencja w cylindrach i czapkach, z laskami, parasolami i piórkami do zębów, gapiła się na czcigodny zajazd tak, jakby ściany jego, na podobieństwo szerści klaczy z Mikułowic, posiadały własność wydawania światła. Odczytywano bardzo udatny wiersz pana K. Dryndulskiego, w którym utalentowany ten, lubo mało znany światu, pisarz streścił (na podstawie pięćdziesięciu tomów za pięć rs) swój pogląd na zesze, terażniejsze i przyszłe stanowisko filozofii. Kilku ludzi poważniejszych rozprawiało o bezświadości z tak dokładnym zrozumieniem rzeczy, jakby przez całe życie nie wychodzili poza obręb, tego interesującego psychicznego stanu. Mniej obeznani z filozofią, poezją i bezświadością mówili o tym, że okna znakomitych podróżnych wychodzą na podwórze, że znajdują się tuż obok rynny do wylewania pomyj i że w jednym z nich widać lichtarz, w drugim zaś jakieś płócienne efekta formy nader wątpliwej. Entuzjaści chcieli własnymi oczyma zobaczyć lichtarz i płótno i pod pozorem niecierpiących zwłoki interesów osobistych co parę minut wbiegali na podwórze.

Nagle na chodniku, mostku i bruku przedhotelowym zapanowała cisza, potem wybuchł szmer, a potem... znowu cisza. Chciwe wiedzy zgromadzenie dostrzegło uśmiechniętego lekarza Kocia, któremu (rozumie się z lewej strony) asystował dumny i promieniejący K. Dryndulski, autor wiersza o przyszłości, terażniejszości itd. filozofii, ubrany w jedwabny cylinder, biały krawat i filozoficzną koszulę w czekoladowe paski. Jeden z panów, którzy przed chwilą najgruntowniej rozprawiali o bezświadości, wystąpił naprzeciw idącym i zwracając się do lekarza Kocia, spytał;

Cóż, ilu ich Jest naprawdę?..

—Klinowiczów dwóch — odparł Kocio.

— Czesław i Waław — wtrącił K Dryndulski —■ pyszne imiona!... talentu, pracy, zasługi znamiona...

—A iluż doktorów filozofii? — przerwał badający.

- Jak to ilu? — zdziwił się Kocio. — Jeden tylko Czesław...

—Gwiazda pierwszorzędnej wielkości, autor dzieła o bezświadości, co człowieczeństwo na nowe tory pchnie, bo najgłębsze tajemnice duszy sondować śmie! — dorzucił rozrymowany K. Dryndulski zapinając guzik kolorowej koszuli,, która mu się nieustannie odchyłała ukazując niedyskretnemu oku pąsowy kaftanik.

—Gdzież dziś będziecie?...

— Qni obaj będą dziś na obiedzie u swego wuja Fe- derwasja...

—I ja wraz z nimi tam, bo Federwajsa znam, znam i szanuję... na honor!

— Wieczorem zaś będziemy wszyscy u Pastemakow- skich... i— chciał dokończyć Kocio.

— I ja... i ja... będę u Pasterna... kowskich, z których czcigodnym domem łączę się szczerzej przyjaźni ogromem... — przerwał poeta, patrząc spod oka po zgromadzonych dla zbadania, jaki też efekt wywarły jego niezrównane improwizacje.

Ale zgromadzeni zapewne skutkiem sąsiedztwa z hotelem, którego jeden numer od podłogi do sufitu zapełniała zimna analiza, mało zdawali się zważać na piękności dorywczo wypowiedzianych wierszy* a tym mniej podziwiać kolosalną wprawę ich niepospolitego twórcy.

— Teraz zapewne idziecie do nich? — spytał ktoś z mostka.

— Naturalnie!... naturalnie!... — odpar* Dryndulski, z rozkoszą wpatrując się w swoje pyszne lakierki. —:

Naftowa lampka na parterze (przywiązana do szczebla schodów celem zabezpieczenia jej przeciw konsekwencjom miejscowego pozytywizmu), ligroinowy kinkiet na pierwszym piętrze i dwie stearynowe świece na drugim
Każda chwila spędzona z ludźmi takimi do najszcześniejszych liczy się na ziemi...

— Kochany Dryndulsiu — szepnął do ucha poecie niejaki Korneli Klarneckiński, najmłodszy z dwunastu Klarneckińskich, którzy od niepamiętnych czasów piastowali niższe powiatowe urzędy — kochany Dryndulsiu, zapoznaj też mnie z tymi panami...

— Chciałeś powiedzieć z doktorem filozofii i jego bratem? — odparł Dryndulsiu z godnością, przymrużając oczy. — Dobrze, pomyślimy o tym!

— Drogi Kajciu! — szepnął ktoś inny, ciągnąc z lek-'ka za rękaw poetę — chciałbym się zbliżyć do tych facetów...

— Czy mówisz o doktorze filozofii i jego bracie? — spytał pan Kajetan przenosząc wargę dolną w okolice nosa. — Nie ręczę, ale... spróbujemy!

— Kociu! Kajciu! Doktorze! Dryndulsiu! polecam się waszej pamięci! ukłony dla panów doktorów! — wołały miejscowe inteligencje.

— Postaramy się! spróbujemy! zobaczymy! ;— odpowiadał wszystkim elegancki Dryndulsiu, o którym ktoś z osobistych nieprzyjaciół powiedział, że był podobny do osła objuczonego worem brylantów.

Za chwilę Kocio wraz z nieodstępnym poetą (rozumie się po lewej stronie) wszedł do bramy i znikł na schodach, a tłum obecnych wzdychając lub pogwizdując stosownie do usposobienia rozproszył się na cztery wiatry.

zalewały potokami jasności trakt do znanego z cnót rodzinnych domu państwa Pasternakowskich.

Na trakcie tym co chwila rozlegał się stukot eleganckich kamaszy reprezentantów rodu jeszczurczego lub przejmujący aż do szpiku szelest powiewnych sukienek, lub wreszcie majestatyczne, a zarazem ochładzające zataczanie się poważnych mam i cioteczek.

Każdy taki transport towaru przeznaczonego do wypijania herbaty, wdzięcznego szczebiotania, zapewniania kanap lub podkręcania wąsików i robienia tysięcznych grzeczności damom, na pierwszym stopniu schodów pierwszego piętra z nieporównanym wdziękiem witał uprzejmy -gospodarz, który jednocześnie sprawdzał, czy nie skradziono lampki, czy szkło w kinkiecie nie pękło i czy świece stearynowe palą się według ekonomicznych zasad. Wyściskawszy i wycalowawszy gości tudzież zaprowadziwszy potrzebne melioracje w przyrządach oświetlających uśmiechnięty gospodarz wbiegał na momencik do kuchni, wymawiał tam cyfrę mającą pewien związek z liczbą przybyłych, a następnie zachęcał do pośpiechu młodą i jędrną kuchareczkę w sposób nie mający związku ani z oświetleniem, ani z liczbą przybyłych, ani z bezświadomością.

Okolo ósmej wszystkie miejsca salonu gościnnych Pasternakowskich były zajęte tak dalece, że niektórzy z obecnych musieli podpierać piec i ściany, inni, spacerujący, potykać się o bogaty dywan, a jeszcze inni z utęsknieniem spoglądać na kanapę, szeszlony i fotele, jakoby pielęgnowali w sercach niegodną ludzi ucywilizowanych myśl uplacowania się na kolanach najpoważniejszych matron. Temperatura z dwunastu podskoczyła do dwudziestu stopni Reaumura; młode i piękne dziewczęta, oplótłszy się rączkami, tuląc się jedna do drugiej szeptaly sobie coś do uszek z takimi minami, jakby każda z nich przed przyjaciółką naprawdę odkrywała naj-

głębsze tajniki serca. Szanowne mamy i opiekunki _| rzuciły od niechcienia okiem na toalety swoich córek i pupilek lub usiłowały się przekonywać nawzajem, że w dzisiejszych czasach zamążpójście żadnej kariery nie stanowi dla skromnych i dobrze wychowanych pa-nienek. Młodzież męska na koniec ziewała półgłosem, rozmyślała nad dowcipami iakimi należałoby usatysfakcjonować towarzystwo, lub wreszcie dokonywała przeglądu swoich garniturów, baczną aczkolwiek nie wyłączną uwagę zwracając na guziki.-

W tern. nastąpiła cisza, usłyszano bowiem na schodach tętent... dobrze zbudowanej pokojówki i okrzyk: „Idą!... idą!...”

. — Maniu! zaraz będzie herbata — odezwał się w drugim pokoju najmłodszy Pasternakowski do najmłodszej Pasternakowskiej.

Słowa te spotęgowały ciszę, wśród której usłyszano naprzód pełne znaczenia stapanie kilku par nóg. potem elektryzujący chrzęst drzwi- potem denerwujące wycieranie butów o słomiankę. potem...

— Panie (jakże tam? > Klinowicz. doktor filozofii! członek wielu towarzystw naukowych! współpracownik wielu pism! autor wielu dzieł!... — recytował gospodarz głosem oznaczającym, jak wysoko ceni zaszczyt jaki go spotkał

W tej chwili puls obecnych dosięgnął! stu dwudziestu uderzeń na minuta *Hka wrażliwszych i bardziej szanujących naukę osobistości z głębokim wzruszeniem utarło nosy. a pewna stara na'wrażliwsza i najmocniej szanująca naukę dama musiała > wielkim poś"iechem opuścić zebranie, jak to zwykła była czynić przy każdym bardziej uroczystym o odnoszącym duszę momencie towarzyskiego życia Na progu sal; ukazały się trzy osoby Pierwszą był pan K Dryndulsiu wymyty, wyfrakowany i wyperfu-

mowany Jak nigdy; zebrani, biorąc go przez prędkość za doktora filozofii wielu uniwersytetów T członka wielu towarzystw, oddali mu głęboki ukłon.

Drugą osobą był wesoły lekarz Kocio, który zdawał się mieć nader pilny interes do pewnej mocno zarumienionej panienki. Zebrani, biorąc go przez prędkość za doktora filozofii i członka wielu towarzystw, złożyli mu głęboki ukłon.

Trzecią osobą był pan Czesław Klinowicz rzeczywisty doktor filozofii wielu uniwersytetów, oddany w zwykły frak, w zwykłą koszulę i w zwykłe rękawiczki. Zebrani, biorąc go przez prędkość za kogoś zupełnie innego, nie złożyli mu ukłonu.

Wynagradzając tę mimowolną niegrzeczność, zebrani skoncentrowali całą swoją światłą uwagę na tę część przestrzeni, którą całkowicie i niepodzielnie wypełniała indywidualność doktora itd., członka itd., współpracownika itd., autora itd. Przede wszystkim z niemałym podziwieniem dostrzeżono, że tenże doktor, członek itd., miał oblicze wcale pyzate i kark bodaj czy nie bernardyński i że na żadnej części ani swego ciała, ani swego ubioru nie nosił dyplomów, do jakich jego obszerna nauka, niepospolity talent pisarski i inne niemniej rzadkie a cenne przymioty niewątpliwie nadawały mu prawo. Z niemniejszym także zdziwieniem zaobserwowano, że tenże doktor itd. usiadł na krześle w sposób nader zwykły, wykazujący pewne cechy wspólne między nim a najpospolitszym prostaczkiem, i że bez śladu zakłó* po tan i a poprawił sobie cokolwiek przyciasny kołnierzyk tudzież obciągnął cokolwiek przykrótką kamizelkę. Zauważono w końcu, że tyle razy wymieniony doktor, członek itd., nie dość że nie otacza szczególniejszą czcią i troskliwością swojej własnej osoby, ale że nadto zakłada nogę na nogę, gładzi brodę i patrzy na obecnych' tak obojętnie, jakby zapomniał, że ma przed sobą

kwiat towarzystwa powiatowego miasta X, któremu przyjechał złożyć należny hołd i z którego obowiązany J był, rozumie się na koszt własny, wywieźć dozogoną towarzyszkę życia.

Ponieważ obserwacje te jak najdokładniej wykazały, że doktor filozofii itd. pod krzyżowym ogniem badawczych, pięknych i rozumnych spojrzeń nie tylko się nie miesza, ale nawet, założywszy stosowne szkła, sam poczyną oglądać zebranych w sposób niemile drażniący, i ponieważ pod wpływem tych filozoficznych oględzin miejscowa kawaleria skupiła się jak stado owiec, a miejscowe panny dostały dreszczów, gospodarz postanowił zatem rozpocząć dyskurs. Jakoż, odchrząknawszy z wielką powagą, zwrócił się do doktora filozofii, oparł rękę na kolanie, otworzył usta i..- umilkł, jakby mu kto w tej chwili organ wydawania głosu zaszpurował.

Dostrzegłszy zakłopotanie gospodarza pan Eneas Pirożkiewicz, człowiek niepospolitego oratorskiego talentu, z łysą głową i bardzo wypukłymi oczyma, chcąc podratować sprawę, wystąpił na środek, wyciągnął rękę w kierunku nosa doktora filozofii itd., chrząknął z trudem do Wypowiedzenia majestatem i... znowu umilkł.

Na widok tak wymownych manifestacji doktor filozofii itd. przetarł swoje szkła, poprawił kołnierzyk, obciągnął kamizelkę i... także milczał.

Wówczas spotniała gospodyni domu, chwytając się ostatniej deski ocalenia, trąciła łokciem panią Salomeę Kopyścińską, niewiastę znaną z cnót, rozumu i wielkiej przytomności umysłu, która utrzymywała głośno, że bez znużenia i przerwy mówić może dwadzieścia cztery go- d?n z rzędu. Na nieszczęście jednak, pani Salomea zdawała się nie domyślać, o co chodzi, i siedziała tak cicho, jakby w tej uroczystej chwili jakiś złośliwy geniusz zwykle wymowną jej naturę przewrócił na lewą Stronę.

— Droga pani Kopyścińska — szeptała omdlewająca gospodyni domu — zacznij co mówić, jeżeli mi dobrze życzysz! Pani tłumaczysz się tak płynnie...

— Na Boga! zwolnijcie mnie od tego, bo dostanę spazmów — odparła napastowana ofiara.

Od tej chwili poczęto się nawzajem do energicznego wystąpienia zachęcać. Pan Pasternakowski mrugnął na pana Pirożkiewicza, pan Pirożkiewicz uszczypnął pana Dryndulskiego, pan Dryndulski udeptał pana sędziego Dmuchalskiego, skutkiem czego pan Dmuchalski krzyknął, połowa towarzystwa roześmiała się, doktor filozofii itd. przetaił znowu szkła i znowu obciągnął kamizelkę, lekarz Kocio uścisnął za rączkę pewną młodą mocno zarumienioną panienkę i rozmowa zaczęła się na dobre tak dalece, że ci, którzy, dotąd najzawzięciej milczeli, odtąd rozgadali się w sposób niepohamowany.

Po szczęśliwym przełamaniu pierwszych dyplomatycznych lodów — jak mówił znakomity Pirożkiewicz — ■ szanowny i powszechnie ceniony sędzia Dmuchalski, Spytawszy K. Dryndulskiego: w jakim uniwersytecie doktor filozofii itd. otrzymał dyplom? i dowiedziawszy się od wesołego lekarza Kocia o jeograficznych szczegółach dotyczących miasteczka Heidelberga, przysunął swoje krzesło do krzesła doktora filozofii itd. i zwracając się do tego ostatniego,, rzekł:

— Hum! pandobrodzieju, tego, jeżeli wolno, oo też pandobrodziejowd, tego, najlepiej podobało się w Heidelbergu, jeżeli wolno?...

Stary zamek, okolica i wino reńskie— odparł doktor filozofii.

Sędzia Dmuchalski, jak to powiadają, szeroko otworzył gębę, nie tracąc jednak fantazji dodał:

— Tfu!... A tego, pandobrodzieju, jeżeli wolno, z innych rzeczy oo też panu doktorowi... tego, pandobrodzieju?...

—Z innych?... nic! Niemki brzydkie, jedzenie liche...

Dalszy ciąg sądowej indagacji przerwała piękna Zosia — zwracając się do bohatera chwili z pytaniem:

—Pan doktor podobno bardzo pięknie deklamuje... Czy nie moglibyśmy prosić?...

Mówiąc to biedaczka wyglądała tak, jakby ją kłuły z przodu spojrzenia doktora filozofii, z tyłu spojrzenia mamy, z boku spojrzenia sędziego Dmuchalskiego i jakby wreszcie, skutkiem tak fałszywej pozycji, rada była rzucić się na szyję tyle razy wymienionemu doktorowi i razem z nim lub bez niego wpaść aż pod ziemię...

Wbrew przewidywaniom ogółu filozof o grubym karku uprzejmnie skłonił się na pół umarłej panience i spytał:

— W jakim guście życzy sobie pani usłyszeć deklamacją?...

— Spytam się mamy!... — odparła przerażona panienka. Następnie zaś, po zasięgnięciu, gdzie należało, odpowiednich informacji, wyjaśniła, że ona, jej mama i całe wreszcie towarzystwo życzy sobie usłyszeć coś w guście poetyczno-filozoficznym, z odcieniem postępowo-emancypacyjnym, a nawet zupełnie ateuszowskim, na przypadek jeżeli pan doktor ten tylko rodzaj filozofii uprawia. Po tym oświadczeniu członek wielu towarzystw i autor wielu dzieł poprawił szkła na nosie i zaczął:

ME DYTACJA

Niechaj filozof ustąpi poecie! Atom materii, krążąc po wszechświecie, Tworzy ruch, płodzi życie, Na każdym kroku rozlane obficie. Natura bytem bezświadomym będąc, Jak pajak siatkę różnobarwną przędąc

I nic o tym nie wleając. Co człek odkrywa śledząc, Na tym tle rosna
marzenia, Na tym tle kwitna natchnienia, Na tym tle przyjaźń,
kochanie, Witanie i wiekuiste rozstanie. Muszla, co na stole martwa
drzemie, -Pielęgnowała niegdyś ślimaka; Dziś zmarły ślimak gryzie
ziemię... Gryzie ją całe ludzkie plemię— Wszystkich nas doła
jednaka!... Mocarzu! który myśląc, żeś jest duży. Szczęśliwych rodzin
spokojność rujnujesz, Motylu! który sobie przeskakujesz Na różę z
róży...

Dziewico! która na ramię kochanka
Chylisz głowę rozmarzoną.
Młodzieńcze!... który wzdychając do wianka,
Ciśniesz do piersi narzeczoną...
Wy. centofolie! słowiki!
Zielone gaje! szemrzące strumyki!
Wszystkich was zwali śmierci cios,
Bo tak chce los!
Apsik!...

Nie wiadomo, czy ten ostatni frazes leżał w intencji autora
poetyczno-filozoficznych wierszy, czy stanowił przejście do części
drugiej, czy też bardzo zręczne zakończenie, dość, że w tym właśnie
miejscu grzmot oklasków zagłuszył zarówno deklamatora, jak i ła-
godne, stłumione dźwięki pianina. Dodać bowiem winniśmy, że od
drugiej strofy począwszy jedna z dam, posiadających wysoki
improvizatorski talent muzyczny, siadła do wymienionego
instrumentu i bardzo szczęśliwie akompaniowała deklamacji.

Patrząc na rzeczy z filantropijnego stanowiska cieszymy się
niewymownie, że ta przepyszna girlanda poezji i muzyki przerwała
się dość szybko: rozczuleni* bowiem obecnych doszło wówczas
właśnie do zenitu

i mogło spowodować najbardziej opłakane następstwa. I Pommaszy już bowiem, że stara dama (o której wspominaliśmy) z nie odpowiadającym jej wiekowi pośpiechem już na początku trzeciej strofy opuściła salon, pominawszy i to, że kilka innych niemniej podeszłych dam rzewne łzy roniło, trudno przecież me zauważyć, że poetyczny K. Dryndulski dostał apoplektycznego ataku, że jednej z panienek krew puściła się nosem, że pokojowy piesek Miluś tak był przeraźliwie, aż musiano go na podwórze wypędzić, a poważny sędzia Dmuchalski zapadł w pewien rodzaj letargu, z którego silnie uderzenie w bok ledwie go orzeźwiło nieco. Po upływie jednak kilku minut chorobliwe symptomata uwielbienia szczęśliwie przeszły i zaproszono gości na kolację, przy której, ku wielkiemu ukontentowaniu obecnych, między dwoma największymi półmiskami znalazła się i stara wrażliwa dama, jakby dla wynagrodzenia sobie straty poniesionej w przyjemnościach duchowych.

Z liczby kilkunastu najpiękniejszych a od dawna do filozofii popęd czujących dziewic wykwintna Zosia usiadła przy prawym boku doktora i członka, tkliwa Mania przy lewym, a smętna Klocia od frontu, po drugiej stronie stołu. Ponieważ inne dziewice niemniejsze czuły prawo do zdobywania skarbów wiedzy i ponie-: -waż okazało się, że doktor filozofii i członek wielu towarzystw posiada jeden tylko front i dwa boki, pozostałe więc wielbicielki gruntownej nauki zajęły miejsce za krzesłem znakomitego gościa w charakterze gospodyń. Rola ta okazała się nader wdzięczną, dawała bowiem tysiące sposobności do zawadzania o ramię, ' łokieć i kołnierzyk, a nawet brodę doktora, który widocznie olśniony taką masą uprzejmości i wdzięków, nie śmiejąc podnieść oczu na swoje piękne towarzyszkę, udawał zatopionego w kontemplowaniu wnętrza półmi

sków i pracowitym wzbogaceniu ich treścią swojej filozoficznej zawartości. Zważywszy, że na zebraniu tak uroczystym nie godziło się poniżyć godności natury ludzkiej nadmiarem rozgrzewaj ącyph trunków, gospodarz z własnego natchnienia wykluczył z programu kolacji wódkę, piwo i arak, kazał, podawać lekką herbatę i dopiero w końcu bankietu własną ręką postawił na stole butelkę oryginalnego czterozłotowego węgryzyna, w którym było nader niewiele pierwiastków denerwujących, a znacznie więcej gumy i cukru, symbolów solidarności między nauką i życiem tudzież słodyczy. z wyższego ukształcenia płynącej. Światły gospodarz przy rozlewaniu mistycznego nektaru podzielił gości na dwie kategorie, z których pierwsza otrzymała po pół kieliszka płynu z butelki, druga zaś po całym kieliszku ekstraktu z karafki. Gdy te niezbędne przygotowania zostały ukończone, gdy obecni, na wniosek sędziego Dmuchalskiego, powstawszy zwrócili się obliczami ku miejscu zajętemu przez doktora filozofii i jego nadobne towarzyszki i gdy wreszcie stara, zbyt drażliwa dama z wielkim hałasem opuściła swoje krzeselko, wówczas "wśród dreszczem przejmującej ciszy wystąpił na środek z kieliszkiem i serwetą w ręku utalentowany K Dryndulski i wzruszonym głosem wzniósł następujący

TOAST

Filozofii a to nie marne słowo... Choćbyś tłukł o ścianę głową. Gryzł żelazo i kamienie, Gdy nie dopisze natchnienie, Nie zostaniesz filozofem, Na akademicką nie wejdiesz sofę. Panowie! tu w naszym gronie Filozoficzny świecznik płonie! Zróbmy więc mu i sobie cześć, Chciejmy jego zdrowie wznieść!... .

(Wiwat!... — krzyczą obecni bez różnicy płci i wieku; . doktor kłania się, a sam sobą zachwycony Dryndulcio ciągnie dalej.)

Ty, doktorze znakomity. Rwij jak dotąd na wiedzy szczyty, A gdy ci laury uwieńczą skroń, Znajdziesz między nami dłoń. Co ci pot z czoła obetrze. Na drodze pracy podeprze Kwiciem tycie ozdobi.

Potomstwem...

Tu uciał rozentuzjasmowany wieszcz; okazało się bowiem. że większa część panien ma ochotę stracić przytomność. wstrzymując się jedynie przez wzgląd na zupełny brak odpowiednich i wystarczających środków ratunku. Dzięki pohamowaniu we właściwym czasie poetycznych zapędów wymownego Kajcia udało się wzruszonym mamom uspokoić rozczulone córki i w kilka minut wrócić za innymi do salonu.

Zobopólna rozrywka trwała już niedługo i ograniczyła się na niewinnych grach towarzyskich. Przy sposobności obecni z niewymownym zdziwieniem dostrzec gli. że doktor filozofii i autor wielu dzieł gra na fortepianie ^wprawdzie jednym tylko palcem) śpiewa i tańczy za fant jak każdy prosty śmiertelnik, zabawę zaś w kotka i myszkę egzekwuje w sposób wielce ożywiony. który wprawdzie bardzo zachwyca panienki !ecz także wysoce niepokoi ich mamy. Wreszcie, ponieważ północ już za oasem, gospodyni ziewa, a kawaleria poczyną się niepokoić o to. że restauracje mogą być pozamykane. poważny więc ^cd.Hą Dmuchalski daje hasło do rozejścia się ku wielkiemu zmartwieniu kilku bardziej dystygowanych panien które głośno utrzymują, że dla nich po północy dopięro zaczyna się prawdziwa zabawa.

Już w ostatniej chwili znany z oratorskiego talentu pan Eneasza Pirożkiewicz, zwróciwszy się do doktora filozofii i członka wielu towarzystw, rzekł:

— Panie I racz pozwolić, abym dostał zaszczytu uściśnięcia prawicy męża, który swoim znakomitym traktatem 'o bezświadości posunął naprzód naukę, człowieczeństwu wskazał nowe tory i na miasto nasze zwrócił uwagę całej oświeconej Europy.

— Panie! — odparł skromny filozof — śmiem pochlebiać sobie, że gdybym ciebie i szanownych zebranych tu znał wcześniej, wówczas poglądy moje na bez-ś wiadomość byłyby nierównie zupełniejsze.

Po tych słowach szmer uwielbienia przebiegł całe towarzystwo; wszyscy oddali hołd zarówno świetnej wymowie pana Eneasza Pirożkiewicza, jak i beztronności znakomitego uczonego, którego nie oślepiły zasługi własne i który umie każdemu przyznać odpowiednią miarę uznania.

Jak widzimy, zadowolenie było obustronne i zupełne.

Jeżeli potężny umysł Diogenesa Fajtaszki potrafił zdobyć się na własny system filozoficzny, to niemniej wzniosła inteligencja szlachetnej Hildegardy umiała wyrobić sobie samodzielne, przez nikogo nie narzucone poglądy na wiele zawiłych życiowych kwestyj.

Jeden z takich' poglądów, ujęty w formę maksymy, brzmiał w sposób następujący: „Człowiek w ogóle, a kobieta w szczególności winna pomagać nie tylko sobie, ale nawet naturze.” Maksyma ta, zastosowana w praktyce, wydała jak najświetniejsze rezultaty, z których najmniejszym był ten, że Hildegarda wyglądała zawsze świeżo i okrągło.

Dnia, w którym Dryndulcio zerwał z Fajtusiem,

w którym zawiadomił Hildegardę o przybyciu „pewnej | liczby filozofów” do hotelu „Pod Bykiem” dnia tego wreszcie, w którym doktor filozofii i członek wielu towarzystw raczył zaszczyścić dom państwa Pasternakow- slich własną swoją osobą, maksyma „pomagania naturze” na niesłychaną dotąd stopę praktykowała się w buduarze szlachetnej przyjaciółki szczupłego Diogenesa. Ile tam waty, bielidła i czarnidła wyszło w dniu owym, ile zarobili fryzjerzy i perfumiarze, nie” do nas należy sądzić; dość, że piękna Hildegarda, jakby pod czarodziejskim dotknięciem, pozyskała masę nowych, wdzięków do podbijania serc. a przemysł i handel krajowy masę nowych pobudek do pomyślnego rozwoju nadal.

Około godziny piątej wieczorem, to jest wówczas gdy interesująca Hildegarda była jeszcze w pudermantlu, do wykwintnego buduaru wszedł (z zachowaniem wszelkich prawideł etykiety) genialny Fajtuś z miną wielce zafrasowaną.

— No i cóż? — spytała dama przyklepiając muszkę na brodzie.

—Niestety! Hilciu — westchnął przybyły — oni dziś z Kociem i panem Dryndulskim mają być na wieczorze u Pasternakowskich...

—U Pasternakowskich?... dziś, kiedy ja wieczór wydaję?... Trzeba być niedołągą, żeby ich nie uprzedzić!... :

—Słowo honoru, Hilciu...

—Eh! co mi tam po pańskim słowie!... Ja chcę czynów, czynów, panie Fajtaszko, nie słów, rozumiesz?

Twórca własnego filozoficznego systemu utkwiał posepne wejrzenie w nader szczupłych kolanach swoich, jakby pragnął je wezwać na świadectwo zarówno dobrych chęci, jak i niemożności spełnienia żądań pięknej, lecz wymagającej damy, która tymczasem mówiła dalej z niepospolitą energią w głosie:

—Zresztą i cóż mnie wieczór u Pasternakowskich obchodzi?...
Uważaj, panie Fajtaszko: dziś, o ósmej najpóźniej, muszę mieć przynajmniej jednego z tych filozofów u siebie, ponieważ zaprosiłam już gości i powiedziałam, kogo u mnie zastaną. Czy pan Fajtaszko zrozumiał?....,-

Pani chcesz mnie życia pozbawić, okrutna Hilde- gardol

—No! no!... znam dobrze te wymówki niedołęstwa.

O ósmej czekam choć jednego z Klinowiczów, a teraz da widzenia, panie Fajtaszko!

Pan Diogenes wstał, rzucił na piękną okrutnicę spojrzenie takie, jakby już ostatni raz widział ją na naszej planecie, i wyszedł napełniając buduar, salon i przedpokój ciężkimi westchnieniami. Znajomi widzieli go, jak od wpół do szóstej krążył około hotelu „Pod Bykiem”, następnie po jego podwórzu, a następnie przy drzwiach nr 5. Co zaś z tych krążeń wynikło, zobaczymy.

Od zachodu słońca piękna Hildegarda w nader kwaśnym znajdowała się humorze; zamiast bowiem spodziewanego mnóstwa gości i „pewnej liczby przybyłych z Warszawy doktorów filozofii” obszerny i gustowny salon jej ozdabiały tylko dwie osoby.

Pierwszą była dama w szanownym wieku, nieustannie oblewająca swoją chustkę, mantylkę i stanik wodą kolońską pochodzącą z toalety szlacheckiej Hildegardy, która to czynność nie przeszkadzała jej lękać się, aby Azorka, z powodu podeszłych lat i przykrej woni zostawionego w domu, nie pokąsał pies wściekły, tudzież opowiadała o tym, jak śp. Ludwik Osiński wsadził ją raz do powozu jeszcze za jej panięskich czasów.

Drugą osobą, najpoważniejszą w tym zebraniu, był niejaki pan Edgard, mały, szczupły blondynek, najznakomitsza powiatowa zdolność krytyczna. Inteligentny ten młodzieniec, którego żółta bródka przypominała leniwy pierożek, miał zwyczaj podawać znajomym swoim tylko dwa palce, używać przy każdej sposobności wyrazu „błaga” i kiwać od czasu do czasu głową tak, jakby się przed muchami opędzał. Niezależnie od tego umiał an z trudnym do naśladowania wdziękiem palić, . a nade wszystko wkładać do ust i wyjmować (za pomocą dwu powyżej opisanych palców) czterogroszowe - cygara; umiał także, wprawdzie surowo, lecz bezstronnie krytykować wszystko i wszystkich, a nade wszystko wierzyć w siebie. W chwilach wolnych od zajęć, pałac cygaro i kiwając głową, chętnie rozmyślał, jak też prędko jego pomarańczowa bródka i wąsiki wraz z cy- namonowym paletotem i nienajgrubszymi nożętami zostaną odlane z wosku i pod imieniem Edgarda I we- . spół z odbitką jego niezrównanych prac krytycznych : ustawione w galerii największych geniuszów świata... Kiedy!, i'któż to zgadnie?... Szczyściem, utalentowany młodzieniec umiał być cierpliwym: oczekując na miej- 'sce w galerii figur woskowych, nie porzucał miejsca w kancelarii pana burmistrza ani też dla tytułu Eduarda I nie wyrzekał się pieszczotliwej nazwy „głupiego Edzia”, jaką mu tkliwa przyjaźń nadała.

— Któż to taki ma być u ciebie, kochana Praksiu? — spytała już po raz dziesiąty dama v/ pewnym wieku ponętnej Hildegardy.

— Przecież mówiłam pani — odparła cierpko gospo- . dyni — że ma być ten sławny Klinowicz, doktor filozofii... z Warszawy...

— Błaga! — mruknął Edzio zakreślając w powietrzu |bardzo piękny łuk cygarem.

Sławny doktor?... z Warszawy?... to pewno Cha-

lubiński!... Nie wiem, czy mogę się pokazać w mojej sukni takiemu gościowi?

— Co pani pleciesz?... Ja przecież mówiłam wyraźnie: Klinowicz, nie Chałubiński.

—Ale widzisz... zawsze to bardzo sławny doktor.

Hildegarda ironicznie skrzywiła usta i rzekła:

— Pan Klinowicz nie jest doktorem zwyczajnym, ale doktorem filozofii...

r— To on nie zapisuje, recept?... Mój Boże! a tak chciałam prosić, żeby mi co pomógł, bo już od roku niedowidzę i chodzić nie^v mogę. Jaka szkoda, że Chałubiński nie zapisuje recept!

— W imię Ojca i Syna... —■ przeżegnała się Hildegarda. — Przecież mówię pani, że to nie Chałubiński, ■tylko doktor filozofii Klinowicz...

—Aha! więc on zapisuje recepty?

Hildegarda wzruszyła ramionami, a uszczypliwy Edzio wtrącił:

— Doktor filozofii zapisuje recepty, ale tylko przeciw głupocie...

Ten świetny dowcip dziwnie wpłynął na staruszkę, która pokręciwszy głową i spojrzawszy bystro w oczy znakomitemu krytykowi odparła:

— Przeciw głupocie Sfe powiadasz pan?... Jakież to szczęście dla pana, że się zejdziesz z takim doktorem!

Jednorazowy ten wysiłek w pracy intelektualnej tak zmęczył staruszkę, że bez względu na groźne mamrotanie Edzia. spałszy głowę na fotelu, twardo zasnęła.

Za chwilę potem rozdrażniona Hildegarda i najnie- słuszniej przez nietaktowną starą damę stropiony pan Edgard usłyszeli jakieś otwieranie, jakieś tupanie i wreszcie następującą rozmowę w przedpokoju:

— Niechże pan doktor będzie łaskaw powiesić futerko tutaj..< o tutaj... -7- mówił Diogenes.

—A czy nie ukradną? — spytał jakiś głos obcy.

— Pan doktor żartuje! tu wszyscy swoi...

— Aha!... No, w każdym razie łatwiej będzie znaleźć... Zaledwie poważna dama, dzięki połączonym, usiłowanym Hildegardy i Edzia, została rozbudzona, drzwi od przedpokoju otworzyły się i ujrzano w nich jakiegoś nieznajomego młodzieńca w towarzystwie pana Diogenesa Fajtaszko, który wystąpiwszy na środek rzekł:

" — Pan Klinowicz, doktor filozofii, członek wielu towarzystw zagranicznych, autor wielu dzieł...'

Obecni powstawszy skłonili się, gość także; po czym' zajęto miejsca dokoła stołu.

— Szanowny brat pana doktora bawi obecnie na wieczorze? — spytała przybyłego gospodyni domu.

Doktor filozofii oparł rękę na stole, głowę na rękę i milczał, widocznie pograżony w głębokich filozoficznych spekulacjach. Staruszka wpatrywała się w niego jak w tęczę.

— Słyszeliśmy, że brat szanownego pana doktora spędza dziś mile wieczór w domu państwa Pasternakowskich?... — spytał tym razem Edzio sądząc, że jego' interwencja wywoła natychmiastową odpowiedź.

Doktor filozofii nagle podniósł głowę, włożył w usta wielki palec i oparłszy na nim zęby milczał.

— Geniusz ludzkości! — szepnęła Hildegarda z rozkoszą, patrząc w półprzymknięte oczy gościa.

— Uniwersalny umysł! — odpowiedział również szeptem Diogenes.

— Błaga! — mruknął Edzio.

Starą damę zniecierpliwilo milczenie przybyłego — zebrawszy więc cały zasób odwagi, spytała:

— Pan konsyliarz dobrodziej...

— Co?... — przerwał gość, rzucając nagle głowę w tył jak lew przebudzony.

— Nic! nic!.. — zawołała przerażona staruszka podnosząc do nosa chustkę zmaczaną w kolońskiej wodzie.

Doktor filozofii znowu oparł czoło na dłoni i milczał.

— Przepyszny! — szepnęła Hildegarda. — Panie Fajtaszko... wdzięczność do śmierci...

— Na pierwszy rzut oka poznałem niepospolity umysł — odparł Diogenes czule ściskając paluszek nadobnej swojej przyjaciółki. W tej chwili zamyślony doktor filozofa podniósł znowu głowę i patrząc w sufit rzekł z pośpiechem:

— Tu... musi być dużo złodziei...

Obecni spojrzeli po sobie, a Diogenes spytał:

— Pan, doktor pyta o ogólny stan moralności naszej okolicy, czy też...

— Jeżeli o moralność chodzi — przerwał Edzio — w takim razie ja mogę służyć informacjami. W roku bieżącym mieliśmy w mieście trzydzieści kradzieży, dwa podpalenia, pięć usiłowań gwałtu, z których trzy tylko były uwieńczone...

— Panie Edgardzie! — szepnęła z wymówką cnotliwa Hildegarda.

— Proszę państwa do kolacji — rzekła nagle służąca, kładąc tym sposobem kres dalszemu ciągowi danych statystycznych ku wielkiemu niezadowoleniu Edzia.

W końcu kolacji, która ciągnęła się parę godzin, p- nieważ zarówno stara dama, jak szczupły Edzio i niemniej szczupły Fajtuś okazywali dużo uwielbienia dla kuchni pięknej Hildegardy, a przy której to kolacji uroczą gospodyni domu własną rączką nakładała podwójne porcje swemu znakomitemu gościowi, milczący dotąd doktor filozofii począł się niespokojnie kręcić i wzdychać...

- Pan doktor potrzebuje czegoś? — spytała Hildegarda,

— Spokojności! — odparł pogrążony w myślach filozof.

— Spokojności i papieru? — Rozumiem!... Panie Fajtaszko, bądź łaskaw zapalić świecę... Pan doktor chce pisać... Sądzę, że mój buduar będzie najwłaściwszy, tam bowiem znajdzie pan wszystkie rzeczy potrzebne.

Doktor filozofii kiwnął głową i za chwilę wprowadzony został do buduaru przez samą gospodynię, która z całą elegancją wypełniwszy to zadanie rozpromieniona wróciła do salonu, mówiąc:

—Panie Fajtaszko, przyjacielu mój, składam ci stokrotne dzięki!... Ten znakomity człowiek niezawodnie coś szczytnego spłodzi w moim domu...

—Najniezawodniej! — odparł równie zachwycony Diogenes.

— Jeżeli nie blaguje — dodał Edzio.

— Jaki on roztargniony! — dziwiła się stara dama.

— Jak zwykle geniusz! — rzekła Hildegarda.

— W chwili poczęcia wielkiej myśli — uzupełnił Dyncio.

—Doprawdy, panie Diogenesie — rzekła tkliwie Hildegarda —i dopiero porównywając pana z nim przekonałam się, jak dalece wszyscy ludzie znakomici są do siebie podobni i jak chlubić się powinnam mając przyjaciela w panu!...

—Pani! — odparł Fajtuś — szczyć się twoją przyjaźnią, a porównanie, które słyszałem, dumą mi serce, przepęlnia...

Aczkolwiek — dodał wzdychając — wiem, że nie godzien nawet rozwiązać rzemyka U sabotów nowego naszego przyjaciela.

—Ciekawam jednak, co on tam robi?... — spytała nagle stara dama nie rozumiejąca widocznie, ile słodczy mieści się w tych zobopólnych wywnętrzeniach dusz tkliwych i szlachetnych.

Piękna Hildegarda, figlarnie pogroziwszy obecnym, lekko jak niebiańskie widziadło podskoczyła ku drzwiom buduaru i spojrzała przez dziurkę od klucza.

— Ciemno!... — rzekła z najwyższym zdumieniem.

Obok niej stanął Diogenes i uchylił drzwi.

— Ciemno!... — powtórzył.

Usłyszawszy to sarkastyczny Edzio wziął lampą do ręki, a za chwilę całe towarzystwo znalazło się w buduarze pięknej kobiety.

Przy biurku nie było nikogo; we framudze okna także nie było nikogo; za to jednak, osłonięty kotarą przed okiem profanów, chrapał ktoś na łóżku uroczej dziewczycy.

— Tego już chyba za wiele! — szepnęła Hilcia.

— Co za ekscentryczność! — dziwił się Dyncio.

— Błaga! — mruknął Edzio.

W tej chwili kotara poruszyła się gwałtownie, a obecni usłyszeli poza nią jakiś stłumiony głos. mrużący:

— Widocznie złodzieje... trzeba się mieć na bacz* ności!...

— Lunatyk albo blagier — szeptał Edzio.

— Wyjdźmy stąd — rzekła Hildegarda.

— Gdy się obudzi, najniezawodniej przeprosi nas — upewniał Fajtuś cofając się ostrożnie.

Kotara poruszyła się jeszcze gwałtowniej, obecni cofnęli się jeszcze prędzej, a głos gniewnie zawołał:

— Złodzieje! zbrodniarze!... gdzie mój rewolwer?.. Przysięgam, że co najmniej sześciu trupem położę?...

Jednocześnie usłyszano w buduarze łoskot... Edzio postawił lampę na stole i nagle znikł w jego okolicach.

Diogenes rzucił się do układania nut na fortepianie i przepadł gdzieś; piękna Hildegarda i podeszła dama chciały usiąść na kanapie, lecz także znikły. W ciągu jednej sekundy zdawało się, że w salonie nie ma żywej istoty oprócz doktora filozofii, który z pałającymi oczyma i zaciśniętymi pięściami chodził. szybko pośrodku i mrużąc:

m

—Gdzie ten Czesław?... Zostawił rzeczy bez dozoru i wszystko diabli wzięli. Ha!...

Nagle drzwi do przedpokoju otworzyły się i wszedł lekarz Kocio z nieodstępnym K. Dryndulskim (po lewej stronie).

—Co ty tu robisz? — zawołał Kocio do rozdrażnionego filozofa.

—Nic... Trochę spałem, ale złodzieje obudzili mnie... Łby porozbijam!... Dlaczego Czesław spać nie przychodzi?... Dlaczego się po nocach wałęsa?...

—No, no! — odparł lekarz. — Czesław cię prosi, żebyś ty przyszedł do niego; pan Dryndulski odpro- ; wadzi cię.

—Lubię te nocne spacery -^mruknał doktor filozofii i znacznie już uspokojony opuścił salon... na za- , wszedł.

- Kto go tu sprowadził, panie Diogenesie? — spytał * Kocio spoglądając pod fortepian.

— Ja, kochany panie, na żądanie pani Hildegardy... — odparł drżący Diogenes wynurzając się nagle , z cieniów fortepianu i tkliwie ściskając rękę lekarza. —^ś! Milcz! na Boga — dodał ciszej.

— Szczególny doktor filozofii! — zawołał energicznie Edzio ukazując się obok stołu, który go dotąd bardzo dokładnie zasłaniał.

Panie Edmundzie!... panie Diogenesie, podajcie ^ nam ręce!... — zawołała kanapa na dwa niewieście głosy, a za chwilę potem w salonie zjawiła się jakby spod • ziemi piękna Hildegarda w towarzystwie mocno prze- 1 rażonej staruszki.

— Ach! doktorze! — mówiła ponętna pani gospodyni. — Wyobraź sobie... mężczyzna na moim łóżku!... Och!... On jest widocznie chwilami nieprzytomny?

— To z nadmiaru pracy umysłowej... — objaśnił Diogenes znowu ściskając lekarza za rękę.

— Ale czy miewa chwile przytomne? — spytała znowu Hildegarda.

— O, nader często! — odparł znowu Fajtuś, jeszcze czulej ściskając Kocia.

— Jakież ekscentryczny, ach, Boże!...

— Nie zapominaj pani — mówił rozgorączkowany. Diogenes — że każdy wielki człowiek ma podobne chwile nie... niejasności. Newton, sam Newton wyczyścił raz fajkę paluszką pięknej osiemnastoletniej panienki...

k. Czyż podobna?...

— Najniezawodniej!... A.,, a... ktoś inny na proszonym obiedzie palcami brał szpinak z półmiska...,

— Okropność!... Ciekawam, kiedy pisze swoje znakomite dzieła filozoficzne: czy wtedy, kiedy jest przytomny, czy też...

— Rozmaicie, to zależy od treści — odpowiedział lekarz.

Po tym ostatnim wyjaśnieniu Kocio pożegnał towarzystwo i wyszedł. Usłużny Diogenes nie mógł powstrzymać się od odprowadzenia go ze świecą aż do bramy.

— Ciekawy jestem — rzekł lekarz w trakcie wędrówki — po jakiego diabła wyprowadziłeś pan z hotelu człowieka obłąkanego?... Czesław zły, myśmy się zlatali, wy powłaziliście pod kanapy i fortepiany...

— Ach! doktorze — odparł Diogenes — gdybyś choć wiedział, ile mnie ta baba namęczyła! Plotkarz Dryndulski szepnął jej, że przyjechało kilku Klinowiczów, doktorów filozofii, którzy chcą ją poznać, i wyobraź Sobie, że ta stara czarownica cały dzień mi głowę suszyła, abym jej przynajmniej jednego sprowadził. Ha! myślę, trudno!... Chcesz Klinowicza, to ci go dam, a me moja w tym wina, jeżeli będzie miał trochę więcej wody w głowie niż inni ludzie.

—Cóż. kiedyż wesele? — spytał lekarz stojąc już' I w bramie.

—Dziś powiedziała mi, że jeżeli jej na wieczór sprowadzę Klinowicza. to za miesiąc... Ale... ale! Zmiłuj I się, doktorze, wpływ na Dryndulskiego, ażeby się nie I wygadał!...

—Bądź pan spokojny! — odparł lekarz i znikł na ulicy.

W kilka dni potem Kocio wróciwszy wieczorem do siebie zastał dwa listy, w których było, co następuje:

„Szanowny Doktorze, najlepszy nasz przyjacielu!

We czwartek o godzinie 8 wieczór w mieszkaniu panny Hildegardy.. odbędzie się obrzęd zaręczyn moich z tą niezrównaną kobietą. Ani na chwilę nie wątpimy, że zechcesz, drogi przyjacielu, zaszczycić jako świadek swoją obecnością ten uroczysty akt, na którym oprócz Ciebie, kochanego Dryndulsia i paru innych życziwych nam osób nikogo więcej nie będzie.

Twój do śmierci

D. Fajtaszko"

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Po wprowadzeniu w nasz Dom mniemanego Filozofii Doktora, tj. po niewłaściwym z Jego, jak również z W-go K. Dryndulskiego strony żarcie, dalsza bytność Takowych w Domu naszym zdaje się być nie na miejscu.

Z głębokim uszanowaniem Pasternakowski

Odczytawszy to Kocio spojrział na zegarek i szybko wybiegł do miasta, gdzie w pewnym znajomym sobie handelku win i korzeni miał nadzieję spotkać pana Pasternakowskiego, dla którego ani na chwilę nie przestał pielęgnować w sercu swym głębokiego szacunku. Przeczucia nie omyliły go: we wskazanym bowiem miejscu istotnie zastał obrażonego przyjaciela, który nad jakąś zapleśniałą butelczyną głęboko rozmyśliwał widocznie o marnościach świata.

— Panie Pasternakowski — zaczął lekarz — dziwię się—

— Aaa... kochany Kocio!... — przerwał interpelowany. — Chcesz mówić o liście?... Głupstwo! zapomnij o nim, choć co prawda spłataliście mi figla. Całe miasto śmieje się ze mnie!

— Ależ, panie...

— Posłuchaj... nie przerywaj! Powiem tylko dwa słowa. Obiecałeś przyprowadzić nam uczonego i autora, a nade wszystko filozofa całą gębą, a przyprowadziłeś nam coś... ni to, ni owo. Zapytano go o Heidelberg, a on mówił o winie i Niemkach; jadł sobie (czego mu bynajmniej nie wymawiam) jak parobek, tańczył jak student, deklamował... i tak dalej, i tak dalej... Co mi to za filozof? Ten, który był u panny Hildegardy, o to mi dopiero człek! Milczący, zamyślony, statysta... Rozmawiał tylko o oświacie i moralności, potem zażądał papieru, atramentu, piór, osobnego pokoju i coś tam podobno bardzo znakomitego napisał—

— Ależ, panie! ten, który był u panny Hildegardy. popełnił kilka rzeczy bardzo ekscentrycznych!

— O to właśnie! w to mi graj! My wszyscy czekaliśmy, żeby ten twój filozof zrobił także coś ekscentrycznego, ale gdzie tam... on nawet nie wie, jak wygląda ekscentryczność!... Jeżeli ci zaś mam teraz prawdę powiedzieć, to się moje panie całkiem, ale te całkiem

do filozofii zniechęciły. No, ale co tam! napij się lam- peczkę, jeżeli mnie kochasz, a na drugi raz nie rób z nami jak Wilkóński z tym trębaczem, co to udawał Lucjana Bonapartego... Pamiętasz?

— Ależ, panie, daję słowo uczciwego człowieka, że Czesław Klinowicz jest najrzeczywistszym doktorem filozofii i autorem wielu dzieł...

— Wierzę, domyślałem się tego na pierwszy rzut oka, ale co chcesz z kobietami? Dla nich człowiek bez powierzchowności, bez tego, co nazywają paszportem, nie znaczy nic. To tylko dla na,« głębiej patrzących na rzeczy, sam tytuł wystarcza!...

LOKATOR PODDASZA

Czczony Reb Lajzer Skowronek poprawił aksamitną krymkę na siwiejącej już głowie, wytrząsnął na ziemię i schował w tylną kieszeń prunelo- wego chałata swoją porcelanową fajkę i stojąc na środku brudnej sieni głęboko rozmyślał nad tym, za którą też wyjrzeć ma bramę...

Jeżeli wyjrzy za zieloną, na ulicę, może zobaczyć tam rzeźnika pędzącego woły, starą babę z konewką, chlebem lub butelką w ręku, a w każdym razie brunatny drewniany dom, którego parter zajmuje blacharz i waci a rz, a facjatkę... Pan Lajzer skrzywił się, odwrócił i postąpił parę kroków ku bramie żółtej.

W tej stronie wszystko należy do niego. Ten stróż, pokornie stojący z czapką w ręku, i to kwadratowe podwórze z wielką szopą na środku, i te poduszki czerwone, pierzyny w niebieskie kratki suszące się na słońcu, i ta o dach szopy oparta drabina, gdzie na trzecim szczeblu od ziemi dokazuje cudów zręczności pejsaty Dawidek, najmędrzy ze Skowronków, jacy egzystowali na świecie, wszystko to należy do niego.

Czy tylko to?... A tenże za szopą dom drewniany mający osiem okien na górze i pięć na dole?... A tenże drugi na prawo, z trojgiem drzwi i dachem blaszanym?... A ten chodnik, po którym mały Josek ciągnie na sznurze przewrócony do góry nogami stołek?... A ta na lewo zbutwiała parterowa rudera, pod którą na stosie desek

gnijących igra troje trudnych i odartych dzieci, a go) bednarz z hałasem pobija wielką beczkę?... | Smutna ruderal Żadna deska w jej ścianach nie przystaje do drugiej, żadne drzwi nie domykają się, żadnego okna otworzyć nie można, żeby się nie rozleciało. Szerniały, mchem porosły dach tworzy tak zawikłaną powierzchnią wichrowatą, że najznakomitszy jeometra nie podjąłby się jej badać, a przykrywa takich biedaków... ach! takich biedaków, że miłosierny Eeb Lajzer już piąty miesiąc ociąga się z wymówieniem im komornego.

Żółtawe oko Skowronka zatrzymało się na ostatnim oknie facjatki, skąd przez wybite szyby od godziny już buchają kłęby pary. Tak wielka ilość pary zdradza wielki ogień, a zbyt wielki ogień...

— Ach!... ach!... — mruknął uczony Żyd — oni mi jeszcze domy spala... — i zwolna postąpił ku bednarzowi.

— Niech będzie pochwalony, Marcinie...

— Na wieki wieków! — odparł bednarz składając narzędzia i dotykając ręką czapki.

— Co u tego Jakuba taki ogień w izbie?

— To ona... gotuje wodę do prania

— Ny! ny! A jak tam z nim? Bednarz machnął ręką.

— Wun tak casem wygląda jak pijany — ciągnął Żyd.

- Gdzie zaś on tam pijany! Zwyczajnie, spadł z ruś- towania i z tych czasów zrobił się taki jakiś... że to... eee!... — objaśniał bednarz.

— Ny! nyl ja to zara pomiarkowałem. Wun raz u mnie drwa rąbał, ale nawet godziny nie porąbał i ustał. Ze jemu we śpitalu nic nie pomogli?...

- Co ta mieli pomóc, nawet mu nogi nie zgoili...

— Franek!... Franek!... chodź ino tul — odezwał się

głos z facjatki, a rozmawiający ujrzeni w wybitym okr nie owinięta w żółta chustkę głowę kobiety.

Najstarsze z obdartyh dzieci, które na widok gospo- ' darza skryły się między gnijącymi belkami, pobiegło na schody.

— To Jego dzieci? — spytał Lajzer.

— A jego! — odparł Marcin. — Troje na dole, a dwoje chorych w izbie.

— A wal — mruknął Żyd i pochyliwszy głowę począł przysłuchiwać się rozmowie na górze.

— Gdzie wczorajsze kartofle, co były w rynce... co?;* — pytał gniewnie głos kobiety.

— Albo ja wiem... matusiul — odpowiedział z pewnym wahaniem głos dziecinny.

— Łżesz, boś sam zjadł w nocy; Józia cię widziała... Ja ci dam!;..

— Jak Boga kocham, matusiu!... żeby mi ręce i nogi połamało!... żeby mnie cholera!... — pisał chłopak przy akompaniamencie uderzeń.

— A masz!... a masz!... — krzyczała kobieta. — To będziesz łgał, będziesz kradł... będziesz się przysięgał?... A masz!...

Każdemu wyrazowi towarzyszył trask mokrej ścierki. upadającej na różne części ciała chudego i brudnego chłopca, który zanosząc się od płaczu mówił:

— A co ja temu winien, że mi matusia jeść nie dają, co?... Abom to jadł kolacją?... abom jadł śniadanie... co?... | jeszcze mnie matusia biją za to... U! hu!... hu!...

Zrobił się strawny wrzask, w którym oprócz bijącej matki i bitego pacjenta przyjęło udział dwoje dzieci na górze i dwoje na dole.

Zniecierpliwiło to żyda, który po chwili namysłu wszedł do sieni, z sieni na brudne i ruchome schody i sapiąc ze zmęczenia stanął na progu Izby pełnej pary, zaduchu i woni mydlin,

—Jakubowa! pani Jakubowa!... co u was zawdy takie krzyki? — zaczął przybyły.

—Ooo... to pan gospodarz?... — zdziwiła się lichy ubrana kobieta, a potem płacząc dodała:

—A cóż ja pocznę nieszczęśliwa z tymi bachorami, kiedy nic się przed nimi nie uchowa i niczym ich nie nakarmi? Ten roboty nie ma, dzieci pięcioro, wszyscy wołają jeść, a ty choć sobie ręce do łokcia poździeraj. choć się sama rozedrzyj!...

—Ja wam co powiem, moja Jakubowa — przerwał oburzony Lajzer. — Że wy biedni, to jest prawda, ale że wy mi wiele nieporządku w domu zrobicie i nie płacie, to także prawda. Zawdy u was pranie, wylewanie, suszenie, ze świecą po strychu chodzenie, zawdy krzyk, a zapłaty nie ma, a pięć rubli winniście... Wy mi głowę rozkrzyczycie, wy mi domy spalicie, wy... wy się wyprowadzić musicie!... Już i was, i waszych pieniędzy widzieć nie chcę...

—A, panie gospodarzu! — zawołała kobieta — niechże pan tego nie robi, niech pan jeszcze będzie cierpliwy!...

—Co to cierpliwy?... ja już jestem pięć miesięcy cierpliwy!...

—Może się też Pan Bóg nad nami zlituje i staremu da jaką robotę, to się jeszcze wypłacimy...

- Robotę!... robotę!... — mruknął Żyd. — Abo wy dbacie o co?... Abo wy nie wygnaliście od siebie jednej lokatorki?..

To jest prawda, panie gospodarzu, ale widzi pan gospodarz, ona to była takie nic dobrego, że panu i nam wstyd robiła... Niech się pan Lajzer zmiłuje!...— mówiła dalej, składając ręce. — Niech się pan zmiłuje przynajmniej nad tym drobiazgiem!...

Gospodarz spojrział po izbie, gdzie wszyscy jej mieszkańcy znajdowali się już w komplecie. Troje chudych

z nadmiernie wielkim! brzuchami dzieci kryło się między balią i stołem zarzuconym mokrą bielizną. Czwarte, okryte jakimś czarnym łańchmanem, leżało na łożku, piąte w drewnianej pace na słomie, a ich nędzny ojciec, z rozczochranym włosiem, najeżonymi wąsami, z bojażnią w oku, stał oparty, o komin, obok ciekącej konewki, na której siedział przed chwilą.

Poważną twarz Żyda przebiegł dreszcz wzruszenia

— Co tamtemu? — spytał już łagodniej, wskazując na pakę.

— Coś kaszle, panie gospodarzu — odparła matka

— A temu co? — ciągnął wskazując na łożko.

— To dziewczyna, oparzyła się niechcący ukropem

— A wal... — syknął gospodarz i zwracając się do Jakuba, dodał:

— A jak z wami, Jakubie?

Biedak wstrząsnął głową, skurczonymi palcami podrapał komin, lecz milczał.

H Nol... odpowiedźze panu gospodarzowi — wtrąciła żona.

Jakub poruszył ustami, wlepił niespokojnie swoje okrągłe, zapadłe oczy w twarz gospodarza, lecz znowu milczał.

Zostańcie z Bogiem! — szepnął Żyd i nagle opuścił izbę.

— Niech Pan Bóg prowadził — odpowiedziała kobieta wychylając się przez poręcz za schodzącym gospodarzem, którego w sieni zatrzymał bednarz pytaniem:

— A cóż, panie Lajzer?...

— Niech go Bóg ratuje, to bardzo biedny człowiek!... — odparł Żyd i poszedł dalej.

— No, Bogu dziękować! — mSwiała pani Jakubowa znęcając się nad jakimś podejrzanym szmatem, który gwałtownie i rytmicznie targała prawą ręką, przycisnąwszy go lewą do dna napełnionej wodą balii.

— No, Bogu dziękować, szczęśliwieśmy dzień zaczęli. Woda gorąca je, mydło je, roboty mamy na jakie pu- rubla i gospodarz ustatkował się na jaki miesiąc. Franek... nie grzeb patykiem w kominie, bo jeszcze co zmalujesz!... Za parę dni u sklepiciarki umyję podłogę, to nam może znowu zaczniesz borgować, a może i przyszłę swego siostrzanka, co to je u felczera, żeby Józci poradził... Maniusiu! weź się do kartofli... Franuś, a biegaj do sklepiku i wyproś bułeczkę chleba, to się odda pojutrze... Moszkowa gadała, że ten siostrzanek to zdalniejszy od innego doktora, więc może by on i tobie, stary, co poradził...

— Oj, matusiu!..., tak mnie kole... — szepnął chłopak w pace i zakaszłał.

— Niech kole, to i ty jego kol!... co ja tobie poradzę? — odparła kobieta. — Posłuchaj, stary! — zwróciła się do osłupiałego męża — ot, widzisz, przecie to i twoje dzieci, pomóżże im. Oj, bodajem ja była pierwwej oślepla, niżem wyszła za ciebie...

W tej chwili zatrzeszczały i zadudniły schody, a na progu izdebki ukazała się jakaś kobieta, jeszcze młoda, lecz wynędzniała i ubogo ubrana.

— Moja złocista pani Jakubowa — zawołała przybyła — a oddajcież co prędzej statki, bo mi stara chyba łeb ukręci!...

— Statki?..., — spytała przerażona praczka. — Statki?.. a jakże ja dokończę?...

— Cóż ja na to poradzę, moiściewy!... Pókim mogła, póty wam w sekrecie pożyczę, ale jak się wydało, stara ani słyszeć o was nie chce, woła, że pójdzie do cyrkułu, wyzywa od złodziei i powiada, że jak jej

w moment nie oddacie balii i saganal, to wam policjantów naszle z całej Warszawy...

Praczkal schwyciła rękoma za krawędź balii.

—Nie dam balii!... nie dam saganal!... nic nie dam!... Ja tu nigdzie statku nie dostanę, a w domu nie ma co jeść i robota pilna...

Przybyła załamała rękę.

—Bójcie się Boga! co wy gadacie?... To za moje dobre serce chcecie, żeby i mnie, i was do cyrkułu powiedli? Jakubowo!... kumo!..;

Dzikie uniesienie biednej matki we łzy się rozplnęło. Cóż miała robić? jak mogła nie oddać rzeczy, które nie były jej własnością?.. Toteż nie dziw, że po kilkuminutowych prośbach i zaklęciach sama wreszcie wydobyła mokrą bieliznę z balii i sama pomogła wylać z naczyń do rynsztoka wodę gorącą, dla przechowania której nawet Marcin, poczciwy bednarz, nie mógł jej statku wynaleźć...

Drobny ten na pozór wypadek obezwładnił biedną kobietę, która siadłszy na jednym stołku w izbie i ukrywszy twarz w fartuch zaniosała się od płaczu.

—Ot tobie, stary, żona, ot tobie dzieci! — wołała szlochając. — Chciało ci się żenić, masz teraz! Wszystko wali się na moją biedną głowę, a jakąż ja radę dam, kiedy z izby ostatni żeleźniaczek i bałijka między 2ydy już poszły!...

We drzwiach stanął smutny i zadyszany Franek.

—Matusiu — rzekł — we sklepiku nie chcą dać chleba i jeszcze mówią, żeby matusia za dawniejszy zapłaciła...

—Ale!... A skądże ja zapłacę, kiedym ostatni grosz Ha mydło wydała?

—Matusiu!... — szepnęło chore dziecic z łóżka — matusiu!.., chyba my już dziś nic nie będziemy jedli?...

I uroniwszy te słowa, biedactwo utkwilo bojaźliwe spojrzenie w zapłakanej twarzy matki.

Od palącego duszę wzroku dziewczyny Jakubowa odwróciła oczy w inną stronę, a tam zobaczyła pożółkłą twarz kaszłającego chłopca, który ze swojej paki wytknął najeżoną głowę; spojrzawszy ku drzewom spotkała trzy pary lęklawie pytających o chleb źrenic; zwróciła się wreszcie ku kominowi, lecz i tam znowu dostrzegła oczy, okrągłe, zapadłe oczy swego biednego męża, utkwione w nią z jakimś bezsilnym wyrazem.

Wówczas w sercu tej kobiety żal i rozpacz przemieniły się we wściekłość; łzy jej oschły, a przed chwilą uboga praczka zamieniła się teraz w wilczycę, która wietrzy niebezpieczeństwo i postanowiła bronić szczeniąt.

— Słuchaj no, stary! — syknęła przez zaciśnięte zęby do męża kładąc mu na ramieniu ciężką, spracowaną i jeszcze wilgotną rękę.

— Słuchaj i rusz no się, bo w domu nie ma nic.»

Stary milczał; żona wstrząsnęła nim.

— Słuchaj, stary, radź co teraz, boś ty chłop, a mnie już wszystko z rąk ucieka... Idź między ludzi i dostań robotę albo uzebraj co, byle chleb był w domu, bo ja tu z dziećskami nie wytrzymam... ■.-"

Stary znowu milczał i błędnym okiem patrzył przed siebie; żona pochyliła się nad nim jeszcze bardziej i głucho szepnęła:

— Idź już!... powiadam ci, idź!... Zrobisz czy nie zrobisz co — idź, byleś mi z oczu zszedł, bo albo twoja, albo moja śmierć...

Nędzarz ocknął się; czy zrozumiał co, trudno zgadnąć, lecz pewnym jest, że czuł wszystko. Czuł wilgoć w mieszkaniu, czuł głód, ból okaleczanej nogi, zawrót swojej biednej rozbitej głowy, a nade wszystko to, że nie ma już dla niego miejsca na rodzinnym barłogu.

Gdy wstał z konewki, żona wcisnęła mu czapkę na głowę i z lekka popchnęła ku drzwiom. Nie obejrzał się nawet, lecz schodząc na dół usłyszał głos syna mówiącego:

— No, nie becz, Mańka!... Tatuś poszedł na miasto i chleba nam przyniesie, ba, jeszcze i wędzonki, jak dawniej.

Wyszedłszy z domu nędzarz zatrzymał się przed bramą zdziwiony. Dziwiła go jasność dnia i ciepło słoneczne; dziwiły go wesołe twarze przechodniów, którzy mówiąc nie narzekali ani wołali o chleb; dziwił go obszar ulicy, na której mógł odetchnąć nie czując woni mydlin i poruszyć się nie czując na sobie wzroku zrozpaczonej żony i zgłodniałych dzieci. Gasnący umysł - rozjaśnił się nieco i Jakub przypomniał sobie, że powinien gdzieś iść i szukać chleba.

Iść — lecz gdzie?... ulica ciągnęła się w obie strony. Na lewo bruk był bardzo nierówny, na prawo chodnik; Jakub miał nogę skaleczoną, więc poszedł na prawo. Mógłże pomyśleć, że ów niewyraźny, instynktowny pociąg do gładkiej drogi jest jednym z szarpnięć straszliwej maszyny przeznaczenia, której niemiłosierne tryby w tym dniu jeszcze zdruzgotać go miały?...

Na skrawie ulicy zetknął się z jakimś stróżem w niebieskiej bluzie, nader pilnie zamiatającym schody nędznego szynku.

— Iii... hyL. — zawołał stróż — bandzie pogoda, kiej pan Jakub wylazł. Jak się macie?...

— Bóg zapłać, panie Walenty! — mruknął Jakub zapewne pierwszy raz od dni kilku.

— Coście wy się tak już z tydzień nie pokazywali?... Gadają ludzie, że u was w chałupie bida, he?...

— Jużci, ze bieda! — odparł Jakub". — Roboty nlo mam...
— Roboty!... kto ją ta ma? Tak samo jak pieniędzy; tyło Zydy i wielkie panowie mają... No, chodźta do cukierni!
Z tymi słowy wprowadził Jakuba do szynku, gdzie oprócz właściciela, Zydka z bardzo chytrą miną, siedział, a raczej drzemał wsparty o dużą kufę jakiś jegomość w pomiętym kapeluszu i wypłowiałym surducie, którego barwy, najjaśniejsze przy kołnierzu, na plecach przechodziły w kolor musztardowy, a około kieszeni w ciemnotabaczkowy.
— A wa... nas pan Jakub!... — wykrzyknął Żyd. — Taki gość... chyba węglem w kominie zapisać?... Co sze to Z panem Jakubem rabiało?...
— Niech no Jankiel śpagatówki tu postawi, ino prandko — zakomenderował Walenty.
— Jakub jesce robi u mulaze?...
— Aha, robi!... Zleciał na łeb z ruśtowania i tera ameryture dostał... No, prandzy wódki!... — odparł Walenty.
— A pyniędzy?... — spytał Żydek zakładając ręce w tył i chwiejąc się na rozkraczonych nogach.
— Jakie pieniądze?... a bez pieniędzy to nie łaska? Ja funduję!... huknął Walenty.
— Pan Walenty funduje?... Ny, to z tegie chlebie..* to z tegie mąkie... No, nic nie będzie z tegie... — zakon* . kludował Jankiel.
—A... a... panu Walentemu!..., — ocknął się wypło-* 1 wiały jegomość spod kufy. — A... moje... u...szanowa- nie... Cóż to za obdartus z panem Walentym przyszedł?..., niechże mam honor poznać!...
— To mój kamrat — odparł stróż. — Pan Jakub, co był u mulazy, ale rozbiuł się i tera roboty suko...
—Cha! cha!... roboty w szynku? Głupstwo robota —

w całej Eli ropie nie znajdzie roboty, tylko wódkę... wódkę, jeżeli ma pieniądze... Jankielku, mój szczupacz-ku, a daj no mi tam kieliszczynę...

—Znowu na burg?... — spytał Żyd płaczkliwie. — Juz mi pan Ignac tyle od rana winien i jesce chce?...

—Com ci od rana winien, ty psi flaku?.ja?... tobie?... winien?...

—Możę nie?;. Pan Ignac z samego rana zjadł oba- zanek, potem wódki wypiuł, potem znowu wypiuł i znowu z jad, i znowu wypiuł ze dwa razy, i znowu chce pić?

—Panie Ignacy — zaczął Walenty — ja sobie myślę, może by pan Jakubowi jaką prośbę wystafirował do państwa, zeby choć trochę cłokowi dopomóc;..

—Prośbę;. ^Ł temu obdartusowi?... — dziwił, się pan Ignacy, widocznie bardzo pobłażliwy na usterki swojej garderoby. — To się na diabła nie zdało... Mnie zapytajcie, co prośby znaczą, mnie... bom ja sam chodził z listem, gdzie było napisano... Wódki, psiawiario!...

—Ni ma wódki!... — odparł Żyd.

—W liście moim — ciągnął pan Ignacy — stało wyraźnie napisano, jako ja, Ignacy, od urodzenia głuchoniemy, a przy tym zbankretowany majster, polecam się wzglę... względem Jaśśnie Wielmożnych i Wielmożnych państwa... I co myślicie?... Może myślicie, że oni wspomagają kogo?;. Sto diabłów tam!... Oni tylko umieją wyzywać od pijaków... Mnie... mnie samego nazwali pijakiem!... Wódki, bydlęcy ogonie!... bo cię zabiję, spalę, zaskarżę... hup!;,...

W tej chwili wpadła do szynku jakaś zaperzona kobiecina z okrzykiem:

—Ty znowu w szynku, nicponiu, znowu?... A ja ci tu...

—MagdziuL, Magdusiu!... — zaczął zdetonowany Walenty. — Ja nic... Ja tylko z Jakubem...

— Z Jakubem?... — wrzasnęła żona. — I ty się nie wstydzisz chodzić z Jakubem, co jest gorszy od dziada, bo i sam nie ma co jeść, i jeszcze dzieciom chleb odbiera?...

To powiedziawszy schwyciła męża za kołnierz.

— WahjśL- nie daj się, mój cynaderkuj... — zachęcał go pan Ignacy.

— Jeszcze i ty, pijaku, i ty?— Ja^xwam obu sprawię! I po tej groźbie zepchnęła męża i pana Ignacego ze schodów na ulicę rozdając między obu z wielką wprawą po parę kopnięć nogą, od której na surducie pana Ignacego bardzo wyraźny ślad pozostał. Jakub wyszedł za nimi.

— Fiuuu... jaka jędza! — zwrócił się do biedaka Ignacy, gdy już małżeństwo znikło im z oczu. — Prawdziwa łaska Boża, zem jej w moje ręce nie dostał... Fiuuu!...,

Tak pogwizdując i zataczając się chwycił pod rękę Jakuba i pociągnął go za sobą.

— A jak ci tam, moja miętóweczko? — zaczął.

— Jakub — odpowiedział oszołomiony biedak.

— Otóż widzisz, mój Ja... Jasiu, powiem ci tyle, żeś głupi, kiedy szukasz roboty. Robota to nie dla takich jak ty, robota to głupstwo i wszystko głupstwo!...

Przy tych słowach blada i napuchnięta twarz pijaka okazywała wielkie zmartwienie.

— Powiadam ci... — prawil dalej — jak ci tam?...

— Jakub.

— Powiadam ci, mój Jacusiu, wszystko głupstwol I to słońce... a psik!... Ja zawsze kicham, ile razy spojrzę na słońce.. Głupstwo słońce i ziemia, i domy, i bogactwa!...Taki, powiadam ci, człowiek z edukacją, jak ja, utrzymać się nie może, a dopiero ty?... O zaślepienie ludzkie!... Ale... jakże ci tam, bo ciągle zapominam?...

—Jakub.

. — Otóż, powiadam ci, mój Jędrusiu, ja, z moją szlachetnością w sercu, żebym miał dzieciom chleb odbierać i być niepotrzebny na tym świecie... powiadam' ci, poszedłbym na most i... i słowo honoru... hult w wodę!... Hult w wodę!... żeby nikomu nie zawadzać, mój Józiu...

A może ci świata żal?... — dodał pan Ignacy patrząc błędnymi oczyma w twarz Jakuba — Jęd..f Jędrusiu, turrrkaweczko moja, nie bądź głupi!... Wszystko, co tu widzisz dokoła, to marność.... to czczość... Plunąć nie warto, powiadam ci!...

Nagle urwał i stanął z podniesionym do góry palcem, jakby pragnął powstrzymać grom wzgardy, zbyt pośpiesznie rzucony na otaczającą go rzeczywistość, jakby uznał, że miejsce, na którym znajdują się obecnie, nie usprawiedliwia bynajmniej może słusznego, lecz w każdym razie zbyt gwałtownego wstrętu do świata. Tu wodociąg, tam szynk, w suterynie flaczarnia, a obok niej jeden stragan z pietruszką, drugi z pieczywem, trzeci z wędlinami, przy którym w kociołkach, mających formę wanienek, gotowały się kiszki i kielbasy... Pan Ignacy uczuł, że na widok ten mięknie mu serce, zaczął więc znowu, ale już z innego tonu:

—Wiesz co, mój Fran... Jakże bo ci tam?...

—Jakub — odpowiedział nieszczęśliwy towarzysz.

—Aha! Otóż wiesz, mój Jasieczku, że... że dalibóg miałbym wielką ochotę zafundować ci co... Może by&- my też tak... kiszeczki z bułeczką? Aż mi pachnie, powiadam ci...

—Jeżeliście łaskawi...

—A może byśmy, słuchaj, pierwszej wódeczki, a potem flaczków?... Widzisz... kizkę jeść pod straganem to strasznie ordynarr...

—Iii... co tam! — odparł Jakub.

Jakim sposobem trafił, kiedy zasnął i jak długo spał Jakub, trudno zgadnąć; dość, że około zachodu obudził się pod szychtami, wprawdzie rozgorączkowany, lecz spokojniejszy i przytomniejszy niż zwykle.

Spał na śmieciach, które rozgrzebywało kilka kur i prosię tuż koło niego i nie zważając na niego jak na rzecz martwą, lecz Jakub 'był na to obojętny. O kilka kroków od siebie widział on starą i poplamioną, lecz jeszcze dość całą czapkę, z której mógłby zrobić bardzo miły podarunek dla swego syna, nie podniósł jej jednak, tak jakby nie podniósł w tej chwili i woru ze złotem.

— A gdyby też, posłuchaj no mnie, naprzód wódeczki, a potem kiełbaski, hę?...

— Można by!... Dlaczegoż!..;

— Hum! Widzisz... mój Piotrusiu, ja funduję... tylko ja, nikt więcej... No, ale daj pyska, daj dzióbka... niech cię!... — To powiedziawszy pochylił się na prawo i ucałował kołnierz potem na lewo i zawadził nosem, o ucho Jakuba. — Ale widzisz, pożycz mi złotówczynę, nie więcej, niech cię Bóg broni!.., bo... bo ja nie Wziąłem z sobą.-..

— Abo ja mam!..., skądbym ja wziął złotówkę? — odpowiedział smutnie Jakub.

— Nie masz?... złotówki?... Fiu!... A chciało ci się prośbę pisać?.., Fiu!... A chce ci się z porządnyimi ludźmi pod rękę chodzić?... Dlaboga! i ten bezecny Wałek zaznajamia mnie z takim hołyszem?.., Bywaj zdrów, Jacusiu! Muszę wstąpić do cukierni... może jest kto znajomy... AdiuL.

Z tymi słowy pan Ignacy wbiegł do nowego szynku i upadł na ławę pozostawiając Jakuba na ulicy, zwróconego twarzą ku Wiśle, do której stąd było zaledwie kilkaset kroków.

Poniżej swego ohydneho posłania dostrzegł on dwu chłopców, widocznie nie znających się z sobą, z których mniejszy rzucał kamienie na wodę, wyższy zaś zdawał się rozmyślać nad sposobem zawarcia z nim znajomości. Jakub uczuł dziwną sympatią dla tych wyrostków, chętnie by nawet porozmawiał z nimi, tylko że nie mógł jakoś zebrać się na wypowiedzenie pierwszego słowa; milczał więc i słuchał.

— Hej tam! — zawołał nagle wyższy — a nie przestaniesz rzucać, he?...

— No, abo co? — odparł niższy.

— Bo to, że w mordę dostaniesz, jak będziesz rzucał!...

— O! a za co?...

— Za to, że nie wolno rzucać na wodę kamieni. Nie wiesz czy co? Podczas gdy Jakub' na próżno usiłował przypomnieć sobie tak dziwny zakaz, mały chłopiec przystąpił do wyższego, który znowu zaczął:

— Widzisz ty, c y b u l u s i e, tego łobuza na górze? — i to mówiąc wskazał na Jakuba.

— Może by w niego z parę razy?.. — spytał nieśmiało młodszy.

— Pał go! — zawołał starszy.

Po tej komendzie kilka kamieni świsnęło nad Jakub^wem, jeden padł około jego głowy, drugi trafił w chorą nogę. Jakub syknął z bólu i usiadł na śmieciach, co widząc chłopcy uciekli.

— Czego oni chcą ode mnie?... com ja im winien?...

mruknął nędzarz, lecz nim zdołał odpowiedzieć na to pytanie, usłyszał za sobą gruby głos:

— Oho! znowu jesteś ptaszku!... nie widzieli go tut...

Jakub obejrzał się; za nim stał silny i wysoki człowiek wyglądający na stróża.

—Jeszcze ci się chce co upolować? — ciągnął przy- J były. — Niedawnoś pokradł deski i dziś znowu przychodzisz. kanalio!
—Ja nie kradnę desek — szepnął Jakub.
—Nie kradniesz ty, tylko twój brat za ciebie... Znamy się. lisku...
Won stąd!

Biedak podniósł ~się.

— Czego wy chcecie ode mnie, człowieku?...

— Won stąd! —* krzyknął jeszcze głośniejszy przybyły i schwyciwszy Jakuba za ramię, gwałtownie wypchnął go na drogę.

Nędzarz teraz dopiero uczuł, że go noga boli straszliwie. że go głowa pali i język mu z pragnienia wysycha. Chciał jeść. chciał pić, chciał spocząć gdzie, ale miejsca nie było.

Na skrócie pustej i nie brukowanej ulicy, za stosem belek, dostrzegł rudego dziada w starym wojskowym płaszczu i z płócienną torbą na ramieniu. Dziad siedząc układał coś na kolanach i mrucał:

—Krajanka chleba... za duszę Piotra i Agaty. Suchy chleb!... Trzy ogórki, żeby Pan Bóg dał deszcz... Może i da? Szóstka za dusze zmarłe... Wieczny odpoczynek...

Jakub zrobił parę kroków naprzód.

—Litościwa osobo, zmiłuj się nad biednym sierotą!... — Zaczyna dziad, raczej skutkiem przyzwyczajenia niż nadziei, aby prośba jego przydać się na co mogła.

Jakub stanął.

— Iii... dziadku — rzekł —■ jeszcze by mnie się co od was należało...

— Wam?... ode mnie?... — zawołał dziad zdumiony.

— A ino?... Wyście dziś jedli, a ja nic!

— No, patrzaj! nie jedliście?... a to jedzcie; kto wam broni? — mruknął dziad, szybko chowając swe zapasy-

— A kiej nie mam co jeść...

— To sobie zaróbcie. On myśli, że' teraz dziady to tak wielkie panowie jak dawniej...

— Pewnie, że chciałyby zarobić, ale nie mam gdzie.

— O ho... nie mam gdzie! To się powieściel

— I powroza nie mam.

— To go ukradnijciel — zakończył dziad z gniewem. — Ja tam ani wasz brat, ani swat, żebyście mi głowę zawracali.

Wszystkie cierpienia .fizyczne i moralne odżyły w biednym Jakubie. Zdawało mu się, że go ze wszech stron otaczają jakieś sieci niewidzialne, jakieś narzędzia męki. przed którymi chciał' uciec. Chciał uciec przed swcją nogą krwawiącą się i opuchłą, przed swoją głową, w którą tysiące młotów kuło, przed spojrzzeniami głodnych dzieci, które jak ostre gwoździe wbijały się mu w serce, przed wyrzutami żony, które jak roztopiony ołów upadały na niego, słowem — przed wszystkim... przed wszystkim...

Z tej strasznej zadumy ocucił go brzęk szkła i krzyki.

— Giewał! Lufcik zbił!... łapaj!... trzymaj!...

To on zbił lufcik, to jego łapać kazano!... Jakub rozejrzał się: był już niedaleko swojej ulicy, wpadł więc na nią, zmieszał się z tłumem przechodniów i znikł w bramie.

Na podwórzu zaczepił go bednarz Marcin.

— Nie macie się czego kwapić do domu: Mańka gdzieś zginęła na ulicy i wasza wyszła za nią z chłopcem, a resztę dzieci zamknęła w izbie.

Jakub, nie odpowiedziawszy nic, wbiegł na schody, a ze schodów do komórki pod strych, gdzie były sznury, na których wieszano bieliznę, i garstka grochowin, na których zwykle sypiał. Tu zziąjany, rozgorączkowany, sparł się o jedną z belek i w najwyższym niepokoju począł wyglądać przez dymnik oczekując na coś...

Czekał niedługo, w kilka minut bowiem ukazał się na podwórzu jakiś Żyd w towarzystwie kobiety.. _

— Marcinie! — zawołała do bednarza kobieta — a gdzie tu Jakub siedzi?

—■ A na co go wam?...

— Jak to, na co?... — wtrącił Żyd. — Na to, żeby nam za szybę zapłacił, co ją zbił.~

— I toście, wy, Katarzyno, pokazali drogę do Jakuba? — spytał bednarz kobiety.

— Przecie to nie darmo — objaśnił Żyd. — Wuna ode mnie wódki dostanie...

— Widać, żebyście wy, Katarzyno, rodzonego ojca za kieliszek wódki sprzedali — mruknął pogardliwie bednarz.

— Nu, co tu dużo gadać — przerwał Żyd — pokazujcie, Katarzyno, bo ja nie mam czasu.

Zawstydzona kobieta milczała spoglądając ukradkiem na dymnik, gdzie w półcieniu dostrzegła wynędzniałą twarz Jakuba.

— Nu, gdzie to jest, Katarzyno?... — nalegał Żyd. W tej chwili ręce Jakuba podniosły się nad głowę.

— Dajcie mi tam spokój! — odparła kobieta. Głowa w dymniku poruszyła się gwałtownie, twarz przebiegły konwulsyjne dreszcze.

— Wynoś się, Żydu! — huknął Marcin. — Co się będziesz w cudzym domu rozbijał,

Twarz wyglądającego ze strychu Jakuba zrobiła się, bladą.

— Za co wynoś... co to wynoś?... giewał! — wrzeszczał rozgniewany Żydek i na podwórzu rozpoczął się hałas, który dopiero przybycie Lajzera Skowronka uciszyło. * ;

Stary gospodarz uspokoił poszkodowanego i kazał mu iść do domu.

— Niech panu Bóg wynagrodzi — rzekł bednarz

uchylając czapki. i§ Już na tych biednych ludzi tak się wszystko wali, że aż strach... Teraz oto dziecko im zginęło.

— I dziecko się znajdzie — odparł gospodarz —
• i jeszcze dobrze będzie. Ja dziś gadałem o nich z zakonnica, a zakonnica powiedziała, że starego zabierają do szpitala i dzieci do ochronę i Jakubowe dadzą robotę... Będzie gut. . . - r v

— Jakubie! — zawołał bednarz podnosząc głowę — a zjeżdża ino na dół... — Nagle urwał i potem niespokojnie dodał: — Cóż jemu jest?...

Co jemu jest? — powtórzył wybladły gospodarz patrząc w dymnik.

W tej chwili w bramie domu ukazała się praczka niosąc na rękach znaną, śpiącą ze zmęczenia dziewczynkę; obok niej biegł - najstarszy chłopiec z potężnym kęsem chleba, nad zmniejszeniem którego nader usilnie pracował.

Zobaczywszy sędziwego Żyda Jakubowa zaczęła mu dziękować; ten jednak . machnął niecierpliwie ręką i -poszedł na górę, a za nim bednarz i praczka z dziećmi, w towarzystwie kilkorga podwórzowych gapiów.

Przed drzwiami komórki gospodarz zatrzymał się i rzekł:

— Wejdźcie wy naprzód, panie Marcinie...

Lecz i Marciii nie wszedł, spojrział tylko w głąb komórki przez szczelinę między deskami i cofnął się przerażony.

Nie wiedząc, o co chodzi, Jakubowa pierwsza stanęła we drzwiach, a za nią gapie.

— O Matko moja Boska! — zawołała nagle kobieta. — a cóżeś ty zrobił najlepszego, Jakubie!...

— Dajcie znać do policji — dodał ktoś. — Jakub się powiesił!

— Oderznijcie go, może jeszcze ciepły...

— Nie dotykajcie się, bo za to kryminał!

Powstał zgiełk i bieganina; najsprzeczniesze zdania krążyły między gromadą, która w kilka minut zapełniła korytarzyk i schody.

— A wa! a wa!... — lamentował gospodarz drżąc na całym ciele. — Taki strach, taki grzech, taka kompromitacja!... Za co on to zrobił?... po co on to zrobił?... Ja komornego nie brałem, ja jego dzieciom dopomagałem, ja za nim do zakonnicy poszedłem; a on się powiesił... Nu, róbże tu ludziom dobrze, to oni ci tak zapłacą...

— Nie gniewajcie się, panie Lajzer! — wtrącił niemniej zmieszany bednarz — bo on nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał źle w głowie... Jemu i sam Panu Bóg daruje...

Tak narzekali i litowali się dobrzy ludzie, a tymczasem przywiązany do krokwi dachu wisiał trup Jakuba. Biedna głowa jego opadła ku ziemi, lecz na zsiniałej twarzy, zamiast obłędu, trwogi i boleści, rozlewał się majestatyczny spokój śmierci.

PRZEKŁĘTE SZCZĘSCIE

Trochę światła

an Władysław i pani Helena Wilscy zaślubieni ■byli dopiero od pół roku Działo im się dobrze na tym świecie, choć — nienajlepiej. Mieli trzy pokoje, w nich mebelki, takie tam — nieosobliwe; parę obrazów oleodruków, które im ofiarował družba, i starą sługę Mateuszową, która przyszła Bóg wie skąd, ale jeść gotowała niezgorzej.

Do inwentarza tego pani Helena wniosła niewiele. Naprzód kanarka, którego wraz z klatką podarowała jej ciotka. Ciotczysko ubogie, to i prezent nie był kosztowny, ale że jadł i śpiewał, cieszą się więc nim i powieszono w oknie, jak należy.

Razem z kanarkiem wkwaterował się kuferek z bielizną, jeszcze jeden kuferek z sukienkami, pudło z kapeluszem i toaleta nie wiadomo z czym. Dorożkarz, który przywiózł to biedactwo, dostał pół rubla i był kon- tent, a Helunia ustawivszy kuferki, pudełko i toaletkę na właściwych miejscach także była kontenta, nawet bardziej niż dorożkarz.

W kilka dni po wprowadzeniu się do nowego gniazda, pomiarkowawszy, że jej czegoś brak, sprawiła sobie fartuszek z kieszeniami i napierśnikiem. Czysty to był fartuszek jak złoto i miał u dołu falbanki; młoda gosposia ubrała się w niego czym prędzej i chodziła całą dobę trzymając ręce, w kieszeni'ach, a nazajutrz schowała go do szafy, gdzie leży po dziś dzień. Praw

dę powiedziawszy, nie było do czego stroić się w fartuszek.

W tydzień potem przybył nowy frasunek w domu, w następstwie którego pani Helena zawiesiła w oknach bardzo gęste muślinowe firanki. Mąż przyznaj że dobrze zrobiła, choć nie wiedział dlaczego; ale ja wiem. Miał ten pan brzydki, choć'niezupełnie grzeszny zwyczaj często całować żonę. Całował ją w pierwszym pokoju, w drugim i trzecim, na krześle, pod lustrem i przy oknie, a zawsze w sposób wyczerpujący. Naprzód w lewą rączkę, potem w prawą rączkę (albo na odwrót), potem w szyjkę z czterech stron, potem w buzię ze wszystkich stron...

Są fakta dowodzące, że panią Helenę całusy nie nudziły ani martwiły, lecz niewątpliwym jest, że w czasie tych uroczystości odwracała głowę od okna. Mąż przyznawał, że jest to zabawne, choć nie wiedział, dlaczego odwracała głowę od okna, ale żona wiedziała, że robi to z obawy. Naprzeciw nich bowiem było inne okno, a w nim pewien żółty starzec z rzadkimi faworytami siwymi. Ile razy młodzi poczynali się całować, tyle razy staruch ukazywał się w swoim oknie w białej szlafmocy, z pąsowym fontaziem na wierzchu, i śmiał się mrużąc oko i pokazując jeden zęb taki żółty jak on sam.

Helunia ze złości kupiła dziesięć łokci muślinu i po- zasłaniała wszystkie okna. Od tej pory, zamiast skrzywionej twarzy sąsiada, widziała tylko pąsowy fontaż jego szlafmocy,'który trzął się jak galareta, prawdo-' podobnie z wielkiej irytacji. Dobrze tak dziadziśkowU niech się nie śmieje!...

Na śmierć zapomnieliśmy dodać, że oprócz niewielkich kufrów, pudełka, toaletki i kanarka przyniosła Helenka na nowe gospodarstwo jeszcze coś. Ale co?... Nie suszcie sobie, ludzie, głowy na próżno, bo nigdy nie zgadniecie!... Oto przyniosła parę rączek drobnych.

białych i pulchnych, a z nimi pracowitość mrówki; do tego zwój włosów gęstych i miękkich jak jedwab i dwoje oczu jak pogodne niebo; wreszcie nosek zadarty i usta koralowe, i zęby drobne a białe, i serce takie szczere a czyste, takie kochające i wierne, jakiego, ach! ludzie dobrzy, trudno między nami odszukać.

Pewnego dnia (miała już wtedy lat siedemnaście) dzisiejszy mąż jej, a ówczesny student szkoły politechnicznej, rzekł do niej:

— Chciałbym pani coś powiedzieć...

— Niech pan powie odparła.

Kiedy się boję!...

— To musi być coś niedobrego?

— Kocham panią.

Helenka otworzyła usta ze zdziwienia, a potem odpowiedziała:

— A wie pan, że... to dobrze.

— A pani mnie kocha? •;".Hfi Czy ja wiem?...

— A będzie pani czekać na mnie?

— O, niezawodnie!

— Mam pani słowo. Jak skończę szkołę, pobierzemy się.

— Proszę być przyzwoitym! —zgromiła go Helunia.

Tyle tylko mówili o miłości, a we trzy lata pobrali się.

Władysław był mechanikiem, co jego żonę obchodziło niewiele, i miał opinię zdolnego i szlachetnego człowieka, a to ją obchodziło więcej. Miał przy tym ładną figurę, czarną brodę i włosy, piwne oczy i piękną twarz — co Helunię obchodziło jeszcze więcej. Wreszcie kochał ją, a ona za nim szalała.

Rezultatem takiej kombinacji zdrowia, urody i przywiązania była wielka radość w trzech pokojach na drugim piętrze przez całe pięć miesięcy bez czegoś. Od

kilkudziesięciu dni jednak na horyzoncie małżeńskim ukazał się punkt czarny: Władysław nie miał roboty!

Bankier Welt, przy którym Wilski w ciągu roku zarobił półtora tysiąca rubli, jakoś od dnia ślubu zaniedbał mechanika, a wreszcie zupełnie się od niego Odsunął. Pozostały oszczędności, nadzieje i robota dorywcza, wszystko to jednak nie wystarczało na utrzymanie domu. Ograniczono więc wydatki, zmieniono ostatnią dwudziestopięćiorublówkę i... wydano przedostatniego rubla!.,;

Dzień ten był bardzo przykry dla małżonków. Władysław, unikając wzroku żony, zamknął się w swoim pokoju po to, aby robić sobie wyrzuty, że unieszczęśliwił kochającą go kobietę. Helunia znowu, widząc męża zmienionym ze smutku, sobie przypisywała kłopoty i mówiła:

— Mój Boże! gdyby on się ożenił z bogatą?.., Ja bym chyba umarła, ale na cóżem ja się zdała komu na świecie?!...

Zeszłego kwartału sprawiłam sobie aż za dziesięć rubli sukienkę!... Ach, gdyby ją kto odkupił!...

Tak myślała stąpając na palcach i oglądając swoje kwiatki. Niekiedy podchodziła pod zamknięte drzwi mężowskiego pokoju i słuchała. Ale tam było cicho. Natomiast z kuchni dolatywał łoskot przesuwanych rondli, a z okna świergotanie kanarka.

— Czego ten kanarek tak wrzeszczy?.., — odezwał się nagle Władysław z odcieniem niecierpliwości w głosie.

— On już będzie cicho! — odpowiedziała Helenka, a następnie, zbliżywszy się do klatki, dodała półgłosem:

— Cicho, mój ptaszeczku, cicho!... Pan się gniewa na nas, cicho!.., Kanarek spojrział na nią naprzód jednym okiem, po-

tem drugim, ruszył ogonem na prawo i na lewo, a potem zaświergotał jeszcze głośniej.

Przestraszona Helenka nakryła mu klatkę czarnym szalem i ptak uspokoił się.

— Teraz pewnie będzie spał — rzekła i przystąpiła do drzwi męzkowskich.

Położywszy jednak rękę na klamce, jakby spłoszona swoją śmiałością, cofnęła się na środek pokoju i stała tak parę chwil tłumiąc oddech w piersiach.

— Nie można mu przeszkadzać! — rzekła i wpro- u adzając w czyn tę uwagę otworzyła drzwi.

— Czyś mnie wołał, Władziu? — spytała.

— Nie.

Zbliżyła się ostrożnie do siedzącego męża i pocałowała go.

— Myślałam, żeś mnie wołał.

rap Ten kanarek mnie drażni — odparł Władysław.

— Przykryłam go, już śpi.

Znowu go pocałowała.

— A jeżeli będziesz czego potrzebował — mówiła dalej — to zawołaj... Jestem ciągle w drugim pokoju...

I znowu go pocałowała.

Potem popatrzyła chwilę na smutną twarz męża i wyszła po cichu, zamykając drzwi za sobą...

„Rzekł onego czasu Pan Bóg: Nie być człowiekowi samemu...

A gdy stworzył Pan z ziemi wszelki zwierz polny...

Tedy przypuścił twardy sen na Adama, i zasnął; i wyjął jedno żebro jego, i zbudował Pan z żebra onego (które wyjął z Adama) niewiastę, i przywiódł ją do Adama..."

O Panie! o Panie!

Pokój Władysława był obszerny i widny, jak przystało na pracownią technika. Prócz niezbędnego biurka, szeszlona i krzesel był tam stół do rysunków, mały warsztat ślusarski i stolarski do robienia modeli, książki, plany, modele i mnóstwo, narzędzi, które mają przywilej budzenia ciekawości profanów.' Na wszystkim tym jednak znać było bezrobocie. Ani jeden wiórek, ani jedna szczypta opiłków nie zanieczyściły warsztatu. Tusz i karmin w miseczkach,

wyschły, plany pożółkły, a na rajzbretach i rozpoczętych rysunkach leżała warstwa kurzu.

Władysław czytał z hydrauliki rozdział o turbinach. Gdy weszła żona, z niewymowną goryczą przypomniał sobie, że przed tygodniem żądano od niego planu turbinowego młyna, wczoraj zaś odpowiedziano mu, że młyn kto inny Zbuduje.

— Miałem też po co pracować lata całe wśród niedostatku! — szeptał pomyślawszy, że owym lepszym od niego ktosiem był cieśla od wiatraków, który plany z patyków układał.

Po tej uwadze rzucił hydraulikę i wziął się do rachunku całkowego. Tu wzrok jego padł na formułę: $T(1)=T(2) = 1$, i otóż przypomniał sobie, że ma tylko jednego rubla w domu!

— Ja mógłbym jeść przez parę dni suchy chleb, do którego się przyzwyczaił — ale ona?!..,

„O mnie nie myśl, mój Władziu... Ja mogę jeść suchy chleb, nieraz mi się to przecież zdarzało...”

Obejrzał się, ale w pokoju nie było nikogo. Teraz dopiero przypomniał sobie, że słowa te przed kilkoma dniami powiedziała mu Helunia. „Ja tam z państwem za jedno: jak państwu tak

ł mnie!..." — odpowiedziało echo wspomnień głosem Mateuszowej.
„Wielki Boże! jakież ze mnie egoista!..." — pomyślał i krew uderzyła mu do twarzy.

Z tym wszystkim na trzy osoby jest w domu rubel!...

Odwrócił kilkanaście kart książki i trafił na formułę prawdopodobieństwa zdarzenia przyszłego ze zdarzeń przeszłych.

— Jeżeli przez czterdzieści dni nie miałem roboty, jakie jest prawdopodobieństwo, że ją jutro dostanę?

— Jedna czterdziesta pierwsza! — odpowiedziała formuła.

— Ciekawym bardzo, jakie też jest prawdopodobieństwo, że zostanę złodziejem lub samobójcą?*..

Formuła milczała.

Przez okno widać było śnieg topniejący na dachach, parę napuszonych wróbli i skraj nieba. Władysław podniósł oczy na niebo i pomyślał, że dziś jest połowa marca i że nie prędzej jak w maju dostanie miejsce rysownika w fabryce, z pensją trzydziestu rubli na miesiąc za dziesięć godzin pracy!...

Odrzucił rachunki i wziął Maksymy Epikteta. Filozof niewolnik bywał często lekarzem zbolalej duszy; Władysław otworzył książkę i począł kartki przewracać.

„Wygnań twoje pragnienia i obawy — mówił mędrzec*— a pozbedziesz się tyrana.”

„O ślepy i niesprawiedliwy! Mógłbyś tylko zależeć od siebie, a chcesz zależeć od tysiąca rzeczy, które ci są obce i które oddalają cię od prawdziwego dobra!...”

Władysław nagle przestał czytać i słuchał. W drugim pokoju szeptano.

— Pani! — mówiła Mateuszowa — kobieta masło przyniosła.

— Nie wezmę dziś — odparła Helunia.

— Sliczności masło, pan takie lubi....

— Niech przyjdzie na drugi raz.

— Co tu czekać na drugi raz?... ona już nie przyjdzie tak prędko! Zresztą... ja kupię za swoje, to pani mi odda. Mam przecie trzynaście rubli...

Chwila milczenia. Władysławowi ręce opadły.

— Powiedziałam Mateuszowej, że nie chcę! — od<- parła Helunia. Służąca oddaliła się mrużąc.

— Mam rubla! — szepnął Władysław. Potem przypomniał sobie, że dziś jest środa i że jutro przyjdzie do nich na obiad pewien ubogi student, brat zmarłego kolegi.

„Nie pragnij, aby w świecie działo się tak, jak ty chcesz, ale chciej, aby się działo tak, jak się dzieje* a będziesz zawsze zadowolony.”

Władysław ruszył ramionami, złożył książkę i upadł/ na szezlong. Podobna filozofia dobrą była dla ludzi, którzy wypiwszy czarną kawę idą spać po smacznym obiedzie, albo dla tych, w których cierpienie wypeniło już wszelkie uczucia.

Leżąc na szezlongu przymknął oczy jak człowiek, który chc<? przypatrzeć się wnętrzu swojego ducha^ i ze zdumieniem rozmyślał, z jak małych przyczyn niekiedy wielkie powstają boleści!

— Jutro — mówił — nie będzie już w domu ani grosza. Gdybym był sam, śmiałybym się z tego, ale mam żonę... Ach! jej rezygnacja zabija mnie!... Od czterdziestu dni prosiłem, zebrałem o pracę¹ i nie dano mi jej... Dziś techników więcej niż szewców.

Wyjechać nie ma gdzie i nie ma po co. Umrzeć?... O, Boże! a któż przy niej zostanie?... Jeżeli rzeczy zaczną sprzedawać... A jeżeli pojutrze już obiadu nie będzie?...

— Władziu!... Władziu!... patrz!... — krzyknęła nagle Helenka wbiegając do pokoju.

—Co to jest?...

— W twojej kamizelce znalazłam pięć rubli... Wzięłam ją do naprawy i w górnej kieszeni... Patrz!...

Władysław usiadł na szeslongu, a żona upadła mu na szyję.

- — Widzisz, jaki Pan Bóg łaskaw?...- Mieliśmy tylko rubla w domu, tyś się martwił, widziałam to, i otóż mamy pieniądze. To na parę dni nam wystarczy, a potem będziesz miał robotę!

—Skąd?... — spytał mąż.

— Gzy ja wiem skąd?! — odparła pieszcząc go. >#3 Ale przecież mieć musisz, bo to już ostatnie pieniądze!

—Dziecko!

—Cieką wam bardzo, skąd one się tam wzięły?

— Przypominam sobie. Zdał mi ktoś resztę, ja schowałem pięć rubli do kamizelki, a potem pomyślałem, że mi zgubił. Rok już tam leżą!

— No, widzisz, jak to nie trzeba się martwić. No, uśmiechnij się!

Tak, dobrze... Więc nie podziękujesz żonie, że ci stare kamizelki naprawia?... Ach! ty nic dobrego... Już trzeci dzień płakać mi się chce! Nie mówisz nic do twojej żony kochanej, na kanarka się gniewasz, desperujesz po kątach. No, przeproś żonę!... Tylko prędzej!... Jeszcze raz!...

Władysław czuł, że pod wpływem tego szczebiotania, a może i znalezionych pięciu rubli spokojność mu powraca. Uśmiechnął się ze swojej rozpacz i nie mógł wierzyć prawie, że tak drobna rzecz, jak znalezienie trochę pieniędzy, może przywrócić zachwianą równowagę i zniszczyć wielką burzę duchową.

— Każę już dawać obiad — mówiła Helenka. — Mamy zupę piwną ze śmietaną, z grzankami i z serem i jeszcze kartofle osmażane.

— Uważam, że zupę rachujesz** co najmniej za cztery potrawy?

'— Ale Ho widzisz, dla ciebie kazałam jaj ugotować.

— A aia siebie⁷

— Ja jaj nie lubię. Ale zresztą... w tej chwili przyszedł mi apetyt. Każę dołożyć z parę, dla mnie i dla Mateuszowej.

Niebawem zrzędna Mateuszowa podała obiad, a Władysław zdjął szal z klatki. Kanarek, zobaczywszy światło, zatrzepotał się i począł świergotać. Towarzyszyły mu wróble na dworze, krople rosy obficie spływające z dachu i wesoły śmiech Helenki.

Teraz Władysławowi nie wiadomo skąd przyszła na myśl wiosna. Przypomniawszy sobie, że dzieckiem jeszcze będąc wybiegł pewnego dnia do ogrodu po wielkim deszczu. Trawa, wczoraj biała, dziś była zielona jak szmaragd, drzewa, okryte wczoraj pączkami, dziś pełne były młodych listków. Na ziemi stały kałuże wody, na niebie jaśniała tęcza, a w jego duszy dziecięcej obudziło się coś, czego jeszcze nazwać się umiał.

Wszystko to przypomniawszy mu się bardzo dokładnie, skutkiem czego uściskał i ucałował żonę, która mimochodem spojrzawszy przez firankę dostrzegła w oknie po drugiej stronie Spiczastą szlafmycę z fontażem i żółtą twarz chytrego staruszka.

Chudy starzec śmiał się jak dawniej i jeszcze mocniej przymrużał oko, lecz tym razem Helenka nie gniewała się na niego. Miłosierny Bóg tak już ten świat urządził, że młodzi mężowie cieszą się na nim pięćiorubłówkami, młode żony mężami, a staruszkowie radością młodych!...

III

Widziadła

W parę dni małżonkowie mieli jeszcze całkowite trzy ruble, lecz widoków na robotę nie było. Mimo to cieszyli się jak dzieci i nie bez powodu. Dziś był u nieb

na herbacie dawny a wypróbowany przyjaciel Władysława zarazem
drużba obojga, Józef Grodzki, który w przejeździe, spod Gór
Uralskich do Londynu, wstąpił na kilkanaście godzin do Warszawy.

Grodzki, z powołania inżynier, od pół roku mieszał na granicy
Azji i robił tura fortunę. Był to blondyn niski i tusty, mówiący
głośno, śmiejący się jeszcze głośniejszym, przy tym energiczny, trzeźwego
umysłu i z najlepszym sercem chłopak. Kochał Właskich jak własną
rodzinę i przywiózł im z odległej swojej siedziby gościńca: parę
chińskich filiżanek, okruch rodzimego złota i kawał malachitu.

W tej chwili troje naszych przyjaciół siedzieli przy herbacie, a
Grodzki opowiadał im swoje dzieje, które zakończył w następujący
sposób:

—No, a wam jakże się powodzi?... Spodziewam się, że dobrze! Ja
mam wprawdzie sześć tysięcy rubli pensji, lecz w kraju, gdzie nie
wierzą w skarpetki i chustki do nosa, człowiek chcący żyć po
europejsku musi dużo wydawać. Toteż zaledwie uciulałem sobie
tysiąc rubli i te złożyłem dzisiaj w naszym banku. Nędza!... co?...

Usłyszawszy to Helenka podniosła na męża swoje słodkie
szafirowe oczy z dziwnie żalonym wyrazem, a Władysław lekko
brwi zmarszczył. Grodzki uchwycił w przelocie tę niemą rozmowę
biedaków, czegoś się domyślił i rzekł:

—Z tym wszystkim mam duży kłopot. Obstalowano u mnie
projekt tartaka parowego i takiegoż młyna. Wierny zasadzie; drzyj
łyko, dopóki się da. przyjąłem obstalunki, zacenilem po trzysta rubli
sztukę, a pieniądze wzięłem z góry Dziś, za karę^ będę musiał szukać
technika, który by je wykonał — a czasu nie mam-

—Może by Władzio?... — wtrąciła Spiesznie Helenka oblewając
się purpurowym rumieńcem.

Władysław siedział jak na szpilkach.

— Władzio?... — odparł Grodzki. — Najchętniej oddam mu robotę, byle ją tylko raczył przyjąć. No, i eoż ty, Władysławie?...

— Przyjmę!

, — Brawo!... Tak to rozumiem, skończymy interes w dwu wyrazach Notatki i pieniądze dam ci zaraz. — Z tymi słowy inżynier wydobył z kieszeni bajecznej wielkości pugilares pełen pieniędzy, weksli i notat, wyjął stamtąd kawałek papieru wypełnionego cyframi, sześć storublowych bankocetli i wszystko to położył na stole.

— Wydobyłeś nas z ciężkiego kłopotu! — zawołał Władysław ściskając go za rękę. Po czym opowiedział mu o swoim położeniu.

— Niepocziwi! — wykrzyknął inżynier. — Gdyby- żeście byli do mnie choć słówko napisali, pożyczylbym wam kilkaset rubli na parę lat bez procentu!...

Po podziękowaniach i obustronnych zapewnieniach o

przyjaźni rozmowa skierowała się na inny przedmiot.

— Cóż, Władysławie, jakże będzie z naszą spółką i fabryką?... — zapytał śmiejąc się Grodzki.

— Dojrzewa w biurku! — odparł tym samym tonem Władysław.

— Trzeba pani wiedzieć — mówił inżynier zwracając się do Helenki — że mąż jej co dzień tworzył nowy projekt, a każdy filantropijny, choć zresztą bardzo rozsądny. Między innymi namawiał nas, w szkole jeszcze, abyśmy, powróciwszy do kraju i dorobiwszy się pieniędzy, założyli fabrykę płótna...

— Na którą pan ma obecnie tysiąc rubli, a Władysław żonę — przerwała Helenka

— I to jest kapitał — odparł Grodzki. — Otóż nasza fabryka miała, mówię pani, miała stanowczo wyrugować płótna zagraniczne i wywołać przewrót w tego rodzaju zakładach krajowych. Władysław zaprojektował

nowy system wentylacyjny dla zdrowia robotników, dalej tantiemy i emeryturą znowu dla nich. Dalej czytelnia dla dorosłych, bardzo znakomitą szkołą dla dzieci i pewien rodzaj seminarium dla praktykantów.

— Marzenia!... — wtrącił ze smutkiem Władysław.

— Pozwól sobie powiedzieć — odparł Grodzki — że wołają te marzenia naszej młodzieży od knajpiarstwa i burszyny studentów niemieckich. Powiem ci nawet więcej, że twoje marzycielskie projekta uczyły nas na obczyźnie myśleć o kraju i jego potrzebach i że one to właśnie zjednały ci serca wszystkich. Nie opuszczaj zatem rąk. Nie uda nam się fabryka płótna, to założymy kuźnię wzorową; nie uda się szkoła techniczna, to spróbujemy otworzyć porządne warsztaty. Ja wcale za wygraną nie daję. Dziś jestem na drodze do majątku i honorem ci ręczę, że skoro zbiorę kilkanaście tysięcy rubli, przypomnę ci twoje projekta.

Gadatliwemu inżynierowi świeciły się oczy, gdy to mówił. Cała jego fizjonomia wyrażała energią, zapał, a nade wszystko ufność we własne siły, której znekany nieco Władysław nie posiadał już w takim stopniu. > : ~ Ile to potrzeba pieniędzy na fabrykę — odezwała się Helenka kręcąc głową.

— Zapewne, że wiele! Z tym wszystkim jednak mąż pani, gdyby umiał kuć żelazo na gorąco, mógł był już dawno utworzyć podobną fabrykę.

— Ja?... jakim sposobem?... — zapytał zdziwiony Władysław.

— Cha! cha! nie pamiętasz, serce?... — wykrzyknął Grodzki. — Trzeba było myśleć o fabryce pół roku temu, wówczas gdy się w tobie kochała pani bankierowa Welt...

— We mnie?... bankierowa Welt?... — powtórzył jeszcze bardziej zdumiony Wilski.

— O prostaku! o baranku niewinny! — wołał Grodz-

ki. — Cały świat wiedział, że szaleje za nim ta poczciwa kobiecina, a on nie wie o tym do dziś dnia. Cha! cha! cha!

Helenka słuchając zapomniała o samowarze, skutkiem czego gorąca woda przelała się już przez wierzch szklanki. Drobnym wypadkiem skierował rozmowę na inny temat i pozwolił Władysławowi ukryć niespodziane, lecz wielkie zakłopotanie, jakiego w tej chwili doświadczył.

Około jedynastej wieczór Grodzki, który musiał nazajutrz rano wyjechać, pożegnał swoich przyjaciół i na zakończenie rzekł:

— Pani Heleno! znenawidzę was, jeżeli w kłopotach nie odwołacie się do mnie. Jestem człowiekiem z jednej sztuki, nie lubię ceremonij między swoimi; a kogo kocham, to już całym sercem.

Rozrzewniona Helenka serdecznie ścisnęła go za rękę.

— No, a ty, Władysławie — dodał bierz się na ostro i rób pieniądze. Na honor! jesteś jedynym facetem, w którego rękach rad bym widzieć miliony, bo wiem, żebyś je puścił, ale z pożytkiem i dla ogółu i dla bliskich tobie!...

Gdy Grodzki wyszedł, Helena zajęła się sprzątaniami, Władysław zaś począł chodzić po pokoju i myśleć, W duszy jego ścierały się dwie idee: jedną z nich były ob- stalowane przez Józefa modele, drugą... Drugą Władysław chciał gwałtem za obręb świadomości wyrzucić.

„Kotły obstaluję u mosiężnikat..” — myślał.

„Bankierowa Welt kochała się w tobie” szeptał jakiś głos.

„Ciekawym, ile mnie będą kosztować?” — mówił znowu Władysław.

„Kochała cię, czy słyszysz?...” — powtórzył ten sam głos.

Władysław poszedł do swego pokoju i począł prze- 472

glądać notatki zostawione przez Grodzkiego. Nagle odwrócił głowę: zdawało mu się, że za jego krzesłem stoi jakieś widziadło, które mu nieustannie szepcze do ucha;

„Kochała cię!...”

Wilski rzucił się na szezlong; oparł głowę na rękach i utkwiał wzrok w suficie: W tej chwili moce nadziemskie opanowały jego duszę i oto co widział:

Pewnego dnia młody, dziwnej piękności człowiek, ubrany we frak, jak przystało na suplikanta, wszedł do gabinetu bankiera Welt.

Znakomity finansista siedział - przed biurkiem, na którym leżało mnóstwo otwartych książek tudzież stosy zapisanego papieru — i — czytał. Uwaga jego była tak mocno zajęta, że dopiero po upływie dwu minut zdołał spostrzec młodzieńca, który w prostocie ducha wywnioskował stąd, że bankier musi być wielkim człowiekiem.

Gdy Welt zbudził się ze swych głębokich rozmyślań, rzekł uchylając haftowanej czapeczki:

— Ach! to pan Wilski?... stokrotnie przepraszam! Pozwól pan, że zatrzymam czapeczkę na głowie. Człowiek tak wiele pracuje umysłowo, że aż doświadcza strzykań. Co pan rozkaże?...

Wilski zamiast odpowiedzi podał mu list Bankier spojrzął na pieczętkę i zdjął czapeczkę.

— Wiem, to pisze mój przyjaciel, książkę... Często ze sobą korespondujemy. Dobry chłopak! tylko strasznie demokratyczny...

Potem otworzył list i w miarę odczytywania mówił:

„Najuprzejmiej polecam łaskawym względom...” Doi brze!

„Najzdolniejszy uczeń na wydziale mechanicznym...” Bardzo pięknie!

„Wielki medal złoty...”

— Panie Wolski...

— Nazywam się Wilski.

— Panie Wilski, to musi być duży ten wielki złoty medal, który pan dostał?...

— Dosyć.

— Tak, ja to wiem!... Niech pan bez ceremonii siada, [bardzo proszę.

Zaproszenie było zbyt duże, ponieważ Wilski sam już bez ceremonii usiadł. - Skończywszy czytać Welt mówił dalej:

— Po tym liście dom mój jest dla pana otwarty. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Pan będziesz łaskaw pofatygować się do nas co czwartek na herbatę, poczynawszy od dzisiaj dnia, o wpół do dziesiątej wieczór.

.'— Gzy mogę spodziewać się?... — wtrącił Wilski... — Może się pan spodziewać najdystyngowańszego towarzystwa w salonach mojej żony.

— Miałem w tej chwili na myśli posadę techniczną. . — Ach! pan miał na myśli posadę?... O tym jeszcze pogadamy.

' Wilski pożegnał go i zabierał się do wyjścia. Nagle bankier zawołał: Jjt'-f-. Ale, alei...; panie Wilski... Jak pan będzie pisał list do księcia, to proszę mu się pięknie kłaniać ode mnie.

Tego samego dnia na herbacie poznał Władysław panią Welt. Była to kobieta w sile. wieku, nie tyle piękna, ile majestatyczna, a zarazem pociągająca. Śniada jej twarz miała wyraz powagi i słodczy, a czarne oczy dziwnie rozmarzały ludzi.

W ciągu wieczora pani domu kilka razy przez czas dłuższy rozmawiała z Wilskim, który mając głowę nabitą różnymi planami mówił tylko o nich. Bankiero- wa słuchała go uważnie i patrzyła na niego tak jakoś szczególnie, że Władysław powróciwszy do domu spać nie mógł.

Na drugi dzień Welt dał Wilskiemu korzystne zajęcie i uroczyście wezwał go do jak najczęstszych wizyt „Ona cię kochała!...” — szeptał mu uporczywie głos,

pod wpływem którego pewne fakty ukazywały się Władysławowi w nowym zupełnie świetle.

Na jednym z czwartkowych zebrań, gdy Wilski rozmawiał z bankierową o swym studenckim życiu, zbliżył się do nich pewien nowiniarz i opowiedział, że jakaś dama uciekła z kochankiem.

— Kobiety dla miłości wiele robią! — zakończył dowcipniś z uśmiechem.

Pani Welt surowo spojrzała na niego, a gdy odszedł, rzekła do Władysława swym spokojnym i przejmującym głosem:

— Tak, kobiety dla miłości wiele robią, lecz mężczyźni nie umieją tego ocenić!

To powiedziawszy wstała i nie patrząc na Wilskiego przeszła do innej grupy.

Innym razem, gdy rozwijał przed nią plan towarzystwa budowlanego, przerwała mu nagle mówiąc:

— Czy pan z kobietami zawsze rozmawiasz tylko o inżynierii? -

— To zależy — odparł — z niektórymi mówię o sztukach pięknych, co zresztą jest bardzo nudne.

— Ach, tak! — odpowiedziała. — Mów pan zresztą cokolwiek.

Przymknęła oczy, oparła głowę na fotelu i z wyrazem spokojnego zachwyty na twarzy słuchała o potrzebie asfaltowania fundamentów, o kranach wodociagowych i gazie w mieszkaniach, a nade wszystko o żelaznym belkowaniu.

Wilski był w dziwnej pozycji. Miał narzeczoną, którą kochał, i znał kobietę, do której ciągnęły go instynkta. Gdy rozmawiał z panią Welt, czuł, że mu w żyłach płynie coś na kształt roztopionego ołowiu; lecz wrażenie to nigdy nie trwało przez czas dłuższy.

Niekiedy, ośmielony jej spojrzeniami, postanawiał wspomnieć coś o miłości. Przy najlżejszej jednak

Wzmiance tego rodzaju wzrok bankierowej stawał się chłodny, a na ustach zarysowywał się wyraz pogardliwy i niechętny. Przechodził wówczas do kwestii obojętnych, i znowu wszystko było dobrze. Z początku Wilski głowę tracił wobec tej zagadki, z czasem jednak oswoił się z nią i myślał:

„Jaka szkoda, że ta kobieta jest tak chłodna i myśli tylko o kwestiach finansowych i technicznych. Gdyby nie to, ludzie wariowaliby z jej przyczyny, a najpierwej sam mąż!...”

I o niej to powiedział Grodzki, że szalała za Władysławem! ■

— To być nie może! — mruknął Wilski otrząsając się z marzeń i powstając z szeszlona. — Pani Welt jest kobietą z marmuru i... banknotów...

„A jednak kochała cię” — szeptał głos.

— Głupstwo! — odparł z uśmiechem Władysław. — Kochała mnie, a przecież jej mąż nie daje mi teraz żadnego zajęcia.

„Od jak dawna?” — spytał głos.

— Od... dnia ślubu mego — odpowiedział Władysław.

„A zarazem od dnia, w którym pani Welt dowiedziawszy się o twym ślubie, ciężko zachorowała...” — dorzucił głos.

Zimny pot wystąpił na czoło Wilskiemu. Podeszedł do okna i przysłuchiwał się padającemu deszczowi.

Wtedy ktoś zbliżył się do niego na palcach, otoczył mu rękoma szyję, przycisnął wilgotne usta do jego ust spieczonych i rzekł nieśmiało i cicho:

— Ale ty jej nie kochasz?...

Wilski oprzytomniał.

— Ciebie tylko kocham, Heluniu, ciebie i... pracę!...

— Ale mnie troszeczkę więcej... taką małą troszeczkę?...

— Taką dużą!... — odpowiedział mąż ze śmiechem.

Mary pierzchły.

IV

Uśmiech szczęścia

Był już początek kwietnia; śniegi znikły, a po ulicach przewiewał wiatr wiosenny. Wróciwszy pewnego dnia z miasta, Władysław przyniósł żonie kilka listków trawy, zawiadomił ją o tym, że widziano skowronki w polu i że dziś siada do obstalunków Grodzkiego.

Do tej pory nie zajmował się nimi, miał bowiem od jednego z inżynierów miejscowych pilną robotą, nad którą kilkanaście dni i kilka nocy przepędził.

Jakoż rozpiął papier na rajzbracie i zatemperował ołówki.

— Wiesz, Władziu — odezwała się Helenka — że niedługo wyjmiemy okna podwójne? Ale prawda! przeszkadzam ci... Już nic nie będę mówiła. Może ci tusz rozetrzeć?

W tej chwili wszedł do przedpokoju jakiś człowiek.

— A co to? — zapytała Helenka.

— Telegram z Krakowa do pana Władysława Wilskiego. Proszę o pokwitowanie.

— Z Krakowa?... — rzekł nieco zdziwiony Władysław odbierając kopertę. Daj mu tam dziesięć groszy, Heluniu.

Gdy otworzył depeszę, zdziwił się jeszcze bardziej przeczytawszy, co następuje:

„Wierny sługa śp. Edwarda winszuje. Pogrzeb wczoraj. Czekam na rozkazy. — Kłopotowicz.”

— Co to jest? — zapytała Helenka.

— Nie rozumiem! — odparł Wilski. — Przypuszczam

tylko, że mój stryj umarł i że jego plenipotent zwa* riował.

— Twój stryj umarł, ten bogacz?... Może ci co zapisał?...

Władysław machnął ręką z uśmiechem.

— To się po nim nie pokaże! W ciągu całego żyda dał mi trzydzieści rubli i wątpię, aby był po śmierci hojniejszy.

— W każdym razie coś w tym jest — rzekła Helenka^

— Co ma byćjggł- odpowiedział Władysław i usiadł do roboty.

W kwadrans później Helenka odezwała się znowu:

— żeby ci tak choć z dziesięć tysięcy zapisał?...

— Nie bój się, nie zapisze.

— No, pocałuj żonę.

Władysław polecenie najsumienniejszy wykonał, lecz roboty nie porzucił.

W godzinę przyszedł drugi telegram tej treści:

„Hrabia P. daje za willę nad Renem pięćdziesiąt tysięcy reńskich.

Nieboszczyk zapłacił trzydzieści tysięcy. Czekam tydzień.

Adwokat X"

— Poszaleli .widocznie! — mruknął Władysław rzucając depeszę na ziemię.

— Ależ, kochany Władziu, w tym coś jest — mówiła wzruszona Helenka. — Widocznie stryj musiał ci tę willę zapisać...

— Dzieciństwo! całe życie usuwał się ode mnie...

— W każdym jednak razie trzeba coś robić.

— Ja też robię rysunki dla Grodzkiego.

W tej chwili przyszedł trzeci telegram:

„Kraków dnia... Władysław Wilski, inżynier-mecha-

nik w Warszawie. — Zmarły Edward Wilski zapisał panu sto tysięcy reńskich gotówką, pięćkroć w nieru

chomościach. Testament u mnie. Pogrzeb wczoraj. Czekam na polecenia.

Adwokat Y"

— Czy to być może, Władziu?... — krzyknęła Helenka klaszcząc w ręce.

W pokoju stał woźny z telegrafu.

— Winszuję jaśnie wielmożnemu panu dobrej no- winyl — rzekł. Władysław dał mu złotówkę. Woźny wyszedł skrobiąc się w głowę i mruczając.

— Władziu! — zawołała znowu Helenka — ty musisz iść...

— Dokąd?

— Czy ja wiem dokąd?... chyba do telegrafu.

— Po co?

— Czy ja wiem po co?... O Boże! jakież to szczęście!...

Wyszła do swego pokoiku i klękła przed obrazem.

W tej chwili jednak zerwała się, wybiegła do kuchni i uściskała zdziwioną i uradowaną Mateuszową. Potem znowu uklękła i zmówiła pacierz.

Wróciwszy do pracowni zastała męża rysującego.

— Ależ daj pokój, Władziu! — zawołała. — Czy może być, aby to ciebie nie obeszło!... Doprawdy, że ja się ciebie boję!... Ile to na nasze pieniądze wyniesie?...

— Prawie pół miliona rubli — odpowiedział spokojnie Wilski.

— I ty się nie cieszysz nic?... Nic, ale to zupełnie nic?...

Władysław położył ołówek, wziął żonę za ręce i topiąc w niej wzrok poważny, rzekł:

— Powiedz mi, Heluniu, czy od tych kilkunastu minut przybyło mi sił, zdrowia, rozumu, uczciwości?... Prawda, że nie!... A przecież to są największe skarby.

— Zawsze jednak pół miliona...

Jesteśmy tylko kasjerami, w rzeczywistości bo-

wiem pieniądze te nie do nas należą. Powiedz sama, czy potrafimy je przejeść, przepić lub wydać na zabawy, a zresztą czyby to było uczciwe?...

Helena uwiesiła mu się na szyi i okryła pocałunkami.

— O mój mężu! — zawołała. — Nie rozumiem cię, ale widzę, żeś zupełnie inny niż wszyscy ludzie.

Niedługo potem, jakby nic nigdy nie zaszło, zmieniła kanarkowi wodę, dosypała siemienia i wzięła się do szycia koszul męzowskich.

„To płótno — myślała — jest tak grube, jak było pierwej. Dobrze mówi Władzio, że majątek nic nie zmienia!”

Była już zupełnie spokojną.

Wilski tymczasem wciąż rysował. Gdy zapadł zmrok, począł chodzić w milczeniu po swojej pracowni, potem zapalił światło i zbliżył się znowu do rajzbretu.

Teraz dostrzegł, że zrobił w planie ważną omyłkę. Rozdarł go więc i na skrawku papieru zaczął pisać jakieś proporcje i cyfry pojedyncze, z których ostatnią była: dwadzieścia pięć tysięcy.

- Dwadzieścia pięć tysięcy! — szepnął — to znaczy przeszło sześćdziesiąt rubli dziennie bez pracy i kłopotów!...

W czym by to umieścić? — mówił dalej. — Papiery ciągle zmieniają wartość, a przy tym pożar... złodzieje!... Banki?... Któryż bank daje bezwzględną pewność!... Domy... A wojna i bombardowanie?...

„Prawdziwe szczęście — przypomniał mu Epiktet — trwa wiecznie i nie może być zniszczone. Wszystko, co nie posiada tych dwu własności, nie jest prawdziwym szczęściem.”

Wilski słyszał echo tych wyrazów w swej duszy, lecz nie rozumiał ich. Czuł, że w tej chwili pewne zdania są dla niego tylko pustym dźwiękiem i że ich treść pierzchła wraz z ubóstwem. Natomiast z głębin umysłu jego

wynurzyły się inne zdania, dziwnym jakimś, nie znanym mu dotychczas opromienione blaskiem*.

„Najwyższa zręczność — mówił La Rochefoucauld — polega na tym, aby dokładnie znać prawdziwą wartość rzeczy-”

— To pewna — szepnął Wilski — że nie znam dotychczas wartości dwudziestu pięciu tysięcy rocznego dochodu.

Było już późno. Znużona Helenka ostrożnie uchyliła drzwi.

— Ty jeszcze pracujesz, Władziu?

— Tak — odpowiedział nie podnosząc głowy.

— Dobranoc ci!... Takie masz gorące czoło!...

— Jak zwykle.

— Mógłbyś dziś wcześniej się położyć, masz już przecie majątek... Dobranoc!

Omyliła się. Miliony odbierają sen.

Teraz przyszedł Władysławowi na myśl Grodzki. Wspomnienie inżyniera spotęgowało rumieńce na jego twarzy.

— Dobry chłopak — rzekł — ale strasznie szorstki.

Z kolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciotce, biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo obiady dawał, o ludziach nie mających roboty, o projektach obraehowanych na ogólny pożytek, i niewymowna gorycz napełniła mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym się poznał w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z po-
błażliwym uśmiechem i w konkluzji rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych, mają jedną dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wi-
zykatorii dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!.*

— Tak! — szepnął Władysław. — Majątek mój jest

Pierwsze kroki

Szatan i obłąd panują zawsze w nocy; dzień Jesf ojcem zdrowego sądu. Wilski z rana wstydził się wczorajszych przywidzeń i myślał spokojnie o obowiązkach, nie wiem...

— Może nasze miliony? — spytał z uśmiechem. Nie odpowiedziała nic i zasnęła znowu.

za iJuzy na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego z nich wypadłoby niecałe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg medytacyj. Wilski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju jak człowiek, który już wie co mu robić wypada.

„Cnoty toną w interesie jak rzeki w morzu” — powiedział La Rochefoucauld. Miał rację.

Władysławowi głowa pałała, pulsa biły jak młoty. Otworzył lufcik i odetchnął głęboko. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród po- mroki niknie przeciwległa ściana pracowni odsłaniając przed jego oczyma wykwinny buduar pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu, pokrytym ciemnozielonym aksamitem, siedziała, a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwyty na śniadej twarzy.

„Mów cokolwiek! — szeptało widmo. •— Niech usłyszę głos twój...”

— Ach! ach! — rozległ się jęk w pokoju HelenkL

Wilski wybiegł tam.

— Co ci jest, Hehmiu?.., — zawołał.

— To ty, Władziu?... Nic... śniło mi się coś, zresztą

których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy. ■

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw, i projekta, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swej fortunie Grodzkiemu i wezwać go na wspólnika.

Do czego na wspólnika? — jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy usłyszał, że go ktoś woła. Obejrzał się i zobaczył karete, z której wysiadał Welt.

—r Szedłeś pan do mnie! -r- rzekł bankier tonem niezachwianej pewności, i— Winszuję! Podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

—O czym pan mówisz?

—Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi i dziś nawet mogę panu ofiarować sto tysięcy na osiem procent. Nigdzie pan taniej nie dostaniesz

Oszołomiony Władysław milczał.

—Naturalnie, zgadzasz się pan — mówił dalej Welt — Siądźmy do mojej karety... Musisz się pan wyekwipować przyzwoicie. Zaraz panu odłożę pieniądze, a w wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, które mnie zachwyca! Stangret, zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Wilski, to moja zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu, bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelci.

Wilski machinalnie poszedł na górę i za chwilę już był w salonie. Czekał minutę... dwie... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę zmienionym głosem rzekła:

— Dawnośmy się nie widzieli!... Na twarz jej wybiegł rumieniec. Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałem się o pańskim... nie wiem, jak nazwać... Ludzie nazywają to szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze... serdecznie panu winszuję!

Wilski pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna. Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z pewnego rodzaju przymusem, następnie śmieiej. Nagle usłyszeli na schodach głos Welta.

Pani Amelia zmieniła przedmiot rozmowy i zapytała prędko:

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedyż?

— Jeszcze dokładnie nie wiem.

— Ja chciałabym także wyjechać.

— Kiedy? — spytał znowu Wilski czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelia zawahała się.

— To jeszcze nie jest pewne — rzekła. Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczór... — dodała szybko, stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilę razem, po czym zabrał Wilskiego do swej kancelarii. Tara przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie poże» gnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie — rzekł bankier w końcu — jestem człowiekiem, którego do rany przyłożyć można. Ja dla pro-

jektów pańskich miałem zawsze wielką sympatią ! gdyby nie... No. pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!..* Sądzą także, że nie pogniewasz się pan na Amelnię, jeżeli powiem że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumieniu się Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiek pomysłowy i szczęśliwy, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już we drzwiach, Welt zawołał:

—Ale!... ale... Wiesz pan co?... Mówmy sobie ty i Między przyjaciółmi i wspólnikami nie powinno być ceremonii, To moja zasada, Władziu!

Wróciwszy do domu, Wilski zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali, i kilka próśb od osób ubogich, które cudem chyba dowiedziały się o jego fortunie.

—Oto jest natura ludzka! — rzekł ze śmiechem.

—W każdym jednak razie wesprzesz. Władziu, tych biedaków Któż wie, czy i oni już od dawna ostatniego rubla nie wydali? — odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć; śmiejąc się. opowiedział żonie o serdeczności Welta. pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczór musi wyjechać do Krakowa.

—To pojutrze! — szepnęła Helenka blednąc. — Tak mi będzie smutno...

Uścisnął ją i już nic więcej nie mówili o podróży.

Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

—Wziąłem na Krakowskim pięć pokoi, przedpokój i kuchnię za osiemset rubli...

—Tak nam tu było dobrze! — odpowiedziała Helenka. — O!... już na nowym mieszkaniu nie spotka nas szczęście.

—Prócz tego — mówił mąż — będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszową?

— Ach! prawda.. Zresztą, pomyślimy o niej jeszcze. Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny pochmurny i słotny. Wilski był zadumany Helenka wzdychała. Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczora.

.Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprowadzę cię na kolej, dobrze?...

— Daj pokój, aniołku, możesz się zaziębić. O dziewiątej na podwórze zajechał powóz. Władysław powoli włożył paletot i torbę podróżną.

W pokoju śmiertelne panowało milczenie...

— Za parę tygodni wrócę... — rzekł stłumionym głosem.

— Wrócisz?... — szepnęła Helenka opierając głowę na jego piersiach.

W tej chwili jakiś szorstki przedmiot dotknął ręki Wilskiego. To stara Mateuszowa całowała go.

Wybiegł śpiesznie za drzwi, lecz w połowie schodów zatrzymał się.

Zdawało mu się, że go ktoś obejmuje za nogi.

Chwilę pomyślał i wrócił na górę głęboko wzruszony. Stojąca w przedpokoju Helenka upadła mu na szyję i rzewnie płakała.

— O, nie zapomnij o mnie! — mówiła łkając. Powtórnie wyszedł, a tym razem wybiegła za nim

Helenka.

— Władziu!

— Co każesz?

Znowu uwiesiła mu się na szyi, ścisnęła go namiętnie i szeptała:

— Nie zapomnisz?... wrócisz?...

Siedząc w powozie podniósł jeszcze oczy do góry i w oknie drugiego piętra zobaczył uchyloną roletę i jakiś cień. Powóz wyjechał z podwórza.

„O, nie zapomnij o mnie...”

Mgła zawisła nad ulicami, latarnie Tzucwały czerwony blask, dokoła rozlegały się kroki przechodniów i turkot wozów.

„Nie zapomnisz?... wrócisz?... ** — szeptało echo.

Wilski dojechał do dworca wzruszony i rozdrażniony. Oddał pakunki tragarzowi i pobiegł wprost do salonu pierwszej klasy.

Zastał tam kilkanaście osób. same twarze obce. To uspokoiło go.

Odetchnął jak człowiek, którego minęło niebezpieczeństwo, i jeszcze raz pożegnał w myśli Helenkę.

W tej chwili usłyszał głos wchodzącego Welta.

— Cudownie! więc i ty wyjeżdżasz?

— Jak widzisz.

— Wyobraź sobie, że i Amelcia jedzie. Wysłałam ją do Krakowa w pewnym interesie, który wymaga... no, wiesz czego?... Tego tylko, co ona ma.

Pani Welt była milcząca i nie w humorze.

Wilski wyszedł po bilet. Gdy wrócił, rzekł bankier ze śmiechem:

— Patrz, co to są kobiety! Onegdaj zdecydowała się jechać, dziś grymasiła, a w tej chwili powiada, że się boi zaziębienia i że chętnie zostałyby do jutra.

- — Może to i słusznie — odparł Wilski chłodno, -r Szkoda, żeś mnie nie zapoznał z interesem, byłbym ci go załatwił.

— Gdzież znowu! Ty masz głowę zaprzątniętą milionami, a tu sprawa pilna i wymaga zimnej krwi. Nią. to tylko ona dobrze załatwi! Zadzwoniono i podróżni poczęli zajmować miejsca. Nagle Władysławowi uderzyła fala krwi do głowy:

ujrzał on między fałdami powłóczystej sukni — kształtną i drobną nóżkę bankierowej...

Na ten widok zapomniał o żonie, o wzruszeniu i o niesmaku, jakiego doznał przed chwilą.

— Siadajże, Władysławie! — krzyknął bankier. Rozległy się okrzyki pożegnania, pociąg ruszył, lecz

Władysław nie uważał tego. Nie mógł tchu złapać.

— Oryginalna pozycja! — odezwała się nagle pani Welt. — W tej chwili widziałam Swiegotnickiego i jestem pewna, że jutro w całej Warszawie mówić będą, że uciekła z panem W asystencji i za upoważnieniem męża.

— I cóż nam to szkodzi? — spytał Wilski topiąc w niej pałające spojrzenie.

— Panu niewiele, mnie więcej! — odparła poważnie.

— W każdym razie fakt już się stał, i cokolwiek... Nie dokończył ujrzawszy wzrok Amelii. Zarazem jednak teraz dopiero zauważył, że byli sami.

Nastało długie milczenie, w ciągu którego bankierowa obojętnie wyglądała przez okno, a Wilski... resztę przytomności utracił.

Nagle tuż przy nogach pani Welt upadła mu rękawiczka. Gdy się schylił, aby ją podnieść, czuł, że rękaw jego paletota obtarł się z lekka o> jej bucik.

Teraz zdało mu się, że w ciele zamiast mięśni ma rozgrzane stalowe sprężyny, że mu piersi pękają lub że go własny oddech spali. Podniósł oczy na Amelię i pomyślał, że gdyby między nią i nim ustawiono mur bagnetów, rozbiłby go jak kępę trzciny.

— Spodziewam się, że mnie pan zapoznasz ze swoją żoną?... Będę panu bardzo wdzięczna!... — rzekła bankierowa głosem, który jak ostrze noża przeszył mu serce.

W milczeniu i gorączce czekał do rana. Gdy pociąg stanął na granicy, Wilski posłał telegram do żony.

Piekielna drabina

W Krakowie Władysław rozszedł się z bankierową prawie na chłodno, a następnie, zajęty interesami, kilka dni jej nie- widział. W ciągu tego czasu zapoznał się bliżej ze stanem swego majątku, odebrał od Helenki parę listów, pełnych tęsknoty i wezwań do przyjazdu i przypomniał też sobie dawnych znajomych, ludzi po większej części ubogich, dla których postanowił coś zrobić.

W końcu pierwszego tygodnia odebrał list z Warszawy i bilet z Krakowa. Poznał pismo na obu i wziął się do pierwszego.

List z Warszawy pisał ubogi student, który u Wil- skich bywał na obiadach co czwartek. Młody człowiek w prostych, lecz serdecznych wyrazach powinszował Władysławowi spadku i wyraził żal z tego powodu, że nie mógł go przed wyjazdem osobiście pożegnać.

— Biedaczysko! — rzekł Władysław. — Spróbuję też posłać mu pieniądze. Wiem, że się nie obrazi, gdy z nim szczerze, choć listownie pogadam.

Następnie otworzył bilet, który zawierał te słowa:

„Nigdy nie spodziewałam się, abyś pan mógł skazać swoją współrodaczkę na śmierć z nudów. Czekam dziś z herbatą. A bientót — A. Welt.”

Wilski ruszył ramionami. Ponieważ zaś było dosyć .wcześnie, wyszedł więc do miasta.

Błądząc machinalnie po ulicach dostrzegł na jednej z nich sklep szewcki z wystawą, a na niej, między obfitą kolekcją różnokolorowego obuwia — mały, czarny węgierski bucik.

Postał tu chwilę i znowu począł błądzić. Na twarz wystąpiły mu ciemne rumieńce, a umysł opanowały I>omieszane marzenia.

I widział się w Warszawie, w ciasnej izdebce na poddaszu. Pokój był zimny, a on zrozpaczony i głodny.

Nagle Uchyliły się drzwi i stanął w nich jakiś człowiek niski, pękaty i uśmiechnięty, z czapką w ręku. Był to sąsiad jego z poddasza, ubogi rękawicznik.

— Co pan każe? — spytał go Władysław.

— Ja nie każę, ja przyszedłem prosić — odparł gość. — Panie! — mówił dalej — co tu między nami w bawełnę owijać. Niech mi pan zrobi jedną łaskę...

— Jaka, panie?

— Niech pan pozwoli u siebie w piecu zapalić i obiad sobie przysłać!

— Ależ...

— Już wiem, co pan powie — przerwał rękawicznik — ale to się na nic nie zda. Pan jesteś młody, uczony, możesz jeszcze mieć stanowisko na świecie i jeżeli nie mnie, to dzieciom moim oddasz te obiady z procentem... No, panie!... bo nie odejdę stąd.

I z tymi słowami zacny człowiek wyciągnął do Władysława rękę.

Biedacy uściskali się i nastąpiła zgoda.

W tej chwili między tym obrazem z przeszłości a bogaczem teraźniejszości stało widmo czarnego węgierskiego bucika.

Władysław ocknął się i poszedł do bankierowej.

Zastał ją w salonie z bukietem róż. Uśmiechnęła się i podając mu rękę rzekła tonem łagodnej wymówki:

— Nie powinnam się witać z panem! •

— Tłomaczą mnie zajęcia — odparł Władysław

— Ale wytłomaczą pana wtedy dopiero, jeżeli dzisiejszy wieczór mnie poświęcisz. Bywam niekiedy dziwnie zmęczona, a gdybym wówczas nie zobaczyła twarzy sympatycznej i nie usłyszała głosu...
...Czy ja wiem, co bym zrobiła?!...

.Wilski słuchał jej zdumiony i rozmarzony...

Cały wieczór mówili o kwiatach, o wiośnie i okoli-

cach górskich, Jak student z pensjonarką, półgłosem, jak w pokoju chorego.

Około jedynastej Władysław, zabierając się już do odejścia, rzekł:

— Czy dasz mi, pani, jeden z tych kwiatów?

— Na co?...

— Na pamiątką dnia dzisiejszego.

— To prawda — odparła — że w życiu mało jest dni podobnych.

A potem, urywając różą, dodała:

— Weź ją pan jako symbol naszej przyjaźni.

Oczy jej były wilgotne.

Władysław wrócił do domu jak pijany, nie wiedząc, co myśleć i w co wierzyć. Gdy upadł na łóżko, drżał jak w febrze i usnął w gorączce mrużąc przez zaciśnięte zęby:

— Bądź co bądź, ona mnie kochała... Byłbym bydlęciem, gdybym odpychał to szczęście lub rujnował je niecierpliwością...

Na drugi dzień został przez panią Welt zaproszony na obiad. Przed wyjściem przypomniał sobie ubogiego studenta i posłał mu pieniądze wraz z krótkim listem, który podług niego był bardzo przyjacielski, w istocie zaś wskazywał oziębłość i roztargnienie.

Od tej pory los jego był już zdecydowany. Do żony pisywał listy coraz rzadziej, donosząc jej o powikłaniu interesów, u bankierowej zaś bywał coraz częściej i dłużej. Wierny jednak zasadzie cierpliwości zadawał się rozmową, uściskiem ręki i spojrzeniami, które co dzień stawały się bardziej rozmarzone i namiętne.

Niekiedy zdawało mu się, że nowicjat jego trwa zbyt długo. Wówczas próbował być śmielszym, lecz pani Welt jednocześnie stawała się ozięblejszą, Władysław szalał. Bywały chwile, że chciał wracać do Warszawy, lecz postanowienia jego prędko słabły i mówił:

— Jeszcze jeden dzień... ostatni!...

Była już połowa maja. Bankier naglił żonę do powrotu i pani Amelia coraz częściej poczęła # o tym wspominać.

— Jeszcze jeden dzień tylko!... — prosił Wilski.

— Mai z pan racją — odpowiedziała i znowu zostawali.

Interesa były już ukończone, dobra po nieboszczyku sprzedane, gotówka w rękach Władysława, ale on o to nie dbał, dla niego cały świat skupia) się w gabinecie bankierowej, a całe życie streszczało się w tej jednej myśli:

„Jeszcze jeden dzień!...”

Milionowy spadek był złotą nicią, po której do duszy jego wkradła się straszna choroba. Wiedział o niej, rozumiał, że się z niej uleczyć potrzeba, i czuł, że się uleczy, ale kiedy?...

Przekłete szczęście!

Pewnego dnia odebrał dwa listy z Warszawy.

Jeden był z pieniędzmi i pochodził od ubogiego studenta. Młodzieniec zwracał przysłane banknoty i w słowach pełnych szacunku, ale też i wielkiego żalu dał mu poznać, że nie prosił o jałmużnę i że jej nie przyjmuje.

— 2le się stało — szepnął zmartwiony Władysław — lecz spróbujemy to odrobić.

Przekłete szczęście!

Drugi list był od żony.

Helenka donosiła, że złożyli jej wizytę bogaci krewni. których znała w dzieciństwie. Państwo ci gwałtem zapraszali ją na wieś dodając, że ponieważ sami wyjeżdżają za granicę, ofiarują jej więc cały dom. Tak byli pewni, że ofiary ięń nie odrzuci, iż zostawili w Warszawie swój powóz 1 służącego.

W dopisku ostrożnie nadmieniła, że i lekarze kazali jej na wieś wyjechać.

W końcu- czerwca Welt wyjechał za granicę zostawiając majątek pod opieką żony, a żonę pod opieką przyjaciela. Miasto trzęsło się od plotek, o których osoby interesowane, jak zwykle, najmniej wiedziały.

Helenka pisywała do męża niewiele i rzadko. Gdyby O powrocie jednak Władysława nie było żadnej wzmianki. On przecież uwagi na to nie zwrócił, i nic dziwnego! Nie był Duchem Świętym, aby wiedzieć, co w Warszawie mówią o jego stosunkach z bankierową.

Mimo to list ten przeraził Wilskiego.

„Helenka widocznie jest chora — myślał. — Może to co groźnego?... Muszę wracać.”

Wieczorem jak zwykle poszedł do pani Welt, a gdy od niej wrócił, napisał Ust do żony. Prosił ją, aby koniecznie na wieś wyjechała, i doniósł, że wkrótce sam do niej przyjedzie.

Nim zasnął, zdawało mu się, że widzi żonę swoją bladą i smutną, która z ogromnej odległości wyciąga do niego rączki szczupłe i jak alabaster przejrzyste.

„Ty wrócisz?...” — mówiło echo.

— Jeżeli zobaczę Helenkę, wyrzeknę się Amelii — szepnął, a potem dodał: — Zrobiłbym wielkie głupstwo!...

Obudziwszy się wysłał list, a w parę dni potem odebrał telegram że Helenka już wyjechała na wieś.

Pobiegł do pani Welt i wesoło zawołał:

— Wracajmy!

— Czas już wielki — odpowiedziała.

I wrócili znowu razem i znowu na dawnej stopie.

„Jeszcze jeden dzień!...” — myślał Władysław.

Przeklęte szczęście!...

uważniej czytywał jej listy, uleczyłby się może prędeż. Na nieszczęście, nie był teraz zdolnym do tego. Pływały miesiące, a on szalał i mizerniał, zaniedbując wszystko i wszystkich. Pani Welt dostrzegła to i gdy raz byli sami, rzekła:

— Wyglądasz pan dziś bardzo interesująco.

— Czy nie domyślasz się pani powodu? — zapytał stłumionym głosem.

— Mój Boże! znam się wprawdzie trochę na finansowości, ale o medycynie nie mam pojęcia— odpowiedziała patrząc na brylant swego pierścionka.

— W tym razie wystarcza znajomość najpospolitszych uczuć ludzkich!... — rzekł przysuwając do niej krzeselko.

— Najpospolitsze uczucia ludzkie nie zasługują na to, aby się nimi zajmować — odparła wyniośle.

Wilski zerwał się z krzesła i w najwyższym wzburzeniu zawołał: Czuję, że powinienem uciec od pani!...

— A ja czuję, że powinieneś pan zostać! — szepnęła patrząc mu figlarnie w oczy.

Władysław usiadł znowu i wziął ją za rękę. W tej samej chwili jednak ktoś zadzwonił i wszedł do salonu.

W końcu sierpnia, kiedy miłosne uniesienia Władysława dosięgły zenitu, odebrał on od Grodzkiego z Londynu telegram tej treści: „Z modelami zrobiłeś mi przykry zawód. Odeszlij przynajmniej notatkę, którą ci zostawiłem.”

Depesza ta rozgniewała Wilskiego, bez namysłu więc odpisał: „Zwracam pieniądze, notatka gdzieś zginęła.” Na to nie odebrał już odpowiedzi. Większą część dnia przesiadywał u bankierowej. Gdy była z nim, pożerał ją wzrokiem; gdy wyszła, myślał

o niej lub z rozkosznym niepokojem przysłuchiwał się szelestowi jej sukni.

Pewnego dnia, w czasie jej nieobecności, ukląkł i ucałował miejsce na dywanie, które zazwyczaj dotykały -jej stopy.

Począł miewać widzenia na jawie coraz częstsze a niekiedy symboliczne. Raz zdawało mu się, że na skrzydłach z listów zastawnych wzleciał na szczyt wysokiej skały, z której zaraz potem spadł w przepaść.

Innego dnia, jakoś we wrześniu, wracając do swego mieszkania spotkał na schodach dawną znajomość. Był to ów litościwy sąsiad z poddasza, rękawicznik, strasznie wynędzniały i ubogo ubrany.

— Ach! to pan?... — rzekł Władysław otwierając drzwi.

— A ja! Przyszedłem... Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowiu jaśnie pana—odparł biedak zdejmując czanekę.

— Dziękuję! Tak, mam się nieźle! — rzekł Wilski i zamknął drzwi za sobą.

W kilka godzin później pomyślał, że niegdyś karmicie! iego musi być w ciężkiej potrzebie. Zaprzagnął dowiedzieć się o jego mieszkaniu i w tym celu chciał zadzwonić, do służącego. Wyciągnął nawet rękę, ale że dzwonek stał na drugim końcu biurka, dał więc pokój.

Nie było to znużenie ciała, ale coś na kształt psucia się duszy. Piorun orzeźwiłby go niewątpliwie.

Miewał też chwile opamiętania. W jednej z takich chwil rzekł do siebie:

„Trzeba raz skończyć!...”

Postanowienie to musiało być bardzo poważne, Wilski bowiem orzeźwił się po nim i z wyrazem stanowczości w fizjonomii poszedł do bankierowej.

Zastał ją w karecie; wyjeżdżała właśnie do Botanicznego Ogrodu.

Otrzymawszy zezwolenie usiadł obok niej | pojechali razem.

Gdy byli w ogrodzie, Amelia rzekła: Patrz pan, jak już liście więdną! Liście Więdną, serca więdną... Tylko kiedy dla pierwszych wiosna powtarza się co rok, dla drugich jedna jest tylko wiosna i jedna jesień.

Słowa to były prorocze, on jednak nie wiedział, do kogo się odnosiły.

, Zajęli ławkę na małym wzgórzu, skąd cudny roztaczał się widok.

— Tu — mówiła Amelia — gnieźdzą się w maju roje słowików.

Często siadałam tu i przysłuchiwałam się ich śpiewom. Ale teraz już odleciały...

Wilski oparł rękę na kolanie, głowę na rękę i milcząc patrzył w ziemię.

— Uważam, że jesteś pan jakiś nieswój.

— Masz pani racją! — odparł podnosząc głowę — nie jestem swój, ale...

— Ale?

— Ale... twój!...

Wziął ją za rękę; uściśnęła go lekko i patrzyła mu w oczy dobrotliwie.

Uczuł gwałtowne bicie serca, szum w uszach i... przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się.

Wtedy otoczył ją ramieniem i przysunął swoją pałającą twarz do jej twarzy.

— Nareszcie!... — szepnął.

— Panie! — zawołała błagalnym głosem — zaklinam cię, wyjdźmy stąd...

Powstał już inny. Czuł siły i pewność siebie, o których od dawna zapomniał. Podał Amelii rękę, przyjęła i szła niepewnym krokiem.

Gdy siedli do karety, osunęła się w głąb i przymknęła oczy. Konie pędziły jak wiatr, a w kilka minut potem byli już w domu.

Wbiegła prędko na schody i weszła do buduaru, a Wilski obok niej.
Gdy padła na fotel, ukląkł i przypił się do jej ręki.

— Ty mnie kochasz — mówił — powiedz, że mnie kochasz. Niech, choć raz dowiem się prawdyl...

W pokojach był mrok.

Wróciwszy do domu zasnął twardo i sen cofnął go o kilka miesięcy wstecz. Marzył, że się żegna z Helunią.

Zona jego była dziwnie mizerna; z jej niegdyś szafirowych, a teraz pobladłych oczu płynęły łzy. -Uwiesiła mu się na szyi. lekka i nieujęta jak mgła, i bezdźwięcznym głosem szeptała:

— Powrócisz?... ty powrócisz!

Zerwał się na równe nogi i uczył na twarzy dwie łzy gorące. Pot zimny oblał go, ręce mu drżały.

Była dopiero czwarta rano.

Nie położył się już i sam na kominku ogień rozpałił.

Siedząc przed ogniskiem patrzył na dogorywające główne i myślał...

Co myślał? Ty, Stwórco, znasz niepokoje sumienia, które szarpia kły zgryzot!

Około siódmej rzekł:

— Jestem już inny!.-

Pewnym jest, że miliony swoje oddałby teraz za żebracze łachmany, byleby w fałdach ich znalazł spokój- ność.

Przeklęte szczęście!

VIII

De Profundtt

— Tak, jestem inny! — mówił Władysław. — Gdy los zdjął ze mnie uzdę niedostatku, zawróciło mi się trochę w głowie, ale dziś wytrzeźwiałem.

Zresztą, może się i lepiej stało. Nabrałem doświadczenia, a choć straciłem trochę czasu, majątek przecież jest nietknięty!...

W tej chwili przyszła mu na myśl żona. Wyjął jej fotografią z biurka i wpatrywał się długo i rzewnie.

— Czy przebaczysz mi?...

Uśmiechnięte usta Heluni z całą łatwością- wyszeptały wyraz przebaczenia, lecz niestety! uśmiech ten z innych pochodził czasów. Wilski był wesoły jak dziecko; otworzył okno, z rozkoszą upajał się chłodnym powietrzem poranku i cieszył się widokiem złotych chmur, które wędrowały, Bóg wie skąd, może z tamtych stron, gdzie Helenka mieszka obecnie?

— O, gdybym ci mógł teraz upaść do nóg, aniele mój, najczystsza duszo!... — szepnął.

Zadzwoił, wszedł służący.

— Zamów mi ekstrapocztę na dziś wieczór, na dzie^e wiaątą — rzekł Wilski.

— Rozumiem...

— Ale, ale!... Co się stało z naszym kanarkiem? : Zdechł, proszę jaśnie pana.

— Kupże teraz dwa: samca i samiczkę, i klatkę z gniazdem.

Służący wyszedł.

— Jerzy! — zawołał znowu Wilski, a gdy służący wrócił, dodał:

— Czy nie wiesz, co się dzieje z Mateuszową, która u nas dawniej służyła?

— Służy teraz na Piwnej ulicy; była tu nawet parę razy.

— Sprowadzisz ją do mnie i powiesz, żeby podziękowała za miejsce, bo wróci do nas.

Po chwili dodał:

— Jeszcze słowo! Gdzie mój warsztat i narzędzia?

— Na strychu, jaśnie panie.

— Trzeba je oczyścić i ustawić w moim pokoju. Służący wyszedł trzymając się za głowę.

— Chryste elejson! — mówił prostaczek — a to coś do niego przystąpiło!... Jeszcze i nas gotów porozpędzać.

(za chwilę podzielił się wiadomościami z kucharką i pokojówką. Wilski tymczasem szybko ubierał się mówiąc*.

— Ucieszy się, gdy jej wszystko opowiem. O Helu- niul... O błogosławione miliony!...

Począł coś wesołego gwizdać, lecz nie tyle z radości, ile raczej dla przytłumienia niepokoju, który gdzieś na dnie duszy nurtował.

Gdy wyjechał do miasta, wstąpił do biura telegrafu i napisał do Grodzkiego depezę:

„Serdecznie cię przepraszam za mimowolny zawód. Byłem chory. Przyjeżdżaj natychmiast, najlepiej od razu z dymisją."

Telegram ten wysłał do Londynu i Petersburga.

— Dzielny to umysł! — mówił Władysław. — Przy jego pomocy odgrzebię najpraktyczniejszy z moich planów i zacznę żyć...

...Dla ciebie, Heluniu! a przez ciebie dla innych... Potem pojechał do uniwersytetu zasięgnąć wiadomości o ubogim studencie. Po wielu poszukiwaniach spotkał jego kolegę.

— Co się dzieje z W.? — spytał.

— Dokładnie panu nie potrafię powiedzieć — odparł student. — Wiem tylko, że się wypisał z uniwersytetu i wyjechał na guwernerkę, gdzieś aż na Podole.

— Dlaczego się wypisał? — zawołał przerażony Władysław.

— Co pan chce! Trudno się uczyć, mając w gotowiż- nie dziesięć palców.

— To pierwszy! — mruknął Wilski i pojechał do biura adresowego dowiedzieć się o rękawiczniku.

Dano mu trzy adresy.

Jeden z nich zaprowadził go na ulicę Ogrodową, gdzie znalazł jakiegoś nieznanego człowieka.

— Mam jeszcze dwa!

Zamknął oczy i ciągnął na los szczęścia. Tym razem pojechał na Pragę i dowiedział się, że adresat jest brukarzem.

Z trzecią kartką dostał się aż pod Wolskie roгатki. Wszedł do parterowego drewnianego domku i znalazł w nim izbę ciasną, ciemną i wilgotną, lecz próżną.

— Gdzie jest rękawicznik, który tu mieszkał? — spytał stróża, dając mu rubla do ręki.

— Kto go tam wie, jaśnie panie! Tydzień temu, jak go zlicytowali i podział się gdzieś z synkiem.

— Miał przecież żonę i troje dzieci?

— Żonę? Mieszkał tu od św. Jana, alem żony nie widział, a dwoje najstarszych dzieci zmarły jeszcze w sierpniu.

— Drugi... trzeci i czwarty... — szepnął Wilski. — Chciałem do Helenki pojechać z faktami, ale mi ich, widać, zabraknie... O Boże! Nad wieczorem znalazł w biurze telegraficznym odpowiedź. Z Petersburga odpisano: „Grodzki jeszcze nie wrócił.” Z Londynu zaś: „Grodzki wyj tchał.”

„Pewnie wraca morzem” — pomyślał Władysław i wysłał znowu telegram do Petersburga błagając przyjaciela, aby natychmiast przyjechał.

Tymczasem Grodzki wracał lądem i już opuścił Berlin. Depesze nie znalazły go.

Wilski od rana nie był u siebie i nic nie jadł; trucizna niepokoju starczyła mu za najlepsze potrawy.

Do domu też wrócić nie miał odwagi; wszedł więc do Saskiego Ogrodu, upadł na ławkę i pogrążył się w bolesnych dumaniach.

— Cztery ofiary!... — mówił. — Ja jestem winien, to prawda!... ale za co oni cierpieli i cierpią?

Zapomniał, że ludźmi prócz praw moralnych rządzą jeszcze prawa fizyczne. Zapomniał też, że społeczeństwo jest całością, w której gdy jedna cząstka nie pełni swoich obowiązków, giną inne.

Gdy wrócił do mieszkania, służący, który mu drzwi otworzył, patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Czy nie było kogo? — spytał Wilski.

Był list.

Władysław chciał zapalić świecę, ale rozsypał zapalki. Palce zeszytniały mu i służący musiał go wyręczyć.

List pisany przez nieznaną osobę był tej treści:

„Wielmożny Panie i Dobrodzieju!

Aczkolwiek obcy, ośmielam się wziąć pióro do ręki i parę tych wyrazów w interesie jego zacnej i świątobliwej małżonki nakreślić.

Do tej pory wyraźne życzę* nie tej szlachetnej i wzorowej pod każdym względem białogłowy postanowienia moje hamowało.

Nie mówiąc wiele, bo to w podobnych wypadkach jest najgorsze i często prowadzi do wyrzeczenia tego, czego człowiek by nie chciał, uwiadamiam Wielmożnego Pana Dobrodzieja z wszelką ostrożnością, że też Jego najszanowniejsza małżonka ma się wcale niedobrze. Powiedziałbym: bardzo niedobrze, ale nie chcę przedwcześnie trapić go wiadomościami, które i tak zbyt prędko, niestety!..."

Wilski już nie kończył. Spojrzał tylko na drugą stronę zapisanego arkusza i przekonał się, że list pochodzi od miejscowego proboszcza. Z gorączkowym pośpiechem narzucił na siebie futro,

wziął pieniądze i w tej chwili wyjechał na pocztę, gdzie zażądał czterech koni. W godzinę potem był już daleko za miastem.

Na drugi dzień, około piątej wieczorem, pocztylion z ostatniej stacji, który wioził Władysława, odwrócił się do niego i wskazując biczyskiem na wzgórek, okryty żółkniejącymi już drzewami, rzekł:

— Oto tu, jaśnie panie, folwark Boża Wola...

— Boża Wola? — powtórzył Wilski.

— Piękny majątek, jaśnie panie!... Ziemia pszenna, las nie wycięty, nowy dwór, na stawie młyn... Zwyczajnie, jak u rzetelnej szlachty.

— Boża Wola!..., — wyszeptał Władysław. Przejeżdżali około ogrodu, spoza obumierających

drzew którego widać było białe ściany dworu. Wilski rzucił pocztylionowi pięć rubli, wysiadł z bryczki i przeskoczył niskie sztachety.

— O, to mu pilno!... — dziwił się pocztylion trzymając czapkę w rękach.

Władysław zadyszany, nieprzytomny przebiegł ogród i stanąwszy na szczycie wzgóрка, przez szklane drzwi oplecionego winogradem ganeczku, ujrzał kilka wysokich świec, ustawionych w jednym rzędzie-

Zamknięte na klucz drzwi prysły pod naciskiem jego ręki.

Na niskiej, okrytej dywanem sofie, w czarnej wełnianej sukience (którą znał tak dobrze w dniach ubóstwa!), z krzyżem w głowach i świętym obrazkiem w rączkach, otoczone zapalonymi świecami leżały zwłoki Heluni.

Wilski usiadł na krześle, oparł załamane dłonie na kolanach i patrzył bezmyślnie na jedną ze świec, z której duże krople roztopionego wosku spływały.

W uchylonych drzwiach widać było głowy ciekawej służby, która szeptała między sobą:

— To pewno mąż?... Jużci, że mąż!...

Po upływie paru minut weszła jakaś stara kobieta, widocznie szafarka. Przeżegnała się, parę razy westchnęła i stanąwszy obok Władysława poczęła mówić szpitalnym głosem:

— Ach! biedactwo, a takie młode i dobraneńkie!... że też to Bóg miłosierny nie wolał śmierci na mnie siarą dopuścić!... Robiłam ja, panie, com mogła. Dawałam jej mleka co dzień świeżego, wody żywej, kwasu ogórkowego, okadzałam, zażegnawałam, ale wszystko na nic! Choruteńka już, nieboże, przyjechała z Warszawy!... Mówiłam nieraz: trzeba jaśnie panu dać znać, ale ona: nie!... i nie!... A w ostatnim już tygodniu powiedziała: „Moja Borkosiu! wynieście mnie na górkę, stamtąd lepiej widać!...” I po całych dniach, mówię panu, nic — tylko słuchała, czy gdzie bryczka nie zatrajkuje, czy kto drzwiami nie skrzypnie. Ale że nikt nie jechał ani wchodził, to mówiła po cichu: „Oj! już ja go, widać, nigdy nie zobaczę... Nigdy!...” W ostatnim dniu kazała sobie dać papier i ołówek. Myślałam, że będzie list pisać, gołąbka moja, ale gdzie zaś!... Pisała tylko: „Władzio... Władzio... mój Władzio!... Już nigdy nie wróci!...” Ale prawda! jaśnie pan po podróży. Może pan jajeczniczy pozwoli, bo tak na razie nie ma nic z mięsa...

Wyszła z pokoju i już za drzwiami kończyła:

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci!...

Władysław wstał z krzesła, popatrzył na żółtą jak wosk twarz zmarłej, na ciemne jak glina powieki i ściskając ją za chłodne i zeszywniałe rączki, szepnął:

. — Heluniu, to ja!...

Zdawało mu się, że widzi żonę swoją w oknie górnego pokoju nasłuchującą turkotu bryczki.

— Heluniu! to ja... — powtórzył. — Już jestem!... spojrzij na mnie...

„O, już go nigdy nie zobaczą!... nigdy!...” — mówiło widmo.

— Ja przecież jestem, spojrzij na mnie, Heluniu!... jęknął Wilski.

„Tak długo czekam i nie doczekam się nigdy!...” — szlochało widmo rozplywając się we mgle.

Na drugi dzień proboszcz i gromadka ludzi odprowadzała czarną trumienkę na wiejski cmentarz. W połowie drogi orszak ten spotkał bryczkę pocztową, z której wyskoczył Grodzki i stanął obok postępującego za trumną Władysława.

Przez cały czas Wilski był prawie nieprzytomny. Nie patrzył na nikogo i milczał.

Na cmentarzu jakiś głos odezwał się:

— Otwórzcie trumnę, może ją jeszcze zechce zobaczyć.

Władysław zdawał się nie słyszeć tego. Nie słyszał też ciężkiego łoskotu brył ziemi walącej się na trumnę ani żalosnych dźwięków pieśni:

Witaj, Królowo nieba i Matko litości!

Gdy już wszyscy towarzyszący pogrzebowi rozeszli się, Grodzki dotknął ramienia Władysława i rzekł:

— Chodź ze mną...

— Jestem przeklęty! — odpowiedział Wilski.

— Jesteś tylko chory. Chodź ze mną.

— Czekala mnie... czy ty słyszysz?... Czekala i czekać będzie w tym strasznym grobie, ale już nie zobaczy mnie nigdy... nigdy!...

. Upadł z jękiem na ziemię, rozkrzyżował ramiona i w konwulsyjnym uścisku objął świeżą mogiłę.

W WALCE Z ŻYCIEM

an Adam był magnatem z magnatów, ale takich, że nawet zwierzętom w ich psiarniach i stajniach działo się nierównie lepiej niż innemu człowiekowi na świecie. Z baszty pałacu nie objął okiem przestrzeni zasianej ich walącymi się co prawda wioskami, nie policzył też pługów, które orały ich wyjałowione pola, aniś wypatrzył końca puszczy hodowanej po to jedynie, aby mnożył się w niej gruby zwierz ku ucieście jaśnie pana i jego łaskawych sąsiadów.

1 było tej puszczy, tych obszarów i wiosek z górą przez kilka wieków W końcu jednak, gdy tęgość rodu osłabła — Żydki, koloniści, dorobkiewiczze i im podobne robactwo poczęło toczyć majątek. Wszyscy oni kłaniali się do samej ziemi, pieniądze znosili chętnie, ale każdy za to coś z dziedzictwa urywał. Ten wziął ogłodzoną wioskę, inny zamulony staw, trzeci rozwaloną gorzelnię, czwarty kawałek lasu, aż wreszcie, za czasów ojca pana Adama, wykłaniali i wyskubali prawie cały majątek. Nieboszczykowi chodziło o to najwięcej, aby piwnica zawsze była pełna, a w kuchni paru zdatnych kucharzy z odpowiednią liczbą kuchtów. O resztę nie dbał wiele i patrząc z zamkowych okien na okolicę wciąż powtarzał: moja puszcza, moje wsie, mój browar — choć tytuł owej własności zapisany był tylko w księgach imaginacji dziedzica.

W czasie tej powolnej i stopniowej ruiny pan Adam

podrafił Widział, że za każdą wioską sprzedaną | ubywa jeden przyjaciel i krewny, jeden sługa i jeden gość z liczby tych, którzy zjeżdżali się na polowania albo imieniny rodziców. Widział, że z każdym dniem niszczej ą ściany pałacu, na pachółkach blaknie liberia, sadzawka zieleń zarasta, Żydzi i koloniści kłaniają się nie tak nisko jak dawniej, a wszelkie dorobkiewiczostwo coraz bardziej kark podnosi. Z tych powodów w duszy jego wyrodził się nieopisany, choć 'naturalny wstręt do ubóstwa i ruiny, a nienawiść do wszelkich ludzi niższych kondycyj, którzy, ile razy mogli, zatruli życie potężnym niegdyś możnowładcom.

Na gruncie tych nienawiści i wstrętów siano w duszę Adama tęsknotę do przeszłej świetności rodu. Znał on na palcach wszystkich książąt i hrabiów, z którymi był spowinowacony, a którzy w epoce upadku usuwali się od niego. Rozpamiętywał świetne łowy, bale ciągnące się po całych tygodniach, klejnoty, które zdobiły suknie jego prababek, służbę i cugi, po których dziś tylko puste miejsce zostało. „Żeby też te dobra i te czasy wróciły kiedy!” — myślał Adam, a jego babka sędziwa matrona, powtarzała mu co dzień:

— Patrz, co się dzieje, i bierz do serca, co ci mówię Adasiu!... Ród wasz mocny był i sławny, pokąd pilnował całości swego gniazda, ale dziadowie i ojciec twój nie dbali o to, a my dziś robimy się pośmiewiskim dla ludzi. Pamiętaj więc, abyś ty i dzieci twoje odzyskał, co stracone... Pamiętaj, że z grobu powstanę przekląć cię, gdybyś zawiódł moje nadzieje!...

Zmarła babka i matka, poszedł za nią i ojciec Adama, rozbiegli się kucharze, ale on nauki pamiętał i myślał o tym, aby znowu rozniecić dogorywający blask starego rodu. Los sprzyjał mu, niedługo bowiem, wbrew popędowi serca, ożenił się z kobietą chorowitą wprowadzając I brzydką, która mu jednak ogromny posag wniosła.

Była chwila, że Adam mógł cały majątek przodków odzyskać, lecz wówczas właśnie inne rzeczy odwróciły jego uwagę. W bogatym, młodym i przystojnym nowo-żeńcu ocknęła się żyłka ojcowska. Trzebaż było mieć przecie powozy i konie, psy i służbę, przyjaciół i kochanki; trzeba było hulać, w karty grać, za granicę jeździć — bo inaczej czymże by się jasny pan od ciemnego pospółstwa wyróżnił? Paryż, Rzym, Wiedeń podziwiała świetność i hojność magnata, a posag tymczasem topniał...

Gdy pan Adam wrócił z żoną do domu, poczuł, że już z jej fortuny resztki tylko zostały. Ze zaś w owej epoce przemysł w kraju popłacał, Adam więc, dla odbicia strat, rzucił się na drogę przemysłową. Widział, że jedni robią interesa na gorzelniach, inni na młynach, i tartakach; dalejże więc budować i tartaki, i młyny, i gorzelnie. Ta ochota trwała lat kilka i w rezultacie zjadła to, co od uciech zagranicznych ocalało.

Tymczasem przyszło na świat dwoje dzieci: syn Mieczysław i córka Helena. Piękne to były stworzenia, a syn zadziwiająco zdolny, lecz oboje nad wszelki wyraz wzięli. Ponieważ pan Adam zajęty był przemysłem i dumaniem o podźwignięciu rodu, na matkę więc spadł ciężar wychowania. Prowadziła je starannie, ale w arcyszczególny sposób. Dzieci jej nie widziały nigdy śniegu pod nogami, bo ich przez zimę trzymano w obszernych, ale zamkniętych komnatach. Nie znały żadnych rozrywek, żadnych ćwiczeń fizycznych, bo to chłopska rzecz, ale za to mówiły trzema językami obcymi, umiały historią i literaturę powszechną, a rozmawiały tak jak profesorowie albo księża.

Dziwny był widok tych chorowitych i pięknych, z oczami rozumnymi i poważnymi obliczami dzieci, które w kłopot wpędzały ludzi oświeconych i dojrzałych. Ciż sami ludzie nieraz do Adama mówili:

— Nie moczyłbyś tak dzieci, bo strasznie wątle i tak już mądre, że w końcu może wam ich Pan Bóg pozazdrościć.

Ale Adam uśmiechał się na te uwagi. Dzieci wychować się muszą, bo przecież Pan Bóg zabierając je zniszczyłby na ziemi ród znakomity, a więc sobie samemu wyrządziłby krzywdę. Że zaś są nad wiek rozwinięte, cudowne prawie— tym lepiej, bo podniosą świetność rodu do nie znanej przedtem potęgi.

I znowu nadeszły złe czasy, znowu różni ludzie poczęli wyszarpywać po kawałku ziemi, ale Adam już nie dbał o to. Miał przecież syna, który spełni — niezawodnie spełni, nadzieje swojej prababki. Oczekując na to pan Adam chodził sobie tymczasem po obszernych salonach i myślał: to o rozrywkach w europejskich stolicach, to o tym, że ktoś z krewnych umierając zapisze mu majątek, to znowu — że gdzieś w piwnicach zamku leżą skarby, które synowi pomogą dziedzictwo' odzyskać, to znowu, że córka wyjdzie za jakiegoś księcia, hrabiego lub w najgorszym razie za członka zwykłej rodziny szlacheckiej, ale tak starej, żeby pochodziła przynajmniej od tych szczurów, które Popiela zjadły.

Tak myślał i wciąż chodził, a marmurowa posadzka i wysokie sklepienia obszernych komnat za każdym jego krokiem szeptały jękliwie:

— Pan!... pan!... pan!...

A jeżeli niekiedy przystanął i wsłuchiwał się w ciszę, zardzewiałe chorągiewki na dachach zdawały się skrzypieć głosem starej gospodyni:

— Jaśnie pan!... jaśnie pan!...

I nie miałże uwierzyć w dostojność swojej krwi człowiek, któremu nawet martwe przedmioty hołd składały?

Wkrótce żona umarła, dzieci dobrze podrosły, a i pan Adam uczył potrzebę wychylenia głowy na świat. Sta

ry pałac męczył go. Za każdą sztukaterią opadającą z sufitów albo cegłą z murów przybywał mu jeden włos siwy i jedna zmarszczka na czole. Wkrótce pałac stał się ruiną: w basztach zamieszkały sowy i nietoperze, komnaty pajęczyna zasnuła, a twarz pana Adama zrobiła się podobną do oblicza posągu, które piorun we wszystkich kierunkach potrzaskał. Nadchodził straszny czas: trzeba było syna wysłać za granicę, aby świat poznał, a tym samym trzeba było sprzedać majątek, który do tej pory nie wychodził z rąk ich rodziny, a z córką przenieść się na bruk miejski.

Aż zdziwił się pan Adam zmianom, jakie po kilkunastoletniej nieobecności znalazł w Warszawie. Dawni jego znajomi i krewni pomarli i została tylko pewna je- nerałowa, staruszka dzieląca czas swój między pasjansę i kojarzenie małżeństw, obcinanie kuponów i modlitwę. Cała zaś klasa wyższa, do której tęsknił, cofnęła się z widowni publicznej gdzieś w kąt, ustępując miejsca ludziom nowym, niekiedy bardzo wątpliwego szlachectwa. Na ulicach karek wprawdzie było pełno, lecz na próżno upatrywałbyś na nich herbów. W teatrach loże jaśniały od pięknych kobiet i sukien strojnych, ale na próżno szukałbyś tam klasycznych a tak dobrze Adamowi znanych rysów. Same pojęcia o zasługach i wartości człowieka uległy niemniej radykalnym zmianom. Wyśmiewano już pytania: „Czym się pieczętujesz?” i „Kto cię rodzi?”, a uwielbiano majątek i pracę. Słuchając tego pan Adam z trwogą myślał, że jeżeli dłużej potrwa podobnie chorobliwy nastrój umysłów, to wkrótce przyjdzie mu walczyć o pierwszeństwo z własnymi pro- pinatorami, którzy robią majątki, i cieślami, którzy przecież pracować umieją!

Na razie zdawało mu się, że wpadł w jakiś odmet. W salonach towarzystwa spotykał dorobkiewiczów, którzy niebawem poczęli mu składać wizyty i których on

sam rewizytować musiał. Nowokreowani baronowie i hrabiowie spod wiedeńskiego stempla imponowali mu elegancją. Bankierzy i przemysłowcy usiłowali kłaść swoje miliony na równi z jego genealogią. Służba, którą przywiózł, zdawała się być nieokrzesaną, a kareta, w której przyjechał — niemodną. Trzeba było wynająć mieszkanie ogromne, kupować nowe i wykwintne meble, "przyjąć kosztowną służbę, wdawać się z finansistami i rozmawiać o kwestiach ekonomicznych ze wszystkimi.

Jednocześnie uwiadomiono pana Adama, że jego syn, zamiast zwiedzać teatru europejskich stolic i zawiązywać stosunki z tamtejszą arystokracją, uniesiony chorobliwym prądem czasu, wstąpił do szkoły politechnicznej w Zurychu. Zgryził się Adam na razie, lecz gdy Mieczysław niepospolitymi zdolnościami zwrócił na siebie powszechną uwagę, gdy nawet bankierzy warszawscy poczęli zachwycać się jego naukowymi rozprawami, które znali ze słyszenia, ochłonął i ojciec, a z czasem na karierze syna począł śmiało budować projekta.

W pół roku po przyjeździe do Warszawy był już Adam jak w domu. Z natury zdolny, łatwo wyrozumiał ducha czasu i gdy inni rozprawiali tylko o ekonomicznym odrodzeniu całego społeczeństwa, on postanowił na drodze ekonomicznej odrodzić świetność swego własnego imienia.

W salonach bankierów spotykał Adam dość mało jeszcze ogładzonego, ale sprytnego dorobkiewicza, który zrobił już duży majątek, a był na drodze do nierównie większej fortuny. Przy pierwszej rozmowie zubożały magnat Adam i dorobkiewicz pan Rudolf poczuli, że będą sobie bardzo użyteczni: jeden bowiem miał stosunki i nazwisko, lecz potrzebował pieniędzy; drugi miał pieniądze, ale potrzebował stosunków dla siebie, a nazwiska dla potomków. Najwyższym marzeniem Adama

było to, aby dzieci jego syna Mieczysława wróciły do rodzinnego mienia i pałacu, a ideałem Rudolfa było znowu to, aby dzieci jego córki posiadały stary herb i jakieś dobra rodzinne.

Harmonia ideałów wyrodziła harmonią interesów. Niebawem Adam ostatnie, jakie miał, kilkanaście tysięcy rubli oddał Rudolfowi, a Rudolf począł mu od sumy tej płacić ogromne procenta. Pan Adam wprowadził Rudolfa na salony arystokratyczne, Rudolf zaś wyjednał mu w pewnej spółce tytuł prezesa i ogromną pensję. Wreszcie pan Adam zaręczył Mieczysława z córką Rudolfa* Rudolf zaś cały swój majątek oddał do dyspozycji Adamowi. Byli oni podobni do dwu ludzi, którzy wspólnymi siłami wchodzą na stromą wyniosłość, przy czym kolejno jeden staje drugiemu na ramionach. Interes kępował ich, lecz pożycie było niemile. Każdy z nich sądził, że robi drugiemu łaskę, każdy uważał się za lepszego, obaj mieli różne nałogi i tradycje, obaj nie lubili się i nie dowierzali sobie.

Gdy wieść o zaręczynach Mieczysława z dorobkiewi- czówną gruchnęła po świecie, ludzie poczęli panu Adamowi kłaniać się znacznie niżej niż dotychczas, pojawili się też nowi krewni w dalszym lub bliższym stopniu. I tylko pani generałowa, na wskroś legitymistka, kiwając głową mówiła do Adama ze smutkiem:

— Złe się dzieje, kuzynie! coraz więcej mezaliansów na świecie... To zaś najgorsze, że i twój syn padł ofiarą tej zarazy..

— Ród nasz —. odpowiadał pan Adam — posiada zbyt wiele czystej krwi, ażeby się miał lękać związków z dorobkiewiczami raz na pięć wieków.

— Raz na dwa wieki, kuzynie, raz na dwa wieki!... Boć to przecie w roku 16... wojewoda... ożenił się z drażkową szlachcianką. No, a teraz jest gorzej, znacznie gorzej! — Ten Rudolf nawet podobno nie-szlachcic... —

I powiedziawszy to, ostrożnie pod stołem wydobyła ze złotej tabakierki odrobinę tabaczki. Pani jenerałowa robiła tak zawsze, ilekroć zdarzyło się jej mówić o nie- szlachcie.

—Moja kuzyno — odparł Adam — nasienie dębu upada niekiedy na mierzwę, nigdy jednak nie widziano, aby zrodziło mierzwę, tylko dąb.

Jenerałowa westchnęła, a po chwili milczenia mówiła znowu:

— Wydadźże przynajmniej Helenkę za Zenona. Chłopak wprawdzie nie ma tak bystrego umysłu, jaki dziś w modzie, no — ale za to posiada piękne nazwisko, majątek własny, a przy tym i po mnie otrzyma spadek. Twoja Helenka zaś jest wprawdzie piękna i dobrze wychowana, ale posagu nie ma, a dziś każdy pyta przede wszystkim o posag...

Adama aż ciarki przeszły, gdy to usłyszał. Cenił on wprawdzie majątek i nazwisko, ale ojcowskie serce wstrząsało się na myśl oddania jedynej córki Zenonowi, którego natura duchowymi skarbami obdarzyła nader oględnie. Mimo woli przypominał sobie pan Adam tę twarz, którą miejscowa demagogia porównywała do owczej, to czoło niskie i w tył podane, oczy . mętne i mocno przerzedzone włosy. Przyszło mu też na myśl, że ów Zencio mimo usilnej pracy nad sobą nie był w stanie prowadzić choćby najkrótszej, najłatwiejszej rozmowy, że umiał patrzeć tylko w tę stronę, w którą patrzyli inni, i że gdy został na chwilę sam w pokoju, zapadał w stan zdenerwowania, bardzo do snu podobny.

— Zostawmy to czasowi, kuzyno — Helenka jeszcze za młoda! — odpowiadał pan Adam i zwykle potem żegnał się z jenerałową. Sama myśl o połączeniu Helenki z Zenonem odbierała mu humor. Zdarzały się jednak wypadki bez porównania dokuczliwsze. Pewnego razu na jakimś balu publicznym Adam usłyszał niechcący

rozmową prowadzoną przez dwu nie znanych mu mężczyzn.

— Ciekawym — mówił jeden — na jakiej zasadzie wybrano go na prezesa spółki. Przecież ani nudząc się na wsi, ani hulając za granicą nie miał sposobności obeznać się z operacjami handlowymi.

— Co chcesz — odparł drugi — on się zna lepiej na handlu niż nasi najsprytniejsi finansisci. Sprzedał przecież swoje przekonania, nazwisko i syna za kilka milionów z górą, no — a przyznasz, że to wcale ładny interes. .

Uwag podobnych pan Adam nie brał nigdy do siebie, nie obrażały go też, choć boleśnie drażniły. Wierzył on w swoją ideę, a ludźmi, którzy nie mogli się wznieść do zrozumienia jej — pogardzał. Żałował też, że nie może dziś, jak ongi nieboszczyk ojciec, za pomocą hajduków nauczyć rozumu demagoga, który o jakimś nie znanym mu prezecie odzywał się w sposób zdradzający zbyt małe uszanowanie dla jego tytułu, a może — i dla herbu.

Tymczasem zaś wypadki szły naprzód i plany Adama dojrzewały. W tym jeszcze roku Mieczysław miał ukończyć szkołę politechniczną, ożenić się z córką Rudolfa i jako inżynier, objąć kierunek bardzo korzystnego interesu. Kapitalista chciał córce w posagu kupić dobra posiadające nieobliczoną wartość ze względu na bogactwa kopalne, znaleziono w nich bowiem węgiel i kamień litograficzny. Ale Adam ani słyszeć o tym nie chciał kładąc za pierwszy warunek małżeńskiego związku młodej pary ten, aby Rudolf nabył dziedziczne dobra ich rodziny, które Adam przed kilkoma laty sam sprzedał, a które obecnie znowu na licytacją wystawiono. Majątek ten był zniszczony, pałac prawie w zwaliskach, lasy wycięte, gorzelnie i browary od wielu lat nieczynne. Rudolf też wszelkimi siłami walczył przeciw kupowaniu go, ale

Adam uparł się. Twierdził że celem jego życia był powrót do gniazda ojców i że rody pozbawione starodawnych siedzib swoich marnieją. Gdy zaś w końcu zagroził zerwaniem umowy o małżeństwie, Rudolf mimo gniewu i żalu ustąpił i polecił adwokatowi swemu rozpocząć starania o kupno.

II

Pewnego dnia, jakoś po Nowym Roku, siedział pan Adam w swoim gabinecie i myślał o tym, w jaki by sposób przepędzić wieczór dzisiejszy. W chwili gdy wybór wahał się między resursą i Wieczorem u pewnego bankiera, skrzypnęły cicho drzwi i ukazał się lokaj z listem na srebrnej tacy.

— Od Mieczysława! — szepnął prezes z uśmiechem, z wolna przecinając kopertę. — Pewnie mi donosi ó jakimś nowym pomysłem dla powszechnego dobra. Kochany marzyciel...

A potem dodał: — Szczęściem — ja za niego myślę o tym, co dotyczy rodziny... Inaczej rozpląnęlibyśmy się w tej powszechności...

„Mój ojczy! pisał Mieczysław. — Pamiętasz, że wyłącznie z własnego popędu wstąpiłem do szkoły poli-, technicznej, o brak chęci zatem posądzać mnie nie będziesz. Do ukończenia wydziału brakuje mi obecnie tylko pół roku. ale... nie wiem doprawdy, jak dalej będzie. Czuję się okropnie znużonym. Niekiedy tracę pamięć tak, że nie mogę kilku liczb dodać — niekiedy znowu; bywam tak rozdrażniony, że obawiam się szaleństwa- Lekarze radzą mi przynajmniej rok odpocząć, lecz z drugiej strony sumienie przypomina mi, że kraj czeka na zdolnych pracowników, a ty, ojczy, i pan Rudolf na

kierownika nowego przedsiębiorstwa. Odpisz mi więc, co myślisz, gdyż jeżeli okaże się konieczna potrzeba, w takim razie zapomnę o moich przywidzeniach i jakoś przebiję ten czas. dość zresztą krótki Wyznać jednak muszę, że roczny wypoczynek byłby prawdziwą ulgą dla'mnie, a może tylko dla mojego lenistwa."

Pan Adam w ciągu odczytywania tego listu bladł i rumienił się. Co za fatalny zbieg wypadków, co za niepojęty kaprys aby chęć odpoczywać cały rok wówczas, gdy by rodziny wisi na włosku! Rok odpoczywać?... a cóż się w takim razie stanie z nowym przed-? siębierstwem, które na niego tylko czeka?... Kiedy ożeni się z córką Rudolfa?.. Kiedyż wreszcie cała rodzina powróci do dziedzicznego; majątku?

A tu w dodatku Rudolf co tydzień; prawie zapytuje, kiedy Mieczysław szkołę ukończy jakby sam o tym nie wiedział. A tu, co gorsza, znaleźć się może dla córki kapitalisty inny konkurent! bo dziś jest bardzo wielu ' świetnych bankrutów, a bardzo mało posaznych panien, które o tvtuł dbają.

^ Energii! — szepnął Adam — tu przecież nie o mnie chodzi, tylko o ród...

Pan Adam jak wszyscy ci, nad którymi ciąży wyrok zagłady, był marzycielem W długiej beczynności trwającej przez kilka' pokoleń dziedzicznie a nadmiernie rozwinęła się w nim fantazja tak że bardzo często do halucynacji dochodził I teraz oto zdawało mu się, że gabinet jego ppczynają napępniać ludzie znani i nieznani, dalecy i bliscy Každy z nich pytał go o coś, zarzucał mu coś. przedstawiał albo szydził, zupełnie jak ta gawieź wielkomiejska, która się opinią publiczną nazywa

— Więc mogę odpocząć? — pytał syn.

— Nie podobną! odpowiedział Adam, — Jest to

chwila, w której ród nasz może wszystko odzyskać lub wszystko stracić — na zawsze.

— Co za ród? — wtrąciła generałowa z westchnieniem — Jestem prawie pewna, że dzieci Mieczysława będą miały wypukłe oczy i tłuste podbródki. Zupełnie jak ten Rudolf! — i zażyła tabaczkę.

— Przy tym — tłumaczył się Adam — cóż będziemy robili, jeżeli Rudolf małżeństwo zerwie?

— Ja będę inżynierem — odparł syn — w każdym więc razie utrzymać was potrafię.

— Będzie rysował i rachował ten kochany chłopiec i za to mu zapłacę. Jakie okropne czasy! — odezwała się generałowa ■ — Jestem pewna, że Zencyp nigdy się tak nie skompromituje.

— Mój synu — mówił Adam — mnie przecież nie o utrzymanie chodzi, ale o sławę rodu,

— Rody zarówno — odezwał się ktoś obcy — zarówno wznoszą się i odradzają przez pracę i zasługę. Przodkowie twoi pracą i zasługą dobili się majątków i rozgłosu. Wy więc myślcie o tym tylko, aby społeczeństwu służyć, a ono was samo uświetni.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołała generałowa — ależ to jakiś jakobin,

— To jeden z guwernerów mego syna — Odpowiedział Adam ze smutnym uśmiechem, ..

— •Dajcie mu pokój — odezwał się inny głos — pracować to smutna rzecz, on woli syna sprzedać,-

— Motłoch! — szepnął pan Adam, — Wy każde poświęcenie dla idei nazywacie-sprzedaniem się.

— Dlaczegoż ty się dla niej nie poświęcił? — zapytano.

Pan Adam wpadł w gniew. v ,

— Alboż nie poświęciłem się?... Albożem się pie wyrzekł dla dobra 'rodu kobiety, którą kochałem?...

— Cóż z tego za-korzyść? — pytał dalej ktoś z tłu?

mu. — Gdzie posag żony?... jakież ten ród, którego ona była matką i wychowawczynią? Twoja córka ma wadę w sercu, a twój syn, zmęczony bezużyteczną pracą w dzieciństwie, dziś nauk ukończyć nie może...

—Dajcie mi pokój 1. dajcie mi pokój!... — mówił Adam upadając na fotel i zasłaniając uszy.

—Szatan niekiedy przybiera rozmaite postacie, aby kusić wiernych. Kto wytrwa, ten zbawionym będzie! — J uspakajano go.

—Kto wytrwa!... — powtórzył Adam. — Ja wytrwam!... Mamże jedną chwilą słabości zniszczyć pracę kilkunastu lat, wyrzec się tradycji, pozwolić na to, aby zdenerwowanie Mieczysława ród zabiło, narazić się na przekleństwo przodków i potomstwa? Jakim czołem ośmielacie się wy, ludzie jednodniowi, sądzić postęпки moje, na których ciąży przeszłość i przyszłość. Co mnie obchodzą wasze idee, wasze opinie i wasze prace podejmowane w tym celu, aby tuczyć was i wam podobnych? Mówicie o społeczeństwie? Albo społeczeństwo nie jest podobne do rzeki, która dlatego tylko nie rozlewa się i nie wysycha, że stare rody stanowią dla niej łożysko i wybrzeża? Czy ja wam przeszkadzam, abyście sobie nawzajem wyrządzali drobne usługi w ciągu waszej przemijającej egzystencji? Jakim więc prawem wy dręczycie mnie swymi wrzaskami, jakim prawem krytykujecie to, czego z was żaden ani pojąć, ani odczuć nie może?

Pan Adam obudził się zmęczony nad wszelki wyraz: była to jedna z tych licznych walk, które od chwili przyjazdu do Warszawy staczał z niewidzialnymi wrogami. Od dzieciństwa wierzył najmocniej w to, że ród znakomity i tłum bezimienny są dwoma zupełnie różnymi rzeczami, które ulegają różnym prawom i różne mają obowiązki. Dopiero tu, w tym mieście zarozumiałym i ruchliwym, poczęto mu wyklądać jakieś nowe

teorie. Dopiero tu poczęto wmawiać, że on jest tylko jednostką z owego tłumu, którym dotychczas pogardzał, poczęto osłabiać wiarę w ideę, którą z mlekiem wyssał.

I otóż znowu uczuł w tej chwili tęsknotę do swego dziś samotnego pałacu, w którym jedna tylko wola i jedna wiara panowała, do tych obszernych komnat, wśród których nie dręczyły go tak głębokie i całą jego naturę wstrząsające wątpliwości. Ale pałac ten i te komnaty były dziś »w rękach Rudolfa, a wrócić do nich można było pod tym tylko warunkiem, aby Mieczysław ożenił się z jego córką.

Pan Adam przestał się już wahać. Zapalił świecę, usiadł przy biurku i pewną ręką, pięknym charakterem napisał do syna list następujący:

„Kochany Mieczysławie! Na twoje pytanie odpowiem ci krótko: odpoczywać nie można, ponieważ honor i byt rodziny wymagają, abyś ukończył nauki nieodwołalnie w tym roku. Już i tak dosyć często wspomina mi Rudolf, że każdy dzień twej nieobecności w Warszawie przyprawia go o stratę kilkudziesięciu rubli, które by na nowym przedsiębiorstwie mógł zyskać. No — a zgodzisz się, że łatwiej przenieść chwilowe zmęczenie aniżeli upokorzenia rzeczywiste i nieustanne. Co więcej; prędzej lub później ktoś Inny może pochwycić plan tego samego przedsiębiorstwa, a wówczas— domyślasz się, co nastąpi.

Zbierz zatem całą energią, o nerwach zapomnij i kończ — boć jesteś człowiekiem, na którym los naszego rodu spoczywa. Gdy cię zniechęcenie napada, myśl, o czym chcesz, o naszym nazwisku, o mnie, o twej siostrze, o całym społeczeństwie wreszcie, ale pracuj i kończ."

List ten, szorstki jak rozkaz dzienny wodza do żołnierzy, nieubłagany jak wyrok, Adam jeszcze raz od

czytał i zapieczętowawszy go kazał służącemu natychmiast wrzucić do skrzynki. Widocznie lękał się nowych walk i nowego wahania, które mu dzień jutrzejszy mógł przynieść.

— Spełniłem obowiązek! — szepnął czując, że straszny ciężar ugniata mu serce. — Ci sami ludzie, którzy wykładają teorię solidarności społecznej, uczą jednocześnie, że miło jest pełnić obowiązki. Gdzie tu zgodność? To samo już wskazuje, że obowiązki tłumów są inne, a rodów inne, skoro pierwsze robią przyjemność, a drugie — zatruwają życie!

Noc już zapadła i pan Adam przeszedł do swej sypialni. Tam, wedle zwyczaju, wziął do rąk bogato oprawną książkę i zbliżył się z nią do klęcznika, nad którym wisiał brązowy wizerunek Chrystusa.

Pan Adam ukląkł, podniósł oczy na krzyż, lecz nagle cofnął się. Opanował go jakiś straszny niepokój i począł się lękać, aby przy pierwszych słowach modlitwy nie odwrócił od niego głowy Ten który kochał wszystkich. Zdawało mu się, że posąg otwiera śpizowe usta i mówi:

— Jeżeli nie wierzysz we mnie, dlaczego się modlisz?... A jeżeli wierzysz, jak śmiesz się modlić, zły ojcze!...

— Poświęciłem mego syna! — jęknął Adam

— Sprzedałeś...

Od. owego dnia upłynęło kilka miesięcy; wiosenny deszcz spłukał resztki śniegów, na targach ukazały się kwiaty, a nad miastem poczęły przeciągać ptaki wędrowne. W elegancko, a nawet zbyt kownie urządzonym gabinecie siedziały dwie kobiety: jedną z nich była

Helena, córka pana Adama, drugą jej towarzyszką, osoba bardzo żółta i bardzo poważna.

Panna Helena była uderzająco piękną. Miała ona grecki nosek, prześliczne usteczka, oczy czarne, pełne słodczy, brodę nieco wydatną, rączki małe i przeświecające jak alabaster. Szafirowa zapięta pod szyję sukienka i zebrane w jeden węzeł ciemne włosy podnosiły jeszcze bladość jej oblicza, na którym, niestetyl widać było ślady znużenia i choroby.

Dama do towarzystwa była osobą o tyle starą, o ile dystygowaną. Uwielbiała ona Burbonów, tytułowała się baronową i chętnie rozmawiała o protoplaście swej rodziny, o którym kronika jednej z wojen krzyżowych wspomina, że miał zaszczyt pilnować kozy i koguta, które wojownikom drogę do Ziemi Świętej [^]skazywały.

Dama w tej chwili skrzypiącym głosem czytała Cha- teaubrianda; ponieważ jednak robiła to samo co dzień od lat kilku, Helenka więc nie słuchała nawet jej pełnych umiarkowanego uniesienia deklamacyj. Z wyrazem znużenia oparła główkę na grzbiecie fotelu i pragnąc czymśkolwiek myśl zaprzatnąć poczęła oglądać się po swym pokoju. Lecz nie zajęły jej ani pyszne sztychy pochylonych lub ku niebu wzniesionych twarzy kobiecych, ani drobne mebelki kryte szafirowym atłasem, ani marmurowe urny i wazony pełne kwiatów o zwieszonych gałązkach, szerokich lub podługowatych liściach — słowem, nic. Warszawa, to miasto wesołe i gwarne, prócz odległego turkotu dorożki, nie karmiło jej żadnymi wrażeniami Tu, w swym gabineciku, jak ptak w złoconej klatce, przepędziła ona kilka lat długich i nudnych. Jednostaj- ności ich nie przerywały ani tańce, ani wizyty, ani zebrania liczniejsze, bo Helenka z powodu wątłego zdro- wia tańczyć nie mogła, a pan Adam o wynalezieniu dla

niej jakichś innych rozrywek nie miał czasu myśleć. Cóż więc jej pozostawało?... Oto wizyty u jenerałowe), gdzie spotykała same staruszki, spacer powozem do Łazienek, gdzie widywała inne podobne do niej zakonnice, a wreszcie — piękne, ale martwe obrazy fantazji, którą przekazał jej ojciec, a rozwinęła nieustanna samotność, skutkiem zupełnego braku wrażeń. I teraz w duszy Helenki ocknęły się fantastyczne wspomnienia.

Powoli bladoróżowe usteczka jej uchylły się odsłaniając ząbki drobne, gęste i białe jak perły, a ciemne i długie rzęsy opadły. Dama do towarzystwa wyszła. W samotnej komnacie dziewicy zapanował spokój tak głęboki, że usłyszeć by można szelest rosnących kwiatów. gdyby i one w tej uroczystej chwili nie ucichły. Anioł marzeń roztoczył eteryczne skrzydła nad aniołem ziemi, a Bóg, patrzący na te dwa dzieła swoje, zadumał się, które z nich jest piękniejsze...

I otóż w marzeniu tym przypomniawszy sobie lata, które jej równie martwo i jednostajnie płynęły w piaskowcowym pałacu na wsi. Oczyma duszy widziała zamyślonego brata, zasepionego ojca i w starych sukniach starą służbę, na której obliczach rozlewał się wyraz zniechęcenia i niepewności o jutro. Z okien pałacu dostrzec mogła piaszczystą drogę, którą rzadko kto przejeżdżał, pola lichym zbożem okryte wieżę kościołka. a przy wijących się ścieżynach okrągłe, zielone grusze i krzyże pochylone i czarne. Była to jeszcze najweselsza część okolicy, bo z drugiej strony za starym parkiem, za stawem i łąką rozciągał się ciemny poszarpany szmat lasu, który pod tchnieniem wiatru z posepnym falował szumem.

Prócz tego szumu i świergotu ptaków nie dolatywał jej żaden prawie głos inny; czasem tylko szept służby rozmawiającej jak w pokoju zmarłego — miarowy łoskot kroków ojca, które przedrzeźniało echo, i — szelest

kart odwracanych przez brata, który całe dni spędzał nad książką.

I wśród tego grobu żyjących, między ludźmi błakającymi się jak cienie była ona sama jedna, tak młoda, tak ciekawa, co się dzieje tam, za owym sinym widnokregiem!...

Tylko raz w roku od początku lipca do września ożywiał się stary zamek. Działo się to wówczas, gdy z odległego miasta przyjeżdżał na wakacje Grodek, syn rządcy pana Adama. Zdawało się, że młodzieniec ten o wypukłej piersi, wysokim czole i śmiałym szafirowym oku przywoził ze sobą talizman wesołości i życia. On jeden między tymi schyłonymi postaciami stał prosto, stapał głośno i śmiał się szczerze. Gdy on był, Mieczysław rzucał książki, odważał się jeździć konno i brać fuzję do ręki.

Stare czółno wypływało wówczas na środek stawu, starzy domownicy częściej wychodzili na podwórze i ruszali się żwawiej, a odwieczna, zadumana puszcza od najdalszych krańców swoich roznosiła odgłosy wystrzałów i wesołe okrzyki ludzi. Był on cudowną kroplą tajemniczego eliksiru, za pomocą której kipiący ocean świata choć na krótki czas w zamartym pałacu wskrzeszał życie. Przyjazdu też jego niecierpliwie oczekiwali wszyscy. On rezydentom przywoził najświeższe wiadomości polityczne, a Mieczysławowi najnowsze i najciekawsze książki. On jeden lubił choćby całymi godzinami rozmawiać z Helenką i umiał ją bawić najlepiej. Nigdy drzewa w parku ani trzcina na stawie nie szumiały tak wymownie jak wówczas, gdy on z nią spacerował albo gdy czółnem ją woził. A jak piękne były bukiety, które jej przynosił co dzień, jak słodkie jagody, które zbierali razem! Pan Adam tytułował Gródka swym nadwornym leka-

rzem i lubił go nawet, ale w sposób dość umiarkowany. Młody ten student medycyny za wiele rozprawiał o cudach postępu, o ludziach ubogich pełnych szlachetności i prostakach pełnych delikatności uczuć. Zdania jego zanadto trąciły demagogią, aby pan Adam mógł być w nich gustować; niekiedy lękał się, aby mu Grodek swymi przewrotnymi teoriami syna nie zgorszył, a w kilka lat później przekonał się, że to z jego namowy Mieczysław do szkoły politechnicznej wstąpił.

Z całego pasma często przerywanych stosunków z Grodkiem w duszy Heleny ognistymi obrazami zarysował się pewien dzień na wieki dla obojga pamiętny. Było to w tym roku, kiedy pan Adam sprzedał majątek. Grodek zaś, ukończywszy medycynę w Warszawie, wybierał się, naturalnie na własny koszt, za granicę. Dnia tego pan Adam wyjechał za interesami jakoś po południu, późnym wieczorem zaś troje ich, to jest: Helenka, Mieczysław i Grodek, wyszli na spacer do parku.

Park był duży, a Mieczysław zawsze zamyślony, skutr kiem czego zmęczona trochę Helenka, nie mogąc liczyć na pomoc roztargnionego Mięcia, oparła się na ramieniu Gródka. Dziwny to był wieczór!... W powietrzu unosiła się upajająca woń kwiatów i słychać było jakieś tajemnicze szmery. Wiekowe drzewa przy blasku księżycy zamieniły się w olbrzymów wyciągających po Helenkę ramiona rosochate i pogięte. Woda na stawie była tak gładka, iż zdawało się, że w tym miejscu rozstąpiła się ziemia ukazując w niezmiernej głębinie inne niebo i inne gwiazdy. Rozmarzony Miecio zginął gdzieś. Spomiędzy trzcin odezwał się głos bąka, z baszty hukanie sowy, a Helenka uczuła niewytłomaczoną bo jaźń. Szczęściem, Grodek był przy niej i otóż miejsce bojaźni zajęło inne uczucie, słodkie i straszne, które poznała pierwszy raz w życiu, lecz pamiętała dotychczas.

„Lubię patrzeć na ciebie, o krzaku faz piękny i zdradziecki! Jak dziwnie zjednoczyłeś w sobie cudowne kwiaty i cierń bolesny, jak dziwnie w życiu roślinnym wypowiedziałeś historią ludzkiej miłości!... Lubię pa-> trzeć na ciebie, bom wybrał jeden rozwijający się pą- czek śp podziw przechodnia, a ozdobę macierzystej gałęzi. Rózo, ty rózo!... ilem ja razy porzuciał towarzystwo ludzkie, byle tylko nie zatracić wspomnień o tobie. Ile razy wzywałem najpiękniejszych promieni słońca na twoją główkę i najczystszej rosy, abyś w niej wdzięki swoje kąpała. Aleś ty zawsze jedna: ani pochylasz się, ani odsuwasz, i więcej zdajesz się podziwiać aniżeli podzielać przywiązanie.

Biada mi, żem wyciągnął do ciebie obnażoną rękę, że do piołunów zrodzony o tobie pomyślałem, kwiecie!

Nigdy nie starzejąca się i zawsze piękna, choć od- i wieczna sielanka!...

W kilka dni później Grodek wyjechał uwożąc ze sobą gałązkę róży, którą wypielegnowała Helenka, a może i serce dziewicy...

Helenka ocknęła się. Byłoż to wszystko snem, i ten zamek, i ten park, i-^- ten przewodnik, który klęcząc, tak namiętnie drżącymi usty całował jej ręce? Nie! to nie był sen, ale rzeczywistość... świadczy o tym ten krzak róży, jedyna pamiątka, jaką z domu wywiozła. Świadczy list, jeszcze droższa pamiątka, którą jej Grodek po sobie zostawił.

Helenka powstała z fotelu i zbliżywszy się do stolika, z kosztownej szkatułki wydobyla kilka arkuszy cieniutkiego papieru. Papier zwątlął, pismo zbladło, odczytać je przecież było można. Helenka uczyniła to tym łatwiej, że wszystko już prawie od dawna umiała na pamięć.

Gdybym choć umar} zapatrzony w twe listki świeże i niewinne,
zasłuchany w szmer twoich gałązek, uniósłbym z sobą widok ten i
szelest do grobu. Lecz jeżeli mi przyjdzie kiedy znaleźć pustkę tam,
gdzie moje nadzieje kwitły, cóż mi zostanie oprócz boleści i pustki?...

O kwiecie niewdzięczny! tak głęboko utkwieś we mnie, że już nie
wiem dziś, czy ciebie ziemia czy serce moje wydało!

* •

Niekiedy słyszę pieśń, ukochanej odegrywaną ręką; wówczas
zmieniasz formę kwiatu w kształty kobiece i patrzysz na mnie oczami
sfinksa, jakbyś chciała nas oboje skuć w jedną całość na wieki. Wszak
my jesteśmy dwoma promieniami jednego światła, rzuconymi z nie-
skończoności po to, aby się tu połączyć! O ludzie, nie stawajcież na
drodze biegnącym ku sobie gwiazdom—

Poprawiasz włosy, gniewając się, że ci je wiatr potargał? To nie
wiatr, to pocałunek mój! Spójrz na mnie!... Milczą wprowadzie oczy
twoje, ale ja i taką mowę rozumiem. Miłość z nich przegląda!

Duch mój to ocean rozkołysany burzą, gdy nie ma cię, jest noc i
zwiększa jeszcze okropność walki. Ukaż się więc, o ty, słońce moje!
Ciebie przecież nie dosięgną szalone wybryzgi piany, a może — przy
blasku twym, choć obcy jaki człowiek znajdzie bezpieczne miejsce,
aby podziwiać siłę fali i patrzeć na twój obraz po milion razy odbity
w wiekuiście ruchomym zwierciadle.

Pamiętasz młodą wiewiórkę? Miała trójkątną głowę, oczy wypukłe
i ruchy twoje. No — i zabili ją. Czyżby każdą pamiątkę po mnie ten
sam los spotkał?...

Wyrzekałem kiedyś, ale to już bardzo dawno; lecz dziś, gdy znowu jesteśmy razem narzekania zamieniają się w pieśni. Przebacznepokój i niewiarę moją. Niewdzięczny! jak mogłem pomyśleć, że będziesz głuchą na to łkanie serca, które się wydziera do ciebie, że miłszym ci będzie jakiś pozorny blask od uczuć głębi. Patrz, jam wynalazł w sobie sturamienną hydrę, oplątałem cię ognistą siecią moich myśli i wiecznie niepewny, wiecznie drżący o jutro, tuliłem cię w uścisku rozpaczy.

Kto tu jest i do kogo. mówię? Róża — wszakże to tylko kwiat, a — obok niej cień mojej wyobraźni. Jak pusto! a zdawało się. że słyszał szelest nadchodzącej. Powiedz' — czyś skryła się? niechże cię zobacze ten raz jeszcze; tak już dawno nie patrzyłem na ciebie!

Zycie schodzi mi cierpko, jak tym wszystkim, którzy zmuszeni są walczyć ze sobą — bardzo cierpko! Zgubiłem połowę duszy mojej, szukałem jej, a ludzie odpowiadali: nie wiemy!

Czyżbym jej już nigdy znaleźć nie miał?...

O różo!... w duchu ludzkim naciągnięte śpią struny boleści, pokąd nie zbudzi ich traf albo konieczność. Wówczas dreszcz ich udziela się grobom, które umilkły na wieki, a w kamieniach nawet słychnąć przyspieszone tętno i oddech niespokojny. Tylko kwiaty piękne, lecz martwe, uśmiechają się do głosów tych jak do szmeru skrzydeł motyla.

Nie jesteś ty takim kwiatem?

Siądźmy — spokojnie tu jest. Wiatr przepływa między liśćmi, a niebo na zachodzie twoim oblało się rumieńcem. Niegdyś, o takiej porze, na dalekie stąd łąki wychodziłem zbierać kwiaty dla ciebie, jakbyś je rzeczywiście przypiąć musiała. Inni wyśmiewaliby podobne złudzenia, mnie jednak było z nimi tak dobrze...

Ale dziś wszystko już przeszło. I gdy w spokojnym szczęściu naszym wspominam o tych wybuchach żalu, bezsennych i gorączkowych nocach — gdy pomyślę, że dwoje nas tęskniło i płakało w ukryciu, widzę, że cierpienia dane nam były w tym celu, aby się przy nich lepiej terazniejsze szczęście odbiło.

Płaczesz? Oprzyj głowę na mojej piersi,, niech połączą się łyzy nasze. O nocy, nie mijaj i niech mi się wieczność zamknie w uścisku twojej ręki, w dotknięciu twoich ust gorących. Patrz, co się tu dzieje dokoła. Las umilkł, ptak nie śmie skrzydłem zaszeleścić, ten pyszny zamek szeroko otworzył martwe oczy, gałęzie drzew oplotły nas, a pochylone kwiaty ciekawie patrzą na ciebie. Tylko tam wysoko nad głowami naszymi zdziwione gwiazdy szepczą jedna do drugiej: «Wieszże ty, co to jest miłość?...*»

Helenka skończyła czytać. Zdawało się jej, że na tę pieśń nieśmiała i mistyczną składały się nie ludzkie wyrazy, ale szum wiatru, plusk wody i ciche dreszcze rozmarzonego serca. Otworzyła lufcik, z podwórza doleciał ją wesół świergot wróbla, a ze świata wiosenne ciepło „Czy on wróci?... Czy on jeszcze pamięta o mnie?...” — myślała.

W tej chwili na krawędzi otwartego okna siadł gołąb i złudzony zielenią mchu począł go skubać jak świeżą trawę. Spłoszony ruchem Helenki zerwał się nagle, lecz znowu wrócił i znowu skubał mech kręcąc przy tym

główką i jakby dziwić się, że jego listki mimo tak pięknych pozorów są martwe.

Helenka uczuła ból w sercu. Nieokreślone przeczucie szepnęło jej, że i ona jak ów gołąb łudzi się pozorami szczęścia i że kiedyś strasznej dozna boleści. Spojrzała na ptaka, który krążył wciąż przy oknie, i dwie gorzkie, palące łzy stoczyły się z jej oczu. Przypomniała sobie, że ów Grodek jest tylko synem ubogiego rządcy, a jej ojciec — dumnym i nieugiętym panem.

IV

Pan Adam pędził tymczasem życie jeżeli nie monotonne, to przynajmniej systematyczne i spokojne. Wstawał późno, wyjeżdżał następnie do biura, około piątej wracał do domu na obiad, wieczory zaś przepędzał niekiedy w resursie, niekiedy w salonach prywatnych.

Z córką widywał się co dzień, chociaż bez względu na obustronne przywiązanie stosunki ich nie odznaczały się tą serdecznością, jaka wśród innych rodzin ma miejsce. Pan Adam w domu był ciągle zamyślony albo zajęty, wszelkie zaś objawy cieplejszych uczuć ze strony córki hamowało głębokie uszanowanie połączone z bojaźnią. Nieszczęsna idea podniesienia rodu nie tylko wypełniała wszystkie zakątki duszy, lecz i osobę pana Adama otaczała jakąś atmosferą chłodną, a nawet groźną.

Mieczysław od pewnego czasu do siostry nie pisywał wcale, do ojca rzadko i krótko. Listy jego zdradzały wielkie znużenie. Pan Adam przeczuwał z nich coś niedobrego, wszystko jednak składał na karb egzaminacyjnych zajęć i lekkiego zdenerwowania. Zresztą starał się o tym przedmiocie nie myśleć.

Na parę dni przed niedzielą kwietnią prezes został zaproszony do jednego z członków spółki. Większość mężczyzn, jak zwykle, skupiła się w salonie oddzielnym: byli tam kupcy, przemysłowcy i artyści. Niektórzy rozmawiali o polityce albo miejscowych ploteczkach; inni grali w karty, jeszcze inni — medytowali otaczając się kłębamii dymu.

W jednym kącie dwaj ochotnicy do pułku bankierów szeptali między sobą o cenie okowity. Gdy zaś Adam przeszedł około nich, jeden odezwał się głośno:

— Widziałem dziś księcia...

— Księcia Leona? — przerwał drugi. — Tańczył z moją żoną w ratuszu.

— Ale gdzież tam —; odparł szybko pierwszy — księcia Wacława. Jadł ze mną śniadanie...

Adam uśmiechnął się. Znał on dobrze tych Brutusów dzisiejszej demokracji, którzy po kątach piorunują na wielkich panów, lecz miękną wnet, gdy wielki pan raczy przemówić do nich. Wleźliby mu nawet w kieszeń i siedzieli tam przez sześć dni w tygodniu, byle siódmego mogli wyjść na świat i opowiadać w swoim kółku:

— Jestem w bardzo bliskich stosunkach z tym poczciwym hrabią.. To wcale miły człowiek!

W salonie damskim żona fabrykanta z córką kupca rozmawiały po francusku o barbarzyństwie naszego społeczeństwa, dwie zaś bankierowe recytowały, także po francusku, nazwiska wszystkich znajomych im baronów, hrabiów i książąt. O kasjerach, buchalterach i podobnych im śmiertelnikach których znały nierównie lepiej, nie wspominała żadna.

W gronie dam wieku średniego dostrzegł prezes jedną, która zawsze robiła głębokie na nim wrażenie. Była to bowiem pierwsza jego narzeczona, z którą pomimo obustronnej miłości nie ożenił się z powodu, że miała posag zbyt mały.

Adam przywitał ją. dama zarumieniła się i po kilku zdaniach wstępnych zapytała:

— Jakie się miewa obecnie panna Helena?

— Zawsze jednakowo — odparł smutnie prezes. — Kilka dni jest zdrowsza, kilka dni cierpiąca... A córeczka pani?...

— Oto jest moja córka, ta, która ma śpiewać w tej chwili.

— Prześliczna osobal — rzekł Adam patrząc na nią z zajęciem.

W oczach damy błysnął jakiś niedobry ogień, wnet też odpowiedziała:

—Dobre zdrowie i trochę wdzięków stanowią jedyny posag, jaki moja córka odziedziczyła po mnie.

Prezesowi, gdy to usłyszał, drgnęły usta. Cios był istotnie silny. Jego córka po swojej matce nie odziedziczyła zdrowia ani majątku nawet, który on sam roztrwonił.

Gdy wrócił znowu do salonu mężczyzn, był rozmowny i dowcipny, ale duszę targał mu niepokój i wyrzuty sumienia.

„Co w tej chwili robi moja córka i syn... tacy wąтли oboje?...” — myślał.

Dla odegnania trapiących go przeczuć począł znowu oglądać się po zebraniu, ale bezskutecznie. W piersiach jego toczył się teraz głuchy proces. Wewnętrzny głos zasypywał go pytaniami i oskarżeniami szyderczymi.

„Gdybyś się ożenił z pierwszą narzeczoną, dzieci twoje miałyby przynajmniej zdrowie, a ty spokojność. Spójrzij dokoła i powiedz: kim jesteś wobec tych, którzy cię otaczają? Oni tworzą bogactwa, tyś je marnował. Oni dają utrzymanie setkom ludzi użytecznych, a ty sam dziś potrzebujesz cudzej łaski, egoisto! marzycielu!...”

W tej chwili wszedł do salonu pan Rudolf. Przywita)

się z gospodarzem, ledwie kiwnął głową kilku znajomym i wzięwszy pod ramię Adama, szybko wyprowadził do samotnego pokoju.

„Chce się popisać... Przypomina obecnym, że będzie teściem mego syna" — pomyślał Adam gniewnie. Wnet jednak spostrzegł, że Rudolf jest ogromnie zmieszany. Pulchna jego twarz była żółta ręce mu drżały.

— Co ci jest? — zapytał zdziwiony prezes.

— Niestety! — szepnął Rudolf. — Dlaczego ja o ten majątek układy rozpoczął? — dodał jakby do siebie.

Z kolei Adam uczuł trwogę, Rudolf zaś mówił dalej:

— Nasz Miecio..,

— Czy chory? — przerwał prezes blednąc. Rudolf upadł na krzesło i schwycił się obydwojma rękami za czoło.

— Mówże, co się stało! — krzyknął Adam głosem chrapliwym i targnął go za ramię.

Zamiast odpowiedzi Rudolf wydobyl dużą kopertę i oddał ją prezesowi; potem oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

Do pokoju wbiegł gospodarz, nigdy nie odznaczający się wielkim taktem, i wesoło zawołał:

— Usuwacie się, panowie, od towarzystwa, to nieładnie... Aha! widzę jakieś depesze... Czy mogę powinszować dobrych nowin?...

— Syn mój nie żyje! — jęknął Adam i wybiegł bez pożegnania.

Gospodarz wrócił spieszenie z nowiną do gości, a Rudolf zostawszy sam mrucał:

— Szkoda chłopca, ale szkoda i tamtych dóbr. Węgiel i kamień litograficzny! A wszystko to jakbym za okno wyrzucił!...

V

Zobaczywszy na ulicy Adama lokaj stojący przy karecie otworzył drzwiczki; ale prezes nawet nie spojrział na niego i poszedł chodnikiem, chwilami zataczając się. Ogromne, nie dające się sformułować uczucie boleści przygniatało go. Z trudnością przypominał sobie że jest na ulicy, i dziwił się, że nie może zapanować nad nogami, które mu się plątały niekiedy.

Potem przestał się dziwić i przestał myśleć. Machinalnie odwrócił głowę i ujrzał swoją karete, która wśród cieniów nocy posuwała się zwolna jak za pogrzebem. Wtedy znowu szepnął: — Mój syn nie żyje!...", Wyprostował się i szedł dalej sztywny. W duszy tego człowieka pod grubą skorupą egoizmu, [?]f chęci błyszczenia wśród zbytków, fałszywej dumy i jeszcze fałszywszej idei rodowej kryła się potężna miłość • dla syna. Póki na niego patrzył, póki obcował z nim osobiście i listownie, nie przeczuwał nawet, jak go kocha. Zrozumiał to dopiero dziś gdy piorun śmierci zdruzgotał skorupę, spód której teraz lawa niezmiernej boleści wypłynęła.

Jego syn umarł! Do tej pory iluż to synów widział on okrytych całunem? ilu rozpaczy rodzicielskich był świadkiem? lecz ani jedno, ani drugie nie robiło na nim wrażenia. Dziś dopiero poznał, że jest coś straszniejszego od śmierci rodziców i żony, od bankructwa i upoko- > rzeń — oto śmierć syna. Tamci, którzy poprzednio umierali, nie byli jego synami — ci, którzy płakali nad nimi, nie jego serce nosili w rozdartych piersiach.

Do swego gabinetu wszedł Adam na palcach; podniósł płomień lampy i wydobył z kieszeni kopertę oddaną mu przez Rudolfa Był tam list, obcą pisany ręką, w którym jeden z kolegów donosił, że Mieczysław —

rzucił się pod biegnący pociąg, a także kartka od samego Mieczysława.

„Przebaczcie mi, ojczy i siostry — pisał zmarły — Do Bóg już mi chyba przebaczył. Zdrowie moje do reszty podkopane, zdolności z każdym dniem gasną. Umieram, bo lękam się szaleństwa, które mi nieustannie zagraża, bo nie mam odwagi konać Bóg wie jeszcze jak długo...”

W końcu znalazł Adam świadectwo podpisane przez kilku lekarzy, że od pewnego czasu Mieczysław, lubo na krótko, wpadał w stan obłądu... Nie donoszono o tym-, wcześniej ojcu z powodu usilnych błagań syna,- który obiecywał, że sam wróci do kraju, aby odpocząć.

Dla Adama przyczyny śmierci syna stały się teraz zupełnie jasne: był to rezultat odziedziczonej wadliwości po matce, najnierozsądnieszego systemu wychowania i sztucznych warunków życia Gdyby z tych przyczyn usunięto choć jedną, zdolny ten i zacny młodzieniec nie skończyłby tak marnie.

Z kolei przyszła prezesowi na myśl Helenka. I ona przecież odziedziczyła chorobę sercową, i jej nie pozwolono się rozwinąć.. Do świeżej boleści po stracie syna przybyła teraz Adamowi obawa o zdrowie córki i — co mu się nader rzadko zdarzało, poszedł do jej sypialni.

Pokój dziewczycy zalegało łagodne, niebieskawe światło lampy. Przy blasku jej prezes spojrział na córkę i pot kroplisty wystąpił mu na;czoło. Helenka spała twardo, twarz jej miała jakiś sinawy odcień, na smutnie uśmiechniętych usteczkach można było dostrzec ślady gorączki. Oddychała szybko i niespokojnie, a gdy ojciec dotknął jej ręki, uczył, że puls bije nierówniej jeszcze niż zazwyczaj.

— Kto tu?... — zapytała, nagle przebudzona.

Szeroko otwarte oczy jej mocno błyszczały! uśmiechała się, lecz przez długą chwilę była nieprzytomna.

— Ach! to ty, papo? — dodała. — Czy już dzień?...

I znowu opadła na poduszki, ujęta snem chorobliwym. Gdy prezes schylił głowę, usłyszał ciężkie i nierówne uderzenia jej serca. Ogarnął go taki żal, takie jakieś osłabienie, że chciał uściskać, utulić to jedyne już teraz dziecko i — zapłakać. Ale że nie robił tego nigdy, że podobny objaw rodzicielskiej tkliwości wydawał mu się czymś nienaturalnym, cofnął się więc, z trudnością powstrzymując łkania. Znowu przypomniał sobie Mieczysława i począł w duchu oskarżać wszystkich i złorzeczyć wszystkim. Wszakże syn słabą kompleks ją odziedziczył po matce? Wszakże to matka przeciążała go w dzieciństwie bezużyteczną pracą? To Grodek zapalił w nim namiętność do nauki i zachęcił do szkoły politechnicznej? To wreszcie najbliższym powodem samobójstwa była niecierpliwość tego bezwstydnego chciwca Rudolfa, który już dziś narzeka, że rozpoczął układy o nabycie ich dawnego majątku!

Słowem w oczach tego szalonego marzyciela winnym był cały świat, tylko — nie on sam. Nie on, który wybierał matkę dla swych dzieci i który wdzięki ich i zdolności robił głównymi czynnikami samolubnej i bezrozumnej walki przeciw duchowi czasu.

VI

Stosunki Adama z Rudolfem zostały zerwane w sposób dosyć nawet gwałtowny. Przy pierwszym spotkaniu się rozdrażniony Adam zarzucił swemu współnikowi chciwość i brak delikatności uczuć, natychmiast zażądał dymisji z urzędu prezesa i rachunków z sumy u Rudolfa złożonej. Gdy to nastąpiło, pan Adam przekonał

się, że mu grozi ostateczna ruina: nie tylko bowiem stracił wielki i pewny dochód, ale nadto, zamiast kilkunastu, otrzymał parę tysięcy rubli kapitału. Resztę sam w ciągu paru lat stracił, ciągle oglądając się na miliony Rudolfa.

Nieszczęście nie przychodzi nigdy samo, wnet bo-, wiem Helenka wpadła w ciężką słabość dowiedziawszy się o śmierci ukochanego brata. W kuchni, przedpokojach i garderobie szeptano. Dama też do towarzystwa, wyrozumiawszy, co się dzieje, uczuła niepohamowaną tęsknotę do Francji i po raz pierwszy w tym domu dostała spazmów.

Opinia tymczasem nie próżnowała — w mieście poczęły krążyć najdziwaczniejsze plotki. Gdy zaś przez setne usta dowiedziano się, że Adam zabronił synowi na rok przerwać nauki, wybuchło oburzenie. Jedni utrzymywali, że pan Adam jest szaleńcem, który w pogoni za marą wielkości — zabija własne dzieci. Drudzy — nazywali go kuglarzem, który niskie cele egoistyczne zasłaniał maską idei rodowej. Inni zarzucali mu niewdzięczność względem Rudolfa. Wszyscy zaś w duchu przyznawali, że pan Adam jest już nieodwołalnym bankrutem, którego unikać należy. Póki miał znaczenie i w perspektywie duży majątek, tolerowano jego kasto-wość i pomiatanie ludźmi, ale dziś nie było już interesu.

Poglądy takie krążyły między ludźmi wszelkich klas i stanowisk — i nie dziw! Byłże bowiem choć jeden człowiek, któremu pan Adam zrobił dobrze, choć jedno serce, które by do siebie przywiązał?.. A jednak w gruncie rzeczy nie był on złym, tylko maniakiem, fanatycznym wyznawcą zupełnie fałszywej idei. Ludzi takich, niestety! społeczeństwo posiada dość wielu. Duma rodowa w niższym lub wyższym stopniu stanowi dla nich artykuł wiary. Boleją oni nad własnym upadkiem, marzą o Wskrzeszeniu dawnego blasku, lecz jed-

nocześnie nie rozumieją środków prowadzących do urzeczywistnienia tej idei, zapominają, że rozgłos i znaczenie zdobywa się nie przez pomiatanie innymi, nie przez pyszny separatyzm, ale przez pracę. Toteż, gdy oni myślą tylko o tym, aby nazwiska i osoby swoje piękną otoczyć dekoracją, na scenę życia występują tymczasem inni aktorzy, inne nazwiska, inne sławy — o nich zaś świat zapomina.

Gdy w parę dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna znękany Adam złożył wizytę generałowej, staruszka rozplakała się.

— Bóg dał, Bóg wziął — rzekł na to pan Adam. Był to człowiek żelazny.

— Żebyś wiedział, co się tu dzieje — mówiła staruszka. — Miasto pełne plotek i wszyscy powtarzają, że to kara Boża. Wcale niepotrzebnie wdałeś się z tym Rudolfem; tacy jak on ludzie nie umieją nas ocenić. Dziś zresztą inny światl...

— Żałuję, że się z nim wdawał, ale już za późno... — szepnął Adam.

Jenerałowa zapłakała jeszcze raz, lecz jednocześnie przyszło jej na myśl, że kto wie, czy przy tej okazji nie ubije własnego interesu.

— Zabezpieczże przynajmniej los córki — rzekła. — Mój Zencio ma sam z siebie parękroć, a ja mu jeszcze coś dodam. Ty mieszkałbyś przy dzieciach, no — i w każdym razie mielibyście przynajmniej odpowiednie towarzystwo w dalszym życiu.

Pan Adam zrozumiał, że kuzynka mówiąc to robi aluzją do ich przyszłego niedostatku i do tłumu, w którym kiedyś pogrążyć się będą musieli. Ale i teraz nie odpowiedział nic; oparł tylko głowę na rękę i myślał:

„Nie podobna, aby Helenka nie znalazła męża równego nazwiskiem i majątkiem, a przynajmniej znośniej-

szego niż Zenon. Mam przecież tylu znajomych, tylu krewnych!... \ Moje stosunki z Rudolfem mogły dla wielu z nich stanowić przeszkodę, ale dziś..."

Mylił się. Dla jego znajomych i krewnych nie stosunki z Rudolfem ale to, że Helenka posagu nie miała, stanowiło przeszkodę. Nie wiedział też o zmianach, jakie po zerwaniu z Rudolfem zaszły w opinii tych właśnie, na których liczył. Wkrótce jednak sam przekonał się o tym w sposób niewymownie dotkliwy.

Nadszedł Wielki Piątek. Zgodnie z dotychczasowym zwyczajem pan Adam wziął do portmonety kilka sztuk złotych pieniędzy i wyjechał z zamiarem odwiedzenia grobów.

W kościele, do którego wszedł, panował mrok. Ołtarze i okna zasłonięte były kirem, lichtarze przewrócone. Wśród szarego tłumu ludzi bladych i poważnych siedziały przy srebrnej tacy damy czarno ubrane i z eleganckimi towarzyszami rozmawiały dość wesoło. Od czasu do czasu na tle szmeru nóg, westchnień i modlitwy, rozlegał się stłumiony śmiech kwestujących i kołatanie pieniędzy o brzeg tacy.

Adam znał wszystkich siedzących przy stole. Każda z tych dam była dlań uprzejmą lub więcej niż uprzejmą. Każdy z panów grał z nim w karty i należał do jego najserdeczniejszych przyjaciół. W dolatujących go urywkach rozmowy słyszał nazwiska dobrych znajomych, a nawet krewnych.

Od kilku dni nad wszelki wyraz znękany Adam uczuł się nagle rzeświejszym; był przecież w swojej sferze. Toteż krokiem pewnym zbliżył się do stołu i położył na tacy dwa dukaty.

Ale w tej samej chwili wstrząsnął się, jakby go rozpalonym żelazem dotknięto. Ledwie bowiem wyciągnął rękę, gdy wtem — młodzi ludzie umilkli i odwrócili głowy, damy spuściły oczy na książki i tylko najstarsza

z nich podziękowała mu surowym i majestatycznym skinieniem. Nikt nie rzekł do niego ani słówka, nikt nawet nie spojrzał na niego.

Adam osłupiał. Gdybyż mu choć dorobkiewiczze, gdyby mu tłum uliczny wyrządził podobną impertynencją. Ale to swoi... ludzie tej samej klasy towarzyskiej, tych samych przekonań, ludzie, których idee i tradycje były jego bożyszczem!...

Scena ta trwała przez jedno mgnienie oka, lecz Adam zrozumiał ją i upokorzony, złamany bardziej niż kiedykolwiek, posunął się w głąb kościoła.

„Co mnie teraz czeka?” — pomyślał.

— Pax tecum et cum spiritu tuo! Pokój z tobą i duchem twoim!...
— mówił kapłan podając krzyż do pocałunku.

Pokój z tobą!... Pokój z nim, który stracił syna. majątek i którego swoi odepchnęli. Nie byłoby to szyderstwem?

Adam nie posiadał już władzy nad sobą. Czuł, jakby mu do jego brzemienia coraz większe i bardziej gniotące dokładano ciężary. Odepchnięty przez możnych, zmieszał się z tłumem maluczkich, usiadł na ławce i utkwivszy błędne oczy w wizerunek grobu Chrystusa, pograżył się w marzeniach nad wszelki wyraz smutnych. Przypomniawszy sobie pusty, o setki mil odległy grób syna i pomyślał, że ci, którzy tu czoła zginają, od tamtej mogiły odwróciliby się z przekleństwem. Ci sami, do których dziś spychano go gwałtem.

Rzeczy jasne, widywane co roku, nabierały teraz w jego oczach nowego i ponurego znaczenia. Widział tam ludzi, którzy brak koszuli zasłaniają brudnym szalikiem, obok dziewcząt strojonych w koronki z trzeciej maskarady. Widział zatopione w modlitwie szarytki, które wyrzekły się wszystkiego na świecie, obok wątpliwej wartości eleganta, który na próżno usiłował zręcz-

nie utrzymać szkło w bezmyślnym i bezwstydnym oku. Słyszał świergot kilkusetrublowych mechanicznych ptaków i gorące westchnienie biedaka, dla którego suchy chleb miał być jedynym święconym.

I oni to, przyjaciele, krewni, zmuszają go, aby wszedł pomiędzy tych ludzi, jego — dziedzica tylu tytułów, takiej sławy! Zgadzą się na to, aby jego wnuki nazywały się braćmi indywiduów obdartych, głodnych i na pracę skazanych?,,.

Od czasu do czasu chwiał się szczyt palmy albo gałązka choiny, jakby ptak na niej usiadł. To dziecko ciekawe i mizerne zaglądało do obstawionego lampami grobu. Czyliż i dzieci jego córki mają się kiedyś tłoczyć tu, popychane i potracane?... Na środku cicho szemrała cienka struga fontanny; z jego serca również wypływał źródł bóleści, ale jaki mętny, jaki pałący!...

Tuż obok siebie usłyszał stłumione łkanie: jakaś młoda, delikatnych rysów kobieta, schylona ku ziemi, płakała zasłoniwszy twarz chustką. Nie jestże to obraz jego córki, gdy zostanie samą pomiędzy tą tłuszcą, wśród której na dziesięciu głupich przypada jeden łzami zalany!

Adam zerwał się i wybiegł. Duszno mu tu było, gdzie widział pograżonych w modlitwie, nędznych, liczących tylko na Boga i własną pracę. Miałże dobrowolnie ze swej wyżyny zejść między ten tłum, którym pogardzał? Miałże dzielić odtąd jego niedostatek, pracę i w nagrodę za wszystko pocieszać się słowami:

— Pax te cum et cum spiritu tuo!

Już po wyjściu z kościoła spostrzegł gromadę dziadów sprzedających cierniowe gałązki, jakby ich w samym życiu nie było dosyć. Kupowali je ludzie biedni i prości, których jedynym skarbem był spokój ducha. Ale pan Adam nie chciał już patrzeć na tych ludzi, nie tylko stapać po ich drogach ciernistych. On przecież nie

był tak opuszczonym jak oni, on miał jeszcze deskę ratunku.

Siadł do powozu i kazał się wieźć do jenerałowej. W godzinę później był już pewny, że wnuki jego nie zmieszają się z motłochem.

Układ o małżeństwo Helenki z idiotą Zenonem został zawarty. Jenerałowa rozrzewniła się tak, że na podarunek ślubny obiecała dać Helence połowę swoich klejnotów.

W kilka tygodni później do salonu pana Adama wszedł bynajmniej nie oczekiwany Grodek. Był to mężczyzna piękny, którego każdy ruch zdradzał energią i stanowczość. Dowiedziawszy się o śmierci Mieczysława i bankructwie Adama przyjechał on z zagranicy, aby po dźwignąć z upadku swojego niegdyś pana i znaleźć szczęście, o którym od tylu lat marzył.

Pan Adam przywitał gościa obojętnie. Jakiś czas rozmawiali o śmierci Mieczysława i kłopotach domowych. Lecz gdy Adam wspomniał przy tym imię swej córki, niecierpliwy Grodek zapytał:

— Czy pozwolisz mi pan przywitać pannę Helenę?

— Bardzo żałuję — odparł sucho Adam — że córka moja jest dziś trochę cierpiącą.

— Ależ ja jestem lekarzem — zawołał Grodek.

— To prawda, ale jeszcze nie dość starym lekarzem..

Odpowiedź ta, jak ' całe zresztą przyjęcie, podrażniła nieco z natury gwałtownego młodzieńca. Toteż licząc na dawne stosunki znajomości postanowił w tej chwili jasno wypowiedzieć swoje myśli.

— Panie Adamie! — rzekł głosem wzruszonym —

mój ojciec tiardzo kochał pana, Ja tyłem przyjacielem Mięcia...

„I dobrześ go wykierował!...” — pomyślał Adam.

Grodek mówił dalej:

— Sądzę więc, że się pan nie obrazi, gdy wszystko wypowiem od razu i otwarcie...

— Słucham.

rr Kocham już od dawna pannę Helenę...

Co?... — spytał Adam cofając się.

Ten ton zniecierpliwiał Gródka.

— Panie! — mówił dalej. — Dziś już wie pan, że nie powoduje mną żaden materialny interes. O posagu ma myślę, ponieważ sam mam dosyć znaczne dochody. Dobiłem się też między ludźmi pewnego stanowiska i uznania i jestem obecnie profesorem uniwersytetu...

III— A nazwisko?... — przerwał Adam.

— Nazwisko moje — odparł już obrażony Grodek — jest dziś przynajmniej tyle warte co i inne, nawet starsze od niego...

— Panie Grodek! — rzekł Adam spokojnie. — Cieszy mnie to, że podobnie świetną karierę zrobił syn jednego z wiernych sług moich. Sądzę jednak, że tytuły pańskie dają mu prawo tylko do urzędu lekarza mojej córki...

Powiedziawszy to ukłonił się osłupiałemu Grodkowi i wyszedł.

W gabinecie swoim zastał Helenkę. Była zarumieniona i ożywiona jak nigdy i patrząc niespokojnie na ojca szepnęła:

— Zdaje mi się, papo, że pan Grodek przyjechał?... Widziałam go oknem...

Ojciec wziął ją za rękę i ostro spojrzawszy w oczy rzekł:

— Panienska która wkrótce ma zostać żoną Zenona, nie powinna zbierać wiadomości przez okna...

— Jak to, ojczy — zawołała przerażona — więc ja naprawdę mam zostać?...

— Czy naprawdę? — powtórzył szyderczo. — Spytaj lepiej, czy naprawdę spadliśmy dziś już .tak nisko, że się nawet Grodek o ciebie oświadcza!

— Oświadczył się! — krzyknęła składając ręce. Pan Adam popatrzył na nią ze zdziwieniem, pobladł i ledwie hamując wybuch najwyższego gniewu odparł:

— To tak?... To i ty, córko moja, korzystałaś z jego przyjazdów na wakacje?... Chodźże! — zawołał ciągnąc ją za rękę — i patrz! — dodał ukazując wiszące na ścianach portrety. — Patrz!... Ci byli wojewodami, ten kasztelanem, ten — prymasem... śmiałażbyś pomyśleć,, żebym między nich wprowadził jakiegoś doktora?;* Jakiegoś nieznanego człowieka, który gdyby nawet miał w porządku swoje metryki, dowiedziałby się z nich o ekonomach, karbowych i chłopach!...

Helenka zachwiała się i załamując ręce upadła mu do nóg z okrzykiem:

— Nie gniewaj się tak!...

Pan Adam cofnął się, a w tej chwili czoło jego córki uderzyło o podłogę.

Na ten widok dreszcz go przebiegł. Teraz dopiero przyszła mu na myśl choroba jedyne dziecko^ Pochylił się i w potężne ramiona pochwycił leżącą.

— Helenko!... Heluniu!... — mówił — uspokój się... Ja się już nie gniewam. Hej, ludzie!... wody... po doktora!...

Ręce i głowa Helenki zwiesiły się ku ziemi bezwładne. Już było za późno i na doktorów, i na przebaczenie.j Na trzeci dzień Grodek, dowiedziawszy się z pism i plakat o nagłej śmierci Helenki, zrozpaczony przybiegł do mieszkania jej ojca. Gdy wszedł do salonu,

ujrzał ją nareszcie, po kilku latach niewidzenia już w trumnie. Obok jej zwłok siedział pan Adam.

Grodek wlepił oczy w te rysy piękne, choć martwe, a tak ukochane, pan Adam zaś zbliżył się do niego i począł mówić głosem tłumionym i szyderczym:

—No — teraz chyba jesteś już zadowolony?... To twoje teorie, to wasz postęp zabiera mi już drugie dziecko. O! niechże na wasze głowy spadnie i ta krew, i mój żal, i moje nieszczęsne sieroctwo!... Wasze nauki zatruwają dusze, a samo zetknięcie z wami zabija!...

Grodek spojrział w jego obłąkane oczy i milczał, Adam zaś położywszy mu rękę na ramieniu mówił dalej:

—No, wskrześże ją teraz!.. A może wasza mądrość potrafi mi i syna z grobu wywołać? Zróbże to, a upadnę ci do nóg, ja — tobie którego dziad i ojciec niejednokrotnie ściskali moje kolana...

Upiór!... — szepnął Grodek, ze wstrętem odpy- | chając jego rękę.

— A tak, dla was — upiór!.. — powtórzył Adam. — Szczęściem, niedługo i ja pójdę za nimi. Nie dosięgną i nas już tam wasze teorie!...

Grodek wyszedł zboląły i oburzony.

Nie teorie to zabiły dwoje niewinnych i nie postęp, j ale sam ich ojciec, obłąkany i niemiłosierny 'marzyciel, 5 który podjął się walki z życiem, zamiast rozumieć je I i na pożytek obrócić..

SZKATUŁKA BABKI

Z apaliwszy ofiarny knotek w lampce szafiro- *Ł. wej siadła babunia na starym skórzanym fotelu i zaczęła odmawiać poranny pacierz wzniosłszy oczy do szerniałego, ale cudownego obrazu Matki Boskiej. Drżącym szeptem, myśląc się i zapominając niekiedy, dziękowała Królowej nieba za ugaszenie przed dwudziestoma laty pożaru w stodołach i odpędzenie (dawniej jeszcze) od pół chmury gradowej. Potem modliła się za syna, synowę i wnuka, za sąsiadów, służbę i dobytek, w końcu zaś wspomniała długi szereg zmarłych krewnych, przyjaciół i znajomych.

Promienie słońca ucałowawszy kwiaty stojące w oknie ślizgały się po białej ścianie pokoiku, a odbite od stóp świętego obrazu, nagrzewały kota, , który się przy fotelu wyciągał, i otaczały jasnością brunatną twarz babuni tudzież suche jej ręce pokornie do modlitwy złożone. A ile razy staruszka podniesionym nieco głosem mruknęła: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie...”, i milkła, tyle razy knotek już dotykający wody w lampce cieniutko odskwierczał: „A światłość wiekuista niechaj im świeci...”

Nie dziwiło to babuni, która dobrze wiedziała, że światłość z knotka pochodzi i że jemu zatem mówić o niej przede wszystkim wypada.

Po ogólnym następował szczególny pacierz za "jasno- włosą duszę Kazia nieboszczyka, najukochańszego wnuka, który zmarł mając lat cztery, a dziś miałby już osiem!... Prawie zawsze przy wspomnieniu tym łzy z oczu płynęły niebodze. Ach! czemuż dano go przeżyć jej, która od tak dawna ma gotową nad łóżkiem żółtą gromnicę w kądziel spowitą? W jakim celu. trzyma ją Bóg na tej ziemi, gdzie słońce z każdym dniem blask traci, drzewa i kwiaty bledsze są i mizerniejsze niż kiedyś, gdzie lato od pewnego czasu jest tak zimne, że w lipcu watanego kaftana zrzucić nie można? Nie- lepiejże byłoby jej — tam, w niebieskim pokoiku, z Kaziem mieszkać i przez uchylone okno słuchać anielskich chórów aniżeli tu bolejąc za wnukiem dziwić się, że jedne ptaki jakoś schrypiły, a inne nawet zupełnie głos straciły?...

" Człowiek stary tak tęskni do śmierci jak spracowany robotnik do snu twardego. Świat go nie bawi, otaczający nie rozumieją, a żal ciągnie na drugą krawędź tej jamy ciemnej, którą już przekroczyli najbliżsi. Może w ich gronie szczęśliwym znajdziemy tę młodość, która nas zdradziecko w początkach życia odbiegła, i ukojenie tęsknoty, której całun wszystkie jego blaski zasłania. Może na końcu łańcucha półsenny, h dni i nocy bezsennych zajaśnieje nareszcie brzask wiekuistego słońca, w którego promieniach dusza znajduje nieśmiertelność, a serce zaspokojenie pragnień?...

Babunia wyjrzała oknem i przyszło jej na myśl pytanie, dlaczego dziedziniec ten, wielki za dni dziecinnych, w młodzieńczym wieku wydawał jej się zbyt małym, a dziś znowu urósł tak, żeby go i za godzinę nie przeszła?... Ale wnet zapomniała poprzedniej myśli i poczęła się troszczyć o to, że Kazio od samego rana wyszedł z pokoju i jeszcze się zaziębi na rosie. Przez

chwile nie mogła sobie wyobrazić, że Kazia nie ma na dziedzińcu. Przecież dopiero co dawał cukier swej klaczce, dopiero co wszedł za lipy między krzaki bzu, które chwieją się jeszcze... Przetarła oczy, chciała zawołać: „Kaziu! Kaziu! a chodź no do babci...” — lecz znowu zapomniała się. Widzenia znikły, nawet zmęczona myśl pierzchła, jak ten oto cień umykający z trawnika, i tylko gdzieś na samym dnie duszy pozostał okruch smutku niejasnego, na pozór bezprzytomnego, a jednak bardzo gorzkiego.

W tej chwili wbiegła do pokoju mała dziewczyna wiejska, bosy trzpiot z rozpiętą na piersiach koszulą, i krzyknęła babci nad uchem, że państwo ze śniadaniem czekają. Staruszka popatrzyła na nią gniewnie i opierając się na krawędzi fotelu i na ramieniu dziewczyny mruknęła:

— Och! ty... ty wariatko jakaś... Miałam coś bardzo ważnego na myśli, a ta mi przeszkodziła. Zawsze wpada do pokoju jak sowizdrzał, jeszcze się kiedy uderzy o co i rozsypie!...

Wzięła dziewczynę pod rękę i drżąca, pochylona, szła, wciąż gderając:

— Czego ty tak wyskakujesz?

— Ja nie wyskakuję, proszę pani.

— To czego się tak trzęsiesz, pewnie za lataniem, co?

— Ja się nie trzęsę...

— Słyszycie ją?... Ona mi będzie kłamstwo w żywe oczy zadawała!... Przecież ja po mojej ręce widzę, że cała dygoczesz.

— O, jak to pani od samego rana dokuczał — ofuknęła dziewczyna i ze złości odwróciła głowę od lokaja, który stojąc w sieni śmiał się i zęby wyszczerzał.

— Nie narzekaj, głupia! — rzekł lokaj robiąc miny zuchwałe. — Starsza pani nabeszta, ale za to da ci kolędę taką, co ha!

I wnet doda) półgłosem:

— Na bezrok! jak psu piąta noga urośnie. Dziewczyna parsknęła śmiechem i zatkała pięścią usta.

— Co ty katar masz, że tak kichasz? — spytała już łagodniej starowina. — Zawsze mówiłam, że na złe ci wyjdzie latanie. Lokaj taki był kontent, że aż się położył na stoł. Co to za radość dla niego, że skapa starsza pani, od której grosza nigdy nie widział, nie umie odróżnić kichania od śmiechu!

Ciągle opierając się na rękę dziewczyny, strudzona i zadyszana babunia weszła w końcu do jadalnego pokoju. Syn i synowa ucałowali jej ręce. lecz gdy chciała usiąść na krześle obok młodej gospodyni przy samowarze kipiącym, synowa rzekła:

— Niech mameczka usiądzie na drugim krześle, tu jest miejsce dla niańki i Władzia.

— Chciałam się trochę rozgrzać...

— Jakże się dziś miewa mameczka? — spytał syn.

— Wcale dobrze! — odparła staruszka. — Mam jakoś więcej sił i gdyby nie te chłody na dworze...

— Co też mama mówi!... Na dworze jest gorąco jak w piecu.

Babunia zajęta maczaniem bułki w kawie, której część już wylała się na spodek, nie słyszała ostatnich słów syna i poczęła mówić jakby do siebie:

— Był u mnie dziś Kazio...

Syn i synowa zamienili spojrzenia.

— Był taki jakiś mizerny, że boję się, czy nie jest słaby...

— Tam, moja mameczko, nikt nie choruje! — wtrąciła synowa.

— On i tu nie chorował, robaczek... Tylko w ostatnim

miesiącu coś mu się takiego zrobiło, że co dzień siły tracił, w oczach nikł... Przynieś no mi chustkę, Kachna, z mego pokoju! — mówiła staruszka czując, że ma oczy łez pełne.

— Com ja się doktorowi napłaciła — ciągnęła dalej — ażeby mu zdrowie wrócił, com ja się Boga nie na- prosiła, żeby mnie zabrał, a jego zostawił, wszystko na próżno!...

— Może mameczce śmietanki dolać? — zapytała synowa, którą opowiadanie babki, aczkolwiek co dzień powtarzające się, bardzo drażniło. Syn tym. zaszem zwiesił głowę, oparł lewą rękę na stole, a palcami prawej kręcił machinalnie gałki z chleba.

— Może mameczce dolać? — powtórzyła synowa.

— Śmietanki?... — spytała babunia. — Co ja miałam mówić, czy o Kaziu?... Nie, prawda!... Chciałam powiedzieć, że śmietanka z mego kamiennego garnuszka była lepsza. Ale i on się stłukł... Czy to kto jedzie?...

— Nie, to samowar syczy.

— Jakies dziwne samowary sprzedają teraz...

Synowa spojrzała na męża i pokręciła głową, jakby chcąc powiedzieć, że babunia robi się coraz bardziej niedołączna. On tylko westchnął i zapewne na znak smutku przykrył spodkiem rój much, które do szklanki powłaziły.

Weszła do jadalni niańka z tłustym, świeżo umyтым chłopcem na ręku. Matka wybiegła naprzeciw nich, pochwyciła synka i po raz może dwudziesty, choć był dopiero ranek, uściskała go i ucałowała namiętnie. Tłusty chłopak tymczasem zwrócił szafirowe o:zy na siedzącą już przy stole niańkę, potem na szklankę leciutkiej kawy dla niego przeznaczonej, potem nie spuszczać oka ze szklanki poślinił rękę, którą mu ojciec dał do pocałowania, a wreszcie zaczął wydzierać się i krzyczeć. Posadzono go na kolanach piastunki,

uporządkowano różowe, pofałdowane nogi w taki sposób, aby ich nie opierał na stole, i obtarto mu rączki) które przed chwilą w szklanką włożył.

Babunia zatrzymawszy w połowie drogi łyżeczkę, którą niosła do ust, smutnie patrzyła na kręcącego się wnuka i znowu poczęła mówić głosem wątlym i jednostajnym:

— Tak właśnie Kazio siedział u mnie na kolanach. Była może trzecia po południu. Otworzyłam okno, " ażeby powietrza ciepłego trochę naszło, myśląc, że go to orzeźwi. Wtedy akurat Wawrzek wypuścił klaczkę Kazia na dziedziniec. On biedak patrzył na nią, pokazywał paluszkami, a nareszcie powiedział: „Babciu!... widzisz, jak moja klaczka bryka" — i zsunął mi się na ręce martwy... O, dlaczegóż mi serce do reszty nie pękło!...

Skończywszy połknęła łyżeczkę rozmoczonej bułki, a potem zaczęła jęczeć i szlochać. Po jej twarzy, bruzdami okrytej, z zaczerwienionych oczu płynęły łzy; żuła bułkę i płakała myśląc o Kaziu, który ją tak wcześniej porzucił.

— Może się teraz mama herbaty napije? — zapytała synowa.

— Dobrze, choć nic już nie mam apetytu... A połóż mi kawałek cukru na spodeczku, to dam klaczce, jak ją zobaczę.

Synowa była dobrą kobietą, lecz biadania staruszki usposobiły ją tak dziwnie, że kładąc cukier na spodku, ze-złośliwą intencją rzekła:

— Niech jej mama da dwa kawałki, i to zaraz, bo już po południu klaczki nie będzie.

— Klaczki?... Kaziowej? — spytała babunia.

— A tak. Mąż sprzedaje ją i siwka Wesołowskiemu, który potrzebuje białej czwórki na wesele.

Syn znowu zaczął bębnić palcami po stole patrząc

na strumień pary, który z gwizdem wydobywał się i z samowara.

Babka z początku zdawała się nie rozumieć słów synowej, stopniowo jednak poczęła ożywiać się. Na wypukłym, ogołoconym z włosów czole nabrzmiały jej i żyły, oczy zaiskrzyły się, usta przycięły. Spojrzała ostro w twarz synowi i zapytała głosem silnym i bardziej niż kiedy stanowczym:

— Jak to, Jasiu, więc prawda, że sprzedajesz klaczkę Kazia?

— Jeżeli dają mi trzysta rubli za parę, dlaczegoż- bym nie miał sprzedać? — spytał pan Jan zatrzymując wzrok na dębowym kredensie.

— Boże miłosierny, czego ja dożyłam! — zawołała staruszka łamiąc ręce. — Ależ ta klaczką to prawie ostatnia pamiątka po Kaziu!...

— Moja mamó — przerwała synowa — przecież ja byłam matką, a Jaś ojcem nieboszczyka Kazia, kochamy go więc i pamiętamy o nim równie dobrze jak ktokolwiek bądź... W tym jednak wypadku nie widzimy racji, dla której nie mielibyśmy sprzedać koni za tak dobre pieniądze...

— Oj, te pieniądze! — mruknęła babka. — Ludzie dzisiejsi za pieniądze oddaliby własne dzieci.

— Afektuje mameczka! — wtrącił syn.

— Och, jakżeście wy łatwo zapomnieli o tym biedaku! — mówiła wzburzona staruszka. — Jakim tylko miała zabawki po nim, oddaliście Władziowi, który je tego samego dnia popsuł. Jego łóżeczko darowaliście ekonomowi, a wózek gnije w szopie, choć ze łzami błagałam was, abyście go zostawili w moim pokoju. Teraz przyszła kolej na klaczkę, którą własną ręką karmił, woził się na niej, całował ją...

— Jeżeli mama rzeczywiście tak ceni pamiątki po Kaziu —' rzekł już zniecierpliwiony syn — to któż

mamie broni kupić ode mnie oba konie? Tym sposobem ja nie zostanę skrzywdzony i klacz nie opuści domu. Trzysta rubli toć przecie nie tak znowu wielki kapitał, a mnie się przyda.

— Właśnie chciałam to samo powiedzieć... Z ust mi wyjąłeś! — wtrąciła bardzo ożywionym głosem synowa.

Rozdrażnienie babki było tak wielkie, że bez trudności na pozór, sama powstała z krzesła.

— Ja mam dać trzysta rubli? — spytała. — Ja?...

Nadbiegła dziewczyna i podała rękę staruszce, która z nieopisanym żalem spojrzawszy na syna wyszła do siebie jakaś wyprostowana i żwawsza. Dopiero w pokoiku upadła ciężko na fotel, zapłakała i wkrótce potem zasnęła.

— Dziwna to ta starość — rzekł po chwili milczenia pań Jan do swojej małżonki. — Roztkliwia się nad byle drobiazgiem, co dzień roni łzy nad wspomnieniami, ale okazuje dużo hartu wówczas, gdy mowa o pieniądzach.

Milczenie.

— Mama istotnie od kilku lat bardzo się zmieniła — dorzuciła synowa. — Dawniej hojna dla służby i dla nas, duś nikomu grosza dać nie chce...

— Jużci to jaśnie pani ma świętą racją! — wtrąciła niańka. — Jak żył Kazio nieboszczyk, nie było miesiąca, żeby człowiek czego nie oberwał, i nie tyło ja, ale lokaj, furman i dziewczuchy. A teraz to starsza pani strasznie się trzęsie za groszem, nawet i sobie nic nie kupi.

— Wada wieku! — mruknął pan Jan.

Znowu nastąpiła cisza, którą przerywał tylko brzęk much i bełkotanie małego Władzia.

— Ciekawam, jaki też matka może mieć kapitał? — spytała zamyślona synowa.

— Trudno odgadnąć — odparł mąż. — Wiem tylko,

że matka od śmierci swego brata wydała na nasz dom, na rozmaite nabożeństwa i podarunki około dziesięciu lub piętnastu tysięcy rubli, ale nie wiem tego, ile jej wuj ciepłą ręką zostawił. Może już nie ma nic?...

—Daj spokój! ty wiesz, że nie jest tak źle — odparła z uśmiechem pani.

—Oj! oj! — odezwała się niańka. — Na co tu jaśnie pana, kiej we dworze wszyscy wiedzą, że pani starsza ma kupę pieniędzy.

—Skądże wiedzą? — spytał pan podnosząc nagle głowę.

—Albo to ja, proszę jaśnie pana, nie widziałam, jak starsza pani zamyka się w pokoju, roletę zapanuje, dobywa szkatułkę ze skrzyni i liczy cosik nieraz przez całe pół dnia. -Tak rychtyczek jak nieboszczyk dziekan z Pałak, co to nie dojadł, nie dopijał, mieszkał i ubierał się jak dziad, a po nocach ruble i dukaty kwaterką mierzył. Służyłam wtedy za dziewczuchę u organisty, tośmy się, bywało, nieraz zakradli pod okno i przez szpary w okiennicy podpatrywali jegomości. Już ja chyba do śmierci nie ujrzę takich strasznych pieniędzy!...

Umilkła niańka zajęta utulaniem płaczącego Władzia, który się uderzył rączką o stół. Przestraszona matka zapomniała o wszystkim całując i chuchając na tłuste paluszki jedynaka, a pan Jan wciąż bębnił w ceratę i myślał o dziwactwach starości. Kto by przypuścił kiedy, że jego matka, ta hojna, wspaniałomyślna i wesoła pani, znajdzie dziś jedyną przyjemność w chowaniu i rachowaniu pieniędzy i w opłakiwaniu zmarłego wnuka, około którego krótkiej mogiłki już gaj drzew gęstych wyrósł!

W godzinę potem grzecznemu Władziowi wsadzono na główkę muślinowy czepeczek i słomiany kapelusz, ubrano go w białą, długą sukienkę, jakiej używają

panny do jazdy wierzchem, i wysłano z niańką na spacer. Piastunka obeszła z nim dziedziniec dokcła, a gdy zasnął, siadła pod cieniem lip, naprzeciw stajni. Spłoszone z drzew wróble stanęły rzędem na sąsiednim płocie i świergocząc, pilnie przypatrywały się dziecku, nad którego giową kilka pszczoł nuciło pieśń jękliwą, a ciepły wiatr południowy to rozchylając, to zamykając szeleszczące gałązki dmuchał mu w pyzată buzię i wywoływał zmarszczki na czole nie zaćmionym jeszcze chmurą myśli.

W tym samym czasie stangret Wawrzyniec wiązał u płotu konie skazane na sprzedaż. Wysoki ten, barczysty człowiek z rzadkimi włosami, którym nie obcą była woń powozowego smarowidła, przeklinał szcnotkę i zgrzebło, narzekał na ciężkie obowiązki i okrutnie popychał Bogu ducha winne konie, które co chwilę odwracały łby i spoglądały na niego z po dziwieniem.

— Noga! złodziejski synie — wołał stangret na siwka wycierając mu kopyto. — Teraz będziesz pamiętał, co znaczy służba u panów... Nie pchaj się, ty wściekła sobako! — mówił do klaczki — bo jak cię huknę drągiem po krzyżu, to wyplujesz parę i pójdiesz do rymarza... Póki cię potrzebowali, to dawali ci cukierki, a teraz sprzedają cię jak wieprzka... I hi! pójdę chyba i ja za wami, psiewiary, bo jak was nie stanie, to nie będzie nawet do kogo porządnego w stajni pyska otworzyć.

— Brum! — parsknął siwek.

— Zdrowo! — odpowiedział Wawrzyniec. — Nie bój się! odejdzie ci z połowa ochoty, jak pójdiesz w cudze ręce. Nie będą dla ciebie kradli owsa fornalskim koniom, i jeszcze daj Boże, żeby cię samego nie krzywdzili! Jakie to karczysko u niego, jaki zad, jakby u jakiej hrabiny!

Niańka, którą okrutnie język świerzbiał, ile razy

słyszała gadanie, zachwyciwszy rozmowę Wawrzyńca z końmi otworzyła parasolkę i ze śpiącym dzieckiem zbliżyła się do płu.

— To ci dopiero Wawrzyniec dostanie od Wesołowskiego uzdowe!
— rzekła z uśmiechem.

Markotny Wawrzyniec spojrział spode łba na babę, plunął przez zęby i posądzając ją widocznie o chęć naigrawania się nad nim wrzasnął:

— Myśl lepiej o tym, żebyś za rok mamką została, a do koni mi się nie wścibiaj!... Nie bój się, oddałbym ci i te uzdowe i jeszcze co batem z łaski swojej dołożył, żeby ino nie sprzedawać tych konisków, a ona mi tam uzdowe wymawia!...

- O laboga, a cóż to wy myślitą, że mi tak pilno konie sprzedać?

— No, to czego trajkoczesz?

— A bo mi ich żal — odparła niańka, a czując, że się mały budzi, poczęła śpiewać:

— Aa — aa! lul lu! luL. Aa — aa!...

— Takie to tam babskie żale! Choćby i największy był, wycieknie z niej- jak woda z dachu... Tylko tyle, że sobie oczy przepłucze, a żeby lepiej za chłopami zerkać mogła.

Myślicie, że mi ich nie żal?... Albo to i mnie nie- lepiej było jeździć z panią do kościoła we czwórkę? Bywało, jak człowiek wysiadł z dzieckiem z powozu i obejrzał się, co tyle koni przed nim wierzga, to tak, jakby mu kto...

- Soli nasypał! — wtrącił stangret szczotkując białą klaczkę.

— Gdzie zaś! — odparła niezmiészana tym niańka. — Ale teraz zakończyła z westchnieniem — jak siądziemy w tyle osób na parę koni, to jeszcze nas kto policzy niby Żydów, kiedy z jarmarku wracają.

Wawrzyniec podrapał się zgrzebłem w kolano, potem

przewiesił rękę przez łukowaty kark klaczki i z litością patrząc na niańkę rzekł:

— Babski żal, i tyle! Jej chodzi o to, żeby się czwórka do kościoła dryndała, a nie może pomiarkować sobie, że koń to nieraz lepszy od innego człowieka i że kto konia sprzedaje, to tak jakby rodzzonego brata sprzedał.

Wiesz ty — mówił dalej — że kiedym ja zaraz po Wielkiej Nocy na krzyż chorował, to mnie ten oto hycel siwek dopóty pyskiem tarł, dopóki mnie nie odeszło?... Rodzona matka by mi lepiej nie dogodziła, aż mi koszulę podarł!.. Oj, ty! — ciągnął klepiąc konia po szyi — żebym ja był tak jak nasz pan, to byś ty u mnie w sali stał i z fortepianu jadał.. Ale u naszego pana rubel więcej wart niż przyjaciel!

— Jeszcze on nie tyle winien co stara — rzekła niańka. — Sama przecie słyszałam, jak gadał' do niej, żeby mu za konie trzysta rubli dała, to by już u nas zostały.

— Może? — spytał furman.

— Sprawiedliwie, że tak!... Ale stara skąpa, choć ma grosze.

— O, ma! — powiedział Wawrzyniec. — Pamiętam, że kiedy to miał Kazio konać, to mi dała srebrnego rubla, żebym doktora prędko przywiózł. A teraz choć i sama jeździ i choć się boi, aż z niej kości wyłażą, żeby nie wywrócić na zły drodze, nie da ci nawet, człowieku, i grosika powąchać.

— Chytra starucha, ale też jej okrutnie żal klaczki!... Poczekajta no, Wawrzyńcze, tutaj, a ja pójdę do niej do okna, to może ją sumienie ruszy i nie odda konisków w cudze ręce.

To powiedziawszy pobiegła niańka kłusem do okna babuni i podtrzymując jedną ręką senne dziecko, drugą zaczęła pukać..

— Pani! — wołała — a ot klaczka Kaziowa stoi u płota i chce się z panią pożegnać.

Babcia zwolna posunęła się ku szybom i zrobiwszy z ręki daszek nad przygasłymi oczyma spojrzała w stronę koni, które biły kopytami i wyrzucały łby w górę. Chwilę zatrzymała się w tej postawie, a potem nagle spuściła zieloną roletę.

Niedługo niańka plotkarka, która przez szczelinę między oknem i roletą zaglądała do pokoju, pobiegła do pani młodszej z wielkim krzykiem.

— Proszę jaśnie pani — mówiła prędko — pewnie już konie w domu zostaną, bo pani starsza dobywa pieniądze ze szkatułki.

— Głupstwa gadasz! — zgromiła ją synowa.

— No, niechże jaśnie pani pójdzie i sama się przekona.

I poszły razem sługa i pani pode drzwi babki zaglądać przez dziurkę od klucza.

Istotnie przy stoliku w głębi pokoju siedziała tyłem do nich odwrócona staruszka, zajęta przepatrywaniem wnętrza sporej szkatułki obitej skórą dzika i ujętej w mosiężne klamry. Z pokoju dolatywało je ciche szlochanie, oczywisty dowód tego, jak trudno było babce rozstawać się z pieniędzmi.

— Mateczko! — zawołała w tej chwili synowa — konie już wyprowadzają.

Krzesło poruszyło się, szkatułka stuknęła, lecz po chwili dopiero odpowiedziała babunia:

— A niech wyprowadzają, cóż ja na to poradzę?

— Więc mateczka nie da Jasiowi trzystu rubli?

Na to pytanie babka nie odpowiedziała nic, tylko szepnęła jakby do siebie:

— Boże mój! com ja im winna, że mnie tak dręczą?...

Synowa trochę już obrażona odeszła spode drzwi i rzekła półgłosem:

— Jakaż to straszna choroba skąpstwo i co ona z ludźmi wyrabia!...

Niańka w te pędy dała znać furmanowi, że starsza pani już liczyła pieniądze, ale zobaczywszy tyle srebra i złota pożałowała go i koni się wyrzekła.

— Kiepski to już widać rozum u niej, u starej — rzekł furman. — Ona i tak niedługo popasie, a zawsze by choć i jej ładniej było na cmentarz cugiem paradować aniżeli fornalką!...

Kończył się już wrzesień. Z pól znikło chwiejące się zboże, a na jego miejsce tu i owdzie wyrosły ogromne, do chat podobne sterty, w których stada wesołych myszy zasiadły. Wszystkie psy biegające po łąkach i trawnikach miały nosy omotane nićmi babiego lata, ukośne promienie słońca coraz częściej barwiły purpurą ciemne obłoki, a nad bagnami wieczorem coraz głośniejsze kwakały dzikie kaczki lub narzekały gęsi zabierające się do odlotu.

Na krzakach róży dzikiej czerwieniały wielkie jago- dy głogu, na dziedzińcu miejsce kwiatów letnich zajęły georginie piękne, różnobarwne, lecz smutne, a każdy silniejszy powiew wiatru strząsał po kilka i kilkanaście żółtych, brunatnych albo czerwonych liści. Spadały one, głucho szeleszcząc i zatrzymując się na każdym pięttrze gałęzi, jakby im żal było macierzystego drzewa, ze szczytów którego nigdy już patrzeć nie będą na falistą ziemię ani od niebios żądać tęczowych kropel rosy!

Staruszka babcia coraz rzadziej wycnodziła z pokoju. Męczył ją kaszel, siły rozpraszały się i tylko paroksyzmy gorączki od czasu do czasu podniecały energią życia. Pewnego dnia ludzie kopiący kartofle w po-

lu usłyszeli na drodze z kościoła do dworu drobny dźwięk dzwonka; zdjawszy więc słomiane kapelusze poklękali w brzdach i modlili się za duszę starszej pani, do której ksiądz z Panem Bogiem pojechał.

Tego dnia było z babunią bardzo źle, tak źle, że posłano nawet do miasteczka po stolarza, aby wziął miarę na trumnę. Ale akurat gdy stolarz przyjechał z długą czworograniastą linią, która mu wystawała daleko za wasążkę, babuni zrobiło się lepiej. Zjadła nawet rosołu z kury i usiadła na łóżku otoczona poduszkami.

Odtąd czas jej włókł się bardzo smutno. Była senna, choć zasnąć nie mogła; gdy chciała skupić myśli, zapominała o wszystkim, a gdy rada była zapomnieć o świecie całym, w duszy jej snuły się mroczne marzenia, jak rój pajaków w wałącym się budynku. Chwilami nie czuła rąk ani ciepła napelnionych wrzątkiem kamionek, którymi ogrzewano jej sztywniejące nogi. Niekiedy, gdy kto drzwi otworzył, oglądała się po pokoju jak człowiek, który nagle z piwnicy wyszedł na światło. Zdawało się, że czeka ukazania się śmierci, aby przemówić do niej: „Oto jestem!” Podobna była do liścia, który postradawszy wrażliwość na promienie słoneczne zwija się apatycznie i usycha. Na wiecznie kwitjącym drzewie ludzkości wyrosły już nowe pączki gwałtownie rwące się do życia, którym ona z kolei obowiązana była ustąpić, jak i jej niegdyś ustąpiono.

Śmierć, która dla jednych jest cierpieniem i niebezpieczeństwem, dla drugich bramą wiodącą do szczęścia, dla innych ucieczką od złego, dla niej była ostatnim aktem znużenia. Dziś nawet nie pragnęła jej, ponieważ umieranie jest jeszcze objawem życia, które jej ciążyło — raczej gasła. Tylko gdy kilka kropel starego wina podsyciło jej energią, gdy we wspomnieniach jak odległy krajobraz zarysowały się jej lata

młodości i siły, gdy niewyraźne te, a tak piękne widziadła porównała z obecnym mrokiem, jaki ją nieustannie otaczał, spoglądała na obecnych i z bolesnym uśmiechem pytała: kiedyż to się nareszcie skończy?

Każde dogorywające światło miewa chwile, w których rzuca silniejsze blaski; chwila taka i dla babuni nadeszła. Jakieś niezrozumiałe dla zdrowych i młodych symptomata ostrzegły ją, że wkrótce w istnieniu jej zajdzie ważna zmiana. Chciała jeszcze zaczerpnąć świeżego powietrza, rozejrzeć się po drzewach choć z daleka i prosiła, aby jej okno otworzono. Potem wezwała syna i synowę. Przyszła niańka z Władziem, który trzymał w rękach grzechotkę i trząsł nią co chwilę, przybiegła blada jak ściana Kachna, lokaj, który ten raz zapomniawszy o śmiechu nie mógł tchu złapać, i kucharz, który już za drzwiami ukląkł i tylko wystraszoną twarz w szczelinie ukazał.

W pokoju babki zrobiło się tak cicho, że było słychać szmer chwiejących się krzaków georginii, trajkotanie dalekiego młyna i gdzieś tam, pod lasem, dźwięki myśliwskiej trąbki. Nawet Władziowi przeszkadzano grzechotać.

— Moje dzieci — rzekła babunia — i wy wszyscy, ludzie kochani, przebaczcie mi złe, jakie wyrządziłam komu w ostatnich czasach. Starość to moja więcej winna niż ja, choć i nade mną niech Bóg ma miłosierdzie!.,., i;

Syn i synowa uklękli przy łóżku starowiny, kobiety zalały się łzami, lokaj chciałby uciec na koniec świata, gdyby go tylko puszczono, a kucharzowi nie wiadomo skąd przyszło na myśl, że mu pewnie starsza pani dwieście złotych zapisała w testamencie. W tej chwili pocziwiec ślubował naprzód dać na mszę za duszę nieboszczki, a potem wziąć od pana szynk w arendę.

Babunia odpoczęła trochę i zwróciwszy się do syna mówiła:

— Jasiu! ty wiesz, że byłem dla ciebie dobrą matką. Wychowałam cię, jak mnie stać było, majątek po śmierci ojca z długów oczyściłam, wszystko, com miała, wam oddałam i oddaję... Za to ZTÓb ty mi jedną łaskę... Przrzeknij, że zrobisz...

— Przysięgam! — szepnął syn.

— Oto gdy umrę, wydobądź z mego kufra szkatułkę i włóż mi ją do trumny... To ostatnia moja prośba, największa... Bo widzisz, strasznie umierającemu pomyśleć, że przyjdzie chwila, w której on sam nic już sobie nie poradzi, a najdroższe jego życzenia zależeć będą od ludzi obojętnych... Zróbże mi to!

— Zrobię — powtórzył syn.

— Niech was Bóg błogosławi!

Nagle podniosła się i spojrzała wokół niespokojnie, jak człowiek, który w gęstwinie drogę stracił. Oczy jej zatrzymały się na synu z wyrazem najgorętszej prośby...

— Szkatułkę!... — jęknęła i potem kilka razy poruszyła ustami, ale już bez wydania dźwięku.

W myśli jej obudziły się wszystkie wspomnienia dzieciństwa, wieku młodego i starości, widziała jakąś małą dziewczynkę zrywającą kwiaty w ogrodzie... jakiś ślub... jasnowłosego Kazia... jego klaczkę... Ogarnęło ją zdumienie, chciała zapytać, czy wszystko to było snem i kto marzył o tych rzeczach?... Oczy jej zamykały się gwałtem, a gdy je otworzyła, ujrzała gromnicę owiniętą w kądziel i czerwony, drgający płomień, który coraz to większe koła otaczały. Ale to już widzenie było czystym snem...

Za oknem trzepotało się kilka wesołych wróbli, szeleściły żółte, liliowe i pąsowe georginie, z daleka traj-

kotał młynek przygotowujący mąką dla ludzi, ale odgłosów tych już nie chwyciło ucho babuni.

Tym razem stolarz nie na próżno przybył do dworu ze swą linią, a na drugi dzień przywiózł* czarną lakierowaną trumną ze srebrnym krzyżem na wieku.

W kilka godzin po śmierci staruszki przyjechało paru najbliższych sąsiadów. Jeden chciał zająć się pogrzebem i na jaki tydzień zastąpić w gospodarstwie pana Jana, drugi ofiarował pani Janowej swój dom na czas najprzykrzejszy. Oboje państwo podziękowali za dobre chęci, lecz korzystać z nich nie chcieli.

— Zawsze to jednak smutno wam będzie nocować w jednym domu z nieboszczką — zauważył sąsiad.

— Smutno... a to dlaczego? — spytała pani. — Przecież nie będę się obawiała poczciwej matki me*c męża!

, Nad wieczorem zwłoki przeniesiono do salonu, a pan Jan w części dla rozerwania znękaney myśli, w częśćJ dla porządku w towarzystwie żony przejrzał szuflady' nieboszczki. W stoliku znalazło się parę sznurków pereł, kolczyki, broszka i pierścionki z drogimi kamieniami. W toalecie było kilka starych holenderskich dukatów razem z poświęcanym kadzidłem i kredą. Ale większych sum nie znaleziono nigdzie.

— Zapewne matka wszystko wydała, co jej brat zostawił — rzekł pan Jan.

Pani spuściła oczy i milczała.

— Trzeba by jednak — rzekła po chwili stłumionym nieco głosem — przenieść tę szkatułkę do salonu. Nieboszczka chciała ją mieć przy sobie.

— Zrobimy to, jak trumna będzie — odparł sucho mąż.

— Ciekawam jednak, i 1 e tam może być?

— Wszystko jedno; przecież nic nie weźmiemy.

— Tak... ale zawsze warto by zobaczyć. Dla mnie ostatnia wola matki jest tak świętą, że choćby nawet było jakieś kilka tysięcy, nie pozwoliłabym ich dotknąć. Był to kaprys, dziwactwo ze strony nieboszczki, ale szanować je wypada...

— Nie mówmy już o tym! — przerwał pan Jan. — Oto masz, oddaję ci te klejnoty...

— Wolałabym je do kościoła oddać na intencją zmarłej; chociaż ona była tak świętą kobietą, pomimo niektórych dziwactw, że niezawodnie jest już w niebie — rzekła pani.

— Jaki ten pokój smutny! — mówił mąż. — W nim straciliśmy Kazia, teraz matkę...

— Co się zaś tyczy szkatułki — wtrąciła żona — to najlepiej jej nie otwierać. Człowiek jest słaby, a rozumiem, jakby mi było przykro, gdyby nasz Władzio nie spełnił mojej ostatniej prośby. Chociaż... łatwo bym mu przebaczyła, gdyby mu to było do szczęścia potrzebne. — Zmów pacierz i idźmy spać.

— Trzeba dobrze okno zamknąć. Czy masz klucz od tego kufra, w którym Jeży szkatułka? — zapytała pani.

— Na cóż te ostrożności?

— Są konieczne, gdyż jeżeli pamiętasz, mama przy całej służbie o szkatułce mówiła. Ludzie ci wiedzieli o tym, że nieboszczka miała pieniądze, trafić się więc może, że ktoś łakomy...

— Nie lękaj się! Jeszcze dla luduqffi®szego świętą jest własność zmarłych. No, idźmy!...

I wyszedł pan Jan, a za nim żona, która obejrzawszy troskliwie okno zapuściła roletę i drzwi zamknęła na klucz.

Już kładąc się spać pani zapytała męża:

— Czy to prawda, że twego wuja liczono na pół miliona?

— Coś około tego.

— Wiś sama-była warta trzykroć, a gdzież reszta?...

— Osiemdziesiąt tysięcy gotówki poszło do podziału.

— Gdzież więc sto dwadzieścia?...

— Spij spokojnie! — rzekł pan Jan.

— Dobranoc ci! — odparła żona.

Po chwili odezwała się znowu:

— Wszakże matka u nas wydała najwyżej dwadzieścia tysięcy?

— Daj spokój!... co nas to już dziś obchodzi?...

Umilkli oboje, ale żadne z nich do rana zasnąć nie mogło. Wstali wcześniej, strudzeni, zamyśleni i wzajemnie unikający swoich spojrzeń, choć każde było pewne, że zna myśli, jakie trapiły drugie z nich.

Po południu na środku sali ustawiono katafalk. Przyjechał proboszcz, kilku- sąsiadów, zebrali się domownicy. W chwili gdy ciało nieboszczki, w czarne szaty przybrane, miano złożyć do ostatniego schronienia, ukazał się pan Jan z małą szkatułką w rękach.

— Matka moja — rzekł do obecnych — nie chciała się rozłączyć z tą pamiątką, którą tu składam czyniąc zadość jej woli.

Powiedziawszy to umieścił szkatułkę na dnie trumny i przykrył ją poduszką wiórami wypchaną, na której niebawem spoczęła martwa głowa babuni.

Panią Janową tak wzruszył prosty ten obrzęd, że dostała spazmów i przez pół godziny leżała jak drzewo sztywna.

Tymczasem dwaj silni fornale ustawili trumnę na katafalku, kobiety otoczyły ją wazonami kwiatów, a organista zapalił sześć białych świec woskowych. Otworzono drzwi i odtąd dobrzy ludzie bez przeszkody wchodzić tu mogli w celu odmówienia pacierza za du-

sze zmarłej i przypatrzenia się najparadniejszej pańskiej komnacie.
Po modlitwie obdarty pastuszek od świń powiedział do żony parobka:
— To ci dopiero izba: rychtyczek jak kościół. Ino że kropielnicy przy drzwiach zdybać nie mogłem. -
I podrapał się rześciście, może z podziwu, a może z innych powodów.
— Jaki to tam kościół zaś! — odparła parobczycha — kiej w nim świętych nie ma.
— Nie ma teraz, bo ich wynieśli, ale za to w sieni widziałem takiego ci świętego, że i w kościele nie zdybie. Mówię wam... ruchał się, klękał, żegnał się, wstawał, aż mnie ciarki przechodziły..
Parobczycha w ręce klasnęła:
— Co ty gadasz, chłopak?... toś ty cud widział!...
— Oj! nie mówcie tak, bo mi strach!... — prosił pastuch okrutnie zmieszany.
— Ma się wiedzieć, że cud, oj, laboga!... Niańko! — zwróciła się parobczycha do piastunki — wiecie wy, że przy Wałku święty ruchał się na hańtym obrazie, co w sieniach stoi...
— Na jakim obrazie?... W sieniach żaden obraz nie stoi — odparła wystraszona niańka. — Chyba, że go teraz wynieśli... Gadaj, chłopak, jak obraz wyglądał, może to nieboszczyk ojciec pana, a mąż nieboszczki, po jej duszę zstępował z portretu?...
— Powiedzże, Wałku, jak wyglądał święty! — nacierała parobczycha chłopca, któremu zimny pot ciało oblał.
— No, jak!... czy ja ta wiem jak?...
— Jakże był ubrany? — spytała niańka.
— A tak... był w parciance...
— Głupi! to nie parcianka... A buty miał czerwone?... — indagowała niańka.

—Nie!... boso był...

-A na głowie miał aksamitną czapkę z barankiem?

—Nie!... ino trzymał w garści kapelusz... — odpowiadał chłopak, któremu się już na płacz zbierało.

Niańka odstąpiła parę kroków i z pogardą zmierzyła go od stóp do głów.

—Oj, ty ryfo — rzekła. — Tożes ty samego siebie w lustrze widział, a gadasz o świętym!... Żeby wszyscy tacy święci byli, to by człowiek pacierza zapomniał!

—Może to i lustro!... Pewniakiem, że lustro! bo przecie żeby cud miał być, to by się prędzej jegomości i panom pokazał, a nie pastuchowi od świń — zakonkludowała parobczycha.

I poszli oboje z chłopakiem, który był jakiś nieswój. Jeżeli nie widział cudu, to go ludzie -wysmieją, a jeżeli widział, to jeszcze gorzej — bo strach! Słowem, przytrafił się pastuchowi wypadek na oba końce zły!

Z tym wszystkim, ku wieczorowi, między dworskimi ludźmi poczęła krążyć pogłoska, jako po ustawieniu zmarłej W trumnie nieboszczyk mąż jej, co wisiał na portrecie wyniesionym do drugiego pokoju, zdjął czapkę, ukląkł i mówił pacierz za duszę. Wieść ta wyszła od niańki, obiegła 'kredens i dostała się na folwark. W kuchni o niej tylko mówiono, a żadna dziewczucha za skarby świata po zachodzie słońca nie wytknęłaby nosa na dwór.

Gdy zapadł mrok, przy trumnie nieboszczki została tylko babina spod kościoła. Słyszała już i ona o cudownym portrecie i było jej markotno. Dostrzegła to widać synowa zmarłej (niech jej Bóg da wszystko dobre na świecie!) i nie chcąc dręczyć babiny poczęstowała ją wódką i pozwoliła iść spać do kuchni.

Starucha przez ceremonię wzdragala się, mówiła, że

— Oj, szczerem... oj! szczerem... aż mnie zatchnęło!... Sprzątnięto miski i odsunięto pieńek, aby staruszka mogła lepiej tchu złapać. Jakoż we dwa pacierze przyszła do siebie, a nawet zrobiło się jej rażno. Na kominie dogorywał już ogień, oblewając część su-
się zmarłych nie boi, lecz pani Janowa dla zwalczenia jej skrupułów wydała rozkaz stanowczy, którego trzeba było usłuchać. Poszła tedy baba błogosławiąc dziedziczkę i myśląc o wygodnym spoczynku między żywymi na świeżej słomie.

Dziewuchy ucieszyły się bardzo z jej przybycia. Dzień jutrzejszy, w którym miano pochować nieboszczkę, był jak' święto, wołały zatem nie kłaść się spać wcześniej, ale za to dłużej gadać o strachach. Ponieważ; spodziewano się gości, więc lokaj z pokojówką ładowali talerze i nakrycia, a kucharz przygotowywał statki. Z tych powodów ludzi w kuchni było dużo, a gadania jeszcze więcej.

Kiedy babka weszła, dziewczuchy posadziły ją jako szanownego gościa przy piecu na ławie i przysunęły do niej śliczny- wytarty pieńek, na którym gospodyni wnet postawiła misę zacierek mlekiem zabelonych i drugą kartofli ze skwarkami molestując, aby wszystko to zjadła za dusze zmarłych. Pobożność staruszki nie jwykła była cofać się przed podobnymi intencjami, lecz siły już nie dopisywały. Po zacierkach zaczęła dyszeć, a pod koniec kartofli tak ją sparło, że z wielkim utrapieniem ducha musiała łyżkę odłożyć.

— Oj, chyba nie wydamę już, moiściewy! — jęknęła do gospodyni.

Gospodyni pomiarkowawszy widać, że objętość misek nie pasuje do wzrostu babiny, odparła:

— Iii! nie frasujta się!... Bóg miłosierny i to przyjmie na chwałę swoją, byle ofiarować sercem szcze-

fitu, ścianą i półki z garnkami żółtoczerwonym światłem. W przeciwnym rogu wielkiej kuchni, obok tapczana i wiszącej nad nim galeryjki do spania, tlił się naftowy kaganek, przy którym lokaj przecierał talerze i ustawiał je w kolumny. Dziewuchy ukończywszy robotę i gadanie ziewały po kątach, w sieni stękał chory parobek, a w grubie. świerszcz świergotał. Wówczas Magda odezwała się do Franki:

— Widziałaś tę skrzynkę, co ją dziedzic nieboszczce pani włożył do trumny?

— Com nie miała widzieć? — odparła ponura Franka opierając brodę na rękach.

— Tam ponoć jest kupa pieniędzy?

— Oho! i jeszcze jaka!... Lokaj położył ścierkę i słuchał.

— A wyjęłabyś teraz pieniądze spod głowy nieboszczce?...

Lokaj zatrzęsł się.

— Tfy! pokusa!... — mruknęła Franka. — Ażeby tam były wszystkie skarby, jakie ino są na świecie, to bym nawet na progu nie stanęła w tej izbie...

— Cha! cha! cha! — roześmiał się lokaj i przybiegł do dziewczuch z zaiskrzonymi oczyma. — Głupie wy!... ot, chamska krew... umarłego się boi!... A wiesz ty, że taki, co w trumnie leży, znaczy tyle, co zdechły pies albo koń?... Wrony, robaki go jedzą, szczury na nim odzienie szarpią, a ja bym miał go się bać?... Starą, jeszcze kiedy żyła, zmógłbym jednym palcem, a dziś cóż ona mi zrobi?... Z trumny bym ją wyrzucił, nie tylko skrzynkę wydobył!...

Przestraszone dzikim wyrazem jego twarzy dziewczuchy poczęły się tulić do siebie. Lokaj zmiarkował się widać i nagle dodał:

— Ale gdzie tam są jakie pieniądze w tej skrzynce!... Wszystko to głupie gadanie ludzkie!

Odwrócił się i szybko poszedł do stołu, ale robota już mu się nie wiodła.

Baba słuchając tej rozmowy kiwała głową.

— Prawda temu — zapytała jej ciekawa Magda — że umarłych nie ma się co bać?... W imię Ojca i Syna... żeby nie wymówić w złą godzinę...

— Bać się nie mą czego, ale i wojować z nimi niedobrze! — odparła starucha.

— Słuchajta, dziewczki, słuchajta — rzekła gospodyni siadając.

Lokaj z gorączkową energią już po raz drugi z kolei zaczął wycierać i rachować talerze.

— Był sobie jednego razu szynkarz — mówiła babka — co założył się z kumem swoim o kwartę wódki, że pójdzie do trupiarni, gdzie stał chłop na cholere zmarły, i onemu trumnę otworzy...

— Nie szczypajże mnie, ty paro, Magda! — ofuknęła Franka.

— Kiej się strasznie boję!...

— Cichojsza, dziewczuchy! — odezwała się gospodyni.

— Jak rzekł, mówię woma — ciągnęła babka — tak zrobił...

— Oj! nie gadajta już, moja serdeczna babulu!.. — prosiła Magda dygocząc.

— No, to nie będę...

— Eh!..; to już chyba gadajta...

— I szedł se zatem on szynkarz, co się założył z kumem, do trupiarni, do chłopca na cholere zmarłego, ale że drzwi były zamknięte, więc, patrzajta się, wlaźł oknem, wlaźł wybitym...

— Boga w sercu nie miał czy co, żeby aż wybitym oknem łazić?...

— szepnęła gospodyni.

— Jak, mówię wam, wlaźł*po ciemku, tak se ognia skrzeszał, żeby chłopca ujrzeć. Ale zobaczył tyło trumnę jego, w kącie na marach stojącą...

—O, Jezuniu!... Jezuniu! — wrzasnęła nagle Magda zrywając się.
—r A dyć to cosik' siedzi pod ławą i łapie mnie za nogi!... ■

—Cicho bądź, głupia! — zgromiła ją Franka. — To ja chciałam się podrapać, a ona już krzyczy, jakby w nią złe wlało.

—Dmuchający sobie zatem on szynkarz na hubkę podeszedł do trumny i zdjął wieko: Aż ci tu raptem podnosi się nieboszczyk, ten chłop, co niby na cholere zmarł, i pyta się: „Gdzie ja jestem?... wszelki duch Pana Boga chwali!” — „A gdzie masz być? — mówi szynkarz — juźci że w trupiarni, boś umarł.” — „Co miałem umrzeć?” — mówi chłop, ale jak -się po miarkował, że siedzi w trumnie, tak dalejze molestować szynkarza: „Bracie kochany! wyprowadźże mnie z tego nieszczęścia, widzisz przecie, jako nie jestem nieboszczyk.” A szynkarz mu na to (bo miał już dobrze we łbie): „Żebyś ty nie był niebosz.zyk, umarły jak się należy,. to by cię nie opisali i tu nie postawili.” I zamknął wieko, aż z chłopca naprawdę duszę wycisnął.

—Oj! dla Boga, już chyba nie wytrzymam! — jęczała Magda.

—Ej, cicho... bo jak złapę na cię drewna! — upomniała ją Franka.

— Takim sposobem, mówię wam — ciągnęła starucha — szynkarz zrobił swoje jak prawdziwy chwata, ale w końcu i jemu śmiałości zabrakło. Bo kiedy przez okno, moiściewy, wracał na powrót do kuma, zaczepił się kapotą o gwóźdź... Jedną rażą, zmiarkujta sobie, jak nie krzyknie: „Kumie, ratuj! bo mnie nieboszczyk złapał!...” — i bęc przez futrynę. Kum-ci, jeszcze z jednym chłopem, jak nie pójdą w nogi, nie oglądający się!... Wrócili dopiero o świtaniu, ale już ze szynkarza był ino trupeczek zawieszony kapotą o gwóźdź..

Lokaj w tej chwili upuścił na ziemię talerz, który się w drobne kawałki rozbił.

— Babskie plotki! — krzyknął zmienionym głosem. — Taki szynkarz, co już z umarłym gadał, gwoźdźcia by się nie zląkł!... Zwłóczą się tu tylko spod kościoła i rozpowiadają bajki, żeby ludzie po nich zasnąć nie mogli.

W tej chwili skrzypnęły drzwi od sieni, dziewczuchy krzyknęły strwożone, a w progu ukazała się dziedziczka.

— Nie bójta się, to przecież jaśnie pani! — uspakajała je gospodyni. Gdy na panią Janową upadł blask ognia, zdawało się obecnym, że twarz jej jest żółta jak wosk, a usta sine.

— Czy jest tu babka? — zapytała dziedziczka.

— Jestem, jaśnie pani!

— Czy dali wam jeść, wygodną pościel? — mówiła prędko i głosem urywanym.

— I jeść dalim, i poślanie będzie — odparła gospodyni.

— No, to dobrze, zostańcie tu z Bogiem. Dlaczego Józef jeszcze nie śpi?...

Lokaj drgnął i ledwie zdążył wymówić:

— Ja?...;

— Kładź się i ty, kładź, bo jutro rano musisz wstać. Dobranoc wam!... .

Powiedziawszy to dziedziczka wyszła. W kilka minut później zdawało się obecnym, że jeszcze zagląda przez okno. Ale to pewnie zdawało im się tylko.

W pół godziny lokaj wrócił do kredensu, dziewczuchy i babka układały się pokotem na tapczanie i ławach. Ogień na kominie ledwie tlił się, ale za to coraz głośniej świerkały świerszcze i bzykały muchy po kątach borykające się z pajakami. Zaległa cisza, którą mąciły

tylko oddechy śpiących i urywane wykrzykniki boja- żliwej Magdy trapionej widać przez jakieś przykre marzenia.

Dobrze już po północy w pokoju państwa Janów rozległ się szmer, jakby kto ostrożnie bosą nogą po skrzypiącej trochę podłodze stąpał; stuknęło krzesło, zgrzytnęła klamka, i w sieni, która do sali wiodła, słabe promienie gwiazd przez szklane drzwi oświetliły postać pani Janowej, ubranej w bieliznę.

Kobieta szła tak powoli i cicho, że zdawało się, iż stoi w miejscu jak posąg. Kosmyk ciemnych włosów wysunął się jej spod czepka na szyję. Jedną rękę wyciągnęła, drżąca, naprzód, jakby lękając się potknąć o niewidzialną przeszkodę, drugą przyciskała serce, które biło rzadko i nieregularnie, z jakimś wewnętrznym odgłosem przypominającym dźwięk dzwonu. Sekundy wydłużały się w jej wyobraźni, najmniejsze skrzypnięcie w podrażnionym słuchu robiło się łoskotem. Myślała, że w tej chwili dotknie ręką drzwi salonu, a gdy przez jedno мгновение nie uczuła ich pod palcami, ogarnął ją niezmierny przestach.

Jeszcze krok i stanęła na progu.

W salonie panował zmrok, wśród którego rozplątywało się jakieś mdłe, drgające światło. Sufit był szary, podłoga tak ciemna, że wydawała się być głębią przepaści. Na ścianach bladej, nieokreślonej barwy rysowały się wielkie, czarne cienie. Ten jeden — to cień krzyża, który stał w głowach zmarłej, ten drugi...

Pani Janowa zdrewniała: zdało jej się bowiem, że drugi cień zmienił miejsce i odsłonił lampkę... Przetarła oczy — lampka znowu zasłonięta i — znowu ją widać!...

Nagle przy trumnie gwałtownie zaszeleściły kwiaty, z głuchym łoskotem posunął się ciężki cynowy świecznik, lampka zgasła i w sali rozległy się dwa

okrzyki. Na podłogę upadł jakiś przedmiot i ktoś stojący przy katafalku uciekł w stronę kredensu.

—Ratunku! — jęknęła pani Janowa.

Porwał się ze snu pan Jan i zapaliwszy świecę wybiegł do sieni. Tam spotkał żonę, prawie obłąkaną ze strachu.

Dużo czasu upłynęło, nim ją zdołał otrzeźwić, bo we dworze nie było nikogo ze służby. Wreszcie przemówiła:

— Ktoś chciał ukraść szkatułkę, ale ją rzucił na ziemię...

— Więc byłaś tam?...

— Byłam!... Przynieś ją, leży niedaleko kredensu..

— Więc byłaś?... I jeszcze o niej myślisz?...

— Myślę o niej — mówiła gwałtownie — bo to majątek naszych dzieci: Władzia i tego, które przyjdzie na świat...

— Więc ty nie lękasz się swego czynu strasznego, tylko tego, że ktoś mógł ukraść szkatułkę?... W takiej chwili, kiedy mogłaś życie utracić?

— pytał przerażony mąż.

— Twoje to niedołęstwo doprowadziło mnie do tego! — mówiła dygocząc ze wzburzenia. — Uległeś kapryswi starości, skapstwu...

—Milczże przynajmniej wobec śmierci!

— Nie będę milczeć!... Całemu światu powiem, jaki jesteś ojciec i mąż!... Uległość dla zmarłych, którzy już niczego nie potrzebują, zrobiła cię głazem dla żyjących... Doprowadziłeś mnie do tego, że musiałam postawić na kartę życie, aby uratować majątek, który skapstwo oddało na pastwę złodziejom!... Przynieś szkatułkę albo sama drugi raz pójde po nią i będziesz miał od razu dwa... trzy pogrzeby... Słyszysz?... Trzy!...

Zaciekłość kohiety miała taką siłę, że pan Jan nie

mógł już się oprzeć. Zgnębiony wyszedł i po chwili powrócił ze szkatułką.

— Masz! — rzekł kładąc ją na łóżku. — Sama otwórz i zabierz wszystko, co tam jest, dla siebie. Ani ja, ani .dzdeci korzystać...

— Podaj mi klucz! — przerwała rozgorączkowana. — Gdy zobaczysz sto tysięcy, przemówisz inaczej...

Pan Jan wyszukał klucz, w biurku, oddał go żonie i usiadł na krześle ukrywając twarz w dłoniach. Flegmatyczny z natury pocziwiec ten upadał pod nawałem wzruszeń, jakich nie przeczuwał nigdy.

Szczęknął zamek, odskoczyło wieko szkatułki... Pan Jan machinalnie podniósł głowę i zobaczył w rękach żony niebieską wypłowiałą sukienkę dziecinną tudzież pukiel jasnych włosów...

— To pamiątki po Kaziu! — szepnęła pani Janowa i zemdlona pochyliła się na otwartą szkatułkę.

Sukienka, w której umarł wnuk ukochany, i promień jego włosów były to jedyne skarby, jakie babka chciała zabrać ze sobą do grobu!

Tej samej nocy znikł ze dworu lokaj Józef. Tułał się on jakiś czas po okolicy, a w końcu dostał się do więzienia za kradzież.

Z panią Janową było jeszcze gorzej. Po owej nieszczęsnej nocy musiała położyć się do łóżka, a rozdrażnienie nerwowe nie opuściło jej już nigdy.

— Tyś winien wszystkiemu! — mówiła nieraz do męża. — Tyś znał swoją matkę i nie powinieneś być dopuścić, ażebym ją, tę świętą kobietę, posądzała o skapstwo, o chęć ukrycia pieniędzy z krzywdą wnuków!...

A kiedy indziej znowu lamentowała w inny sposób:

— Zresztą, czy były, czy nie były pieniądze W tej szkatułce, co mnie do nich? Skoro nieboszczka nie darowała nam ich, więc tym samym nie były naszą własnością. Po com ja chodziła, nieszczęśliwa, do jej trumny jak złodziej?... Oj, gdybym miała innego męża, nie pozwoliłby na to!...

I odtąd nie było już szczęścia vre dworze.

Do pewnych występków zaszczepiono w naturze ludzkiej tak głęboki i ogólny wstręt, że nie można popełniać ich choćby 'najtajemniej bez ściągnięcia na siebie natychmiastowej kary. Należy pragnąć, aby podobnie jak dziś świętokradztwo, tak kiedyś wszelka niesprawiedliwość, nie wyłączając samowoli i ucisków, wszelkie zło, nie wyłączając utracjuszostwa i próżniactwa, w opinii powszechnej i sumieniu jednostki znajdowały potężne hamulce.

Stróžo, we wrześniu 1878 r.

JDEDEN Z WIELU

Mój przyjaciel, pan Karol, był śniadym bru- Jnetem. Miał szare oczy, które drażnią kobiety — i taki spokój w obejściu, który jedna mężczyzn. Mówiono, że jest przystojny, choć spierano się o jego temperament: jedni nazywali go łagodnym, inni — po prostu flegmatykiem.

Od dziecka był sierotą. Została mu tylko starsza siostra, guwernantka, przy pomocy której ukończył gimnazjum. Ona też namówiła go, że wszedł do uniwersytetu i następnie radziła, ażcfoy nie żenił się i — ażeby kierował się na adwokata.

Karol tak dalece nie miał ochoty do sporów, nawet przy kratkach, że wolał zostać sędzią. Tak zaś mocno kochał się (będąc jeszcze studentem) w pewnej pannie Gabrieli, że skoro uzyskał posadę asesora w prowincjonalnym mieście, ożenił się.

Póki był kawalerem ■— sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, mający siostry lub córki na wydaniu, rozrywali go. Rzadko jadał obiad na własny koszt, a prawie nigdy nie bywał na kolacji w domu. Karmiono go tak, że nabrał ciała. Chwalono jego zdolności, przyjaciele zaś klęli się, że gdy przyjdzie reforma sądowa, to pan Karoil zostanie sędzią, jeżeli nie prezesem. Na taki urząd on jeden posiadał kwalifikacje — w oczach panien na wydaniu i ich rodzin.

Tylko siostra guwernantka, znudzona swoim dzie

wictwem, a może i zmęczona przypadkami hysterii, nieraz mówiła, że pan Karol nie dojdzie do niczego. On uśmiechał się słuchając jej cierpkich uwag i spokojnie oczekiwał reformy' sądowej, a wraz z nią — wyższego tytułu i pensji.

Tymczasem brał sześćset rubli srebrem i — pewnego karnawału — cichaczem ożenił się z panną Gabriellą.

Była to śliczna osoba: wysmukła, szatynka, delikatna. Miała duże oczy i anielski wyraz twarzy. Lubiła się pieścić, a przynajmniej — wpatrywać się całymi godzinami w swego „mężunaa”. Gdy jej długo nie całował albo zajęty czytaniem spraw — nie spojrzął na nią robiącą szydełkiem serwetę, umiała się gdzieś w kącie rozplakać. Ale gniewu nikt w niej nie widział.

Po weselu wszyscy sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, mający siostry lub córki na wydaniu, przestali kochać pana Karola. Niektórzy nie pooddawali młodym małżonkom wizyt; inni — nie spostrzegali ich na ulicy. Kobiety jednomyślnie nazwały panią Gabriellą — gąską, a mężczyźni mówdili między sobą, że pan Karol nie ma żadnych zdolności, tylko — takie miny, jak gdyby chorował na mądrość.

W tych czasach przyszła reforma sądowa i — pan Karol spadł z etatu.

Z początku nie wspominał nic żonie. Ale kiedy pewnego dnia dano mu do wyboru: dymisją z dwuletnią pensją a^vbo posadę w dalekiej okolicy — przyznał się przed panią Gabriellą do tego, co go spotkało, i zapytał o radę.

Usłjjszawszy tak straszną wiadomość pani zbladła, potem zarumieniła się i zaczęła mrugać długimi rzęsami. Potem zawiesiła się mężowi na szyi i chciała zacałować sprawę, a nareszcie — dała mu taką radę, że Karolek może robić i jechać, gdzie mu się podoba, byle ona była z nim razem...

W końcu całkiem niespodzianie — zemdląca, a pan Karol widząc, że żona jest chora i nie ma sił na odległe podróże — przyjął dymisję.

W parę miesięcy później przyszła im na świat córeczka, Józia, a pani Gabriela ciężko zasłabła. Karol tak kochał żonę, że nie mógł odstąpić jej ani na chwilę. Podawał jej lekarstwa, przenosił ją na kanapę, prześcielał łóżko, czuwał nad nią po całych nocach, a oprócz tego — był jeszcze niańką swojej córeczki i służącą jej mamki. Nareszcie pani Gabriela powróciła do zdrowia, a gdy pierwszy raz wyszła, z mężem na spacer do ogrodu, przypomnieli sobie oboje, że to już rok upłynął od dnia, kiedy panu Karolowi dano dymisję... Już drugi raz żółte liście zasypywały ścieżki...

Teraz były asesor począł starać się o pracę. Nie szło mu przecie łatwo. Jedni z możliwych protektorów mieli do niego żal za „nietaktowne ożenienie”. Inni — sami spadli z etatu, a inni fe nie śmieli ofiarować lada jakiego zajęcia człowiekowi, który mógł być sędzią, nawet prezesem...

Tylko czasami jeden z mniej wziętych adwokatów dawał ukradkiem panu Karolowi sprawy do wyrobienia; po czym obaj dobrze napocili się, nim jeden ofiarował, a drugi — przyjął wynagrodzenie.

Tak zeszedł następny rok i skończyły się rządowe zasiłki. Państwu Karolom przybył synek, a siostra guwernantka chcąc dopomóc młodym małżonkom sprowadziła się do nich ze wsi i poczęła w mieście dawać lekcje.

Jej dochody, praca pani Gabrieli, która nauczyła się szyć na maszynie, i dorywcze zarobki pana Karola pozwoliły im opędzić trzeci rok.

Wszystkim jednakże ciążyło to niepewne położenie. Fundusze ledwie wystarczały na liche życie. Służąca była jedna w domu, więc pani Gabriela pomimo braku

sił i szycia musiała jeszcze pracować jak niańka, kucharka i pokojówka.

Siostra (najlepsza w świecie kobieta) często gderała, a pana Karola palił wstyd na myśl, że najmniej zarabia on, który powinien być filarem całej rodziny.

Począł tedy radzić się znajomych, jacy mu jeszcze pozostali. Każdy był zdania, że dla pana Karola na prowincji nie ma widoków. Jedni radzili cierpliwie czekać „lepszych czasów”, a drudzy — jechać do Warszawy.

— Jak to? — spytał pan Karol. — Jechać do Warszawy, z rodziną, na niepewne?...

— Toteż zostaw pan rodzinę tutaj. Sędzia Majewski, który jednocześnie z panem spadł z etatu, „miał tyle rozumu, że natychmiast wyjechał. Toteż w pół roku dostał posadę przy jakiejś warszawskiej redakcji, ściągnął rodzinę i dziś — znowu są wszyscy razem, a nawet dobrze im się wiedzie...

Pan Karol zgnębiony wrócił do domu. Tej nocy nie spał, a na drugi dzień był mizerny, jak po chorobie. Jadł mało — milcząc, z rękoma w kieszeniach chodził po ciasnym mieszkaniu — i wymęczał w sobie projekt wyjazdu do Warszawy, bez żony i bez dzieci!...

Pani Gabriela spoglądała na niego pełna niepokoju, Wreszcie ośmieliła się zapytać, co mu jest...

— Muszę jechać! — odparł nie patrząc na nią.

Żonę coś tknęło. Po chwili milczenia rzekła:

— Ty?... jechać?... Jak to — jechać?...

— Pojadę do Warszawy starać się o zajęcie. Dłużej nie może być tak, jak jest...

Pani Gabriela nie umiała na to znaleźć odpowiedzi, ale wyręczyła ją siostra Karola.

Objęła brata rękoma za szyję, pocałowała go w czoło i rzekła:

— Teraz widzę że jeszcze jesteś człowiekiem!... Tak jedź... Jeżeli tu zostaniesz, twoją żonę czeka nędza,

a ciebie rozpacz, bo tu — nie ma dla nas chleba. Za to w Warszawie jest go pełno...

Po takim przemówieniu wróciła na swoje miejsce i cisza zaległa mieszkaniu. Przez kilka minut słychać było tylko oddechy dzieci śpiących w drugim pokoju.

— Więc... kiedyżbyśmy wyjechali?... — szepnęła pani Gabriela.

— Naprzód on sam musi pojechać — odparła siostra guwernantka.

— Karolek sam?... Ty sam?... — spytała żona, szeroko otwierając oczy.

— Ja sam. Nie może być inaczej! — odpowiedział, znowu nie patrząc na żonę.

Ona podniosła się z wyciągniętymi rękoma, zdumiona. Spoglądała kolejno na męża i na jego siostrę, jakby nie pojmując, czego od niej chcą. Przez chwilę zdawało się jej, że to jacyś obcy ludzie przybrali na siebie postacie ukochanych osób. ■—i Karol ma jechać.... sam? — szeptała. Siostra spojrzała na nią z wyrzutem.

A ja?... a dzieci? — mówiła żona. Czyliż on mógłby rozdzielić się z dziećmi?... Zresztą choćby on mógł, ależ ja... ja... Mój Boże... ja jeszcze nigdy, ani przez jeden dzień nie byłam tak daleko od niego... Mąż milczał, tylko z bólu zatapiał paznokcie we własnych rękach. HOM Gabrielo, nie bądźże dzieckiem! — odezwała się siostra.

W drugim pokoju zapłakał mały Kazio. Pani Gabriela rzuciła się tam gorączkowym ruchem i zamknęła drzwi.

Po chwili — rozległ się przyśpieszony łoskot kolebki i ciche, łkanie. Kazio tak widać szlochał przez sen. Na drugi dzień Karol wcześniej wyszedł do miasta,

a jego siostra miała długą rozmowę we cztery oczy z panią Gabriellą. Gdy wrócił na obiad, zdziwił się widząc żonę zupełnie spokojną. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy mu sama powiedziała, że powinien jechać do Warszawy i że im prędzej to zrobi, tym będzie lepiej.

— Siostrunia mówi — rzekła w końcu — że prędzej się zobaczymy...

I to powiedziawszy, nagle wyszła — kołysać synka. Coś szeptała do niego przerywanym głosem, a panu Karolowi zdawało się, że słyszy wyrazy:

—• Nie płacz, Kaziuchna, nie płacz!... Tatko pozwoti nam przyjechać do siebie na święta... Nie płaczże, bo to pfe!...

W kilka dni pan Karol wyjechał do Warszawy. Był to zimny jesienny ranek; dzieci jeszcze spały, gdy pod bramę zajechał Żydek furą zasłoniętą szarym płótnem; siostra guwernantka dostała spazmów i uklękawszy na podłodze całowała Karola po rękach. Ale żona nie uрониła ani jednej łzy. Objęła go tylko za szyję, oparła na ramieniu głowę i drżąc tuliła go do siebie. Aż jej rozerwał splecione ręce, ażeby uwolnić się z uścisku, lecz i wtedy nie płakała. Tylko jej usta zbieleły jak koral, a oczy stały się większe i głębsze niż zwykle.

Istotnie Warszawa nie zawiodła byłego asesora. W tydzień po przyjeździe dostał miejsce dependenta u jednego z adwokatów, którego kancelarią kierował były sędzia apelacyjny.

Tam pracował do dziewiątej wieczór. Później brał do domu papiery od innych adwokatów i przepisywał albo referował sprawy do północy, często — po północy.

Jadał w taniej kuchni, herbatę z rana i wieczór przyrządzał sobie sam i mieszkał na ulicy Piwnej, tak

wysoko, że kiedy z ganku spojrział na lampkę kopnącą się na parterze, to zdawało mu się, że widzi światło w studni.

Pomimo to pan Karol był szczęśliwy. Zaraz w pierwszym miesiącu wysłał żonie dwadzieścia pięć rubli, a w drugim czterdzieści, i z gorączkową niecierpliwością rachował dni zostające do Nowego Roku. Miał bowiem nadzieję, a właściwie pewność, że po Nowym Roku całą rodzinę sprowadzi do Warszawy.

Nieraz, Hedy zgiętemu nad stolikiem sztywniały z zimna palce, a czarne płatki biegały 'przed oczyma, zrywał się od pisania, biegał po ciasnej izbie, przez małe szyby której zaglądały do niego gwiazdy, i — marzył: .— Sędzia pójdzie do mecenasa X, a ja zostanę na jego miejsce naczelnikiem kancelarii. Za to będę miał sześćdziesiąt rubli, za wyrabianie spraw dostanę ze czterdzieści, razem sto. Siostra będzie dawać lekcje, Gabrielka będzie szyła...

Eh! i szyć nie potrzebuje... Wynajmę sobie pomocnika i z nim zacznę wyrabiać sprawy, co mi uczyni ze sto pięćdziesiąt rubli... Później zebrawszy trochę grosza postaram się o adwokaturę...

Kiedy gasła lampka, pan Karol do połowy ubrany kładł się na tapczanie, okrywał burką i starym futrem i na chłodnej skórzanej poduszce próbował zasnąć. Ale wtedy przed oczyma biegały mu już nie czarne, tylko kolorowe płatki. Jeden z nich, biały, zamieniał się w pokoik, tam... Drugi, w części szary, w części żółty, to jego siostra guwernantka... A to — żona!... To jej oczy... jej smutny a taki słodki uśmiech. Na kolanach trzyma dwoje różowych dzieci... Boże, jak też ten Kazio rośnie... Kazio... Żona... Józia...

Do drzwi zapukał stróż. Pora wstawać!... Pan Karol umył się w zimnej jak lód wodzie, szybko ugotował herbatę i biegł do kancelarii.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Pan Karol nie pojechał do swoich. Został w Warszawie, ażeby zarobić jak najwięcej i wysłać żonie pieniędzy na drogę.

Teraz brał robotę od wszystkich znajomych adwokatów. Kiedy nie poszedł do kancelarii, to bywały dni, że się nie mył, nie ubierał, tylko — pisał. Zaczynał przy lampie, a kończył, gdy brakło nafty.

Miał już przeszło pięćdziesiąt rubli zebranych poza obrębem pensji i myślał o wynajęciu dużego mieszkania, gdy Obudziwszy się pewnego ranka, uczuł ból oczu. Powieki były spuchnięte tak, że ich prawie nie mógł otworzyć.

Przerażony wybiegł na ulicę. Ledwie znalazł dorożkę i kazał się wieźć do okulisty. Trafił w niewłaściwą porę i parę godzin, zgarączkowany, wysiedział się w przedpokoju. Wreszcie przyszedł lekarz, zbadał go i-rzekł oschle:

— Musi pan z pół roku wypocząć, inaczej —i nie ręczę za wzrok!...

— Pół roku?... — powtórzył Karol. Ależ ja, panie, nie mogę odpoczywać ani jednego dnia...

— Tym gorzej!

Pan Karol zerwał się z krzesła i chwytając po omacku rękę lekarza zawołał:

— Ratuj mnie, panie doktorze!... Ja przecież żyję z pisania... Już trzy miesiące nie widziałem żony i dzieci, chcę ich właśnie tu sprowadzić, a pan mi zaleca odpoczynek!... Czyż to się godzi?...

Sztywnego doktora uderzył ten krzyk rozpaczu. Obejrzał jeszcze raz chorego, zrobił mu nadzieję, że wkrótce będzie zdrow, nie przyjął honorarium, a nawet w parę dni wyrobił mu za pół ceny miejsc w szpitalu.

Stamtąd, nie chcąc trwożyć żony, napisał do niej pan Karol własnoręczny list donosząc, że go trochę bołą oczy, że w zimie nie podobna wynająć mieszkania, lecz

— że wszystko 'będzie dobrze. Wkrótce "też odpowiedziała mii żona, że i u nich jest wszystko dobrze, tyl- . ko — siostra guwernantka jest trochę niezdrowa. Ponieważ jednak ona sama nauczyła się kroju i ma do pomocy panienkę, więc prosi męża, aby jej nie przysyłał tak wiele pieniędzy jak dotychczas, najwyżej kilkanaście rubli na miesiąc; byle oszczędzał swój wzrok.

Po dwu tygodniach -pan Karol opuścił szpital będąc mocno upominanym przez lekarzy, ażeby na kilka miesięcy wstrzymał się od pisania. Nie usłuchał ich jednak. Tego samego dnia poszedł do kancelarii i po upływie godziny — rzucił pióro. •

Nie mógł pisać.

Adwokat, który już wiedział o jego nieszczęściu, wezwał go do gabinetu. Tam zachęcał go do szanowania zdrowia, do dłuższego odpoczynku, ofiarował miesięczną pensją i obiecał, że w przyszłości da mu u siebie miejsce na lepszych-warunkach. Tymczasem jednak z powodu nawału pracy obowiązki pana Karola pełnić musi zastępca, były prokurator...

Pan Karol zrozumiał, że dano mu dymisję. Wyszedł, od adwokata jak błędny i — pomyślał o śmierci. Rozdrażniony, prawie nieprzytomny, powlókł się na most i chciał skoczyć między płynącą krę. Ale w tej chwili przywidziało mu się, że usłyszał krzyk-żony:

— Karolu mój, Karolu!...

Krzyk był tak wyraźny, że człowieka tego oblał pot — trwogi. Czuł, że musi żyć,..

Przez kilka dni wałęsał się po Warszawie bez celu, wreszcie spotkał pewnego, kolegę eks-sądowraka, który wysłuchawszy jego dziejów obiecał mu wyrobić stosowne zajęcie.

Jakoż wyrobił mu — na odpoczynek — posadę pisarza przy niewielkim składzie węgla. Tam pan Karol dostał mieszkanie w budce mającej kilka łokci kwa

dratowych powierzchni — i — dwadzieścia pięć rubli pensji na miesiąc.

Po nadmiernej kilkumiesięcznej pracy, po kilkutygodniowych udręczeniach moralnych pan Karol zapadł w obojętność. Po całych dniach siedział w swojej budce z nogami owiniętymi w słomiane papucie (bo od spodu wiało), sprzedawał węgle na pudy, na korce, na wozy, odbierał pieniądze, odcinał kwity, wydawał furmanom rozkazy albo gdy zabrakło roboty patrzył osłupiałym wzrokiem na żarzące się węgle w żelaznym piecyku.

Tu sypiał, tu mieszkał. Na własne utrzymanie wydawał sześć rubli miesięcznie, chował rubla na pocztowe marki, resztę pieniędzy posyłał żonie. Listy ich obojga były krótkie, jak gdyby rwała się nić przywiązania.

Dopiero odżył trochę pan Karol w maju, gdy pewnej niedzieli wyszedł Aleją Jerozolimską aż za roгатki. Na widok pól już zieleniejących się uczuł, że w jego zdrewniałym sercu budzi się tęsknota do rodziny. Tego dnia napisał do żony tkliwy list i — nagle przyszło mu na myśl — że byłoby dobrze odwiedzić ją choć... na Boże Narodzenie!

Tak jeszcze daleko, ale i cóż, kiedy na wyjazd nie miał pieniędzy i musiał dopiero wynaleźć źródło nowego dochodu.

Odtąd jakby nowy duch wstąpił w pana Karola. Nie siedział już w swej izbie, ale wieczorami wymykał się <lo miasta szukając pracy. Jakoż wyrobił sobie z niemałym trudem to, że mu od czasu do czasu spadało do przepisania jakiejś parę arkuszy i — parę złotych do kieszeni.

Innym razem, gdy nde miał pisaniny, kupował angielską bibułę, pokrywał ją rysunkami (bo umiał trochę rysować) i następnie układał z takich arkuszy umbrelki na lampy. Te wyroby brał jeden znajomy

mu dystrybutor i sprzedawał • ich niemało, po czterdzieści groszy sztukę. •

Tak pracując zebrałby pan Karol do Bożego Narodzenia - kilkanaście rubli, gdyby nie —• nadzwyczajne wydatki. Raz musiał sobie kupić buty, drugi raz kilka perkałowych koszul — i pieniądze po trochu topniały...

Mimo to żył po ludzku, czuł jakąś nadzieję, czegoś pragnął. Termin wyjazdu był jeszcze daleki, ale pan Karol miał już cierpliwość człowieka, nad którym los się pastwi, więc — czekał, sprzedawał węgle, przepisywał akta sądowe i robił umbrelki.

Tylko raz w nocy zerwał się nagle z twardego snu. Zdawało mu się, że to nie może być, ażeby on tak już dawno nie widział żony i dzieci, ażeby tak był od nich daleko. Chciał gdzieś biec, kogoś wołać, coś odepchnąć... Wtem wyciągnięta ręka uderzyła o niski sufit budy i pan Karol oprzytomniał.

— Już tylko miesiąc! —' szepnął.

Ale sen odbiegł go. Samotnik wstał, zapalił lampę i wziął się do roboty umbrelk.

Na tydzień przed świętami zaczęła go palić gorączką niecierpliwości. Wyjednał sobie urlop od węglarza, który — wprawdzie krzywił się, ale — wreszcie obiecał mu dać zastępcę i nic nie stracić z pensji.

Potem wydobyl z policji paszport i oglądał go po kilka razy na dzień, jakby nie wierząc własnym oczom, że cm już ma paszport, że wyjedzie!...

Potem upewniwszy się co do rzeczywistości paszportu rachował swoje pieniądze. Miał dziesięć rubli. Przypuściwszy więc, że Żydek za podróż tam i na powrót weźmie sześć rubli, to jeszcze zostanie mu cztery — na gwiazdkę dla swoich!.,;

Najwięcej jednak cieszyło go to, że do żony ani wyrazu nie napisał o przyjeździe... Boże!... jak oni się

ucieszą...Przypotninalsobie ich drogie rysy... Na próżno! wszystko jak za mgłą. »

Miał wyjechać na nos w wigilią Wigilii. W przedr dzień wyjazdu uprosiwszy gospodarza o chwilowe zastępstwo wymknął się na kilka godzin do miasta.

Wpadł do sklepu, tkanin.

— Co może kosztować dobry materiał na suknię? — spytał kupcowej.

— Na jaką cenę pan dobrodziej życzy sobie?... Na pół rubla czy -r- może taniej, na dwa złote.

— Dobrze, niech będzie na dwa złote.

— Może ten?... Nie podoba się panu?... A onoże ten?... A może ten?... ->- mówiła kupcowa, szybko rozwijając sztuki dość 'liczego materiału.

—Dobrze, wezmę ten. Ileż to potrzeba łokci?

— Czy na bardzo wysoką osobę?...

— Nie — na średnią.

— Może pan wziąć trzydziesta łokci... mam mierzyć?...

Paii Karol osłupiał. Jedna suknia kosztowałaby dziewięć rubli, a on ma tylko dziesięć!...

— Może pan dobrodziej życzy sobie lepszy materiał?... Panie dobrodzieju!... pozwól pan!... ja mam na różne ceny!...

Ale pan Karol już opuścił sklep i wracał do siebie ze spuszczoną głową. Po drodze kupił małą laleczkę dla Józki i drewnianego jeźdźca dla Kazia. Potem chciał dla niej kupić gospodarstwo, zwierzęta, a dla dwuletniego KaZia ibęben i pałasz, ale znowu oforachował, że mu nie wystarczy pieniędzy.

„Wolę dać żonie gotówkę! — pomyślał. — Nie znam się na kobiecych figlach, niech sobie sama kupi gwiazdkę.”

Ze wzruszenia zachciało mu się jeść. Machinalnie skręcił do jakiejś gar kuchni, ale znowu żał mu było

pieniędzy. Kupił więc kilka bułek, jakąś kiszkę i — wrócił do budy.

Jego pryncypał już się niecierpliwił, ponieważ było zbyt wielu kupujących węgle na pudy, którzy nie stanowią dla kupca interesu i są natrętni przy wadze.

Pan Karol złożył zabawki i pieniądze do kuferka i usiadł na zwykłym miejscu. Nagdy handel nie wydał mu się tak nudnym, a kupujący tak nieznośnymi jak dzisiaj.

Wreszcie nadeszła noc, a po niej ostatni dzień przed wyjazdem.

Pan Karol w nocy nie spał, a w dzień, w ciągu sprzedaży, pokłócił się z kilkoma osobami, nawet przyzwoitymi, co zdziwiło woźniców. Za każdym napisanym kwitem wyglądał przez małą szybę, ażeby sprawdzić, czy jeszcze nie zachodzi słońce i czy nie zajeżdża ze swoją furą Aferamek...

Dzień się skończył, kupujący i woźnice węgla rozeszli się, a pan Karol został sam. Jak też zwłóczy[^] Abramek! Może już odjechał?...

Nie mógł wytrzymać, włożył futro i wybiegł do zajazdu. Zawiniątko już miał od rana przygotowane, a pieniądze wrzucił do szuflady stolika lękając się ich zgubić. Był tak roztargniony, że chwilami nie wiedział, co robi.

Wpadł do zajazdu. Abramek śpiewającym głosem szwargotał coś z Żydkami, a jego pomocnik wytaczał wóz pod bramę.

— JedźmyżL. — woła pan Karol. — Ty mnie tak wykierujesz, że się spóźnię na Wigilią!...

— Niech pan będzie spokojny! Niech pan siada... Zaraz jedziem...

— Ależ ja nie mam jeszcze rzeczy...

— No, to niech pan wraca do domu, a ja wnet pana

dogonię... Mój wóz to lepszy niż koleje żelazne. Łajbę le, gešwindLi f
Pan Karol wracał cwałem. Przypomniał sobie, że w budzie nie
zagasił lampy, a zresztą —| zdawało mu się, że prędzej biegnąc po
zawiniątko, prędzej będzie u swoich.

Już za dwadzieścia cztery godzin zobaczy ich!.,.; v._ A może źle
zrobił nie uprzedzając żony o przyjeździe?... Ona taka wątła...

Teraz dopiero zobaczył ją prawie przed oczyma. Widział jej
uśmiech, spojrzenie, czuł uściski, pocałunki.,.

—O Boże! jak ten Abram nudzi z wyjazdem!...

W tej chwili pan Karol wpadł na swój dziedziniec.- Machinalnie
spojrzał na okno budy, tam ciemno... Rzucił się do drzwi —
otwarte... Osłupiał. Wszedł do środka i potknął się o przewrócony
kuferek!...

Drżącymi rękoma wydobył z kamizelki zapalną. Błysnęło światło i
pan Karol jednym rzutem oka poznał, że nie ma jego zawiniątka, że
kuferek i stolik są rozbite i że — ktoś go okradł. Zabrał mu nawet
pieniądze na wyjazd...

Zapalnik dopaliła się, sparzyła mu palce, zgasła, ale — pan Karol
nie ruszył się. Stał jak słup na środku ciemnej izby, którą napełniał
prąd lodowatego powietrza.

W pół godziny potem na ulicy zaturkotała furka i stanęła przed
bramą składu węgla. Po chwili rozległy się ciężkie stapania i do
okienka budy zapukał Abram wołając:

—Panie, jedziem!... Już pora!...

Nie odpowiedział mu nikt.

Żyd wrócił do firy, zabrał stamtąd świeczkę, zapalił ją i wszedł do
izdebki. Znalazł na środku rozbity kufer, a na tapczanie pana Karola,
który leżał z głową zawiniętą w futro.

— Panie, niech się pan zbiera, jedziem! — rzekł Abram potrącając go w nogę.

- r Już nie jadę... — odparł stłumionym głosem pan Karol.

— Dlaczego pan nie ma jechać?...

— Okradli mnie... Rzeczy, pieniądze, wszystko!... I

— A wa!... to się pani zmartwi.

— Nie mów nic pani o tym, zem miał jechać, ani słowa!...

Żyd trzymając w ręku świeczkę pokiwał głową.

— Kiej nie mówić, to nie powiem, ale zawdy szko- da!.v. Tak się państwo długo nie widzieli i ja straciłem zarobek... Dobranoc panu! Na drugi dzień wstał pan Karol rano jak zwykle i wziął się jak zwykle do sprzedaży węgla. Był na pozór obojętny, tylko trochę cierpki — ale furmanom zdawało się, że mu jakby więcej szerniała broda i potsiwiiała głowa.

Było to przecież złudzenie. Pan Karol miał broldę tak czarną jak dawniej i osiwiiał nie przez tę noc, ale przez cały rok. Przez te zaś kilka godzin więcej pozółkł i dlatego wydawał się bardzo zmieniony. Nie jadł obiadu, ale na wieczór kupił wędzonego śledzia i bułek. Przyrządził jak zwykle herbatę w blaszanym imtiryku, zjadł tę skromną Wigilią i zabrał •się — do malowania umbrelek na przyszły wyjazd, spokojny, jak człowiek, który nawet przed pustką nie chce zdradzić swojej boleści.

Ale gdy późnym wieczorem, spoza parkanu, od niskich domów,, gdzie mieszkali wyrobownicy i dorożkarze, doleciały go głosy mężczyzn, kobiet i dzieci śpiewających kolędę, samotnik zepchnął na ziemię stos kolorowych bibulek, oparł twarz na rękach i zapłakał... Niekiedy świat taką tylko może dać pociechę zdetkli tanej duszy ludzkiej.

O N

ilka lał temu, około południa, przez jedną _J z mniej ruchliwych ulic Berlina szli zwolna dwaj ludzie: wojskowy i cywilny.

Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny o. parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał . jak generał na paradzie. Miał jasne rękawiczki, szare latające oczy i minę człowieka, który pozwala światu nie padać przed sobą na kolana. Na jego ruchliwej twarzy malowała się duma i niestrudzona czujność, której przednuołem był wojskowy towarzysz. Chwilami zdawało się, że człowiek w bobrowym futrze posiada nieoceniony dar strzyżenia uszami, dzięki czemu słyszy nie tylko każde chrząknięcie wojskowego, ale nawet tajemniczy szelest jego myśli, które wzbierały i opadały jak fale Bałtyckiego Moczra.

Czujność ta jednak nie przeszkadzała cywilnemu krzywić się, jeżeli ktoś minął go nie otworzywszy ust ze zdziwienia,' albo yśmiechać się do żołnierzy, którzy przed jego towarzyszem stawali wyprężeni jak struny, z ręką przy skroni i osłupiałymi oczyma.

Wlokący się naprzód wojskowy był człowiekiem olbrzymiego wzrostu. Miał długi płaszcz z peleryną i furażerkę z daszkiem. Twarzy jego trudno było przypatrzeć się, zasłaniał ją bowiem daszek i podniesiony kołnierz. Tylko jeżeli niekiedy kołnierz odchylił się,

widać było wypukłe oczy z obwisłymi powiekami, siwiejące wąsy blond, także obwisłe, i policzki poorane zmarszczkami, jakby wykute z piaskowca.

O ile jego towarzysz w cylindrze zdawał się być bardzo interesowany tym, ażeby go cały Berlin widział i podziwiał, o tyle wojskowy był zupełnie obojętny. Stapał ciężko, brzęcząc wielkimi ostrogami. Nie odpowiadał na ukłony, a nawet nie zwrócił uwagi na maszerujący oddział piechoty, który, mijając go, uderzył w bębny i sprezentował sztandar, co jego towarzysza napełniło taką dumą, że musiał użyć wszystkich sił, ażeby na nim nie pękło bobrowe futro.

Zwykli przechodnie zajęci świątecznymi sprawunkami mijali ich obojętnie. Zdarzało się jednak, że któryś uważniejszy spostrzegaj olbrzyma w płaszczu i ustępował mu z drogi zdejmując czapkę. Jeden nawet zdawał się być tak zdziwiony, że zamiast ustąpić otworzył tylko usta i pafarzył na wojskowego jak na widziadło. Para zaś sftarych berlińczyków, widocznie mąż i żona, bo mieli jednakowe zajęcze kołnierze i jednakowe bawełniane rękawiczki, zobaczywszy olbrzyma trącili się jednocześnie w ręce:

— Patrz, to On!... — szepnął mąż.

— Patrz, Fryc, to On!... — rzekła żona.

Na ten widok cywilny w- bobrach począł jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwać głową i strzyc uszami, '- jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powie- ■ dzieć:

— Tak to on... a to — ja!...

Ale staruszkowie w zajęczych kołnierzach nie spostrzegli tych przyjacielskich sygnałów. Ich oczy były przykute do wspaniałej figury wojskowego. Gdy zaś znikł na rogu ulicy, przypatrywali się ze czcią kamie - . niom, których dotknęły jego olbrzymie stopy.

Na zakręcie chodnika człowiek w bobrach jeszcze I

raz odwrócił się do staruszków i z wieflką życzliwością kiwnął im głową niby potwierdzając:

«— Tak — to ja!...

Wojskowy włókł się ciężko jak człowiek, który jia , swoich niezmiernie szerokich barkach dźwiga losy czterdziestu pięciu milionów. Lecz choć oddychał z trudnością, zmęczony długim spacerem, mimo te zdawało się, że gdy zechce, jego płaszcz zamieni się w olbrzymie skrzydła, które porwą go i uniosą tam, skąd narody wyglądają jak mrowiska.

•Na tej ulicy panował ruch większy. Było dużo sklepów i tłumy przechodniów. Wojskowy ocknął się i wypukłe oczy, które dotychczas patrzyły nie wiadomo gdzie, skierował na ruchu uliczny. Jednym spojrzeniem ogarnął tysiące ludzi. Tu spostrzegł gromadę kobiet targujących się z przekupką, o tłąstą gęś — tam kilku robotników fabrycznych, 'bladych, uczernionych i spacerujących jak żołnierze. Widział żonę, która na pTÓż- no wyciągała męża z szynkowni, a dalej —I kilka osób, które szły z węzełkami środkiem ulicy. Ktoś w tej gromadzie płakał, reszta zaś mówiła między sobą, że trzeba iść prędko, bo spóźnią się na pociąg do Hamburga i okręt bez nich pojedzie do Ameryki...

Olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi a odwrócił się w inną stronę. Wnet przecie kamienna twarz jego rozjaśniła się: zobaczył bowiem trzech bardzo małych chłopców, z których jeden miał pałasz, drugi dziecinny karabin, a trzeci tornister i papierową pi- kielhaubę. Błysnęła mu niewyraźna myśl, że choć kilku desperatów wyjedzie do Ameryki, to jednak ną ich miejsce z tych oto dzieci wyrosną nowi zdobywcy.

Nagle cywilny w bobrach skoczył naprzód z taką gwałtownością, że zachwiał mu się cylinder. Zdarzyła się rzecz niesłychana. On, sekretarz, powiernik i bio-

graf wielkiego człowieka, nie spostrzegł, że jego pan zatrzymał się na ulicy...

Stanął, stał i patrzył — a sekretarz nie mógł nawet odgadnąć, na co patrzy? Jest -tu wprawdzie sklepik z kolonialnymi towarami, a ile czy liż On nie zna cynamonu, muszkatolowej gałki, a choćby i kokosowych orzechów?... Na cóż więc patrzy?...

W tej chwili olbrzym z cicha westchnął. Nieba!... On westchnął?... Sekretarz nie wierzy własnym uszom. Obchodzi pana z boku i na jego twarzy widza nieomyślne znaki wzruszenia... Czyżby go wzruszył cynamon?...

— Ach!... — o mało nie krzyknął biograf, zobaczywszy w głębi sklepu małą choinkę obwieszoną kilkoma piernikami. Jego tak rozmarzył widok choinki aibo- gich... Cóż to za poetyczna dusza!... Byle tylko nie wymyślił nowego podatku na ubogie dzieci!...

Nareszcie olbrzym odszedł od sklepu z takim ruchem, jakby mu było trudno oderwać się od — choinki.

„Teraz już wrócimy do domu — pomyślał sekretarz, ciesząc się w duchu, że do biografii przybywa jeden z najbardziej interesujących rozdziałów. — On rozmarzył się wobec choinki!... Czy nie piękny temat?... Wspomnienia z lat dziecińczych, unoszące się nad krwawym szlakiem od Saarbrücken do Paryża... Nie ma wydawcy, który by tego rozdziału nie kupił na wagę stumarkowych banknotów!...”

Sekretarz, przywykły do trafnego odgadywania publicznych i prywatnych projektów pana, miał już cały pomysł w głowie. Oto On, zmęczony nocną pracą, wyszedł około południa na spacer. Był nieco zdenerwowany, a więc przystępniejszy dla ludzkich uczuć. Widok przedsięwziętego ruchu uspokoił go jeszcze lepiej, a choinka — rozmarzyła do reszty.

„Jestem pewny — myślał sekretarz — że ta choinka

stanie się źródłem mnóstwa nowych projektów dla klas pracujących, a może i... gratyfikacji?..."

— Oj! ci wielcy ludzie... — szepnął sekretarz. — Ani wiedzą, jak łatwo przychodzi odgadywać ich zamiary tym, którzy dokładniej zbadali mechanizm geniuszu!...

W tym miejscu sekretarz nie mógł powstrzymać się od złożenia hołdu swojej przenikliwości. Jednocześnie obrzucał okiem Berlin i spostrzegł, że orni się jego pan znowu wymknał. Wprawdzie tylko o kilka kroków, gdyż od swego sekretarza i biografa człowiek dalej uciec nie może.

Tym razem wojskowy stał przed straganem z zabawkami, gdzie chudy i zmarznięty kupiec gromadce ciekawych zachwalał swoje towary. . — Oto jest pociąg kolei żelaznej, który sam jeździ — cztery marka!... Oto jest słoń, który sam chodzi i ryczy — dwie marki!... Nakręca się ogonem,.. Oto jest pajac za dwadzieścia fenigów!..,

Kolej i słońa mogli widzieć tylko ludzie dorośli, bo zabawki te biegały po stole. Ale pajac wisiał w górze. Miał odzienie złożone z płatów niebieskich, paśowych i żółtych, śpiczastą czapkę, a w rękach dwie blachy. Gdy kramarz pociągnął za sznurek, pajac rozrzucał nogi, uderzał w blachy, przewracał oczyma i pokazywał język.

— Ach! jaki on śliczny!... — odezwał się w tej chwili dziecięcy głosik.

Wojskowy spojrzał w tę stronę i zobaczył jasnowęsego chłopczyka, który zadarłszy głowę i złożywszy ręce patrzył na pajaca jak na cud. Ile zaś razy pajac mocniej wyrzucił nogą albo lepiej wysadził język, chłopiec śmiał się na cały głos, uderzał w ręce i wołał:

— Ach, Boże! Boże! jaki on śliczny...

Radość dziecka była tak wielka i szczerą, że udzieliła się oalej gromadce widzów. Nawet wojskowy ol

brzym uśmiechnął się pod wąsem i — wydobyl z kieszeni sakiewkę.

„Kupi chłopcu pajaca!...” ; pomyślał sekretarz w bobrach, nie mogąc w dalszym ciągu powstrzymać się od kilku słów uznania dla swoich niepospolitych zdolności, które pozwalały mu odgadywać najdrobniejsze zamiary sfinksa XIX wieku.

W tej samej jednak chwili twarz wojskowego zachmurzyła się znowu. Prędko schował sakiewkę do kieszeni i odszedł od kramu.

^v Pajac tymczasem wciąż skakał i wywracał oczy, mały chłopiec śmiał się, a sekretarz myślał:

„Chciał kupić malcowi pajaca na choinkę, ale spostrzegł, że go poznali, i dał pokój... Oj! ta popularność...”

Ja jednak — ciągnął w duchu sekretarz — mam prawo napisać, że pajac został kupiony i darowany dziecku ze słowami: «MaSz, mój mały, to dają ci Niemcy na gwiazdkę!...* Ale ogłoszę to dopiero po śmierci...”

W pół godziny później wojskowy pan i jego sekretarz byli już w gabinecie... Sekretarz stał przy biurku, a wojskowy siedział w wysokim fotelu i pałał fajkę.

Była to chwila, w której biografom wolno zadawać niedyskretne pytania. Sekretarz skorzystał z niej i rzekł: >— Dzień dzisiejszy będzie dla mnie pamiętny. Dawno już nie widziałem waszej książęcej mości'w takim świątecznym nastroju ducha.

— Tak! — odparł powoli wojskowy. — Ten spacer przypomni mi o kilku sprawach. Zaczynam już spotykać emigrantów do Ameryki nie tylko w raportach, ale — i na ulicach...

„Gadaj innym o emigrantach! — pomyślał sekretarz. — Przede mną nie ukryjesz swych uczuć!...” A potem dodał głośno:

— Jestem pewny, że widok tej choinki obudził w księciu jakieś miłe wspomnienia z lat dziecińczych...

Książę podniósł głowę. ^Jsa Jakiej choinki?

Tej... w sklepie kolonialnym — odparł domyślny biograf, dyskretnie patrząc w ziemię.

.Książę -puścił ogromny kłęb dymu i niespokojnie poruszył się w fotelu.

jl|fj Ach, tak!... — westchnął — ten sklep i nasi emigranci,, wyjeżdżający z domu na Boże Narodzenie, to ciekawa ilustracja niemieckich stosunków. Każdy taki sklep jest kasą, w której Holandia pobiera od nas haracz... Śmieszna historia, żeby Niemcy nie mogły mieć u siebie nawet laski cynamonu, na której nie położyłaby pieczęci Anglia albo Holandia.

Holandia! mniejsza od Brandenburgii, której jednak podoba się mieć. kolonie prawie cztery razy rozlegle j- sze od całych Niemiec!... — No — i posiada je, a my pewnego poranku musielibyśmy pić na śniadanie cykorią zamiast kawy, gdyby tak się podobało Holandii...

„Więc jego nie choinka wzruszyła, tylko.;., holenderskie koloruie?" — pomyślał marko,tny sekretarz.

Wzburzany olbrzym pociągnął Mika razy dym z giętkiego cybucha; powoli jednak nabrzmiące na czole żyły poblady mu i — uspokoił się.

Uważałem — rzekł sekretarz — że księciu podobał się ten mały ^chłopiec przed pajacem?...

— A, tak! to był tego zbudowany malec! — odparł książę z uśmiechem znawcy mięsa dla armat.

— Zdawało mi się naWet, że książę miał zamiar ofiarować mu pajaca?

— No, alem przecie tego nie zrobił — odpowiedział olbrzym.

— Czy książę sądzi, że świąteczne podarunki nie są stosowne dla niemieckich dzieci?

— Przeciwnie... Zresztą dałem mu najlepszy podarunek, jaki mógł dostać.

Sekretarz spojrział ciekawie.

— Dałem mu niezaspokojone pragnienie — odparł książę, a potem dodał: — Im więcej będzie takich pragnień, tym dla nas lepiej!

— Przed jedynastu laty jednak, w Wersalu, byłeś, książę, łaskawszy dila małej Francuzka, która dostała od was lalkę.

— Bo widzisz, im więcej — tam będzie zaspokojonych pragnień, tym znowu dla nas lepiej!

To powiedziawszy książę odwrócił się i utopił wzrok w wiszącej mapie holenderskich kolonii. Sekretarz posmutniał, może słusznie domyślając się, że w -kraju, gdzie mały chłopiec na próżno tęskni do pajaca, a wielki kanclerz do holenderskich kolonii, sekretarze, zamiast gratyfikacji, mogą otrzymać na gwiazdkę podarunek — z niezaspokojonych pragnień...

ECHA MUZYCZNE

Już nie pójdą za tobą, Orfeuszu, ani wolne stada dzikich zwierząt, ani szemrzące dęby, ani skały roztkwiwione twoim śpiewem. I nie zatrzymasz padającego gradu ani wściekłości fal morskich, ani gwałtownych wichru podmuchów, ani nieskończonego pasma obłoków, które ciągną po niebie, bo — już nie ma cię. Orfeuszu... Na próżno leje łzy twoja matka, Kalllope. Daremne żale, skoro nawet wielcy bogowie nie mogą własnych dzieci uratować od zgonu...
ORFEUSZ HANDLUJĄCY

Podczas jednego z ostatnich wcieleń na ziemi; i J| Orfeusz wziął na siebie postać dziecka, z niezwykle długimi palcami i mocno odstającymi uszami. Ponieważ stało się to wśród muzykalnej rodziny, od razu odgadnięto, że nowonarodzony będzie wielka/m, fortepianistą, a w tym kierunku zaczęto go kształcić. Talent istotnie był ogromny. Chłopak całe godziny spędzał nad fortepianem, nuty poznał w ciągu tygodnia, a najtrudniejsze melodie grał po jednorazowym usłyszeniu. W ósmym roku wcielenia grywał pod serwetą i na serwecie, nigdy nie chybiając klawisza, a ucho miał tak muzykalne, że naśladował inie tylko sposób mówienia każdej znanej osoby, lecz av dodatku umiał udawać głosy wielu ptaków i zwierząt domowych, co było dowodem poczucia natury.

Odznaczał się pracowitością, dżdętki której 'skończył parę konserwatoriów, brał leflccje od najznakomitszych wirtuozów i ostatecznie wyrósł na niepospolitego wykonawcę i erudyta. O erudycji najlepiej świadczyły jego własne kompozycje, oparte na motywach najmniej znanych świata autorów, których jak mówili krytycy, rozwijał i uszlachetniał. Ponieważ rodzina wciąż wyrażała przekonanie, że

przy swoim geniuszu powinien zrobić majątek, więc młody Orfeusz dosyć wcześnie począł zastanawiać się nad sposobami przetwarzania muzyki na pieniądze. Pewnego dnia, uzyskawszy posłuchanie u Liszta, padł przed nim na kolana; innym razem miał szczęście ucałować rękę Verdiego; później napisał pochwałę Meyer - beera, a w pół roku odbył pielgrzymkę do Bayreuthu, aby tam, u stóp twórcy muzyki przyszłości, odwołać swoje dawniejsze błędy usprawiedliwiając je nadmiarem zapału dla sztuki.

Tym sposobem pozyskał życzliwość różnych szkół i mistrzów. Otrzymał też lekcje u bankierów, zaprzyjaźnił się z dziennikarzami i wystąpił w kilku koncertach dworskich jako fenomen. Za marsz wojenny dla armii księcia Monaco dostał order, a kontredans na cześć cesarzowej Eugenia zrobił go lubianym w kołach nadających ton modzie.

Po wojnie w r. 1870, będąc w Paryżu, urządził koncert na rzecz Alzacji i Lotaryngii. Popularność jego dosięgła szczytu. Był już taką znakomitością, że go wzywano o pisywanie aforyzmów na cele dobroczynne. Pisał więc w Paryżu — o wolności i braterstwie ludów, w Madrycie — o wzniosłości religii katolickiej, w Berlinie — o filozofii muzyki, w Warszawie — o miłości ojczyzny, w Rzymie — przeciw doczesnej władzy papieża, a w Petersburgu — o pięknej przyszłości ludów słowiańskich. W owym czasie posiadał za kilkadziesiąt tysięcy franków akcji najpewniejszych i największe przynoszących procenta, miał własnego sekretarza i jeździł darmo głównymi kolejami.

Jego system koncertowy był bardzo prosty. Corcku komponował jakaś utwór, o którym dużo, choć niewyraźnie pasali jego osoby i przyjaciele, znani w świecie krytycy, i uczył się grać jakiegoś trudnego kawałka, ale tak biegle, że mu nikt nie wyrównał. Z tymi na-

bytkami objeżdżał całą Europę, grając po jednym razu w Paryżu, Londynie, Berlinie i Wiedniu. Ze stolic świata wywoził przychylne recenzje, oprawne w album (nieprzychylnymi gardził), tudzież autografy miejscowych znakomitości. Ale cyfrę akcyj powiększał za pomocą koncertów w miastach drugorzędnych i w miejscach kąpielowych, gdzie zwykle na kilka dni przed występem poprzedzała go wiadomość, że „przyjeżdża”, a potem druga, „że dał się namówić do zrobienia przyjemności miastu, głośnemu z arnatorstwa i znawstwa muzyki”.

Rzeczy te załatwiał jego sekretarz, do którego obowiązków należało też odszukiwanie w różnych stronach świata wpływowych miłośników muzyki tudzież dawnych przyjaciół i kolegów znakomitego fortepiani- sty, a przynajmniej ich imienników. Dziwnym zbiegiem okoliczności starzy przyjaciele mistrza znajdowali się wszędzie, nie wyłączając Pekinów, Tonkinów i Chartumów.

Umiał też sekretarz wybierać czas przejazdu przez każdą miejscowość i zawsze trafiał w taką porę, kiedy tamtejsza śmietanka towarzysztwa przygotowywała jakiś duży koncert na cele dobroczynne. Naturalnie maestro był proszony o udział naprzód nieśmiało, potem natarczywie, i grał — niedużo, jakby od niechcienia, ale grał, za co dawano mu szalone oklaska.

Po pierwszym przygodnym występie miasto zaczynało „paść żądzą powtórnego usłyszenia mistrza”. Dawni przyjaciele i koledzy, znawcy, pełnoletnie entuzjastki, bogate damy, pragnące ukazać się publicznie w nowych strojach, panny na wydaniu, młodzież wynajdująca sposoby na zabijanie czasu, mężowie i ojcowie chcący mieć spokój w domu, wszystko to rzewnie błagało wielkiego muzyka, ażeby pozwolił uwielbiać się na swój własny dochód.

Po niejakiem wahaniu mistrz ulegał.

Wynajęcie sali zazwyczaj kosztowało drogo, gdyż jak mówiła do sekretarza intendencji gmachów, „po każdym takim koncercie posadzka jest jak w stajni”. Opłacało się to jednak. Zresztą dywanów i kwiatów na estradę dostarczali dawni przyjaciele i entuzjastki, a ceny miejsc były poczwórne. Ten ostatni wzgląd decydował o powodzeniu koncertu. Do garstki bowiem publiczności chorującej na muzykalność albo na nadmiar czasu, która mogła zapełnić ledwie parę rzędów krzeseł, przybywały legioiny osób, które cenią tylko to, co dużo kosztuje, albo chcą się (między takimi pokazać).

Wybija godzina uroczysta. Na schodach wiodących do sali cisną się strojne i pachnące tłumy, w przysionkach klną lokaje, kontramarkarze nie mogą nastarczyć z przyjmowaniem okryć i parasolów, policja jest zakłopotana. W sali ciasno i duszno, ludzie nie mogą wyszukać swoich krzeseł, damy lękają się o kwiaty i koronki, starzy mężowie o żony, emeryci o nagniotki. Na fotelach obok estrady dumają 'krytycy, nie o tym, co usłyszą, ale o tym, jakie by nowe zwroty napisać. Przyjaciele mistrza i znawcy tworzą grupy i szepczą:

- No, patrzcie na cud! Idzie hrabina X.

- Jeszcze dziś z rana miała być ciężko chora.

— A od dziesięciu lat nic nie słyszy.

— Przyszła tu przez wdzięczność za jego udział w koncercie dobroczynnym.

II, — Wadzi pan, ile zbiera się u nas osób na koncerta?... A mówiłem Iksińskiemu: wydaj pan koncert, to będziesz miał z czego zwrócić mi dwieście rubli. I myślisz pan, że on co powiedział?

Powiedział: „Nie warto, nasza publiczność nie zna się na muzyce.”

Słyszałeś pan co podobnego?

— Dziwak.

— Niech on będzie dziwak, to jego interes, ale za co

ja mam tracić moje dwieście rubli?... On musi wydać i koncert albo ja wytoczę mu proces i zajmę ruchomości, j

III. — Jego kompozycje nie bardzo mi się podobają.

— Ale o to za wykonawca! jaka biegłość!... Naśladowanie stylu najznakomitszych mistrzów.

— To dzisiaj jest dosyć pospolite.

— Ale biegłość, panie, biegłość!... Słowo honoru dam ci, że grał przy mnie wyjątki z Lohengrina nogami!... Jj

Wtem: aaa!... rozległo się po sali i wybuchły oklaski, Śfł zainicjowane od razu w kilku punktach. Wszystkie Moczy i lornetki skierowały się na estradę. Wszedł mistrz, łagodnie promieniejący jak pierwsza kwadra J w maju.

Ukazanie się jego stanowiło epokę w miejscowych poglądach na sztukę. Finansiści zobaczyli na własne oczy muzyka, który posiadał akcje. Krytycy doszli do wniosku, że można być wielkim artystą, a jednak ubiegać się według ostatniej mody. Panny przekonały się, że można głęboko poruszać serca, a mimo to wyglądać czerstwa i starannie utrzymywać włosy. Arystokracja patrzyła na niego z podwójnym uznaniem, dostrzegając, że nie tylko jest dobroczynny, ale że na czarnym fraku nosi olbrzymią gwiazdę. Demokraci zachwycali się, że ową gwiazdę do połowy przysłonił klapą fraka.

Wreszcie, ponieważ miał ogniste oczy i stojące wąsiki, okrzyknięto go za pięknego; krzywe zaś nogi policzono na karb naturalności.

Zagrał raz, zagrał drugi raz i — zupełnie oczarowałaś słuchaczy. Dojrzałe entuzjastki wahały trzeźwiąco się, ratując się od zemdlenia, a jedna z namiętnych pań uroniła aforyzm, który natychmiast zanotował sekretarz mistrza: — Raz przetańczyć z nim walca i umrzeć!...

Po paru godzinach koncert skończył się, artyście rzucono pod nogi należytą liczbę bukietów, słuchacze zaczęli się rozchodzić.

— Diabelne nudy — rzekł jakiś profan ziewając.

— Tak przecie mówić nie wypada — odparł kandydat na amatora.
— Jego gra robi nadzwyczajne skutki. Moja żona, wyobraź pan sobie, płakała, a mnie samego tak wytrawiło w środku, że pierwszy raz od tygodnia będę jadł obiad z apetytem....

— No, tak, ale co po nim zostanie? Z pewnością ani ta suita, ani nokturn, któreśmy słyszeli.

— Jak to, co zostanie? — oburzył się kandydat na znawcę. — Pan wiesz, że on już dzisiaj ma ze trzysta tysięcy franków... Taki młody człowiek!

Na drugi dzień maestro odebrał kilka miłosnych listów od dojrzałych entuzjastek i raczył przyjąć obdad honorowy, na którymi jeden z przyjaciół i kolegów nazwał go chlubą narodu. Krytyka, wedle zasady: „Sława obowiązuje”, upadła przed nim na twarz podziwiając szczególnie czarodziejską biegłość gry i nadmienając dyskretnie, że król fortepianu potrafi ze swego narzędzia wydobywać harmonijne kombinacje nie tylko palcami, lecz łokciami, nogami etc. Te jednak pochwały nie weszły już do aksamitnego albumu.

Wreszcie — odjechał obiecując, że może jeszcze kiedy powróci do miasta, które posiada tylu prawdziwych znawców sztuki.

I tak podróżuje wciąż. Nie roztkliwia skał, nie porusza dębów, nie uspakaja burz morskich, niemniej jednak, wierny legendowej roli, ściąga chmury słuchaczy i grad — bankocetli.

Więc nie umarłeś, Orfeuszu... Ze wszystkich swoich dzieci ciebie jednego uratowali od zgonu wielcy bogowie, przynajmniej dopóty, dopóki będą istnieć na ziemi trzy gracje: muzyka, spryt i pieniądze.

Trudno! nie można powstrzymać strumienia Ani młodzieńcych unikać nadużyć — Kroczące naprzód nowe pokolenia m/^M Kruszą narzędzia, co Im nie chcą służyć.

Asnyk

I on miał pociąg do fortepianu; odziedziczył go po matce, która była nauczycielką muzyki. Ciężyły jednak na nim dwa przekleństwa: nie miał majątku ani sprytu.

W domu był stary klawikord i całe paki nut. Chłopiec już w piątym roku życia począł jednym palcem odegrywać usłyszane melodie, a w siódmym "błagał matkę, aby go zapoznała z nutami. Prędko zdobył ten klucz muzycznej umiejętności i podczas gdy inne dzieci puszczały latawca na podwórzu albo bawiły się w Rinaldiniego, on przysuwał do klawakordu krzesło, kładł na nim kilkanaście opusów, wdrapywał się na tę piramidę, która mu pozwalała z góry uderzać w klawisze, i — grał.

Czasem, zwabiony wesołym krzykiem rówieśników, schodził na podwórze, aby zostać „zbójcą" lub „żołnierzem". Ale psuł zabawę swoją niezręcznością i wyśmiany, niekiedy pobity przez innych malców — wracał na górę. Był tu zupełnie samotny, ponieważ ojciec pracował w biurze, a matka na lekcji. Więc gdy po raz setny obejrzał wszystkie kąty małych pokoików i nie znalazł w nich nic nowego, znowu wdrapywał się na stos nut leżących na krześle przed klawikardem i znowu grał.

Pomimo tak niezwykłych objawów nikt z bliższych nie nazywał go geniuszem. Matka biorąca dwa złote za godzinę lekcji nie miała powodu życzyć synowi muzycznej kariery, a ojciec nawet gniewał się, że chłopak dla nut zaniedbuje książki. Tylko wszechmocny wypa-

dek awansował go na cudowne dziecko i popchnął na drogę artystyczną.

W tym samym domu, o piętro wyżej, mieszkał introligator, który oprawiał książki jednemu z amatorów i znawców muzyki. Pewnego razu znawca wdrapywał się do introligatora, a jako człowiek nieco otyły, odpoczywał na każdym piętrze. Na drugim usłyszał coś szczególnego, mianowicie piosenkę graną na lichym instrumencie w niezwykle sposób. Wykonanie nie było poprawne, tempo zmienione, chwilami zdawało się, że artyście brakuje niektórych palców. Mimo to czuć było pewność, a nawet fantazją wytrawnego muzyka, obok czegoś, co można by nazwać naiwną poezją.

Przysłuchawszy się dłużej amator i znawca poznał, że owa piosenka jest tylko tematem, który nieznanemu artyście przerabiał na wszelkie możliwe sposoby, ani razu bez błędu, ale zawsze genialnie.

— Co to jest? — szepnął nie mogąc sobie zdać sprawy ze zjawiska.

'Nagle otworzył drzwi mieszkania, skąd płynęły dziwne melodie, d pod oknem, na krześle i na pęku nut, zamiast wytrawnego muzyka zobaczył — dziecko, mizerne, skulone, ubogo odziane, a tak zatopione w swojej grze, iż nie słyszało wejścia obcego człowieka.

Gość rzucił okiem po izdebce. Było tu czysto, ale biednie. Czarny stół, wiśniowa szafa, kanapka obita perkalem, gdzieś pocerowana, kwiaty i świeżo uprane firanki w oknie.

Teraz malec spostrzegł gościa; przestał grać i zalekziony podniósł na niego szare oczy.

— To ty grasz, ty?... —dziwił się przybysz. Chłopak zeskoczył ze swej piramidy, zmieszany, uklonił się, ale (milczał, pi Można tu usiąść?,..

Dziecko, z trudem przyniosło gościowi krzeselko.

— Jak d na i mię, mały? — pytał dalej znawca po-1 prawi aj ąc się na twardym 'krześle.

. — Adaś. .

— A rodziców masz?

— Mam, ale tatko jest W biurze, mama na 'lekcji, a Kazi mierzowa wyszła po bułki.

— Aha! — rzekł gość. Pogłaskał malca i dodał —I zagraj no przy mnie.

Adaś tirochę drżał, ale przyzwyczajony do posłuszeń- J sfwa zasiadł do klawikordu. Z początku mylił się raz za razem, lecz wkrótce zapanował nad nim duch sztuki, a może i oryginalność położenia. Wpadł więc z jednej ostateczności w drugą i przez kilkanaście minut grał wobec gościa jak nigdy przedtem. Pierwszy obcy i życzliwy słuchacz stał się dla niego nowym bodźcem,/ spotęgował w nim siły i natchnienie.

Po próbie gość zapytał chłopca o 'lata, o nazwisko '; rodziców i serdecznie pożegnawszy go powlókł się o piętro wyżej do intrologatora.

— Wielki artysta... wielki artysta... — szeptał na schodach.

Los przyszłego muzyka był zdecydowany; amator ^ zainteresował się tnim. Nie był to bogacz, ale człowiek zamożny i posiadający niejaki stosunki. Ojcu Adasia wyjednał w biurze podwyżkę pensji o kilkadziesiąt. ! ruhli na rok, matce wyszukał dwie nowe lekcje na tydzień, po pięć złotych każda, małego zaś artystę wpro- 1 wadzał w świat i płacił za niego wpisy szkolne.

Adaś skończył wprawdzie gimnazjum, lecz niewiele | skorzystał z nauki. Był to dla niego rodzaj pańszczyzny^J którą odrabiał, gdyż lękał się utracić łask protektora. 1 Co roku przechodził z klasy do klasy, ale ani historia, | ani literatura, ani matematyka, ani nauki przyrodnicze I nie zostawiły śladów w jego umyśle. Nie rozumiał na- wet, w jakim celu wbijają mu w pamięć tyle nazwisk i

i formuł, .którym nic podobnego nie spotykał na świecie. Świat bowiem przedstawiał mu się tylko z jednej strony, jako nie wysychające źródło tonów czystych albo nieczystych, rytmów i czasem melodyj. W śpiewie ptaków, w szelestach deszczu, w turkocie wozów, w nieustannym szmerze, jaki sprawiają na ulicach przechodnie, szukał on muzyki lub jej składników. Reszta nie istniała dla niego.

Gdy wstąpił do konserwatorium, jego protektor nagle zmarł. Ojca stracił wcześniej, a matkę później, będąc na drugim kursie. Ledwie z Adasia wyrósł na pana Adama, był już zupełnym sierotą.

W konserwatorium ceniono jego zdolności. Niewiele to jednak pomogło, nie dało mu nawet środków do wyjazdu za granicę. Chcąc zebrać na ten cel jakiś fundu- si-k zaczął udzielać lekcji na fortepianie. Miał dosyć zajęcia i niezłe dochody, ale jako czystej krwi artysta nie potrafił nic zaoszczędzić. Pieniądze z lekcji i z paru dosyć pomyślnych koncertów znikwały bez śladu, co można przypisać temu, że był trochę sławny, poszukiwany w towarzystwach i miał przyjaciół.

Tak upływały lata. Czasem ktoś ze znajomych albo i on sam przypominał sobie, że jego ukształcenie muzyczne nie jest zupełne, że należałoby wybrać się za granicę. Raz nawet przyszło mu na myśl, że już pięć lat, ja)k opuścił konserwatorium, i — targnęło go za serce złe przecucie. Przed czymś struchlał, może przed słowikiem: „Marnuję się” — które gdzieś, niegdyś szepnięto. Ale otrząsnął się z bolesnego wrażenia.

„Dam koncert — pomyślał |g|i zbiorę pieniądze na wyjazd.”

Lecz znowu utonął w wirze stosunków, melodyj i marzeń, a gdy po upływie dwu lat zdobył się na silniejsze postanowienie i już mając zagraniczny paszport w kie-

szeni wystąpił z koncertem, przyszła na salę tak niewielka ilość słuchaczy, że ledwie pokrył koszta.

„Wybrałem zły czas” — pomyślał.

Tymczasem w jego stosunkach zaszła zmiana. On zawsze pozostał tym samym szczupłym, trochę skulonym, trochę dzikim i marzącym artystą od stóp do głów, ale zmienili się ludzie. Jedni powydawali córki za mąż, inni pomarli, inni powyjeżdżali, a większość, nasyciwszy się przez lat kilka grą obiecującego forte-pianisty, znowu zaczęła się skupiać około cudownych dzieci, nowych talentów albo głośnych znakomitości.

O nim po trochu zapomniano. A gdy mu przyszło niejedną długą wieczór spędzić w domu, czuł, że na świecie zaczyna być pusto i tęskno.

W takim nastroju ducha spotkał panienkę ubogą, słabowitą, nawet niepiękną, ale tak samotną i cichą jak on sam, i ożenił się z nią.

Był to w jego życiu punkt zwrotny i stało się coś, czego nie tylko nie przewidywał, ale nawet nie zrozumiał. Oto — ludzie jeszcze więcej odsunęli się od niego. Stracił parę lekcyj, w niektórych domach zaczęto przyjmować go chłodno, a w jednym najbardziej życzliwym, gdy pewnego wieczoru zebrało się trochę gości, poproszono go, aby zagrał, ale nie koncert Szopena jak dawniej, tylko coś — do tańca...

Zagrał, ale wnet opuścił towarzystwo i już nie pokazywał się nawet na tamtej ulicy.

Kiedy człowiek po spadzistej drodze zacznie schodzić z wysokości, to mu się wtedy i kamienie spod nóg usuwają. Wówczas mimo woli przyśpiesza kroku, bieli gnie, wreszcie stacza się.

W rok po ślubie zachorowała panu Adamowi żona, wydawszy na świat córeczkę, i odtąd wciąż była chora. Przyjęto mamkę, lekarz prawie nie wychodził z domu, a receptami można było wylepić całe mieszkanie. Rze-

czy takie pochłaniają dużo pieniędzy, a jeszcze więcej sił. W dodatku bowiem ubył mu najlepiej płatne lekcje, naprzód dwurublowe, później dziesięciozłotowe.

Nie troszczył się jednak, miał jeszcze rublowe. Uczył więc po sześć i po osiem godzin na dzień, biegając z jednego końca miasta na drugi piechotą, bo mu żal było wydawać na dorożki. Najczęściej nie pokazywał się w domu od rana do wieczora. Niekiedy, wróciwszy zmęczony, zastawał żonę słabszą, choć uśmiechała się i twierdziła, że jest lepiej. A gdy po nieprzespanej nocy biegł znowu na lekcję, żegnał ją ze zbolałym sercem widząc, że z rana jest gorzej, niż było wieczorem.

Zawsze drażniła go zła muzyka uczniów i uczennic, z których większość nie miała zdolności. Toteż zwykle przy lekcjach czuł niesmak. Ale gdy dziś na duszę osłabioną smutkiem począł mu od rana do wieczora sypać się grad fałszywych gam i akordów, wpadł w rozdrażnienie i zrobił siię przykrym na lekcjach. Więc znowu stracił parę dobrych miejsc.

Często musiał jadać obiady w restauracjach i rozumie się, jadł jak najmniej, aby tanio. Przy tej jednak okazji zrobił fatalne odkrycie. Oto spostrzegł, że kieliszek wódki przed jedzeniem rodzi w nim jakieś swobodniejsze myśli i utrzymuje cierpliwość w czasie lekcji.

Zauważył też, że dwa kieliszki wódki, a potem trzy, wypijane z Tana, w południe i wieczór, wybornie podtrzymują jego siły, owszem, robią go weselszym i rozmowniejszym. Że zaś dla nauczyciela muzyki dobrze jest być wesołym i rozmownym, więc korzystał z tych obserwacji. Nie pił z upodobania ani przekraczał normy, lecz kilka razy na dzień wzmacniał siły.

Po paru miesiącach tej praktyki, wychodząc raz od pewnych państwa, usłyszał w przedpokoju, jak uczennica mówiła do swej matki:

— Wie mama, zdaje mi się, że od niego czuć jakby... wódkę...

Po tych słowach w oczach mu się zaćmiło; pomyślał; że chyba z tego przedpokojem nie wyjdzie. Wyszedł jednak, ale już tu nie wrócił a — znowu stracił jedną lekcję! Przez kilka następnych dni próbował nie brać do ust wódki. Ale czuł takie zgnębienie, taki rozstrój nerwowy przy lekcjach, że obawiając się utraty wszystkich zarobków i nędzy w domu, musiał znowu wypijać swoje trzy kieliszka, choć spostrzegł, że już dziś . nie uspakajają go One tak jak dawniej.

Nareszcie po dziesięciu latach cierpienia zmarła żona. Gdy na cmentarzu ksiądz odmówił ostatnie modlitwy i spuszczone trumnę, prawie obłąkany muzyk chciał rzucić się za nią do grobu nie mogąc pogodzić się z myślą, że traci już ostatniego, a tak wiernego przyjaciela. Gwałtem zaprowadzono go do dorożki i wraz z córeczką odwieziono do domu.

Obecnie artysta był nie tylko osierocony, ale i zarujnowany. Zadłużył się, miał za ledwie kilkana lekcji nędznie płatnych i dla podtrzymania sił musiał wypijać po sześć i siedem kieliszków wódki na dzień. W miesiąc po pogrzebie wyprzedał większą część mebli, zostawiając sobie tylko fortepian i paki nut, i z dziewięcioletnią córeczką wyniósł się na poddasze drewnianego domu gdzieś nad Wisłę.

Od tej pory znikł z oczu tym, którzy znali go w dniach i krótkiego rozgłosu. 'Na estradach zajaśniali nowi triumfatorowie, potem jeszcze nowsi i jeszcze nowa, a on; zalany falą niepamięci, schodził w ludzkim morzu coraz głębiej i głębiej, aż do najniższych pięter społecznego gmachu, o których mówi Orfeusz:

Powróciłem z podziemnej otchłani, Z posepnego umarłych królestwa

— I wciąż widzę jak cierpią skazani,

Widzę wieczność mąki i niceslwa...

I Straciłem u piekielnych progów

Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszną bramą, Mejs miłości i walk moich ślady,

A wyniosłem ból i rozpacz samą...

Jest inoc. Wąski pasek 'księżycy, zabłąkany między szczytami domów, chyli się do snu, a troskliwa ziemia ucisza miejskie hałasy. Posłuszne fabryki milkną jedna po drugiej, zamykają się sklepy, kipiąca fala ulicznego ruchu opada. Czasem tylko śmieiej zaturkocze pusta dorożka albo ciężko zachrzącąc wóz ładowny; lecz wtedy kamienie chodników szemrzą rozgniewane: „Ciszej tam, ciszej!...” Wówczas dorożka zwalnia kroku, wóz skręca do składu, a przechodnie biegną do domów zapalić światło w oknach, aby senny miesiąc nie rozbił się w drodze na nocleg.

Ci z przechodniów, którym do domu daleko, kryją się do zachodu księżych w bawariach i restauracjach, skąd grube ściany nie przepuszczają hałasu na ułficę. Jest tam tokarz z żoną i ze znajomym stolarzem, sklepikarz z pokątnym doradcą, furman bez miejsca z właścicielem kantoru sług, robotnik fabryki gazowej z pięcioletnią córeczką i wiele innych zaanych osób, które nie chcą niepokoić zaspanego księżycy na nowiu. -Niech drzemie i niech rośnie, ażeby była ładna pełnia; oni tymczasem, -obsiadłszy żółte stoliki stojące wzdłuż ścian i na środku zadymionej izby, nagadają się, zjedzą kolacją i wypiją po kufelku piwa.

¹ Asnyk: Orfeusz i bachantki. (P. a.)

W jednym rogu bawarii widać długi bufet, pełen przekąsek, spoza których wygląda zatłuszczony surdut i rumiana twarz gospodarza. Wita on gości słowami: „Moje uszanowanie panu dobrodziejowi!” — i zaraz machinalnie dodaje w duchu: „10 groszy... 2 złote... 25 groszy...” — a każda taka cyfra odpowiada nadziejom, jakie w gospodarzu obudzą nowy przybysz. Tylu konsumentów przesunęło mu się przed oczyma, tyle się napatrzył na ludzi otyłych, zjadających po dwie porcje, na chudych, wypijających po jednym kuflu, na czerwonych, którzy piją przez cały wieczór, a rozma- , wdają na sucho, że gdy na wchodzącego rzuci oMem, zaraz w duszy zarysowuje mu się jakaś cyfra.

Z równym skupieniem ducha zważa on na każdy | •kufelek piwa wziętego z bufetu przez kelnerkę i na to, czy goście tyle kładą na stole dziesiątek, ile przed nimi leży spodków. Liczne te jednak obserwacje nie przeszkadzają mu od czasu do czasu rzucić okiem do kuchni : umieszczonej za małym dziedzińcem i widzieć, czy każdą wychodzącą stamtąd porcją ogłasza się dzwoni- niem tłuczka w móżdziej? Zalatujący swąd donosi mu , o rodzaju podawanej pieczeni i jarzyny, a także o tym, czy kucharz zamiast frytury nie używa do potraw mar sła. Wreszcie mniejszy lub większy blask na dziedzin- 1 cu ostrzega, że kuchcik albo zaniedbał dołożyć drzewa do ogniska, albo dołożył za wiele.

Lecz ani taksowanie przechodniów, ani ruch kutii, ani zjawiska zachodzące w kuchni nie wypełniają jeszcze całej głębokości umysłu gospodarza. Więc zwraca jeszcze uwagę i na powodzenie kelnerek u gości, aby w końcu miesiąca oddalić te, które smutną miną czy dzikością paraliżują handlowy rozwój zakładu — albo też zrobić ojcowską wymówkę tym znowu, które mając szczęście do ludzi, za dużo jednak czasu poświęcają śmiechom i szeptom. W takich wypadkach pilny obser-

watoT przemienia się w łagodnego moralistę, który woła z uśmiechem:

" ^ Zosiu!... Zosiu!... będziesz miała na to czas, jak się buda zamknie, a teraz idź do kuchni, bo drugi raz dzwonią... Uniżony sługa pana dobrodzieja!...

Ale od kilku dni gospodarz jest nie w humorze: melancholijnie wita gości, ładną Zosię ostrzega krótko i sucho, a wymyśla brzydkiej Michasi. Gdy zaś jaki dobry znajomy zbliży się do bufetu z pytaniem:

— Jakże się kochany gospodarz miewa, jak inte- resa?...

Odpowiada mu, wzdychając:

— Zdrowie, dzięki Bogu, jakie takie, ale fortepian!...

I rzuciwszy rozpaczliwie rękoma szepcze znajomemu do ucha:

— Ten mój 'kapelmajster gra co dzień gorzej. Po prostu wypędza mi gości!...

W zakładzie istotnie jest fortepian, ponieważ jednak mieści się w trzeciej sali, trzeba więc grać na nim z wielką siłą, ażeby muzyka wybiła się nad rozmowy zebranych, krzyki służby, dźwięki moździerzy i skwierczenie smażonego mięsa. Tymczasem artysta nie ma sił.

Chudy, skulony, rozgorączkowany, gra on ładnie, ale po największej części jakieś utwory smutne i zawikła- ne, których nie rozumieją ani damy w chustkach na głowie, ani mężczyźni bez krawatów. Natomiast polki, walce, a nade wszystko huczne mazury, pomimo ciągłych upomnień gospodarza, zbywa niedbale.

Nieraz zniecierpliwiony gospodarz opuściwszy bufet biegnie do trzeciej sali, aby nie kompromitować artysty, pochyla się nad jego krzesłem i szepcze:

— I Bój się Boga, panie Adamie, mówisz, żeś dawał koncerty w resursie, a tu — partolisz, jakbyś trzy dni nie jadł?... Tak przecie grać nie można, bo mnie pan zrujnujesz... Przy mazurze albo oberku goście piją tak

dużo, że parobek nie nas tarczy z noszeniem antałów, ale jak pan zaczniesz te swoje „trułu lulu”, to gość zamyśla się i siedzi nad jednym kuflem jak bocian nad stawem... Pan chyba jesteś chory czy kiego diabła?... Tak zakończy¹ i odszedł, sapiąc, do swego bufetu. Na twarz zgromionego muzyka wystąpiły ceglaste rumieńce. Zatarł ręce i począł bić nimi w fortepian, aż szyby drżały, a goście podnieśli głowy, mówiąc: „To ci rżnie!...” Ale po paru minutach wysiłku zrobiło się coś dziwnego: muzykowi zeszywniały palce, że prawie nimi nie poruszał, twarz mu zsiniała, a na czoło wystąpił pot kroplisty. Chciał się przemóc, uderzył jeszcze mocniej, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Wtedy zerwał się od fortepianu i wybiegł przez dziedziniec do pokoiku leżącego obok kuchni. Tam, wśród tumanów pary i swędu, oparta łokciem na brudnym stole, stała mizerna dziewczynka i uczyła się głośno z jakiejś książki. Im w kuchni był większy hałas, tym dziewczyna mocniej zatykała uszy i głośniej powtarzała swoją lekcję. Tu wszedł muzyk, pociągnął łyk wódki z flaszki, która stała na stole, i trącał zaczytaną dziewczynkę.

— Wanda — rzekł — rozetrzyj no mi ręce. Dziewczynka ujęła "chudymi rączynami jego sztywne i opuchłe palce i tarła, dopóki jej sił nie zabrakło.

— Ach! — mrucał muzyk — co dzień mnie gorzej bolą... Już nie możesz trzeć?...

— Nie mogę, tatku — odparła zadyszana dziewczyna. Muzyk sam zaczął rozcierać zbolące ręce, wznosił je do góry, zapewne dla odprowadzenia nadmiaru krwi, a nawet obmywał wodą. Ale gdy i to nie pomogło, pociągał z flaszki drugi łyk wódki i podniecony nią wracał do fortepianu.

Znowu zaczął grać hucznie, aż uśmiechnął się gospodarz, goście zawtórowali brzękiem kufli. Ale po kil-

ku minutach nabrzmiałe palce znowu mu zesztyniały i uczuł straszny ból. Twarz muzyka zmieniła się, klawisze przestały mu odpowiadać, melodia rwała się. Więc jej nie dokończył i całkiem wyczerpany oparł na kolanach bezwładne ręce.

Do sali wbiegł gospodarz.

-Co pan robisz, panie Adamie! — krzyknął rozgniewany jip- Ludzie śmieją się z pana i mówią, żebyś szedł na koncert do resursy, a nie tu fuszerował!... Tu trzeba grać, panie!... — Już mie mogę — szepnął muzyk. —| To się pan wynoś!... —wrzasnął gospodarz. — Jazda!... Jest tu lepszy na pańskie miejsce... Proszę pana, panie Fitulski, do fortepianu...

Chory muzyk machinalnie podniósł się z krzesła, a w tej chwili miejsce jego zajął jakiś olbrzym, pod którego palcami począł skakać cały fortepian. / Ijj Ten gra jak orkiestra, — odezwał się jeden z gości. — Chwat gospodarz, prędko się uwinął z tamtym — dodał drugi.

< J •— Jeniu do szpitala, nie do muzyki...

W taki sposób publiczność pożegnała muzyka, który zwolna powlókł się do izby, gdzie uczyła się jego córka.

— Chodź, Wanda — rzekł do dziewczynki. Zdjął ze stołu nie dopitą flaszkę wódki i schował do kieszeni.

Dziewczynka podniosła zdziwione oczy.

— Tatko już nie ,gra?

— Nie.

A kto tam gra, jeżeli tatko nie gra?

— Inny — szepnął.

— A... — chciała dalej pytać, ale wstrzymała się. Milcząc zebrała swoje kajety i książki i wyszła z ojcem na ulicę.

Do kuchni wbiegła kelnerka.

— Wiecie — mówiła do kucharzy — stary wypędził tamtego kapelmajstra, a przyjął nowego.

— Za co go wypędził? — spytał młodszy kucharz.

— Bo grał tak źle, że goście coraz mniej pili piwa.

— Głupi on! — mruknął starszy kucharz do .pomoc- I nika. — Ma dwadzieścia lat restauracją, a jeszcze nie wie, że picie nie pochodzi z muzyki, tylko naprzód — od dobrego piwa, a po drugie — od mądrego kucharza. Jak ja do każdej porcji wsypię szczyptę papryki, to żeby sam święty musi ciągnąć baw ar a, byle mu dali dobrego, nie lurę jak u nas. Muzyka przy piwie, to — tfu!... plunąć nie warto. Papryka to grunt....

Tak doświadczony kucharz oceniał wpływ muzyki.

Tymczasem pan Adam (on to był) wrócił z córką do izdebki na Powiśle. Dziś stracił ostatnie miejsce, ale był tak zmęczony, chory i rozmarzony wódką, że nie rozmyślając nad swoją dolą, rzucił się na twarde łóżko i spał do południa na drugi dzień.

Ku wieczorowi wyszedł do miasta starać się o zajęcie, choćby w najpodrzedniejszej bawaryjce, lecz nie znalazł nic. Tak upływał mu dzień za dniem: spał do południa, a wieczorem szukał roboty. Żyli przez ten czas z dziesięciu rubli, -<jakie odłożył na opłacenie pensji za córkę. Ponieważ jednak przełożona zniecierpliwiła się długim czekaniem na opłatę, więc pewnego dnia kazała dziewczynie wyjść z klasy. „Zrobiła jej wakacje” — jak mówił, gorzko śmiejąc się, pan Adam.

Nareszcie, po parutygodniowym wypoczynku, znajomy faktor doniósł muzykowi, że ma dla niego miejsce, „ale takie, gdzie grać trzeba dopiero od jedenastej w nocy.

— Tam pan może mieć piękne zarobki — mówił faktor — tam nawet czasem i szampana postawią... Muzyk smutnie pokiwał głową, ale — zgodził się.

Przymusowe bezrobocie wyszło mu na dobre; odpoczęły zbolące ręce. Więc aby odzyskać wprawę, usiadł pan Adam do złotego, zdezelowanego klawikordu, gdyż fortepian z lepszych czasów dawno był sprzedany.

Zagrał mazura, polkę, kontredansa, ale znowu rozkołysała go muzyka, choć klawikord brzęczał jak zepsuta arfa. Nieznacznie od skocznych melodyj przeszedł do innych tematów. Oto koncert Szopena, niegdyś pole jego popisu... Oto pieśń, którą grał na cel dobroczynny... Nokturn z tych czasów, kiedy jeszcze uczył się w konserwatorium... Pieśń Schumanna, którą tak lubiła jego żona:-..

Jeszcze jeden akord... „Co to jest?” — pomyślał. Na razie nie mógł sobie przypomnieć, ale palce same przebiegły po klawiszach i usłyszał... ową melodią, którą grał jeszcze będąc dzieckiem, która zdecydowała o całej jego przyszłości, tak w początkach świetnej, a tak nieszczęsnej. Gorąca łza upadła mu na rękę.

—Boże mój — szepnął — co się ze mną stało i za co?... Jaki zły duch wprowadził do naszego domu człowieka, który chciał mi zrobić najlepiej i... zgubił...

Lecz wkrótce opanowała go potęga wspomnień i przywdziało mu się, że jest małym chłopcem, że siedzi przy tym samym co niegdyś klawikordzie i — gra — co?... Albo on wiedział — co... Chyba dzieje swojej rozdartej i podeptanej duszy. W tej chwili marzył, że całe jego życie było tylko strasznym snem, ale że on obudzi się jako mały Adaś... Zaraz i matka tu wejdzie...

Wtem zatrząsł się od stóp do głów. Drzwi istotnie były otwarte i wśród wieczornego ciemu ukazała się w nich jakaś kobieta.

—Matka?... — szepnął jeszcze nieotrzeźwiony.

Ale kobieta odezwała się szorstkim łonem:

—Panią gospodynię głowa boli i przysyła mnie tu,

żeby pan nie robił takich hałasów. Cóż to, pusty dom czy bawaria?...

— Pani gospodyni?... •— odparł zdziwiony. — Jaka pani gospodyni?... Aha!...

Teraz oprzytomniał i cofnął się od klawikordu. — Następnie powlókł się do szafy, wziął jeszcze nie tkniętą butelkę wódki i — wypił od razu czwartą część.

Wieczorem wyszedł do miasta na robotę. '

ORFEUSZ

Losowanie skończyło się, a feldfelbel odprowadzał rekrutów do tymczasowych koszar. Byli tam chłopcy . z włosami podciętymi na czole, w nowych butach:"- i świątecznych-sukmanach g mieszczenie w granato- ' wych kaszkietach i szaraczkowych kapotach — wy-, bladły Żydek z pejsami, w atłasowym chałacie — drugi Żydek, felczer, w jasnej chustce na szyi i w letniej marynarce, wreszcie ubogi szlachcic w burce. Niektórzy nieśli w rękach węzełki, inni na plecach dźwigali ; duże tłomoki, a inni nie mieli nic; los zaskoczył ich niespodzianie.

Feldfelbel ustawił rekrutów we dwójki, najwyższych g na prawym skrzydle, najniższych na lewym. Uszykowali się toutnie, śmiejąc się i żartując.

— Wyprostuj nogi, (panie wojak, bo ci pałakowato stoją — mówił parobczak do Żydka w atłasowym chałacie.

— Ja wszystkich oficerów 'będę golił, zobaczycie!.,. — wołał Żydek felczer wyobrażając sobie, że powiedział wielki dowcip.

— Idziemy na Turka!... — 'krzyknął jeden z mie- szczan.

Feldfelbel spojrział po nich zadowolony i mruknął pod nosem:
„Chwaty chłopcy!...” Policzył w jedną i w drugą stronę i
zakomenderował;
W prawo!...

Na to hasło wszyscy zwróci/ła się natychmiast, ale jedni w prawo,
inni w lewo, a Żydek z pejsami wyleciał przed szereg. Zrobiło się
zamieszanie, rekruci wybuchli śmiechem, aż uciszył ich i ustawił
feldfelbel.

— Marsz! — i kolumna ruszyła naprzód, a feldfelbel szedł obok
pierwszej dwójki. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu i barczysty;
pałasz w żelaznej pochwie zapiął na haczyk i szedł krokiem
miarowym, sztywny, zimny, w szarym płaszczu, podobny do
piaskowcowej kariatydy z twarzą brązową.

Był już koniec listopada. Z ołowianego nieba mżyło, czworokątny
rynek miasteczka zamienił się w kałużę. Feldfelbel skręcił na środek, a
z nim kolumna. Rekruci szli ostro, ze zgiełkiem i śmiechem,
podpowiadając sobie: „Raz—dwa!... raz—diwa!...” — w asystencji
kilku pauprów, z których jeden trąbił im na szyjce od butelki, drugi
bił kijem w deskę, trzeci obracał hałaśliwą grzechotkę, a wszyscy
wrzeszczeli.

Wtem od strony zajazdu ukazała się bezładna gromada kobiet i
starszych mężczyzn. Z głośnym płaczem zabiegli drogę rekrutom
wyciągając do nich ręce i potykając się w błocie. Dopadli do
maszerującej kolumny, zmieszali się z nią i zatrzymali pochód. 7:—i
Na bok, baby, bo tu wojsko!... — zawołał któryś z rekrutów.

— Waluś!... — 'krzyknęła jakaś kobiecina rzucając się ku
czerstwemu parobkowi — Waluś!... a dyc pożegnaj Hf ze mną... Nie
dali mi się tobą nawet nacieszyć ostaltni raz... Naści, synu, złotówkę...
O Jezu, i kiedyż ja cię zobaczę, sierota?...

I objęła go za szyję całując i oblewając łzami.

— Z drogi, baby, kiedy wojsko idzie!... ■— wrzesz- 1 "czeli "rekruci.

- Marsz! — komenderował feldfebel. W tej chwili stary Żyd porwał za rękę Żydka w chałacie i szlochając, z czerwonymi jak królik oczyma, szeptał mu do ucha:

— Ty, Moszek, idź zaraz do szpitala... — Ja wszystko sprzedam, ażeby cię uwolnić...

— Marsz! marsz! — powtarzał feldfebel spokojnie,; przypatrując się żalostnemu widowisku.

— No, idźtaże!... — wołali rekruci przeciskając się między tłumem.

Już dochodzili do koszarowego budynku, kiedy do- gnała ich młoda mieszcanka z dzieckiem u piersi. | — Józek... ty tu?... — zawołała tonem bolesnego zdumienia. — Przecie mówili, żeś dobry numer wyciągnął?...

Zapytany, nie patrząc na nią, machnął ręką i ukradkiem otarł łzę.

— Józek... wstąpże do domu... Tak przecie iść nie możesz nawet do wojska; muszę ci co wyładować nią drogę... O Panno Przenajświętsza!... całą wotywę leżałam dziś krzyżem, myślałam, że ci nic nie będzie i a ty tu, Józek, ty tu?...

Kolumna doszła do drzwi z coraz większym hałasem. Rekruci, na znak wielkiej ochoty, zaczęli popychać się bokami, a Żydek felczer, stanąwszy na progu, wyrzucił w górę starą jedwabną czapeczkę i zsiniałymi ustami wykrzyknął: „Hura!...”

Już wszyscy weszli na korytarz; przed progiem został tylko 'mieszczanin, któremu żona uczepiła się u ręki.

— Idź! — rzekł feldfebel wskazując mu drzwi.

— On nie pójdzie! -r- mówiła kobieta J|| bo przecie nic jeszcze nie ma na drogę...

— W wojsku dadzą mu wszystko — odparł feldfebel tonem głębokiego przekonania.

— Co, w wojsku?... ja nie chcę wojska!... A kiedyście go wzięli, to i ja z nim pójdę...

—Nie. wolno.

— Może konni nie wolno, ale nie mnie; ja przecie jego żona...

Feldfebel popchnął rekruta do sieni i sam wszedł za nim.

— Józek, pocałujże choć syna!... — wołała kobieta rwąc się za próg. Ale ją odsunął sołtys z policjantem i zamknięto drzwi.

—Hura!... — krzyknęli na korytarzu rekruci.

Ze dworu odpowiedział im zgiełk tłumu i jęśliwe błogosławieństwo starego Żyda. Potem ktoś zaczął bić ręką we drzwi i krzyczeć rozdzierającym głosem:

—Józek!... Józek!... ,

Minawszy ciemny i pełen wybojów korytarz rekruci znaleźli się dużej izbie o trzech zakratowanych oknach. Stało tu kilka ławek, a wzdłuż ścian leżała słoma przygotowana na noclegi; na kominie płonął ogromny ogień i oświetlał szarą wilgoć murów; powietrze było surowe i przejęte dymem.

Tu weszli rekruci i nagle — zatrzymali się jak odurzeni. Może podziałała na nich cisza, do tej bowiem izby nie dochodził żaden głos z rynku. Stali długą chwilę, przysłuchując się w milczeniu, uśmiechy znikły im z twarzy, głowy pochyliły się; potem zaczęli nawzajem spoglądać po sobie, zdziwieni i zakłopotani.

Pierwszy ocknął się Żydek felczer. Zatarł gorączkowo ręce i rzekł do jednego z mieszczan:

— Ja się nic nie boję!... Ja felczer... Zaraz pewnie zostanę młodszym felczerem, potem starszym, a może kiedy doktorem... W wojsku jest przecie awans!...

Ale że nikt mu nie odpowiedział, więc stanął przed ogniskiem i trząsł się jak w febrze.

— Bardzo zimno!... — mruknął.

Ubogi szlachcic rzucił burkę na słomę i legł na niej przymykając oczy. Jeden z mieszczan odwrócił się do okna, oparł na kracie głowę i cicho płakał. Chłopi, oglądając się na wszystkie strony, zasiedla ławy i poczęli szeptać.

— No, cóż tak ucichliście? 'Na ulicy to chwaty, a w koszarach baby!... Wstyd!...

— Ja się wcale nie boję! — wrzasnął od komina Żydek w letniej marynarce. — Ja przecie felczer... Może pan starszy chce, to ja zaraz pana ogolę?... A może pan starszy potrzebuje pieniędzy, to ja mogę pożyczyć? ..^

— szepnął.

— 'Nie potrzeba — odparł obojętnie feldfebel.

— No, ruszajcie się, chłopcy! — zwrócił się do rekrutów. H W wojsku dobrze. Tylko z początku wydaje się smutno, ale po roku żadnego by z was nawet nie wygnał.

- — Ja bym ta poszedł do domu choćby i zaraz! — mruknął jeden z najhałaśliwszych parobków.

— Co ty wiesz — mówił feldfebel. — Na wsi miałeś kartofle, dziurawą sukmanę i boscie nogi, a w wojsku będziesz miał czysty mundur, buty i co dzień mięso, • A |f|pi dostaniesz karabin!... o tysiąc pięćset kroków trafisz w nieprzyjaciela.

— Albo on we mnie — szepnął jeden z mieszczan. , Feldfebel spojrział na niego z ukosa, splunął i cofnął się do swojej izdebki. Za nim wyszedł felczer.

— Oni zaraz by się rozweselili — rzekł §1 gdyby pan starszy kazał tu przyjść tym babom.., ze dworu,.. • — Nie wolno — odparł feldfebel,

— Jak nie, to nie. Więc niech pan starszy poszle ko-

\

go po wódkę. My daimy pieniędzy, i pan sam z nami wypije... :

— Nie wolno.

— Nie wolno?... Nu |— to niech pan starszy poszle do mego domu po karty. Jak oni sobie zaczną grać, to się i tak rozwesela.

— Kart nie wolno.

Żydek skrzywił się i zatarł ręce; było mu coraz chłodniej. Chciał jednak wejść w bliższe stosunki z feldfeblem.

— Pan starszy z daileka?... — zapytał po chwili.

Chmura przesunęła się po czole feldfebla, lecz odparł spokojnie:

— Co tobie do tego?... Ty myśl, jak masz sam odpowiadać, kiedy ciebie zapytają.

Żydek stropił się. Ale jeszcze nie stracił otuchy i rzekł po chwili:

— Bardzo ładne panienki mamy w mieście...

Niebieskie oko feldfebla błysnęło gniewem.

— Precz! krzyknął tak podniesionym głosem, że pozieleniały ze strachu Żydek wpadł do ogólnej izby i rzucił się na słomę obok szlachcica.

Przez kilka minut nie mógł przemówić ani wyrazu, potem przysunawszy się do sąsiada zaczął szeptać:

— Ńu, to myśmy wpadli w wielką biedę!... W wojsku gorzej niż w samym kryminale... Ja nie mogę w wojsku służyć, choćbym chciał, bo ja mam defekt w sercu... Widzi pan, jak mnie rzuca? Kiedy przyjdzie-
. my do guberni, to niech pan zaraz poświadczy, co mnie dziś bardzo rzucało... Aj! czemu ja nie jechałem za granicę...

Niepomyślne zabiegi felczera, wybuch feldfebla jeszcze bardziej zgębiły rekrutów: już poczuli żelazne pęta wojskowej karności i ogarnął ich smutek, Żydek w atłasowym chałacie siedział pod ścianą blady, zapa

trzony w jeden punkt, nie wiedząc, co się koło niego dzieje; żonaty mieszczanin zasłaniał ręką usta, ażeby inni nie słyszeli jego łkań, a nawet ten, co w rynku najgłośniej krzyczał: „Na bok, baby!” — uczuł żal i tęsknotę. W izbie zrobiło się cicho, jak gdyby wszyscy posnęli.

Ubogi szlachcic leżał spokojnie. Nie odezwał się, nawet nie westchnął, tylko przygryzał młode wąsy, a serce szarpał mu jakiś ból bezmierny. Do tej pory zawsze służyło mu szczęście. Rok temu chciał dostać posadę w dużym majątku i dostał ją — wziął pół ćwiartki na loterię i wygrał paręset rubli — wreszcie oświadczył się pewnej miłej panience i ta go przyjęła pomimo laiku innych, bogatszych niż on, konkurentów. Więc zaufał swemu szczęściu i choć onegdaj śniło mu się, że go przywalił młyński kamień, dziś szedł do losowania pełen otuchy i wyciągnął — jeden z pierwszych numerów...

Przez chwilę zdawało mu się niepodobieństwem, ażeby wzięli go do wojska, jego, który ma takie dobre miejsce, kilkaset rubli gotówką i który w dodatku ma się żenić z panną Jadwigą. Ale gdy mu zaczęto wieszować, że zapewne wstąpi do gwardii, a nade wszystko, gdy mu nie pozwolono wyjść do miasta, uczuł, że w jego życiu zaszła jakaś wielka zmiana.

Już nie wróci na wieś do swego pokoiku, już nie będzie oczekiwał na pannę Jadwigę, ażeby ukradkiem pocałować ją w rączkę. Co ona robi w tej chwili i czy wie, jaki go los spotkał? Co robi stary rządca, którego, pomimo wiecznych sporów, tak kochał? A poczciwy pies Zagraj?... kto go przygarnie, z kim on będzie chodził na kaczki?...

Przy gospodarstwie nigdy mu nie brakło przykrości, ze wszystkimi musiał się kłócić; lecz mdmo to wszystkich teraz żałował. Zdawało mu się, że gdyby zobaczył

najzuchwalszego parobka, rzuciłby mu się na szyję, tak czuł potrzebę przytulić się do kogoś znajomego i powiedzieć: „Patrz! co się ze mną stało!...” Nie bał się wojny ani śmierci, ale tej nowej przyszłości, o której nie miał pojęcia. Czuł tylko, że jest jak wyrwane drzewo, że mu zabrakło ziemi pod nogami, że stracił wszystko, do czego się przywiązał.

Spojrzał na swoich towarzyszy. Gdzież ich butna wesołość, którą tak chełpili się, przechodząc rynek?... - Oto siedzą posepni, zniechęceni, z wyrazem żalu na twarzach. Jeden bezmyślnie miętosi w rękach sukmanę, drugi co chwilę targa włosy, jakby chcąc się obudzić, inny zerwie się z ławy, przejdzie po izbie i znowu siada nie mogąc znaleźć miejsca, a najweselsi pokładli się na słomie chcąc zaspać czas.

— Gdyby tak można zasnąć na kilka lat? — szepnął i znowu przymknął oczy.

Feldfelbel w obocznej izdebce przeglądał papiery i rozmyślał.

„O szóstej przyjadą podwody, o siódmej ruszymy w drogę, po południu będziemy w guberni, tam Moszek Bizmut pójdzie do szpitala na zbadanie stanu zdrowia, a reszta do koszar.”

. — Który to Moszek Bizmut? — mruknął feldfelbel, a ponieważ miał bardzo słabą wyobraźnię, więc aby uprzytomnić sobie rysy chorego Żydka, musiał wejść do izby ogólnej.

Tam, •przypatrzwszy się żółtej cerze i wąskim piersiom rekruta, splunął z gniewu na ziemię.

— Podlec!... — szepnął. Zdawało mu się bowiem, że widzi Moszka Bizmuta w atłasowym żupanie, stojącego na zgiętych nogach w czasie rewii przed frontem...

— Panie starszy! — odezwał się do niego mieszczanin — pozwólcie tu przyjść mojej żonie, Ona pewnie czeka pod sienią...

—Tobie na co żona?...

—Tęskno mi...

Feldfebel wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Mimochodem spojrzenie jego padło na szlachcica , coś sobie przypomniał i znowu zajrzał do papierów..

—Pan rodził się w Wólce? — spytał szlachcica.

—Tak.

—Bo i ja tamtejszy — rzekł feldfebel, widocznie] chcąc pogadać o swoich stronach, ale spostrzegłszy, że felczer błysnął ciekawie oczyma, odwrócił się z niechęcią i odszedł do swej izdebki.

Milczenie rekrutów nudziło go, a że nie umiał ma- rzyć, więc wydobyl z torby podręcznik dla podoficerów *! i już nie wiadomo po raz który w życiu czytał powoli, A półgłosem:

„Feldfebel jest naczelnikiem wszystkich niższych i stopni w kompanii e wyjątkiem podchorążych, którzy | zależą od komendanta kompanii. Jest on obowiązany: po pierwsze, pilnować w kompanii porządku, moralności i postępowania żołnierzy i podoficerów tudzież punktualnego wypełniania obowiązków przez dyżur- i nych — po drugie, komunikować niższym stopniom : polecenia dowódcy kompanii, a także odczytywać rozkazy — po trzecie, wykonywać polecenia dyżurnych oficerów i zawiadamiać o nich dowódcę...”

Przy tych wyrazach zdrzemnął się. I śniło mu się, że by) feldfeblem, że był delegowanym do odprowadzenia kilkunastu rekrutów, że jeden z nich koniecznie chciał widzieć się ze swoją żoną i że on sam, czytając podręcznik dla podoficerów, zasnął przy końcu trzeciego paragrafu przepisów określających obowiązki feldfebla.

Ocknął się. Jego książka leżała na tym samym miejscu, a w izbie rekrutów panował ten sam martwy spokój.

Feldfebel zerwał się na równe nogi, policzył zebra

nych, lękając się, czy który podczas jego drzemki nie umknął albo czy -nie weszła tu kobieta z dzieckiem, a sprawdziwszy, że wszystko jest w porządku i że żonaty mieszczanin wciąż wzdycha, mruknął:

— Ot, głupi chłopak, jak on się mairtwi za żoną!.. Chyba ja nie byłem taki błazen, kiedym szedł do wojska...

Oparł głowę ma rękę i z wielką pracą usiłował przypomnieć sobie przeszłość.

„Teraz spałem, przedtem czytałem przepisy o obowiązkach feldfeblów, jeszcze przedtem odebrałem rekrutów z komisji i przyprowadziłem ich tutaj. A dawniej?... W roku zeszłym byłem feldfeblem w Odessie, przed dwoma laty feldfeblem w Kałudze, przed trzema feldfeblem w Tam bo wie, przed czterema feldfeblem...”

I tak cofając się wstecz rok za rokiem, zawsze widział się tylko feldfeblem. Zdawało mu się, że nigdy nie był niczym innym, tylko feldfeblem, nawet w Wólce, i że zawsze miał u boku z prawej strony rewolwer w lakierowanym olstrze, z lewej pałasz w żelaznej pochwie.

Ale żeby kiedy tęsknił do domu albo martwił się, że jest w wojsku, tego wcale nie pamiętał.

Teraz zbliżył się do niego szlachcic.

— Panie feldfeblu — rzekł — pozwól temu biedakowi pogadać z żoną.

— Dla żołnierza nie ma żony, jest tylko jego kompania — odparł feldfebel.

— Nasiedzi się jeszcze w waszej kompanii, a teraz niech choć pożegna kobietę, to mniej będzie tęsknił.

— Ot, pan szlachcic i nie masz rozumu! — odparł feldfebel. — Przecie on dziś czy jutro musi rozdzielić się z żoną; a jeżeli takie jest prawo, więc lepiej wypełnić je od razu, nie ciągle witać się i żegnać na nowo.

Z was czyste baby! Wstępujecie do wojska jak Żyd do i wody. Chcielibyście umoczyć naprzód palec, potem ka- 1 wałek nogi, potem wejść po kolana, byle po trochu. To i nieładnie. Trzeba raz skończyć i nie oglądać się ani na i żonę, ani na matkę, dopóki nie wyjdzie czas służby. J Żołnierz powinien postępować po żołniersku. Zresztą j ja nie lubię bab w koszarach.

Rekruci z uwagą przysłuchiwali się tej teorii i zro- i biło im się jeszcze smutniej.

„No, 'będzie piękne wojsko z tej hołoty, nie daj Bo- | że! — myślał feldfebel. — Jeżeli rekrut nie może | odejść od baby, to czy żołnierz będzie mógł pójść w ogień?... Czysta swołocz!...”

Rozparł się na krzesło, zapalił papierosa | znowu zaczął drzemać. I śniło mu się, że był feldfeblem kom- panii odzianej w sukmany i chałaty, w której ani je- 1 den żołnierz nie miał -broni i nie umiał obrócić się w prawo ani w lewo. A tu ma odbyć się parada i już na. | placu musztry widać galopujący sztab pułku. Feldfe- 3 blowi pot wystąpił na czoło. — „Boże mój — myślał — jaka hańba!... Gdybym miał pod ręką choć jaszczyk prochu, wysadziłbym w powietrze tych podłych i nawet siebie...” Nagle ocknął się i mruknął:

— No, damże ja wam na służbie! Już albo wy mi hańby nie zrobicie, albo ja wszystkich was roz...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem rekruci zerwali - się z miejsc i gromadą pobiegli do okien.

„Bunt?” — pomyślał zdumiony feldfebel i machinalnie opuścił rękę do rewolweru.

Rekruci tymczasem pootwierali okna i poczęli radoś- i nie wykrzykiwać:

1 i||m

— Jasiek!... skrzypiciel!... Bywaj!...

Teraz feldfebel usłyszał dolatujące od strony parkanu dźwięki skrzypców, na których grano melodią:

A kto chce rozkoszy użyć Niech idzie do wojska służyć...

— Jasiek!... chodź do nasi... zagraj nam ostatni raz...

Skrzypce umilkły, lecz wnet na płaskim szczycie parkanu stojącego o kilka kroków od okien ukazał się sam grajek. Był to człowiek niemłody, brzydki i obdarty; słynął w całej okolicy jako najlepszy skrzypek, k/tóry dużo pił, a mało zarabiał. Miał bowiem swoje kaprysy: najczęściej wysługiwał się darmo, lecz czasem nie chciał grać i za największe pieniądze. Zresztą nigdzie nie mieszkał, a odziewał się o tyle, o ile mu podarowali jaką szmatę poczciwi ludzie.

Grajek usadowił się na parkanie i strojąc skrzypki mówił urywanym, zachrypłym głosem:

— Wlokę się rynkiem, patrzę, a baby pod magistratem płaczą. Więc mówię: czego baby wyjecie?... — A, bo naszych chłopców wzięli do wojska... — Gdzież oni są, mówię, wasze chłopcy?... — A na starym odwa- chu, ale nas tam nie puszcza psiawiara feldfebel. — No, mówię, mnie puści — i idę se pod ten parkan. Słucham, a u was cicho. Myślę: czy śpią?... A sołtys mówi: Oni się tak martwią, bo mają strasznie ostrego feldfebla: No, myślę; kiedy z wami, chłopcy, taka bieda, to już ja was rozweselę. Nie takich ja rozweselałem!...

Tak prawiąc śmiał się zakłęśniętymi ustami, przyciskał brodą skrzypce i wywijał smyczkiem.

— 'Patrzcie ino, jak on se siedzi na parkanie!... Żeby mu tak wódki podlać, to by grał!...- mówili rekruci.

Feldfebel zdziwił się. Jak to może być, ażeby jeden brudny i brzydki człowiek od razu ożywił całą gromadę? Nawet płaksiwy mieszczanin rozruszał się, nawet wyżółkły Moszek Bizmut począł się uśmiechać.

— Ej, w tym coś jest!.., — mruknął podejrzliwie

I zaraz zawtórowali mu inni:

Nie dlatego śpiewam, żebyście słyszeli, A ino dlatego — niech się świat weseli! — hu — ha!...

Nieszczęśliwy, czasie, pokochaliśma się; Przyszła ta godzina, rozejść się musima. Choć się rozejdziemy, każde w inną stronę, Przecie nasze serca są nierozłączone... Najświętsza Panienko! pocieszże mnie, pociesz, Bo mnie nie pocieszy matka ani ociec. Najświętsza Panienko! tyści matka moja, Pocieszże mnie, pociesz, jeśli wola Twoja!

I tak melodia szła za melodią, pieśń za pieśnią, a zdziwiony feldfebel przypominał sobie każdą z nich. Lecz nie tylko to go zastanawiało. Stary skrzypek wydobywał niekiedy tak szczególne dźwięki, że feldfebla dreszcz przechodził. Nieraz przecie słyszał on orkiestry kilku pułków, nigdy jednak nie obły mu się o ucho tak przejmujące tony, które, zdawało się, że kłują pierś i wctókJą się aż na dno serca.

— Cudak! — szepnął feldfebel patrząc przez zapotniałe szyby na grajka, który, założywszy nogę na nogę, siedział na szczycie parkanu jak na krześle.

Nie dlatego śpiewam, coby słychać było, A ino dlatego, żeby się nie cniło

feldfebel zapytując się w duszy, czy nie należałoby spędzić grajka.

W tej chwili skrzypek dotknął strun. Ledwie zdążył zagrać parę taktów, wnet jeden rekrut pochwycił melodią i zaśpiewał:

Feldfebel przysłuchiwał się ciekawie. Znał on i nutę, i pieśń, lecz — dawno o nich zapomniał. .

Skrzypek zmienił melodią, i zaraz odpowiedział mu chór śpiewając:

Rekruci wciąż śpiewali, a feldfelbel już nie rozumiał słów. Uwagę jego pochłoneły owe szczególne tony skrzypców, których mnożyło się coraz więcej. To nie były dźwięki martwego instrumentu, ale płacz, westchnienia, żal, tęsknota wydobywające się z ludzkiej piersi. On się z tym niegdyś znał, ale kiedy?... Może, gdy był podoficerem?... Nie, jeszcze dawniej, wówczas gdy sam dziecinnym głosem śpiewał te pieśni:

Szła sierotka po wsi —. obsiedli ją iii psi; Nie miał się kto obrać — sieroteczkę ograć. - Ograł ci się, ograł — sam Pan Jezus z nieba, I sierotkę ograł — kawałeczkiem chleba...

I stała się rzecz niezwykła. Ten kamienny człowiek, który nigdy nie marzył, w tej chwili uległ przywidzeniu. Znikły mu w oczach koszary i rekruci, a na ich miejsce rozciągnęła się łąka oświetlona majowym słońcem. Poznaje krętą rzeczulkę i las na wzgórzu, i było szczypiące trawę. Oto krowa jego matki, biała w kasztanowate łaty. Oto gromada wiejskich pastuszków, a między nimi.... on sam!... Nie myli się, to on, w szarym słomianym kapeluszu i granatowej kamizeli. Jeden z chłopców, dziesięcioletni Tomek, gra na fujarce, inni śpiewają, a on wyraźnie słyszy żalną nutę i powtarza wyrazy: Idź, moja dziecino, do cudzej macierze, Niechże ona tobie koszulkę wypierze. Oj, jak mi ją pierze — lecą z niej paździerze, A jak mnie obłóczy, po ziemi mnie włóczy...

Teraz ode wsi idzie jego siostra i niesie mu obiad w dwójniaczkach. Te same włosy płowe, różowa spódnica i niebieski fartuch. Wpatrzywszy się lepiej, widzi jej owiazaną w szmatę nogę, którą sobie skaleczyła zbierając chrust w lesie.

Feldfelbel otrząsnął się, mocno przetarł oczy i marze-

W zielonym gaiku ptaszki śpiewają, A mego Jasieńka na wojnę wołają. Już nie roczek, nie dwa, jak się wojna toczy, Moja matuleńka wypłakała oczy...

Tak, to ta sama pieśń, którą go odprowadzili w rekruty! Oto siedzi ma wasagu, a na pierwszym wozie jadą grajkowie i grają, co się starczy. Słyszy krzyk i widzi matkę obok drogi...

Feldfelbel upadł na krzesło.

— Boże, mój Boże!... — szeptał, ciężko dysząc.

Łzy cisnęły mu się do oczu, westchnienia rozsadzały piersi, ale tylko dławił się nimi, (bo nie mógł zapłakać.

Skrzypce na chwilę umilkły i żołnierz oprzytomniał. Spojrzał przez okno. Na parkanie wciąż siedział grajek, brzydki, z kudłatą głową, i nawiązywał strunę do skrzypców, z komina w sali padał na niego czerwony blask ognia, nadając mu jakieś nadludzkie kształty.

Teraz spostrzegł feldfelbla skrzypek.

t- Panie wojak! — krzyknął pochylając się do okna jego izby — a puście 'baby do rekrutów... bo chłopcy tęsknią!..,

Usłyszawszy to rekruci umilkli i niespokojnie patrzyli w twarz swojego dozorca.

nie znikło. Widzi znowu koszary i słyszy śpiew rekrutów, nad którym górują dźwięki skrzypców za oknem.

— Co za czort! —' szepnął — czym ja pijany? Nie. Nie miałem dziś wódki w ustach. Czym chory?... ,

Istotnie, przypomniał sobie, że już raz ukazywały mu się podobne widma, gdy miał tyfus. Wówczas jednak robiło mu to przykrość, a dziś przeciwnie — serce jego napępiała dziwna mieszanka radości i żalu.

Skrzypce znowu rzewniej zapłakały w rękach grajka i żołnierz znowu im uległ.

Feldfebel zawahał się, 'lecz po chwili zawołał policjanta i nie patrząc mu w oczy rzekł:

— Przeprowadź baby do tych okien. Niech się nacieszą rekruty.

Potem mruknął do siebie:

— On czort, ten Skrzypek, on umie zaklinać duchy... On mnie matkę moją rodzoną pokazał i naszą Wólkę... Boże, zmiłuj się! — dodał żegnając się. ,

W kilka minut później przez kraty okien mieszczanin ścisnął swoją żonę, wiejska kobiecina swego Walka, a stary Bizmut szeptał do Moszka:

— Ty, Moszek, zaraz idź do szpitala... Ty będziesz wolny...

Grajka już na parkanie nie było, lecz feldfebel, ile razy wyjrzał przez okno, żegnał się i szeptał:

— Czort!... on umie wywoływać duchy...

W GÓRACH

Panie drogi — mówił do minie jeden z przyjaciół, J.L. wielki dziwak — panie drogi, homeopaci mają znakomitą zasadę: „Podobne leczy się podobnym.” Przecież ospę nawet alopaci leczą ospą, a Pasteur wściekliznę chce 'leczyć wścieklizną. Ale na co te przykłady?... Opowiem panu fakt, na który patrzyłem, gdzie człowiek z urojonych strachów uleczył się za pomocą istotnego niebezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygaro i ciągnął dalej:

— Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwudziestoma laty przyjechawszy do Thusds. W kilka dni po przybyciu do tego miasteczka wybrałem się z pewnym towarzystwem na mały spacer. Przy tej jednak okazji najadłem się tyle strachu, że zniechęcony natychmiast opuściłem Thusis, a następnie przez kilka lat nie mogłem patrzeć na góry.

'Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób: było nas dwu Polaków, Niemiec, Anglik i dwie damy Francuzki, wszystko lokatorowie tego samego hotelu. 'Nie wzięliśmy przewodnika, ponieważ Anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, zdawał się tak widocznym i łatwym jak to krzesło na środku pokoju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na stoku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłużne, ale ponieważ nie były większymi od zagonów, nie myślałem o nich.

Dziwiłem się nawet, że na taki spacerek wychodzimy z hotelu o dziewiątej rano; nie chcąc się jednak przyznawać, iż nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag, a w podróży zachowywałem się jak turysta, który przedeptał Himalaje. To zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatią u Niemca.

Naturalnie, odpłacałem imu wzajemnością, był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał, niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy.

iDrogę mieliśmy wesołą; wszyscy, nie wyłączając Anglika, zbyfkowali jak dzieci; tylko ja byłem poważny, a Niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wirgiliusza. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co nie chcemy patrzeć.

—Więc i tutaj kręci się panu w głowie? — spytałem¹.

—Tak Hf odparł szybko-r- ale... nie mówmy o tym, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem, a mój Niemiec coraz głośniejsze deklamował Wirgiliusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Raz najwzajemniej chwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

—Pański spokój jest dla 'mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze albo... kaik bym skrzył...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był zupełnym kontrastem tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie.

Przede wszystkim mocno -mnie niepokoiło to, że pomimo dwugodzinnej podróży góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła: zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu, gdy nagle góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się

gdzieś głęboko w dole, a kończyły — chyba pod gwiazdami.

Ściana, na którą wdrapywaliśmy się, miała formę olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokimi. Stanąwszy pod takim stopniem myślałem, że to już szczyt, lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie znajdujemy się na nowym stopniu albo na małym poletku, za którym stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.

Droga tymczasem stawała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, (nawet ziemia — gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się spod nóg. Coraz gęstszą gromadą otaczały nas Olbrzymie czuby gór przystrojonych kitami obłoków albo wąwozy dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się; niknęły jej wielkie stopnie i tarasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się spod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemiących o wiorstę głęboko. Raz, gdym na chwilę zapomniał, że jestem na górze, przywidziało mi się, że stoję na równinie, która nagle uchyla mi się pod (nogami; część jej podnosi się aż do (nieba, a druga część spada gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczułem zawrót głowy i aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona idącego przede mną Niemca. On przyspieszył kroku i znaleźliśmy się w (miejscu mniej stromym.

— Dziękuję panu...— szepnął, mocno ściskając mi rękę. — Już mi lepiej... Uratowałeś¹ mi życie...

Oślupiałem ze zdumienia. A tymczasem idące przed nami damy poprawiały -na sobie szale i sukienki, które, według ich opinii, układały się nie dosyć estetycznie.

—Ogromny upał! — rzekła jedna.

—Co za niewygodna droga! — biadała jej towarzyszka.

Po kwadransie spokojniejszej drogi ściana, na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie albo śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami i niani mie ma nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem dlaczego, uczułem w tej chwili jakąś spokojną dumę i bezprzedmiotowy zachwyt.

— Jesteśmy na szczycie rzekł Anglik i skłoniwszy się damom zapalił cygaro.

—Prześliczny widok! — zawołały obie panie.

Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

—Druga godzina! — odezwał się mój rodak po polsku. — Diabli wzięli obiad, a może | kolacją...

Niemiec tymczasem usiadł i pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wirgiliusza. Czy widzisz pan Thusis? — spytałem go. — Wygląda jak kilka ziarenek grochu.

—Nic nie widzę i na nic nie patrzę — odparł. — Nade wszystko nie wiem, czy stąd zejde!...

Anglik spostrzegł bladość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się.

Siedzieliśmy z kwadrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u nóg naszych, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, bladoniebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którym szczyty gór pływają. I nie tylko pływają, ale stopniowo zaczynają

zanurzać się i tonąć. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między mgłą i górami, ale przeraziłem się, gdym spostrzegł, że szczyt, na którym stoimy, poczyną spadać na dół... Byłbym przysiągł, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżaliśmy się ogromnie prędko.

—Co to znaczy? — zapytała jedna z dam Anglika.

—Mgła podnosi się w górę — odparł nieco zasepiony. — Musimy schodzić — dodał.

„A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!...” — pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają prędkie skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z Siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron i pomimo dnia zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak u nas podczas zawiei.

Pomimo to szliśmy trzymając się za ręce, droga bowiem była bezpieczna, a Anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały nam się śliskie kamienie, a wówczas — zjeżdżaliśmy kilka łokci na dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniej śmiał się Niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili, kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaści pod nią leżące.

Po jednym takim poślizgnięciu się zjechaliśmy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci na dół. Już damy zaczęły krzyczeć: „Ach! ach!” — kiedy pęd nasz zwolniał i uczuliśmy pod nogami twardą skałę.

Niemiec bardzo zadowolony powstał pierwszy i wyciągnawszy kij chciał iść naprzód. Ale zatrzymał go Anglik.

— Za pozwoleniem — rzekł — muszę zorientować się, gdzie jesteśmy.

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrześliśmy niepokój.

— Może przyda się panu busola? — spytał go mój rodak.

— Ależ naturalnie, pokaż pan! — odpowiedział Anglik, niecierpliwie chwytając w rękę trnąłą busolę, którą mój rodak ozdabiał dewizką zegarka.

Anglik patrzył, kręcił busolą i głową, wreszcie klasnął językiem.

— Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie — rzekł z uśmiechem do dam.

A do nas szepnął:

5 Zbłądziliśmy; jesteśmy zupełnie w iimej stronie góry...

zip A jak wysoko stoimy?... — zapytał Niemiec.

— Może w połowie góry, zresztą... czy ja wian?

— A może tu jest gdzie przepaść?... — spytał znowu "Niemiec.

— I za to nie ręczę — odparł Anglik. — W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

— Szkoda, żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady — odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy jakby na gzymsie kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta śliskimi kamieniami, po których w tej chwili nie podobna było się wdrapywać, a przed nami — o wiorstę niżej — dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być

mowy, w tym bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

— Kiedyż ruszymy, panowie? — odezwała się jedna z dam.

— Jak mgła przejdzie — odpowiedział Anglik.

— A jeżeli do nocy nie przejdzie?

— To 'będziemy tu nocowali.

— Pan żartuje?..

— Wcale nie — odparł z powagą. — Wpadliśmy w pułapkę i musimy (być tiepliwyirmi.

— Więc dawajcie, panowie, jakieś hasła — wtrąciła druga, — Okolice nie jest przecież pusta, może kto usłyszy...

— Właśnie tak chcemy zrobić...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego począł strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, że m wątpił, aby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gęstniała coraz bardziej. Damy owińczyły się w szale i siedziały smutne, a Niemiec chodził tam i na powrót, z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała dziki wyraz.

— Panie — rzekł zmienionym głosem — wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

— Więc cóż pan zrobisz?... — zapytałem zdumiony.

— Rzucę się! Wolę zginąć niż tak cierpieć... Pana tylko ostrzegam o tym; inni niech nic nie wiedzą...

— Oszalałeś?...

- Tak... czuję, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się Anglik i nim się opamiętałem, pochwycił szalonego. Chciał związać mu ręce, I do mnie rzekł półgłosem:

— Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wyrwał się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu, na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

— Co się tam dzieje? — zaiwołała jedna z dam usłyszawszy hałas.

— Nic H! odparł głucho Anglik. — Nasz towarzysz próbuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

— Ani słowa o tym, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili' szał jest, zaraźliwą chorobą. Przykre położenie...

Wypił potężny łyk (koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował arię z jakiejś operetki. Za chmurzone Francuzki rozjaśniły twarze i zaczęły śpiewać razem z Anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o obiedzie i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myląc się w melodii.

Tylko ja milczałem, zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką odwagę Anglika, ale i grozę położenia.

— Śpiewaj pan! — zawołała do mnie jedna z dam. — Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

— Może także zwróci na nas uwagę górali — dodała druga.

I zaczęli we troje nową arię, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek dał się bez ceremonii, po polsku, w te słowa:

— Żeby cię diabli porwali, Angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie i bał się Szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cielęciny na obiad.

Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladałą i wywijał takt ręką.

Wtem... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i podbiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się Niemiec.

— Hop! hop! — wołano z dołu.

— Hop! hop! — odpowiedzieliśmy chórem. Obie damy pocałowały się z radości.

— Nie zabiłem się! — wołał głos. — Schodźcie, państwo, tędy na dół!... Pyszna droga!... Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego Niemca.

— Z tego gzymsu, panowie, możecie zeskoczyć, jest zaledwo kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach! — krzyczał Niemiec.

— Chwała Bogu! — zawołał mój ziomek — przynajmniej zjem dziś kolacją!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i biadający głos ziomka:

— A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pew- niem nogę wywichnął...

Po czym usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z Niemcem.

Z kolei zeszliśmy wszyscy pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach Anglika. W końcu jednak rozmyśliły się: skała bowiem w tym miejscu tworzyła rodzaj progu wysokiego na trzy do czterech łokci, skąd trzeba było albo skakać, albo schodzić przy pomocy osoby stojącej na dole.

Opuściwszy fatalny gzyms znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypanym kamieniami. Toteż nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem, wzięwszy się we czworo za ręce: panie w środku, a my z Anglikiem na skrzydłach. Poniżej nas, trochę z boku, ujrzelśmy we mgle jadące dwa cienie: był to mój ziomek i niedoszły samobójca — Niemiec. Pomimo wielkiej szybkości nieomal przez

kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tym bardziej mgła rzedniała; nareszcie w połowie spadku ujrzelśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaletów.

Gdy w kwadrans później zeszliśmy się wszyscy na łące, Anglik "wziąwszy Niemca pod ręką rzekł do pań:

— Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca, zawstydzony, odszedł na bok, a Francuzki -widząc powagę, z jaką Anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały kon- , cept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z daim rozplakała się, a druga dostała spazmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza, zawdzięczaliśmy życie. Gzyms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tym miejscu^kąd skoczył Niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była dosyć prosta.

Rzuciwszy się ze skały trafił na warstwę kamyków, a chcąc prędzej skończyć ze ^woim zawrotem głowy biegł przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył — drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonawszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

— No, i co pan powiesz — zakończył mój przyjaciel — że od tego wypadku Niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś jego nazwisko spotykam na (liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne leczyć podobnym!

est w Warszawie mnóstwo ludzi, których można | by nazwać „mijającymi”, i spotro mieszkań, które zasługują na tytuł „przechodnich”.

Człowiek „mijający” jest to jeden z tych setek, które nas co dzień wymijają na ulicach. Odznacza się tym, że można go spotykać wszędzie, że zawsze jest do wszystkich innych podobny, lecz że nie podobna jest określić jego samego. W ogrodzie mijasz go na każdej alei i przy każdej bramie; w restauracji mijają cię między nakrytymi stołami albo przy bufecie; w teatrze usuwasz mu się w przysionku albo on tobie obok krzesła. „j .. ' i i

Człowiek taki, mężczyzna lub kobieta, zawsze wygląda na lata średnie; ma cerę ani bardzo zdrową, ani chorowitą, odzież ani zbyt wykwinną, ani ulbogą — przyzwoitą; wzrost niezbyt wysoki i. nie niski, fizjo- gnomię ani zbyt inteligentną, ani idiotyczną, która jeżeli wyraża coś, to chyba roztargnienie.

Życie jego jest niewyraźne: nic o nim nie wiesz. Nie wiesz — jak się nazywa, nie wiesz — co robi, nie wiesz — z czego się utrzymuje! I nie tylko nic o nim nie wiesz, ale nawet nic nie chcesz o nim wiedzieć. Może zdziwiłbyś się, gdyby ci powiedziano* że taki człowiek rodzi się; lecz aniby ci przyszło do głowy martwić się usłyszawszy, że któryś z nich umarł. Są oni od tego, ażeby robić ruch w mieście, jak krople

wody są od tego, ażeby robić ruch w rzece; wychodzą Bóg wie skąd, płyną chodnikami spokojnie, mijają cię obojętnie i nie wiadomo gdzie znikają.

Jak są ludzie „mijający” nas, tak bywają mieszkania „przechodnie”, które cechują się tym, że można je obejrzeć od razu, z sieni albo z podwórza. Jest to zazwyczaj długa izba w oficynie, mająca trzy lub cztery okna, którą za pomocą kilku tynkowanych przepierzeń dzieli się na dwa albo trzy pokoiki tudzież kuchenkę z przedpokojem.

Są to mieszkania suche, widne i ciasne; kuchenka •biała, jeden pokój bladożółtawy, drugi bladoniebieska- wy, trzeci, jeżeli jest, perłowy. Podłogi myje się raz na kwartał, ściany odświeża się raz na trzy lata. W pewnych godzinach zagląda tam słońce, w innych ukazuje się woda w wodociągu; na zimę zakładają się podwójne okna. Przez podłogę słycać rozmowy prowadzone na niższym piętrze, przez sufit kroki lokatora z wyższego piętra, a przez ścianę zegar, który wybija godzinę w sąsiedniej kamienicy.

W takich mieszkaniach nikt się nie rodzi, nikt się nie wychowuje, nikt nie umiera, bo nikt nie osiedla się <tu na stałe. Każdy wprowadza się na krótki termin, płaci miesięcznie, pozwala mnożyć się karaluchom; a gdy pociemnieją ściany od pyłu i z każdego kąta na środek pokoju zaczyna się wysuwać śmiecie, człowiek bez żalu wyprowadza się na nowy lokal, gdzie ściany są świeżo pomalowane i umyta podłoga. I znajduje takie same warunki bytu: takie same widne i ciasne pokoiki, w tych samych -miejscach gwoździe, z tą chyba różnicą, że na dawnym mieszkaniu słońce pokazywało się o jedenastej z rana, na nowym zaś o pierwszej po południu.

Jedno z podobnych mieszkań, niedaleko ulicy Marszałkowskiej, na drugim piętrze, zajmowali przez jakiś czas czterej studenci z wyższych kursów, panowie: Kwieciński, prawnik, Leśkiewicz, przyrodnik, tudzież Gromadzki i Łukaszewski, medycy.

Pan Kwieciński był to piękny młodzieniec: wysoki, śniady, z ciemnymi oczyma, czarnym wąsikiem i bardzo starannie utrzymanymi włosami. Odznaczał się doskonałym humorem i niezwykłą wrażliwością serca. Przed dwoma tygodniami wrócił ze wsi, gdzie w czasie wakacji zajmował się guwernerką i prawie zaręczył się z osiemnastoletnią siostrą swojego ucznia. Obecnie zaś wszedł w bardzo ściśle stosunki z pewną magazynierką, co już nawet odbiło się na jego kieszeni i zarysowało się ma fizjonomii, nadając jej odcień powagi i znużenia.

Z powodu piękności i nazwiska jeszcze w gimnazjum koledzy mianowali go „Kwiatkiem”. Że zaś na pierwszym kursie pewna bona zrobiła mu awanturę wołając na podwórzu: „Ja ci tego nigdy nie zapomnę!” — więc od tej pory nazywano go „Niezapominajką”. Kwieciński z początku martwił się przezwiskiem; gdy jednak liczba jego zmartwień poczęła zwiększać się z każdym rokiem, więc uspokoił się, tym bardziej że przezwisko nie robiło złego wrażenia na pannach.

Najgłębszym jego pragnieniem było dobrze skończyć uniwersytet i zostać sławnym adwokatem. Przede wszystkim zaś — zmienić lekkomyślny tryb życia, zerwać z nieustannymi miłostkami i zostać wiernym jednej wybranej kobiecie. Zachodziła tylko kwestia: której? — gdyż miał kilka zaprzysiężonych, z których każda uważała go za swoją własność.

Jakby dopełnieniem Kwiecińskiego był Leśkiewicz, przyrodnik, także brunet, ale niski, zgarbiony, dzioba-

ty; z brodą, która miu zarastała pół twarzy i nadawała fizjonomii ponury wyraz.

Dusza pana Leśkiewicza również nie знаła spokoju, lecz bynajmniej nie z sercowych powodów. Był on stypendystą, więc co pół roku musiał dobrze zdawać egzamin — dzięki czemu przez trzy miesiące w każdym półroczu martwił się tym, że „trzeba się wziąć do roboty”, a przez miesiąc rozpaczał, że już za późno — lecz egzamin zdawał.

Troska egzaminacyjna nie była najmniejszą z goryczy jego życia — „czuł się bowiem ciężko chorym na żołądek, serce i płuca; wątpił, czy się kiedy wyleczy, a nie spotkał dotychczas lekarza, który by... poważnie traktował jego chorobę.

„Widocznie choroba moja jest jeszcze ukryta” — myślał, ciągle - kręcąc się między medykami i prosząc, ażeby go opukiwali.

W tym nawet celu zbliżył się do Gromadzkiego, który przeszedł na piąty kurs i sływał jako tęgą głowa. Leśkiewicz w zeszłym półroczu zamieszkał w jednym pokoju z Gromadzkim i z całym zaufaniem opowiedział mu o swych chorobach, burzliwie spędzonej młodości, nareszcie o dziedziczności, która fatalnie ciążyła nad płucami i żołądkami wszystkich Leśkiewiczów.

Czego chciał w zamian za swoją nieograniczoną szczerść?... Prawie niczego. Trochę serca i trochę wiary. Tymczasem Gromadzki, wysłuchawszy jego najgłębszych tajemnic, sam o sobie nic, ale to nic nie opowiedział mu w zamian; tylko uśmiechał się obłudnie przy opisywaniu chorób, a w końcu oświadczył publicznie, że Leśkiewicz jest zdrów jak koń, i jeszcze nazwał go „śledziennikiem”, co inni przerobili na „Śledzia”.

I otóż od -kilku miesięcy z niego, Leśkiewicza, poważnego i co najmniej zasługującego na współczucie, koledzy zaczęli- tak żartować, że prawie już z nikim

nie rozmawiał o swoich, chorobach. W dodatku zaś przezywali go „Śledziem”, co również nie było przyjemnym dla młodzieńca, który zawsze serio patrzył na życie.

Leśkiewicz nigdy nie śpieszył się z manifestowaniem swoich uczuć; więc choć w pierwszej chwili ciężko obraził się i chętnie starłby Gromadzkiego z powierzchni ziemi, nie zmienił jednak stosunków. Owszem, do wakacyj mieszkał z nim w tym samym pokoju i nawet rozmawiał o rzeczach obojętnych. Ale stracił do niego zaufanie, nazywał go „Kretem”, który wkopuje się w cudze tajemnice, ażeby je wyśmiać, a do kolegów nieraz mówił:

©Hi ^ człowiek, który na mnie nigdy nie powinien rachować. Przekonałem się, że jest pozbawionym uczuć egoistą, a nie zdziwię się, jeżeli kiedy zrobi jakie świństwo, nie licząc tego, co zrobił ze mną.

A choć Leśkiewicz po wakacjach sprowadził się na dawne mieszkanie (gdyż lubił dwu innych kolegów: Kwiecińskiego i Łukaszewskiego), już nie stanął w pokoju z Gromadzkim; rozmawiając zaś z nim był posepny i uszczypliwy.

Nareszcie Gromadzki, był to szczupły blondynek z rzadkim zarostem, zdalny, bajecznie pracowity, zamknięty w sobie jak ogniotrwała kasa. Nic nie wiadano o nim: ani jaką ma rodzinę, ani co zarabia, ani gdzie jada. Egzamina składał świetnie, uczył się nocami, wieczorami dawał korepetycje; za wpis i mieszkanie płacił regularnie; niekiedy zaś ukradkiem łątał sobie obuwie i odzież, w czym miał wielką wprawę.

Posądzano go o skąpstwo albo dawactwo; w rzeczywistości był to biedak, który okrutnie wstydził się swojej biedy i krył się z nią jak z występkiem. Najśmielszym jego marzeniem było skończyć medycynę i dojść kiedyś do takiego stanowiska, aby mógł co dzień

W połowie września, w niedzielę około jedenastej z rana, trzech młodzi panowie Znajdowali się w mieszkaniu.

W pokoju bładoniebieśkim, gdzie znajdowało się jedno łóżko żelazne, drugie drewniane, żółta szafka na rzeczy | kilka półek napełnionych książkami, przy stole pod otwartym oknem siedział Gromadzki. Był już od stóp do głów ubrany, nawet mundur mdał zapięty na wszystkie guziki, co trochę kępowało go w ramionach — i pisał. Raczej przepisywał drobno i kaligraficznie jakiś rękopis, źle zeszyty, niewyraźny i w dodatku mocno pokreślony.

Właściwie nie tylko pisał, ale jeszcze pił zimną herbatę, po której gęsto pływały liście, palił papierosa i kiedy niekiedy zagryzał kawałkiem chleba, który zdawał się posiadać wszystkie dietetyczne zalety oprócz świeżości.

Niekiedy Gromadziła rzucał pióro i przeciągał się jak człowiek, któremu dokuczyło przepisywanie. Wnet jednak spoglądał na porządkowy numer stronicy, odkładał kilka kartek welinowego kajetu, jakby naradzając się z nimi, otrząsał się, może dla odegnania nudów, i pisał dalej. W ogóle robił wrażenie pracownika, który nie zachwyca się swoim zajęciem, lecz chce je wykonać na czas.

- Niekiedy podnosił głowę i patrzył na ścianę przeciw-

ległej oficyny. Wówczas zdawało mu się, że między oknami czyta jakiś bardzo długi spis tanich i gorących potraw i zastanawia się: które z nich są najtańsze, naj- obfitsze i najgorętsze? A potem uśmiechnął się na myśl, że dzisiaj właśnie, gdy skończy przepisywać arkusz dwudziesty piąty, zaprowadzi się w nagrodę do Wróbla, wybierze kilka tanich, tłustych i gorących potraw, zje przy tym mnóstwo chleba darmo i wypije kufel piwa.

W końcu nawet sformułował aforyzm: „Kto wczoraj nie jadł gorącego, a dziś zarobił półtora rubla, ten ma prawo wydać na siebie pół rubla.” Aforyzm podobał mu się, chociaż na myśl wydania pół rubla przebiegły go lekkie dreszcze.

— A jednak puszcę się... -p- mruknął.

Nagle ocknął się i przez otwarte drzwi wychylił głowę do pierwszego pokoju, jakby lękając się, ażeby jego rozpustnych projektów nie podsłuchali koledzy.

Lecz koledzy nie zajmowali się nim. Kwieciński zupełnie ubrany, tylko bez mankietów i munduru, leżał na łóżku, z rękoma pod głową, usiłując to prawą, to lewą nogą dosięgnąć szafy oddalanej o łokieć. Leśkiewicz zaś ubrany w krawat i starą marynarkę (dolna część jego istoty znajdowała się jeszcze w płóciennym negliżu) siedział na amarantowym foteliku, którego przeszłość zdawała się być nader burzliwą. Leśkiewicz w prawej ręce trzymał fajkę, lewą od niechcenia opierał na dużym stole, na którym stygnął samowar, walały się okruchy bułek i dwie skórki serdelków.

— No i co ty wyrabiasz ze swoimi nogami? — odezwał się Leśkiewicz patrząc z politowaniem pełnym goryczy na gimnastyczne zabiegi Kwiecińskiego.

— Stawiam kabałę: iść czy nie iść do Tekluni? — odparł Kwieciński.

— Jeśli powiedziałeś sobie, że nie pójdziesz, to nie idź.

— W takim razie ona może przyjść...

— Masz diable kaftan! — odezwał się w drugim pokoju Gromadzki, na którym pomimo skromności, czy może z powodu jego skromności, imiona żeńskie robiły silne wrażenie.

— A ty, Śledziu, dlaczego się nie ubierasz? — wtrącił Kwieciński, chmurnie spoglądając na negliż Leśkiewicz. — Pominąwszy, że może kto wejść do nas...

— Tefclunia!... — zachichotał Gromadzki.

— Ale nawet nieładnie tak pokazywać się sąsiadom z przeciwka — dokończył Kwieciński.

— Wiesz przecie, że mam robotę — odparł Leśkiewicz — A jeżeli ubiorę się, z pewnością wyleżę na miasto... Znam siebie.

— Więc rób.

— Tak, rób... Ale po co?..; Kto mi zaręczy, że nie umrę po ostatnim egzaminie?...

I potarł sobie palcem usta, ażeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

No, zaraz po egzaminie...

— Więc w kilka lat później. A wtedy co mi przyjdzie z tego, że 'będę umiał trochę więcej aniżeli na stopień kandydata? — mówił krzywiąc się Leśkiewicz. — Bakterie ani nasycą się moją uczonością, ani otrują.

— Ale nauka... postęp... — wtrącił Kwieciński.

— Postęp!... cha... cha!... — zaśmiał się Leśkiewicz.

— Właśnie teraz myślałem, że kto wie, czy Europa nie dosięga kresu swoich postępów i czy już nasze wnuki nie zapadną w chińską rutynę, która przeżuwa i zapomina stare rzeczy nie tworząc nic nowego.

Odetchnął jak człowiek próbujący, czy jeszcze może oddychać, i wziął się za lewy bok.

— Otrułeś się serdelkiem, Śledziu, i bar łożysz...

— Nie barłożę!... fi oburzył się Leśkiewicz. — To są moje najgłębsze myśli, którymi tylko nie mam zwy-

czaju dzielić się. Jak roztopiona lawa krzepnie w skałę, jak organiczne tkanki wapnieją, tak wapnieją całe społeczeństwa... Zamiera w jnięć ciekawość,- popęd do rzeczy nowych i stają się podobnymi do mrowisk albo do rojów pszczelnych, gdzie od tysięcy lat „wszystko” robi się bardzo porządnie, bardzo systematycznie, ale rutynicznie i nieświadomie...

— Skąd, u diabła, przychodzą ci takie głupie iny-krzyknał zrywając się z łóżka Kwieciński.

— Bo widzę kresy cywilizacji tam, gdzie ty ich nie dostrzegasz — odparł podniecony Leśkiewicz. — Spójrz na drobiazgi: na stół, na krzesło*.. Czy myślisz, że za pięćset lat będzie coś lepszego w miejsce stołów i krzeseł?... Może sądzisz, że ta bułka będzie inna?... A może wyobrażasz sobie, że ludzie zaczną bu- dawać inny typ domów i zamiast dzisiejszych podziurawionych pudeł zaczną wznosić budynki podobne do kryształów albo do skał fantastycznych?..

— I to mówi przyrodnik!... :||g wołał zaczerwieniony Kwieciński.

— Właśnie przyrodnik, który wie, że już nie odkryje się stu tysięcy nowych gatunków roślin i zwierząt, nie wynajdzie się kilkudziesięciu nowych pierwiastków ani kilku nowych sił takich, jak ciężkość, ciepło, elektryczność... Już dochodzimy do kresu... —• zakończył śpiewnym tonem, niby od niechcienia ugniatając sobie żołądek.

— To może wy, ale nie my — przerwał Kwieciński. — Patrzcie tylko, ile milionów ludzi zyskało od stu lat wolność osobistą, dobrobyt i oświatę... Zobacz, jak dziś traktują jeńców, rannych, a nawet przestępców... Pomyśl, do czego może dojść prawo międzynarodowe... Zrachuj, ilu ludzi z najniższych sfer przenosi się na wysokie stanowiska...

— Zapytaj pię Gromadzkiego, kto był zdrowszy* jego

ojciec w szkole elementarnej, czy on w uniwersytecie — a zobaczysz, co to jest nasz postęp... — odparł z ironią Leśkiewicz i zaczął sobie rachować puls.

Gromadzki zerwał się od stolika i stanął we drzwiach.

— Naturalnie, że jest postęp!... — zawołał. — Mój ojciec był tkaczem, wuj felczerem, a ja już będę lekarzem...

— Za to mój pradziad miał dziesięć wsi i dwa miasta, a ja nie mam dziesięciu koszul. To mi dopiero ulepszenie, gdzie ażeby jakiś tam Gromadzki trochę zyskał, Leśkiewicz musi stracić wszystko!..

— To właśnie dobrze, że rodziny niezużyte wysuwają się naprzód, a upadają familie dziwaków i hipochondryków — odburknął Gromadzki wracając do przepisywania.

Leśkiewicz poruszył się na paśowym foteliku i ze złości ugryzł piórko u cybucha. Ażeby nie dopuścić go do odpowiedzi Gromadzkiemu, Kwieciński wtrącił:

— Właśnie dzisiejszy postęp najlepiej uwydatnia się w rozlewie praw, oświaty, a nawet nauki na wszystkie warstwy społeczne.

— Piękna oświata!... — odparł zmieniając ton Leśkiewicz — przy której nawet ciężko znaleźć korepetytora dla malca...

— Masz chłopca?... — spytał Kwieciński. Jri kontent, że przerwała się drażliwa dyskusja.

— Mam w trzeciej klasie kuzyna, za którego chcą płacić piętnaście rubli miesięcznie... Ale cóż?... Ty go nie- weźmiesz...

— Nie mogę.

— Łukaszewski także nie... I choćbym pękł, nie znajdę faceta, którego śmiało mógłbym zarekomendować rodzicom; Bo nuż trafię na jakiego radykała, który mi palnie, że nawet za piętnaście rubli nie zechce

uczyć potomka hipochondryków skazanych na zagładę? ... — mówił śmiejąc się złośliwie Leśkiewicz.

Kwieciński poznał, że ten niegodziwy żart wysłany był pod adresem Gromadzkiego, i oburzył się.

— Głupi ty jesteś, Śledziu, choć pozujesz na złośliwca — rzekł patrząc na Gromadzkiego, który udawał, że nie uważa, o czym mówią koledzy, i zarumieniony powyżej uszu pisał, wciąż pisał.

— Ale, jak cdę kocham, Niezapominajko — ciągnął ze śmiechem Leśkiewicz — że ty jeszcze nie wiesz, do czego są zdolni demokraci i radykaliści...

Nagle umilkł usłyszawszy znajomy głos na schodach. Jednocześnie Kwieciński schwycił za dzwonek stojący przy jego łóżku i ze wszystkich sił począł dzwonić wołając przez okno:

— Barbara!... Służba! tu... tu!... Jaśnie pan przyjechał!...

Nawet Gromadzki rzucił pióro i rozpromieniony Wybiegł do przedpokoju.

Drzwi od przedpokoju rozwarły się z impetem i ukazał się w studenckim szynelu i czapce na bakier młodzieniec oryginalnej powierzchowności. Był to szatyn duży i rozrosły, który cieszył się posiadaniem ogromnych rąk i stawiał zamaszyste kroki; robił, przy tym wrażenie człowieka, który patrząc w jakiś odległy punkt, dąży tam z brutalną energią i rozpycha wszystkich po drodze.

Panowie: Kwieciński, Leśkiewicz i Gromadzki— stanęli rzędem w pokoju. Kwieciński krzyknął:

— Łukasz jest!

I w tej samej chwili wszyscy czterej zaczęli śpiewać: 222

— Niech żyje nam!... niecici żyje nam!... niechaj żyje, niechaj żyje, niechaj żyje, niechaj żyje nam!... Wiwat!.,.,i:

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że najgłośniej na swoją cześć wyśpiewywał nowoprzybyły medyk, sam pan Łukaszewski.

— No, jak się macie? —| rzekł, szeroko otwierając ramiona, w których znalazł się szczupły Gromadsm.

Dwaj inni panowie rzucili się na szyję gościowi, przy czym Kwieciński pocałował go w lewe ucho, a Leśkiewicz w prawą łopatkę.

Po przywitaniu Łukaszewski rzucił czapkę na stół między szklanki, szynel na łóżko Leśkiewicza i ująwszy się pod boki zawołał:

— Powariowaliście!... A to co?...

I kopnął nogą amarantowy fotelik,

— To fotel... — odparł obrażony Leśkiewicz. — Ale tamto co?...

I wskazał palcem do przedpokoju, gdzie w tej chwili weszła stróżka z walizą, a za nią mały chłopak, z wyrazem obawy na piegowatej twarzy, odziany w kapotę do samej podłogi, z tak długimi rękawami, że mu wcale rąk nie było widać.

' . r^r To?... — powtórzył Łukaszewski obzierając się przez ramię, gjj To nic, to nasz Wałek

— Jaki nasz Wałek? — zdziwił się Kwieciński, zwany także 'Niezapominajką;

"Stróżka Barbara, osoba tęgiej budowy, z pięknie rozwiniętym 'biustem, rzuciła w kąt walizę i wsunawszy ręce pod fartuch, zabiegała Łukaszewskiemu z prawej strony.

- Cóż to? — rzekła pochylając głowę i mrużąc oko. — Cóż to, może teraz on będzie usługiwał panom?...

- A wam diabli do tego!... — odparł zuchwale Łukaszewski.
- Diabli?... — powtórzyła baba podnosząc głos. — To pan płaci za usługę rubla na miesiąc, trzynaście dni nie ma pana w domu, i jeszcze będzie pan lokajczuków naprowadzał?... A pan myśli, że panu taki fąfel wyczyści buty porządnie, zamiecie pokoje?...
- Milcz, Barbario!... — zawołał Łukaszewski.
- Dołoż węgli do samowaru, niewolnico!..., — dodał Kwieciński.
- Piękny lokajczuk!... — wtrącił Leśkiewicz. — Ależ on się ruszać nie może w swojej kapocie.
- Po coś ty go, Łukaszu, przywiózł?... — dorzucił Gromadzki.
- A bodaj was do prosektorium zanieśli! — krzyknął Łukaszewski chwytając się dużymi rękoma za głowę.
- Potem złapał za ramię Barbarę i rzekł:
- Baba... pyf! samowar i gnaj do kuchni...
- Baba spokorniała jak gołąbek i w jednej chwili znikła z samowarem w przedpokoju.
- Dobrze, ale co to jest?...; — spytał nieustraszony Kwieciński pukając nowoprzybyłego chłopca palcem w głowę.
- Wałek, idź do kuchni... Zrzuć kapotę i zobacz, jak się nastawia porządny samowar... — rzekł Łukaszewski.
- Po coś tu przywiózł tego świniopasa?... —* odezwał się Leśkiewicz.
- Ażebyście w szkodę nie łazili — odparł Łukaszewski.
- Do nas niepotrzebny — dorzucił Śledziennik — a ciebie ani Gromadzkiego nie upilnuje...
- Aj, dowcip!... — mruknął Gromadzki — W sam raz na podgardlaną kiszkę.
- Łukaszewski wzruszył ramionami.

— Zaraz wszystko wam wytłomaczę — rzdd.— Ale ponieważ mam zwyczaj wiedzieć, z kim rozmawiam, więc może mi powiecie, co to za dzwonek i na co?

Teraz wystąpił na środek Kwieciński mówiąc:

— To jest, widzisz, dzwonek "brązowy, kupiony za czternaście groszy od handlarza, ażeby dzwonić na służbę.

— Przecież balba nie usłyszy go na dole.

— No, jeżeli baba go nie usłyszy, to ty usłyszysz albo twój Walek'

— odparł Kwiecińska.

— Aha! A ten podły mebel, który wyrzucono z publicznego...

Na te słowa Leśkiewicz spochmurniał. Włożył ręce w kieszenie i odwróciwszy się od kolegi, zwanego Łukaszem, odparł:

— Trzeba być osłem, ażeby nie poznać, że to jest styl Ludwika...

— Którego Ludwika?., — zdziwił się Łukaszewski.

— Tego, który był markierem u Loursa — szybko wtrącił Gromadzki.

Leśkiewicz na znak pogardy zwinął usta w rurkę i mimo woli wziął się za puls. A ponieważ zdawało mu się, że puls uderza za prędko, więc postanowił już nie brać udziału w rozmowie.

— Powiedźże nareszcie o tym Waleku — rzekł Gromadzki mocno zadowolony z konsternacji Leśkiewicza.

Łukaszewski zamyślił się, jakby układając plan mowy; usiadł na krześle, spuścił oczy i zaczął:

— Wiecie, - że „Popiel” jest na guwernerce w Mię- tuszynie.

(„Popiele m” na cześć wielkiego baletmistrza teatrów przezywano pewnego kandydata matematyki, który w ciągu trzydziestu praktycznych wykładów nie mógł nauczyć się kontredansa, skutkiem czego musiał porzucić zbiorowe lekcje tańca.)

15 jji Prus, wybór, t. Iii

— Otóż Popiel — ciągnął Łukaszewski — spotkał tam chłopca, właśnie Walka, którego wszyscy bili, ponieważ był niezdatny do robót wiejskich.

— Do pasania bydła..mruknął Leśkiewicz.

— Tak... Ale za to miał wielkie zdolności do rzeźbiarstwa i robót mechanicznych...

— Na przykład do otwierania cudzych zamków — wtrącił Leśkiewicz.

— Popiel tedy — mówił dalej Łukaszewski — zajął się chłopcem, nauczył go czytać, pisać i rachować... A kiedy teraz oto, w czasie wakacyj, wziął go przy nas na egzamin, panna Maria Ciechońska była tak zachwycona jego postępami, że... postanowiłem wziąć go do Warszawy i kształcić dalej...

— Co znowu za panna Maria?... — spytał zdziwiony Kwieciński.

— Albo co nas obchodzi jakaś tam panna Ciechońska? — dorzucił Leśkiewicz.

Łukaszewski przez chwilę siedział ze spuszczoną głową, widocznie zakłopotany. Nagle zerwał się z krzesła i zawołał grzmiącym głosem:

— Eh!... co ja z wami będę gadał o rzeczach, na których się nie znacie...

— Na pannach Mariach znamy się — wtrącił Kwieciński.

Łukaszewski błysnął oczyma.

— No, no... Niezapominajko, tylko bez kpin... Panny Marii możemy nie dotykać...

— Nawet nie możemy inaczej... — szepnął Gromadzki.

— Właściwa zaś kwestia przedstawia się tak — ciągnął Łukaszewski. — Jest biedny, ale zdolny chłopak, który na wsi zginie, a w mieście może się wyrobić na człowieka. Otóż tym chłopcem musan[^]y się zająć.

— Niby... w jaki sposób?..., — zapytał drwiącym tonem Kwieciński.

— Chyba, nie czekając, aż go złapią

na ulicy, oddać #o do Osad Rolnych, jak tylko nas okradnie.

— Albo do szpitala przy pierwszych objawach wysypki... —
dorzucił Leśkiewicz.

— A! bydlęta! — wrzasnął Łukaszewski zrywając się i wykonywając tak zamaszyste ruchy, jakby miał zamiar porozbijać ściany mieszkania, a kolegów powyrzucać za okno. — A! bydlęta! — powtórzył — ja wam robię łaskę, a wy kpicie?... Wiem już, coście warci, i zaraz dziś wyprowadzam się z chłopcem, ażeby nie oddychać jednym powietrzem z takimi lajdakami...

A! żmije!... — mówił biegnąc po pokoju. — Trzy lata wdaję się z taką hołotą, głowę sobie dałbym uciąć, że to chłopaki porządne, a tu masz!... Ledwie zdarzyła się okazja i otóż z tej szlachetnej młodzieży wyłazą lichwiarze, szachraje, lombardziści i wszelkiego gatunku eksploatatorowie... Dajcie mi roztworu sub- •limatu, ażeby umyć ręce zakażone waszymi uściśnie- niami!

— Ale o co ci chodzi, Łukaszu?... — przerwał zdziwiony tym wybuchem Gromadzki,

— Ty mnie się pytasz, hołyszku?... — krzyknął rozbestwiony Łukasz tupiąc nogą. — Przecie sam nieraz mówiłeś mi, że gdyby nie pomoc dobrych ludzi, był-
. byś szewcem albo organistą, a tak... będziesz lekarzem. Pozwólcie i młodszemu hołyszowi nie pasać bydła, do czego nie ma ochoty, ale także starać się o prawo pisania recept.

Gromadzki, zawstydzony, cofnął się do stolika i dalej zaczął przepisywać niewyraźny rękopis, a Kwieciński wtrącił:

— No, nie każdy, kto jest złym pastuchem, musi zaraz być dobrym lekarzem...

— Więc może być dobrym adwokatem albo chemikiem — odparł Łukaszewski.

—I umiejętnie fałszować wódkę czy wody mineralne — dorzucił Leśkiewicz.

—Albo zostać pokątnym doradcą i odbierać nam klientów! — dopełnił Kwieciński.

—Nie bójcie się! — odparł zaperzony Łukaszewski — nim on zacznie konkurować z wami w fałszowaniu wódki czy w pokątnych paradach, już nie będzie nie tylko was, ale nawet tego cukru, który wyrafinują na waszych kościach.

Na wzmiankę o smutnym terminie Leśkiewicz roz- tarł sobie piersi, jakby go zakłuło w płucach.

Kwieciński wzruszył ramionami i rzekł tonem perswazji:

—Po co się ty ciskasz? po co się pienisz?... Lepiej powiedz wyraźnie, czego chcesz?

—Chcę, ażebyśmy pomogli temu chłopcu kształcić się.

—Na lekarza albo na prawnika — mruknął Leśkiewicz.

—Nawet na chemika od robienia margaryny, wszystko mi jedno — odparł Łukaszewski.

—Więc musi pierwszej skończyć gimnazjum — mówił Kwieciński. — A jeżeli jest za stary i nie przyjmą go?

—To pójdzie do rzeźbiarza.

—Rzeźbiarze sami nie mają butów.

—No, to go oddamy do stolarza — zakończył Łukaszewski, któremu nie. robiły subiekcji nagłe przejścia od uniwersyteckich szczytów do warsztatowego padołu.

—Tak... do stolarza... do rzemiosła to nawet i ja mógłbym mu wyrobić miejsce — odezwał się Leśkiewicz.

—A widzisz — rzekł Łukaszewski. — Tylko musi gdzieś mieszkać i coś jeść.

—Mieszkać może u nas — wtrącił ze swego pokoju Gromadzki.

—Z głodu przy nas nie zdechnie— mruknął Kwieciński.

—No widzicie... widzicie... — mówił już udobru- ■ chany Łukaszewski, - Mnie tylko o to chodziło... Wreszcie, każdy z nas może go czegoś nauczyć...

—Ja będę mu wykladał niemiecki, kaligrafię i rysunki — rzekł Gromadzki nie podnosząc głowy od stolika.

J^rr- Ja mogę wziąć jeografię i jeszcze co... — dodał Kwieciński.

—No, to ja będę go uczył arytmetyki — rzekł posepnie Leśkiewicz. — Tylko niech się pilnuje, bo mu łeb obedrę, i będzie wyglądał, jakby go móle zjadły.

—Wy boomie! — krzyknął śmiejąc się Łukaszewski. — No, widzicie, jacy z was porządni faceci... Wałek!... Waielk, psi a wiar o (on inaczej nie rozumie), wyłaż z kuchni i podziękuj panom.

Z kuchni wynurzył się chłopak z włosami w strąki i w odzieniu bardzo podobnym do kupy popielatych łachmanów. Niedobrze rozumiał, o co chodzi, ale ponieważ pan Łukaszewski kazał mu za coś dziękować, więc obszedł wkoło mieszkanie i pocałował każdego z panów w rękę. Przy tej ceremonii Kwieciński rozczulił się, ponury Leśkiewicz wysunął do pocałunku rękę aż na środek pokoju, a Gromadzki tak się przestraszył, że od stolika skoczył pod przeciwległą ścianę, wołając do Walka:

—Dajże mi spokój!... Oszalałeś?...

—Ależ bestia obdarta! — mruknął Leśkiewicz. — Nie przypominam sobie, ażebym widział kiedy co równie oberwanego.

—Dziury na łokciach... ani jednego guzika przy spencerku... A spodnie, fiu!... fiu!... On je tu zgubi na schodach —| mówił Kwieciński wykręcając chłopaka na wszystkie strony.

— Nic nie wypatrzysz — odezwał się Leśkiewicz. — Trzeba od razu złożyć kilka rubli i kupić jakąś garni- turzynę na Pociejowie.

— Rozumie się — wtrącił Łukaszewski.

— I to zaraz, dzisiaj — dodał Kwieciński. Usłyszawszy to Gromadzki zerwał się od stolika, pobiegł do kufra d po chwili wrócił. Zarumieniony, wzburzony " stanął na progu swego pokoju i chciał w te słowa odezwać się do kolegów:

„Moi kochani, mam całego majątku pięć rubli z czymś... A ponieważ jutro odbiorę za przepisywanie z osiem rubli, więc dzisiaj dam na chłopca... dwa ruble... Nawet trzy ruble."

Tak chciał powiedzieć, ale nie śmiał odezwać się pierwszy, tym bardziej że ze wzruszenia ręce mu się trzęsły i coś go. chwytalo za gardło.

Co tobie?... — zapytał go Łukaszewski widząc niezwykle zachowanie się kolegi.

— Ja... ja... — zaczął Gromadzki.

— Nie masz pieniędzy? — spytał Kwieciński.

— Owszem... ja...

— Tylko mu ich żal mruknął Leśkiewicz.

— Ja... ja... — krztusił się Gromadzki. W tej chwili zapukano do przedpokoju.

— Prosimy!^ zawołał Łukaszewski. — Pewnie któryś z naszych...

— Rozumie się!... Pan doktor dobrodziej nawet przez ścianę poznaje życzliwego człowieka.

To wesołe powitanie wypłynęło z wnętrza osoby ubranej w jasne palto i trzymającej w ręce połyskliwy cylinder. Gość był pulchny, biały, różowy, wygolony

i uśmiechnięty; nienajmniejszą zaś ozdobę jego oblicza stanowił olbrzymi zarost, poczynający się na końcu • brody, a rozłożony na wypukłych piersiach jak ogon pawia. Cała wreszcie postać robiła wrażenie cherubina, którego Stwórca zbyt długo zostawił w wylęg¹owym piecu i pozwolił mu wyrosnąć do dwu centnarów żywej wagi.

Ułomności ludzkiej natury przypisać należy fakt, że pojawienie się tego pięknego zjawiska w mieszkaniu studentów nie obudziło między nimi entuzjazmu. Gromadzki razem ze swoją portmonetką cofnął się i zbladł, jakby zobaczył upiora, Kwieciński był zakłopotany, Łukaszewski spochmurniał i tylko Leśkiewicz obrzucając nowoprzybyłego żółciowym spojrzeniem zapytał: — Skądże się pan tu wziął? .!i—| Wszakże sami panowie naznaczyli mi przyjazd doktora Łukaszewskiego jako ostatni termin...

— Nie jestem jeszcze doktorem — odparł zimno Łukaszewski.

— Ale dziś trzynastego września, pięć dni zwłoki! — zaśmiał się gość pieszcząc delikatnymi palcami swój fantastyczny zarost.

— Dobrą ma pan policję — wtrącił Kwieciński zwany Niezapominajką — bo Łukasz dopiero co wysiadł z wagonu.

— Boże uchowaj! cóż znowu za policja? — protestował gość. — Ale panowie tak serdecznie witali się z kolegą, że pół miasta wie o przyjeździe... Cóż to za chłopaczek?... ładny chłopak — dodał gość, pogłaskał chłopca pod brodę i strzepnął palce.

— Taki sobie zwyczajny Wałek — objaśnił Łukaszewski.

— A paszport ma?

— Co za dziwna kwestia! — wtrącił Kwieciński. —

To samo, co gdyby pana kto zapytał, czy rządcowie domów umieją pisać.

Gość rozszerzył białe dłonie, jakby zabierając się do odlotu, i rzekł głosem, w którym czuć było mniej słodyczy, a więcej stanowczości:

—Zatem niech ten młodzieniec przyśle mi dziś paszport przez stróża, a dwadzieścia cztery ruble panowie będą łaskawi doręczyć ani zaraz. Idę właśnie do gospodarza, który mnie wezwał, a czuję, że zrobi awanturę za te pięć dni... Nawet właściwie za dwanaście dni, bo on zwykle pierwszego odbiera komorne.

Łukaszewski wydobył portmonetkę, to samo zamyślał zrobić Kwieciński; Gromadzki zaś mocno zaaferowany biegał po swoim pokoju, jak gdyby w rozmaitych kątach jego szukał pieniędzy. Tylko Leśkiewicz, zaopatrzony widać w duże kapitały, usiadł konno na amarantowym fotelu i oparłszy ręce na poręczy pytał drwiącym tonem:

—Cóż pański gospodarz taki pedant w odbieraniu komornego? Nie mógłby to jeszcze z tydzień zaczekać?...

Gromadzki nadstawił ucha; odsunięcie terminu zapłaty na tydzień wydało mu się nader szczęśliwym pomysłem, mimo że wniosek ten sformułował jego wróg, Leśkiewicz.

Piękny rządca zrobił się amarantowy jak fotelik.

—Bójcież się, panowie, Boga! — zawołał — nie narażajcie mnie wobec gospodarza! Przysięgam,..^s

—Ale na co jemu tyle pieniędzy?... — badał Leśkiewicz.

—Panie, czy pan tego nie rozumie?... Tu idą podatki, tu odnawiaj kamienicę...

—Kiedy? gdzie? — odezwały się głosy.

—A to gaz, a to wodociągi, a to znowu kanalizacja... Panie — ciągnął rządca — ile ta przeklęta kopanina

zjada nam pieniędzy... Dawnaż to historia, kiedy na Królewskiej burza (właśnie przez kanały) wyryła taką jamę, że przysięgam Bogu, można było wsypać w nią pół Warszawy...

— Oho!

— Pół ulicy Marszałkowskiej...

— No, no!...

— Więc niechby tylko pół Królewskiej, a i to straszny wydatek... miliony!... — prawil piękny rządca, aż mu błyszczały oczy.

— Zdaje mi się, że pan trochę kalospintechromokre- nizujesz — wtrącił Kwieciński.

— Jak to? — spytał rządca.

— No, trochę pan łesz — objaśnił Leśkiewicz.

Gość tak rzucił rękoma, że o mało nie upadł mu połyskujący kapelusz.

. — Ehe!... — zawołał wzburzony — panom chodzą po głowach figle, a ja mam przykrości...

— No, daj, już daj, Śledziu, sześć rubli — wtrącił Łukaszewski. — Gromada, a nie zgubiłeś tam klucza do swojej kasy?...

-- Zaraz!... zaraz!... — odparł Gromadzki tonem, w którym czuć było zgnębienie.

I stojąc pod oknem, jakby chodziło o mikroskopijne poszukiwania, szeroko otworzył sponiewieraną portmonetkę. Wydobył trzy ruble, potem rubla, znowu rubla⁴ i nareszcie zaczął z różnych skrytek wyciskać drobne, mrużąc:

— Sześćdziesiąt kopiejek, siedemdziesiąt kopiejek, siedemdziesiąt pięć kopiejek, jest cały rubel!... — zakończył głosem, w którym było więcej melancholii niż triumfu.

Zebrać wszystkie bankocetle w jedną wiązkę, wymienić drobne na rubla i doręczyć rządce — była to czynność, której wykonania podjął się Łukaszewski.

Spełnił ją szybko i dokładnie, chociaż 'bez zwykłej mu zamaszystości; może dlatego, że moralny nastrój kolegów był w tej chwili dziwnie uroczysty.

— No, zdaje się, że jesteś pan zadowolony — rzekł Kwieciński.

Ach, panie! — westchnął rządcą, z pośpiechem chowając pieniądze. — Kiedy po komorne idę do panów, to zupełnie jakbym miał ząb rwać... Moje uszanowanie... A o paszport tego chłopczyka będę prosił dziś...

I pędem wybiegł za drzwi, a potem ze schodów, aż zadudniło.

— Myśle — rzekł Leśkiewicz wskazując głową na Walka — że ten młody uczony nieprędko będzie miał garnitur, nawet z Pocijowa.

— Może byśmy poszli co zjeść? — wtrącił Łukaszewski. — W pół do pierwszej... nic w ustach nie mieliśmy... Czyś i ty głodny?... — spytał Walka.

— Głodny, panie — odpowiedział Wałek.

— Roztropne chłopię i śmiałe. — zauważył Kwieciński.

— A nade wszystko obdarte — mruknął Leśkiewicz, brzydko patrząc na chłopca, który swoją drogą już zaczął mu się podobać.

— No, Śledziu, ubieraj się... Gromada, idziesz z nami? — mówił Łukaszewski.

— Mam dziś prywatny obiad — odparł z nienaturalnym ożywieniem Gromadzki i znowu zabrał się do pisania.

Tymczasem Leśkiewicz zdjął marynarkę, potrzymał ją przez chwilę za kołnierz i nagle rzekł do chłopca:

— Włóż no to... Nie tak, ośle, nie w ten rękaw... O tak... Phi, jak ta bestia wygląda!... Gdyby nie oberwane nogawice, można by go wziąć za hrabiątko...

Ubrany, niby w worek, w marynarkę Leśkiewicza,

chłopak z dumą spoglądał na jej długie rękawy i mocno odstający przód.

— Portki jak morowe powietrze — wtrącił zamyślony Łukaszewski.

—• Czekaście no!... — wykrzyknął Kwieciński. Z łoskotem otworzył szafę, zniknął w niej i po chwili wydobył stamtąd popielaty strój, który stanowi chlubę rodu męskiego, a przedmiot nigdy nie gasnącej zazdrości kobiet.

— Próbuj... przymierz!... -r nalegał na chłopca, którego piegowata twarz zajaśniała uśmiechem.

Mierzenie spodni z dużego mężczyzny przez małego mężczyznę zwróciło uwagę wszystkich panów. Nawet Gromadzki wstał od przepisywania i z miną człowieka, który głębiej zna kwestię, zaczął robić spostrzeżenia odznaczające się trafnością.

— Za długie — mówił — na ćwierć łokcia... o!... Za szerokie na dłoń...

— To musi zobaczyć krawiec — wtrącił Łukaszewski.

i _ Ji| Po co krawiec?... — oburzył się Gromadzki. — Nogawice trzeba uciąć o tyle... o!... Z tyłu wyciąć klin, o taki!... o!... Paski przesunąć, jeden tu, drugi tu... i wszędzie zeszywać podwójną nitką. Bo to przecie młody chłopak; żelazo by na nim pękło, a nie dopiero pojedyncza nitka... Ale Barbara może to zrobi bez krawca.

— Barbara!... —■ wrzasnął Kwieciński chwytając dzwonek i biegnąc do okna. — Babaria!...

— Mama poszła na miasto — odpowiedział za oknem cienki głosik jak ze studni.

— Słuchaj, Gromada, długo tu jeszcze zostaniesz? — spytał Łukaszewski.

— Do trzeciej... Proszony obiad mam o trzeciej... w prywatnym domu.

—Będzie używał — rzekł Kwieciński.

—Jak na kartoflisku — mruknął Leśkiewicz.

—Więc zrobimy tak — mówił Łukaszewski — ja ci, Gromada, zostawię czterdzieści groszy, a ty zawołaj babę, daj jej to tymczasem i opowiedz, co ma zrobić ze spodniami. Możesz także wspomnieć o tej podwójnej nitce, bo to dobra myśl; a ile nade wszystko daj niewolnicy w zęby, ażeby wzięła się zaraz. Pewnie dziś pojedziemy z chłopcem do teatru, więc musi być spre-

. parowany jak na ostateczny egzamin. Masz tu spodnie, masz czterdziesto wkę, a "morduj babę, ażeby skończyła przed wieczorem

—Za pozwoleniem!.. — rzekł pochmurny Leśkiewicz.

Spostrzegłszy, że czterdziestówka jest nowa, zabrał ją ze stołu, a położył czterdziestówkę z dziurką. — Na zadatek i taka wystarczy — - dodał.

—A teraz w drogę — rzekł Łukaszewski widząc, że dwaj koledzy już stoją w czapkach. — Wiesz, gdzie idziemy? — spytał chłopca. — Na obiad do restauracji... Bądź zdrow, Gromada; a jak ci dadzą co dobrego, myśl o nas jedząc. ' v:

I wyszli, a między nimi chłopak, w którego niekulturalnym umyśle wyraz „restauracja” przemienił się w „resztancję” i wywołał wspomnienie gminnego aresztu, gdzie dorośli za karę odsiadali po kilka dni, a małoletnich wójt załatwiał w ciągu kilkunastu minut, ale także przy drzwiach zamkniętych.

Na dziedzińcu gromadka studentów zetknęła się z posłańcem, który przypatrzwszy się im wydobył z torby list i podał go Łukaszewskiemu mówiąc:

—Pan Kwieciński...

Łukaszewski w pierwszej chwili doznał -pełnego słodczy zakłopotania, jakby go oblano ciepłą wodą. Lecz gdy usłyszał nazwisko kolegi, a tym bardziej gdy na

kopercie przeczytał jego adres, zrobił minę kwaśną i niedbale oddając list właścicielowi rzekł:

— To do ciebie, Niezapominajko...

Kwieciński zdawał się być przerażony. Szeroko otwartymi oczyma przebiegł list, zmiął go i mruknął:

— A bodaj te baby choro...

— ? Cóż to?.. Teklunia?..- -r^v spytał Leśkiewicz nie mogąc powstrzymać się od mimowolnego mrugania powiekami[^]

— Walerka! — mruknął Kwieciński,

— Słyszałeś?..;[^] się Łukaszewski patrząc na Leśkiewicza. Takie ma szczęście i jeszcze zły...

— Już za dużo!..; — odparł Kwieciński rozpaczliwie machając ręką.

Leśkiewicz potarł sobie bok, a idący z nimi chłopak zdawał się być pełnym roztargnienia; nie wiedział bowiem, na co patrzeć — czy na rojną i huczną ulicę, czy na piękną marynarkę, która zastępowała mu palto.

vr

Gromadzki został w mieszkaniu sam, jak Mariusz na gruzach Kartaginy. Po prawej ręce miał amarantowy fotelik, z którego zwieszały się niedbale rzucone popielate spodnie; po lewej stół, na nim dziurawą czterdzie- stówkę, której blask napełniał cały pokój. Nieco dalej, na lewo, widział niedokończony rękopis, za który choćby gó nawet skończył, dopiero jutro może odebrać pieniądze; zaś naprzeciw, za oknem, wznosiła się ta sama ściana oficyny, na której tak jeszcze niedawno czytał oczyma duszy długi spis potraw tanich, tłustych, pożywnych, a nade wszystko gorących, bardzo gorących. Już nie tylko z każdej potrawy, ale nawet z każdej nazwy dymiło się i pachniało świeżymi kartoflami, słoniną i przy warzoną cebulką.

■ Włożył obie ręce w kieszenie i wybuchnął demonicznym śmiechem: — A... cha! cha!... " ^

„Proszony obiad — myślał — na którym, jeżeli dadzą mi co dobrego, mam pamiętać o nich... A... cha! cha!...

Wczoraj może zjadłem ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sto tłuszczu i ze czterysta wodorów węgla... Ale dziś... trochę cukru w herbacie i może z pięćdziesiąt gramów chleba, co znaczy: ze cztery gramy białka, jeden tłuszczu i przeszło dwadzieścia wodorów węgla... No, jak Boga kocham, że przy takim odżywianiu się nawet porządnie z głodu umrzeć nie można..."

Kilka razy przeszedł się po mieszkaniu i znowu myślał:

„A, podły rządca!... Dlaczego on nie przyszedł jutro, po obiedzie?... Miałbym za przepisywanie i oddałbym za komorne śpiewając... Dziś zjadłbym porcję kiełbasy z kapustą i kotlet wieprzowy z kartoflami, a ile chleba!... Przysięgam na Boga, że zebrałoby się ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sześćdziesiąt tłuszczu, no... a węglowodanów.., ile wlezie... A teraz co?... Mam ze sześć kawałków cukru... więc gdzie tu białko, gdzie tłuszcz?... Bodaj tych rządców i gospodarzy Cholera, wścieklizna, nosacizna!...

I to tak będzie do końca --mówił sobie chodząc. — Co miesiąc komorne, co pół roku wpis... Korepetycyj nie ma, cudów także nie ma... Ucz się, zdawaj egzami- na.., Gdyby Leśkiewicz dał mi tę korepetycję, bah!... Ale on by mnie utopił w łyżce wody... Jak tylko odbiorę pieniądze za przepisywanie, pójdę do lecznicy i zważę się, a za dwa tygodnie drugi raz... Jeżeli mi wagi ubędzie, niech wszystko diabli wezmą... Przecie jeszcze znajdę postronek../'

Spojrzenie jego padło na przedziurawioną czterdzie- stówkę, która w tej chwili jaśniała jak słońce. Stał obok stołu, patrzył na monetę i myślała

„Gdybym kupił ze dwa funty chleba* a za resztę choćby kiszki i salcesonu, miałbym prawie tyle, ile potrzeba 'białka, węglowodanów i tłuszczu... Przy tym gorąca herbata... W nocy dokończyłbym przepisywania... później do prosektorium i do kliniki... Tak, za czterdzieści groszy można kapitalnie utrzymać równowagę organiczną...”

Nagle błysnęły mu oczy i rumieniec uderzył na twarz. W całej postawie było widać determinację.

„Ja poprawię spodnie temu, temu za... smarkaczowi!...— wykrzyknął. — A jutro zwrócę im czterdzieści.. kopiejek i powiem: nie miałem ani grosza, więc skróciłem portki i wziąłem czterdziestówkę. A dziś macie ją z procentem. Nie będę się przecież wyczerpywał, bo jeszcze się przydam.”

Niezbyt prędkim, ale stanowczym krokiem poszedł do swego kufra, wydobył szpulkę czarnych nici tudzież igłę podobną do lancy... Potem naostrzył scyzoryk na marmurku. Następnie wróciwszy do pierwszego pokoju rzucił na stół popielate spodnie, rozciągnął, odmierzył... Zamknął drzwi od sieni, wyszukał cienką, ale mocno oprawną książkę, przyłożył ją do nogawicy jak linie, i chlast... chlast scyzorykiem. Za pierwszym razem na korcie zrobiła się kreska, za drugim wgłębienie, za piątym i szóstym kawałek nogawicy odpadł. To samo z drugą: odmierzył, położył książkę i ostrym scyzorykiem chlast!.., chlast!... Znowu kawałek nogawicy odleciał; spodnie były skrócone.

Teraz Gromadzki nawlókł swoją kolosalną igłę, związał nitkę we dwoje, cofnął się w głąb pokoju, ażeby go nie widzieli sąsiedzi z przeciwka, i zaczął zakładać i zeszywać skrócone nogawice. Robił to tak szybko

i dokładnie, że sam profesor Kosiński musiałby go uznać za znakomitego chirurga. Szył i myślał: A ?

„Dwa funty chleba... salceson i kiszka podgardiana... Akurat będzie ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sześćdziesiąt gramów tłuszczu i ze czterysta wodorów węgla. A jutro oddaję czterdzieści kopiejek i idę do Wróbla na obiad z kawą i z piwem... Kufel piwa, nie... dwa kufle!... tfo mi się przecież należy...”

W godzinę skończył obszywanie nogawic. Następnie odpruł ściągacze, znowu za pomocą książki i scyzoryka wyciął Min w pasie i znowu szył z prędkością kurierskiego pociągu, a dokładnością maszyny rachunkowej. Żaden Nelaton, żaden Ambroży Pare, ojciec nowożytnej chirurgii, nie wykonał tak szczęśliwej operacji.

Wtem, kiedy już przyszywał drugi ściągacz, zapuka- j I no do drzwi. W Gromadzki krew zastygła. Machinalnie wpiął igłę w mundur, popielate spodnie rzucił na łóżko Kwiecińskiego i blady jak kreda wybiegł do przedpokoju. Dobijała się stróżowa.

— Czego chcecie? — niecierpliwie zapytał Gromadzki.

€ Panowie kazali mi tu przyjść... Może samowar nastawić?

— Nie potrzeba.

— To może zamieść, bo teraz mam czas...

— Niedługo wyjdę, to zamieciecie.

— A może co zeszyć? — spytała złośliwie stróżowa, patrząc na igłę wpiętą w mundur Gromadzkiego.

Zawsze ją to bowiem gniewało, że taki pan, taki uczonec, sam sobie wszystko naprawia, zamiast dać za- i robek uczciwej kobiecie obciążonej mężem i dziećmi.

— Dziękuję wam!... — odparł i zatrzasnął drzwi pod nosem troskliwej baby.

|

Odeszła mruczając jak niedźwiedzica, której zaniepokojono małe. Gromadzki wrócił do swej roboty, wziął się do niej z podwójną pilnością, ale w duszy jego zbudził się niepokój.

„Co tu robić?... — myślał. — Baba zaraz powie, że nie skracala spodni, a co ja im odpowiem, jeżeli zapytają o czterdziestówkę?... Kwieciński i Łukaszewski nie szykanowaliby mnie, ale Leśkiewicz?... Jutro zaraz przed całym uniwersytetem rozgada, że za czterdzieści groszy szyję cudze portki, jak świnia!...”

Skończył szyć, obejrzał swoje dzieło i znalazł je pięknym. Ale choć żołądek wielkim głosem upominał się o białko, tłuszcz i węglowodany, leżąca na stole dziurawa czterdziestówka wydała mu się jakoś ciemniejszą i nawet brudniejszą.

Powiesił odnowione spodnie na drzwiach, zapalił papierosa i zaczął chodzić po mieszkaniu.

„Czterdziestówkę myślał — zarobiłem, jak amen w pacierzu... Wziąć ją czy nie brać?... Wczoraj także kiepsko jadłem, na jutro do wieczora nie mam nic... organizm wypala się... suchoty... Ale jutro wszyscy krzykną, że świnia... Każdy wreszcie coś dał temu chłopcu: Niezapominajka spodnie, Siedź marynarkę, a o mnie powiedzą, że chytro i że wyzyskuję takiego biedaka...”

Po wypaleniu papierosa głód jakoś uspokoił się. Gromadzki zjadł jeden kawałek cukru, drugi... Następnie zaszedł do kuchenki, gdzie leżał węzełek chłopca i rozwiązał go. Były tam dwie koszule perkaiove, już brudne, majtki zgrzebne, także brudne, i dwie pary nowych skarpetek (dar panny Marii Ciechońskiej).

Gromadzki obejrzał ubogą bieliznę chłopca, biorąc każdą sztukę w dwa palce i wystawiając pod światło. I nagle serce ścisnęło mu się gwałtowniej aniżeli pusty żołądek na myśl, że on nic nie dał takiemu biedakowi

jak ten oto Waiek. Wszyscy dali, nawet Leśkiewicz,
- a on nie tylko nie dał nic, ale jeszcze chciał zjeść obiad
na koszt nędzarza, który nie ma czystej koszuli.

— Podlec jestem!..*;.^: mruknął.

Zbliżył się do otwartego okna i zaczął wołać: Barbara!... tu... tu.'..,

— Mamo, pan woła — odezwał się cienki głosik na podwórzu.

Gromadzki zapalił drugiego papierosa, włożył czapkę na bakier i
czekał. Po niemałej chwili zapukała do drzwi stróżowa.

— Czego?... — zapytała pochmurnie.

— — Macie tu — rzekł Gromadzki wskazując na stół — czterdzieści
groszy... A tu — dodał — jest brudna bielizna tego chłopca...

Trzeba ją wyprać na wtorek.

Ponure oblicze baby rozjaśniło się. ~ — Pan wychodzi? — rzekła —
może samowar nastawić?

— Nie potrzeba — odparł. — Idę na obiad proszony. I wyszedł z
głową niezmiernie zadartą, trzymając
ręce w kieszeniach, w których nie było ani grosza.

Po kilkuminutowej podróży panowie Kwieciński, Leśkiewicz i
Łukaszewski tudzież ich protegowany Walek znaleźli się na
podwórzu restauracji „Ch&teau de fleurs”, nazwanej tak z powodu
kilku suchotniczych kasztanków i bardzo rozmaitych a mocnych
zapachów, które wydobywały się z kuchni, zalewały podwórko, a
niekiedy i ulicę.

Ażeby zasłonić przed oczyma ciekawych niedokładności garnituru
Walka, młod?aeńcy wybrali najbardziej odległy i samotny stolik,
zapakowali chłopca w ką

i usiedli w taki sposób, że prawie nie było go widać. Gdy zaś przez dłuższą chwilą nikt się do nich nie zgłaszał, pochmurny Leśkiewicz zawołał:

— Panienko!... cóż, u diabła! czy myślicie, że dziady do was przyszły?

Na to uprzejme wezwanie przybiegło do nich dosyć pełnoletnie dziewczę w różowej sukni, z figlarnym uśmiechem, którego wdzięk nieco osłabiał garnitur spróchniałych zębów.

- Dzień dobry!... moje uszanowanie!... Ach, i pan Łukaszewski przyjechał?... — mówiło dziewczę wciąż chichocząc. — Myślałam, że panowie siadają, jak zwykle, u Elżbietki.. Ale widać straciła już łaski...

Leśkiewicz patrzył na nią spod oka i zmiarkowawszy, że wobec ogółu zalet dziewczicy można nie myśleć o jej zębach, wziął ją za rękę. Dziewczę nie broniło się, tylko dla kompensaty oparło drugą rękę na ramieniu Łukaszewskiego, a biustem dotknęło głowy Kwiecińskiego, który zawsze miał najwięcej szczęścia do kobiet.

— A to co za indywiduum? — spytała panienska wskazując brodą w kierunku Walka.

— Nasz syn |1| odparł Leśkiewicz i tkliwie uścisnął ją bliżej łokcia.

— Chi... chi... chi!... nigdy nie uwierzę, ażeby pan Kwieciński miał tak brzydkiego syna.

Chwilowe ożywienie Leśkiewicza zgasło jak zdmuchnięta świeca. Odepchnął rękę niewdzięczniej, spochmurniał jeszcze bardziej i zaczął z cicha gwizdać, jakby drwił z Kwiecińskiego, że ma powodzenie u kobiet ze spróchniałymi szczękami.

Ale Kwieciński, zwany także Niezapominajką, okazał się obojętnym na wyróżnienie go spośród kolegów. Poruszył się tak niecierpliwie; że dziewczę w różowej sukni musiało się cofnąć, i rzekł twardym głosem:

—Co jest na obiad?

— Ja panom poradzę, co mają wybrać: barszcz z uszkami... - . .

— Barszcz -podparł Łukaszewski. — I dla małego barszcz.

— Barszcz — powtórzył Kwieciński. . Rosół — rzekł gniewnie Leśkiewicz nie patrząc na tę, która Kwiecińskiemu dała pierwszeństwo.

— Sztuka mięsa i ozór na szaro — ciągnęła dalej panienką.

— Sztuka mięsa — odpowiedziano chórem, Łukaszewski zaś dodał:

— A dla małego i sztukę mięsa, i ozór. Tylko dużo sosu, niech użyje...

W ten sposób zadysponowano cały obiad, a gdy panienka odbiegła rzuciwszy Kwiecińskiemu melancholijne spojrzenie, niewdzięcznik ten szepnął:

—To szturmak!...

—Znać, że się zaręczył -- westchnął Łukaszewski.

— I że oprócz tego ma jeszcze na karku Teklunię i Walerkę — wtrącił Leśkiewicz.

— Bój się Boga, jeszcze nie zerwałeś i Teklunią? — zapytał Łukaszewski.

— Bah! podparł smutnie Kwieciński. — Zerwałem, ale muszę widywać się z nią, ażeby się uspokoiła. Mówi, że sobie życie odbierze, więc...

—A cóż to znowu za Walerka?

if| Z magazynu — rzekł Kwieciński zwieszając głowę. §|| Spotkałem ją na Nowym Świecie, upuściła parasolkę... podniosłem... Zaczęliśmy rozmawiać... Potem zapytałem jej, w najniewinniejszej myśli: czy samą mieszka? Odpowiedziała, że z przyjaciółką, która często wychodzi z domu... Cholera!... — zakończył Kwieciński uderzając ręką w stół. Dziewczę w różowej sukience przyniosło trzy bar-

szcze i jeden rosół, potem rozmaite gatunki mięsa i le- gumin, potem mnóstwo kawy i piwa. Wałek przeżegnał się zjadł barszcz jako tako, ale rozsypał sól i ochlapał się sosem. Opiekunowie jego bardzo prędko spostrzegli, że chłopiec nie umie posługiwać się nożem ani widelcem, skutkiem czego Leśkiewicz musiał mu pokrajać mięso i uczyć go władania widelcem.

W ciągu tych kłopotliwych zajęć Łukaszewski zrobił uwagę:

— Pięknie się tu prowadzicie!... Kwieciński, zaręczony na wsi, ma dwa ananasy w Warszawie, a i ty, Śledziu, musisz się zdrowo łajdaczyć?...

— Ja?... — odparł Leśkiewicz wysoko wznosząc ramiona.

— Nigdy nie byłeś zbyt przyjemnym towarzyszem — ciągnął Łukaszewski — ale dziś wyglądasz jak zbój.

-r- Bo mam moralne udręczenia.

— Martwi się tym, że wkrótce upadnie cywilizacja europejska — wtrącił Kwieciński.

Podano kawę czarną (Wałkowi także), potem piwo (Wałkowi też). Leśkiewicz oparł łokieć na stole, a głowę na rękę i rzekł:

— Posłuchajcie mnie. Jeżeli chcecie, abym z wami mieszkał, to dajcie Łukaszowi i mnie pierwszy pokój, a Kwieciński z Gromadzkim niech zajmą drugi. Ja z tym podłym Gromadą nie chcę nocować!...

.— Oszalałeś!... — zdziwił się Kwieciński. — Przecie mieszkałeś z nim cały rok...

I przez ten czas poznałem, jakie to ziółko: sknera, egoista... Brudny egoista!... — mówił rozsiewany Leśkiewicz.

— Mój Śledziu — rzekł uroczyście Kwieciński. — Wolno ci nie dać Gromadzie korepetycji, choć ja bym tego nie zrobił. Ale aż tak szykanować człowieka...

— Co to za korepetycja? — zapytał Łukaszewski.

— Ma u krewnych lekcję za piętnaście rubli, powiedział to przy Gromadzkim, i nie chce jej dać. Świnie tak robią!... — mówił zirytowany Kwieciński.

Walek, nieco -blady, wstał nagle od stołu i zaczął wałęsać się po ogródku.

— O cóżeś się tak zajął na Gromadę? — spytał Leśkiewicza Łukaszewski. — Że cię nazwał śledziennikiem?... Miał rację, bo nim jesteś.

— Nie o to! — krzyknął Leśkiewicz uderzając pięścią w stół. — Ale brzydzą się podłymi egoistami i duszycami i nie pozwolę, ażeby dziecko moich krewnych miało podobnego nauczyciela... Brr!...

— Gdzie zaś Gromadzki egoista?... To biedak spod ciemnej gwiazdy! — odparł Łukaszewski.

— Zaraz ci powiem — mówił Leśkiewicz oglądając się. — Dobrze, że chłopak poszedł sobie. O, weź chociażby ten wypadek... Popiel chłopca uczył, ty go przywiozłeś, każdy coś mu dał... A Gromadzki co?... Nie dał mu nawet starych szelek, nie poszedł z nami na obiad, ażeby nie złożyć się na wykarmienie dzieciaka... Zresztą... co tu dużo gadać? Kiedy Niezapominajka dał Wałkowi swoje spodnie, Gromadzki powinien był dać pieniądze na przypasowanie ich. Tymczasem ty dałeś czterdziestówkę, a on z całą bezczelnością podjął się pośrednictwa u stróżowej... To tak -robi człowiek mający ambicję?...

— Może jest goły — wtrącił Łukaszewski.

— Goły? Na mieszkanie zaraz wyłożył sześć rubli, a za przepisywanie zapłaca mu jutro kilka rubli. Cha! Cha!... — zaśmiał się Leśkiewicz. — Gromadzki to takie bydlę, iż nie dałbym grosza, że sam naprawi chłopcu spodnie, a czterdziestówkę schowa... Barbara jej nie zobaczy...

— To ty jesteś bydlę, Śledziu — odparł oburzony Kwieciński. — Gromada jest ,taki poczciwy, że nawet

tobie ^reperowałyby portki, gdybyś nie miał na krawca, I ale pieniędzy nie wzięłyby... Ja go przecież znam...

— Patrz no...

W tej chwili nadzwyczajne zjawisko przerwało dalszy spór kolegów. Walek skrył się za śmietnik i dostał wymiotów. Opiekunowie chłopca, panienki, nawet kuchcik przybiegli cierpiącemu na ratunek. Podano mu wody...

— Barszcz, ozór, dwie leguminy, piwo... wszystko diabli wzięli!...

— mrucał Leśkiewicz. — Widocznie musi mieć katar żołądka, biedny chłopiec.

I w sercu zbudziła mu się jeszcze większa sympatia dla Walka.

— Głupstwo się stało — rzekł strapiony Łukaszewski. —

Oczywiście chłopak przywykł do prostego jadła, a daliśmy mu frykasy...

— Żeby tak samo nie stało się z jego edukacją!... — szepnął wylękniony Kwieciński.

Powoli chłopak uspokoił się, odzyskał rumieńce, odpoczął. Następnie trzech opiekunowie otoczyli go kołem i wśród śmiechu jednych, a ubolewania innych gości wyprowadzili na ulicę.

Kwieciński zawołał dorożkę i rzekł do kolegów: ' — Odwieźcie malca do domu, a ja muszę pójść...

— Do Walerki — wtrącił Leśkiewicz podsadzając do powoziku chłopca.

Kwieciński pogardliwie spojrział na Śledzia, lecz gdy dorożka ruszyła, zatrzymał ją i szepnął do Łukaszewskiego:

— Gdyby was napadła w domu Tekla, powiedzcie, że chory i że poszedłem do doktora... Tak będzie najlepiej!...

— Już my się nią zajmiemy — rzekł szyderczo Leśkiewicz.

Szybko i bez przygody zajechali do domu. Łukaszew-

ski chciał Walka wziąć pod rękę, ale chory wpadł na schody jak zajac i już wyglądał z drugiego piętra, nim opiekunowie dostali się na pierwsze. Mimo to Łukaszewski kazał chłopcu rozebrać się, położył go na swoim łóżku, starannie opukał i wysłuchał ze wszystkich stron, co nawet obudziło zazdrość w Leśkiewiczu, który od dawna nie był opukiwany.

W rezultacie Łukaszewski uspokoiwszy się, że chłopcu nic nie będzie, zawołał stróżową i kazał jej nastawić samowar. Jednocześnie Leśkiewicz spostrzegł wiszące spodnie, już naprawione, i... pilnie je obejrzał.

— A poseszywaliście tak, jak wam pokazał pan Gromadzki? — odezwał się Łukaszewski do Barbary.

— Co poseszywałam? te majtasy?... — zapytała zdziwiona stróżka. — To przecie nie ja... Pan Gromadzki coś majstrował igłą, może on zeszył... — dodała tonem, w którym czuć było ironię i niechęć.

— Nie mówiłem!... — pośpiesznie wtrącił Leśkiewicz patrząc triumfalnym wzrokiem na Łukaszewskiego. — Ciekawym tylko, gdzie czterdziestówka?... — dodał złośliwie.

— Czterdziestówkę — odezwała się Barbara — dał mi pan Gromadzki, żeby wyprać bieliznę chłopcu. Ale jej pewnie nikt nie weźmie, bo dziurawa...

I wydobyła z kieszeni pieniądze, ten sam, który Leśkiewicz idąc na obiad własną ręką położył na stole.

Leśkiewicz zobaczywszy to zmieszał się naprawdę. Szeroko otworzył oczy i usta, z których znikł wyraz sarkazmu, i prawie wylękniony patrzył na czterdziestówkę.

— Przynieście cytrynę — rzekł Łukaszewski do stróżowej, a gdy wyszła, odezwał się do zakłopotanego kolegi:

— No, a co teraz?...

I z wyrzutem patrzył mu w oczy.

— Ale po co on to zrobił? — pytał Leśkiewicz usiłując odzyskać dobrą minę.

— Po to, że chciał coś ofiarować chłopcu, a że jest goły jak bizun, więc poprawił mu spodnie i kazał wyprać bieliznę — odparł Łukaszewską. — Czy już tak skamieniał ci mózg, Śledziu, że nawet tego nie rozumiesz?... Dusigrosz!... egoista!... — mówił śmiejąc się. — A ja ci powiadam, że Gromada ma więcej szlachetności nie tylko od ciebie, ale od nas wszystkich.. To człowiek...

Leśkiewicz głęboko zamyślił się. Chodził po pokoju, gryzł wargi, wyglądał oknem. Wreszcie zabrał czapkę, i wyszedł nie pożegnawszy się nawet z Łukaszewskim.

Był głęboko dotknięty i coś zaczęło w nim fermentować; ale czy na złe, czy na dobre, Łukaszewski nie mógł odgadnąć.

„Może Śledź wyprowadza, się od nas?...” — pomyślał.

Kiedy Leśkiewicz wrócił do domu, było już dobrze po północy.

W kuchni na sienniku spał zwinięty w kłębek i przykryty pledem Wałek. Leśkiewicz zapalił zapałkę i obejrzał chłopca: dzieciak był rumiany, miał głowę chłodną i bynajmniej nie wyglądał na chorago.

— No, przecie... — mruknął Sledi.

Wszedł do pierwszego pokoju i znowu zapalił zapałkę. Tu, na żelaznym łóżku, w nadzwyczajnej pozie, rozciągnął się Łukaszewski: był do połowy zawinięty w kołdrę, nogi wytknął za łóżko, rękę oparł na ścianie, głowę 'na materacu, poduszka zaś wysunęła mu się wysoko, na poręcz.

Na drzwiach, jak podwójny wyrzut sumienia, wisiały popielate spodnie, które poprawił Gromadzki. Leśkie-

wicz westchnął na ten widok i zbliżywszy się do Łukaszewskiego próbował go obudzić.

— Łukaszu! Łukaszu!... — rzekł pieszczotliwym tonem.

— Pójdiesz wpn!... — mruknął zaspany Łukasz. „Naturalnie — myślał Śledziennik — pogardza mną...

Jutro nikt mi ręki nie poda, a Gromadzki naplwa mi w oczy... Tak posadzać niewinnego człowieka!... O, jakże jestem podły!..."

W drugim pokoju świeciła przykręcona lampa naftowa. Leśkiewicz podniósł, płomień, Kwiecińskiego jeszcze nie było. Na stoliku leżał rękopis, przepisywany przez Gromadzkiego, a on sam także spał na żółtym drewnianym łóżku, kupionym na Pocijewie za osiem złotych. Leśkiewicz stanął nad śpiącym, który musiał mieć jakieś niespokojne marzenia, bo zrzucił z siebie kołdrę. Gromadzki miał chudą twarz, spieczone usta i brzuch okropnie zakłęśły, jakby pusty od wielu dni. Na widok starej kołdry, podartej koszuli, a nade wszystko na widok tak pustego, tak wygłodzonego żołądka Leśkiewiczowi ścisnęło się serce. Sam nie wiedząc, co robi i co mówi, targnął Gromadzkiego za rękę.

— Czego? — mruknął nieprzytomny.

— Gromada — rzekł Leśkiewicz — jadłeś ty obiad?

— Kiedy?... — zapytał śpiący, nagle siadając na łóżku.

— Kiedy!... on pyta się, kiedy jadł obiad!... — powtórzył Leśkiewicz, zwany także Śledziennikiem.

A gdy rozbudzony kolega patrzył na niego dziwnym wzrokiem, rzekł:

— Poczciwy jesteś. Gromada, żeś oddał do prania bieliznę chłopca.

— No, więc i cóż?... — odparł Gromadzki już odzyskując zmysły.

— Po to mnie budzisz? — dodał.

— Widzisz... widzisz... — mówił całkiem zmieszany Leśkiewicz i dobrze nie wiedząc, co mówi — widzisz... tego... Może byś mnie opukał—

I to powiedziawszy zawstydził się własnej głupoty.

— Chory jesteś? — zapytał Gromadzki spuszczać nogi z łóżka.

— Tak... chory... struli nas obiadem...

— No, to rozbierz się i kładź się — odparł Gromadzki owijając się w swoją starą kołdrę i kładąc na gołe nogi nieepsze od niej kalosze.

„Jaki to poczciwy chłopak! — myślał Leśkiewicz — a ja go tak krzywdziłem...”

W parę minut rozebrał się do bielizny i był na swoim łóżku.

Gromadzki usiadł przy nim i zaczął badanie.

— Wiesz, Gromada, byłem dla ciebie niesprawiedliwy...

— W jamie brzusznej nie ma nic osobliwego...

— Myślałem, żeś ty dusigrosz i egoista...

— Wątroba normalna... śledziona także...

— Ale dziś przekonałem się, żeś ty szlachetny chłopa*,
Gromada...

— Cóż ci dolega? — pytał Gromadzki.

— Tak jakoś, o... tak... niedobrze mi w ogóle.;

— Wrażenia subiektywne.

— Ale może to zapowiedź ciężkiej choroby?... — pytał Leśkiewicz.

— No, to pokaż język... Nic osobliwego... Puls... Bój się Boga, ty masz nawet puls normalny, więc czego chcesz?...

Leśkiewicz nagle podniósł się i schwycił Gromadzkiego za rękę
rzekł:

— Gniewasz się na mnie, że tak podłe postępowałem z tobą?...

— Dajże spokój!... cóżeś ty mi zrobił?..

— Mówiłem, żeś egoista i dusigrosz...

— Ba, żebym choć miał co dusić... — szepnął Gromadzki.

— Będiesz miał!... — zawołał Leśkiewicz. —■ Jutro dam ci tę korepetycję i jeszcze postaram się o drugą... Będiesz miał ze dwadzieścia pięć rubli!...

— Co w ciebie wstąpiło? — dziwił się Gromadzki.

— Dziś poznałem, że jestem niesprawiedliwy osieł... a ty, biedny hołyszku, nie masz co jeść!... Nie gniewasz się na mnie? — mówił bardzo wzruszony Leśkiewicz.

W tej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi kuchni i wpadł Kwieciński.

— Powariowaliście! — krzyknął zobaczywszy Leśkiewicza i Gromadzkiego w objęciach, obu prawie do naga rozebranych. Z Gromadzkiego bowiem spadła kołdra, a opukiwany przed chwilą Leśkiewicz również nie odznaczał się obfitym strojem.

— Pogodziliśmy się z Gromadą — rzekł Leśkiewicz.

—r Ja bo nawet nie gniewałem się na ciebie — odpowiedział Gromadzki.

. — Jeżeli tak, więc musisz ode mnie pożyczyć trzy ruble — zakonkludował Leśkiewicz. — Niepodobieństwo, ażeby człowiek nie jadał obiadów.

— Wprawiłem się — szepnął Gromadzki.

— Bodaj was diabli porwali, łajdaki!... — krzyknął z pierwszego pokoju Łukasz.

— Nie przeszkadzaj, bo oni się godzą — rzekł Kwieciński.

— To niech idą godzić się na podwórze, a nie tu, gdzie budzą ludzi... Ty skąd wracasz? — spytał Łukaszewski Kwiecińskiego.

— Od Teki u ni.

— Więc u Walerki już nie byłeś?

— Owszem — cicho odparł Kwieciński.

PRZEMIANY

Idąc drogą, która bez żadnej wątpliwości prowadziła JL do jakiegoś bawiącego się towarzystwa, Trawiński odczuł w sobie nadzwyczajną przemianę. Zmęczenie znikło, trwoga,.. Alboż on się trwożył?... Bezładna bieranina po lesie... Alboż on w rzeczy samej tak biegał?... wreszcie po co?... z jakiego powodu?... Tamte obawy, niepewności, nawet rozpacz wydały mu się przywidzeniami wobec uczuć, jakich doznawał teraz. Kto to się bawi? Oczywiście jakieś młode towarzystwo, ponieważ słychać przeważnie tenory i wysokie soprany. Jeżeli to wujostwo i ich sąsiedzi, bardzo dobrze; lecz jeżeli ktoś zupełnie obcy, w takim razie, co czynić? Czy przedstawić się i prosić o wskazanie drogi do domu, czy iść dalej, aż do najbliższej wsi lub chaty?

Wtem... Józef osłupiał ze zdziwienia: ku niemu pędził 'Neruş w towarzystwie czarnego pudła. Oczywiście Neruş znalazł swoich państwa i połączył się z nimi, a w takim razie już wszystko stało się jak najlepiej. Chłopak doznał niezapomnianych, nigdy nie przeczuwanych wrażeń w lesie; teraz dostanie podwieczorek, który bardzo mu się przyda po wzruszeniach, i — wróci końmi do domu, co także nie budziło w nim wstrętu.

Tak rozmyślając Trawiński dosięgnął rozległej polany otoczonej sosnami i drzewami liściastymi. Na krańcu widać było chatę, ogródek i kilka małych budynków gospodarskich; na środku polany stała grupa lip sta-

rych, dziwacznie powyginanych, a obok nich elegancki powóz i duża bryczka. Na prawo od ekwipażów płonął wielki ogień, przy nim krzątała się dama w sukni płóciennej, a towarzyszący jej mężczyzna, w słomkowym kapeluszu, pił herbatę. Ruchy mężczyzny wydały 3ię Trawińskiemu tak znajome, że nie mógł oczu oderwać, i dopiero po chwili spostrzegł inne osoby ugrupowane pod lipami.

Były tam przede wszystkim trzy panienki: jedna w sukni paśowej, bardzo ruchliwa, druga w białej, trzecia w blado niebieskiej. Obok panien kręciło się kilku młodych ludzi. Jeden miał na sobie żółtawy garnitur, jakby z surowego jedwabiu uszyty; drugi, tęgi i wysoki, z głosem basowym, miał czarne spodnie i żółtawą kurtkę, może także z jedwabiu; dwaj uzbrojeni w kije młodzieńcy nosili szare ubrania marynarkowe, a piąty, najniższy z nich i najniespokojniejszy, był od stóp do głów odziany biało.

Ponieważ Neruś ciągle skakał dokoła Trawińskiemu, co gniewało pudła, który niezadowolenie swoje wyrażał podszukiwaniem, więc towarzystwo zwróciło uwagę na nieznanego przybysza. Pan pijący herbatę przy ognisku wykonał jakieś ruchy tułowiem i rękoma, co rozbudziło jeszcze żywsze wspomnienia w Józefie, a od gromadki panienek oderwał się młody człowiek, ubrany biało, i szybkim, zręcznym krokiem zbliżył się do Józefa. Obaj młodzieńcy jednocześnie podnieśli ręce do kapeluszy, a przybysz w białym ubraniu rzekł:

— Nazywam się: Bywataki... O, moje nazwisko tak się pisze...

Wy dobył z bocznej kieszeni marynarki bilet z napisem: Justynian de Bywataki.

— Jestem Józef Trawiński... Zabłądziłem w lesie...

— Zabłądził pan?... A gdzież pan mieszka?...

— Stale w Warszawie, a od wczoraj w Kamieniu.

W Kamieniu?... U kogo tam?...

—U mego wuja Wodnickiego.

—Ach, to pan?... — zawołał jakby niechcący posiadacz biletów wizytowych z dziwnym nazwiskiem.

Trawińskiego uderzył ten wykrzyknik; nie miał jednak czasu zastanawiać się, ponieważ Byvataky rzekł:

—Musi się pan zapoznać z młodymi Turzyńskimi. Przedstawię pana... To pański pies, ten biały?

—Mego wuja.

—O mało nie dostał kulą. Kiedy strzelaliśmy do celu, pędził na nas jak wariat.- Całe szczęście, że Staś chciał go trafić, no i naturalnie spudłował.

Józef przypatrywał się mówiącemu. Był to młodzian lat około dwudziestu, biały, z wąskim nosem, wąskimi ustami, a- oczy i włosy miał czarne jak smoła. Z łatwością mógł przebierać się za kobietę; spojrzenie jego cechował smutek i łagodność. Trawińskiemu podobał się, może dlatego, że był pierwszym, którego Józef spotkał po awanturach leśnych.

—Las nadzwyczajna rzecz, nigdy go nie zapomnę! - - rzekł jakby do siebie Józef. — Może mi pan, z łaski swej, wyjaśni, kto są ci państwo, z którymi mam się zapoznać?

—Musisz się pan zapoznać, przecież, to ich las! Zresztą będziecie się widywali. Na pewno! — rzekł Byvataky. — Ten w ubraniu z czeczunczy to Staś Turzyński, wielki panicz. Panienska w białej sukni to jego siostra, Zofia, nie żadna piękność, nieśmiała, ale — bardzo dobre dziecko. Tamta w czerwonej sukni nazywa się panna Paulina Kłęska, bawi tu jako przyjaciółka Zosi i jest prześliczna! Tylko nie zakochaj się pan w niej — dodał, lekko rumieniąc się. — Ten dryblas w jedwabnym kitlu to Dymitr Permski, filolog, nauczyciel rosyjskiego przy Stasiu... Co pan się tak przypatrujesz?...

Istotnie Józef, z wyrazem niepewności i zachwytu patrzył w stronę ogniska, skąd zbliżał się do nich pan w słomianym kapeluszu. Przestał on pić herbatę, postawił filiżankę na ziemi i szedł krokiem uroczystym, kiwając głową ozdobioną długimi ciemnoblonde włosami. Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, widać było twarz pargaminowej barwy, małe wąsiki i przymrużone oczy poza binoklami w złotej oprawie. Wyglądał na dojrzałego młodzieńca.

Trawiński bladł i rumienił się. Nagle zawołał:

—• Ależ to pan Loski! — I pędem pobiegł naprzeciw idącego.

— Ty, Józiu?... Jużes tutaj?... Wprawdzie spodziewałem się... — mówił pan w binoklach.

Młody chłopak rzucił mu się na szyję i całując go po wiele razy, wykrzykiwał:

— Ależ to cud!... Teraz już wiem, dlaczego błądziłem w lesie. Ażeby pana spotkać... Ach, kochany panie Feliksie, jakież to szczęście, że pana znalazłem!...

— Bładziłeś i nie zgubiłeś się? rzekł Loski. — Ja, gdybym zabładził w lesie, z pewnością nie potrafiłbym wyplatać się sam. Cóż tu robisz?... Skądę się wziął?...

— Jestem na kondycji u wuja Wodnickiego. Ale pan co tu robi?...

— Skończyłem w tym roku, jak wiesz, wydział filologiczny i w dalszym ciągu belfruję u Turzyńskich. Nic lepszego nie mam do roboty, tylko belferkę. Nie byłem u was od Bożego Narodzenia, ponieważ odrabiałem egzaminy moje i Stasia... Jakże mama?... j .

— Zdrowa, ale niech mi pan jej nie przypomina. Praży się w Warszawie, gdy ja hulam na wsi.

— Ale chodźmy do towarzystwa, bo już bardzo nam się przypatrują — rzekł Loski. — Co prawda, to przypuszczałem, że znajdziecie się tutaj, nie tylko ty, ale i twoja matka.

— Więc panowie znają się? — wtrącił Byvataky.

— Czy się znamy! — odparł śmiejąc się Trawjftski.

— Przecież to mój najukochańszy nauczyciel...

—■ Mnie już nie wypada powiedzieć, żeś był moim najlepszym uczniem. W istocie nie miałem lepszego! —" > mówił zawsze uroczysty Loski.

Byli o kilka kroków od towarzystwa, gdy ustrojony w czeczunczę Staś Turzyń/ki zawołał:

— Gościa nam pan prowadzi? Witamy, jeżeli pański znajomy!

Loski wykonał okrągły ruch lewą ręką, prawą uchylił słomianego kapelusza i rzekł:

— Pan Józef Trawiński, mój niegdyś uczeń, a obecnie przyjaciel.

Józef niezręcznie uklonił się stropiony bliskością pańienek, z których najstarsza nie miała więcej nad rok szesnasty.

—■ Siostrzeniec pana Wodnickiego — ciągnął prezentację Loski. iiprfi Woduicki to nasz rządca — wtrącił młody Turzyński do blondyna w szarym garniturze.

— I przyjaciel papy, dodaj, Stasiu! — odezwała się, nagle zarumieniona, panienska w białej sukience.

— Już on się nie zmieni, kochana panno Zofio! — rzekł z melancholijnym uśmiechem Loski.

Jeszcze nie dokończył frazesu, kiedy panna Zofia wysunęła się naprzód, podała rękę Józefowi i mocno ściskając go rzekła:

— Jestem Zofia Turzyńska. Zdaje mi się, że trochę lubi mnie ciocia pańska, pani Wodnička.

Ale nie wytrzymała w bohaterskim wysiłku: głos jej się załamał i cofnęła się zawstydzona.

—■ Paulina Klęska — wyśpiewała cudnym głosem panienska w czerwonej sukni, jeszcze energiczniej ściskając za rękę Trawińskiego.

Panienka bladoniebieskiej barwy chciała zrobić to samo; lecz zabrakło jej odwagi, więc tylko pięknie dygnęła.

— Dymitr Aleksiejewicz Permskij — rzekł basem tęgi młodzian w jedwabnym kitlu i dodał: — Moskał, ale człowiek dobry.

— Andrzej Turzyński — zaprezentował się blondynek w szarym garniturze.

— Z Suchych Stawów — wtrącił Staś Turzyński. — A ja jestem Turzyński z Klejnotu, brat tej oto panienci! — dodał wskazując za siebie wielkim palcem.

— Jesteś zawsze niemożliwy, a dziś bardziej niż kiedykolwiek! — westchnęła panna Zofia.

Na Trawińskim młody panicz zrobił przykre wrażenie, ale jego siostra, choć zaledwie przystojna, podobała mu się tak, że nawet do źle wychowanego brata usiłował nabrać sympatii.

Do Józefa zbliżył się drugi młodzieniec w szarym garniturze, szatyn, z kijem w ręku, i wymruczał jakieś niezrozumiałe nazwisko.

— Jeszcze tylko brakuje księdza proboszcza, a już byśmy się wszyscy znali — rzekł Permski.

— Właśnie wychodzi od gajowego — odpowiedziała panna Kłęska.

— Ściśle rzeczy biorąc — wtrącił Loski — rzekomy proboszcz jest dopiero klerykiem. To, możeś słyszał, Józiu, Antoni Podolak, który z trzeciego kursu filologii wstąpił do seminarium duchownego.

— Na szczęście tylko katolickiego — dodał Permski — i dlatego wdajemy się z nim.

Tymczasem od ogniska zbliżyła się młoda osoba w płóciennej sukni, z włosami popielatymi i fiołkowymi oczyma. Loski przedstawił jej Józefa, jako przyszłego medyka, a do chłopca rzekł półgłosem:

— Panna Krystyna Sobolewska, doskonała koleżanka i działaczka!... Panna Krystyna podała Józefowi malutką ręką i śmiejąc się rzekła:

— Wstępuje pan na medycynę? Bardzo dobrze pan robi!... Wiele rzeczy poprawi się u nas, gdy kraj będzie posiadał dzielnych lekarzy, nauczycieli i księży.

I niemniej dzielnych adwokatów, inżynierów, poetów, malarzy, rolników, rzemieślników et caetera! — wtrącił Loski. — Pannie Krystynie zdaje się, że ksiądz, lekarz i nauczyciel mogą zreformować społeczeństwo... Przyjemne złudzenie!...

— Znowu się pan kłóci? — zgromiła go panienska.

— Z panią zawsze, ponieważ nie znam osoby, która by się ładniej oburzała.

— Ot i ksiądz proboszcz wraca od gajowych! — zawołał Permski.

— A mleko będzie?

— Owszem, nie będzie — odpowiedział nadchodzący kleryk dźwięcznym, gorącym barytonem. — Wszystko sami zjedli, a może dopiero zjedzą, o co wreszcie nie możemy mieć do nich pretensji. Dla nas kwaśne mleko jest zabawką, im chodzi o życie.

■ Nastąpił akt zaznajomienia się Trawińskiego z klerykiem. Józef spostrzegł, że przyszły ksiądz jest niezwykle pięknym mężczyzną: ma rysy klasyczne i wyraz szlachetnej zadatomy.

„Po co taki człowiek wstępuje do seminarium?” — pomyślał Józef.

— Teraz rzekła panna Klęska — kiedy już jesteśmy wszyscy, chyba możemy się bawić.

— A bez księdza proboszcza nie można było? — zapytał półgłosem Permski

Złota twarz panny Fauliny oblała się mocnym rumieńcem, a czarne oczy gniewnie błysnęły, lecz tylko na chwilę.

— Pan prześladowuje panią! — wtrącił zachmurzony Byvataky.

— A pan się za nią obraża! — odrzekł Permski nie podnosząc głosu.

— Za pozwoleniem — odezwał się Loski do panny Zofii Turzyńskiej. — Przed chwilą usłyszałem zdanie, że teraz możemy się bawić. Jeszcze raz przepraszam, lecz ośmielę się zapytać: a cóż robiliśmy do tej pory?

— Trochę graliśmy w cerceau — wtrąciła panienka w sukni bladoniebieskiej.

— W takim razie ja powiem, że trochę strzelaliśmy do celu — rzekł Staś Turzyński.

— I nie bardzo trafialiśmy — dodał półgłosem Byvataky.

— Jak do czego! — mruknął Permski.

— Czy jak do kogo? — uśmiechnął się Andrzej Turzyński.

— Zamiast robić mało dowcipne dowcipy, 'bij się lepiej ze mną w palcaty — wybelkotał drugi młodzieniec w szarym garniturze.

— Kto to jest? — szepnął Trawiński do Byvatalkego. wM- Zyzio Pomorski, techno¹ og. Podobno tęga głowa, lli fi ^ niebieska panienka?

— Panna Róża Turzyńska, siostra Andrzeja. Podoba się panu?

Józef lekko wzruszył ramionami, y^rr- Radzę państwu zasiąść do podwieczorku! — zawołała panna Krystyna. — Wprawdzie nie mamy kwaśnego mleka, tak upragnionego przez pannę Paulinę, ale z głodu nie umrzemy.

— Wiwat! — zawołał Staś Turzyński. — A co mamy?

— Kurczęta, ozór, cielecinę, ser, masło, chleb, bułki i nawet suche ciastka.

— WalekL. Antek!... na tu, na!... — zawołał panicz, w stronę ekwipażów stojących niedaleko ogniska.

Jego siostrę, pannę Zofię, ognie oblały. ^^^Co ty dzisiaj wygadujesz, Stasiu! — rzekła.

— Cóż pani chce? On przypomina, że jest polskim szlachcicem. I jest nim! — mruknął Permski.

— Żartuje sobie! — odpowiedział Łoski. — Chociaż... mógłby lepszą formę nadać swemu humorowi.

— Właśnie chodziło mi o podrażnienie demokratycznych uczuć! — roześmiał się Turzyński. — Mała irytacja pobudza apetyt.

— Mnie drażnić możesz, byłeś nie poirytował Antka i Wałka -0" rzekł Permski. — Oni długo pamiętają, nawet uderzenie szpicróżgą dla zabawy, w roku poza- przeszłym.

— To przecież nie Antek dostał, tylko Wałek — odparł Staś i odwróciwszy się zaczął cicho gwizdać.

Permski zbliżył się do Łoskiego.

— Takim sposobem, widzi pan profesor, gromadzi się smolne drzewo na wielki pożar! — szepnął.

- Gdzież znowu!... To przecież wszystko żarty!...

— To i ogień będzie na żarty.

— Walenty... Antosiu... przynieście z łaski swej kosze — rzekła panna Krystyna.

Po upływie kilku mdnut nadeszli z koszami furmani. Antek, chłopak rumiany i wesoły, w siwej ułance z amarantowy md klapami, niósł artykuły spożywcze; Walenty, w granatowej liberii ze srebrnymi guzikami;, dźwigał talerze i szklanki. Był to człowiek blisko trzydziestoletni z ponurymi oczyma. Trawińskiemu zdawało się, że w jego fizjonomii dostrzega niejakie podobieństwo do Stasia Turzyńskiego.

— Nie oddalajcie się! — rozkazał Turzyński furmanom. — Będziecie potrzebni.

. I przekąście z nami — dodała panna Krystyna.

Na pełnej twarzy Antka zajaśniał dobry uśmiech, lecz Walenty mijając Permskiego mruknął:

— Ja nie pies, żeby po kim ogryzać kości.

— Z tego także będzie ogień! — szepnął Permski do Łoskiego.

— Tylko nie przykładajcie waszych zapalek, to nie będzie! — odszepnął Loski.

— Moi drodzy — mówiła do furmanów panna Krystyna — przynieście tu samowar, tylko ostrożnie! A naj- pierwszej ty, Antku, dolej wody, boś zgrabniejszy.

— Dobrze, proszę panienki! — ochoczo odpowiedział Antek.

— Do kobiety ja byłbym zgrabniejszy, a do samowara niech będzie on — mruknął z półuśmiechem Walenty. Ale wzrok miał ponury. Trawińskiego człowiek 'ten zaciekawiał i niepokoił. Odczuł w nim coś niedobrego. Loski zaczął krajać chleb, panna Krystyna mięso.

— Ale po podwieczorku bawimy się. Będziemy tańczyć! — odezwała się panna Klęska.

— Ja proszę u pani pierwszego walca — rzekł Permski.

— O pierwszego walca ja prosiłem — wtrącił By- vataky.

— Jakże państwo będziecie tańczyć bez muzyki? — pytał kleryk.

Machinalnie spojrzął na pannę Paulinę i zarumienił się. Nagle odszedł o kilka kroków na bok, a Trawińskiemu zdawało się, że słyszy szept: „Boże, bądź miłościw!...“

— Proszę o kawałek chleba z ozorem — rzekł Loski do panny Krystyny. — Moi państwo, wyperswadujcie sobie tańce, naprzód dlatego, że nie ma muzyki, a po wtóre, że ziemia i trawa to nie posadzka i moglibyście nogi powykręcać.

— Mnie się zdaje, że pan Loski ma słuszność — wtrąciła panna Zofia.

- Jeżeli pani tak mówi, nie tańczymy — pośpieszył Byvataky.
- Więc cóż będziemy robili? — zawołała panna Paulina tonem udanej rozpacz.
- Ja państwu proponuję coś nie męczącego, poważnego i nawet nauczającego — rzekł Loski, uroczyście gestykułując rękoma.
- Ślepą babkę? — wtrącił Permski.
- Cenzurowanego? — dodał Staś Turzyński. — Dobrze bym wyglądał na tej zabawie!
- Zgadzą się na wszystko, co proponuje pan profesor —5
rzekła Zosia.
- Loski uklonił się kapeluszem.
- Gdyby pani g§§ rzekł — odstąpiła nam wszystkim choć połowę swojej dobroci...
- Bylibyśmy aniołami — wtrącił, jej brat.
- Nie |1| odparł Loski — bylibyśmy tylko mniej niezdolni.
- Niech pani podziękuje, panno Paulino! — zawołał Staś Turzyński.
- Owszem, bardzo byłabym wdzięczna choć za odrobinę tych zalet, jakich zazdrościmy Zosi.
- Niech pani pozwoli mówić panu profesorowi, a będzie to pierwsza z owych zalet — rzekł Turzyński.
- Jedną z tych, jakimi pan nigdy się nie skompromituje — odcięła się panna Paulina z figlarnym uśmiechem.
- Szanowni państwo! zawołał Byvataky — czy nikt nie jest ciekawy usłyszeć propozycji pana profesora?
- Ależ słuchamy!... prosimy!... — odpowiedziała panna Klęska.
- Drodzy państwo! — zaczął Loski. — Wszyscy, jak tu jesteśmy, mamy ten wiek, w którym ludzie zaczynają, jak się mówi, wstępować w świat. Jedni z nas już

zrobili parę kroków na nowej drodze, inna znajdują się u jej początku, jeszcze inni lada chwila wejdą na nią.

— Ja już wszedłbym od Wielkiej Nocy, bo chcieli mnie wydłubać ze szkoły — szepnął Staś Turzyński. — Ale pan Loski trzymał mnie za hals...

— Staś, wyrzucę cię z salonu, jeżeli będziesz przeszkadzał! — ofuknął go Permski.

— A ja wrócę tu przez <garderobę..

— Drodzy państwo mówił dalej Loski nie zniechęcony przerywaniami — czy nie sądzicie, że byłoby to ciekawe, pouczające, a może nawet i zabawne, gdyby każdy z nas, jak jesteśmy, szczerze odpowiedział: czym pragnie zostać w dalszym życiu?...,-

— Mężem Paulinki — szepnął Staś.

— ...i co w przyszłości chciałby zrobić dla naszego kraju?... Czy jasno są wyraziłem?

— Najzupełniej.

— Brawo!... .

— A jeżeli kto nic nie chce i niczego nie pragnie? — zapytał Staś.

— Ale pan profesor zacznie pierwszy, ażebyśmy wiedzieli, w jaki sposób odpowiadać — odezwała się panna Zofia.

— I nabrali odwagi — wybełkotał Pomorski, co wśród obecnych zrobiło wrażenie.

— Owszem, mogę zacząć, choć z pewnością są tu odważniejsi ode mnie — odpowiedział Loski.

- Pan Permski musi być strasznie odważny — szepnęła panienska w bladoniebieskiej sukience.

— No, może i wśród nas znaleźliby się nie-tchórze — odparł młody Turzyński. — Choć, jeżeli idzie o odwagę w spowiadaniu się, ustępuję miejsca innym.

— Przede wszystkim proszę państwa, ażebyście usiedli — rzekł Loski.

gpp

— A położyć się można? — zapytał Staś.
Jeżeli uważasz za stosowne...

Staś zarumienił się; chcąc jednak pokazać, że niewiele robi sobie z upomnień nauczyciela, wyciągnął się pod drzewem i oparł głowę na lewej ręce. Panienki usiadły przy sobie tworząc niby kwiat złożony z trzech różnych płatków: pąsowego, białego i niebieskawego. Permski podwinął nogi jak Turek, Pomorski położył brodę na własnych kolanach, Trawiński zajął miejsce obok Łoskiego, kleryk usiadł w pozycji klęczącej, a panna Krystyna i Andrzej Turzyński, oparli się na kiju, stali. Nad ich głowami unosiły się zielone gałęzie drzew ruchem jakby błogosławiącym.

— Słuchamy pana profesora — odezwała się panna Zofia.

— Przepraszam — wtrąciła panna Krystyna zniżonym głosem. — Czy nie byłoby ciekawe zaprosić do naszego towarzystwa Antka i Walka i posłuchać, czym każdy z nich pragnąłby zostać w przyszłości i co chciałby zrobić dla kraju?

— Świetna myśl! — zawołała panna Zofia. — Tylko czy oni' zechcą mówić szczerze?

— Moja Zosiu, przeżegnaj się! — zawołał jej brat. — 'Cóż by o nas pomyślał tatko?

— Ot I znowu wylazł polaki pan! — roześmiał się Permski.

— Moi państwo, nie ma się o co spierać, ponieważ ani Walek, ani Antoś do naszej zabawy z pewnością nie chcieliby należyć — rzekł Loski.

Młody Turzyński podźwignął się i usiadł chmurny; panna Krystyna była bardzo zmieszana.

— Zaczynam spowiedź ||| rzekł Loski podnosząc i opuszczając obie ręce. — Muszę się państwu przyznać do bardzo ambitnych zamiarów. Naprzód, chciałbym być doskonałym nauczycielem. Po wtóre, pragnąłbym,

ażeby choć jeden z moich uczniów pozyskał tytuł wielkiego człowieka w jakiegokolwiek dziedzinie pracy.

— To już nie o mnie imowa! — mruknął Staś Turzyński.

— Dlaczego? — wtrącił Permski. — Przeoież niejeden wielki człowiek uchodził w szkołach za... nie dość rozwiniętego...

— Moi państwo, nie przerywajcie mi, przynajmniej w tej chwili! — upomniał ich Loski. — Po trzecie zaś, na pytanie: co chciałbym zrobić dla kraju? — odpowiem krótko: chciałbym stworzyć dobrą szkołę, ale taką, jakiej jeszcze nie było na świecie. Szkołę, która nie tylko rozwijałaby umysły, ale także siły fizyczne, energię moralną i szlachetne uczucia. Muszę jednak dodać, że skwitowałbym z osobistych ambicij, gdybym mógł doczekać szkół polskich i w ogóle całego systemu edukacyjnego polskiego.

— To będzie, musi być! — wtrącił Permski. — Ale nie zaraz i nie darmo.. 4

— Co to znaczy: nie darmo? — zapytał kleryk.

— Pogadamy kiedy o tym — odpowiedział Permski. — A teraz niech nam lepiej ksiądz proboszcz powie, czego chciałby dla siebie i" narodu?

— Ja? -jggirzekł kleryk rumieniać się. — Ja niewiele mam do powiedzenia. Narodowi życzę, aby wrócił do Boga i odzyskał łaskę boską, bez której nie będzie ani szkół polskich, ani wielkich ludzi.

— Bóg wysoko! — mruknął Permski. — No, a dla siebie co pan chce?

— Chciałbym, chciałbym — wahał się kleryk, coraz mocniej zarumieniony — chciałbym zostać znakomitym kaznodzieją.

— Czy nie lepiej być kapłanem działaczem społecznym? — cicho odezwała się panna Krystyna. — Czyny więcej znaczą aniżeli nabożeństwa i kazania.

— Proszę pand, wielki mówca jest potężnym działaczem. Jest on nauczycielem dorosłych i silnych... Posłuchajcie na przykład, co wykladał Massillon w jednym ze swoich kazań.

„Królu §1I ciągnął kleryk dźwięcznym głosem — królu, wszelka władza pochodzi od Boga, a co pochodzi od Boga, musi służyć na pożytek ludziom Bezużytecznymi na świecie byliby potężni, gdyby

obok nich nie istniało ubóstwo i nieszczęście. Wielcy swoje dostojność zawdzięczają tylko obowiązkom społecznym i bynajmniej nie ludy są stworzone dla nich, lecz oni dla ludów."

Kleryk mówił tak pięknie i tak podkreślał wyrazy, że wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu.

„Cóż to za straszna byłaby Opatrzność, która wyrzuciłaby na ziemię mnóstwo ludzkich istot po to tylko, aby służyły garstce szczęśliwców, częstokroć nie uznających Boga, który obsypał ich dobrodziejstwami..."

— Słuchajże, Stasiu! — szepnęła panna Zofia. Hardy chłopak otrząsnął się z gniewem. „Jeżeli Bóg — ciągnął mówca przejmującym barytonem — jeżeli Bóg wysoko wznosi niektórych, to tylko w tym celu, aby stali się oparciem i pomocą dla niemocnych i maluczkich. Ich rzeczywista wielkość polega na użytku, jaki czynią ze swej potęgi dla cierpiących. Oni są tylko rozdawcami boskiej Opatrzności i dobroci, tracą zaś tytuły i prawa z chwilą, gdy chcą z nich ciągnąć osobiste korzyści. Współczucie dla maluczkich jest pierwszym obowiązkiem wielkich, zaś współczucie znaczy: protekcję, hojność i... i... uprzejmość... Powtarzam: uprzejmość. Tak, panie królu, pycha jest smutnym środkiem ratunku dla ciemnoty i plebejuszostwa. Pycha jest zrozumiałą tylko u tych, którzy urodzili się w błocie, gwałtem pchają się

między potężnych. A im niżej stoją moralnie, tym silniej pogardzają własnym miejscem."

Cóż? — zakończył kleryk. — Prawda, że zdrowo powiedziane! A przecież Massillon jeszcze nie był największym mówcą.

— Ach, jaką pan ma pamięć! -zawołała Krystyna czując, że młody Turzyński wścieka się pod spojrzzeniami towarzyszków, których większość udawała, że nic nie rozumie... Tylko Byvataky uśmiechał się nieznacznie.

— Piękne kazanie — rzekł Permski — ale nieskuteczne. Bez względu na Massllona wybuchła rewolucja francuska. Znaczy, że wielcy nie poprawili się...

Może by teraz panie zabrały głos? — zapytał Loski.

— O nie!... jeszcze nie!... pierwej panowie! — zawołały panienki.

— Ale gdyby tak panna Krystyna?...

fg ig Cóż ja powiem?... Jakie ja mogę mieć zamiary?... Byłabym szczęśliwa, gdyby wszyscy członkowie naszego narodu kochali się i pomagali sobie wzajemnie, ażeby byli solidarni, ponieważ jedność tworzy siłę, której my dziś nie posiadamy.

— A sama czym pani chce być?

- Chciałabym mieć tyle środków, ażebym mogła lud uczyć darmo. Uczyć solidarności.

— A czytania, pisania, rachunków to już nie? — zapytał kleryk.

— To rozumie się samo przez się.

- Stasiu, masz głos — rzekł Loski. — Czego pragniesz dla siebie?

— Jak najprędzej wyjść ze sztuby. Potem wyjechać na kursą agronomii, a później — sam jeszcze nie wiem.

— A narodowi czego życzysz? .. >

— Za pozwoleniem. Naprzód życzę memu ojcu, aże

by skończył z Turzycami jak najprędzej, a siostrze, ażeby dobrze wyszła za mąż.

- Ale narodowi?...

— Jak my będziemy mieli, to i naród będzie miał. Rzecz prosta! — odpowiedział młody Turzyński.

.Loski milcząc podniósł brwi. Permski odparł:

— Jeszcze nie wiadomo, co naród będzie miał od was!

— Przecież dobrobyt narodu składa się z dobrobytów jednostek. Ileż ja to razy słyszałem? — odpowiedział niecierpliwie młody Turzyński.

— Prosimy pana-Andrzeja — rzekł Loski.

— Ja myślę to samo co Staś. Dlatego chciałbym dobrze gospodarować, spłacić długi obciążające nasz majątek...

■— Pan Pomorski — odparł młody człowiek z niewyraźną wymową.

||§ Ja będę zupełnie szczerzy, choć może powiem głupstwo wielkie, wielkie... Ja chciałbym wybudować taką maszynę z motorem parowym czy elektrycznym, jeszcze tego nie wiem, maszynę, która.... Tylko nie śmieJCie się, państwo... Która by mogła jeździć po ziemi jak wóz, pływać po wodzie i pod wodą jak ryba i latać po powietrzu jak orzeł. |i|j| Fiu! — gwizdnął Permski. — A narodowi co?

— Dziesięć... dziesięć tysięcy takich maszyn z odpowiednią liczbą armat — wystękał Pomorski, spocił się i znowu oparł brodę na własnych kolanach.

— A do katorgi nie łaska, panie Zyziu, a? — zapytał śmiejąc się Permski.

— To byśmy jeszcze zobaczyli...

— Niechże cię uściskam, ty bełkocie! —• wykrzyknął Permski. — No, nareszcie ma człowiek z kim pogadać... A zdawał się niuńka!...

— Pan Byvataky — rzekł Loski.

— Ponieważ mówimy szczerze, co kto myśli, więc powiem, że... chciałbym zostać przynajmniej tak znakomitym dyplomata, jakim Pomorski chce być wynalazcą, a ksiądz Podolak mówcą.

— Dobrze! A dla narodu co? — zapytał Loski.

— Ponieważ mara być dyplomata, więc milczę...

— Brawo, polski Bismarcku czy Cavourze!

— Albo Wallenrodzie! — dorzucił Permski.

— Teraz na ciebie kolej, Józiu, nie wykręcisz się! — zwrócił się Loski do Trawińskiego.

Chłopak zarumienił się powyżej oczu i odpowiedział cichym głosem:

— Ponieważ mam być lekarzem, więc naturalnie chciałbym być jak najlepszym. A co do narodu... Chciałbym mu służyć... jak najwięcej oddać usług. Ale jakimi one będą? jeszcze nie wiem.

— Panno Zofio — rzekł Loski — dłużej odwlekać nie można.

Czekamy na spowiedź pani.

— Dobrze, już dobrze! — odpowiedziała prędko. ■— Dla narodu chcę, ażeby wszyscy, ale to wszyscy byli najszczęśliwsi, a dla siebie... ażeby mi zawsze tak było... jak dziś na spacerze.

Mimo woli rzuciła okiem na Trawińskiego i zmieszała się; nawet niewiele brakowało do płaczu.

— Boże, jaka ja jestem śmiesszna! — szepnęła zasłaniając rękoma oczy.

— Pannę Paulinę zachowamy na deser — rzekł Loski — a teraz prosimy pannę Różę.

— Ja mogę powtórzyć tylko to, co powiedziała Zosia. Niechaj wszyscy będą szczęśliwi.

— A pani?

— Co tam ja!

■— Wiecie państwo, że to są rzeczy nadzwyczajne! — zawołał Staś Turzyński. — Bawią się jakimiś półsłówkami, półfrazesami, a samowar zgasł... Antek, psia...

— Stopią przerwał Loski. — Onegdaj przyrzekłeś,' że nikomu ze służby nie powiiesz przykrego słowa.

— Ja przecież umieram z głodu. Zresztą i całe towarzystwo.

— Jak można myśleć o głodzie przy takiej rozmowie?

■— Ale pan już pił herbatą i zjadł kawał ozora?

— Skończcie rozmowę, dostaniecie jeść! — odezwała się panna Krystyna.

— A więc spowiadajcie się państwo, ale klusem!

— Boże! Stasiu, ty mnie chcesz stąd wypędzić — zawołała siostra chwytając się za głowę.

— Panno Paulino... — rzekł Łosfci.

— Ja mam głos, więc słuchajcie! — zaczęła panna Klęska podnosząc w górę paluszek, - To jest, chciałabym mieć głos, ale taki piękny, żeby zostać największą śpiewaczką. Chciałabym, ażeby za mną cały świat przepadał.

— To już jest! — rzekł Permski.

— Taki tam świat! — odparła wzruszając ramionami. — A jeżeli nie zostanę wielką śpiewaczką, to przynajmniej chciałabym mieć dużo pieniędzy i całe życie podróżować.

Cudnie! — roześmiał sędę Perrpski.

— Samowar już trzeci raz dokładają — szepnął Andrzej Turzyński.

— A narodowi co pani życzy? zapytał Loski.

Ażeby jak najwięcej ludzi miało pieniądze i mogło wyjeżdżać za granicę. Cha! cha! cha! — roześmiała się panna Klęska.

— Pani tego nie mówi na serio? ,

— Dopiero teraz domyślił się pan?... A któż swoje tajemnice ogłasza przed całym światem?

— No, jeżeli tak! — westchnął Loski rozkładając ręce.

— Ale pan Permski nie powiedział nam nic — wtrąciła bladoniebieska panienka.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał Loski. — Taki tu hałas, taki zamęt, taki nieporządek, że daję słowo, zapomniałem o najważniejszym zwierzeniu. Naturalnie, prosimy pana Permskiego. Illiif hędę całkiem szczerzy, nie tak jak panna Paulina. — rzekł Permski. Wszystkim narodom, a więc i waszemu, i mojemu życzę: wolność, równości i braterstwa. A dla osiągnięcia tych celów chciałbym przyczynić się jatk najmocniej, choćby oddając własną głowę.

W tej chwili wionął po lesie chłodny wiatr, a na kapelusz mówiącego zleciał suchy patyczek.

— Brawo, Moskał! — zawołał Loski.

— Jeść! — krzyknął Staś Turzyński.

Wszyscy ruszyli z miejsc. Byvatomy podał pannie Klęskiej talerzyk, nóż i widelec, a następnie półmisek z zimnymi kurczętami. Gdy zaś przyklęknął oboik panienki, Staś Turzyński wyciągnął rękę ponad jego głowę i pochwycił ćwierć kurczęcia, zaś Andrzej zdobył drugą ćwiartkę spod ramienia Byvata!kyego.

— Tatarzy! Humowie! Ig! (krzyczał Loski. A tymczasem Trawiński ofiarował talerzyk i łyżeczkę od kawy pannie Zofii, która przyjmując to zarumieniła się jak róża.

W ciągu kilku minut rozchwymano naczynia i potrawy, a uwinięto się z nimi jeszcze prędzej.

— Woły trzeba było przywieźć, nie kurczęta! — zrobił uwagę Loski zobaczywszy puste kosze.

— Dla służby schowałam! — szepnęła panna Krystyna.

Odeszła do powozu i coś podała każdemu z furmanów. Antek odwrócił się i jadł. Walek swój paMet cisnął do bryczki.

— Nie chce się wam jeść? — zapytał zdziwiony chłopak.

— Nakarmiłem się — mruknął Walek wskazując głową asa towarzystwo.

— Nu, moi państwo — rzekł Permski — a teraz ja pozwolę sobie zadać wam zagadkę do rozwiązania. Można?

— Bardzo prosimy — rzekł Loski.

— Ach, jakie to 'będzie ciekawe! — zawołała blado- niebieska panienska.

- Pechtujesz się? szepnął Pomorski do Andrzeja Turzyńskiego, trącając go w nogę palcatem.

— Lepiej posłuchajmy — I odparł Andrzej.

Wyobraźcie sobie, moi państwo; --- imówił Permski — że w tym lesie jest wysoka skała, na tej skale zbrojny zamek, tego zamku pilnuje straszny smok, dajmy na to taiki jak ja. A zaś w zamku jest uwięziona księżniczka zaczarowana. Kto ona? niech sobie każdy wybierze. Dla Byvatakyego może nią być panna Paulina, dla Pomorskiego — panina Krystyna..

|||I| Skądże znowu ja? — zdziwiła się wymieniona, gfppll Dla mnie księżniczką będzie, przypuśćmy, panna Zofia, dla proboszcza — kościół, a dla pana Łoskiego choćby... Polska. Ale o tym cicho, cicho!... Otóż stawia się pytanie: co z mas każdy zrobiłby, co poświęciłby dla uwolnienia zaczarowanej spod przemocy smoka? Bo pamiętajcie, że każdy bardzo kocha swoją księżniczkę, a przynajmniej powinien ją kochać.

Niebo poczęło zachmurzać się, las szumiał coraz głośniej hucząc niby młyn, niby wozy jadące, to znowu jak odległa burza. Młode towarzystwo milczało, zdziwione i zakłopotane odezwaniem się Permskiego.

— Nie wiedzieć co? — szepnął Andrzej Turzyński wzruszając ramionami.

Ale na Trawińskim kwestia postawiona przez Permskiego zrobiła potężne wrażenie. Uczuł jak błyskawicę

w duchu; coś w tej chwili zbudziło się w nim czy na nowo sformułowało.

—Nu, i pan Loski nic? — nalegał młody Rosjanin. — A taki zdawało się wielki nauczyciel swego narodu!

—Bo zaskoczyłeś nas, panie Dymitrze — odpowiedział Loski. — Na takie kwestie nie wytrząsa się odpowiedzi z rękawa.

—A ja myślałem, że komu jak komu, ale wam, Polakom, na takie pytania najłatwiej odpowiadać. Przecie niejednemu z was trzymali pod kluczem nie tylko dziada czy ojca, ale może nawet siostrę i matkę. To tak wreszcie łatwo wyobrazić sobie istotę ukochaną, która siedząc za kratami wyczekuje od nas pomocy. A może wy już umiecie tylko podawać prośby o uwolnienie?

Po wyrazie fizjonomii Trawińskiego było widać, że rzuciłby się na szyję Dymitrowi.

—W naszej historii legendarnej — odezwała się panna Krystyna — był smok, który wielkie szkody robił narodowi. Ale przyszedł bohater, Krakus...

—To, to!.., bohaterowie powinni przyjść! — wtrącił Permski.
— ..i dał smokowi barana wypełnionego siarką.

—Ehe! — machnął ręką Permski — teraz nie ma głupich smoków. Teraz naprzód obłupuje się barana ze skóry, potem dzieli sęc mięso na kawałki, moczy się barana i ubija, ażeby skruszał, a dopiero upiekłszy go na wolnym ogniu zjada się bezpiecznie.

—A ja, gdyby mi kto uwięził, na przykład, choćby tę oto siostrę, złapałbym rewolwer i palnąłbym w łeb takiemu smokowi! — zawołał Staś Turzyński. Panna Zofia życzliwie uśmiechnęła się do niego.

— A gdyby od smoczej Skóry odbijały się kule i na twój jeden rewolwer odpowiedziało sto karabinów, to co? — spytał Permski.

— Pozwólcie mi tylko wybudować mój wóz latający

z armatami, a już ja sobie dam radę — wybełkotał Pomorski, i tak machnął palcatem, że o mało nie potracił paniny Klęskiej.

— Pokaż nam twój wóz latający, to i nie będzie nas bolała głowa — rzekł Permski. — Ale tymczasem wozu nie ma, a księżniczka siedzą.,.

— Za pozwoleniem! — odezwał się Łoaki. — Jeżeli pan wciąż będzie powiększał trudności, to w końcu pokaże się, że nic nie można zrobić dla uwięzionej.

— Ja nie potrzebuję stwarzać trudności, bo one już są — rzekł Permski. — Ale ja należę do takich, którzy nic cofają się przed trudnościami. Dla nas nie ma niepodobieństw!

— Tak jak i dla nas nie bywało ich w swoim czasie — mruknął Loski.

Ale Trawiński złożył ręce i z zachwytem patrzył na Permskaego. „Jeżeli dla kogoś nie ma niepodobieństw — myślał — to i dla innie ich nie powinno być. Jeżeli kto ma wielki cel, to i ja mam prawo mieć go.” — Istne objawienie prawdy, o której Józef niejednokrotnie słyszał, ale dopiero dziś pojawił w jakiś nowy sposób, dziś ją odczuł. „Nie ma niepodobieństw!” — powtórzył w duchu i mimo woli spojrzął na pannę Zofię, bogatą dziedziczkę dumnych panów. Spojrzął na nią, ale myślał nie o niej.

— A gdyby owa księżniczka była zadowolona ze smoka?... gdyby smok był młody, przystojny, bogaty i dobrze wychowany? — zapytała nagle panna Klęska patrząc na chwiejące się szczyty sosen rozmarzonymi oczyma.

— Ot i mamy zgodę ze swoim losem! — odrzekł Permski. — Ja, widzicie, nie mówię o tych księżniczkach, którym jest dobrze, ale o księżniczkach niewolnicach, którym źle w więzieniu, choćby nawet ze złotymi kratami.

— Pozwólcie, państwo, wtrącić małe słówko — (nagle odezwał się kleryk. — Jeżeli tę niewolnicą, o której mówi pan Permski, doświadcza Bóg, ażeby kiedyś z lochu więziennego wydźwignąć ją na najwyższy tron świata, to nie wiem, czy oddalibyście jej usługę wydzierając gwałtem ze szponów smoka. Ale może być i inny wypadek: może niewolnica cierpi za jakieś grzechy?... W takim razie zalecałbym jej rachunek sumienia i żal, pokutę i modlitwę. A gdy spełni się czas bożych wyroków, przed niewolnicą sanie drzwi się odemkną, jak to bywało me jednokrotnie z pokutującymi, którzy odzyskali łaskę.

— Zdaje mi się, że ksiądz Podolak ma słuszość — cicho odezwała się panna Zofia.

— Na tym ja się nie znam! — mruknął Permski. — Ale wiem, że tysiące i miliony uczciwych cierpią bez winy, a wielu niegadajom dzieje się dobrze. Mądry, kto armatę umie zastąpić kropidłem, jeżeli w ogóle praktykowały się kiedy takie podstawienia; ale ja tego nie potrafię.

— A my ciągle na pana czekamy, panie profesorze! — odezwała się proszącym tonem panna Zofia.

Loski podniósł hrwi i ręce, jakby na znak desperacji. — I Gdybym miał tę wiarę — rzekł — która przenosi góry, modliłbym się, ażeby Bóg oswobodził niewolnicę. Gdybym był mówcą, jakim chce być brat Podolak, poszedłbym do smoka i tłumaczył mu, że źle robi wię- żąc i dokuczając istotom niewinnym...

— On by nie usłuchał! — wtrącił Permski.

— Toteż gdybym był na przykład potężnym królem, powiedziałbym moim jenerałom: trudna rada, zwalczcie smoka, jeżeli dobrowolnie nie odda księżniczki. Ale ponieważ jestem tylko biednym nauczycielem, więc co najwyżej mógłbym zaproponować smokowi, ażeby uwolnił osobę mi ukochaną i mnie zamiast niej wziął

do więzienia, a nawet zabił... Bo i co mi po życiu, gdybym był pewny, że na przykład moja matka co dzień ulega torturom?

— Pan jeszcze nie jest tego pewny?... — odezwał się półgłosem Permski.

— Jak Boga kocham, słyszę tu nadzwyczajne rzeczy! — wykrzyknął Trawiński. Twarz mu pałała, oczy zaiskrzyły się.

Łoski pokiwał głową, smutnie patrząc na Józefa.

— Pan Dymitr — rzekł — umie zarzucać wędki!

— Na taką wędkę i ja się złapię! — wybełkotał Pomorski. Czuć było zresztą, że urywkowe zdania Permskiego w dziwny sposób podniecają wszystkich obecnych.

— A czy nie można zapytać — odezwał się Byvataky — jaka nagroda spotkałaby oswobodziciela zaczarowanej księżniczki? I przelotnie spojrzął na pannę Klęską.

—; Zapewne otrzymałby jej rękę, jak w bajce — wtrąciła panna Krystyna.

— To byłoby sprawiedliwe. Ja się zresztą tylko tak zapytałem — mówił Byvataky. — Zdaje mi się jednak, że rozprawiając o uwolnieniu księżniczki wszyscy państwo zapomnieliście o rzeczy zasadniczej: o poznaniu sił smoka, jego zamku, wejściach, jakie tam prowadzą, o słabych punktach, wreszcie o jego służbie, u której można by sobie zapewnić pomoc.

Ot polityk, prawda! — mruknął Permski.

— A dopiero poznawszy to wszystko — ciągnął Byvataky — można by zebrać odpowiednie siły i pokusić się o zdobycie zamku razem ze smokiem i księżniczką.

— Czy do tych sił nie należałby, na przykład, Antek, Walek i im podobni? — zapytał nagle Staś Turzyński.

— Rozumie się! — wyśpiewał Permski. — A cóż byśmy zrobili my sami, bez nich?

— Ładny interes, nie ma co mówić — roześmiał się Staś. — Ja się nie znam na ogólnikach, lubię rzeczy dotykalne, więc wyobrażam sobie, że księżniczką jest moja siostra albo panna Klęska, albo kuzynka Róża. Szturmujemy tedy zamek i trafia się, że smoka zabił, dajmy na to, nasz furman Walenty. No i ów Walenty, dzielmy rycerz, od tej chwali ma prawo konkurować o moją siostrę, moją kuzynkę i pannę Paulinę na równi ze mną. A ponieważ jest bohaterem, więc on o- trzymuje rękę mojej siostry albo mojej kuzynki. Brrrr!...

— Staś, oo ty pleciesz? — zawołał Pomorski.

— Plotę?... Dobrze!... Więc zapytaj mego starego, mego nieboszczyka stryja, a zresztą choćby pana By- vatakyego ojca, co by oni myśleli o konkurach — na przykład — Walka do panien z towarzystwa?

— Czy i wy nie zgadzacie się na równouprawnienie Antków i Wałków? — szepnął Permski do Trawińskiego.

— Cóż znowu?... przecie to główne aiły! — odpowiedział z ogniem Józef.

Permski uściskał mu rękę.

— Zapamiętajcie, co mówię: Antek i Wałek to nasze zasadnicze siły. Ale wyraz „Antek” znaczy: wszech- europejski proletariat, a Wałek — rosyjską rewolucję. Pojmujecie?

— Jakżeby nie!

— I godzicie się?

— Najzupełniej! — odszepnął Trawiński. — Z nimi nie ma niepodobieństw!

— O czym tak panowie radzą? — zapytał Loski.

— Wciążam pańskiego ucznia do spisku ni hi listów — roześmiał się Permski.

— Figlarz z pana! — odpowiedział tym samym tonem Loski. I odszedł do panienek.

— Zabawny, co? — zapytał Permski Trawińskiego.

— Anioł dobroci, najszlachetniejszy człowiek — odparł Józef.

— Anioł z rzadkiego ciasta — szepnął Permski. — Z nim ani słowa o naszych poglądach. Rozumiecie?

— Naturalnie. On strasznie by się martwił — odpowiedział Józef.

— Przepraszam, panie Permski, ale ja nie widzą odpowiedzi na pańską zagadkę — odezwał się Podolak. — Jakaś księżniczkę, którą wszyscy mamy obowiązek kochać, więzi okrutny smok, może ją nawet dręczy. Dobrze, lecz cóż dalej?... w jaki sposób radzi ją pan wydobyć?...

— Cha! cha! cha! — roześmiał się Permski — więc ja będę radził, w jaki sposób wy powinni być ratować waszą księżniczkę?...

Lepiej odpowiem, choć niedokładnie, słowami Demostenesa.

Obywatele ateńscy! cieszyście się niby dzieci, ile razy wobec was jaki mówca gromi Macedończyków nazywając ich, słusznie zresztą, zaborcami, wiarołomcami, tyranami. Ocknijcie się! Przecież nie o to chodzi, że wy macie słusność i że wy jesteście krzywdzeni, ale o to, ażebyście nie dali się więcej krzywdzić, a niesprawiedliwość, gwałt odparli siłą. Więc, zamiast narzekać i rozprawiać, zbierajcie wojska, broń, żywność...

— Za pozwoleniem — przerwał Loski podnosząc rękę do góry. — Wszystkie ładunki wystrzelane, więc broni jakbyśmy nie mieli, żywność także zjedzona. Że zaś w dodatku zanoszą się na deszcz, przeto proponuję, ażebyśmy wracali do domu.

— Niech pan da spokój! szepnął Trawiński do Permskiego, ciągnąc go za brzeg jedwabnej kurtki. — Nie ma tu z kim rozmawiać.

— Widzę ja to i nie pierwszy raz! — odpowiedział tym samym tonem Dymitr. Ale można było dostrzec, że nagle odezwanie się Loskiego sprawiło mu przykrość.

— My "wracamy do domu, ale cóż zrobi pan Tra- wiński? — rzekła panna Zofia rumieniając się. — Może byłby łaskaw pojechać z nami, a wieczorem odesłalibyśmy go do domu.

— Józia ja odprowadzę przez las, a stamtąd już sam trafi — odezwał się Loski.

Zrobił się zgiełk. Panienki wołały, że nie pozwolą męczyć się profesorowi, Permski i Pomorski ofiarowali Tfcawińskiemu swoje towarzystwo. Rozstrzygnęła spór panna Krystyna proponując, ażeby Loski odwiózł Józefa 'koniem gajowego i sam powrócił nim do Klejnotu. Obecni uznali pomysł za praktyczny, panna Zofia posmutniała.

W chwilę później Antek pobiegł do gajowego, ażeby zaprzągnął konia. A ponieważ niebo chmurzyło się coraz gęściej, więc pożegnano się d towarzystwo podzieliło się na trzy grupy. Panienki i niektórzy kawalerowie siedli do powozu, inni do bryczki i oba efewipaze potoczyły się w stronę Klejnotu, zaś Loski i Trawiński zwolna poszli w głąb lasu drogą do Kamienia oglądając się, czy nie jedzie za nimi gajowy swoim konikiem.